

„Pełnokrwisty portret niezwykłej kobiety”
Elżbieta Cherezińska

NICOLA GRIFFITH

hilda



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Nicola Griffith

HILDA



Przełożyła
Agnieszka Sylwanowicz

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Dla Kelley, mojej osnowy i wątku

Rozdział 1



Pewnego dnia późnym popołudniem zmienił się dziecięcy świat, choć dziewczynka tego nie wiedziała. Leżała na skraju leszczynowego zagajnika z policzkiem przyciśniętym do mchu pachnącego wypluwkami robaków i ostatnimi promieniami słońca, i słuchała wiatru, który uciekał od dnia i szumiał wśród wiązków, kawek, które przestały nawoływać „Dalej! Dalej!” i krzyczały teraz „Wracać do domu! Do domu!”, szmeru ostatnich przestraszonych ryjówek, które przemykały pod warstwami opadłych liści, zanim sowy rozpoczną polowanie. Z oddali dobiegło oburzone gęganie gęsi zaganianych przez gęsiarkę do wiklinowej zagrody i dziewczynka zrozumiała, jak to trzylatki, nie potrzebując słów na określenie czasu, że wkrótce przyjdzie Onnena, znajdzie ją oraz Ciana i zagarnie ich pośpiesznie do domu.

Onnena, nieprawego pochodzenia kuzynka króla Cerediga, zawsze się śpieszyła, ale dziewczynka, Hilda, nie. Podobał jej się rytm dnia: czas spędzany samotnie (Cian się nie liczy) i czas spędzany przy ogniu na słuchaniu szmeru mowy Brytyjczyków, Anglów, a nawet Irlandczyków. Lubiła spędzać czas na skraju — na skraju tłumy, na skraju stawu, na skraju lasu — gdzie wszyscy musieli przechodzić, lecz gdzie nikt nie zagrzewał miejsca.

Wołanie kawek ucichło. Gęsi się uspokoiły. Wiatr zrobił się chłodniejszy. Dziewczynka usiadła.

— Cian?

Cian, który siedział ze skrzyżowanymi nogami — siedmiolatek to potrafił, a Hilda jeszcze nie — i obdzierał z kory leszczynową witkę, podniósł znad niej wzrok.

— Gdzie jest Onnena?

Cian świsnął witką.

— Uderzę drzewo, jak niegdyś Gododdinowie zadawali ciosy okrutnym Bryneichom.

Lecz wraz z zapadaniem zmierzchu szum i westchnienia wiązków zmieniały się w ryk, a Hildy nie obchodziły okrutne oddziały zbrojne pokonane dawno temu przez jej angielskich przodków.

— Chcę Onnenę.

— Zaraz przyjdzie. A może będę bohaterem Moreiem podpalającym zarośla kolcolistu i umierającym w czerwonym blasku, który wybuchna na emalii mej zbroi, na krawędzi mej tarczy.

— Chcę Hereswithę!

Jeżeli nie może mieć Onnena, to wystarczy jej siostra.

— Mógłbym też zrobić miecz dla ciebie. Będiesz Branweną.

— Nie chcę miecza. Chcę Onnenę. Chcę Hereswithę.

Westchnął i wstał.

— Możemy iść. Jeżeli się boisz.

Zmarszczyła brwi. Nie bała się. Miała trzy lata; miała własne buciki. A potem usłyszała dobiegające ze ścieżki drwali stanowcze, rytmiczne kroki i roześmiała się.

— Onnena!

Lecz kiedy ujrzała matkę Ciana, znowu się nachmurzyła. Onnena się nie śpieszyła. Nawet poświęciła chwilę na przyglądzenie włosów i na ten widok Hilda i Cian przysunęli się do siebie.

Onnena zatrzymała się przed Hildą.

— Twój ojciec nie żyje.

Hilda spojrzała na Ciana. On na pewno wiedział, co to znaczy.

— Książę nie żyje? — zapytał.

Onnena przeniosła wzrok na syna.

— Teraz raczej już nie będzie wolno nazywać go księciem.

Gdzieś daleko zaplegotała kawka.

— Tata jest księciem! Właśnie, że jest!

— Był. — Onnena starła silnym kciukiem smugę brudu z policzka Hildy. — Istotnie, pan Hereric był naszym księciem, mała zadziorko. Ale już nie wróci. Właśnie zaczęły się twoje kłopoty.

Kłopoty. Hilda знаła je z pieśni.

— Pójdziemy do twojej czcigodnej matki. Miej zamkniętą buzię i bystry umysł, wiem, że to potrafisz. A ty, Cian, trzymaj się mnie. W tej chwili nie będziemy potrzebni wysoko urodzonym.

Cian zamachnął się na niewidzialnego wroga.

— Wysoko urodzeni! — powiedział takim samym tonem, jakim powtarzał: „Nakarm świnie!”, kiedy kazała mu to robić Onnena, ale zarazem potarł kłykiem rowek pod nosem, co zawsze robił, kiedy nie chciał się rozpłakać.

Hilda objęła go. Jej ręce nie zeszły się, ale zacisnęła je z całej siły. Kłopoty znaczyły, że mają słuchać, nie walczyć.

A potem objęły ich ramiona Onnenny, okrył płaszcz Onnenny, owionął jej zapach — zapach wełny, kobiety i prażonego słodu. Hilda poznała, że Onnena warzyła piwo, i popołudnie stało się na powrót prawie normalne.

— My — powiedział Cian i mocno uściśnął Hildę. — Jesteśmy nami.

— Jesteśmy nami — powtórzyła dziewczynka, chociaż nie bardzo wiedziała, co Cian ma na myśli.

Chłopiec skinął głową. Wciąż opiekuńczo otaczając Hildę ramieniem, spojrzał na matkę.

— To się stało od rany?

— Nie, ale o reszcie porozmawiamy później, jeśli nadarzy się okazja. Teraz zaprowadzimy małą do jej matki i będziemy się trzymać z dala od dworu.

Caer Loid, położony pośrodku Elmetu, nie był porządnym dworem. Hilda wiedziała to, ponieważ kiedy przed wieloma miesiącami przybyły tu w deszczu, matka pociągnęła po swojemu nosem, co bardziej przypominało westchnienie. Breguswitha

często tak robiła na wygnaniu wśród królestw wealh₁, co zawsze stanowiło wstęp do zagania Onneny i jej innych kobiet do urzędzenia tymczasowego miejsca pobytu na wzór domu, podczas gdy ona sama wyjmowała pudełka z ciężarkami i wrzecionami i zatykała kądziel za pasek. Hilda i Hereswitha musiały wówczas poruszać się cicho jak myszki, a dwudziestu pozostałych przy nich zaprzysięgłych gesith dostawało jeszcze wspanialsze pasy do noszenia miecza, złotą nitkę w tabliczkowych wykończeniach mankietów i rąbków, a nawet hafty wzdłuż rękawów. Musieli sprawiać wrażenie dumnych, kolorowych i zadbanych, żeby wszyscy wiedzieli, kim są, skąd pochodzą i na jaki poziom wciąż mogą się wznieść w służbie pani Breguswithy i Hererica, jej pana, który powinien być zostać królem Deiry.

Hilda nie pamiętała żadnych widoków ani dźwięków z Deiry, wzorca, z którym wszystko było porównywane, z dawna opuszczonego domu. Miała niewyraźne wspomnienia słonecznego blasku na śliwach, wzniesienia, na którym ryczały krowy i kasał wiatr, statków i wozów, i zagięcia ojcowskiego ramienia, kiedy książe jechał na koniu, ale nie wiedziała, że cokolwiek z tego było domem, mogło być domem. Wygnał ich Etefryd Iding, angielski król Bernicji, zanim jeszcze urodziły się ona i jej siostra. Rozpoznawała ludzi, którzy mogli przybywać z tego dawno utraconego domu, kiedy przyjeżdżali galopem na ochwaconych koniach albo w bezksiężycową noc prześlizgiwali się przez ogrodzenie. Poznawała ich po grubo tkanych płaszczach, długich włosach i brodach, i po ich angielskich głosach: słowach dudniących jak jabłka rozsypywane na drewnianych deskach, okrągłych, dźwięcznych, poruszających. Podobnych do słów jej ojca, matki i siostry. Całkowicie odmiennych od szybkiego jak wydra brytyjskiego Onneny albo ciemnego, gładkiego lśnienia irlandzkiego. Hilda rozmawiała z każdym w jego języku. Jabłka do jabłek, wydra do wydry, lśnienie do lśnienia, chociaż tylko pod nieobecność matki. Nigdy nie zniżaj się do mowy wealh, mówiła matka, nawet do brytyjskiego, nawet z Onneną. Nigdy nie ufaj wealh, a zwłaszcza tym wygolonym kapłańskim szpiegom.

Z obory dochodziło falujące rżenie i parskanie zaznajamiających się ze sobą koni. Przynajmniej dwa nowe głosy. Hilda mocniej ścisnęła dłoń Onneny, a ta lekko potrząsnęła dziewczynką: „Zamknięta buzia, bystry umysł!”.

Jeźdźcy, dwóch mężczyzn, znajdowali się razem z królem Ceredigiem i panią Breguswithą w halli. Pomieszczenie, jak wszystkie brytyjskie siedziby, było zadymione i duszne — torf w wielkim centralnym zagłębionym palenisku palił się wysokim płomieniem, chociaż na dworze nie było jeszcze zimno. Mężczyźni wciąż wyraźnie pachnieli podróżą i końmi, a ich kolorowe kraciaste płaszcze były bardzo ubłocone na krawędziach i siedzeniach. Breguswitha wpatrywała się w zamyśleniu w ogień, trzymając kądziel pod lewą pachą, a prawą ręką tocząc po udzie wrzeciono z delikatną nicią, ale Hilda wiedziała, że chociaż palce jej matki są bardzo zajęte wysnuwaniem przędzy i sprawdzaniem jej napięcia, całą uwagę skupia na królu Ceredigu, który śmiał się, pochylał na stołku i błyskał w blasku ognia grubym torkwesem na szyi.

Onnena wypchnęła Hildę do przodu. Goście, obaj drobnej budowy, ze wspaniałymi wąsami i sprawiający wrażenie braci, odwrócili się.

— Ach — odezwał się po brytyjsku ten wyższy. Był to dziwny brytyjski, z zachodu.

— Masz włosy ojca.

Jej matka nazywała ten kolor kasztanowym Yffingów. „A na zewnątrz też jest cała kolczasta jak kasztan” — mówiła Onnena. „Albo jeż” — dodawała matka i obie wybuchały śmiechem. Teraz śmiał się tylko Ceredig, śmiechem mówiącym „śmieję się, ponieważ jestem królem”, śmiechem zarezerwowanym dla ważnych gości, mającym pokazać, że czuje się we własnej halli swobodnie. „Wszystko, co robi król, to kłamstwo” — powiedziała Onnena.

A potem obcy spojrział za Hildę.

— A to kto?

Hilda się odwróciła, żeby spojrzeć za siebie. W krąg blasku płomieni wszedł za nią Cian gotów odciągnąć ją do tyłu, jak zrobił to wtedy na wiosnę, kiedy zaatakował ją baran, bo podeszła za blisko.

— Nikt — odparła w języku Anglów jej matka. — Chłopiec mojej kobiety.

I kiedy się odwracała — z tym swoim długim, obojętnym wdziękiem, który przyciągał spojrzenia mężczyzn, spojrzenia obcych — Onnena objęła Ciana ramieniem i pociągnęła go delikatnie w półmrok. Lecz ten gość był bystrzejszy od większości innych gości.

— Zaczekaj — powiedział. — Ty. — Zagiął palec i Onnena wraz z Cianem wrócili do kręgu światła. — Twoje imię?

— Onnena, panie.

— A to twój syn?

— Tak, panie.

— A ty, Onneno, urodziłaś się tutaj?

— W rzeczy samej, panie. Dwadzieścia sześć lat temu. — Wyprostowała się z odrobiną dumy. — Jestem kuzynką króla Cerediga.

— W tym mrocznym lesie wszyscy jesteście kuzynami — odezwał się drugi obcy, ale już się odwracał i gestem nakazywał pierwszemu, by zrobił to samo.

Hilda zrozumiała, że chociaż matka i Onnena zawsze mówiły prawdę, gościom podsunęto podstawowe kłamstwo.

„Zamknięta buzia, bystry umysł”.

— Edwin Wężobrody przybędzie pomścić śmierć Hererica Yffinga — mówił obcy do Cerediga.

— Oczywiście. Przybędzie z południa z wojenną drużyną Rædwalda, żeby zgłosić pretensje do Deiry i oskarżyć mnie o śmierć rywalizującego z nim krewniaka. Pretekst, którego szukał. Albo który stworzył.

Onnena starała się odciągnąć Hildę, ale dziewczynka zaparła się w podłogę.

— ...ta halla spłonie, to czy znajdzie się u króla Gwyneddu miejsce dla mnie? — ciągnął Ceredig.

Obcy wzruszył ramionami: może tak, może nie.

— No tak. A zatem będę walczył. Tak, jak muszę. I stworzę dla Cadfana z Gwyneddu pretekst, by z kolei on mógł zaatakować ogniem i mieczem Anglów na północy. Lecz powiedz, Marro, królowi Cadfanowi, a także młodemu Cadwallonowi, że pewnego dnia będzie musiał stawić czoło temu wężowi, temu zabójcy króla, na otwartej

przestrzeni. Powiedz mu to.

— Powiem — odparł Marro.

„Gwynedd — pomyślała Hilda — Marro. Cadwallon”.

Matka patrzyła na nią.

— Hildo, idź z Onneną do swojej siostry. Uspokój w moim zastępstwie Hereswithę.

Umysł Hildy zamknął się bez śladu nad tymi imionami, jakby nigdy nie istniały.

Hereswitha miała osiem lat. Tak jak jej matka, miała włosy koloru lipowego miodu i podobną okrągłą, ładną twarz — zazwyczaj. Tego wieczoru, kiedy Onnena odsunęła haftowaną zasłonę, Hereswitha rzuciła się na nią, szlochając i bełkocząc w mieszaninie angielskiego i brytyjskiego: Co teraz będzie? Dokąd pójda? Czy ojca bolało, kiedy umierał? Czy będą głodować? Gdzie jest matka?

Na widok płaczącej Hereswithy Hildę zaczęło łaskotać głęboko w piersi, potem pocięło jej z nosa, i w końcu dziewczynka wybuchnęła płaczem. Onnena tymczasem zdjęła z niej cyrtel i ułożyła ją obok Hereswithy na materacu z końskiego włosia i liści woskownicy, obiecała dziewczynkom ciepłe mleko i pogłaskała Hildę po kasztanowych włosach. Włosach jej nieżyjącego taty.

Hilda nie dopuszczała do siebie tej myśli, wyobrażała sobie, że słyszy tylko wiatr wśród wiązów wiejący tam, gdzie chce, miękki szmer w blasku księżyca.

Obudziła się, słysząc obok siebie powolny, spokojny oddech Hereswithy, a nad sobą mruczenie matki. Nie otwierała mocno zaciśniętych powiek.

— ...nie możemy uciec do Frankonii, bo zbliża się pora sztormów.

— Mogliby nas przyjąć Hwicccianie — rzekła Onnena. — Przyjęli Osrica. A on jest æthelingiem.

— Tylko kuzynem. A wkrótce pojedzie do Deiry, żeby pokazać Edwinowi Uzurpatorowi brzuch i ucałować jego pierścień.

— Jak cała wyspa.

— Jak cała wyspa. — Breguswitha z lekkim trzaskiem zsunęła z wrzeczona ciężarek do delikatnej przędzy i położyła go na wykładanej kością słoniową szkatułce, w której przechowywała swoje skarby. — Ach, Onneno, Onneno. Miał być królem, a nie zostać otruty jak pies.

Hilda wiedziała, że teraz rozmawiają o jej ojcu.

— Jesteśmy same na tym świecie — oznajmiła Onnena.

Matka rozwiązała swoją przepaskę z cichym pobrzękiwaniem i powiesiła ją starannie na haku wbitym w tym celu w jeden ze słupów ściany. Hilda wyobraziła sobie kolejno wiszące przedmioty: nóż w tkanej pochwie, wróżebny kryształ, pudełko na igły, pudełko na hubkę i krzesiwo, sakiewkę z kredą, nicią i zapasową szpilką do włosów...

Obudziła się ponownie, kiedy matka powiedziała głosem jak ze stali:

— Udamy się do Edwina. Wygrał.

Hilda poczuła na włosach delikatny dotyk, ale zmusiła się do leżenia w bezruchu i powtarzania oddechu Hereswithy: wdech, wydech, wdech, wydech. Matka pachniała dymem i piwem wrzosowym.

— Jego bratanice będą cenne dla niego jako króla.

— Twój sen?

— Mój sen.

— Jest taka mała...

— Pochodzi z rodu Yffingów. Tak musi być. Będzie gotowa. Obie będą gotowe.

Na różne sposoby.

A potem dotyk ręki na jej włosach ustał i Hilda usłyszała delikatny szmer rozpuszczanych włosów, ciche odgłosy dwóch kobiet poruszających się po pomieszczeniu i westchnienie zdmuchniętej świecy z knotem z sitowia.

Hereswitha przysunęła się bliżej Hildy i szepnęła jej wściekle do ucha:

— Ten głupi sen, światło świata! Ha! Wtedy jeszcze myślała, że możesz się okazać chłopcem!

Czekając następnego dnia na przybycie tego wuja uzurpatora, tego Edwina, Hilda nie mogła nic jeść. Nikt jednak nie przyjechał; dzień okazał się jak każdy inny oprócz dwóch wydarzeń. Po pierwsze, kiedy nadszedł czas mycia, a potem płukania włosów wszystkich trojga dzieci, Onnena dodała do wody dla Ciana galasówkę.

— Moje płuczesz octem — powiedziała Hilda, popatrując na ceber z czarną wodą.

Mówiła głównie po to, żeby odwrócić swoją uwagę od doświadczanej udręki. Nie znosiła mycia i płukania włosów. Choćby nie wiadomo jak się starała, po szyi zawsze ciekła jej woda. I choćby nie wiadomo jak ciepła była na początku, to kiedy dostawała się między jej łopatki, była już zimna.

— I moje — dodała Hereswitha. — Mówiłaś, że dla zapachu i połysku. Dlaczego nie mogę też dostać galasówki?

— Bo od niej pociemniałyby twoje ładne miodowe włosy.

— Tatuś nazywał mnie złotkiem. A Hildę nie. Ona nie ma miodowych włosów.

— Blask włosom twoim i Hildy nadaje coś innego niż włosom Ciana. Jego włosy są inne.

Wcale nie, pomyślała Hilda, wcale nie. Włosy jej i Ciana miały nawet taki sam kolor. Albo miały go przed zastosowaniem galasówki.

A kiedy trzęśli się jak mokre szczury, przyszedł służący króla, Inis.

— Jesteś potrzebna — rzekł do Onneny. — Ty i chłopak.

Onnena zabrała ze sobą całą trójkę, bo przemoczone niezadowolone dzieci pozostawione same sobie mają skłonność do wywoływania kłótni.

Ogień na palenisku pośrodku halli płonął jasno, a król Ceredig miał na sobie swój uroczysty płaszcz z wilczych skór i wspaniały torkwes, chociaż w pomieszczeniu znajdowało się tylko dwóch służących, którzy stali pod ścianą.

Onnena i trójka dzieci zatrzymali się w odrzwiach.

— Wejdźcie — odezwał się król.

Onnena zagarnęła jedną ręką Ciana, drugą Hereswitę i ruszyła do przodu. Hilda szła obok Ciana z dłonią za jego paskiem, jak ją nauczono. Denerwowała się, bo denerwowała się Onnena, ale była też ciekawa.

— A więc, kuzynko, dobrze się przez te lata opiekowałaś tymi dziećmi. Ale chłopiec potrzebuje ojca.

— Nie znam jego ojca. Wtedy byłam ładniejsza i nie miałam ochoty wszystkiego

pilnować. Jak sam wiesz, kuzynie.

Uśmiechnął się i na chwilę odwrócił, pochylił i podniósł coś spod swojej ławy. Hilda nie widziała, co to takiego, ale Cian najwyraźniej dostrzegł i wilgotna tunika rozciągnięta między jego łopatkami zadrżała w rytm mocnych uderzeń serca.

Król wyciągnął w jego stronę niewielki dębowy miecz z pięknie rzeźbioną i pomalowaną rękojeścią oraz małą tarczę z wikliny.

— No, podejdź, chłopcze.

Onnena go puściła, tak jak Hilda, która pomyślała, że Cian zaraz padnie na miejscu, lecz po chwili udało mu się podejść do króla.

— Masz jeszcze rok do nauki walki bronią, ale kto wie, gdzie będziemy za rok. Chłopiec potrzebuje miecza, a ty nie masz ojca, który by ci go dał. Wyciągnij lewą rękę. — Król nasunął rzemienie nowej tarczy (Hilda czuła trzymający się jeszcze skóry odór garbowania) na rękę chłopca. — Chwyć... Ach, widzę, że już wiesz, co i jak. — Ręka Ciana zeszywniała od siły, z jaką zacisnął dłoń na uchwycie za umbem małej tarczy. — A teraz drugą. — Król włożył w prawą dłoń chłopca rękojeść miecza, a potem uśmiechnął się i powiedział, patrząc na Onnenę: — Nie zrań swoich... Nie wyłup oczu tym dziewczynkom, bo twoja matka obedrze mnie ze skóry.

Wtedy odwrócił się, a Hilda ze zdumieniem uświadomiła sobie, że zrobił to dlatego, że Onnena płacze.

— Chodźcie — powiedziała w końcu głosem, który Hilda ledwie poznała. — Chodźcie. Szybko, szybko. Król poświęcił dość czasu trojgu dzieci z mokrymi głowami. Przyciągnęła je do siebie i wszyscy razem wyszli z halli.

Kiedy mijali w milczeniu spichlerz, Cian nagle się zatrzymał, uderzył mieczem w tarczę i krzyknął:

— Mam miecz!

— Masz tarczę — rzekła Onnena. — Dokądkolwiek pójdziesz.

Miecz otrzymany od króla: tarcza i ścieżka.

Nadciągała jesień, spadały liście, płomienie się chwiały, a w halli pieśni zaczęły opowiadać o wojnie. Hereswitha mówiła tylko po angielsku, a Breguswitha — kiedy nie uczyła Hildy, że jedna sójka oznacza pecha, a dwie nie podwójnego pecha, tylko coś wręcz przeciwnego — przesiadywała u boku Burgræda, swojego głównego gesitha, i mówiła coś przekonująco, mówiła, wciąż mówiła. Większość ich pozostałych gesithów już spała i piła z ludźmi Cerediga.

— Twój pan umarł, a wraz z nim twoja przysięga — powiedziała Breguswitha do Burgræda pewnego ciemnego popołudnia, kiedy Hilda na w pół drzemała przy biodrze Onnenny, ukołysana monotonnym odgłosem skręcania przedzy. — Zostawił tylko dziewczynki, żadnych æthelingów, o których honor możesz walczyć. I może teraz stosownie wydaje ci się zaprzysiężenie miecza i honoru Ceredigowi. Jest królem. Lecz choćby w tej chwili, kiedy płonie ten torf, Edwin odzyskuje Deirę. Zanim nadejdą mrozy, poczuje się bezpiecznie i zwróci się ku Elmetowi. Zmiażdży go. Ceredig mu się nie oprze tak samo, jak liść nie może się oprzeć zimie. — Odchyliła się do tyłu, przedstawiając dzięki swoim gładkim miodowym włosom, pięknie układającej się sukni i złotu połyskującemu na szyi i nadgarstkach obraz swobody i angielskiego bogactwa. —

Niewątpliwie wiele osób poniesie tam chwalebłą śmierć. — Obejrzała się na jego nastoletniego syna, który grał w kości z ludźmi Cerediga. — Chociaż nie Ceredig.

Burgræd, krępy mężczyzna z siwymi pasmami po obu stronach ust i jedną kością policzkową wyższą od drugiej, w milczeniu powiódł stwardniałym palcem po brzegu swojego pucharu.

— Chcesz za niego umrzeć, bo chcesz dotrzymać swojej przysięgi. Jesteś Anglem. Ale czy on chciałby umrzeć za ciebie? Ile jest warta przysięga wealh?

Wzięła jego puchar i nalała mu piwa, a podnosząc swój własny, rozejrzała się po halli. Hilda mocno zacisnęła powieki. Nawet w wieku trzech lat rozumiała niebezpieczeństwo, wynikające z podsłuchania sugestii, że król we własnej halli jest wiarołomcą: nigdy nie wypowiadaj głośno tego, co jest niebezpieczne.

Napili się piwa. Służący dołożył torfu do ognia, a kiedy odszedł, matka powiedziała jeszcze ciszej:

— Bądź tego pewien. Opuścimy ten las, zanim król Edwin spadnie na Cerediga. Udamy się do niego, do Deiry. Z biegiem czasu moje córki zaskarbią sobie łaski Edwina. Mógłbyś piąć się z nami. I nie byłbyś związany przysięgą gesitha. Mógłbyś ją w każdej chwili odwołać.

Kiedy Burgræd wyszedł, matka pochyliła się i wyszeptała:

— Zamknięta buzia, bystry umysł, mała zadziorko.

Przez jakiś czas wydawało się, że nic się nie zmieni. Cian nigdzie się nie ruszał bez swojego drewnianego miecza i wiklinowej tarczy, zrobił się też męczący, bo co chwila rzucał wyzwanie złośliwym gałęziom albo bez ostrzeżenia atakował rządę grzybów rosnących na rachitycznej brzozie. Przez to Hilda miała mniej spokoju, kiedy spędzała czas na skraju. Jak mogła leżeć nieruchomo, słuchać i obserwować, kiedy na wrzask Ciana gawrony podrywały się z krakaniem w powietrze albo jeleni uskakiwał w podszycie lasu? Jak mogła przyglądać się staremu lisowi, który siedział o poranku w mdłym słonecznym blasku i wylizywał sobie pierś, skoro zrywał się do biegu, bo Cian tarzał się w liściach, walcząc z niewidzialnym wrogiem?

Pomagała Onnenie zbierać jajka i była z siebie dumna, że nie rozbiła ani jednego, próbowała też wraz ze wszystkimi pomagać przy zbiorze orzechów laskowych, chociaż szybko męczyła się chodzeniem, więc trzeba było ją nieść. Siedziała z Hereswithą i słuchała objaśnień matki na temat skręcania przędzy zgodnie z ruchem słońca i przeciwnie do niego oraz tego, jak można zrobić tkaninę o wzorze wynikającym ze skrzyżowania przędzy. W mrocznej halli słuchała chłodnego szczęku łaciny biskupa wealh oraz starego Ywaina, który grał na harfie, jeśli dobrze się czuł. Podobało jej się brzmienie głosu starca, kiedy go rozgrzewał, a potem stukot odkładanej broni, uderzenia ciężkich rękojeści o deski i brązowo-złocisty dźwięk strun. Hereswitha mówiła, że w domu wszyscy Anglowie kolejno brali do ręki lirę, ale Hilda wiedziała, że to niemądre. Czy wojownicy ze swoimi popękkanymi głosami mogli śpiewać jak Ywain? Poza tym ich prawdziwy dom został najechnany przez oddział Etelfryda Idinga jeszcze przed narodzeniem Hereswithy, a teraz Idingów wypierał Edwin.

I wtedy Hilda przypominała sobie, że jej ojciec nie żyje i że teraz nigdy już nie będzie miała domu; nuciła razem z Ywainem melodię bohaterskiej pieśni i próbowała

sprawić, by jej mostek wibrował tak samo, jak na pewno wibrował Ywainowi, kiedy śpiewał: *Calan hyddrev, tymp dydd yn edwi / Cynhwrv yn ebyr, llyr yn llenwii*: Początek października, schyłek dnia / Wrzawa u ujścia rzeki, wypełniająca brzeg. Wrzawa u ujścia rzeki, śpiewała do siebie, wrzawa u ujścia rzeki.

Przy następnym nowiu, kiedy świstał wiatr, powstała wrzawa w ciemności: wrzawa, kiedy ktoś owinął Hildę płaszczem i ją poniósł, wrzawa, kiedy Cian i Hereswitha, Onnena i Breguswitha, gesithowie — tak nieliczni! — i ich niewolnicy wsiadali do łodzi. Wrzawa w dzień, kiedy przedzierali się na północ w zacinającym deszczu, a morze ryczało jak wiązy jesienią. A potem wrzawa u ujścia szerokiej, szerokiej rzeki i w porcie leżącym daleko w górę jej biegu.

Pochodnie syczały, ich płomienie chwiały się, a Hilda niemal spała, kiedy zniesiono ją po trapie, ale i tak dostrzegła bogatą uprzęż koni i lśnienie wysadzanych klejnotami rękojeści oraz broszy spinających płaszcze u szyi. Obudziła się całkowicie, kiedy rozległ się głos jak jabłko, tak mocny i okrągły, że prawie pachnący:

— Pani Breguswitho, król Edwin wita cię w domu.

1 Objaśnienia staroangielskich słów oraz innych terminów można znaleźć w słowniczku na końcu książki (przyp. tłum.).

Rozdział 2



Pod pewnymi względami nowe życie Hildy nie różniło się tak bardzo od poprzedniego. Jej dni, dni spędzane na dworze, były dniami stałego przemieszczania się od królewskiego vill do królewskiego vill: Bebbanburga w chudych miesiącach dla bezpieczeństwa zapewnianego przez skalne ściany i zimne szare morze oraz Yeavingingu pod koniec wiosny, kiedy bydło jadło słodką świeżą trawę, a mleko żółciło się od tłuszczu. Następnie na południe do muru starego cesarza, do osad zbudowanych z kamienia, potem dzień w wielkim domu Osrica w Tinamutha, łodzią wzdłuż wybrzeża do szerokiego ujścia tej rzeki, szerokiego jak morze, wczesnym latem w górę rzeki do Brough, a czasami do Sancton i zawsze w środku lata do doliny powolnej rzeki, gdzie leży Goodmanham i gdzie położone na wzgórzach lasy są szkarłatne od kwiatów, kósunki ciężkie od miodu, a pola falują zbożem. Następnie dwadzieścia jeden mil do Yorku z jego mocnymi murami, rzeczonymi drogami do przewożenia ostatnich słodkich jabłek oraz pierwszych gruszek i z wysokimi wieżami na wypadek zacieklej wojny, zimowej wojny.

Król i jego dwór spędzali miesiąc tu, dwa miesiące tam, przejadając miejscowe dary, nakładając i ściągając daniny, wysłuchując miejscowych skarg i wydając wyroki.

— Ale dlaczego? — zapytała Hilda, kiedy musieli się spakować i znowu opuścić Sancton, a ona właśnie poznała gawrony w bukowym zagajniku, żaby przy południowym stawie i jeden szczególnie piękny, stary grab, na którego wygięte gałęzie mogła się wspinać nawet ona. Patrzyła, jak matka i Onnena składają suknie i zwijają nogawice, i rzuciła na podłogę swoje pudełko ze skarbami. — Nie chcę!

Tęczówki jej matki, bladoniebieskie jak niezapominajki zwarzone niewczesnym mrozem, zwięzły się, lecz jej głos pozostał spokojny.

— Spakujesz to.

— Nie.

— Dobrze. Zostawimy cię więc...

— Jestem światłem świata!

— ...a kiedy odjedziemy, przyjdą wilki, lisy i duchy.

Hilda nie bała się lisów, może nawet nie bała się wilków, nie w lecie, kiedy były dobrze odżywione. Ale duchów...

Matka kiwała głową.

— Chuchną ci na twarz, kiedy będziesz spała, i na zawsze zostaniesz uwięziona w zimnym śnie.

Hilda podniosła pudełko i zaczęła szukać swoich skarbów — drewnianej broszki, którą wyrzeźbił i pomalował dla niej Cian, zęba rekina, który dała jej Hereswitha w ostatnie Gody, magicznego kamyka, który doskonale leżał w jej dłoni. Zmarszczyła brwi. Kamyk wydawał się mniejszy niż zazwyczaj.

— Ale dlaczego? — zapytała.

— Co dlaczego?

— Dlaczego ciągle się przeprowadzamy?

— Bo tak już jest.

— Ale dlaczego?

— Bo inaczej zjedlibyśmy wszystko i nie mielibyśmy gdzie mieszkać.

Hilda zastanowiła się nad tym.

— Kiedy tata był æthelingiem, nie wysyłaliśmy najpierw tych wszystkich posłańców.

— Ætheling jest jednym z wielu ludzi, który może zostać królem — odparła Breguswitha. — Twój wuj jest jedynym królem. Podróżuje z pięciuset ludźmi. Król nie może tak po prostu spakować bochenka chleba i worka soli i ruszyć ku horyzontowi. Najpierw musi wysłać do swoich zarządców wiadomość: Jakie były żniwa? Jakie są drogi i zapasy drewna? Gdzie płynie miód, gdzie są potrzebne królewskie kobiety do tkania, skąd trzeba odpędzić bandytów i gdzie są dobre tereny łowieckie? Potem musi zebrać żywność i inne zapasy na drogę. I wtedy wyrusza konno jego posłaniec, żeby kazać zarządcy vill zacząć warzyć piwo, zabijać bydło, rozścielać sitowie. Dopiero wtedy my możemy wyruszyć w podróż.

— A kiedy dotrzemy na miejsce — powiedziała Onnena — zjemy wszystko i pojedziemy dalej.

Hilda odłożyła kamyk na bok. To był tylko kamyk.

— Ale dlaczego nie możemy zostać? Dlaczego wuj Edwin nie może mieć domu jak wszyscy inni?

— Jego domem jest cały kraj.

— Tak, ale dlaczego?

— Musi być widziany.

— Tak, ale...

— I nie może tak po prostu kazać zarządcy każdej posiadłości, żeby wysyłał mu daninę. Bo jeżeli nie przypomina się zarządcy o obecności króla, to może on zacząć się uważać za tana. Zaczyna widzieć kraj jako należący do niego, zastanawiać się, dlaczego nie mógłby posyłać królowi tylko części swojej żywności, piwa, miodu. Bunt zawsze zaczyna się od tego, że zarządca chce być królem. Tego Frankowie jakoś nie mogą się nauczyć.

Lecz Hilda już nie słuchała. Bawiła się swoją sosnową szyszką, wspominając puchatą rudą wiewiórkę, którą spłoszyła tego dnia, kiedy znalazła szyszkę.

Każdego lata Edwin wybierał się na wojnę wraz ze swoim zbrojnym oddziałem liczącym dwustu gesithów, zaprzysiężonych zginąć lub zdobyć chwałę, oraz z ich służącymi, końmi i wozami, a także garstką wspólnych kobiet. Wracali zawsze przed nastaniem jesieni, obładowani, zależnie od wojny, angielskimi bransoletami noszonymi nad łokciem i wielkimi krzykliwymi broszami, brytyjskimi sztyletami o grawerowanych srebrnych rękojeściach — chociaż ich klingi nie dorównywały wyrobom angielskim czy frankijskim — lub dziwnymi ciężkimi monetami. Wracali z ustami pełnymi przechwałek i opleceni pasami do mieczy o zawitych zdobieniach. I zawsze pod koniec lata było

o kilku lśniących od złota mężów o donośnych głosach i twardych torsach więcej. Nie wszyscy byli Anglami, lecz pili, krzyczeli i przechwalali się tak samo. Matka Hildy kazała jej nie wchodzić im w drogę.

— Nasz czas jeszcze nie nadszedł. Na razie żyjemy jak myszy w oborze. Wszyscy wiedzą, że tu jesteś, ale nie jesteśmy warte uwagi. Zamknięta buzia, bystry umysł.

Breguswitha uczyła ją zbierania i suszenia ziół, a Hereswithę zaczęła niepostrzeżenie zabierać na jakieś tajemnicze lekcje, lecz kiedy ta usiłowała dzielić się zdobytą wiedzą z Hildą, nie miało to żadnego sensu.

Siedziały i tkwały za pomocą tabliczek zwykły pasek materiału na wykończenie przy szyi albo mankiecie. Hilda opowiadała siostrze, jak to jaskółki przylatują dopiero wtedy, kiedy motyli z czarno-czerwonymi skrzydłami jak wysadzanymi klejnotami robi się więcej niż kapustników.

— Przybij wątek — powiedziała Hereswitha.

— Ale ja go przybiłam zaraz, jak obróciłam — odparła Hilda. — To zepsuje wzór.

— Rób, co mówię. Jestem starsza.

Tak więc Hilda przybiła nici wątku, by ułożyły się gęściej w poprzek osnowy, ponieważ Hereswitha zrobiła chmurną minę, którą przybierała, gdy była niezadowolona, po czym uśmiechnęła się niepewnie do siostry.

— Mama mówi, że istnieją różne sposoby uśmiechania się do ludzi — powiedziała Hereswitha.

— Jak...

— Kiedy król mnie zauważa, robię tak — Hereswitha przerwała Hildzie. Wyprostowała się i uśmiechnęła dumnym, pełnym zadowolenia uśmiechem, który wstrząsnął małą. — Spróbuj.

Hilda pokręciła głową.

— Spróbuj.

— Nie. Nie jestem zadowolona.

Hereswitha roześmiała się.

— To nie ma znaczenia! No cóż, nieważne, chyba jesteś za mała, żeby to zrozumieć.

Przekręciła tabliczkę.

Hilda przybiła wątek. Wzór był już popsuty. Równie dobrze mogła sprawić siostrze przyjemność.

Hereswitha skinęła głową.

— Dobrze. I jeszcze jedno: jeżeli czujesz, że się uśmiechniesz, słysząc przechwałki jakiegoś gesitha, musisz tak pochylić twarz, żeby opadły ci włosy i ją zakryły. O, tak.

— To wiem! — Hilda dokładnie pamiętała słowa matki; światło świata musi pamiętać wszystko. Powtórzyła je z dumą: — Mężczyźni się boją, że kobiety ich wyśmieją. Kobiety się boją, że mężczyźni je zabijają.

Hereswitha zamrugała i wykrzywiła się. Pochyliła się do przodu, uderzyła Hildę w ramię i wybuchnęła płaczem.

— Nienawidzę cię!

Cisnęła robótkę na ziemię i uciekła.

Hilda podniosła tkaninę w zadumie. O co chodziło? Zapyta matkę. A może nie. Ostatnio, kiedy pytała o coś Breguswithę, otrzymywała odpowiedzi, które nie miały żadnego sensu — jeśli w ogóle jakieś otrzymywała. Pytanie o to, gdzie się podziewają jaskółki w zimie, wywołało tylko przerwę w ucieraniu ziół i pytanie:

— Zima to niepewny czas. Dlaczego król podczas Godów wyprawia uczyty?

— Żeby sprawić ludziom przyjemność?

— Króla nie obchodzi, czy ludzie są zadowoleni. Zależy mu na tym, żeby uważali go za silnego. Podaj mi goryczuszkę.

Hilda podała matce roślinę. Myślała o zimie, domu i sile we własnej halli.

— Aha, silniejszego od wszystkich innych. Jak bez zarządcy, który przebywa w vill — powiedziała.

Wyszło nie tak, jak chciała, ale wiedziała, co ma na myśli.

Tak jak matka; ona zawsze знаła słowa, których nie umiała znaleźć Hilda. Uśmiechnęła się, lecz powiedziała tylko:

— Ten korzeń został wyrwany za wcześnie. Goryczuszkę najlepiej zbierać jesienią.

Hilda rosła. Chwiały się jej mleczone zęby. Teraz umiała już skrzyżować nogi i opierać się na rękach, i wyliczyć z imienia wszystkie psy króla i jego konie. Utknęła pierwszy idealny wzór tabliczkowy i zapamiętała dość imion bohaterów Gododdinu, żeby sprzeczać się z Cianem, kiedy ich wymieniał, powalając ich swoim drewnianym mieczem. Czasami ćwiczyła razem z nim z kamieniem w każdej dłoni, jak muszą to robić chłopcy, którzy mają nadzieję zostać królewskimi gesithami. Czasami wymachiwała mieczem z patyka; dawno temu nauczyła się, że udając Branwenę Zuchwałą, sprawia Cianowi wielką przyjemność, tak jak on sprawiał przyjemność jej, siedząc cicho, kiedy ona obserwowała i słuchała. Pamiętali: „Jesteśmy nami”.

Teraz jednak umiała się wspinać na drzewa i czasami gdy Cian chciał się bawić w bohatera, a ona nie, biegła do drzewa — wszędzie miała swoje ulubione — wchodziła na nie i chowała się wśród liści, nie reagując na wołanie przyjaciela. Także kiedy Onnena chciała myć jej włosy w paskudną pogodę, wspinała się pod płatew i pochyłe krokwie. Nikt nigdy nie patrzył w górę, nawet matka. To była jej tajemnica. Ale najbardziej lubiła drzewa. Ukryta w listowiu czasami tkwiła w takim bezruchu, że nawet ptaki zapomniały o jej obecności.

Tak jak dzisiaj, dnia gorącego jak na późną wiosnę, słonecznego, lecz ponurego. Później spadnie deszcz. Na razie w liściastej kryjówce, jaką stanowił ogłowiony jesion drzemiący przy ścieżce drwali, było chłodniej. Hilda usadowiła się wygodnie, oparta plecami o splekaną korę, i patrzyła, jak puchate pierwiosnki zeskakują ze swojego na wpół zbudowanego gniazdka wśród pokrzyw i szukają w liściach na ziemi czegoś miękkiego na wyściółkę.

Tak spokojnie siedziała, oddychając chłodnym powietrzem o zapachu liści, że na gałęzi przy jej twarzy wylądował krogulec skupiony na pierwiosnkach poniżej i popatrzył na nią oczkami koloru nagietka. Przypatrywali się sobie nawzajem całą wieczność. Krogulec mrugnął raz i drugi, a potem zeskoczył z gałęzi, machnął skrzydłami i zniknął wśród drzew po drugiej stronie ścieżki.

Dwór opuścił Sancton, zanim pierwiosnki wykluły się z jajek. Hilda miała nadzieję,

że krogulec ich nie upoluje.

Letnia wojna skończyła się wcześniej, a dwór przebywał w Goodmanham. Hilda miała sześć lat — była wysoka i nabrała zdecydowanych rysów twarzy („Same kości — powiedziała matka — jak u twojego ojca”). Pewnego gorącego dnia matka zabrała dokądś Hereswithę; kiedy wróciły, Hereswitha miała przepaskę z rozmaitymi puzderkami i szkatułkami. Pokazała je Hildzie po jednym. Miała dostać od królowej Cwenburh własną przybijaczkę, tępy miecz po jakimś od dawna nieżyjącym ðethelingu. Miała pomagać innym kobietom w chacie tkackiej. I czy ta pozłacana igła nie jest wzorem piękna? Jej gemæcce miała zostać kuzynka samej królowej: ktoś, z kim miała już na zawsze razem tkąć i łkać.

Hereswitha wyglądała na szczęśliwą, więc Hilda cieszyła się razem z nią — przynajmniej jej siostra miała coś własnego, coś, co mogła porównać z sobą wyśnioną przez matkę podczas ciąży. Potem Hilda ucieszyła się jeszcze bardziej, bo uświadomiła sobie, że wszystkie kobiety, łącznie z matką i Onneną, tak będą zajęte Hereswithą, że jej i Cianowi może się udać wymknąć do podnóża świętego wzgórza leżącego na południe od vill.

Płaski, nisko położony teren był w przeciwieństwie do większości kredowych wzgórz zaciemniony i wilgotny. Hilda szła przodem przez stary szeroki rów odwadniający, teraz zarośnięty dębami, ostrokrzewami i kolczastymi dzikimi jabłonkami, a potem przez nasyp w większości ukryty pod paprociami — mimo grożącego niebezpieczeństwa grasujących wojsk Cian musiał wepchnąć swój drewniany miecz za pas i pomagać sobie we wspinaczce rękami — do grząskiego zagłębienia z nieruchomym stawem i omszałym głazem u jego płytkiego końca, gdzie słońce wydobywało z mroku błotniste dno. Słyszała tylko dalekie gwizdanie kosa i szemranie źródła. Ciekawiło ją, skąd się bierze ta woda. Zastanawiała się nad tym po brytyjsku, w języku dzikich i tajemnych miejsc.

— Nie podoba mi się tu — odezwał się Cian, też po brytyjsku, bo tak woleli mówić, kiedy byli sami. — Pachnie tu leśnymi ðelfami i nie ma miejsca, żeby się zamachnąć mieczem. — Natychmiast zadał swoim słowom kłam, wyciągając miecz z za pasa i atakując niewidzialnego przeciwnika. Hildzie przyszło do głowy, że teraz i Hereswitha, i Cian mają swoją ścieżkę. Ona miała tylko sen matki. — Zrobię ci miecz — powiedział Cian — i będziemy dalej walczyć w okopie.

Wskazał na przewróconą olchę, która, jak podpowiadało Hildzie doświadczenie w tych sprawach, stanowiła w jego wyobraźni krawędź okopu.

Nie westchnęła, chociaż nie lubiła bawić się w walki w okopach. Oznaczały one podpalanie zarośli kolcolistu, co łączyło się z licznymi przerwami, kiedy to Cian wymachiwał wyimaginowanymi płonącymi gałęziami i badał wyimaginowany wiatr.

— Lepiej zrób mi włócznię, to będziesz mógł być bohaterem Moreiem, a ja będę tym wielkim niezdara na górze, który cię dźga i zaraz zamienia się w pokarm dla kruków.

W ten sposób mogła zostać nad wodą i podczas wymachiwania gałęziami oraz badania wiatru mogła się przyglądać stawowi i tym wszystkim żyjątkom, które zbliżały się do brzegu. Poza tym, żeby zdobyć długą, mocną gałąź, Cian musiał się cofnąć aż do dębów.

Kiedy odszedł, Hilda usiadła, oparła się plecami o gałąz i zamknęła oczy. Gdyby to była noc, poczułaby woń woskownicy. W nocy na pniu przewróconego drzewa siedziałyby myszarki i w blasku księżyca wycierałyby sobie wąsy z rosy. W nocy może dostrzegłaby wodne duszki, które na pewno tu mieszkały. A tymczasem poruszała językiem przedni ząb, który ledwo się trzymał.

Cian wkrótce przyniósł jej włócznię: znaną na ziemi gałąz jesionu, grubszą od jej ręki w nadgarstku i mocno zakrzywioną. Cian uśmiechnął się szeroko i powiedział:

— Och, zabiję dwudziestkę waszych włóczników! Zamknij oczy! — I odskoczył.

Hilda odśpiewała trzy uzgodnione linijki: „Uwieńczony wieńcem wódz... uwieńczony wieńcem przywódca... uwieńczony wieńcem lśniący wojownik”, a potem rozchyliła paproć rosnącą na olsze i popatrzyła w dół. Cisza. Spokój.

Po omszałej korze pełzła powoli gąsienica w kremowe paski. Hilda wzięła ją do ręki i rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby ją bezpiecznie umieścić z dala od nadchodzącej bitwy.

W końcu wybrała czeremchę rosnącą przy skalistym krańcu stawu. Była stara jak na czeremchę i miała ten dziwny, sękaty wygląd drzew, które nie osiągały wieku dębów i wiązów. Drzewcem swojej zakrzywionej włóczni zaczęła grzebać w ziemi przy korzeniu drzewa. Była lżejsza i suchsza od ziemi przy drugim końcu stawu. Od ruchów ramion Hildy chwiały się jej ząb.

— Co robisz? — zapytał Cian. Stał na powalonej olsze spocony i z gniewną miną. — Jak możesz opuszczać swoje stanowisko, żeby sobie kopać?

Teraz Hilda, którą bolał ząb, spojrzała na niego z gniewem.

— Jak możesz ciągle bawić się w to samo?

— To nie jest zabawa! — Twarz Ciana poróżowiała. Hilda zobaczyła, że jego brwi nie pasowały kolorem do jego włosów. — Co takiego ważnego robisz?

Czując przyływ przekory tylko dlatego, że miała już dość zabawy w wojnę, Hilda odpowiedziała:

— Kopię tym kijem.

— To jest włócznia.

— To jest kij.

Przeciągnęła powoli dłonią po zgięciu gałęzi, a potem nacisnęła jej tępym końcem swoją dłoń i mu ją pokazała: krew się nie pojawiła.

Cian potarł wargę kłykiem.

— Kiedy walczymy jako bohaterowie, to to jest włócznia.

„Proszę cię — mówiło jego spojrzenie — proszę cię”.

I tak po prostu już nie chciała sprawiać mu przykrości; nie wiedziała, dlaczego tak robi, tylko że ona też chciała powiedzieć: „Proszę cię, proszę”. Przykucnęła obok korzenia, przy którym kopała.

— Odsłaniam korzeń, żeby sprawdzić, czy rację ma niewolnik Eochaid i na jego końcu jest tęcza, czy rację ma moja matka i pośrodku znajduje się korzeń drzewa świata i jednooki bóg.

— Ciągle czegoś szukasz.

— Jestem światłem świata.

— Szukanie, jak i dlaczego coś się dzieje, jest dobre dla plotkarzy i kapłanów — stwierdził Cian, nie tyle z pogardą, ile ze zdumieniem, lecz nie dlatego, że Hilda to robi — zawsze się tak zachowywała — ale że o tym rozmawiają.

— Dla plotkarzy i kapłanów, owszem, a także dla rzemieślników i królów — rzekła. — I czy Morei nie był obeznany z ogniem?

— To prawda — odparł Cian, wyciągając szyję, by lepiej widzieć.

— I dawni bohaterowie rzeczywiście czasami odczuwali potrzebę zakopania swojego skarbu.

Cian przeszedł nad powalonym drzewem i znalazł się obok Hildy.

— Pomogę.

Znalazł sobie kij — jego miecz był tylko mieczem — i po chwili kopali razem, czując na plecach ciepło słońca.

— Rośnie coraz głębiej — powiedział po chwili Cian.

— Jutro będziemy kopać dalej.

Wstał, przeciągnął się i powiedział w stronę horyzontu:

— A teraz będziesz ze mną bohaterem i zdobędziemy razem mur? Ramię w ramię?

— Znowu mam być Branweną?

Hilda nie potrafiła ukryć znużenia w głosie.

— Bądź, kim chcesz. — Cian zawsze był wspaniałomyślnym panem. — Wybieraj.

— Owein — powiedziała. — Miał błękitny, lśniący miecz, ostrogi całe ze złota...

— Nie, ja jestem Oweinem. Zawsze jestem Oweinem.

— A zatem będę olbrzymem Gwvrlingiem: pił przezroczyście wino, by z wroga przed bitwą szydzić; żniwiarze śpiewali o wojnie, o wojnie ze skrzydłem lśniącym, o wojnie śpiewali minstrele...

Wypluła ząb. Leżał na trawie u jej stóp biały i czerwony. Wpatrywali się w niego.

— Niedługo wyrosnie ci inny, mocniejszy.

Skinęła głową.

— Musisz go schować, bo inaczej może ci go ukraść czarnoksiężnik do jakiegoś zaklęcia.

Wsunęła go za szarfę.

— Leci ci krew.

Wytarła usta ręką. Mała, jaskrawa smuga.

— Błyszczała krew — wyrecytowała następny fragment wiersza o olbrzymie Gwvrlingu.

— I błyszczał róg w halli Eiddina! — powiedział Cian z ulgą. Wyciągnął przed siebie kij, którym kopał. — Gwvrling musi mieć miecz. Chodźmy!

Przeleźli przez powalone drzewo i razem zaczęli wywijać mieczami w walce z niewidzialnym wrogiem: *Y rhag meiwedd, y rhag mawredd, y rhag madiedd* — na przedzie są wojownicy, na przedzie są szlachetni, na przedzie są dobrzy.

Po chwili jak zwykle stwierdzili, że zabawniej jest wymachiwać mieczami na siebie nawzajem i jak zwykle Hilda otrzymywała więcej ciosów, bo Cian miał dłuższe ręce, dłuższy miecz, a także tarczę.

Po jednym szczególnie mocnym uderzeniu w ramię Hilda odskoczyła do tyłu.

— Zamieńmy się na chwilę bronią.

Nigdy przedtem nie odważyła się o to poprosić, ale tego dnia krwawiła jak prawdziwa potomkini Yffiego. Cian pomyślał chwilę, a potem wyciągnął swój miecz w stronę Hildy, żeby wymienić go na jej kij, i zsunął tarczę z ręki.

Znowu rzucili się na siebie i Hilda stwierdziła, że przyjęcie ciosu na tarczę jest o wiele lepsze niż otrzymanie uderzenia w żebra. Waliła zapamiętałe.

— Zamieniamy się z powrotem — powiedział Cian, lekko dysząc.

— Jeszcze chwilę.

— Miecz jest mój. Chcę go mieć.

Hilda nie chciała oddać broni, a pragnienie posiadania miecza sprawiło, że jej umysł stał się gładki i twardy jak ściana z tarcz.

— Jest twój, całkowicie i tylko twój, podarowany ci przez króla Cerediga. Nie mógłby temu zaprzeczyć nikt, kto chodzi po tej ziemi. Nie zaprzeczam temu ja. Proszę cię o wielką przysługę, o wielkoduszność bohatera.

Cian zamrugał.

— I kiedy będziemy walczyć, będziesz mógł pomyśleć sobie w tajemnicy: Ta broń jest moja, wystarczy, że powiem słowo, a znowu znajdzie się w moich rękach, mam moc odebrania jej w każdej chwili, w każdej chwili.

Cian uniósł się na palcach stóp i z powrotem opadł na pięty. Zastanawiał się.

— W każdej chwili?

— W każdej chwili.

— Jest moja?

— Twoja. To jest twoja tajemna moc.

Matka powiedziała, że posiadanie tajemnic napędza męczyzną poczuciem mocy.

— A więc dobrze. Możesz zatrzymać tarczę na jakiś czas.

Uniósł swój kij i zaatakował. Walczyli przez chwilę.

Hilda cofnęła się jeszcze raz.

— A teraz twój miecz i twoja tarcza wracają do ciebie.

Wziął je, oddał Hildzie kij i uśmiechnął się.

— Należą do mnie. Ale kiedyś znowu ci je pożyczę. Jutro. Jutro, kiedy wrócimy, żeby wykopać twój dół.

Skinęła głową.

— Gorąco — stwierdziła.

Usiedli nad stawem. Hilda wsuwała kij do wody i wyciągała go z powrotem. Liście czeremchy szeleściły poruszane wiatrem.

— Lubisz wodę.

— Tak.

Odłożyła kij i patrzyła, jak po powierzchni stawu pomyka nartnik.

— Nie boisz się sidsa?

Tym słowem jej matka określała czarnoksiężstwo lub czary, a nie dziką magię związaną z takimi ukrytymi miejscami — Anglowie nie mieli dla niej nazwy. „W rzekach i przy źródłach mieszkają wodne duszki i nie należy im przeszkadzać” — mówiła Onnena.

— Nie. — Była światłem świata. Poza tym matka mówiła, że zła jest stojąca woda. Skrzywiła się lekko jak Breguswitha i powiedziała po angielsku: — Nie należy dowierzać stojącej wodzie. Lśni i migoce, lecz wyglądem zwodzi.

Oboje zachichotali. „Lśni i migoce, lecz wyglądem zwodzi”.

— A mimo to jest taka... magiczna — rzekła Hilda po brytyjsku. — Spójrz. — Wsunęła ukosem kij do wody. — Widzisz, jak woda go przełamuje?

— Tak!

— A jednak kiedy go wyciągam, jest cały. — Wysunęła kij z wody i wsunęła go z powrotem dwa razy. — Cały, złamany, cały, złamany. — Jaki duszek łamie go i naprawia? A może to tylko czar? Posłuchaj. — Liście czeremchy znów zaszeleściły, a potem zaszumiały głośniej na wietrze wiejącym nad nimi i nad stawem. — Czujesz ten oddech? A teraz spójrz tu, na dół. Błoto wydaje się pofałdowane, prawda?

— Tak.

— Ale jest gładkie.

— Pofałdowane. Widzę to.

— To dotknij ręką dna.

— Jeśli zakłócę magię duszka, to mnie zje.

— Nie zje cię. Złożę mu ofiarę.

Wyjęła zza szarfy ząb i wrzuciła go do stawu. Zamknął się nad nim miękki muł i ząb zniknął.

— Oddałaś duszkowi samą siebie!

— Złożyłam mu w ofierze ząb, a wkrótce będę ich miała więcej. — Dotknęła jednak językiem wrażliwego dziaśła i pomyślała z nadzieją, że nowy ząb nie będzie należał do duszka, że pewnego dnia nie utonie, kiedy duszek weźmie sobie, co do niego należy. — Włóż rękę do wody.

Cian podwinął rękaw koszuli i ostrożnie zanurzył rękę w stawie.

— A teraz połóż dłoń na dnie. Powiedz, czy jest pofałdowane?

— Jest gładkie.

Poklepał błotniste dno, wzbudzając brązowe męty. Hilda przestraszyła się nagle, że znajdzie jej ząb i wyjmie go z wody.

— Ostrożnie, ostrożnie. Możesz już wyjąć rękę. — Uniosła twarz ku niebu. Wiatr znowu przycichł. — Bestia znowu zapada w sen i zapomina rzucić czar. Widzisz teraz, że piasek jest gładki i z wyglądu, i w rzeczywistości. Tylko kiedy wodny duszek oddycha, rzuca ci na oczy zasłonę.

Cian wytarł rękę o trawę, a potem do sucha o tunikę.

— Jutro pokażesz mi więcej magii.

— Jutro pokażę ci wielką żabę, która połknęła serce hægtes.

Lecz nazajutrz zarządca Goodmanham oznajmił, że nastąpiła pomyślna pora na zżęcie reszty lnu — łodygi pożółkły od dołu — i do pracy zostali wciągnięci wszyscy sprawni członkowie społeczności, młodzi i starzy, nawet tanowie, Wilgar i Trumwine, którzy przybyli z wizytą. Mężczyźni wrywali z ziemi całe rośliny; domownicy, głównie wealh, zbierali łodygi i wiązali je w wiązki, a potem ustawiali w kopki do wyschnięcia. Rozkładali na ziemi płachty materiału i potrząsali wysuszonymi wiązkami, z których

wypadały ze stukotem ziarna; dzieci starannie składały płachty i zносиły je kobietom, które ostrożnie zsypywały maleńkie złocistobrazowe ziarna do dzbanów i odsyłały płachty do ponownego rozłożenia; wówczas inni wealht przeciągali powiązane łądygi przez rzędy ostrych zębów wbitych jak groty strzał w słupy, by pozbyć się pustych torebek nasiennych. To była żmudna robota, przy której chciało się pić i można było zarobić mnóstwo zadrapań; dzieci, zarówno wysoko urodzone, jak i niewolne, biegały tam i z powrotem z dzbanami gruitu — piwa wrzosowego.

Sądząc po jego żywicznym zapachu, był to specjalny produkt jej matki, przesycony woskownicą, który, jak Hilda już wiedziała, wywołuje głośny śmiech i daje energię do całodziennej pracy. Wiele kobiet nie piło i posyłało ją z pustymi dzbanami do rzeki.

Matka nagarnęła maści trzema palcami, podała garnuszek Hildzie i ogrzała tłustą maź w dłoniach. Kiedy wcierała ją w plecy Wilgara, Hilda pomyślała, że przypomina on szczeciniastego czarnego wieprza posmarowanego smalcem przed nabiciem go na rożen. Postawiła garnuszek w cieniu na końcu ławy i patrzyła, jak matka ugniata zbite mięśnie, wbijając kciuki w tłuszcz i wodząc dłońmi wzdłuż ścięgien jak siodlarz, który wbija igłę w grubą skórę.

— Przez ostatnie dwa lata plony musiały być obfite — powiedziała Breguswitha do mężczyzny, stękającego z zadowolenia. — Jesteś jak utuczony wół.

Zgodził się, że bogowie byli życzliwi, a pogoda sprzyjała. Przez chwilę rozmawiali o plonach w jego dolinie na północy i jego rolnikach, a potem Breguswitha klepnęła go po ręce i podała kurtę.

Wilgar ją włożył, mrużąc oczy w popołudniowym słońcu, i poruszył ciałem na różne strony.

— Jest lepiej — stwierdził ze zdumieniem.

— Poradzisz sobie — rzekła Breguswitha.

Patrzyły, jak wraca do halli i w wejściu sztywnieje, by przyjąć uderzenie Trumwine'a w ramię.

— Robi się gruby — powiedziała Breguswitha głosem świadczącym, że nie wypowiada wszystkich swoich myśli.

Hilda zajrzała do garnuszka.

— Wystarczy dla kobiet?

Breguswitha wytarła ręce w fartuch.

— Widzisz tu jakieś kobiety?

Byli tylko służący śpieszący do halli z wiadrami piwa na koromysłach i półmiskami chleba. Hilda pokręciła głową.

— A jak myślisz, dlaczego tak jest?

Zastanowiła się chwilę.

— Bo dziewczynki się nie popisują?

Breguswitha prychnęła z rozbawieniem, usiadła na ławie i wytarła przedramiona.

— Nie mylisz się całkowicie, ale jest w tym coś jeszcze. Mężczyźni mają ręce silniejsze od nas. Ta siła jest ich słabością. Zapominają... — Z halli dobiegł śmiech. Zaczęło się picie i przechwałki. — Mam zajęcie. Porozmawiamy kiedy indziej. Obserwuj kobiety i mężczyzn, wejdź w nich. Wyobraź sobie, co myślą. I pamiętaj, co

powiedziałam.

Drugiego dnia moczenia rzeka płynęła powoli, powietrze było nieruchome i ciężkie od smrodu namokłego lnu. Breguswitha i Onnena znajdowały się w piwnicy pod wielką drewnianą hallą i dzieliły płótno na bele dla kupców i bele dla domu; Hereswitha i Mildburh w chacie tkackiej przywiązywały ciężarki do osnowy na zwykłe płótno. Hildzie już dawno się znudziło obserwowanie kobiet i mężczyzn z poddasza obory i spod ławy w halli (płatew w Goodmanham znajdowała się nisko, na tyle blisko palenisk, że za pierwszym razem, kiedy spróbowała się na niej ułożyć, Hilda kaszłała i krztusiła się). Wydawało się jej, że wszyscy tylko się nawzajem okłamują; kobiety robiły to, chichocząc, a mężczyźni przechwalając się. Nie miała pojęcia, co to ma wspólnego z siłą.

Tak więc dzisiaj o tym zapomniiała i razem z Cianem poszła za królem i jego domownikami — doradcami, rozmaitymi grupami wojowników wraz z ich psami bojowymi i gończymi, kapłanami, ludźmi proszącymi o sprawiedliwość i służbę — na łąkę. Psy usadowiły się w cieniu olszyny w zakolu rzeki, a Hilda, mając za sobą Ciana, ostrożnie wyciągnęła pięść w stronę Gwen, ogromnej, pokrytej bliznami wilczarzycy, którą w miarę możliwości czasami karmili i która w związku z tym niekiedy pozwalała im się do siebie zbliżać. Gwen powąchała piąstkę dziewczynki, a potem uniosła pysk w stronę Brannocha, przywódcy — dzikarza, i to wściekłego, chociaż nie tak wściekłego jak brutalnie traktowane psy bojowe — który po kilku pomrukach oblizał się i położył głowę na łapach. Dzieci usiadły powoli, Hilda odważyła się oprzeć o bok Gwen i wszyscy pograżyli się w półdrzemce, słuchając szmeru rzeki, brzęczenia much, śmiechu pijanych wojowników i skargi petenta.

Edwin, krępy mężczyzna o kasztanowych włosach, przetykanej siwizną brodzie i ciężkich bransoletach na obu rękach, siedział na rzeźbionym stołku pod dębem, u boku mając głównego rządcę, Coelgara, a wokół siebie doradców. Podbródek oparł na pięści, a oczy utkwił w petencie, jednorękim tutejszym tanie przed laty nagrodzonym dziesięcioma łanami przez Etelryka Włócznie za oddane usługi, który skarżył się na miejscową wdowę, że ustawiła w rzece — jego rzece — pułapki na węgorze.

Etelryk Włócznie. Dziad Hildy. Dziewczynka wytrzymała słuch.

Edwin miał twarz zwróconą w stronę mężczyzny i w odpowiednich chwilach uśmiechał się oraz kiwał głową, lecz po kilku zdaniach jego stopy zaczęły się poruszać po trawie tam i z powrotem. Hilda wyrwała źdźbło, wsunęła do ust grubszy koniec i zaczęła się przyglądać Edwinowi błędzemu wzrokiem po swoich domownikach. Byli tam kapłani — biskup z brytyjskiego zachodu (według matki szpieg przybranego brata Edwina, Cadwallona ap Cadfana), Irlandczyk o cichym głosie (który przyniósł wieści o Dál Fiatach oraz ich nadziejach związanych z wyspą Vannin), Coifi, ambitny młody kapłan wielkiej świątyni, kobieta, która zajmowała się studnią Eilen (albo, jak powiedzieliby niektórzy, zajmowała się przede wszystkim potrzebami niechlujnego miejscowego księdza od świętej Elen), gesithowie (wołający o więcej piwa, więcej miodu, „Więcej białego miodu”, „Białego miodu, o tej porze!”, mruknął służący, otwierając drugą beczułkę i kiwając na wealh, by zabrał pustą), zaufany doradca od Eorpwalda, chmurnego nowego przyszłego króla Anglów Wschodnich, oraz jego dwaj synowie, młodzi æthelingowie, Eadfrith i Osfrith (nie miał córki, na razie nie urodziła się

jeszcze tkaczka pokoju). Wzrok Edwina błdził od jednego do drugiego. Hilda widziała, jak w ten sposób patrzył pies na swojego pana, kiedy usiłował się domyślić, w której ręce trzyma kość.

Gwen obudziła się ze stłumionym szczeknięciem i strząsnęła Hildę na trawę, po czym zaczęła się energicznie drapać i przeciągnęła się, przez co całe stado zaczęło się także otrząsać, przeciągać i drapać; po chwili Hilda też tego spróbowała: powolne rozciągnięcie rąk, potem po kolei nóg. Podobało jej się to. Nacisk stóp na trawę, długa linia pleców. Rozciągnęła się jeszcze raz. Obok niej Cian naśladował ją kończyrna po kończyrnie. Następnie spróbował podrapać się prawą stopą za uchem i przewrócił się ze śmiechem, więc chociaż Hilda wiedziała, że jej się to nie uda, też musiała spróbować. Zanosili się śmiechem, psy zaczęły szczekać, a jeden z nich, zdeorientowany, kłapnął zębami na innego i wkrótce już wszystkie warczały i toczyły pianę z pysków, a wojownicy krzyczeli i rzucali bransolety jako stawki zakładów. Któryś pies chwycił zębami pysk drugiego; ze sztywną szyją i napiętymi mięśniami zadu włókł go po trawie, krwawiącego i skomlaącego. Wokół nich fruwały grudy ziemi dartej pazurami, bo każdy z nich szarpał się w inną stronę. Kiedy Domnach, irlandzki psiarczyk, przybiegł z batem i surowym mięsem, żeby brutalnie zaprowadzić porządek, Hilda przyjęła to z ulgą. Wpatrywała się w krwawe bruzdy wyrwane przez oba psy.

Król wykorzystał to zamieszanie, by odesłać skarżącego z dobrym nożem. Wyroku nie wydał.

Siedmioletnia Hilda pomagała matce liczyć kadzie z fermentującym miodem w kamiennej piwnicy pałacu w Yorku. Matka powiedziała jej, że w Modresniht, w jedno z dwunastu zimowych świąt, Hilda zostanie posadzona przy stole honorowym.

— Będziesz siedziała obok króla. I królowej. Jeśli będzie się dobrze czuć. Będziesz z nim rozmawiać. — Jeszcze raz policzyła na palcach. — To są razem trzy tuziny. Masz karbownice?

Hilda uniosła gładkie, ponacinane patyczki. „Będziesz siedziała obok króla”. Ty, nie my. Nauczyła się jednak nic nie mówić, dopóki nie zrozumie. Pomyśli o tym później.

Uwielbiała tę piwnicę. Była ogromna, chłodna i tajemnicza, składała się z kolejnych pomieszczeń, a pod południową ścianą w rowku o ostro zaznaczonych brzegach i dnie wysypanym żwirem płynęła woda. Jedno pomieszczenie z grubymi ścianami, solidnymi drzwiami obitymi metalowymi listwami i pozbawione okien było pełne skarbów, ale Edwin zawsze miał tam strażnika, nawet podczas uczt. Hilda nigdy nie widziała złota i granatów, które, jak zapewnił ją Cian, kiedy pewnego wczesnego wieczora jedli drobne pomarszczone jabłka, twarde ser i orzechy laskowe, leżały w stertach na wyłożonej płytkami podłodze. Hereswitha wtedy prychnęła i powiedziała, że Cian też ich nigdy nie widział. A potem zaczęli w siebie rzucać łupinami orzechów i ciągnąć się za włosy. Ostatnio często to robili, bo kilka miesięcy wcześniej Cian stwierdził z dumą, że jego ojciec jest prawdziwym królem z prawdziwym królestwem, a Hereswitha odwrzasnęła, że Ceredig jest wodzem w małym lasku wealh i że w lesie, który kiedyś nazywał swoim domem, poluje się na niego jak na rannego dzika za to, że zabił jej ojca i ojca Hildy, który, gdyby żył, pewnego dnia zostałby zwierzchnim królem całej wyspy.

Hilda nie zwracała wtedy na nich uwagi, skupiając się na tym, żeby w trakcie jedzenia utrzymać patyczek pod pachą jak kądziel. Jej matka potrafiła robić wszystko z wrzecionem albo kądzielą w dłoni, a Hereswitha i Mildburh już pracowały nad splotem skośnym. Hildzie bardzo się nie podobało, że nie umie czegoś robić, kiedy przychodziła na to pora.

Poza tym żadne z nich nie miało racji. Ceredig nie był prawdziwym ojcem Ciana. A Hereric był Æthelingiem, który został otruty na wygnaniu i nikogo już nie obchodził. Opuszczali ich nawet ludzie, którzy przybyli z nimi z Elmetu. Hilda wiedziała, że jej matka jest przepelniona goryczą, ale rozumiała to: Jak mężczyzna ma mierzyć swoją wartość bez szlachetnego pana, dla którego by walczył i który obdarowywałby go pierścieniami? Jeśli się było gesithem człowieka, który powinien być królem, a zostawało się zwykłym wojownikiem wynajętym do ochrony kobiety i dzieci, to był to upadek. Z Elmetu przybyło z nimi ośmiu ludzi. Sześciu z nich złożyło przysięgę Edwinowi i znowu było gesithami. Został tylko Burgræd i jego nieletni syn, a ze sposobu, w jaki ów syn sztywniał w obecności Edwina, Hilda wiedziała, że w tajemnicy się wycofuje.

Hilda zadrżała. W piwnicy wybudowanej pod rzymskim pałacem było chłodno i ciemno, lecz i tak widziała wizerunki starodawnych ludzi w obszernych szatach namalowane na ścianach. Namalowane na ścianach! Szaty miały brzegi ufarbowane na odcień fioletu, jakiego używając swoich porostów, Breguswitha nie potrafiła powtórzyć. U zachodniego końca znajdował się kamienny stół i nisze. Ołtarz, powiedziała Onnena; nikt nie wiedział, czy był on poświęcony Mitrze, Chrystusowi czy bogini wiosny. Hilda postanowiła złożyć na nim ofiarę, kiedy matka będzie zajęta.

Pałac w wielu miejscach był zniszczony i uzupełniony drewnem i strzechą, ale wszyscy widzieli, że kiedyś był wspaniały. Powiadano, że Edwin zamierza przywrócić jego dawną świetność.

— ...i, mała zadziorko, kiedy będziesz siedziała obok króla, będziesz musiała mówić. Nie mówisz zbyt wiele.

„Zamknięta buzia, bystry umysł”.

— O, ten jest mętny. — Breguswitha zanurzyła palec w miodzie, powąchała go i skinieniem dłoni przywołała Hildę, żeby wytrzeć palec w brązową szarfę córki. Pokazała na pokrywę opartą o ścianę. — Podaj mi ją. — Położyła pokrywę na kadzi, przybiła ją uderzeniem pięści, wyjęła z sakiewki u pasa kawałek kredy, narysowała nią znak i pokręciła głową. — Gdyby tylko Cwenburh... Nieważne. Jeśli dobrze to precedzimy, może nada się na miód pitny. Pomóż mi ją przetoczyć pod... Zginaj nogi, nie plecy.

Przez jej myśli przemknęło jak liść niesiony wiatrem wspomnienie przeciągania się jak pies, nacisku stóp na trawę i błysku zębów. Usiłowała je zatrzymać, lecz zniknęło.

Przeszły do kręgów sera. Breguswitha wyjęła nóż z pochwy i znieruchomiała.

— Pożyczę ci moją broszkę, tę prawie najlepszą.

Na Modresniht.

— A więc znowu mam być księżniczką?

A Hereswitha? Ale to już było za wiele spraw do ogarnięcia naraz.

— Zawsze nią byłaś. Naciągnij.

Breguswitha przecięła płótno, schowała nóż i zaczęła rozwijać ser.

— Ani jednej myszy w oborze?

Hilda odbierała od matki lnianą owijkę w miarę jej zdejmowania. Pachniało kwaśno.

— Ten czas się kończy.

— Opowiedz mi jeszcze raz swój sen.

Chciała usłyszeć znajomą opowieść. Kolejny raz.

Matka zastanowiła się, a potem skinęła głową.

— Pewnej nocy, kiedy brzuch miałam płaski jak krosno, a twój ojciec polował na coś więcej niż jelenie, przyśniło mi się światło, takie dziwne i piękne światło, które zmieniło się w klejnot...

— Jaki klejnot?

Hilda poczuła się, jakby znowu miała cztery lata.

— Wielki, połyskujący drogocenny kamień.

— Jaki miał kolor?

Uwielbiała tę część, uwielbiała rytuał rozlewnego, powolnego angielskiego płynącego jak rzeka w dolinie.

— Soczysty jak twoje usta.

— Tak, ale jaki?

— Jak twoja skóra podświetlona słońcem, z blaskiem zarumienionej perły. Jak granat przeświecający przez mleko.

— Karneol!

— Karneol. Najlepszy, największy, najjaśniejszy, jaki kiedykolwiek widziałas.

— Tak duży jak znak zwierchniego króla?

— Większy.

— Tak duży jak znak rzymskiego cesarza?

— Większy i jaśniejszy od księżyca. Wisiał przede mną, a potem zatopił się w moim brzuchu, który zaraz napęczniał, i wtedy odezwał się głos: „Oto światło, które zaświeci na cały świat!”. I z mojego brzucha wylało się światło jaśniejsze od najlepszych woskowych świec, płonących w kinkietach z polerowanego brązu. — I dodała już zwykłym tonem: — A następnego dnia akuszerka powiedziała mi, że będę miała dziecko.

— A kto był tym dzieckiem?

— Hmm — mruknęła Breguswitha tak jak wtedy, kiedy Hilda była bardzo mała.

— Koziółek?

— Nie!

— Owieczka?

— Nie!

— Zadziorny jeżyk?

Hilda parsknęła śmiechem, matka też się uśmiechnęła. Uśmiech ten jak zwykle nie trwał długo.

— Tak więc, mała zadziorko, będziesz siedziała po lewicy Edwina i będziesz nie tylko jadła, ale też uśmiechała się i rozmawiała. Zmusisz go, żeby cię zauważył. Pora dać światu twoje światło.

Ty. Twoje światło. Otaczające ją cienie wydały się dłuższe i ciemniejsze. Nie wiedziała, czym jest jej światło.

— Będzie tam Hereswitha?

— Twoja siostra mi się nie śniła.

— Chcę, żeby tam była!

— No cóż. Może. Tak, właściwie czemu nie. Tak, w istocie. Hereswitha.

— I Onnena.

Breguswitha roześmiała się.

— O, Onnena nie. Ona jest wealh.

— A Cian?

— Nie. A teraz powąchaj to płótno i powiedz mi...

— Ale co ja będę robić?

— Przyjmiesz swoją wyrd. Gdyby Cwenburh źle się poczuła... Lecz któż to wie?

Hilda nie miała pojęcia, co z tym wszystkim wspólnego ma królowa. Jej wyrd.
Światło świata.

— No, powiedz mi, co sądzisz o tym serze. Dobry dla króla czy tylko dla jego świni?

Hilda wyrzuciła z umysłu swoją wyrd.

— Śmierdzi.

— Zaiste. Ale spójrz, skórka jest dość twarda. Wystarczy dobrze go opłukać w słonej wodzie, owinać świeżym płótnem i może jeszcze trochę poleży. Ale powinno się go opłukać i przewinać dawno temu. Co Cwenburh sobie myśli?

Z pomieszczenia z jedzeniem przeszły do pomieszczenia z motkami przędzy i belami już utkanego materiału. W kącie stała osobno jedna bela owinięta zwykłym niebarwionym płótnem konopnym. Breguswitha odciągnęła w dół jego róg.

— Widzisz ten kolor? — Była to piękna, jaskrawoczerwona ściśle utkana wełna lśniąca jak len. — Odpowiedni dla królowej. Ale do twoich włosów lepiej pasuje niebieski. — Odwróciła się od materiału. — Mam coś akurat dla ciebie. Kiedy będzie już skrojony, ozdobię brzegi złotem.

— Złotem?

— Mam w skrzyni pierścień. Wulf wyklepie go na cienko i pokroi. Twoje nadgarstki i szyja będą świecić jaśniej niż królowej.

— Mamy złoto?

— Zawsze jest gdzieś jakiś ukryty kawałek.

— Nie chcę naszego złota.

Nie to dokładnie miała na myśli, ale nie zawsze wiedziała, jak powiedzieć po angielsku coś, co by zabrzmiało lekko i mocno zarazem.

— Śniło mi się, że masz być światłem świata. Oczywiście, że będziesz miała złoto. Co z tobą?

Breguswitha sięgnęła po dwa motki złocistego lnu i uniosła je do światła, przyglądając się przędzy.

— Czy to dobry, ciężki pierścień?

— A na co mi drobne błyskotki?

— A zatem daj ten pierścień synowi Burgræda, każ mu na niego przysiąc.

— Burgrædowi?

— Jego synowi.

Matka odłożyła przędzę.

— Jego synowi, powiadasz?

Hilda skinęła głową.

— Burgmodowi. On... się waha.

— Skłania się ku królowi?

— Chyba tak.

Twarcz Breguswithy znieruchomiała, a jej palec leciutko się poruszał w rytm jakichś obliczeń.

— Osiągnął odpowiedni wiek — rzekła w końcu. — Ale to zaczeka do szóstej nocy...Tak. — Jej uśmiech był uśmiechem, jaki Hilda wyobraziła sobie na twarzy wodnego duszka wciągającego ją pod wodę. — Tak. Ty będziesz miała swoje złoto, a Burgræd swoje.

— Jego syn, Burgmod.

— I on, i jego syn. A Hereswitha przyprowadzi na Modresniht swoją gemæcce.

— Mildburh.

— Znam ich imiona, dziecko. — Znowu wzięła do ręki oba motki. — Tak, pora się zdeklarować. Nasza grupa będzie stanowić na uczcie uderzający widok. A teraz powiedz mi, czy powinniśmy wybrać przędzę lewoskrętną czy prawoskrętną i dlaczego.

Hilda nie wybrała żadnej. Wybrała za nią matka — całe naręcza i jednej, i drugiej. Razem z Onneną utkała piękną bladożółtą suknię spodnią o splocie opartym na skręcie nici, z niebieskim wzorkiem na mankietach i przy szyi ozdobionym prawdziwym lśniącym złotem. Jej długa, dość staromodna — jak przystało dziecku bez względu na to, czy było ono światłem świata czy nie — wierzchnia sukienka bez rękawów była niebieska jak letnie niebo tuż po zachodzie słońca i spinała ją wielka podobna do koła brosza z połączanej miedzi. Miała rozmiar pięści Hildy i spoczywała na jej piersi jak dłoń, taka była ciężka, mimo że wykonano ją głównie z miedzi.

Hilda lśniła za każdym razem, kiedy przetykała. Połyskiwała za każdym razem, kiedy unosiła rękę. Błyszczała za każdym razem, kiedy oddychała. Oddychała szybko; drżały jej nogi; lśnienie, połyskiwanie i błyszczzenie stały się ciągłym migotaniem.

Stała za zasłoną w przejściu między kuchennym korytarzem i hallą, a za nią czekało trzydzieści kobiet i dziewcząt. Nie rozmawiały z nią. Cwenburh wciąż chorowała, więc to Hilda musiała pełnić rolę podczaszego.

— Ale Hereswitha jest starsza — rzekła, kiedy matka ją przygotowywała, lecz Breguswitha ujęła dłońmi jej twarz i powiedziała:

— To twoja wyrd.

W podpartej kolumnami halli scop kończył wychwalać rozległe wielkie dzierzawne ziemie Edwina, biel jego owiec i żyzność jego ziemi, co było koniecznym wstępem przed wejściem do halli domowniczek i rozpoczęciem uczty Modresniht. Początkowo w halli było cicho, nie dlatego, że wszyscy słuchali scopa, lecz dlatego, że wszyscy mieli kaca po uczcie z okazji święta Godów, która odbyła się poprzedniego dnia. W miarę jak zaczęto opróżniać nieformalne dzbany piwa wrzosowego, a służący wnosili drewniane półmiski

z misternie plecionym i przyprawionym korzeniami pieczywem i miseczki z masłem owocowym, dżemami i ziołowymi pastami, żołądki i głowy się uspokajały, a rozmowy zaczęły narastać jak przyptyw. Śpiwna recytacja scopa przeszła majestatycznie z ludzi i owiec na palenisko i hallę, bogactwo i wino, a jego potoczny angielski zmienił się w język płomienia, złota i honoru.

Nogi Hildy drżały. Stała tak prosto, jak tylko się dało.

— Już niedługo — rzekła matka.

Hilda skinęła głową, ale nie mogła mówić. A jeśli upuści puchar? Albo rozleje trunek? Albo się potknie? A jeśli poda go gościom w niewłaściwej kolejności? Konsekwencje byłyby katastrofalne.

— Wyciągnij rękę.

Posłuchała.

— Jest ciężki — powiedziała Breguswitha.

Włożyła ogromny puchar w dłonie Hildy. Dziewczynka aż się ugięła. Nigdy nie trzymała czegoś tak ciężkiego.

Obwodem dorównywał jej klatce piersiowej; nie był wykonany z połączanego brązu, lecz z czystego złota ze srebrnymi i złotymi ornamentami z filigranu, wysadzany granatami, beryłami i zdobiony niebieską emalią. Był pusty.

Breguswitha skinęła ręką na służącego w roboczej tunice, który podał jej glazurowany na czerwono dzban. Odkorkowała go, a Hilda zamrugła od szczypiącego zapachu białego miodu.

Kiedy Breguswitha zaczęła go nalewać, młody służący uniósł zasłonę i po obu stronach Hildy ruszyła do halli rzeka służących z zakorkowanymi dzbanami.

— Stój spokojnie! — rzekła Breguswitha.

Hilda robiła, co w jej mocy. Chłopak wciąż podtrzymywał zasłonę. Służący zajmowali miejsca za ławami pod ścianami halli, gotowi rozlewać trunek z dzbanów. Scop podniósł głos.

Ciężar pucharu był nie do wytrzymania. Hałas był nie do wytrzymania. Gorąco było nie do wytrzymania.

Matka odgarnęła włosy z czoła Hildy i założyła je bezpiecznie za jej uszy. Coś mówiła:

— ...panna bez przepaski była podczaszym? Moim zdaniem nigdy. To funkcja królowej, lecz dzisiaj, o moje światło, o mój klejnocie, sprawujesz ją ty. Dzisiaj ty jesteś w tej halli królową. Idziesz pierwsza, ja krok za tobą, a twoja siostra i jej gemæcce...

Chciała mieć przy sobie Onnę. Ciana. Chciała, żeby królowa wstała z łoża bóleści i wzięła od niej puchar.

— ...najpierw do Edwina, potem do gościa po jego prawicy, gościa po lewicy, a potem przez hallę do jego...

Wolałaby, żeby matce jako klejnot i światło przyśniła się Hereswitha. Wolałaby, żeby król był martwy, martwy, martwy i to zadanie wypełniła czyjaś inna najbliższa krewna.

Przez zgiełk rozmów przebił się głos scopa tą tryumfalną nutą, która, czy to w mowie Angłów, czy Brytyjczyków, oznaczała, że nadszedł czas.

— ...tu, u twego boku. Ale ty idziesz pierwsza, idziesz pierwsza. Ruszaj, Hildo.

Kobiety za nią wygładzały suknie, sprawdzały mankiety i ostatni raz poprawiały welony. Młody służący patrzył na nią. Miała wrażenie, że złoto ślizga jej się w rękach. Puchar był za ciężki. Miała za małe dłonie. Czuła, że go upuści.

Chłopak pokazał jej język. Zamrugła. Zrobił zeza.

— Tak ci zostanie — powiedziała po brytyjsku.

Z zaskoczenia prawie opuścił zasłonę i Hilda wkroczyła do halli ze skrywanym uśmiechem.

Kiedyś było to *principium* rzymskiego prefekta, następnie pałac króla Eboracum, a obecnie sala biesiadna Edwina, króla Deiry i Bernicji. Była za duża, za wysoka, za twarda. Więcej kamienia niż drewna. Wealh. Naprawdę wealh, w przeciwieństwie do wielkiego, zadymionego domu Cerediga.

Tutaj nie było dymu. Hilda czuła ruch powietrza. Nie śmiała podnieść wzroku znad pucharu, żeby nie uronić z niego ani kropli, ale wiedziała, że dach jest za wysoko, pogrążony w zbyt wielkiej ciemności, żeby go dojrzeć. Może tam w górze są okna. Nie było jej jednak zimno.

W paleniskach ciągnących się przez środek sali żarzył się węgiel drzewny. Można było na nich upiec stado krów. Wzdłuż ściany na piętrze huczały w kinkietach pochodnie (Jak służba je zapalała? Z drabin?), a spokojniej paliły się podobne pochodnie rozmieszczone wzdłuż wewnętrznych kolumnad, za ławami, na których siedzieli goście w długich — długich, długich — rzędach naprzeciwko siebie po obu stronach palenisk. Na ścianach wisiały gobeliny i mniejsze tkaniny haftowane złotem i drogimi kamieniami. Błyszczały od nich cienie.

Pośrodku rzędu po prawej stronie stała ława Edwina. Król ubrał się na czerwono. Na jego lewej ręce lśniły cztery szerokie bransolety, na prawej trzy. Królewskie bransolety. Za każdym razem, kiedy sięgał po chleb, napinały się i wybrzuszały mięśnie jego szyi i ramienia. Hilda wiedziała, że w porównaniu z każdą bransoletą jej puchar wyglądałby na lekki. Po prawej stronie Edwina siedzieli jego synowie, Eadfrith i Osfrith, a Lilla, jego główny gesith, po lewej. Na widok Hildy powoli zbliżającej się z pucharem Edwin odłożył chleb. Scop wydobył z liry dramatyczny akord. Wielu biesiadników odwróciło się, żeby zobaczyć, co się dzieje, i ujrzało dziewczynkę w żółci i błękicie niosącą złoto. Rozmowy przycichły z ogłuszających do głośnych.

Hilda poruszała się z największym wdziękiem, na jaki ją było stać. Zatrzymała się przed Edwinem, nieco z jego lewej strony, tak że nie była całkowicie odwrócona plecami do gości — w strojach brytyjskich i angielskich — siedzących naprzeciwko.

— Królu Edwinie — powiedziała najgłośniej jak umiała, a ponieważ głos miała wyższy od wszystkich innych obecnych w pomieszczeniu, przebił się przez gwar i w halli zrobiło się jeszcze ciszej. Teraz wyraźnie słyszała syk i trzaskanie pochodni. — Mój królu. — Starannie przygotowana mowa umknęła. Co takiego mogła powiedzieć przed tyloma ludźmi, co chciałby usłyszeć ktokolwiek z nich? — Wielki królu. Napój dla ciebie.

Wyciągnęła puchar przed siebie i niemal straciła równowagę.

Edwin wstał z uśmiechem, przechylił się przez stół i wziął puchar jedną ręką.

— Ujmę ci ciężaru — rzekł i pociągnął potężny łyk. Zaśniło złoto u jego skroni,

na szyi i na ramionach, przypięte do piersi i pasa. Oddał puchar, a Hilda ujęła go ostrożnie i odwróciła się do najstarszego Æthelunga, Eadfritha, który wstał i się napił, a następnie do jego brata, Osfritha. Wszędzie dookoła zaczęli wstawać mężczyźni. Bolały ją wyprostowane ręce, ale trzymała puchar pewnie, jakby nic nie ważył. Przeszła wzdłuż ławy do głównego gesitha i podała mu puchar.

— Och, opróżnij go dla tej dziewczynki, Lillo — rzekł Edwin. — Ledwo go trzyma.

Gesith roześmiał się i przełknął raz, drugi i trzeci, po czym odwrócił puchar do góry dnem, żeby pokazać, że jest pusty. Tłum ryknął. Hilda wyprostowała się. Waga broszy na jej piersi była straszna. Dziewczynka obejrzała się na służącego stojącego za Edwinem.

— Puchar jest pusty — rzekła.

Służący pobiegł z dzbanem aż do końca ławy i z powrotem do Hildy, ukląkł przed nią i napełnił wyciągnięty w swoją stronę puchar. Jak on to zrobił, sprawiając wrażenie, że nie patrzy?

— Nalej po brzegi — powiedziała wyraźnie, z brzucha, tak jak szczeptały wielkie psy na polowaniu. — A potem przynieś swój dzban, żeby nasi goście nie byli spragnieni.

Doskonale wiedziała, że teraz goście będą czuli się w obowiązku opróżnić puchar dwa razy, po czym wróci do Edwina, a on będzie musiał podtrzymać angielską sprawność i wypić więcej niż ci Brytyjczycy w angielskich strojach. A czyż nie taki jest cel uczy — pić i śpiewać? Pamiętała, jak Ywain powiedział w halli Cerediga: „Jeśli dasz mężom pić, będą chcieli śpiewać; kiedy śpiewają, są szczęśliwi, a jeśli są szczęśliwi, to rzucają złoto harfiarzowi i komplementy gościom”. A Onnena powiedziała jej wtedy, kto się znajdował wśród gości.

Nie uroniła ani kropli, a kiedy podeszła do ławy gości, podała puchar najważniejszemu spośród nich. Wstał, a wraz z nim jego świta.

— Dunodzie ap Pabo — powiedziała. — Napij się i bądź pozdrowiony. — A potem, kiedy ujął puchar, dodała cicho po brytyjsku: — Gdyby była tu twoja zacna żona, pozdrowiłabym ją jako przyjaciółkę Onnena, która jest kuzynką brata twojej żony, Cerediga ap Gualloka, który był królem w lesie Elmet.

Dunod znieruchomiał i zaskoczony spojrzął na drugi koniec halli.

— Pij, panie. I powiedz mi, ze względu na Onnena, czy ma się ona dobrze?

Pociągnął łyceczek, przełknął i lekko skinął głową.

Wróciła do języka Angłów.

— Jeśli wypijesz więcej, łatwiej mi będzie utrzymać puchar, a ty zdobędziesz moją wdzięczność. A poza tym — przeszła na brytyjski — służący mówili, że miód w dzbanach nie jest tak mocny jak ten pierwszy nalany dla króla. Będzie zdumiony twoją mocną głową. — Uśmiechnęła się szeroko. — Chociaż kto wie, kto komu zapłacił, żeby tak mówił, licząc na rozrywkę?

Chwilę trwało, zanim dorosły mężczyzna w obcym dla siebie stroju i mała dziewczynka odziana we wspaniałości, które ledwie dźwigała, zrozumieli się nawzajem. Mężczyzna roześmiał się.

— Dziwna z ciebie młódka — powiedział po angielsku, żeby wszyscy go usłyszeli.

— Jestem światłem świata — odparła wyraźnie wysokim głosem, a scop, wyczulony na sytuację o dramatycznym potencjale, zagrał na lirze niesamowity akord;

w tej samej chwili potężny podmuch wiatru sprawił, że pochodnie na górnym poziomie zamigotały i rozbłysły ponownie.

W halli zapadła cisza.

— Piję za twoją pomyślność, światelko!

Dunod wychylił puchar i obrócił go do góry dnem; biesiadnicy zaczęli uderzać dłońmi w stoły, a scop skinął głową swoim grajkom na fujarce i bębenku i wspólnie z nimi zagrał kilka skocznych taktów. Kiedy służące ruszyły wzdłuż ław, napełniając rogi gości, Hilda mogła wrócić przez hallę, nie zwracając na siebie uwagi zbyt wielu osób.

Kiedy jednak zbliżyła się do Edwina, król skinął ręką na służącego, który obiegł ławy dookoła i powiedział:

— Król pragnie, byś zasiadła razem z nim na ucztę, jeśli jako mała dziewczeczka nie jesteś nadto zmęczona. Pragnie też, bym przejął od ciebie ten puchar, żebyś mogła swobodnie podejść do jego ławy. Mogą do was dołączyć także twoja pani matka i siostra, jeśli takie jest twoje życzenie.

Hilda spojrzała na Edwina i skinęła głową.

— Tak. Dziękuję, królu. Lecz puchar może ponieść moja siostra. To ta dziewczyna w zielonej sukni i z włosami w kolorze miodu.

Inny służący podbiegł, chcąc zaprowadzić Breguswithę do Edwina, a Hereswithę do Hildy, by wzięła od niej puchar. Dwunastoletnia Hereswitha, wspaniale wyglądająca w szmaragdowej sukni i z posrebrzaną cynową broszą na piersi, sięgnęła po puchar z dziwnym spojrzeniem, ale kiedy poczuła jego ciężar, zrobiła zaskoczoną minę.

— Na Thunora! — powiedziała. — Ciężki.

— Trzymaj go mocno — poinstruowała ją Hilda.

Cieszyła się, że idzie wzdłuż halli z siostrą u boku. Służący obserwowali je uważnie. Chłopiec, który pokazał jej język, wytknął teraz głowę zza zasłony, ale stojący tam służący — Hilda rozpoznała w nim głównego kucharza — go przegonił. Kucharz wyglądał na spiętego.

Hilda zrozumiała: mógł zacząć podawać do stołu dopiero wtedy, gdy usiądzie podczaszy.

— Przyśpieszmy kroku — zaproponowała.

Breguswitha podeszła do stołu honorowego równo z nimi. Edwin wstał, za jego przykładem poszli æthelingowie wraz z Lillą i wszyscy zaczęli robić miejsce, by właściwie posadzić kobiety: Hildę jako pełniącą funkcję podczaszego u lewego boku króla, a jej matkę i Hereswithę z Mildburh między książętami.

Kiedy tylko usiedli, do halli wkroczyli służący z pieczonymi prosiętami o chrupiącej skórce aromatyzowanej jabłkami, z miskami pieczonych jarzyn i wielkimi drewnianymi miskami zupy. Hilda zauważyła, że przy innych stołach mężczyźni i ich kobiety dzielą się zupą, podając miskę sąsiadom, jakby to był róg z napitkiem, lecz przy stole króla każdemu z gości przyniesiono jego własną miskę z brzoźowego drewna.

Matka spojrzała na nią znacząco — „Rozmawiaj z królem!” — i odwróciła się do Osfritha. Hereswitha popatrzyła na Eadfritha i skinęła głową, jakby zawsze siadali obok siebie, a książę powiedział:

— Jak się miewasz, pani?

Co prawda jego głos zabrzmiał nieco piskliwie, a pryszczata twarz poczerwieniała. Scop zaczął grać przyjemną melodię sprawiającą wrażenie, jakby nie miała końca, jak przedzenie, i Hilda zrozumiała, że chwilę tu posiedzi. Żałowała, że nie sięga nogami do podłogi.

Król uniósł swoją miskę i siorbnął. Wylał brodę upierścienioną dłonią, a dłoń w tkaninę ułożoną wzdłuż krawędzi stołu i spojrzał na Hildę. Tęczówki miał bardziej niebieskie wokół źrenicy, a bardziej zielone na obrzeżu. Hilda uniosła swoją miskę; nie miała oparcia w stopach, więc miska wydała się jej cięższa niż powinna. Zupa pachniała pasternakiem i śmietaną, unosiła się z niej gorąca para. Hilda podmuchała, upiła łyceczek, znowu podmuchała.

— Księżniczka nie może w mojej halli dmuchać na jedzenie — stwierdził król z uśmiechem.

Hilda skinęła głową, a potem przypomniała sobie, że powinna mówić.

— Co więc mam robić? Zupa jest za gorąca, a jeśli będę siedzieć i czekać, zrobi się zimna.

— Ætheling i księżniczka nigdy nie mogą czekać. Nasze jedzenie pojawia się na stole takie, jakie powinno być. — Klasnął dwa razy w dłonie i uniósł jej miskę. Przy ramieniu króla pojawił się służący z nową miską. — Widzisz? Spróbuj tej. Tak, idealna. A jeśli zrobi się zimna, naucz się klaskać — tu zaklaskał — żeby przyniesiono ci następną.

Pojawił się jeszcze jeden służący. Hilda rozpoznała w nim przyjaciela Onnenny.

Król nie zwrócił na niego uwagi.

— Stół króla zawsze jest obserwowany. Służba na pewno zobaczy, że dmuchasz; kiedy zaklaskasz, zrozumie, czego potrzebujesz.

Służący stał tuż obok, a król mówił w jego obecności tak, jak nie mówiłby nawet przy swoim psie, chyba że pieściłby jego uszy. A potem znowu napił się zupy.

Hilda usiłowała nie zauważyć szybkiego spojrzenia matki. Machała nogami i się zastanawiała.

— Podoba mi się twoja tunika, panie.

Odwrócił się do niej zaskoczony.

— To bardzo piękna czerwień. — Przechyliła głowę. — Chociaż przy naszym kolorze włosów lepszy jest błękit. — Nie umiała zinterpretować jego miny. — Następnym razem mogłabym pomóc ci wybrać kolor.

— Mogłabyś?

— Tak.

— Cóż, dziękuję ci za to, dziewczeczko.

— Mam siedem lat. Nie jestem już taka mała jak kiedyś. Chociaż bardzo bym chciała mieć dłuższe nogi i sięgać nimi ziemi.

— Ależ zaraz to naprawimy. — Zaklaskał.

Tym razem Hilda uważnie patrzyła. Służący odskoczył od ściany i kiedy się zbliżał, jego miejsce zajął inny, dotychczas stojący dalej.

— Przynieś dziewczeczce poduszkę.

Kiedy mężczyzna odszedł, Hilda zapytała:

— Nie znasz mojego imienia, królu? Nazywam się Hilda.

— Hilda — powtórzył król. — Dziwna z ciebie dziewczeczka.

— Tak mówi też książę Dunod.

— Co wiesz o Dunodzie ap Pabo?

— Że byłoby mu smutno ze względu na jego żonę, gdyby miał zostać zabity jej brat.

— Tak ci powiedział?

— Nie, królu, ale jaka siostra nie opłakiwałaby brata i jaki mąż nie rzuciłby się walczyć choćby z wiatrem, chcąc uszczęśliwić żonę?

Edwin przechylił się do niej. Jego źrenice się rozszerzały, pochłaniając niebieski środek tęczęwek, aż jego oczy stały się zielono-czarne.

— Widziałaś to?

— Królu?

Oplótnął olbrzymią dłonią jej prawy nadgarstek.

— Powiedz mi prawdę. Widziałaś, jak Dunod ap Pabo idzie na wojnę z powodu śmierci Cerediga ap Gualloka?

Hilda zamrugła.

Edwin potrząsnął nią lekko, co sprawiło, że Hilda cofnęła się do czasu, który nie bardzo pamiętała, do dnia, w którym zmienił się jej świat, kiedy umarł jej ojciec; spostrzegła w brodzie Edwina siwe węże włosów i usłyszała głos: „Powiedz Cadfanowi, że pewnego dnia on albo jego syn będzie musiał stawić czoło temu wężowi”.

— Cadwallon — wyszeptała. Edwin puścił ją, jakby się oparzył. — Syn Cadfana. Twój przybrany brat. Będzie musiał stawić ci czoło.

— Hilda. Teraz przypominam sobie to imię. Przyśniłaś się pani Breguswicie, jesteś klejnotem, który oświecili drogę.

Hilda skinęła głową. Twarz Edwina wyglądała bardzo dziwnie, była tak blada, że wydawało się, że jego oczy lśnią i pełzają jak letnie muchy.

— Oświecisz moją drogę.

Ponownie skinęła głową. „Rozmawiaj z królem”.

— Tak, królu. Chociaż każde światło musi mieć paliwo, by świecić.

— Paliwo, tak?

Na twarz Edwina zaczęły wracać kolory, a wraz z nimi zdecydowane spojrzenie.

Hilda poczuła się pewniej.

— Tak, królu.

— A o co mnie prosisz jako o swoje... paliwo?

— Jesteś królem i robisz to, co król. Moja siostra uczy się tkać. Syn, to jest Cian, gemæcce mojej matki uczy się walczyć mieczem. Ja pragnę ścieżki.

— Ścieżki? To jest twoja cena?

Cena? Miała świadomość, że zbliża się służący z poduszką dla niej, ale teraz nie śmiała przerwać.

— Chcę się uczyć, wędrować, pytać, myśleć i słuchać jak... jak kapłan albo książę.

— Nie złoto?

— Złoto przychodzi do kapłanów i książąt.

Edwin odchylił do tyłu głowę i roześmiał się.

— A więc dochodzimy do złota. — Wstał i spojrział na swojego scopa. Ten przestał grać falującą melodię i wydobyl z instrumentu dwa stanowcze akordy. — Słuchajcie! — zawołał król. — Chcę rzucić wyzwanie. — Wszyscy wojownicy w halli skupili uwagę na królu. Szybkie wyzwanie oznaczało złoto dla zwycięzcy. — Chociaż, jako że mamy Modresniht, chcę je rzucić pannie.

Zdziwienie. Mężczyźni się rozluźnili, kobiety pochyliły do przodu. Oczy Breguswithy lśniły jak błękitne szkło.

Edwin zdjął z lewej ręki pierwszą bransoletę, objął ją obiema dłońmi — ledwie się zetknęły — i uniósł nad głową. Była zrobiona z miękkiego żółtego złota, gruba jak jego kciuk, warta sto sztuk bydła, dwieście, pięćset. Obrócił ją powoli, tak że odbite od niej światło dotarło do najdalszych zakątków halli. A potem rzucił ją na stół.

— Hildo, księżniczko i bratanico, klejnocie Deiry, który rzuci na naszą drogę światło mądrości i jasnowidzenia, to złoto należy do ciebie. Aby je odebrać, musisz jedynie napełnić nasz puchar biesiadny po brzegi i nie roniąc ani kropli, zanieść go wraz z bransoletą do stołu naszych gości i z powrotem.

Hilda wstała, skinęła na służącego i wskazała mu puchar. Oczy jej matki płonęły tak, że mogłyby roztopić złoto. Złoto, uznanie jej pozycji i ścieżka. Wszystko za jedno przejście halli.

To było niemożliwe. Waga pucharu i bransolety przekraczała połowę tego, co ważyła ona sama.

— Hilda — powiedziała jej matka, delikatnie uderzając w stół dłonią, kiedy mijała ją córka.

— Hilda — powiedziała Hereswitha, kiedy mijała ją siostra.

— Hilda — zawtórowały kobiety przy stole, a potem jeden z gesithów zawołał:

— Hilda!

Bębnienie rąk o stoły przypominało uderzenia fal w Bebbanburgu: było głośnie i nieprzerwane.

— Hilda. Hilda. Hilda.

Nie było wśród nich nikogo, kto nie chciałby zobaczyć, jak dziewczynka wygrywa od króla nagrodę, za którą można by wykupić æthelinga. Szła na fali dźwięku przez całą długość stołów i z powrotem, aż zatrzymała się przed Edwinem po drugiej stronie blatu.

Bransoleta migotała w świetle. Biały miód lśnił w wielkim pucharze. Jej ramiona nie udźwigną obu.

„Siła mężczyzn jest ich słabością... Pies, kłapiący zębami”...

Służący napełnił puchar. Hilda uniosła jedną rękę: „Zaczekaj”.

„Sztyna szyja, napięte mięśnie zadu. Bruzdy w trawie. Rozciąga mięśnie grzbietu. Ugina nogi”...

Spojrzała na Edwina.

— Królu Edwinie, poniosę twoje złoto. Poniosę je jak księżniczka, jak koronę.

I pochyliła głowę — ale i nogi.

Kiedy Edwin położył ciężką bransoletę na jej głowie, Hilda mocno zetknęła nogi w kolanach i wyprostowała się cal, dwa cale. Zupełnie jakby dźwigała świat. Lecz napierała na stopy i unosiła się, aż jej kręgosłup był prosty jak murarski pion, a ciężar

spłynął mięśniami wzdłuż niego do ud, łydek i stóp. Skinęła na służącego i odwróciła się do Dunoda i jego ludzi. A potem przyjęła puchar.

To było dla jej ścieżki, dla jej wolności, dla życia jej i rodziny. Dla jej martwego taty, żeby był z niej dumny. Jest silna. Pochodzi z królewskiego rodu. Wyteży swoją wolę. Dokona tego.

Utkwiła zatem wzrok w Dunodzie, w połysku złota okalającego jego szyję, i ruszyła. Bębnienie się nasiliło, a mężczyźni zaczęli tupać i wiwatować. Kobiety zawodziły. Wrzawa poniosła ją przez hallę, między paleniskami do stołu Dunoda.

— Wypij wszystko, panie, jeśli taka twoja wola — powiedziała, a on tak uczynił jednym długim pociągnięciem przy akompaniamencie okrzyków jego świty.

— Hilda! Światło świata! — zaryczał, a dziewczynka ujęła puchar i popłynęła na fali dźwięku z powrotem do stołu Edwina. Wydawało się, że kroczenie po wyraźnie wytyczonej ścieżce nie jest takie trudne.

Rozdział 3



Komnata królowej w Sancton pachniała krwią, płaczem i, jak pomyślała Hilda, może czymś jeszcze. Stała przy zasłonie w wejściu, obserwując i słuchając, a jej matka i król stali przy pustym łóżku. Tak jak ostatnim razem, kiedy Cwenburh poroniła, jej kobiety umyły ją i przeniosły do nowego pomieszczenia, żeby, kiedy się obudzi, nie musiała pamiętać haftowanej bohaterskiej sceny z białym koniem, kwitnącej jabłoni albo sęka w sosnowej okładzinie sufitu, w które wzbijała wzrok, krzycząc, krwawiąc, prac i płacząc za oślizgłym woreczkiem wielkości pęcherza — za niczym.

— To byłyby dziewczynka, mój królu — rzekła Breguswitha. — To by była twoja tkaczka pokoju.

Edwin się trząsł.

— Jej kobiety zapewniały mnie, że tym razem wszystko jest jak należy.

— Tak, mój królu. Tak sądziły.

— One?

Może matka nigdy jeszcze nie widziała wściekłości Edwina. Hilda postąpiła krok do komnaty.

— Czy ty, pani, nie jesteś jedną z nich?

Kolejny krok i jeszcze jeden, aż stanęła przy stoliku u wezgłowia łóżka.

— O, nie, mój królu — odparła matka Hildy. — To znaczy tak, ale może przypominasz sobie, że po ostatnim razie zasugerowałam królowej, żeby zaczekała, może nawet bardzo długi czas.

— A ty? — Król obrócił się w miejscu do Hildy, która w zamyśleniu wahała kubek królowej. — Może ośmiolatka okaże się mądrzejsza od umysłu wszystkich moich domowników. Wygłoś przepowiednię, o lśniące światło!

Hilda odstawiła kubek. Nie rozumiała, dlaczego Edwin jest taki zły. Żona za bardzo go nie obchodziła, a mimo ostrożnego optymizmu, jaki dwór wyrażał przez ostatnie kilka tygodni w związku z ciążą królowej, to wydarzenie nie mogło nikogo zaskoczyć, nie po wszystkich poprzednich poronieniach. Chodziło zatem o coś innego.

— Wuju, twoja żona nie urodzi już żadnego dziecka.

Nie, dopóki Breguswitha będzie robić to swoje specjalne piwo wrzosowe i maskować smak woskownicy wrotyczem.

— Żadnego?

Pokręciła głową.

— Potrzebuję tkaczki pokoju!

Hilda milczała.

— Potrzebuję. Za wodą ci przekłęci Idingowie zyskują sławę dzięki piegowatemu bachorowi Eochaida, Domnallowi, który przybył ze swoją świtą do Meath i zwyciężył

w jakiejś drobnej potyczce nazywanej przez nich wielką bitwą, a dzisiaj dowiedziałem się, że jeden z nich poślubił piktyjską księżniczkę. Kobieta Piktów! Teraz Idingowie panoszą się po obu końcach rzymskiego wału. Wiesz, co to oznacza?

— Wojnę.

Zamrugał.

— Ujrzałaś to?

Hilda pokręciła głową. Wojna wybuchnie, takie są koleje świata. Młode byczki tylko czekały, żeby starszym powinęła się noga. Wygnani Idingowie czuli siłę, Edwin nie miał żadnej córki, żeby przez zamążpójście zawiązać sojusze z innymi angielskimi królami, a Irlandczycy i Piktowie mogli obserwować starego byka i uznać, że jego rogi są za ciężkie dla jego głowy. Mogli pomyśleć, że nadszedł czas, by runąć z północy i osadzić Idingów na tronie jako królów klientów.

— Wzorem największego byka musisz unieść głowę i pokazać rogi.

— Wciąż są ostre, na bogów. Mam trzystu gesithów, którzy przysięgli służyć mi do śmierci. Daję im bogactwa. Trzeba się mnie bardzo bać!

— Tak, wuju.

— Zajmę wyspę Vannin.

— Tak, wuju.

— Ujrzałaś to?

Hilda była przyzwyczajona do jego nagłych decyzji i równie raptownych ich zmian, lecz nie mogła się przyzwyczać do jego żądań wizji. Spojrzała na matkę, która zrobiła taką samą minę jak podczas Modresniht ponad rok wcześniej — „Rozmawiaj z królem!” — i udała, że cofa się o krok.

Hilda spróbowała powiedzieć Edwinowi, co ujrzała.

— Gawrony w zachodnim lesie budują gniazda wysoko na wiązach. Wiewiórki pomykają obok owoców jarzębiny, nie próbując ich.

Czekał.

Hilda postarała się, jak umiała.

— Gawrony nie spodziewają się silnych wiatrów; wiewiórki wiedzą, że jest jeszcze dużo innego pożywienia.

Chyba nie zrozumiał. Przynajmniej matka kiwała głową. Hilda ledwie zauważalnie cofnęła się.

— Królu mój — odezwała się Breguswitha. — Nasze światło przewodnie przewiduje, że zima jeszcze nie nadejdzie przez jakiś czas. A przy dobrej pogodzie wciąż mógłbyś popłynąć statkiem na wyspę Vannin, póki Fiachnae mac Báetáin z przeklętych Dál nAriadne pije z Ulaidami na ich porośniętej mchem, spowitej mgłą ziemi.

— To ryzykowny plan.

— Tak, mój królu. Lecz ty jesteś odważny, a twój oddział silny.

Edwin wpatrywał się w barwny koc narzucony na zakrwawiony materac. Hilda wątpiła, by w ogóle zauważył piękny wzór utkany z nitek pomarańczowych jak mak i brązowych jak cielece oko. Nie trzeba było światła świata, by przepowiedzieć, że jeśli ten koc nie zostanie wkrótce wyprany, to będzie się nadawał tylko dla służby, a zrobienie takiego koca — gręplowanie, przedzenie, farbowanie i tkanie — zajmowało dwóm

kobietom całą zimę. I jeśli ktoś szybko nie zabierze tego kubka, to ktoś inny może się domyślić, co tu się stało.

— I żadnej tkaczki pokoju?

Patrzył na Hildę.

— Nie, wuju.

— Czy ona umrze?

Hilda nie wierzyła, by jej matka źle życzyła Cwenburh.

— Może nie, jeżeli nie będzie więcej próbowała rodzić dzieci.

Lecz dwa miesiące później, kiedy dwór pakował wozy, by przenieść się do Yorku, gdzie Edwin miał się radzić swoich panów w sprawie zimowej wojny — wojny, którą można było już dawno stoczyć i wygrać, gdyby tak często nie zmieniał zdania — Cwenburh powiedziała swojej kuzynce, Mildburh, że znowu spodziewa się dziecka. Mildburh powiedziała Hereswicie, a ta matce i Hildzie.

Kiedy Breguswitha po raz ostatni sprawdzała ich pomieszczenia, wszystko było pochowane w skrzyniach i workach; służący rozbierali łóżka. Edwin wysłał chłopaka z wezwaniem dla Hildy i jej matki do halli. Otuliły się lekkimi szalami.

Był zimny, szary poranek, wiał wiatr i przelotnie padał deszcz. Poganiacze bydlę wypędzili porykujące woły z ciepłej obory i zajmowali się mozolnym dopasowywaniem jarzm i sprawdzaniem uprzęży. Krople deszczu bębniły o naciągniętą skórę czekających wozów. W miarę ich załadowywania Coelgar i jego ludzie znaczyli je kredą.

W halli panował mrok i chłód. Ognie zostały wygaszone, najlepsze tkaniny ściągnięte i zrolowane, a wielki miecz i włócznia Edwina zdjęte z haków nad jego tronem. Służący stali i wyraźnie czekali na pozwolenie wyniesienia samego tronu. Obok króla stał Coifi, jak zwykle w płaszczu z niedźwiedziej skóry, osłaniającym jego nagie ramiona. Był także czujny Lilla oraz młody gesith — wysoki jak piętnastoletni dąbczak — imieniem Forthere. Stał też najnowszy biskup Chrystusa, jeden z tych mniej pospolitych, którzy unosili do światła zwoje bladej skóry, wpatrywali się w nie i coś mamrotali — ich bóg musi być bardzo dziwny. A nawet ta brzydka staruszka, którą dzieci obrzucały kamieniami, a która wróżyła ze spalonych sosnowych szyszek i lotu ptaków. Hilda słyszała, że wołają na nią Dunne. W halli unosiła się woń ofiarnych olejków i kadzideł.

— Powiedziałyście mi, że nie urodzi już więcej dzieci — zwrócił się do nich król, kiedy weszły do ciemnego pomieszczenia.

— I nie urodziła, mój królu — odparła Breguswitha.

— Jeszcze nie — rzekł Coifi.

— Właśnie — odezwała się staruszka. — Wygląda na silną jak klacz.

— Tak jak za poprzednimi razami — powiedziała Breguswitha.

Wszyscy popatrzyli na Hildę, która nic nie mówiła.

— Chcę wróżb — oznajmił król. — Chcę usłyszeć wszystkich rzeczników bogów w tej halli i chcę ich usłyszeć, zanim usiądę na tym żalonym wozie.

— Królu mój i panie, bogowie wymagają wykonania czynności we właściwym porządku i we właściwych...

— Dzisiaj, Coifi. I zaczniemy od ciebie.

— Teraz?

— Teraz. Poszukaj swojego byczka i noża. — Rozejrzył się. — A czego potrzebujesz ty, matko?

— Tylko otwartej przestrzeni i może ognia.

Edwin wstał i skinął na jednego z kręcących się w pobliżu służących.

— Przynieś pochodnię i trochę chrustu, i przy okazji mój płaszcz. A jeżeli zobaczysz księdza, powiedz mu, że będziemy...

Spojrzał na staruszkę.

— Przy znaku udern.

Czyli przy trzech wysokich wiązach rosnących na południe od bramy, których sylwetki, patrząc od studni przy kuchni, gdzie wypiekano chleb, przecinały horyzont tuż pod miejscem, w którym słońce wisiało na bezchmurnym niebie w ćwiartce dnia przed południem, zwaną udern. Ten dzień nie był bezchmurny. Hilda pomyślała, że może powinna pobiec po grubą płaszcz matki i mufkę. W takim deszczu nie można było rozpaść ognia na szczycie wzgórza, więc wróżba będzie z lotu ptaków, a Hilda wiedziała, że o tej porze dnia przy tych wiązach będzie niewiele gawronów. Trzeba będzie czekać w zimnie, a stawy bolały jej matkę bardziej niż zwykle. Lecz wszyscy już wychodzili i nie było czasu.

Wróżby i ofiary: prymitywne narzędzia bezzębnych petentów. A przynajmniej tak mówiła jej matka, mimo że ćwiczyła z Hildą wszystkie warianty. Wciąż przy tym powtarzała, że największą władzę ma bystry i subtelny umysł, splatający nadzieje, lęki i pragnienia innych w marzenie, jakie chcą usłyszeć. Zawsze musisz też wiedzieć, co chcą usłyszeć — nie tylko to, o czym wszyscy wiedzą, lecz także to, do czego nawet nie odważą się przyznać przed samym sobą. Pokaż im wzór. Daj im pozwolenie na zrobienie tego, co zawsze chcieli zrobić.

Co chciał usłyszeć Edwin?

Zanim król otulony błękitnym płaszczem („Przy naszym kolorze włosów lepszy jest błękit”) stanął przy wiązach, zebrało się tam już niemal czterdzieści osób, łącznie z Coifim i jego pomocnikami, którzy, jak przystało sługom boga, pozbyli się wszystkich żelaznych ostrzy i przywieźli ze sobą ciele. Gesithów było co najmniej dwudziestu. W Sancton się nudzili, nie mając nic do roboty oprócz grania w kości, bicia się o kobiety i polerowania kolczug, a bardzo lubili dobre przepowiednie. Stali przy wiązach, pachnąc żelazem i mocnym alkoholem; włócznie oparli sobie na ramionach, a przy ich pasach u lewej ręki sterczały rękojeści mieczów, wojownik bowiem nie nosił płaszcza, chyba że podczas forsownego marszu. Jeden z nich rzucał wysadzonym klejnotami nożem w narośl na pniu najbliższego wiązu, wyszarpywał go, odchodził i rzucał znowu. Wkrótce rozlegną się drwiny, potem przechwałki, potem pojawią się zakłady, więcej piwa, i w końcu wywiąże się bijatyka.

Przynajmniej przestało padać.

Jakiś mężczyzna, jak się okazało, główny poganiacz bydła, wbiegł na wzgórze, przyklęknął na mokrej trawie i przemówił do króla. Król skinął głową, a potem zawołał do staruszki:

— Wozy są gotowe, matko! Czy twoi bogowie zechcą przemówić?

— Jeżeli pożyczysz mi wojenny róg, wezwę ich, by przemówili.

— Wojenny róg? Doskonale. — Skinął na Lille, który podał mu wielki róg Yffingów. Wyciągnął go przed siebie, by wszyscy mogli go zobaczyć. — Ten wystarczy? — Złoty filigran wokół krawędzi i na czubku rogu lśnił tak jasno jak nieobecne słońce. — Ale pamiętaj, matko, nie zatrzymasz go, nawet jeśli znaki okażą się pomyślne.

Oddał róg Lilli, który podszedł z nim do staruszki.

Zważyła go w dłoniach.

— Znasz, panie, znaki związane z czarnoskrzydłymi ptakami.

Hilda, która dotąd przyglądała się gesithowi ze sztyłem — Cian będzie miał niedługo urodziny, więc zastanawiała się, skąd mogłaby zdobyć dla niego taką ładną rzecz — skupiła się na staruszce. Breguswitha wyprostowała się lekko. Nie patrzyły na siebie. Czarnoskrzydły ptak. Dlaczego nie mogła po prostu powiedzieć „gawron”? Jeśli podczas undernu ptaki lecą z południowego zachodu, zwiastują liczne potomstwo. Jeśli przelatują nad głowami, spełnienie życzeń.

Hilda przebiegła myślami znaki, których nauczyła ją matka. Jeśli podczas morgenu, pierwszej ćwiartki dnia, ptaki lecą z południowego wschodu, nadciągnie wróg. Lot ze wschodu był trudniejszy: przybycie krewnych, bitwa albo śmiertelna choroba. Jeżeli podczas æfenu ptaki przelatywały na południowym wschodzie, zwiastowały skarby, a ich przelot nad głową oznaczał, że petent uzyska to, o co prosi. Były też bardziej złowieszcze obserwacje pojedynczych ptaków i przeciwne wróżby przypisywane ich parom. Teraz jednak trwał undern, ćwiartka dnia zakończona najwyższym położeniem słońca, a ich interesowały gawrony, wiele gawronów lecących z południowego zachodu albo przelatujących nad głowami, bo wśród wiązków wskazujących undern i w leżącym za nimi wiązkowym lesie przesiadywały właśnie gawrony. Co chciał usłyszeć Edwin? Chciał mieć tkaczkę pokoju, owszem, ale co jeszcze?

Staruszka uniosła róg do ust i zadęła w niego tak mocno, że zaskoczyła wszystkich. Poniżej, w ogrodzonej osadzie, zarżały dwa konie bojowe. Zawyły psy bojowe, a inne się rozszczękały. Gesithowie chwycili włócznie w dłonie. Jeden, który miał przy sobie tarczę, osłonił się nią. Wtedy Hilda zrozumiała. Wojenny róg. Rozpoznawali go ludzie i zwierzęta. Nawet wrony i kruki. A wrony i kruki gnieździły się na południe i zachód od Sancton, wśród wiązków i dębów po drugiej stronie rzeki. Kruki wiedziały, co to jest wojna, wiedziały, że wojna to źródło smacznych kąsków. Przylecą.

Przyfrunęło ich siedem: nadciągnęły z krakaniem od południowego zachodu, duże, czarne i lśniące, a potem raz przeleciały nad głowami ludzi i wylądowały hałaśliwie na trawiastym szczycie wzgórza.

— Siedem czarnoskrzydłych ptaków z południowego zachodu, które następnie przefrunęły nad głowami, mój królu. Siedem, najszcześniejsza liczba ze wszystkich. Liczne potomstwo i spełnienie pragnień, królu. Dunne mówi, że będziesz miał swoją tkaczkę pokoju.

— A ty, matko Dunne, swoją nagrodę. — Edwin poszukał wzrokiem Coelgara, przypomniał sobie, że pewnie jest przy wozach. — Lilla wyda odpowiednie rozkazy, by niczego ci nie brakło w zimie.

To był niezaprzeczalny znak. Staruszka była sprytna. Przywabiła kruki wojennym rogiem. Hilda to zapamięta.

Król, teraz w znakomitym humorze, spojrzął na chrześcijańskiego biskupa.

— A ty, Anaocu?

Księża byli na ogół wysłannikami z brytyjskich królestw, przybyłymi do króla na rozmowy o handlu, sojuszach i małżeństwach. Anaoc pochodził z królestwa południowozachodnich wealh lub, jak je nazywali, Dyfneintu, którego wszyscy królowie nosili imię Geraint.

— Chrystus i jego zwolennicy wyrzekają się *superstitiones*.

— Nie pluj — powiedział król, wciąż uśmiechnięty.

Anaoc przełknął ślinę.

— Panie mój, my odrzucamy wróżenie, bałwochwalstwo i przysięganie na głowy zwierząt.

Superstitiones. Hilda wypróbowała to słowo. *Superstitiones*. To pewnie łacina.

— Ale to działa, Anaocu.

— Temu nie zaprzeczamy, panie. My, którzy żyjemy w blasku Chrystusa, uznajemy *superstitiones* za grzech nie dlatego, że są nieskuteczne, ale dlatego, że są skuteczne dzięki interwencji demonów.

— Demonów.

— Sług diabła, przeciwnika Boga.

Edwin podrapał siwe wężę w swojej brodzie.

— Jesteś zuchwałym człowiekiem. Czy ta zuchwałość oznacza, że twój książe nie potrzebuje już mojej pomocy przeciwko Gewissom?

— Nie, panie mój! To znaczy tak, panie, nasza potrzeba jest wielce nagła. Tylko ja ci nie mogę pomóc, ponieważ mój Bóg nie przemawia poprzez zwierzęta czy inne znaki.

— Mimo że czynią tak wrogowie twojego boga?

Anaoc skinął ze smutkiem głową.

— A zatem bóg mówiący poprzez swoje ptaki, że będę miał więcej dzieci, przemawia jako wróg twojego boga?

Anaoc milczał.

— To jest bardzo interesujące, kapłanie. Czy mam zatem uwierzyć, że twój bóg nie chce, żebym miał więcej dzieci?

Jeden z bardziej pijanych gesithów splunął. Hilda wątpiła, by w ogóle słuchał, ale Anaoc znowu przełknął ślinę i pochylił głowę.

— Wybacz mi, panie, ale jestem jedynie śmiertelnikiem. Mój Bóg nie wyjawia mi swoich życzeń.

— A więc jaki z ciebie pożytek dla ludzi i zwierząt?

Podmuch wiatru strząsnął z wiązów undernu deszcz kropel. Wołek Coifiego zaryczał.

Edwin uśmiechnął się.

— Porozmawiamy o twoim Chrystusowym bogu i jego wrogach kiedy indziej, kapłanie. Coifi, kapłan Wodena, ma ciełą, którego wnętrzości pragną opowiedzieć o naszym przeznaczeniu.

Anaoc skłonił się i cofnął. Kiedy sądził, że nikt nie patrzy, wytarł rękawem czoło. Prośba Dyfneintu nie zostanie spełniona, bo on zawiódł; królestwo wkrótce ulegnie

Gewissom, a jego lud zostanie sprzedany w niewolę. Hilda zadała sobie pytanie, czy bóg księdza da mu wtedy pociechę.

Przeniosła uwagę na Coifiego, którego pomocnicy trzymali ciele za nozdrza, a on sam zaczął powoli uderzać jedną ręką w bębenek. Dum-dum, dum-dum, jak bicie serca — chociaż bez ścian rytualnej zagrody dźwięk nie rezonował, nie brzmiał groźnie.

Tempo uderzeń narastało, jakby serce biło coraz szybciej. Z dała od zwykłego miejsca odprawiania uroczystości dźwięk był słaby, niewłaściwy. Może dlatego, że rodzenie dzieci to sprawa kobiet, a Woden był przywódcą Dzikiego Łowu, zabierał zmarłych, był bogiem bogów, bogiem mężczyzn; nawet wiązy, przy których stali, były drzewami mężczyzn.

Najbliższa kępa jesionów znajdowała się ponad milę w górę rzeki. Hilda była tam z Cianem ledwie kilka dni wcześniej. Wtedy też było mokro, a Cian znowu zastanawiał się na głos, kto mu podaruje miecz. Wkrótce opadną liście, powiedział, i nadejdą jego urodziny i urodziny Hildy, pewnego dnia skończy piętnaście lat i nie będzie nikogo, kto mu da miecz. Hilda znowu mu powiedziała, że wszystko będzie dobrze, że ona wie, iż będzie dobrze, tylko nie wie, jak do tego dojdzie.

Bębenek umilkł. Coifi podał go młodzieńcowi stojącemu za nim i uniósł nagie ramiona.

— Wodzenie! Wszechojcz! Mężu Eorðe. — Edwin pochylił się do przodu i Hilda wyczuła, że jej matka lekko się poruszyła; uświadomiła sobie coś. Hilda nie śmiała jednak na nią spojrzeć. — Stoi tu oto twój po wielekroć syn, Edwin syn Ælli, syna Yffiego, syna Wuscfrei, syna Wilgisla, syna Westerfalki, syna Sæfugla, syna Sæbalda, syna Segegeata, syna Swebdæga, syna Sigegara, syna Wædæga, syna Wodena, boga bogów, i jego żony Eorðe. Prosi, byście oboje kierowali moją ręką, gdy będę wam dawał wołka, abyście mogli obwieścić swoją wolę w sprawie tkaczki pokoju dla waszego syna i jego żony, Cwenburh.

Wyciągnął rękę w stronę pomocnika z bębenkiem, który podał mu czarny nóż.

W Goodmanham i w zagrodzie tutaj, w Sancton, Coifi miał pozbawione dachu świątynie z podłogą z desek, które przed każdą ofiarą szorowano do białości. Hilda zastanawiała się, jak zostaną odczytane wzory krwi na mokrej i już śliskiej trawie.

Wołek wiedział, że coś się stanie. Może w napiętej uwadze gesithów wyczuł świadomość krwi. Zaryczał i próbował kopnąć pomocników Coifiego, ale jednemu z nich udało się chwycić ciele za ogon i unieść, na co zwierzę zareagowało wyciągnięciem szyi i opuszczeniem łba. Coifi rozplątał mu gardło płynnym skośnym ruchem od siebie. Krew wylała się z rozciętej szyi czerwoną ścianą, jak w przedstawieniu mima. Pryskała i bulgotała, a kiedy przednie nogi wołka się ugięły, Coifi poruszył się znowu, lecz tym razem Hilda zobaczyła, że kapłan z wysiłkiem napina mięśnie, błyskawicznie przeciągając nożem po brzuchu zwierzęcia. Jego wnętrzności wypadły na ziemię.

Tworzyły zgrabny tobolek, co stanowiło dobry znak, chociaż wciąż były połączone z ciałem przez jelito i paskudnym zrzędzeniem losu bardzo przypominały ogromnego martwego noworodka ze zwisającą pępowiną. Coifi szybko przeciął jelito, ale wszyscy to widzieli.

— Krew, mój królu — powiedział, pokazując nożem.

Całe przedramię miał czerwone i lśniące od krwi; Hilda dostrzegła, że jego sztywne włoski wyprostowały się jak czerwone robaki po deszczu.

Król, jak wszyscy inni, miał trudności z oderwaniem wzroku od obrzydliwego tobołka z wnętrznościami i przeniesieniem go na plamę krwi pełznącą niemrawo jak zmarznięty wąż w dół zbocza ku wiązom.

— Woden przemówił! — zawołał Coifi. — Wzywa krew do siebie. Przyjmuje twoją ofiarę. Będziesz miał swoją tkaczkę pokoju.

Lecz bez zamkniętej przestrzeni, do której był szkolony jego głos, oświadczenie to nie miało siły, przypominając raczej wylinkę niż samego węża.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Owionął ich duszący, słodkawy zapach krwi. Gesithom to się nie podobało, przypominało im o zbyt wielu poległych braciach. Edwin kręcił głową. Jemu też to się nie podobało.

Chmury zgęstniały i pociemniały, ptaki zaczęły inaczej śpiewać. Znowu zanosilo się na deszcz.

Breguswitha zarzuciła koniec szala na ramię i postąpiła do przodu, dotykając wróżebnego kryształu na swoim pasku. Machnęła ręką w stronę tobołka z wnętrznościami, błyszczącego przy wypatroszonym cielęciu.

— To jest zapach łoża królowej.

— Widziałaś to? — zapytał Edwin.

— Na jawie i we śnie. — Sny stanowiły najpotężniejsze przepowiednie. — Ta królowa nie da ci tkaczki pokoju.

Ta królowa.

Żołądek Hildy ścisnął się do grudki tak twardej, jak dwukrotnie pieczony chleb. Zapach był okropny, a jej matka będzie do tego doprowadzać za każdym razem. Czy oni tego nie widzą?

Uniosła twarz ku niebu. Chmury były gęste jak ścisła czarna wełna wyżynnych owiec. Chciała, żeby zaczęło padać.

— A ty? — zwrócił się do niej Edwin. Jego pozieleniałe oczy lśniły w coraz niklejszym świetle poranka. — Ty też to widziałaś?

Hildzie przysła nagle do głowy ohydna myśl: Co by było, gdyby wszystko, co kiedykolwiek straciło życie, leżało tam, gdzie upadło? Wszystkie zamrznęte ptaki, poronione jagnięta, młode zające rozszarpane przez lisy. Wielka odrażająca kostnica. A jeśli świat nigdy się nie oczyści?

— Wszystko zostanie zmyte — powiedziała Hilda desperacko. Do tej pory zawsze tak było. — Spadnie deszcz, krew się rozmyje, truchło zniknie i wszystko będzie świeże i nowe.

Prawda?

Wtem na jej karku rozprysnęła się ciężka kropla. Hilda wystawiła twarz na zimny, czysty deszcz.

Coifi spojrzał na nią. Oczy miał czarne i beznamiętne jak gronostaj, który obserwuje pisklę wypadłe z gniazda, lecz wtedy Breguswitha naciągnęła Hildzie na głowę swój szal i łokciem zasłoniła widok kapłanowi. Nie zasłoniła go jednak Edwinowi, gesithom ani Anaocowi. Jej matka chciała, by zapamiętali, co powiedziała: „wszystko

będzie świeże i nowe”. Nie miała pojęcia, dlaczego to jest ważne; serce biło jej jak młotem. Była jednak nauczona okazywać spokojną twarz, więc naciągnęła na głowę własne okrycie i spojrzała na nich. Anaoc zrobił przed twarzą i piersią szybki ruch dłonią, jaki czynili kapłani Chrystusa, kiedy się bali.

Wrócił poganiacz bydła, tym razem z Coelgarem. Rozmawiając z królem, poganiacz przestępował z nogi na nogę. Edwin słuchał, kiwał głową, a potem odwrócił się do swojej świty.

— Wozy pogrążają się w błocie tak szybko, że jeśli będziemy dłużej zwlekać, to dotkną kołami korzeni jedyne drzewa. Odjeżdżamy.

Spojrzenie, jakie posłał wycofującym się z szacunkiem Coifiemu i Anaocowi, było pełne niezadowolenia. Gesithowie rozchodzili się powoli; byli wybrani przez króla i nigdy nie musieli się uczyć służalczości kapłanów.

Edwin odwrócił się do Hildy.

— A więc panujesz także nad pogodą.

Zaczęła kręcić głową, ale jej matka położyła rękę na jej ramionach i mocno uścisnęła ze słowami:

— Przepelnia ją światło, którego jeszcze nie rozumie, mój królu.

— W przeciwieństwie do ciebie. — Zaśmiał się krótko. — A zatem pojedziecie w moim wozie, żebyśmy mogli omówić sprawę Cwenburh i jej zdrowia oraz tego, gdzie szukać owego nowego początku.

W wozie matka i wuj rozmawiali o widokach na małżeństwo. Hilda słuchała pilnie, rozpoznając imiona różnych książąt z Kentu, wschodnioangielskich æthelingów i, ku swojemu zaskoczeniu, Hereswithy. Tego chciał Edwin: nie tylko sojuszu wypracowanego przez tkaczkę pokoju, ale nowej żony wnoszącej własną, jeszcze nawet silniejszą więź z innym królestwem. Coifi tego nie rozumiał. Matka rozumiała i zaczęła planować... Hilda przeżyła chwilę strachu, lecz teraz była z matką, bezpieczna od kapłanów. Nie chciała o tym myśleć. Zasnęła.

W Yorku doradcy, tanowie i gesithowie Edwina zgodzili się, że wyspę Vannin, leżącą w połowie drogi między Irlandią i Brytanią, można i należy zająć. Oddział zbrojny wyruszył, kiedy zaczęły żółknąć liście. Brzuch Cwenburh rósł w ciągu tych dwóch miesięcy, jakie zostały do Godów, rósł w ciągu dwunastu dni ucztowania na pozbawionym króla dworze, rósł, kiedy kobiety królewskiego rodu i ich osobiści służący — ludzie jak Burgræd i jego teraz już wyrosnięty syn Burgmod — płynęli powoli statkiem w dół rzeki do Brough, a potem przesiedli się na większe statki i pozęglowali wzdłuż skalistego wybrzeża północnego morza do Bebbanburga. Zimne, ciężkie zimowe fale morza rozbijającego się o kamienne fundamenty fortu zmieniły się w niespokojne wiry wiosny, a brzuch królowej rósł. Rósł, kiedy przyszły wieści, że krowy w Yeavinging są pękate od cieląt, że w dolinach wcześniej i licznie pojawiły się trzmielce i że będzie to wiosna obfitości.

W kamiennej fortecy Hilda obserwowała matkę, która pod nieobecność Edwina i z racji zaabsorbowania Cwenburh swoim brzuchem mocniejszą ręką prowadziła gospodarstwo i śmiała się razem z królową z powodu jej szczęścia. Sprawiała wrażenie nieporuszonej kwitującym zdrowiem królowej. W miarę jak dni się wydłużały, spędzała

czas na uczeniu Hereswithy i Mildburh skomplikowanej sztuki splotów pętelkowych. Musiało to być trudne, bo przyprawiało Hereswithę o zły humor. Wieczorami, kiedy światło nadawało się tylko do przędzenia i motania, dołączały do innych kobiet i ich gemæcce — stara kobieta ze starą, młoda z młodą — kobiet, które przez całe lata razem tkwały, przędły i gręplowały, wspólnie przeżywały pierwsze krwawienie, małżeństwo i porody, opiekowały się wzajemnie swoimi niemowlętami i raczkującymi dziećmi, opatrywały otarte kolana i łokcie starszych dzieci, kobiet, które opłakiwały swoje i cudze dzieci zmarłe na wilgoć w płucach albo w połogu, albo zabite na polowaniu — a wszystko to w trakcie przędzenia, gręplowania i tkania, strzyżenia, międlenia i siania. Hereswitha i Mildburh, Breguswitha i Onnena, Cwenburh i Teneshilda, stara Burgena i Æffe. Onnena była jedyną wealh. Hilda obserwowała je oraz inne nieprzepasane jeszcze dziewczęta — Cille i Leofe, które już były sobie przeznaczone, i pół tuzina młodszych — i zastanawiała się, kiedy matka wybierze dla niej gemæcce i kto to będzie. Hilda była wyższa od wszystkich innych dziewcząt bez pary, nawet od tych z pączkującymi piersiami, tak jak jej matka była wyższa od królowej, a Cian był wyjątkowo wysoki jak na syna wealh. W opowieściach wysoki wzrost i królewskie pochodzenie szły w parze.

Zwykle wysoko urodzonej dziewczynie przydzielano do pary dziewczynę o nieco gorszym pochodzeniu, żeby mogły razem podróżować, kiedy jedna z nich wyjdzie za mąż. W wypadku Hereswithy i Mildburh ta ostatnia mogła być kuzynką królowej, lecz Hereswitha była najznamienitszą niezamężną krewną króla. To ona miała być tkaczką pokoju. Lecz może niezbyt długo, gdyby Cwenburh donosiła dziecko i urodziła dziewczynkę.

Tego wieczoru zapaliły woskowe świece, co było nowym luksusem, bo Ædilgitha, która niedawno wróciła ze swoją gemæcce, Folcwiną, z dworu Anglów Wschodnich, powiedziała, że królowa i córki Rædwalda robią przy takim świetle wspaniałe hafty i że dwór bardzo na tym zyskuje. Rzeczywiście, pomyślała Hilda, nawijając wełnę z niebieskozielonego motka utrzymanego przez Ædilgithę — bo Folcwiną trzęsła się od febry, niewątpliwie zachorowała na wschodnioangielskim bagnie, które mijają po drodze na wybrzeże — świece rzucały światło białe i czyste jak blask księżycy. Chociaż blask księżycy nigdy nie migotał tak jak światło świecy, kiedy któraś z kobiet zarzucała welon na ramię — Ædilgitha mówiła, że Angielki noszą dłuższe welony — albo wstawała, by poprawić suknię, i znowu siadała na stołku lub na miękkim wyściełanym kufrze podróżnym.

Ædilgitha klepnęła Hildę w bok dłoni i zwróciła jej uwagę, żeby pilnowała napięcia rozciągniętej między nimi przędzy.

— Podoba mi się ten kolor — rzekła.

— Jest nierówny — odparła Hilda, myśląc o kobietach ze wschodniej Anglii. — Nadaje się tylko dla służby.

Ædilgitha wbiła w nią gniewne spojrzenie, a Hilda je odwzajemniła. Po chwili Ædilgitha postanowiła zignorować zniewagę.

— Folc sądzi, że jeśli rok będzie tak bogaty, jak się zapowiada, handel będzie dobry, a król hojny, to może kupimy indygo. Pomyśl o tym. Rezeda i indygo dałyby zielen jaskrawą jak pióra perkoza.

— Jak twoje oczy — powiedziała Hilda na zgodę.

Ædilgitha była znana z tego, że chlubiła się swoimi oczami. Najcenniejszą rzeczą, jaką miała, był pierścionek z berylem. Hilda kiedyś podsłuchiwała, jak Ædilgitha mówi Folcwinie, że poślubi tylko tego, kto da jej beryle do uszu i zielone kamienie do opaski przy welonie. Hilda pomyślała, kogo mogłaby poślubić Hereswitha, a potem przypomniała sobie, jak jej imię padło w królewskim wozie. Już teraz wydawało się jej, że było to dawno temu. Hereswitha zaczęła krwawić ponad rok później. Onnena mówiła, że już dawno temu powinno się jej znaleźć męża. Ale czy wyszłaby za mąż jako tkaczka pokoju zwycięskiego zwierzchniego króla czy jako gemæcce kuzynki królowej, poślubiając pokonanego watażkę z północy? Wszystko zależało nie tylko od Cwenburh, lecz od walki o wyspę Vannin, a nie było stamtąd żadnych wieści.

Hilda zrobiła to, co zawsze robiła, kiedy nie mogła wpłynąć na bieg wypadków — przestała o tym myśleć.

Cwenburh siedziała spokojnie oparta o Teneshildę, która śmiała się z Æffe pokazującej na świeżo pobieloną ścianę naprzeciwko wejścia.

— Tak — mówiła Æffe. — Kolorowa farba na ścianach jak w podziemiach w Yorku. Cokolwiek zechcesz. Widziałam to też dawno temu we Frankonii.

— Jakieś malowidło? — zapytała Teneshilda.

— Królowa miała malowidło z parami uprawiającymi miłość, które zakrywała gobelinem i odsłaniała tylko wtedy, kiedy wiedziała, że będzie sama ze swoimi kobietami. Teraz słuchały wszystkie.

— Byli wyposażeni jak ogiery.

— Jak dla mnie to trochę niewygodne — rzekła Burgena.

Kilka kobiet zmieniło pozycję na stołkach.

— Ale muszę wam powiedzieć, że w młodości widziałam mężczyznę, przy którym mógłby się schować stary Thuddor, byk z Yeavinging.

— Tylko widziałas? — zapytała Burgena.

— Tak — odparła Æffe z takim żalem, że wszystkie się roześmiały. — Był pastuszkiem mojego brata. Zaganiał cielęta do wytrzebienia. Był gorący dzień. Nie wiedział, że tam jestem. Zdjął tunikę i cały oblał się wodą. — Uśmiechnęła się szeroko. — Woda była bardzo zimna. Zanim się zmoczył, mógł wyglądać jak Thuddor, ale potem bardziej przypominał wołka.

Zaczęły opowiadać wątpliwej jakości żarty, a potem Burgena wdała się w poważniejsze wyjaśnienia, jak utrzymać śliskość cipki, żeby można było wpuszczać swojego chłopca do środka tyle razy, ile się chciało bez względu na to, jak dużego miał fallusa. Skrytykowała gęsi tłuszcz, chwilę zastanawiała się nad olejem lnianym i właśnie zamierzała omówić zalety oleju z orzechów frankijskich, kiedy Cwenburh wyprostowała się i zapytała:

— Widziałyście kiedyś fontannę?

Kilka starszych kobiet, które wiele podróżowały i wiedziały, co to jest fontanna, uśmiechnęło się, spodziewając się kolejnego żartu.

Burgena podjęła temat.

— Wszyscy mężowie są fontannami, jeśli dobrze ich potraktujecie.

— Nie — rzekła królowa. — Prawdziwą fontannę, zbudowaną z kamienia. Widziałyście taką? — W dziwnym białym świetle woskowych świeczek sprawiała wrażenie bladej. — Słyszałam, że jest fontanna pod wielkim wałem, w Caer Luel, fontanna, która wciąż działa. Taki malunek chciałabym mieć na ścianie w mojej sypialni.

— Co to jest fontanna? — zapytała Leofe.

— Dziobek z białego kamienia na dziedzińcu z białego kamienia, z którego tryska woda podobna do oddechu wieloryba.

— Naprawdę? — spytała Ædilgitha.

— Och, tak — odparła Æffe. — A potem całość zaczyna śpiewać i odlatuje.

— Nie — rzekła Cwenburh. — Ona jest prawdziwa. Powiedział mi o niej kiedyś ksiądz Chrystusa. Powiedział, że w lecie jest tam tak, jakby się stało przy wodospadzie i jest chłodno jak w jaskini. Wyobraźcie sobie, w środku lata chłodno jak w jaskini.

Wytarła szyję. Pociła się. W zimie.

Hilda rozejrzała się i zauważyła, że matka uważnie przygląda się królowej.

— Fontanna — ciągnęła Cwenburh. — Chciałabym mieć fontannę. Namalowaną przynajmniej jedną, żebym, leżąc na łóżku, leżąc na łóżku...

Zgięła się nagle wpół jak szpilka do włosów.

Teneshilda położyła rękę na jej ramieniu.

— Królowo?

Cwenburh krzyknęła żałośnie jak ptak schwyty w sieć.

Breguswitha wstała.

— Połóżcie ją, natychmiast ją połóżcie. Rozluźnijcie jej przepaskę.

— To pewnie przez dziecko — stwierdziła Teneshilda.

— Tak, i to za wcześnie. Hildo, przynieś mój tobolek. Ædilgitho, przynieś zimnej wody, zimnej, powtarzam, do picia, a wy, panie, jeśli mogę was prosić — te słowa skierowała do Æffe i Burgeny — zgromadźcie świece, żebym dobrze widziała, wyproście wszystkich, a potem poproście służących o gorącą wodę. Milburh, Hereswitho, zostańcie ze mną. Królowa będzie potrzebowała krewniaczki. Nie — powiedziała do Teneshildy, która unosiła zasłonę do alkowy królowej — nie ma na to czasu. Pomóż mi, Onneno.

Nie było czasu na nic. Ani na to, by Ædilgitha wróciła z wodą, ani na pożegnania, tylko na jeden długi jęk, powolny wyciek krwi i westchnienie. Królowa była martwa.

Hilda patrzyła na matkę, gdy ta zamykała oczy Cwenburh. Kolor włosów matki nie był już taki sam jak Hereswithy. Ich piękny miodowy połysk stracił głębię i włosy wyglądały jak przysypane popiołem, jak płatki kwiatów tracące żywość kolorów, zanim zwiędną i opadną. To Hereswitha miała właśnie rozkwitnąć. I dzięki matce w odpowiednim czasie zajmie swoje miejsce tkaczki pokoju.

Breguswitha podniosła wzrok, zobaczyła, że Hilda ją obserwuje, i uśmiechnęła się. Nic nie mówiła, lecz Hilda wiedziała, co myśli: Dzięki mnie właśnie ziściła się twoja przepowiednia. Król da nam wszystko, o czym marzyliśmy.

Hilda leżała na brzuchu na poddaszu nowej obory w Yeavinging i patrzyła w dół przez szpary między belkami na starego kocura, który lubił zwijać się w kłębek na słomie między mlecznymi krowami. Kłuły ją przez suknię spodnią gałązki „siana drzewnego”,

lecz ledwie to zauważała. Część uwagi skupiała na kocurze — nie miał lewego ucha, lecz blizna była zbyt równa, by stracił je w walce z innym kotem na wojennym szlaku. Kiedy lato z zielonego zmieni się w złote, miała towarzyszyć królowi i jego oddziałowi. Zobaczy fontannę i czyny godne pieśni. Może będą śpiewać o niej. Jest światłem świata. Wszystko, co mówi, staje się prawdą.

Przed zwinieniem się w kłębek kocur lubił się myć. Zawsze zaczynał od genitaliów. Przypominał jej starych tanów, którzy kiedyś byli gesithami, lecz teraz mieszkali na ziemiach nadanych im przez króla. Kiedy przyjeżdżali w odwiedziny, drapali się w krocze, a po wypiciu za dużej ilości miodu zanudzali młodych gesithów opowieściami o tym, jak to za ich czasów było trudno, i przysięgali, że, na Thunora, gdyby nie mieli obowiązków w domu, utworzyliby wraz z nimi ścianę z tarcz i jeszcze pokazałoby młokosom parę rzeczy!

Może zobaczy ścianę z tarcz. Może dostrzeże wzory, jakich nie umiał dostrzec nikt inny. Dla króla, który chciał słuchać, mogła być warta dwudziestu gesithów...

Kot wylizał sobie cały brzuch i skupił się teraz na przednich łapkach. Monotonia ruchów świadczyła, że zapada w sen. Hilda usłyszała głos matki.

— ...nie mogę. Nie. Angielskie panie nie podążają wojennym szlakiem.

— A nisko urodzone wealh tak? — To był głos Onnenny. Znajdowały się tuż pod nią. — Na litość, to jeszcze dziecko.

Hilda nie widziała ich; szpara między belkami znajdowała się w nieodpowiednim miejscu. Przysunęła się do krawędzi podestu i znieruchomiała. Jeżeli stoją przodem do niej, to jeśli wyjrzy za krawędź, zobaczą ją. Przywarła do desek, siłą woli zmusiła serce, żeby przestało tak mocno bić, i nadstawiła uszu.

— ...pochodzi z rodu Yffingów — mówiła matka.

— Ma dziewięć lat.

— Jak mus, to mus. — Szelest ubrania, zahaczenie paznokciem o materiał. Matka postąpiła krok do przodu, żeby położyć rękę na ramieniu Onnenny? — A Edwin dopiero co przejechał przez te tereny po drodze do Vannin. Przez większość z nich. Znają jego siłę. Nie zdołają jej sprostać. Nie będą próbować. Będzie bezpieczna. I pomyśl tylko: parę miesięcy pod okiem króla jako światło świata! Parę miesięcy!

— I parę miesięcy z dala od króla dla ciebie, żebyś mogła snuć swoje intrygi.

Milczenie. Hilda знаła to milczenie i nie zdziwił jej chłodny ton matki.

— Hereswitha potrzebuje szkolenia. Tutaj.

Tutaj. Hilda zmarszczyła brwi.

— Proszę cię — powiedziała matka, a Hildzie ścisnęło się serce. Nigdy nie słyszała, żeby matka o coś prosiła. — Zapewnij jej bezpieczeństwo ze względu na mnie.

Onnena westchnęła.

— A jeśli nie zdołam?

— Zdołasz.

Hilda usiłowała się w tym wszystkim rozeznąć. Matka nie wybierała się razem z nią. Zostawała, by szkolić Hereswithę. Matka i Hereswitha nigdzie nie jechały.

— ...jak ty — mówiła Onnena. — Niektóre z moich decyzji... nie spodobają ci się.

— To nie będzie pierwszy raz, prawda?

Teraz matka sprawiała wrażenie znużonej, co przeraziło Hildę jeszcze bardziej. Szelest. Odgłosy kobiet odwracających się do wyjścia, sprawdzających, czy ich mankiety i welony są odpowiednio ułożone.

Zaczekajcie, pomyślała. Zaczekajcie. Nie chciała iść na wojenny szlak. Nie chciała być tematem pieśni. Chciała zostać z matką.

Przetoczyła się na plecy i popatrzyła na krokwie. To nie miało znaczenia. Król już się zgodził, a kiedy król się zgadzał, sprawa była zamknięta. Jechała z matką czy bez niej. „Z rodu Yffingów — powiedziała matka. — Jak mus, to mus. I proszę”.

Kiedy wyjrzała za krawędź podestu, kocura już nie było. Czy gdyby nie wróciła, ktoś by za nim tęsknił?

Rozdział 4



W dawnych czasach, kiedy królem Bryneichów był Morcant Morderca, ætheling Hereric spodziewał się zostać królem po śmierci swojego ojca, a Edwin stał jedynie w odwodzie, szlak do leżącego na wzgórzu nadbrzeżnego fortu Colud obfitował w zasadzki. I rzeczywiście, kiedy zbrojny oddział — Lilla na przedzie z wielkim sztandarem, a za nim Edwin na czele trzystu gesithów z psami, z Hildą po lewej ręce i æthelingami, Eadfrithem i Osfrithem, po prawej — wyjechał z południowego słońca ku morzu, Hilda zobaczyła, że czekają na nich uzbrojeni Bryneichowie na koniach. Jednak wojownicy oraz ich pan, Coledauc ap Morcant, którego nazywali księciem, tarcze mieli przytroczone na plecach, a między nimi i oddziałem Edwina zamiast płotu z włóczni albo pływającej bariery leżała sterta daniny.

Sterta była nieduża i starannie ułożona tak, by całe złoto znalazło się od strony Anglów i lśniło w zachodzącym słońcu. Podobnie, chociaż górskie koniki Bryneichów były wyszczotkowane, a ich grzywy zaplecione, chociaż ich ogłowia błyszcząły tu i ówdzie, to podogonia miały proste, a kiedy któryś z młokosów pochylił się do przodu, by lepiej widzieć Anglów, spod jego płaszcza ukazało się zaniedbane siodło z widocznymi śladami po wydłubanych drogich kamieniach i elementach intarsji. Hilda uświadomiła sobie wysokość własnego wałacha, wagę swojego bogatego, puszystego płaszcza i ogromnej broszy wielkości kolana, przypiętej na lewym ramieniu.

Broszę dostała niedawno. Wcześniej tego dnia, kiedy oddział zatrzymał się, by utworzyć szyk przed opuszczeniem wzgórz, Edwin zajechał swoim kasztanem drogę jej siwkowi i skinął palcem na Coelgara, który przerwał poważną rozmowę z młodymi æthelingami i rzucił mu coś błyszczącego. Edwin chwycił ciężki przedmiot, pochylił się do przodu i przypiął go do płaszcza Hildy.

— Lepiej — orzekł. Brosza ważyła trzy razy tyle co ta z połączanej miedzi, która podczas niedawnego święta Modresniht wydawała się Hildzie tak masywna i bogata. — Tamtą błyskotkę przypnij pod spodem. Moja bratanica nie może wyglądać jak żebraczka. — Zawrócił konia. — Jedź blisko mnie.

Teraz jeden z Bryneichów, ten z harfą na plecach zamiast tarczy, wpatrywał się w nią, w jej broszę, a potem przechylił się do Coledauca i coś mu szepnął. Coledauc spojrzał ponad stertą darów prosto na Hildę.

Hilda wyprostowała się i odwzajemniła spojrzenie.

„Obserwuj mężczyzn i kobiety — powiedziała jej matka. — Wejdz w ich skórę. Wyobraź sobie, co myślą”.

Drobne mięśnie wokół oczu Coledauca napięły się. Rozwahał informacje.

Może jej matka już zapłaciła za śpiewanie pieśni i Coledauc myślał: To musi być prawda, bo żaden król przy zdrowych zmysłach nie wzięłby na wojenny szlak dziecka.

To niby-dziecko z broszą, za którą można by wykupić syna, siedzące w posrebrzanym siodle na wałachu o maści przywodzącej na myśl młodego łabędzia, musi być ową księżniczką o reputacji jasnowidzącej i czarodziejki. Dunod powiedział, że wiedziała o Ceredigu.

Wierzchowiec Coledauca zatańczył w miejscu i rzucił głową. Coledauc na moment zacisnął dłonie na wodzach, a Hilda wyobraziła sobie, że chce się przed nią cofnąć: Aaa, spójrzcie na te oczy! Ich wzrok wbijał się prosto w niego. Czy ona potrafi zobaczyć, co się dzieje w jego sercu?

Obdarzyła go swoim najlepszym niezgłębionym spojrzeniem.

Nie odrywając od niej wzroku, Coledauc skinął głową w stronę barda, który pochylił się w siodle, podniósł coś ze sterty darów i dołożył przedmiot do tych już leżących w poprzek jego łęku. Teraz bard utkwiał spojrzenie w Hildzie — pewnie myślą, że potrafi rzucać uroki — a Coledauc odwrócił się do Edwina. Na chwilę zamknął oczy, a potem się uśmiechnął jak ktoś, kto ma zrobić coś trudnego, ale chce sprawiać wrażenie swobodnego, i spiął konia do przodu.

Sztywność jego ramion i zaciśnięte szczęki krzyczały: „Uzurpator!”. Kiedy się odezwał, wymawiał angielskie słowa ostrożnie, jakby miał w ustach coś obrzydliwego. Hilda zdała sobie sprawę, że każdy ruch ciała Coledauca przeczy jego słowom i że bard cały czas kiwa głową. To on obmyślił tę mowę.

— ...z przyjemnością ofiaruję ci część wielkiego skarbu Bryneichów, byśmy w przyjaźni nadal kroczyli ramię w ramię...

Hilda obserwowała jego ciało, nie zwracając uwagi na słowa.

Przyjaźń! Kiedy ojcowie tych angielskich zwierząt zgnetli jego lud, wypędzili go z ich prawowitych warowni.

— ...i przywitać was w naszej halli.

Usiadł mocniej w siodle, spodziewając się, że uzurpator roześmieje mu się bezczelnie w twarz i zaczeka na jego reakcję. Hilda wiedziała, że on wie, iż nic nie może zrobić. Miał ze sobą pięćdziesięciu ludzi, jeśli liczyć też chłopców i dziadków, a uszy górskich koników, których dosiadali, ledwie sięgały kłębów angielskich wierzchowców.

Edwin skinął głową jak zaufanemu zastępcy, nie wspomniał o nędznej daninie i rozpoczął uprzejmą przemowę o wiecznej przyjaźni, cenionych radach i sprzymierzeńcach przeciwko tym wilkom, Irlandczykom i Piktom, którzy, jak wszyscy wiedzą, nie mają honoru.

Coledauc powoli się odprężył, ale przy tych słowach zeszywniał. Hilda się zamyśliła. Honor. Może Coledauc myślał, że Edwin robi przebiegle aluzję do haniebnych czynów Morcanta, jego ojca. Może robił.

Lecz królewski głos brzmiał łagodnie, więc Coledauc się uspokoił: jeżeli angielski król wypowiada kłamstwa, to są to kłamstwa przyjemne. Wreszcie skończył.

Coledauc skinął ręką na swojego barda.

— Oprócz tych skarbów Bryneichów moja rodzina pragnie okazać bardziej osobiste dowody przyjaźni. Przyjmij od naszego syna Cuncara — Hilda wiedziała, że ma on trzy miesiące i zapewne leży przy palenisku ze swoją matką, z bezgranicznym zadowoleniem ssąc sobie palce u nóg — dary dla swoich synów i dla swojej — tu

odchrząknął — krewnej. Jasnowidzącej.

Dar. Dla jasnowidzącej.

Wiatr wiejący od wzgórz wzmagał się i szarpał grzywką Ilfetu. Hilda pochyliła się i odgarnęła mu ją z oczu. Czuła każdy włos, wyraźny jak len.

Na plaży klóciły się mewy. Bard wciąż na nią patrzył. Twarz miała spokojną jak staw w Goodmanham, lecz jej myśli szaleńczo się kłębiły.

Dar. Od króla. Dla niej jako światła świata. Co powinna uczynić?

Coledauc dał Eadfrithowi miecz. Eadfrith z wielkopańską miną odpiął swój razem z pochwą i podał go w rewanżu Coledaucowi, wygłaszając gładką przemowę. Jednakże Hilda wiedziała, że jego miecz ma osadzony w głowicy wielki błękitny kamień i że wokół krawędzi czerwonej skórzanej pochwy wiją się finezyjnie splecione złote druty, a miecz, który dał Coledaucowi, miał czarną pochwę z okuciem z połączanego srebra na czubku i czerwone szkiełko w głowicy.

On się tego spodziewał.

Osfrith także dał i otrzymał miecz. Jąkając się, rozpoczął przygotowaną mowę, a jego pryszczę przybrały intensywny, odrażający kolor. Miał piętnaście lat, ale teraz wyglądał o wiele młodziej.

Wszyscy oprócz niej wiedzieli, co powiedzieć. Dlaczego nikt jej nie przygotował? Czyżby sądzili, że światło świata to przewidzi? Opuściła wzrok na swoją broszę. Jej wuj to przewidział. Nic jednak nie powiedział. Nie był pewien swego. A gdyby przyznał, że spodziewa się dla swojej bratanicy prezentu od Coledauca, a ten by go nie ofiarował, Edwin musiałby to zauważyć i założyć, że został obrażony. Tak było lepiej — dla niego. Hilda jednak nie wiedziała, co robić.

Matka wiedziałaby. Lecz jej tu nie było, a Onnena znajdowała się z tyłu z innymi kobietami i z Cianem.

Brosza na jej ramieniu była toporna, lecz masywna. Warta więcej niż cokolwiek, co ten król mógłby podarować w zamian. A wuj kazał broszę z połączanej miedzi przypiąć pod spodem. Może miał na myśli to, że gdyby dali jej broszę czy jakąś inną biżuterię małej wartości, powinna dać im tę przypiętą wewnątrz płaszcz.

Osfrith brnął dalej ze swoją mową. Wiatr na chwilę skręcił i powiał ze wschodu, od fortu, przynosząc zapach piekącego się mięsa. Któryś z koni za nią tupnął i rzucił głową; pozostałe poszły w jego ślady — podzwaniały wędzidła i rzędy zdobione klejnotami. Któryś gesith zakaszłał. Wszyscy zaczynali się niecierpliwić. Chcieli rozpocząć ucztę, której zapach czuli.

Osfrith zakończył mowę i cofnął konia do szeregu.

Wysoko nad nimi krążyła mewa, oświetlona od spodu na różowo i złoto. Złoto. Złoto to potęga. Potęga to bezpieczeństwo. Co powinna uczynić?

Wtedy spostrzegła, co bard podał Coledaucowi i, tak jak dawno temu stało się to z Cianem nad stawem, jej umysłem zawładnęło jedno pragnienie.

G

Hilda wyprostowała się nad na wpół zjedzonym talerzem z chleba i dotknęła swojego rzeźniczego seaksa o czarnej rękojeści. Brzeszczot był duży, o wiele za duży jak dla dziesięciolatki. Był jednak darem od króla i gdyby nie miała go u paska w jego halli,

obrazilaby go. Chociaz sadzac po bladych wargach Coledauca, kiedy bard mu go podawal, byc moze to nie król wybral ten podarek. Lecz ruszyła koniem do przodu, odpięła olbrzymią złotą broszę, uniosła ją, żeby zabłyszczała w ostatnich promieniach słońca i mocnym głosem wypowiedziała po brytyjsku życzenie, by Cuncara ap Coledauca, jego ród i jego odnowioną przyjaźń z rodem Yffingów, która będzie wiecznie trwać, spotkało tysiąc błogosławieństw, i wyraziła nadzieję, że na znak tej przyjaźni przyjmą od niej na pamiątkę ten klejnot. Następnie powiedziała to mniej gładko w języku Anglów, dodając, że potrawy pięknie pachną i że wszyscy z radością udadzą się na posiłek. Gesithowie i ludzie Coledauca wydali gromki okrzyk i uderzyli w tarcze i trzeba by więcej niż dwóch królów, by stanąć między wojownikami i ich miodem.

Dwaj królowie usiedli ramię w ramię przy stole honorowym i o czymś rozmawiali. Odbito pierwsze beczułki piwa — słodkiego brązowego piwa wealh. Kiedy królowie odsunęli się od siebie i uścisnęli sobie ręce, obaj wyglądali na zadowolonych z ustaleń. Wydawało się, że wygodnie im było przyjąć wystąpienie Hildy za przepowiednię: tysiąc błogosławieństw dla Coledauca i jego rodu oraz wieczna przyjaźń między Yffingami i Bryneichami. Przepowiednię przypieczętowaną darem klingi. Tak więc mimo znaczącego spojrzenia Onneny, która nalewała Hildzie miód, dziewczynka uśmiechnęła się i oznajmiła, że klingę zachowa i będzie ją nosić. Inaczej przepowiednia mogłaby się nie ziścić. Potem uśmiechnęła się do Ciana, którego na jej życzenie posadzono obok niej.

Ucztowaniu towarzyszyły śpiewy i swobodne picie — oddział Edwina tak znacznie przewyższał liczebnością siły księcia Bryneichów, że wydanie uczyty zamiast bitwy nie stanowiło plamy na honorze i wszyscy mieli doskonały humor; nikt w tym tygodniu nie zginie. Padł też niejeden żart o przyszłym małżeństwie Hildy i małego Cuncara, którego na chwilę przyniosła nianka, a który bardzo Hildzie przypominał prosię. Nawet obie sfory psów bojowych zawarły coś w rodzaju pokoju i leżały obok siebie.

Seax był piękny. Miał rękojeść z czarnego rogu i klingę inkrustowaną wzorami ze srebra i miedzi, a wisiał poziomo u paska Hildy na dwóch pętłach ostrzem do góry w miękkiej czarnej pochwie, celującej w lewo srebrnym okuciem na końcu. Klinga nadawała się do walki i miała bardzo twardy, ostry czubek. Mogła rozciąć ludzką szyję, pokroić dwukrotnie pieczony chleb podróżny albo podzielić pieczeń. Hilda była pewna tych dwóch ostatnich rzeczy, bo sama je wypróbowała, a co do pierwszej nie miała wątpliwości.

Cian bardzo się starał pozbyć zazdrości. Coś w jego spojrzeniu albo może fakt, że pozwolono mu usiąść z Hildą, a ona śmiała się z kukielek, które robił z baranich żeberek i którym udzielał głosu, zaniepokoiło jednego ze znaczniejszych Bryneichów, który szepnął coś do ucha swojemu księciu. Nie wiedzieli, że Cian jest wealh jak oni, ponieważ był wysoki jak Anglowie, ubierał się i mówił jak oni — wśród nieoswojonych wealh nawet Onnena mówiła tylko po angielsku — i podczas toastów książę hojnie podarował Cianowi starą, lecz pięknie pomalowaną tarczę z emaliowanym umbem oraz zdrowego, niedużego konika o maści koloru orzecha, którego chłopiec natychmiast nazwał Acærn.

Kiedy ubywający księżyc znalazł się wysoko na niebie, wezbrały przechwałki i pieśni, a płomienie huczały, Hilda wymknęła się z halli i usiadła w cieniu rzucanym przez porośniętą trawami wydmnę. Pochwę z nożem miała na kolanach, słuchała szumu

nocnego wiatru w trawie i nie myślała o niczym szczególnym.

Ocknęła się, słysząc dyszenie mężczyzny i kobiety, co przypominało odgłosy wydawane przez przegrzane psy, a potem ich śmiech. Rozmawiali. Hilda wychwyciła głos Eadfritha, starszego æthelinga, a potem własne imię.

— ...ten nóż? — powiedziała kobieta. — Rzeźniczy seax dla dziewczki!

— Och, żadna z niej dziewczka — odparł Eadfrith. — To hægtes ubrana w cyrtel.

Potem przez chwilę milczeli. Później Eadfrith zgodził się pomóc kobiecie przynieść jej przydział wody ze strumienia, pod warunkiem że nikt nie zobaczy, jak wykonuje kobiecą pracę, i że ona zgodzi się później na dalsze igry.

Cian znalazł Hildę długo potem, jak odeszli. Nie chciała z nim rozmawiać. Odszedł. Pojawiła się Onnena. Usiadła obok dziewczynki i wytarła kciukiem jej policzek.

— A więc słyszałaś, co mówi twoja własna rodzina. Czy to cię dziwi?

Hilda milczała.

— No i proszę, to jest jeden z powodów, dla których uważają cię za dziwną. Błyskasz oczami, ale nic nie mówisz.

— Nie jestem hægtes.

— Nie, nie. Oczywiście, że nie.

— Nie jestem. Nie jestem też jasnowidząca. Po prostu zauważam różne rzeczy.

— Jeśli nie chcesz być wieszczką, to przestań wieszczyć. A przynajmniej mieszaj przepowiednie z czymś innym. Ludzie wiedzą, że myślisz, ale nie wiedzą co. To ich przeraża.

— Ciebie też?

W blasku księżycy twarz Onnenny była biało-czarna jak twarz mima usmarowana popiołem. Po chwili kobieta powiedziała:

— Przyjęłam cię, kiedy wysunęłaś się z twojej matki. Uczyłam cię pierwszych słów.

Nigdy nie odpowiadała „tak” albo „nie”. Szybko przytuliła Hildę, otulając ją znajomym ostrym kobiecym zapachem z nutą torfowego dymu.

— Och, moja zadziorko. — Hilda odetchnęła głęboko i zadała sobie pytanie, dlaczego jej własna matka nigdy jej tak nie przytula. — Jesteś jak ostry, jasny odprysk gwiazdy. Czasami stanowczo za ostry, za jasny.

Dwa dni później Hilda znowu siedziała na swoim wałachu, Ilfetu, a Cian na Acærnie. Jechali na zachód drogą obok wału, a psy biegały tam i z powrotem wzdłuż oddziału. Droga fascynowała Hildę; była prosta, szeroka i twarda, wybrzuszona pośrodku jak horyzont. Gesithowie spędzali na takich drogach wiele letnich miesięcy, a nieliczne kobiety biorące udział w wyprawie były tak zajęte szukaniem liści trędownika w poszyciu pod leszczynami, woskownicy na materace podróżne, czosnku niedźwiedziego do garnka i ptasich jaj na czas, kiedy nie dopisze dziczyzna, że droga wcale ich nie interesowała. Cian zatopił się w niekończących się pełnych chwały opowieściach, które opowiadali sobie po drodze gesithowie, więc pozostawiona sama sobie Hilda rozmyślała o ludziach, którzy zbudowali coś takiego, a potem odeszli. Usiłowała pamiętać, żeby czasami odzywać się do ludzi, ale przypominała sobie, że Eadfrith nazwał ją hægtes, i nie wiedziała, co ma mówić.

W niektóre dni jechała obok Edwina. Król najczęściej był zadowolony. Podczas zimowej kampanii zajął wyspę Viannin, tracąc przy tym tylko jeden statek, i to wiozący głównie konie; fort na wyspie poddał się od razu, kiedy Fiachnae mac Báetáin zobaczył, ilu Edwin ma ludzi. A teraz Bryneichowie za ich plecami przysięgli im wieczną przyjaźń. Tak więc król przeważnie był zadowolony i pokazywał — czasami tylko Hildzie, czasami swoim synom, którzy już to wszystko słyszeli, ale nawet najbliższym krewnym nie opłacało się ignorować króla — dolinę, gdzie dawno temu zapędził owce skłóconego z nim króla, wzgórze, gdzie spalił fort, albo drzewo trafione przez piorun, co wówczas uznał za zapowiedź powodzi. Kiedy indziej jednak wpadał w zadumę na widok stada srok skrzeczących na polu młodego jęczmienia, ściągał poplamione wodze swojemu wrednemu kasztanowi, który prychał i się zatrzymywał, a król kazał Hildzie mówić, co wróżą takie ptaki. Nie lubiła tych dni. Nic nie sprawiało mu przyjemności. Ciągłe poprawiał się w siodle i dotykał miecza; oczy robiły mu się zielone i błyszczące; kazał Lilli jechać blisko siebie i trzymać tarczę w pogotowiu. Hilda nie znosiła wyjaśniania znaków. Pewnego dnia pomyślała o Cianie, który ze śmiechem opowiadał historyjki, posługując się baraniami żeberkami i sama przemówiła, jakby była jednym z ptaków: tym tłustym, tam; nie, tym z nierównym ogonem, jest zły na swojego brata, o, tam, na tego z robakiem w dziobie, bo pokłócili się o to, który z nich uwije gniazdo na akacji, i wygrał jego brat. A więc ten tłusty nie jest królem, powiedział Edwin. Roześmiał się i zawołał æthelingów, a potem Lintlafa i Blækkę i kazał jej opowiadać o ptakach i ich żonach. Gesithowie pokładali się ze śmiechu. Tak więc czasem jechała w otoczeniu muskularnych wojowników śmiejących się z jej wymyślonych rozmów ptaków, chmur, myszy, psów, liści kolcolistu, a kiedy indziej król marszczył brwi i domagał się przepowiedni, a Hilda ją wygłaszała: „Ptak leci z południa, tak jak z południa przybędzie twoja przyszła żona, królu”, ponieważ pamiętała tamtą dawną rozmowę o Kencie, a gdzie indziej miałby szukać panny młodej? Albo: „Widzisz, jak drozd upuszcza ślimaka na kamień? Tak zginie zmiądzony przez ciebie Fiachnae mac Báetáin, gdyby znowu urósł w siłę i wypełził ze Szmaragdowej Wyspy”. Wszyscy bowiem wiedzieli, że Fiachnae podniesie głowę, tacy są Irlandczycy, a mac Báetáin był sprytniejszy niż większość z nich. Obserwując drozda, który rozbijał ślimaka o kamień, zauważyła jego oczy podobne do pestek jabłek i przypomniała sobie oczy Coifiego obserwującego ją w deszczu przy wiązach wskazujących porę dnia jak gronostaj obserwuje pisklę. Zapytała wtedy wieczorem Onnenę przy ogniu:

— Onneno, kiedy wybierasz jaja z gniazda, to gdzie są ptaki, które je złożyły?

Onnena odpowiedziała:

— Na pewno szukają robaków na śniadanie. Dlaczego pytasz?

Hilda, zmęczona rozmawianiem, rozmawianiem cały czas, nie umiała wyprowadzić myśli na język. Kiedy zasnęła, śniły jej się koszmary: Kto chroni gniazdo, kiedy król szuka robaków? Kto chroni jej matkę i Hereswithę? Stary Burgræd i młody Burgmod?

Tęskniła za nimi. Nie za ciągłym matczynym obserwowaniem, myśleniem i manipulowaniem innymi dla zyskania pozycji ani za gadaniem siostry o Mildburh i mężach przeplatany milczącą wyższością siostry z przepaską, co demonstrowała

wobec siostry bez przepaski. Tęskniła za ich zapachem. Tutaj wszystko pachniało końmi, męskim potem i odchodami w krzakach, dla ominięcia których nadkładała pół mili, kiedy chciała opróżnić pęcherz. Tęskniła za zapachem rezedy w donicy, sera leżącego na talerzu i świeżo upieczonego chleba.

Nawet pieśni się różniły. Na drodze między osadami, kiedy szli zamaszystym krokiem, pieśni wojowników nie były pieśniami o bohaterach śpiewanymi w halli, lecz ordynarnymi piosenkami biesiadnymi, które, kiedy je zrozumiała, wcale się jej nie podobały. Nie podobał jej się zapach, jaki dochodził wtedy od mężczyzn, nie podobało jej się, że sięgali pod tuniki i lubieżnie patrzyli na towarzyszące im surowe kobiety o chudych twarzach — dziwne kobiety, które mówiły w języku Anglów i nosiły przy pasach noże i krzesiwa, a nie kądziele i wrzeciona; kobiety, które cerowały i naprawiały, lecz nie przędły ani nie tkwały.

Zaprzyjaźniła się z jednookim psem bojowym, karmiąc go resztkami, nie drażniąc się z nim, jak robili to gesithowie, dzięki czemu prawie pokonała swój strach przed nim. W nocy zwijała się z Onneną na rozłożonym skórzanym materacu; przykrywała płaszczem i rozluźniała pasek — nie zdejmowała go; mogła wyciągnąć rękę i dotknąć seaksa — i słuchała terkotania lelków. Tęskniła za dźwiękiem dziewczęcych głosów i śpiewem kobiety karmiącej kurczęta. Teraz przemierzali dziką krainę — po obu stronach drogi rozciągały się wrzosowiska. Onnena powiedziała, że słyszała od jednej z kościstych obozowych kobiet, że dotrą do Caer Luel, zanim skowronki skończą letnie śpiewy, a kwiaty trędownika w zalesionych dolinkach staną się białe. A wtedy cóż to będą za cuda! Tej nocy Hilda zasnęła, rozmyślając z uśmiechem o sceptycznym podejściu starej Æffe do fontann i o młodzieńcu z przeszłości wyposażonym jak byk Thuddor; dopiero później te sny zmieniły się w koszmary.

Przejście przez Penniny okazało się trudne, ponadto było zimno. Hilda nauczyła się od kobiet posługiwać procą i jak one polowała na rude wiewiórki, a czasami na zające. Nauczyła się też towarzyszyć im w milczeniu, kiedy kroili mięso na małe kawałki i wrzucali je do garnka z suszonym grochem. Lubiły ciszę.

W dniu, kiedy rozbili obóz nad bystrym potokiem, a Coelgar wysłał wszystkich co do jednego po chrust, Hilda była niemal tak chuda, a rysy twarzy miała niemal tak ostre jak przyjaciółki Onneny. Poszła poszukać wuja, żeby zapytać go o tę przerwę w podróży. Siedział na pniaku i nadzorował rozwijanie jego niebiesko-czerwonego sztandaru z wyhaftowanym na złoto deirańskim dzikiem. Oko z granatu, umocowane srebrną nicią, było obluzowane i Edwin wydawał łagodnym tonem rozkazy dwóm służącym wealch trzymającym drzewce, oraz kobiecie z igłą i nitką. Był w dobrym nastroju, ponieważ podczas całej podróży stracił tylko jednego człowieka, przyjaciela Eadfritha, młodzieńca, który pewnego wieczoru za dużo wypił i przechwalał się swoim koniem, więc następnego dnia czuł się zobowiązany na nim ścigać, spadł na ziemię i złamał nogę w udzie.

— Dlaczego się zatrzymaliśmy? — Edwin powtórzył jej pytanie. — Żebyśmy mogli rozpalić ogniska, zjeść gorącą strawę, wyczyścić sprzęt w świetle ognia i wypaść się w jego ciepłe. Żeby wartownicy Rhoedda z Rhegedu zobaczyli nasze ogniska i pomyśleli, że są nas setki. Żebyśmy mogli spokojnie przejrzeć bagaże i wybrać najlepsze tuniki i najjaśniejsze pierścienie. I żebyśmy wjeżdżając jutro do warowni Rhoedda,

wyglądali na wypoczętych i dobrze odżywionych, a nasza broń była wyczyszczona i ostra. A on będzie się uśmiechał, otworzy bramę Caer Luel i przygotuje daninę. — Edwin się roześmiał. — O, tak, publicznie będzie się uśmiechał. Na osobności będzie gryzł wąsy. Zeszłego roku jego daniną były tylko statki na wyspę Vannin, z których wróciły do niego wszystkie oprócz jednego. Były też całe worki irlandzkiego złota i srebra jako jego udział w łupach. Rhoedd jest synem brata syna wielkiego człowieka i może przez chwilę czuł się tak wielki i wspaniały jak jego przodek, prawdziwy król. Możliwe, że zaczął myśleć, iż król nie powinien płacić daniny. Ale przybyliśmy i jest nas trzy razy więcej niż jego ludzi. Jesteśmy twardzi i mamy jasne, ostre klingi. — Roześmiał się. — Nawet ty. — Poskrobał się w brodę, rozejrzał dookoła, patrząc na setki swoich wojowników, na chłopców i kobiety. — Rhoedd jest dumny. Łatwiej dumnemu człowiekowi ukorzyć się przed wielkim królem niż przed jakimś łachmaniarzem. Zatem się wyszykujemy.

Nawet psy dostały kolorowe obroże. Jednooki Od miał brązową z kolcami.

Cian nie posiadał się z emocji. Lintlaf pożyczył mu butelkę z olejem lnianym, żeby natłuścił rzemienie swojej nowej tarczy i kopyta konika. Hilda zastała go przy ognisku gesithów. Cian siedział ze skrzyżowanymi nogami na płaskim kamieniu i bez końca poprawiał rzemienie.

— Może się do mnie odezwie! — powiedział na widok Hildy.

Oczy lśniły mu w blasku ognia.

— Kto?

— Rhoedd, syn Rhuna, który był bratem Oweina!

Oweina, bohatera Ciana, który zginął pod Catraeth. Dziwnie było słyszeć jego imię otoczone angielskimi słowami.

— Zadbamy o to.

W blasku ognia widać było kasztanowe odrosty Ciana. Hilda miała nadzieję, że Onnena wkrótce namówi go do wypłukania włosów. Chociaż może nie było już takiej potrzeby; Hereric nie żył od kilku lat. Edwin mocno siedział na swoim tronie. A potem przypomniawszy sobie, jak czasami odwracał się w siodle i dotykał miecza, przypomniawszy sobie, z jaką ulgą przyjął pokojowe zachowanie syna Morcanta, i zrozumiała, że król nigdy nie czuje się bezpieczny.

U Rhoedda przebywali sześć dni. Hilda przekonała się, że Edwin potrafi dodawać pewności sobie podległemu sobie królowi. Nie szczędził mu pochwał, wznosił toasty na jego cześć i kazał własnemu scopowi sławić pieśnią znamienitych przodków Rhoedda wstecz aż do Uriena. Scop odśpiewał tylko pieśni o wojownikach, chociaż Hilda wiedziała, że spora część cyklu powstała ku rozbawieniu słuchaczy. Jak kiedyś powiedział jej stary Ywain, bard Cerediga w Elmecie, bard mógł śpiewać wszystko o danym człowieku: że jest leniwy, że jest głupi, że jego słowo nic nie znaczy, mógł sprawić, że wszyscy słuchacze śmiali się z bohatera pieśni — jeśli tylko dał do zrozumienia, że bardzo dobrze radzi sobie z dziewczkami, że po rozstaniu z nim są one oszołomione i zaspokojone. Spraw, żeby się upili, śpiewaj o ich jurności, a zostaniesz obsypany złotem.

Nawet po tylu latach Hildzie dziwnie się słuchało tych pieśni w języku Anglów i przy akompaniamencie płaskiej liry o strunach z jelit.

A potem w zatłoczonej halli oboje z Cianem słuchali jak urzeczeni barda Rhoedda, Gwaednertha, który podjął opowieść, śpiewając po brytyjsku o ludziach z Yr Hen Ogledd, Starej Północy. O Coelu Henie, który rządził całą północą od Eboracum, czyli dawnego Yorku, kiedy jego mury były nietknięte, a we wszystkich zakątkach unosił się przyniesiony przez Rzymian zapach oliwy z oliwek i ciemnego pszennego chleba. Lecz będąc już starcem, kiedy z Irlandii przybyli Scotti, Coel przeliczył się z własnymi siłami. Tak przebiegły, jak potrafią być przebiegli tylko starzy ludzie, ułożył plan, który miał doprowadzić do wojny między Piktami i Szkotami. Rozbił obóz ze swoimi dowódcami i synami nad rzeczką Coyle i najpierw wyruszył do walki z jednymi, a potem z drugimi, za każdym razem z insygniami zdobytymi na przeciwniku...

Blask ognia lśnił na brązowych strunach harfy, a głos barda wznosił się i opadał, przywołując na myśl wzgórze na wschodzie, tworząc meandrujący, hipnotyczny rytm eleganckich, doskonałych słów. Był młodszy od starego Ywaina, a głos miał giętki jak rydwan wypleciony z wikliny. Potrafił wysłać swoje słowa trelami pod zakątki dachu albo przepędzić je po sitowiu na podłodze. Kiedy najpierw śpiewał o zwycięstwach Coela Hena, o wpędzeniu Szkotów we wzgórze tarczami, które płonęły w blasku słońca jak jasne skrzydła i o tryumfalnym wieczorze z przechwałkami i specjalną porcją jedzenia dla bohatera, jego głos wznosił się trelami. Hilda zaczęła myśleć o swoim seaksie — jak świetnie by było wymachiwać mieczem, którego klinga płynęła w świetle księżyca jak rzeka srebra i którego wojenny okrzyk sprawiał, że wróg rzucał broń i kulił się z drżeniem przerażenia w turzycy. Wtedy jednak bard zmienił tempo tak nagle jak koń ściągnięty wodzami przed skokiem przez płot, jego głos przeszedł w głuchy jęk, a harfa brzmiała melancholijnie i dziwnie jak pieśń ze świata Arawna, z zaświatów. Teraz opowiadał o tym, jak zdesperowani Scotti, powoli umierający z głodu wśród wzgórz, przypuścili ostatni rozpaczliwy atak. W bezksiężycową noc — podobną do dzisiejszej — panowie zdjęli piękne zbroje łuskowe, a ich służący skórzane, ukryli miecze pod turzycą — podobną do rosnącej w pobliżu — i z nożami w zębach przeczołgali się przez wrzosowisko do obozu nad wodą. Wojownicy Coela byli pijani zwycięstwem i przechwałkami. Było im ciepło, byli najedzeni i lśnili od złota — podobnie jak dzisiaj, pomyślała Hilda: nawet strażnicy oparli włócznie o framugi wejściowe, żeby śpiewać. A Scotti podchodzili coraz bliżej, coraz bliżej; twarze mieli wysmarowane gnojowicą i popiołem, serca biły im jak bębny ich wroga, krew burzyła się mocniej niż wino.

Hilda nasłuchiwała dźwięków poza hallą, poza trzaskaniem ognia, poza odgłosem psiego drapania się pod stołem, spodziewając się, że usłyszy nieludzki krzyk strażnika, któremu podrzynają gardło.

Cian rozejrzał się niespokojnie. Lilla miał otwarte usta, a jego wielka jak bochen chleba dłoń sięgała do pasa przewieszzonego przez pierś, u którego nosił miecz, lecz zawisała w powietrzu, bo Lilla przypomniał sobie, że, jak wszyscy inni, zostawił miecz i tarczę oparte o ścianę. Przysunął się nieco bliżej króla, którego przysiągł chronić za cenę życia.

Hilda zauważyła, że bard uderza stopą w rytmie bicia serca, dum-dum, dum-dum, jak wtedy przy wiązach Coifi wybijał rytm na bębunku, ale Coifi próbował rozkołysać ludzi w zimnym świetle poranka, a nie ludzi pełnych piwa i złotego miodu, siedzących

w migotliwym blasku paleniska w obcej halli sto mil od domu. Uśmiechnęła się i pomyślała, czyby nie szturchnąć Ciana i pokazać mu tę uderzającą stopę, lecz on był zatopiony w opowieści i nie podziękowałby jej za to.

Dwa dni później, siedząc w słonecznej porze middæg na ruinach Broac, niegdysiejszego Brocavum, Cian wciąż był zatopiony w opowieściach z Yr Hen Ogledd, tym razem o Ceneu i Gorbanianie, synach Coela Hena, snutyh przez Uinniau, młodszego siostrzeńca Rhoedda, który pojechał z nimi do pozostałości fortu. Hilda siedziała na porośniętym trawą nasypie z włosami zatkniętymi za uszy i słuchała dość nieuważnie, pochłonięta podziwianiem błysków rzucanych przez kolorowe paciorki oplatające jej przegub: był to kolejny dar, tym razem od będącej jeszcze w powijakach księżniczki Rhianmelldty, dziwnego, przypominającego ælfa, wyniszczonego chorobą niemowlęcia, którego wzrok nieustannie wędrował z boku na bok. Hilda zapomniała o oczach księżniczki, kiedy tylko ujrzała paciorki: siedemdziesiąt trzy fasetowane karneole.

Natychmiast zakochała się w karneolach. Każdy był inny. W blasku ognisk podsycanych torfem i pochodni zatkniętych w ścianach halli niektóre lśniły jak klejnoty ze snu jej matki, granaty w mleku; inne przypominały bardziej perły we krwi albo bursztyn w winie. W słońcu płonęły jak żywa legenda, jak coś wykutego przez boga ze smoczego serca. Były nanizane na żółty jedwabny sznurek przetykany złotem, zapinany misternie wykonaną złotą klamrą; był na tyle długi, by mogła go nosić jako udrapowany na piersi naszyjnik dorosła kobieta. Hilda nosiła te paciorki owinięte cztery razy dookoła przegubu lewej dłoni. Kiedy padało na nie słońce, kolor jej skóry przywodzący na myśl przypieczony chleb, kolor kamieni, złota i żółtego jedwabiu tworzyły świat, jaki nigdy jej się nie śnił.

Zapytała Uinniau, skąd pochodzą te paciorki — miały w wyglądzie coś rzymskiego — a on się rozpromienił i powiedział, że jeśli zechce, może jej pokazać i Cianowi też oraz że w gruncie rzeczy to bardzo ciekawe, ponieważ to było ledwie dwa lata wcześniej, w starym Broac, niedaleko kościoła pod wezwaniem jego dawno zmarłego krewnego, świętego Uinniau. Czy Hilda o nim słyszała? To był bardzo wielki święty. Czy zechce obejrzeć kościół, kiedy już obejrzą fort?

Tak więc osiodłała Ifetu, Cian swojego Acærna, a Uinniau, drobny jak wielu synów wealh, wsiadł na za dużą dla niego klacz — wyglądał jak piegowate jabłko przycupnięte na siodle — i ruszyli kłusem. To znaczy Ifetu i klacz kłusowały, bo Acærn co chwila musiał ruszać galopem. Hilda nie mogła się oprzeć myśli, że Cian o wiele lepiej wyglądałby na klaczy, a Uinniau na Acærnie. Lecz drzewo nie zawsze wydawało takie owoce, jakich się spodziewano.

W zrujnowanym forcie Uinniau opowiadał teraz śpiewnym głosem o Peredurze ap Elifferze, uderzając dłonią w nagrzaną słońcem trawę. Hilda rozpoznała oznaki; lada moment zerwą się z Cianem na nogi, z krzykiem zaczną się okładać kijami i będą się starali namówić ją, żeby odegrała nieprzyjaciela do pokonania.

— Idę nad wodę — oznajmiła i machnęła ręką w stronę brzegu, gdzie spętane konie skubały trawę pod brzezina.

Cian skinął głową, nie odrywając wzroku od Uinniau.

Hilda wdrapała się na najwyższą brzozę. Usadowiła się przy pniu na grubym

konarze zwieszającym się nad wodą i oddała rozmyślaniom wśród drobnych liści połyskujących od spodu światłem odbitym od wody.

Na słońce nasunęła się cienka warstwa chmur, zmieniając rzekę z wypolerowanego srebra w matową cynę, a liściom na powrót nadając ciemnozielony kolor. Przebłysk brązu w szuwarach świadczył, że na wiosnę to będzie dobre miejsce do znajdowania kaczych jaj.

Z fortu, gdzie wykopano skarby i jej paciorki, pozostały tylko dwa trawiaste nasypy. Kiedyś mieszkało tu pół setki przybyłych z daleka jeźdźców. Może ich stada pasły się na tej samej trawie, którą skubał teraz Ilfetu. Spojrzała z góry na swojego wałacha, na wicherki siwej sierści, na gza, który szykował się do ukąszenia go nad ogonem.

Wyobraziła sobie, jak wyglądałby fort za czasów praprzodka Uinniau dziesięć pokoleń wstecz: kwadrat wysokich drewnianych ścian zbudowanych z całych nieokorowanych pni drzew o zastrzonych czubkach, porządne rowy i wały, brama pośrodku każdej ściany, zapach ognisk, na których warzono niewyobrażalną strawę, a ponad wszystkim zapach koni, odgłosy koni, drżenie ziemi pod kopytami galopujących koni.

Zawsze wyobrażała sobie, że oddalają się galopem, odjeżdżają. Tak zrobili Rzymianie — odjechali. Zostawili po sobie kamienne domy w Caer Luel i piękne białe fontanny, dachy z czerwonej dachówki i proste drogi, idealnie okrągłe czerwone misy z wizerunkami psów polujących na jelenie, równe kąty i szklane kubki. Teraz marmurowe posągi utraciły kolory i stały się melancholijnie białe, pokryte smugami mchu; wichury postrzącały dachówki, które zostały zastąpione trzcina; na popękanych resztkach olśniewających niegdyś mozaik zbudowano paleniska.

Lecz fontanna wciąż działała. Składało się na nią kilka białych kamiennych mis umieszczonych na białym kamiennym trzonie, co przypominało rozłożoną szyszkę z zimnego, gładkiego marmuru. Dziobek, wyższy od Hildy, tworzyła ryba przedstawiona w skoku — zarządca miasta powiedział, że to morświn. Wyglądało na to, że dużo wie. Hilda prowadziła go więc całymi godzinami po mieście i kazała sobie wyjaśniać, jak woda płynie rurami ściągana w dół przez własny ciężar ze wzgórz na północy, oraz jak działają łaźnie i hypocaustum tam, gdzie mieszkał wódz Rzymian. Potem odesłała zarządcę do jego zajęć, a kiedy wycofał się tyłem z ukłonami, wróciła do fontanny. Usiadła na krawędzi najniższej, najszerzej misy, zanurzyła dłoń w zimnej, czystej wodzie i uniosła twarz ku rozpylonym kroplom. Pomyślała o Cwenburh i powoli wypływającej jasnej krwi. Cwenburh powinna była przed śmiercią zobaczyć fontannę. Ale gdyby żyła tak długo, Hereswitha mogłaby nie zostać tkaczką pokoju, a Hilda mogłaby nie wyruszyć w tę podróż, mogłaby nie zobaczyć wody tryskającej w niebo jak oddech wieloryba.

G

W Caer Luel zobaczyła biskupa Chrystusa usidlonego zaklęciem; siedział na ławie i unosił do światła dziwny złożony kwadrat skóry zszyty z mniejszych kawałków i coś mrucał. Kiedy jednak pokazując na biskupa w czarnej sukni, zapytała, czy to jakiś rytuał związany ze światłem, Uinniau roześmiał się i powiedział, że to nie biskup, tylko zwykły

ksiądz i że nie znajduje się pod wpływem zaklęcia ani go nie rzuca, tylko rozmawia z książką.

— Biskup Rhuel mówi, że książka jest pełna tajemnych znaków, które opowiadają historię. Historię boga. Sprawia wrażenie interesującej, ale taka nie jest. Kiedy próbował mi ją opowiedzieć, nie było w niej bohaterów, mieczy ani galopowania do bitwy. Tylko jakieś natchnione historie o... — Zmarszczył brwi. — No, nie pamiętam. To było nudne. Ale jego książka była pokryta złotem i wysadzana klejnotami. Nie jak ta stara książka, którą czyta ksiądz. Może dlatego, że Rhuel był biskupem, zwierzchnim księdzem.

Książka, pomyślała Hilda. Tajemne znaki. I złoto oraz klejnoty. Hereswicie mogłoby się to spodobać. A potem zadała sobie pytanie, czego Hereswitha uczy się od matki, i zatęskniła za obiema.

Zrobiło się zimniej. Udali się na północ do Alt Clut, do wielkiej kamiennej fortecy u ujścia rzeki, gdzie rządził Neithon i jego syn, Beli. Hilda została wyłączona z porad wojennych Edwina, jego synów i głównego gesitha, ponieważ Neithon i jego synowie byli przesądni tak jak ci od Chrystusa i na jej widok robili ten trzepotliwy znak na piersi. Ludzie Chrystusa nie zadawali się z jasnowidzami, a dziewczeczki nie miały wstępu na narady. W przeciwieństwie do Rhoedda i mieszkańców Rhegedu mieszkańcy Alt Clut uważali się za równych Edwinowi, za sprzymierzeńców, król więc nie chciał wystawiać na próbę ich dobrej woli przez domaganie się obecności Hildy. Oznajmił to jej z gniewem, ale nie był zły na nią; czegoś nie rozumiał. A to przyprawiało go o niepokój. Co go z kolei złościło.

Osfrith, młodszy z æthelingów, opowiadał jej czasem o naradach, ale nigdy nie pamiętał szczegółów, tylko wzruszał radośnie ramionami i mówił: „Cóż, było nudno — gadki starszków o plonach zbóż, znakach i wróżbach”. Hildzie pozostawało podpytywać służących, którzy wnosili na takie spotkania wino i doglądali ognia, a także słuchać pieśni — mieszkańcy Alt Clut najwyraźniej mieli obsesję na punkcie mieszkających na północy i zachodzie Dál Riatan, Aedana Zdradliwego, który zmarł jeszcze przed narodzeniem Hildy, i jego syna, obecnego króla, który nazywał się Eochaid Buide. Hilda składała zebrane informacje jak kawałki popękanej rzymskiej posadzki i rozmyślała nad otrzymanym obrazem.

Król Eochaid i jego Dál Riatanie byli wrogami irlandzkich Dál Fiatach. Wszyscy o tym wiedzieli. Fiatach byli z kolei wrogami Dál nAriadne, którym Edwin i Rhoedd porządnie złoili skórę na wyspie Viannin, a Eochaid dawał schronienie Idingom. No i dobrze: Edwin i Eochaid Buide byli wrogami. To było jasne. Nic w tym niezrozumiałego. Co więc gnębiło Edwina? Cokolwiek to było, gnębiło go coraz bardziej.

Teraz nie tylko towarzyszył mu wszędzie Lilla z tarczą gotową do użycia, lecz za æthelingami podążali krok w krok Lintlaf i syn Coelgara, Coelfrith. Na dodatek zamiast kierować się na południe, a następnie na wschód, by zbierać daninę z wielu ziem, kończąc na Gododdinie i wreszcie dołączyć do kobiet w Yeavinger, Edwin rozpoczął wiele niekończących się spotkań ze swoimi towarzyszami.

Humor króla pogarszał się z dnia na dzień. Kazał wychłostać kobietę za to, że rozlała piwo na jego but. Eadfrith, tylko pięć lat starszy od Ciana, zamachnął się swoim nowym mieczem na człowieka, który przy picu miodu nazwał go młokosem. Rozciął mu

ciało pod żebrami tak jak rzeźnik w Yeavinging dzieli tasakiem wołowinę. Hilda zobaczyła krwawą szczelinę, błysk białej kości i rozciętą wątrobę, bulgotanie, a potem wytrysk krwi. Człowiek ten umarł następnego dnia, wyjąc z bólu i gorączki, a Eadfrith musiał oddać swój piękny nowy miecz jako główczyznę.

Sny Hildy o ptakach wykradanych z gniazd przez gronostaje stały się tak koszmarne, że Onnena zaczęła zatykać sobie uszy łojem i zagroziła, że znajdzie sobie inne miejsce do spania.

— Nie chce podjąć decyzji! — powiedział pewnego dnia Osfrith do Hildy, która zaczęła go, kiedy wychodził wielkimi krokami z halli. Zwykle jego radosna twarz teraz była ściągnięta w wyrazie niezadowolenia. — Ludzie będą mówić, że się boi.

Zamierzył się od niechcenia nogą na prosię ryjące pod uschniętym fragmentem żywopłotu, który biegł wzdłuż wewnętrznej strony wielkiego rowu przed nasypem. Prosię, przyzwyczajone do takiego traktowania, uciekło w krzaki, zanim zdążył się z nim zetknąć but Osfritha. Pyszcze Osfritha bladły, a szczęka nabierała męskiej linii. Jego but, kiedyś jasnoczerwony, był teraz pościerany i brązowy od błota. Długo byli w drodze.

Osfrith, który jak wszyscy wojownicy nie miał na sobie płaszcza, trochę się zgarbił i odwrócił od wiatru wiejącego od rzeki.

— A więc ludzie będą mówić, że się boi — rzekła Hilda. — Będą mówić prawdę?

— Na oddech Thunora! — Wbił w nią wzrok. — Jesteś dziwniejsza, niż mówią. Każdy mąż, który mówi, że król się boi, powącha mój miecz.

Położył dłoń na rękojeści miecza — swojego miecza bojowego, a nie jednego z tych nowych, które otrzymał w prezencie w ciągu lata.

— Nie jestem mężem. Nie mówię też, że król się boi. Pytam o tych ludzi, którzy tak mówią albo mogliby tak mówić. Czy będą wierzyć w to, co mówią?

Osfrith był skonsternowany.

Hilda westchnęła w duchu. Chciała, żeby Osfrith na chwilę usiadł i pomyślał. Zastanowiła się. Chłopcy i młodzi mężczyźni lubią jeść.

— Czy król cię nakarmił?

Osfrith pokręcił głową i skulił się bardziej, bo wiatr się wzmaczał.

— Znam jedną kobietę w kuchni. Mają tam ciepły ogień, zimnego królika i jęczmienne podpłomyki.

Podpłomyki okazały się zaledwie okruszkami, królik — rozłupanymi kośćmi, a dzbanek z piwem był prawie pusty. Osfrith wydłubywał sobie mięso spomiędzy zębów odłamkiem kości, co sprawiało, że bardziej przypominał æthelunga.

— Nie, Beli i jego ojciec marudzą jak stare baby z powodu łodzi — powiedział.

— Łodzi?

— Widziano irlandzkie łodzie przepływające Kanał Północny z Irlandii do Dál Riata.

— Kiedy?

— Miesiąc temu. Albo wcześniej. I było ich o wiele więcej niż zwykle. Więcej niż potrzebowała ich armia...

Armia.

— ...ale nie widziano ognia — ciągnął Osfrith — nie było żadnych walk, napływu

na południe pozbawionych dachu nad głową ludzi, żadnych niewolników na sprzedaż w porcie. Nie było żadnej bitwy.

— Nie tutaj — rzekła Hilda. Dłonie miała zimne ze strachu. „Gdzie są ptaki, kiedy kradniemy im jaja z gniazda?” Teraz już wiedziała.

G

Szare niebo, szara skała, szara woda. Edwin siedział na głazie wiszącym nad rozległym, płaskim ujściem rzeki i rzucał kamieniami. W pobliżu, lecz nie za blisko, stał Ætheling Eadfrith z grupką młodszych gesithów. Ułożenie królewskich ramion wyraźnie wskazywało, że lepiej mu nie przeszkadzać.

Hilda sprawdziła, czy jej płaszcz układa się w głębokie fałdy, czy włosy, które tego ranka kazała uczesać Onnenie, ufryzowane są właściwie, czy dwie ogromne pozłacane brosze, dar Neithona, nie są przekrzywione. Poprawiła swoje karneole, by jak najmocniej błyszczały i lśniły, i położyła dłoń na rękojeści swojego rzeźniczego seaksa. Wyprostowała się. Przynosiła światło. Niech mówią, że jest hægtes, jeśli muszą. Jeśli się nie odezwie, to jej matka i Hereswitha mogą zginąć.

— Królu.

Nie zwrócił na nią uwagi.

— On nie jest w nastroju do zabaw, księżniczko! — zawołał jeden z gesithów.

— Królu.

Inny gesith oderwał się od grupy.

— Chodź, dziewczeczko — powiedział Lintlaf. — Chodź.

Sięgnął do jej ręki. Hilda wyprostowała się jeszcze bardziej, popatrzyła w piwne oczy Lintlafa swoim niezgłębionym wzrokiem, a potem poszukała nim oczu Eadfritha.

— Wiesz, że nie jestem żadną dziewczeczką — rzekła głosem jasnowidzącej. — Muszę opowiedzieć królowi sen.

To zwróciło uwagę Edwina. Wyciągnął rękę do Lintlafa w geście, by przestał. Szarpnął podbródkiem w stronę Hildy: mów. W jego oczach czerń mieszała się z zielenią; wyglądało to tak, jakby po starym mięsie pełzały muchy.

Ostatnim razem matka jej to wyjaśniała. Ostatnim razem król był w dobrym nastroju.

— Królu. — Angielskie słowa prawie zawsze drażniły jej gardło jak utknięta w nim ptasia kość albo kłębek piór. — Kiedy ptaki odlatują, by szukać robaków, gronostaj wykrada pisklęta z gniazda.

Żadnej zmiany w wyrazie twarzy Edwina. Dlaczego on tego nie rozumie? Dlaczego nikt z nich tego nie rozumie?

— Królu. My jesteśmy ptakami.

Teraz miał kamienną minę.

— Nie jestem ptakiem.

— Łodzie — powiedziała z rozpaczą w głosie. — Śniły mi się łodzie. — Jego rysy nabrały ostrości. — Gronostaj zbliża się łodzią. Do gniazda. Jest tam moja matka. I Hereswitha.

— Twoja... Bebbanburg. Mówisz o Bebbanburgu?

Skinęła głową.

— A kto jest gronostajem?

Stał nad nią; kiedy to się stało?

Oczy miała na poziomie jego grdyki. Podniosła wzrok, by zająrzeć mu w oczy.

— Fiachnae mac Báetáin. Zmierza łodzią okrężną drogą, by zająć Bebbanburg.

Kiedy już nie musiał się starać zrozumieć układankę nieuchwytną jak mgła i miał wyraźną przepowiednię, której mógł się trzymać, Edwin błyskawicznie ruszył ze swoim oddziałem na południe, omijając nadbrzeżne warownie Galloway i przygotowaną przez nie daninę. Kiedy mijali Dumfries, odezwał się do Hildy:

— Wiem co do uncji, co powinienem od nich wziąć. Lepiej, żebyś miała rację.

Dotarłszy do wału, przepakowali juki, po czym Edwin polecił Eadfrithowi, Coelgarowi i dwunastu gesithom, w tym Coelfrithowi, by odeskortowali skarb bezpośrednio do warowni York. Odciążony zbrojny oddział miał jechać do portu w Tinamutha, a stamtąd wzdłuż wybrzeża do Bebbanburga. Kiedy Coelfrith wsiadał na konia, Onnena posłała mu znaczące spojrzenie; Hilda zrozumiała, że w ten sposób przypominała synowi rządcy, że część skarbu należy bezpośrednio do Hildy, że będzie musiał się rozliczyć.

Edwin odprowadził wzrokiem juczne konie niknące w oddali na szlaku do Broac, a potem odwrócił się do Hildy.

— Jazda będzie forsowna. Dotrzymasz nam kroku, choćbym musiał cię przywiązać do konia. Będziesz mi mówiła o każdej myśli, każdym śnie, każdym drgnieniu twojego oka albo poderwaniu się ptaków. Jeśli będziesz miała rację, zostaniesz uhonorowana ponad śmiertelną miarę. Jeżeli się pomylisz i poniesiemy porażkę, zetnę ci głowę, twoimi wnętrznościami nakarmię psy, a twoją przeklętą głowę pochowam przy twoich poślachkach w nieoznaczonym dole.

Hilda stała przed nim nieporuszona, ponieważ Edwin był jak pies: dopadnie tego, kto okaże choć odrobinę lęku. Po chwili jednak spuściła wzrok. Rzucanie wyzwania zaniepokojonemu królowi w obecności jego ludzi było igraniem ze śmiercią.

Edwin uniósł rękę i zawołał do niemal trzystu pozostałych gesithów:

— Pojedziemy kierowani snem zesłanym od bogów. Jeśli koń naszej wróżbitki zawiedzie, dacie jej swojego. Jeśli zabraknie jej jedzenia, oddacie jej swoje. Ona oświecili naszą drogę. Ruszamy.

W Haltwhistle padł koń — był zmęczony, a na dodatek noga wpadła mu do jakiejś nory i się złamała — więc jego jeździec został w rozpadającym się gospodarstwie z chudą kobietą i jej mężem, bezrozumnym rolnikiem. Bez wątplenia na wiosnę będzie tam rządził nowy gospodarz.

Kiedy mijali Chesters, w fałdach ich grubych płaszczy osiadał pierwszy śnieg. W Corabrig znaleźli gospodarza z wysokim koniem — chudym, lecz żwawym dereszem — którego chętnie im oddał za srebrną bransoletę. Następnie kilku zręcznych i wytrzymałych jeźdźców ciągnęło losy, który z nich pogalopuje, jakby od tego zależało jego życie aż do Tinamutha, żeby wysłać statki do Bebbanburga. Wygrał Lintlaf; ze wszystkich stron wyciągnęły się ku niemu ręce z lekką podrózną żywnością: dwukrotnie pieczonym chlebem, suszonymi jagodami, wędzonym mięsem.

Kiedy Lintlaf pakował juki, zdenerwowany ściskiem wiejski deresz tańczył i kopał,

lecz w końcu Lintlaf go dosiadł. Był bardziej podekscytowany od konia; usta miał czerwone, a oczy błyszczące. Miał jechać dla króla i chwały!

Edwin podjechał do niego na swoim kasztanie, klepnął Lintlafa w plecy i odrzucił połę płaszcza, ukazując królewskie bransolety.

— Jeśli, gdy przyjedziemy, będą gotowe do wypłynięcia statki dla połowy z nas, dostaniesz jedną z nich, i to nie najmniejszą.

Lintlaf odjechał na południe żegnany entuzjastycznymi okrzykami.

Co rano budzili się po ciemku, po ciemku dosiadali koni, po ciemku mozolnie posuwali się do przodu, jadąc stępem, kłusem, stępem, kłusem na zmęczonych wierzchowcach. Ciemno było nawet w południe, kiedy zatrzymywali się pod osłoną wzgórza, które zdawało się dotykać nieba tak ciężkiego jak ciemne kamienie wału. Wiatr był bezlitosny, rzucał w nich suchym śniegiem jak piaskiem, nawet po zawietrznej stronie wzgórza. Hilda patrzyła na gorące iskry swoich karneoli i udawała, że to rozżarzone węgielki. Nie pamiętała, kiedy było jej ciepło. Nie pamiętała nawet, kiedy po raz ostatni jadła coś ciepłego. Szczęki jej się wzmocniły od żucia mięsa wędzonego na ogniu i chleba podróżnego maczanego w lodowatej wodzie. Żebra Ilfetu sterczały jak deseczki poszycia łodzi. Pies Hildy, Od, jako jedyny z całej sfory nie wyglądał jak ogar z piekła rodem, chodzący szkielet z płonącym wzrokiem. Wszyscy ją nieustannie obserwowali, lecz nikt się do niej nie zbliżał oprócz Onneny i Ciana, ale i oni robili to w środku nocy i tylko na chwilę. Hilda zaakceptowała spowijającą ją aurę niesamowitości. Ludzi napędzała jej wizja, a zdążali w przyszłość, którą dla nich wyśniła.

Jechała na chudym siwym koniu, przy skraju jej błękitnoszarego płaszcza biegł chudy szary pies, a ona siedziała w siodle wyprostowana jak emaliowana figurka dziesięcioletniej dziewczynki, twarda i zmarznięta.

Jeździec z Tinamutha znalazł ich, kiedy właśnie minęli duże gospodarstwo przy moście, gdzie rzucili gospodyni garść srebra i zabrali całe mleko, jakie miała, cały właśnie uwędzony bekon, wielkie koło sera i beczułkę dziwnie smakującego piwa, ale nadal byli głodni.

— Królu — wydyszał posłaniec, ściągając wodze spienionego konika o kudłatej grzywie. — Przysłał mnie pan Osric. Jest oblegany w Tinamutha. Twój człowiek się przedarł. Jest mnóstwo łodzi, ale żadną miarą nie da się nimi przepłynąć obok hord Fiachnae zebranych u ujścia rzeki.

Gesithowie zaczęli przeklinać, przyrzekać zemstę i dokonanie wielkich czynów. Król był skwaszony. Hilda ścisnęła Ilfetu kolanami, zmuszając go, by otarł się bokiem o królewskiego kasztana. Edwin spojrział na nią.

— Bebbanburg? — powiedziała.

Posłaniec Osrica spojrział na Hildę ze zdziwieniem. Kim jest to dziecko? A potem spostrzegł jej oczy i wielki seax wiszący u jej pasa. Może jest jakąś niesamowitą karlicą albo upiorem wału.

— Co z Bebbanburgiem? — zapytał posłańca król, jakby Hilda się nie odezwała.

— Główne siły Fiachnae oblegają skałę. Wyrznęli całe bydło na wrzosowisku.

— Kiedy?

— Dwa tygodnie temu. Nie więcej.

Edwin poprawił się w siodle i Hilda rozpoznała ten ruch: król nie wiedział, co robić, i zastanawiał się, czy nie jest przedmiotem jakiejś gry. Hilda na wszelki wypadek nieco się cofnęła.

Król posłał spojrzenie Lilli, który ujął wodze konia posłańca muskularną dłonią i skinął głową, na co kilku wojowników wysunęło miecze z pochew. Edwin przymknął oczy.

— Dwa tygodnie? I żadne łodzie nie przyływały do Tinamutha ani stamtąd nie wypływały?

— Nie, panie.

Wierzchowiec wyczuł niepewność jeźdźca, parsknął i spróbował się cofnąć, ale miał zastawioną drogę.

— A zatem jakim sposobem wiadomości tak szybko dotarły do twojego pana, skoro droga morska jest zamknięta?

— Panie?

— Trakt Dere to dobra droga, ale żeby się do niej dostać z Bebbanburga, trzeba ostro jechać na południe i zachód, a potem jechać nią na wschód do Tinamutha i z powrotem na zachód do nas.

— Panie?

— Konia zjemy — rzekł Edwin i się odwrócił.

Lilla skinął głową jednemu z gesithów, który dobył miecza i ciął nim posłańca w szyję. Mężczyzna krzyknął i tryskając krwią, spadł z konia, który próbował się wspiąć, a psy dokończyły dzieła.

Rozdział 5



Mulstan, pan na Mulstanton, wytarł brodę, posłał puchar wzdłuż stołu i przyjrzał się tej dziwnej dziewczeczce. Znowu obracała te swoje krwawe paciorki. Przynajmniej tego wieczoru nie miała przy sobie tego ogromnego noża. Dzieweczka w wieku jego małej Begu z rzeźniczym seaksem!

Oczywiście serdecznie powitał ich wszystkich, dziewczeczkę, jej kobietę wealh z synem, a nawet irlandzkiego nauczyciela księdza czy zakładnika, czy kimkolwiek był. Kiedy w zbryzganej krwią łodzi przybywa król, po czym pośpiesznie odjeżdża, zostawiając ulubioną krewną i jej domowników, prosząc o gościnę dla nich, to się ją daje. Nie ma znaczenia, że ta krewna ma dopiero dziesięć lat. Ma znaczenie to, że jest ona bohaterką przepowiedni i ma najbardziej bezpośrednie i niesamowite spojrzenie, jakie Mulstan widział u jakiegokolwiek dziewczeczki, oraz to, że jedno niewłaściwe słowo skierowane do króla sprawiłoby, że Mulstan zostałby rozciągnięty na ziemi i przywiązany do palików jako karma dla kruków. Komuś takiemu człowiek oddaje własne łóżce i najlepsze miejsce za stołem — bo była to przecież wiejska halla, nie tak odległa od swoich brytyjskich korzeni, gdzie kobiety ucztowały razem ze swoimi mężczyznami — i bardzo się stara pamiętać, by okazywać zuchwałość i hojność oczekiwaną u angielskiego tana, chcącego zyskać przychylność króla o rosnącym znaczeniu, albo mogącym wkrótce zginąć, zależnie od okoliczności. Ale nie, król żył, bo łodzie handlowe przybijały, a z Bebbanburga nie dochodziły żadne wieści o angielskiej rzezi.

Mulstan był stary, dobijał czterdziestki; jego pierwsza żona i dzieci zmarły podczas wielkiej choroby przed urodzeniem dziewczeczki, a kiedy zmarł jego pierwszy pan i król, Etelfryd, a Mulstan został zwolniony z przysięgi gesitha, nie chciał udać się z æthelingami na wygnanie na północ od wału i osiadł na gospodarstwie, by uprawiać tę niegdyś bogatą nadmorską ziemię. Kiedy Edwin przejął tron, powierzył Mulstanowi dbanie o bezpieczeństwo niewielkiego portu handlowego oraz pobieranie na rzecz króla dziesięciny od wszystkich towarów przysyłanych i wysyłanych drogą morską. W końcu Mulstan poślubił piękną Enynnę i zbudował sobie porządne obejście w lesie przy ruczaju o pół mili od jego pełnego ostryg i omułków ujścia do Streanæshalch, Zatoki Wici. Znajdował się tam port, który obsługiwał handel z Piktami i Brytyjczykami Północnymi, z mieszkańcami Lindsey i Anglami Wschodnimi, a nawet z ludźmi Północnej Drogi, których wąskie statki wozily przez Morze Północne i dalej wzdłuż łańcuchów wysp i wybrzeża Krainy Piktów futra i bursztyn. W zeszłym roku przyplłynął fryzyjski statek, chociaż zwykle pojawiał się w porcie Gipswīc.

Mulstan przełknął kolejny łyk piwa. Swefred znowu grał tę pieśń, tę o ognisku i domu, którą tak lubił. Nie grał nawet w połowie tak dobrze, jak ten dziwny irlandzki ksiądz, którego sprowadziła dziewczeczka, ale przynajmniej można było go zrozumieć.

Żadnego irlandzkiego miauczenia. Ależ tęsknił za żoną. Na Thunora, tęsknił za nimi obiema. Chociaż Onnena, która przybyła z dziewczeczką...

Dzieweczka przestała się bawić swoimi paciorkami i patrzyła na niego.

— Panie Mulstanie.

Przełknął ślinę i się zakrztusił. Czyżby odczytała jego myśli na temat jej kobiety wealsh?

Czekała cierpliwie, co go deprymowało. Osoby królewskiej krwi rzadko bywały cierpliwe, chyba że się kimś bawiły. Przynajmniej teraz mówiła. Przez pierwsze kilka tygodni milczała i tylko patrzyła oczyma okrągłymi jak u sowy. Mulstan widział takie spojrzenie u gesithów po ich pierwszej ścianie z tarcz.

— Kim jest ten człowiek, który zajmuje się zagonami wikliny?

Mulstan wytarł sobie brodę.

— Słucham?

— Ten człowiek. Na zagonach wikliny. — Przechyliła lekko głowę, jakby słuchała głosu, który słyszała tylko ona. — Ma psa.

— Czarno-białego psa? — Uderzył dłonią w stół. — Człowiek od wikliny! — Natychmiast poczuł się nieswojo. Oczywiście, że człowiek na zagonach wikliny jest człowiekiem od wikliny. — To Irlandczyk — powiedział, starając się nie patrzeć w jej niezgłębione oczy. Za dużo takich widywał. — Służący posłańca wziętego na zakładnika tak dawno temu, że nikt już tego nie pamięta. — Tak naprawdę nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Może posłaniec umarł na jakąś chorobę, może został uwolniony, ale zapomniał zabrać ze sobą służącego. — Powiadają, że odnalazł drogę do księdza z brytyjskiego kościółka obok zrujnowanej wieży sygnałowej na urwisku. Dawno temu. Za moich czasów tam nigdy nie było żadnego księdza. Bez wątplenia to ten ksiądz kazał mu pracować przy wiklinie. Ale to było wiele lat temu i teraz człowiek od wikliny jest po prostu człowiekiem od wikliny. Nie mówi dużo.

Jak ty, dziewczeczko, pomyślał. Ale człowiek od wikliny nie mówił dużo, bo nikt go za bardzo nie rozumiał. On tylko sadził, przycinał i zbierał wierzbę, zmiękczał ją, suszył, gotował i korował, uzyskując wiklinę białą, czerwoną i żółtawą. Można było odwiedzić jego chatę i wymienić żywność, tkaninę albo miedzianą szpilę na surowiec nadający się do wszelkich wyrobów wikliniarskich. Po lepszy trzeba było iść pieszo dwa dni. Człowiek od wikliny nie rozmawiał z żadnymi Brytyjczykami, ponieważ w ciągu długich lat nauczył się, że nie ma to sensu; Anglowie byli upiorami — i może dla niego rzeczywiście nimi byli.

Ksiądz uśmiechał się do Mulstana swoim złośliwym uśmiechem. Pewnie te ostatnie słowa wypowiedział na głos. Musi się pilnować.

Przechylił swój róg do piwa. Pusty. Onnena napełniła go z uśmiechem. Niech Thunor ma ją w opiece.

— Tak czy owak, człowiek od wikliny porozumiewa się tylko ze swoim psem i swoimi pniami, tyczkami, pędami i różgami. Chociaż jest Irlandczykiem, sprawia wrażenie nieszkodliwego. — Oczywiście ten nauczyciel zakładnik dziewczeczki, Fursey, także był Irlandczykiem, jakimś wysoko urodzonym księdzem, którego król schwytał podczas starcia w Tinamutha. Bezowocna wojna. Co ten Fiachnae mac Báetáin, król

Ulaidów, sobie myślał, atakując tak daleko od domu lepszych od siebie? I dlaczego król pozwolił, by taka mała dziewczynka miała udział we krwi i rzezi? — Mam nadzieję, że ksiądz nie poczuje się tym urażony.

Fursej wstał i stwierdził gładko, że pan Mulstan nie powinien się przejmować. Wszyscy bowiem wiedzą, że niektórzy Irlandczycy, a zwłaszcza niegodziwi Ui Neill, czasami wpadają w szal, popadają w pijaństwo, zbyt blisko zbliżają się do swoich koni i biją psy, a któż może winić angielskiego pana, że ich nie rozróżnia?

G

Hilda, która mieszkała na tym dzikim nadmorskim wrzosowisku już od kilku tygodni, mimo towarzystwa nauczyciela i nowej przyjaciółki, Begu, była przybita i tęskniła za domem, słuchała, lecz nic nie mówiła. Coraz lepiej odróżniała rzeczywistość od mieszanki wspomnień i koszmarów; miała coraz większą pewność, że jeśli się odezwie, będzie mówić do żywych, a nie do duchów. Teraz często nauki Furseya dotyczące liter i łaciny wydawały się czymś z tego, a nie z tamtego świata. Wciąż jednak wysiłek podjęcia decyzji, czy ma się odezwać, sprowadzał wspomnienia: napływający falą Irlandczycy, ślizganie się w błocie u ujścia Tine, wołanie „Osric, gdzie jest Osric?” i wycie Irlandczyków w odpowiedzi. Wciąż bolały sińce, jakich się nabawiła, wdrapując się do łodzi, pamiętała walkę o miejsce, Irlandczyka, który przechylił rozkołysaną łódź, chwytając ją oburącz za burtę...

Odwróciła się od tego wspomnienia. Postanowiła zaprzyjaźnić się z człowiekiem od wikliny, który nie lubił mówić.

Przykucnęła w szaroburej turzycy na skraju rowu odwadniającego i patrzyła. Pół mili dalej, w dolinie, którą płynął ruczaj, mogła być wiosna, lecz tutaj, wysoko na podmokłym wrzosowisku nad morzem, świat był surowy, pozbawiony kolorów. Tu nie zieleniły się rośliny, nie bulgotał kręty strumień, nie było okrągłych rzecznych głazów. Rowy biegingy ku horyzontowi prosto jak strzelił, a między nimi rozłożyły się pod szarym niebem zagony wikliny o barwie cyny. Woda koloru stali uderzała z pluskiem o ziemne brzegi, a pręty wierzb, pozbawione jeszcze liści, grzechotały i drżały jak karbownice.

Żałowała, że nie ma przy niej Begu, ale Begu nie włożyła ciepłego ubrania w czasie deszczu, dotknęła ją sidsa i teraz kapało jej z nosa. Onnena — która jakimś sposobem najwyraźniej przejęła hallę Mulstana w ciągu jednego dnia od ich przybycia przed siedmiu tygodniami — kazała jej się położyć do łóżka z gorącym kamieniem. Tak więc Hilda zostawiła Begu seax i pasek pod pretekstem, że człowiek od wikliny mógłby się ich przestraszyć, i przepasała się swoją starą szarfą. Potem wyruszyła pod szerokim niebem pokrytym pędzącymi szarymi chmurami i znalazła człowieka od wikliny nad rowem odwadniającym między zagonami wierzb. Odcinał białe pędy, wiązał je w wiązki i ustawiał pionowo w wodzie.

Cały ranek obserwowała siwego mężczyznę i czarno-białego psa. Nie rozstawali się ani na chwilę. Wiedzieli, że ona kryje się w wysokiej trawie.

Człowiek od wikliny popatrzył na nią kilka razy z ukosa i przemawiał do swojego psa, który zwał się Cú, czyli Pies. Mówił głośnie, niż robiłby to, gdyby tylko oni dwaj byli jedynymi ciepłokrwistymi stworzeniami na wrzosowisku.

Woda zachlupała, pręty zagrzechotały, a mężczyzna, dziewczynka i pies popatrzyli

w niebo — chmury nachodziły jedna na drugą, już nie cynowe, lecz ołowiane — a potem na siebie nawzajem. Hilda, ośmielona, wstała i podeszła bliżej — buty miała tak oblepione błotem, że nie widać było spod niego skóry — pokazała na człowieka od wikliny, na drobne loczki jego siwych włosów i wypowiedziała jedno z irlandzkich słów, które знаła:

— Bán.

Mężczyzna się roześmiał, ukazując bezzębne dziąsła, a potem wybuchnął potokiem irlandzkiego. Miał dziwny akcent. Hilda zrozumiała z tego wszystkiego trzy słowa: ingen (dzieweczka), saxain (angielska) i occoras (głodny) i pokręciła głową.

— Mall — powiedziała. — Mall (powoli).

Człowiek od wikliny wszystko powtórzył.

— Mall- — powiedziała jeszcze raz, marszcząc czoło i unosząc brwi: proszę.

Cú uniósł łeb i zaskomlał, a Bán znowu wyrzucił z siebie angielsko-brytyjsko-irlandzką mieszankę. Hilda słuchała całą sobą, tak jak słuchała gawronów na polu albo wiatru w drzewach. Pomyślała, że rozumie. Pytał ją, czy jest głodna.

Usiadła w błocie — Onnena natrze jej uszu — i wyciągnęła dłoń zwiniętą w pięść do Cú, pierwszego psa, któremu pozwoliła zbliżyć się do siebie od czasu, kiedy zobaczyła, jak Od pożera wnętrzności służącego Osrica. Najlepiej jak umiała, powiedziała słowami, których użył Bán, że ona, angielska dziewczeczka, która ma na imię Hilda, jest trochę głodna, ale że kiedy wróci, zostanie dobrze nakarmiona. Mężczyzna skinął głową, ale lekceważąco strzepnął palcami w irlandzki sposób, jak robił to Fursey, cmoknął z niezadowoleniem i otworzył woreczek, który miał u pasa. Poczęstował Hildę kawałkiem sera, kęsem cebuli i kilkoma ziarenkami grubej szarej soli, zebranej w szwie woreczka.

Kiedy wyciągnął ser, Cú żałośnie znieruchomiał, zaczął się ślinić i zrobił smutną minę, jak czynią to psy. Hilda i Bán roześmieli się i usiedli wygodnie na wysokim brzegu między zagonami wierzb, gdzie było trochę bardziej sucho, i podzielili się serem. Cú wodził wzrokiem za ruchami ich rąk i wydawał się coraz bardziej smutny. Oboje znali się na psach i nic mu nie dali; po chwili przestał smutno patrzeć i ułożył się do snu. Kiedy zjedli, Bán pozwolił Hildzie wsiąść do jego płaskodennej łodzi, którą pływał po kanale odwadniającym. Małym ostrym nożem wodził wzdłuż włókien wierzbowych witek, początkowo szybciej, niż Hilda mogła wzrokiem nadażyć za jego ruchami, odcinając z pędów drobne pączki, żeby wiklina była prosta. Wysoko nad nimi chmury pędziły, ciemniały i nachodziły na siebie jak pokrywa nad światem; mężczyzna, dziewczeczka i pies spojrzeli w niebo, potem Hilda namówiła Bána, by poszedł z nią do kuchni przy halli Mulstana.

W drzwiach to Guenmona, nie Onnena, spojrzała krzywo na jej zabłocone buty; uniosła brew na widok Bána i powiedziała:

— Nie siadajcie. Cali jesteście w błocie.

— On jest moim gościem.

— Gościem, tak? Cóż, Onnena wyrwałaby mi wszystkie włosy, gdyby zobaczyła, że was karmię w takim stanie. I ciebie w takim stroju. Chociaż miło, że pozbyłaś się tego wielkiego noża.

— Daję mu prawa gościa — rzekła Hilda i obdarzyła Guenmonę spojrzeniem, które doprowadziła do perfekcji w ciągu tych miesięcy rozłąki z matką, miesięcy, kiedy musiała żądać praw księcia, księdza i światła świata w przebraniu smukłej dziewczynki o kasztanowych włosach i wyrazistej twarzy. Guenmona, jak każdy, kto zetknął się z tym spojrzeniem, westchnęła i się poddała.

— Jest trochę pasztecików, wiesz, gdzie są, a ja przyniosę piwo. Ale dopóki nie wyschnie to błoto, masz siedzieć na schodku, bo Onnena...

— Wyrwie ci włosy, wiem. — Hilda zdjęła buty, przysunęła do półki stołek, stanęła na nim ostrożnie, bo miała mokre nogawice, i zdjęła koszyk z pasztecikami owiniętymi w serwetę. Jeden z nich podała Bánowi, sobie wzięła drugi. — Gdzie ona jest?

— Z małą panienką.

Guenmona włożyła pogrzebacz do ognia, żeby się rozgrzał, a potem, wbrew swoim wcześniejszym słowom, zdjęła z półki dwa lepsze miedziane kubki i jeden drewniany, a z orzechowej skrzyni — otworzyła zasuwkę haczykiem, który zwykle wisi u pasa pani domu — wyjęła glazurowany gliniany garnuszek z cennymi przyprawami i wsypała do kubków po jednej szczypcie.

— A ona dobrze się czuje?

Begu wyglądała wcześniej fatalnie — leciało jej z nosa, bolało gardło i ucho — lecz tego ranka już była silniejsza. Dotknięcie przez sidsa mogło się różnie skończyć, ale głównie dla niemowląt i bardzo starych ludzi.

— Wystarczy, że będzie w ciepłe, to jej przejdzie. Ale Onnena rzeczywiście robi zamieszanie...

Pokręciła głową i naląła piwo z dzbana do kubków, a Hilda zrozumiała, że ma to być komentarz do troski Onnenny o córkę pana i, co za tym idzie, o niego. On też nie szczędził uprzejmości Onnennie, na co domownicy — zarówno służba, jak i wysoko urodzeni — patrzyli z kpiarskimi uśmiechami, jakie Hilda widywała u dorosłych przy takich okazjach. Może się sparują. Zeszłej nocy chciała porozmawiać o tym z Cianem, ale chłopak był z jakiegoś powodu opryskliwy, a Begu już leżała opatulona w swoim lipowym łóżku. Zaraz po przybyciu do halli Onnena kręciła na to nosem — dziesięcioletnia dziewczynka, córka wiejskiego tana i córki podupadłego brytyjskiego paniątka, z własnym łóżkiem i materacem z pierza! Co za marnotrawstwo budować miniaturowe łóżko dla dziecka, lecz kiedy Mulstan tak mile ich powitał, szybko zmieniła zdanie.

Hilda to rozumiała i powstrzymała się od osądu, jak już się nauczyła tak czynić w swojej dziwnej sytuacji bycia światłem świata w dziecięcym ubraniu. Jednak miała dziesięć lat, tylko dziesięć lat, a jej jedyną siłą było spojrzenie, słowa i zachowanie, zwłaszcza w takie dni jak ten, kiedy wychodziła w najprostszej krótkiej cyrtel i w nogawicach, zostawiając wszystkie piękne stroje w bezpiecznej i suchej izbie Begu.

Tak więc kiedy Guenmona strąciła popiół z rozżarzonego pogrzebacza, zanurzyła jego gorącą końcówkę w pierwszym miedzianym kubku i czekając, aż napój się podgrzeje, zaśpiewała zwrotkę nieznannej Hildzie piosenki wealh, dziewczynka żuła pasztecik z baraniną — Guenmona dodawała do swoich wypieków estragon i ocet, co nadawało im dziki, cierpki posmak — i cieszyła się ciepłem, jedzeniem oraz możliwością

zdobycia nowego przyjaciela, kogoś, kto także był tu obcy.

Bán skończył jeść swój pasztecik i rozglądał się dookoła. Cú siedział cicho i grzecznie, chociaż przy jego łapach leżały podejrzanie wyglądające okruszki.

Guenmona podała piwo. Bán sącył je ostrożnie, Hilda radośnie: gałka muszkatołowa i imbir! Patrzyła, jak człowiek od wikliny ponownie unosi kubek, zauważyła odciski na jego nadgarstkach, zarys grubej blizny wokół szyi, kiedy przełykał. Mulstan nie stosował obroży u swoich wealh, lecz Bán kiedyś nosił ten znak niewolnictwa. Jego tunika była wytarta. Czy w ogóle miał płaszcz? Była wiosna, ale wrzosowisko i plażę czekały jeszcze dwa miesiące zimnego wiatru.

— Dobre piwo — rzekła, a Guenmona skinęła głową, jakby ta pochwała jej się należała.

— Nie chwałąc się, gotowe od wczoraj, z najlepszego słodcu, jaki mieliśmy od pół roku albo i dłużej.

— Mogłybyśmy odstawić kilka dzbanków?

Guenmona skrzyżowała ramiona.

— I może mamy jakiś materiał, z którego mogłybyśmy uszyć płaszcz.

— I może jeszcze przy okazji kiełbasę dla psa?

— Bán na pewno byłby wdzięczny — powiedziała Hilda i uśmiechnęła się do niego; rozpoznał słowo „pies”. Naprawdę chciała z nim porozmawiać. — Gdzie jest Fursey?

— A skąd ja mam wiedzieć, gdzie się podziewa ten wygadany, wygolony irlandzki szpieg?

Powiedziała to tonem tak podobnym do tonu Breguswithy, że Hilda bardzo zatęskniła za matką i siostrą.

Hilda stała na cyplu w porannej mgle; palce jej nóg wystawały poza krawędź trawiastego, zwróconego na wschód klifu. To krawędź wszystkiego. Między dniem i nocą, między niebem i ziemią, morzem i lądem. Powietrze pachniało żelazem i solą. Jak w Tinamutha. Położyła dłoń na seaksie. Nie, nie jak w Tinamutha: nie ma zapachu błota i podmokłej niziny. Płonących łodzi. Uzbrojonych mężczyzn torujących sobie drogę do niej i do króla. Zapach tylko żelaza i soli. Zdjęła dłoń z noża. Za sobą, za ruinami kamiennego paleniska i krytego strzechą, walącego się kościółka uplecionego z prętów i witek, usłyszała krowie dzwonki. Ich głuche pobrzękiwanie było niemal melodyjne, a czasami harmonijne. Nigdy nie słyszała o czymś takim, ale skoro już się z tym zetknęła, zastanawiała się, dlaczego wszystkie krowy na świecie nie mają na szyi dostrojonego dzwonka.

Mgła zaczęła rzednąć i Hilda widziała już ciemną, wilgotną plażę. Długonogie ptaki rozbijały dziobami skorupiaki, a kobiety objuczone workami zbierały węgle i drewno wyrzucone przez morze, umykając przed falami, które rozlewały się po piasku jak piana w skopku dojarki. Niebo było niebieskie jak dwukrotnie farbowany len. Niespokojne morze lśniło jak wypolerowany krzemień. Jeśli niebo pozostanie bezchmurne, ono też stanie się niebieskie. W porcie u ujścia rzeki Esk ładowano towar na trzy statki. Mulstan ma rację. Jej wuj pewnie wygrywa. Co prawda nie wiedziała, dlaczego nie otrzymała żadnej wiadomości.

W górę od portu rzeka wiła się wśród kwitnących drzew owocowych i zagajników podszytych plataniną jeżyn. Ze wschodu nadleciał klucz gęsi. Wschodzące słońce barwiło ich pióra na różowo, a żółte dzioby na kolor pośredni między nagietkowym i różowym — dokładnie taki, jaki miały karneole Hildy spoczywające teraz bezpiecznie w rzeźbionej szkatułce z kości słoniowej. Chyba że znowu pożyczyła je sobie Begu.

Hilda odwróciła się, żeby to sprawdzić. Begu rozmawiała z synkiem pastucha, jedną rękę trzymając na grzbiecie krowy, a drugą na biodrze. Na żadnym z jej przegubów nie lśniły paciorki. Mówiąc, poklepywała krowę, drobną, czarną krowę hodowaną w tych okolicach, a należąca do rasy nie tyle mlecznej, ile mięsnej. Mleko dawały kozy.

Ze swoją podłużną, szczupłą twarzą, krzywymi zębami i szeroko rozstawionymi oczami Begu sama trochę przypominała kozę. Stale rozczochrane włosy miała jasnobrązowe jak sierść kozy. Lubiła zwierzęta gospodarskie, tak jak Hilda lubiła dzikie zwierzęta.

Poza gęsiami. Właśnie lądowały na plaży i pędziły z klangorem i rozpostartymi skrzydłami na kobiety i biegusy, aż plaża opustoszała i hałaśliwe ptaki mogły ją dokładnie oczyścić ze skorupiaków, zostawić odchody i odlecieć, wciąż się kłócąc. Begu nie znosiła gęsi, niepokoiły ją, ale nie wiedziała dlaczego.

— Hildo! — Machała do niej, podskakując w miejscu z przejęcia. Zawsze była przejęta. — Cædmon mówi, że ma książkę. Książkę!

Hilda podeszła do nich.

— Gdzie?

Chłopiec, Cædmon, zaczerwienił się pod piegami i czupryną ciemnych włosów, coś bąkając.

— Nie bądź niemądry — powiedziała Begu. Spojrzała prosto na Hildę. Oczy miała koloru orzechów laskowych. — Myślisz, że mu ją odbierzesz. Nie zrobisz tego, prawda?

— Książka należy do Mulstana. — To była jego ziemia, a Cædmon był jego wealh. Czekala. Cædmon w końcu podniósł na nią wzrok spod nierównej grzywki. Została przycięta nożem. — Co to za książka?

Wzruszył ramionami i spojrzał ku horyzontowi.

— Chcę ją obejrzeć.

— Nie ma jej tu.

Głos miał jak pajęczyna, miękki i głuchy, lecz kryła się w nim muzyka.

— A gdzie jest?

Kolejne wzruszenie ramion.

— Skąd się wzięła? — Znowu wzruszył ramionami. — Skąd się wzięła?

— Należała do księdza. Umarł. Pochowaliśmy go z jego paciorkami, ale jego żona wzięła książkę.

Hilda skinęła głową. Zaczynała rozumieć, że książki są cenne, zwłaszcza te ze złotem i klejnotami.

— A potem umarła ona. Pochowaliśmy ją. — Machnął ręką w stronę żywopłotu z pokrytej kremowymi kwiatami tarniny, otaczającego owalny cmentarz. Bramka się przewróciła. — Tata wziął książkę. Żeby zachować ją dla nowego księdza, jak powiedział. Ale nie ma nowego księdza. I tata zapomniał o książce.

Krowy pały się w pobliżu przerwy w żywopłocie. To haniebne, że takie miejsce popadło w ruinę.

— Tu jest dobra ziemia — rzekła Hilda. — Dobre pastwiska. Woda. I na wiele mil widać zbliżające się kłopoty.

— Kłopoty? — Begu roześmiała się perłście. — Tu nie ma żadnych kłopotów!

Na świecie zawsze są kłopoty. Hilda pomyślała o bitwie z Irlandczykami w porcie Tinamutha przy świetle pochodni i przy dziwnej nieobecności ludzi Osrica. O przedzieraniu się do statku. O tym, jak gesithowie, dla których nie było miejsca na ostatniej łodzi, razem z psami ustawili się na nabrzeżu w mur i jeden po drugim ginęli, by Edwin i jego świta mogli uciec.

Nie tutaj, powiedziała do siebie. Nie tutaj.

— Ale i tak powinna być uprawiana. Jeżeli nie przybędzie nowy ksiądz, powinna zostać oddana komuś w zarząd.

— Wypasa się na niej bydło — rzekła Begu i poklepała krowę Cædmona.

— Tak, ale czy to bydło pana?

— Tak. W większości.

— Ile?

— Większość.

Matka Hildy i Coelgar wiedzieliby dokładnie i Hilda mogłaby wypytać ich o liczbę krów. Rachunki trzeba prowadzić, zobowiązań dotrzymywać.

— Krowy nie powinny się paść obok zmarłych. Wszędzie paskudzą.

Lecz Begu tylko wzruszyła ramionami.

— Wokół cmentarza jest żywopłot. Prawie wszędzie.

Hilda poddała się i zwróciła do Cædmona:

— Jak wygląda ta książka?

Nakreślił dłońmi w powietrzu prostokątny kształt. Mała.

— Jaki ma kolor?

— Brązowy jak krowie gównu.

Wszyscy odslonili zęby w uśmiechu.

— Mogę ją zobaczyć?

Spojrzał zmrużonymi oczyma na słońce, podał swoją różgę Begu i powiedział starannym angielskim:

— Pilnuj krów.

Po tych słowach pobiegł w dół porośniętego krzakami wzgórza w stronę rzeki.

— To dobra ziemia — powiedziała Begu, odwracając się powoli i patrząc na cypel, jakby nigdy przedtem go nie widziała. — Nie tylko pastwiska. Pułapki na węgorze w rzece. Zające na skraju lasów. Grzyby i bukiew w lasach. Krowy, owce, ostrygi, mewie jaja... Chcesz zobaczyć ukryte źródelko?

— Źródelko?

— Oczywiście, że jest źródelko. — Ruszyły z miejsca. — Myślałaś, że jest tylko ten staw?

— To nie jest zły staw. Można by go zarybić.

— Po co? Tam jest mnóstwo ryb.

Begu machnęła ręką w stronę morza.

Bebbanburg leżał nad morzem. Mógł się przeciwstawić Irlandczykom, ponieważ dysponował wszystkim, czego można by potrzebować wewnątrz nieprzebitego muru. Lecz Begu uśmiechała się do niej i Hilda nie miała pojęcia, jak ma jej to wyjaśnić, żeby ten uśmiech nie zgasł.

— Tutaj. — Begu zatrzymała się przy kępie paproci, uklękła i odgarnęła je różgą na bok. Hilda poczuła zapach mięty. — Kiedyś dawno temu to było źródło Sirony.

Hilda nie znała Sirony. Nie znała połowy miejscowych bogów źródeł, wału i lasu.

Ujrzała kamienisty staw wielkości największego kotła na zupę w Bebbanburgu, lecz głębszy. Na jego powierzchni źdźbło trawy powoli obracało się ze wschodu na zachód. Na kamiennej półce wśród paproci stał kubeczek z rogu. Begu zanurzyła go w źródle i wylała z niego cienki strumyk wody ku czci źródła i bogini, a następnie podała go Hildzie. Hilda upiła łyk.

— Jaka zimna! — Znowu się napiła. — Smaczna.

Smakowała paprocią i miętą.

— Moja matka powiedziała, że to najlepsza woda na świecie. Przychodziłyśmy tu w lecie, kiedy na dole było gorąco. Opowiadała mi o tym, jak tu przychodziła w dzieciństwie.

Hilda obracała rogowy kubeczek w dłoniach. Wyglądał na stary. Wyobraziła sobie matkę Begu, Enynnę, i matkę Enynny, i jej matkę, i matkę jej matki, jak siedzą tu wśród paproci, piją zimną, miętową wodę i rozmawiają cicho po brytyjsku. Tyle ich było. Wszystkie zniknęły we mgle. Poczuła w środku ukłucie, tęsknotę za rodziną i domem, którego nigdy nie miała.

— Tęsknisz za matką?

— Tak. Chyba tak. To było dawno temu. Byłam bardzo mała.

— Ja tęsknię za swoją.

— Ale wkrótce ją zobaczysz. Zobaczysz. Mój tata mówi, że nikt nie zdoła zdobyć Bebbanburga.

Hilda nic nie powiedziała.

— Jaka ona jest?

— Wysoka.

— Ty jesteś wysoka.

— Ona jest bardzo wysoka. Wyższa od króla.

— On jest bardzo niski?

— Jest wzrostu Mulstana.

— Nie! To ona musi dotykać nieba!

Hilda się roześmiała.

— Nic nie dotyka nieba. Poza ptakami.

Z Begu łatwo się rozmawiało. Może dlatego, że mówiła takie dziwne rzeczy, może dlatego, że Hilda miała wrażenie, że Begu nikogo nie traktuje poważnie.

Begu rzuciła się plecami na trawę w plamie słońca.

— Jak myślisz, jakie jest niebo w dotyku?

Hilda ostrożnie odstawiła kubeczek na miejsce i też się położyła. Trawa była

wilgotna. Patrzyły na niebieskie niebo.

— Jak mgła. Jak niebieski welon. Jak pajęczyna.

— Myślisz, że ciągnie się w górę bez końca? Świat błękitu?

— I czerni, w nocy.

Kiedy latają stworzenia, które nie są ptakami.

Zamilkły. Paprocie szeptały na wietrze. W oddali szumiało morze. Gęgały gęsi.

Hilda zadrżała.

— Może gęsi są częścią twojej wyrd.

Hilda spojrzała na nią.

— No co? Nie lubisz ich. Zauważyłam to.

— Są głośne i brudne.

— Tak jak kozy. Ale i jedne, i drugie dobrze smakują.

Hilda z powrotem odwróciła się do nieba. Wychwyciła przez gęganie odległe krzyki mew. Tu, wysoko, dźwięki wydawały się swobodniejsze, niepodobne do ostrych, przesywających głosów z plaży. Wiatr też brzmiał inaczej. Nie było tu wysokich drzew, którymi mógłby szeleścić, potrząsać i mówić. Ale w takim razie co to jest to rytmiczne skrzypienie?

— Co to...

Skrzypienie stało się niższe, umilkło, a potem rozległ się głośny ryk i trzask. Hilda usiadła.

— Krowy!

Pobiegły.

Krowa skuszona miękką trawą między grobami próbowała przecisnąć się przez zwaloną bramkę w żywopłocie z tarniny i się zaklinowała. Miotła się, ryczała, niszcząc żywopłot i wbijając sobie ciernie w szyję i delikatne różowe wymię. Kwiaty leżały na trawie jak śnieg.

— Nie pozwól im się rozejść.

Begu rzuciła różgę Hildzie i pobiegła prosto do cierpiącej krowy.

Hilda podeszła do bydła.

— Sweff — zawołała cicho, jak robią to pastuszkowie. — Sweff, sweff. — Obeszła powoli krowy, żeby się skupiły, ale nie na tyle ciasno, by wpadły w panikę. — Sweff, sweff. — Zaczęły opuszczać łby. Jedna pochyliła nisko głowę i skubnęła trawę. Inna machnęła ogonem. To nie takie trudne. Trochę jak uspokajanie psów. Zadała sobie pytanie, co takiego w tym słowie, jego kształt czy intonację, krowy uważają za uspokajające. — Swip — powiedziała tym samym tonem. Pasąca się krowa uniosła łeb. — Swip, swip, swip — powiedziała Hilda z opadającą intonacją. Przewracanie oczami, nerwowe parsknięcie. — Sweff, sweff — powiedziała z właściwą intonacją.

Krowy się uspokoiły, chociaż nie tak bardzo jak wcześniej.

— Co robicie? — rozległ się głos Cædmona. Jedną ręką wciąż przytrzymywał się młodego drzewka, pomagając sobie wejść na strome zbocze, a w drugiej trzymał coś owiniętego w tkaninę na worki. — Dlaczego... — Zobaczył krowę uwięzioną w żywopłocie i zaklął.

Pod wpływem słów Begu krowa uspokoiła się, ale teraz ryczała żałośnie. Begu

patrzyła na ciernie. Cædmon upuścił zawiniątko, ukląkł przy niej i poklepał zwierzę po szyi. Zerknął na Hildę.

— Przypilnuj pozostałych.

— Skoro już tu jesteś, nic im nie będzie. — To prawda: wszystkie pasły się spokojnie. Hilda chciała obejrzeć książkę, sprawdzić, czy potrafi domyślić się jakichś słów. — Powinniście zdjąć jej obrozę.

Cædmon pokręcił głową; sprawiał wrażenie tak niewrażliwego na jej reputację jak Begu. Pokazał na przebite wymię.

— To ją boli najbardziej.

— Nie kopnie, jak będziesz wyciągał ciernie?

— Może kopnąć. Ale musimy wyjąć wszystkie, bo za kilka dni pocieknie śmierdzący żółty płyn.

Krowa nie była duża, ale ważyła więcej niż wszystkie troje dzieci razem wzięte. Hilda zatęskniła za starą wiklinową tarczą Ciana albo jeszcze lepiej — za tą z mocnego drewna i skóry z pomalowanym umbem, którą poprzedniego roku dali mu Bryneichowie. Odetchnęła głęboko i uklękła. Tu na dole kopyta sprawiały wrażenie dużych i ostrych i pokrywała je warstwa odchodów, które w panice wydalila krowa. Hilda odłożyła książkę.

— Gdzie mam zacząć?

Godzinę później Hilda i Begu znalazły się u stóp wzgórza wyznaczającego porę dnia, złożyły na ziemię obrozę i dzwonek, ponieważ Cædmon powiedział, że krowa będzie potrzebowała na szyję maści, a nie obroży, a Hilda chciała obejrzeć dzwonek oraz owiniętą w worek książkę. Zaczęły się doprowadzać nawzajem do porządku. Hilda rozplotła lewy warkocz Begu i, trzymając rzemyk w zębach, przeczesala jej włosy palcami, wybierając ciernie, płatki kwiatów i źdźbła trawy.

Begu usiłowała wytrzeć buty w trawę.

— To nic nie da — stwierdziła Hilda, zaplatając warkocz.

— A może.

— Nie. Zapewne czują nasz zapach aż stąd. — Związała warkocz i rozplotła drugi.

— Nie ruszaj się. Już. Teraz ja.

— Twoje włosy są w porządku. Nie wiem, jak ty to robisz.

— Mam włosy taty. Nie są tak delikatne jak twoje.

— Podoba mi się ich dotyk, są takie sztywne i mocne. Jak ty.

Nigdy przedtem nikt jej nie powiedział czegoś takiego.

— O co chodzi? Martwisz się o krowie gównu? Nie pozwolę, żeby Guenmona cię skrzyczała.

W porównaniu z Onneną Guenmona była nowicjuską, ale poczucie, że jest chroniona, i to przez kogoś, kto sięga jej zaledwie do podbródka, było dla Hildy czymś tak nowym, że nie wiedziała, jak zareagować.

Fursey zacisnął usta i kilka razy obrócił małą brązową książkę w dłoniach, a potem postukał kłykciami w okładkę. Jego czarna szata z dobrego materiału była nieco rozchyłona pod szyją i ukazywała większy niż zwykle fragment znamienia, które przypominało plamę rozlanego wina i biegło od jego lewego ramienia do żuchwy.

— Skóra wołowa i drewno. I to jeszcze skóra garbowana w domu. — Otworzył książkę, zamknął ją i znowu otworzył. — *Breviarium psalterii*. I okropny charakter pisma, coś takiego mógłby napisać chłop. Czy to ma coś wspólnego z tym irlandzkim chłopem pańszczyźnianym, z którym mam porozmawiać na twoją prośbę?

— Należała do zmarłego księdza. Co to jest — przerwała, żeby starannie wymówić słowa — *breviarium psalterii*?

— Skrócony rodzaj psalterza. Jak ten.

Z torby u pasa wyjął własną książkę oprawną w ciekłą czarną cielęcą skórę, otworzył ją jedną ręką i podał Hildzie. Psalm. Już je kiedyś jej pokazywał. Skinęła głową i spojrzała na psalterz zmarłego księdza, który Fursey trzymał w drugiej ręce.

— Ale litery są inne.

Były bardziej okrągłe i grubsze, czarniejsze. Wyciągnęła rękę i Fursey podał jej książkę. Zważyła ją w dłoni, otworzyła, przyjrzała się pismu. Fursey zaczął ją uczyć czytać, ale te litery biegły bez przerw i Hilda nie potrafiła odróżnić słów. Nie było kropek i innych znaków nad pewnymi literami jak w książce Furseya.

— Jest stara — powiedział. — Versio Ambrosiana. Była stara, zanim jeszcze ten twój zmarły ksiądz złożył śluby.

Zwinięta w rozwidleniu konarów ogromnej lipy nad ruczajem przeglądała książkę. Cętkowane światło padało na blaknący atrament. „Okropny charakter pisma, coś takiego mógłby napisać chłop”. To są chłopcy, którzy umieją pisać? Gdyby jej wuj się o tym dowiedział, zirytowałby się, że jakiś chłop umie robić coś, czego nie potrafi jego jasnowidząca. Na razie.

Zirytowałyby to też Eadfritha. Kiedy ich łódź wypłynęła z mętnych wód Tine na wzburzone fale morza, nieprzytomni mężczyźni jęczeli, ci mniej poturbowani śmiali się ze swoich ran, kiedy tylko sobie przypominali, że powinni to robić, a kiedy o tym zapominali, wyglądali, jakby z wdzięcznością przyjęli obecność swoich matek, a Eadfrith nagabywał ojca o Furseya, który leżał związany jak wieprz na deskach półpokładu między nimi.

Eadfrith kopnął księdza w udo.

— Dlaczego ona ma go dostać? Dostanie też okup?

Fursey był przytomny, ale zakneblowany, więc — co było u niego, jak się miała przekonać, rzadkością — milczał i wodził wzrokiem od jednego do drugiego, jakby znajdował się w halli podczas zawodów śpiewaków.

— Nie dostanie nic oprócz obowiązku sprawowania opieki nad denerwującym boskim posłańcem, który wyjaśni jej znaczenie książki.

— Ale dlaczego ja go nie mogę dostać?

— Nie zasłużyłaś.

— Ona też nie.

— Mogę z nim zrobić, co mi się podoba.

Eadfrith nic nie powiedział, ale znowu zamachnął się nogą.

— Nie wolno ci go uszkodzić, bo nie należy do ciebie. Chyba że chcesz go ode mnie kupić?

Eadfrithowi nie poszło w walce dobrze — niewielu się powiodło, to była raczej

ucieczka niż walka — i nie miał żadnych łupów.

— Nie? I dobrze. Nie potrzebujesz książek. Masz miecz.

Podczas gdy ojciec i jego hipotetyczny spadkobierca mierzyli się wzrokiem, Fursey pochwycił spojrzenie Hildy, uniósł brwi i popatrzył znacząco na jej seax.

Nic nie uchodziło uwagi Edwina. Pochylił się i powiedział tym przyjemnym tonem, jakby mówił „konia zjemy”:

— Może i nosi klingę, ale nosi także suknię, księżę, tak jak ty. A więc będzie się uczyć. Ucz ją. Ale nie o tym twoim Chrystusie. Z czasem zrobią to inni. — Zwrócił się do Hildy: — Dopóki będzie jadł na mój koszt, masz się nauczyć wszystkiego o zastosowaniu tych książek, jeśli w ogóle je mają.

Teraz siedząc w rozwidleniu konarów, Hilda zamknęła książkę. Fursey jadł — i pił, zawsze pił — na koszt Mulstana, nie jej wuja. Dar królów, jak mówiła jej matka: zmuszać do płacenia innych. Przypomniała sobie inne powiedzenie matki: „Kobiety tworzą, a mężczyźni niszczą”. Zmarszczyła brwi. A co z mężczyznami w sukniach? Gdzie oni pasują? Suknia albo miecz, książka albo ostrze...

— To dziwna książka — rzekła do Bána po irlandzku.

— Tak? — odpowiedział w języku Angłów, ponieważ Hilda uznała, że tak będzie najlepiej.

Skoro Fursey nie chciał tłumaczyć, to najwięcej nauczą się od siebie nawzajem. Ona będzie mówić w języku Bána, a on w jej, żeby kiedy odjedzie — bo na pewno lata już tu nie spędzi — mógł rozmawiać z ludźmi w halli. A ona będzie lepiej wiedziała, jak funkcjonuje cwany irlandzki umysł Fursey'a.

Szli ścieżką biegnącą wzdłuż wzniesienia między kanałami. Teraz wiosna dotarła nawet tutaj: wszędzie pojawiły się jasnozielone listki, a powietrze przepełniał zapach kwiatów, jakie w dolinach już się zmieniały w maleńkie owoce. Zakładając, że oddział Osrica połączył się z oddziałem Edwina, że ich marsz wzdłuż wybrzeża odbył się bez przeszkód i że rozbili siły otaczające Bebbanburg, dwór przeniesie się do Yeavinger, na słodkie zielone pastwiska i do nieustającego wiatru na Kozim Wzgórzu. Tylko jeśli tak się stało, to dlaczego ona wciąż tu jest? Dlaczego nikt nie przybył? Może Irlandczycy wciąż są na morzu. Sięgnęła do seaksa, ale zamiast na pas, jej dłoń natrafiła na szarfę i Hilda przypomniała sobie, że pożyczyła nóż Cianowi. „Nadal jest mój — powiedziała wtedy — ale przez jakiś czas możesz go używać. Tylko nie podczas zabawy, bo jest bardzo ostry”.

Kiedy tak szli, Cú wpadał w rosnącą wzdłuż brzegów wiązówkę błotną, żywokost i trzciny, węszył i kopał, a niekiedy skomlał i wtedy Bán szedł za nim i rozplątywał wysokie witki wierzby białej, żeby rosły prosto. Powiedział, że wierzba biała rośnie najszybciej, ale najlepsza na kosze jest wierzba czarna. Musiał dwa razy pokazać rękami „kosz”, zanim znalazł odpowiednie słowo, ale chociaż Hilda wiedziała, co stara się powiedzieć, nie przeszkadzała mu. Przekonała się, że ludzie, a zwłaszcza ci, którzy posługują się innym językiem, denerwują się, jeżeli nie da im się wysławić po swojemu, nawet jeżeli będą mówić długo i szybko. Jak z tym dziwnym psalterzem.

— Psalmy są napisane wszystkie razem — powiedziała. — Bez początku ani końca, jednym ciągiem. Fursey mówi, że ma to naśladować długi oddech boga.

— Ojciec Fursey to pobożny człowiek — powiedział Bán z roztargnieniem po irlandzku i zatrzymał się, by wypróbować sprężystość wikliny. — Nie teraz — powiedział do siebie. — Jeszcze nie.

Poszli dalej.

— Ale nie rozumiem, dlaczego, jeśli to jest oddech boga, to jest on inny niż w małej książce Furseya. Fursey mówi, że jest tylko jeden bóg, ale na pewno nie ma racji.

— Ma. Jest Bóg, jedyny Bóg, a mieszka On we wszystkim. W powietrzu i w ziemi, w kanale i w wiklinie, w tobie, we mnie i w Cú. Jak może być ich dwóch, skoro Bóg przebywa we wszystkim?

Hilda była zadowolona, że mówi po irlandzku, ponieważ po angielsku bogowie mieszkali w określonych miejscach. Powiedzenie po angielsku, że bóg jest wszędzie, nie miało sensu. Bogowie nazywali się Thunor, Eorđe i Sigel i mieszkali w swoich miejscach, w dębie, w głębokiej studni albo w słońcu. Chciała, żeby Furseyowi było wolno mówić jej o jego bogu.

— Jeśli twój bóg mieszka w twoim psie, to dlaczego przed nim nie klękasz?

— Bo Bóg mieszka także we mnie.

Hilda zastanowiła się nad tym. Słońce grzało ją w plecy.

— Kiedyś poznałam brytyjskiego biskupa Chrystusa, Anaoca. Powiedział, że przepowiednie to dzieło demona. Czy Chrystus jest twoim irlandzkim bogiem i bogiem Furseya?

— Jest tylko jeden Chrystus.

— To skoro ten bóg jest we wszystkim, to gdzie mieszkają demony?

Bán spojrzał na nią bezradnie.

— Wierzba susząca się na podwórzu na pewno już wyschła — powiedział. — Pokażę ci, jak ją obdzierać z kory.

G

W ogrodzie kuchennym, który pod koniec dnia, kiedy służący z kuchni zebrali już zioła potrzebne do gotowania, przechodził we władanie dzieci, Hilda w końcu mogła opowiedzieć po angielsku Begu i Cianowi historię o psach, bogach i demonach. Nie miała pojęcia, dlaczego tak trudno jej przychodziło mówić po angielsku do kogokolwiek oprócz Begu, ale tak było, mimo że przez ostatnie kilka tygodni uczyła się, jak pozwalać napływać słowom. Udawało jej się to lepiej, kiedy nie miały wielkiej wagi, żadnego znaczenia, jeśli były to słowa nieobciążone sprawami życia i śmierci.

Cian podnosił i opuszczał ćwiczebne kamienie, Begu plotła wianek ze stokrotek, a Hilda skończyła swoją opowieść. Cian się roześmiał, co sprawiło przyjemność Hildzie, ponieważ chłopiec nie śmiał się od tygodnia.

— Bogowie i demony w psach i robakach! — Upuścił kamienie i odgarnął z czoła włosy; teraz miały kolor dokładnie taki sam jak włosy Hildy, a długością dorównywały włosom wojowników. Hilda spostrzegła, że Begu im się przygląda, i zadała sobie pytanie, czy też myśli, że są przyjemne w dotyku. — Więc kiedy zarzucam linkę i łapię rybę, a ryba zjada robaka, to czy bogowie robaka muszą walczyć z bogami ryby?

— A kiedy jemy rybę — odezwała się Begu — to czy bogowie w nas będą walczyć z bogami wewnątrz robaka wewnątrz ryby?

Włosy znowu jej się rozplotły.

— I czy wtedy demony będą walczyć z innymi demonami, czy połączą swoje siły przeciwko bogom, jak Gododdinowie i mieszkańcy Rhegedu sprzymierzyli się przeciwko Deivyrom i Bryneichom?

Oczywiście po tej wzmiance o ulubionej pieśni Ciana, którą Hilda wtrąciła z rozmysłem, musieli odegrać picie wina i miodu z Moreiem, a potem bohaterską walkę w fosie i upadek, zawsze upadek w fosie, fosie pogrzebowej. Kiedy jednak już wszyscy upadli, zaczęli się wić jak splątane robaki, potem jak robaki opętane przez demony, a potem jak ludzie, psy, demony i bogowie opętani żądzą walki i śmieli się, aż pył na ich policzkach zmienił się w błoto od łez, a włosy Begu stały się jedną wielką plątaniną. I przez chwilę Hilda była nie nosicielką światła, która przepowiedziała śmierć królowej i oblężenie warowni, nie jasnowidzącą, która ma się nauczyć czytać, lecz po prostu dzieckiem.

Rozdział 6



Fursey, królewski zakładnik i nauczyciel światła świata, bardzo lubił dobre wino, dobre mięsiwo i długie rozmowy o złych aspektach świata i o tym, jak je naprawić. Oczywiście długie rozmowy powodowały jeszcze większe pragnienie. Tak więc Mulstan częściej niż zwykle wołał o lirę, Fursey bowiem jako Irlandczyk i to wysoko urodzony — był synem córki króla Connaughtu, a ochrzcił go sam święty Brendan — cenił tworzących muzykę w halli nawet bardziej od dobrego wina Mulstana czy brzmienia własnego głosu. Lecz tego wieczora było jeszcze za wcześnie na lirę.

— To zaiste jest królewskie wino — rzekł Fursey do Onnenny, która w halli Mulstana, gdzie mówiła tylko po angielsku i ubierała się jak pani, siedziała przy stole pana, a nie w jego kuchni.

Onnena nie mogła się nie zgodzić. „Iberyjskie” — powiedziała dzień wcześniej Hildzie, nalewając chochlą pełny kubek z jednego z wielkich dzbanów, dopiero co wyjętych z ładowni wschodnioangielskiego kupca. „Mocne jak dobra ziemia i gęste jak krew. Odpowiednie dla cesarza”. Hilda spróbowała, lecz wypluła, a potem piła je tylko rozwodnione i posłodzone miodem.

— Coś takiego mogłoby smakować samemu Izydorowi — ciągnął Fursey. — Chociaż niewątpliwie zacytowałyby Hieronima: Dorastające dziewczęta winny unikać wina jak trucizny, żeby ze względu na gorączkowy ferwor tego okresu życia wypiwszy je, nie umarły. — Uśmiechnął się do siebie, jakby wspominając jakąś oświetloną blaskiem słońca dziewczynę i jej gorączkowy ferwor. — Tak. To napój mężczyzn. — Uśmiechnął się do Onnenny, lecz już inaczej, z ustami zaciśniętymi jak u żmii. — Kosztowny napój. Chociaż, zważywszy, że wielmożny Mulstan zawiaduje całym handlem w tym rejonie, niewątpliwie należy mu się od czasu do czasu część towarów.

— Bierze sobie nie więcej, niż mu się należy jako tanowi króla.

— Oczywiście. Należy mu się bowiem wszystko w tej okolicy, czyż nie? Czymś strasznym byłoby sugerować, że goszczący człowieka gospodarz bierze sobie więcej, niż wypada.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, zatrzymując spojrzenie na zdobiącym jej pierś wspaniałym łańcuchu z bizantyjskich i rzymskich medali, który Mulstan podarował jej zaledwie w poprzednim tygodniu.

Onnena siedziała bardzo wyprostowana. Hilda odstawiła swój miedziany kubek i spojrzała na Ciana. On też odstawił swój, a twarz mu poczerwieniała. Hilda nagle pożałowała, że pozwoliła mu używać swojego seaksa.

— O co chodzi? — szepnęła Begu, lecz Hilda pokręciła głową.

— O, tak — ciągnął Fursey z zadumą. — Bardzo lubi swoje smakołyki i zachowanie wealh.

Fursey spojrzął na czerwonego Ciana i uśmiechnął się tym swoim wężowym uśmiechem. Hilda pojęła, że ksiądz jest pijany — akurat na tyle, by wypuścić swoje diabły, żeby się zabawiły, jak sam mógłby to określić. Onnena też to spostrzegła i zawołała do Ciana:

— Cian, powiedz panu Mulstanowi, jak zdobyłeś swoją piękną tarczę. A jeszcze lepiej przynieś ją tu. Pan chciałby ją obejrzeć. — Spojrzała na Mulstana, który przerwał rozmowę ze wschodnioangielskim kapitanem statku handlowego i powiedział:

— Tak, tak, przynieś swoją tarczę, chłopcze.

Fursey odprowadził go wzrokiem, a potem odezwał się na tyle głośno, by Onnena dobrze go usłyszała:

— Ma wyjątkowy kolor włosów, prawda? Interesujące jest też, że jego matka przypochlebia się najpotężniejszemu człowiekowi na południowodeirańskim wybrzeżu. Człowiekowi niegdyś związanemu przysięgą wierności z Etelfrydem Srogim, a być może wciąż związanemu nią z jego synami. Człowiekowi mającemu złoto, który mógłby przewodzić wielu wojownikom, gdyby ich zwołał. A król został osłabiony w walce z Dál nAriadne. — Roześmiał się, co zabrzmiało jak szelest jedwabiu. — Nikt się nie spodziewał, że Fiachnae obejdzie waszego króla i zaatakuje Bebbanburg, co? Albo może jednak ktoś się spodziewał. Ta twoja młoda podopieczna. Dziwne. A teraz mamy tu o jednym dogodnym czasie Mulstana i tego chłopca o interesującym kolorze włosów.

Onnena spojrzała na trzymany w ręce nóż stołowy — cztery cale ostrej, lśniącej stali — a potem na Furseya.

— Jesteś znużony życiem, księżu?

Begu wytrzeszczyła na nią oczy. Znała Onnenę tylko jako kobietę, którą lubi jej ojciec i która jest surową nauczycielką tkactwa. Hilda, która widziała, jak Onnena wypatroszyła więcej stworzeń, niż mogła to sobie wymarzyć większość wojowników, nie do końca wierzyła, że kobieta mogłaby zranić księdza. Odszukała dłoń Begu i ucisnęła ją uspokajająco.

— Ależ skąd. Wuj tej dziewczeczki, twój król, najął mnie jako nauczyciela i właśnie uczę.

Hilda prychnęła w duchu. Najął. To jeden sposób opisanie wyciągnięcia z przesiąkniętego krwią błota na południowym brzegu Tine i wykorzystania przez sprytnego króla.

— Jeśli ma kierować królami, będzie potrzebowała subtelności, a Anglowie znają tylko klingi, krew i przechwałki.

— Nie poznałeś jeszcze mojej matki — rzekła Hilda po irlandzku.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, pokazując zęby i język pociemniałe od wina.

Onnena wytarła nóż o tkaninę na stole, schowała go i wstała. Przechyliła się nad Furseyem i wzięła do ręki dzban z winem.

— Nasz łaskawy gospodarz jest nadto hojny w kwestii wina. Nie jesteś sobą.

Wyciągnął rękę, by odzyskać dzban.

— Czy muszę wyjaśnić naszemu panu, że jesteś pijakiem?

Fursey zaklął i sięgnął po miecz, którego nie miał. Oskarżenie irlandzkiego

szlachcica o pijaństwo, choćby złożył śluby kapłańskie, równało się oskarżeniu o zdradę, jako że na słowie czy przechwałkach pijanego człowieka nie można polegać.

Onnena uśmiechnęła się i przelotnie położyła dłoń na głowie Hildy.

— Ucz się, zadziorko. A tobie, Begu, też nie zaszkodzi słuchać uważnie, chociaż jak już uznasz, że się czegoś nauczyłaś, musisz o tym porozmawiać ze mną albo z Guenmoną, bo ani trochę nie wierzę temu opojowi. Więcej wina podam, kiedy ktoś zdejmie lirę ze ściany.

G

Nazajutrz Hilda, Cian i Begu razem wspięli się na cypel. Hilda i Cian naśladowali naturalny zwyczaj Begu chwytania się każdego napotkanego krzaka czy głązu, by ulżyć napiętym mięśniom ud i łydek. Kolcolisty były w pełnym rozkwicie. Hilda zatknęła psalterz, teraz starannie zawinięty w miękką starą szmatkę, za szarfę i posługiwała się obiema rękami, ale Begu zupełnie swobodnie wymachiwała krowim dzwonkiem trzymanym w jednej ręce, a pomagała sobie przy wspinaczce drugą. Cian jak zwykle miał przy sobie miecz, tarczę i rzeźniczy seax. Włosy miał odgarnięte do tyłu i posmarowane gęsim tłuszczem, jak robili to ludzie Mulstana. Wyglądał jak wojownik, choć drobny i pozbawiony brody.

Kiedy dotarli na szczyt, cypel pachniał wyczesaną wiatrem trawą i krowami. Horyzont zamazywał fioletowy wrzos, a w trawie błyskały stokrotki jak gwiazdy. Nie było widać ani Cædmona, ani krów.

— Przyjdzie, ale może dopiero jak nastanie middæg — powiedziała Begu.

— Fort! — zawołał Cian, pokazując na zwałoną rzymską wieżę sygnałową, i rzucił się w jej stronę, dobywając swojego drewnianego miecza.

To nie był ten miecz, który dał mu Ceredig; już dawno był dla niego za mały i Cian trzymał go w swojej skrzyni. Ten był wielkości odpowiedniej dla mężczyzny; był wykonany z dębu, w starannie wyrzeźbionej rękojeści miał osadzony kwadratowy malowany kamień, który Hilda znalazła w rozbitej posadzce w Caer Luel, a w krawędzie wbite młotkiem kawałki wyżebranego metalowego złomu, które nadawały mieczowi odpowiednią wagę. Pochwa była prawdziwa, lecz stara, dawno temu wyrzucona przez jednego z wojowników Mulstana, chociaż teraz została na nowo wybita owczą skórą, a jej drewniane elementy zostały umiejętnie pomalowane, żeby wyglądały na wysadzone kamieniami i grawerowane. Hilda i Begu tkwały tabliczkową taśmę, żeby zastąpić nią strzępiący się pas do miecza.

Begu i Hilda pobiegły za nim.

Cian wspiął się na niską wschodnią ścianę, zeskoczył do środka i wyprostował się nad nią z błyszczącym wzrokiem.

— Wy będziecie atakować, a ja bronić!

Zdjął tarczę z pleców.

— Nie jesteście za duzi na zabawy? — odezwał się Cædmon, wstając i trąc oczy. Czekał na nich, zasnął we wnętrzu wieży. Przez chwilę przyglądał się dziwnemu mieczowi. — I za duzi na zabawki.

Cian, gotów do walki, uderzył rękojeścią miecza o tarczę.

— To nie jest żadna zabawka!

Malowany kamień wypadł z drewnianej oprawy.

Cædmon skrzyżował na piersiach ramiona i właśnie miał się uśmiechnąć, ale Begu powiedziała:

— To nie jest zabawka. Naprawdę. Właśnie wczoraj wieczorem mój ojciec oznajmił, że to tarcza odpowiednia dla ealdormana. Prawda, Hildo?

— Tak. I dostał ją od wysoko postawionego Bryneicha w obecności króla. Byłam przy tym. A nóż, który ma przy sobie, rozciął rękę wojownika Dál nAriadne. — Chociaż to ona go trzymała. — Begu i ja pracujemy nad pasem do miecza odpowiednim dla księcia. Patrz, przyniosłyśmy twoją książkę.

— I dzwonek. — Begu wyciągnęła dzwonek w jego stronę i rozejrzała się. — Gdzie są krowy?

— Tata uważa, że Winty...

— To ta poraniona cierniami — wyjaśniła Begu Hildzie.

— Uważa, że Winty może być w rui, i chce mieć co do tego pewność, zanim poprosi o najlepszego byka. Poza tym nie naprawiłem żywopłotu.

Rozplótł ręce i wziął najpierw dzwonek, a potem książkę. Po chwili Cian schował miecz do pochwy i zarzucił tarczę na plecy, a potem pochylił się, żeby poszukać kamienia.

Cædmon rozwinął i otworzył książkę, trzymając ją do góry nogami.

— Co tu jest napisane?

— Dobre rzeczy. Modlitwy.

— Jak pieśni?

— Tak — odparła z zaskoczeniem Hilda. — Jak pieśni.

Wyciągnął do niej psalterz.

— Wypowiedz je.

Hilda wpatrywała się w czarne litery.

— Są po łacinie.

— To powiedz mi je po angielsku. Tę. — Pokazał grubym palcem. — Powiedz tę.

Hilda pamiętała niektóre słowa, a innych się domyśliła. Starannie wypowiedziała do siebie łacińskie zwroty, a potem się zastanowiła. Łatwiej byłoby po brytyjsku, ale wtedy Begu nic by nie zrozumiała.

— A ja jestem w potrzebie i ubogi. Pośpiesz się dla mnie, Boże. Możesz mi pomóc i mnie ocalić. Nie ociągaj się, Panie.

— Bóg mówi tak, jakbym słyszała Guenmonę — rzekła Begu. — Albo twoją mamę, Cian. Nie ociągaj się! Pośpiesz się!

— A może to mówił jego pan, a nie bóg? — powiedział Cian, podnosząc swój malowany kamień.

— Fursey mówi, że w tej książce pan i bóg to to samo.

— Pan nigdy by nie powiedział „nie ociągaj się” — stwierdził Cædmon. Spojrzał na Begu. — Czy twój tata tak by powiedział?

— Nie w halli. Może tutaj.

— A więc — Cædmon zmarszczył brwi w skupieniu — może powiedziałby: „A ja jestem w potrzebie i ubogi. Przybądź mi śpiesznie z pomocą, Boże. Jesteś moim ocaleniem i zbawcą. Nie zwlekaj, o Panie”. — Znowu pokazał palcem. — Powiedz mi

ten kawałek.

Hilda powiodła palcami po wyrazach, wymruczała do siebie łaciński tekst i spróbowała jeszcze raz:

— Chwalcie Go, słońce i księżycu. Chwalcie Go, lśniące gwiazdy. Chwalcie Pana, o wy, królowie ziemi i wszyscy, książęta i sędziowie, tutaj.

Wszyscy spojrzeli na Cædmona. Pokręcił głową.

— Nie.

Nie? Nie miał pojęcia, jak trudno jest czytać. Czytać w innym języku. Zamieniać ten język na język Anglów. Nigdy już nie będzie się starała pokazać, że coś trudnego jest łatwe. Przez chwilę brakowało jej bycia nosicielką światła i uległości innych wobec niej.

— Nie — powtórzył Cædmon. — W ten sposób. „Wychwalajcie Go, słońce i księżycu. Wychwalajcie Go, wszystkie jasne gwiazdy. Wychwalajcie Go, królowie ziemi i wszystkie narody, książęta i wszyscy sędziowie ziemi”. To musi brzmieć jak tętent. Jak pieśń.

Cian i Begu skinęli głowami. Po chwili skinęła głową też Hilda.

— Zatrzymaj książkę przez jakiś czas. Przychodź tu czasami i mów, co w niej jest. Kiedy już naprawię żywopłot.

Następnego ranka Hilda znalazła Furseya w halli przy potrawce z ostryg i piwie. Ksiądz strofował młodego służącego, że nie dołożył do ognia:

— ...jest taki mały, że nie ogrzałby nawet szczerzego tyłka, a co dopiero człowieka w bożej służbie. Co się tak gapisz, tępy pomociu muchomora? Dołóż do ognia, no, już!

Oczywiście mówił po irlandzku, jak zwykle, kiedy jeszcze odchorowywał poprzednią noc, lecz nie zdążył się upić na nowo.

— Ojczy Fursey — odezwała się Hilda także po irlandzku, ponieważ w takich okolicznościach Fursey opryskliwie reagował na angielski. — Życzę ci dobrego dnia. Może zechciałbyś porozmawiać ze mną o wartości tego *breviarium psalterii* księdza?

Fursey prychnął, wziął do ust kolejną porcję ostryg z głośnym siorbaniem, pogryzł je, przełknął i podrapał się po znamieniu.

— Jest bezwartościowy. Kiepski charakter pisma, a tekst jest przekręcony, wzięty ze starego, przestarzałego i krytykowanego przekładu Septuaginty. A stary ksiądz albo raczej ktoś przed nim dokonał własnego i, można by powiedzieć, dziwaczного wyboru psalmów. Bez żadnego ładu i składu. — Kolejne siorbnięcie, kilka ruchów szczęką, głośne przełknięcie i wołanie o dolewkę piwa, które służący rozumiał dopiero wtedy, gdy Fursey potrząsał mu przed twarzą pustym skórzanym kubkiem. — Jednakże jako palimpsest, chociaż wymagałoby to pracy i nieco pumeksu, który pan Mulstan na pewno mógłby zdobyć, jako że jest taki w tym dobry i, no — tu potarł dłonią podbródek — pumeks bardzo by się nadał. Co ja...? Wartość. Tak. Cóż, jako palimpsest mógłby być wart... Och, podaj mi go. — Przerzucił kilka kartek, coś licząc i odmierzając dłońmi na porysowanym blacie stołu. — Hmm. Może skórę dwóch jagniąt albo jednego nadzwyczaj małego cielęcia.

— Dziękuję. Wiesz może, gdzie mogłabym znaleźć Mulstana?

— Może wiem. Kiedy tylko ten poroniony grzyb przyniesie mi piwo, sam go poszukam, ponieważ wydaje mi się, że potrzebuje moich umiejętności.

— Może zechciałbyś nazwać to miejsce, żebym mogła go znaleźć i zadać mu dość pilne pytanie, nie zajmując twojego cennego czasu, i niech bóg obdarzy uśmiechem resztę twojego dnia.

— Czy Bóg kiedykolwiek się uśmiecha, może z wyjątkiem swoich co bardziej ekstrawaganckich żartów? — Tu uśmiechnął się szyderczo, chociaż Hilda nie umiała powiedzieć, czy do siebie, czy do służącego, który napełniał mu kubek. — Jednakowoż możliwe, że Mulstana będzie można z czasem znaleźć na przystani, bo mam się tam z nim spotkać i dokonać zapisu o jakimś egzotycznym towarze, ale gdzie ten włochaty stwór będzie wcześniej, nawet się nie domyślam.

G

Guenmona się domyślała i nawet dała temu wyraz, a także wielu innym sprawom. Powiedziała Hildzie, że jeśli się pośpieszy, znajdzie Mulstana w kuźni, prawdopodobnie z Onneną.

— A jeśli zobaczysz czającego się w pobliżu tego wielkiego chłopaka, powiedz mu, że mam dla niego kilka spraw do załatwienia. Trzyma się spódnicy matki jak karmione mlekiem cielę...

Idąc wzdłuż strumienia do huczącego pieca i śmierzącego dymu kuźni, Hilda zobaczyła, że Fursey i Guenmona mieli rację. Mulstan stał z Onneną na zewnątrz, z dala od gorąca i strzelających iskier, i obserwował, co się dzieje w środku. Kowalski młot dzwonił równym rytmem. Mulstan rzeczywiście był włochaty: jego gęste włosy, zebrane do tyłu i przytrzymane wielkim złotym pierścieniem wyłożonym szylkretem lśniły rudozłociście w słońcu, a przedramiona miał pokryte futrem jak u lisa. W pobliżu kręcił się Cian; teraz stał kilkadziesiąt kroków od Mulstana i swojej matki, poza zasięgiem słuchu, udając, że zajęty jest obdzieraniem kory z gałązki, którą na widok Hildy wrzucił do strumienia.

Ruszył w jej stronę. Zatrzymali się przy lipie, której gałęzie ocieniały zakole strumienia. Jej liście były już większe od dłoni dziewczynki. Kiedy tu przyjechali, gałęzie były nagie.

— Jesteś potrzebny Guenmonie — rzekła.

Cian zmarszczył brwi.

— Ma dla ciebie sprawy do załatwienia.

— Jestem zajęty.

Hilda milczała.

— Spójrz na nich.

Głos drżał mu z oburzenia.

Mulstan krzyczał coś w oświetlony na czerwono mrok kuźni; Onnena położyła lekko dłoń na ramieniu mężczyzny i się uśmiechała.

— Jest szczęśliwa.

— Jest moją mamą!

Hilda widziała, że Onnena lubi Mulstana. Wiedziała też, że Onnenie podobało się to, jak Mulstan zarządzał swoimi dobrami, chociaż brakowało mu wyrafinowanej, ostrej skuteczności, jaką wносиłaby do gospodarstwa kobieta. Podobała jej się jego córka, jego służący i swoboda, z jaką poruszali się w halli. I pochylała się ku niemu, jakby podobał

jej się jego zapach. A Mulstanowi podobała się Onnena; Hilda zobaczyła, jak rozchylają mu się nozdrza, kiedy Onnena roześmiała się w odpowiedzi na coś, co powiedział, i poklepała go po ręce.

— Zrobią to, co robią, bez względu na to, czy jesteś tu, czy cię nie ma — powiedziała.

Właściwie zdziwiłaby się, gdyby jeszcze tego nie zrobili. Cian też to wiedział. Oboje byli wystarczająco obznajomieni z nocnymi obyczajami w halli, kiedy kobieta podchodziła do ławy, na której spał mężczyzna i wślizgiwała się pod jego koc, i ich oddechy stawały się ukradkowe, a potem szybkie. Widzieli psy i owce w Yeaveringu w zagrodzie hodowlanej nad rzeką Glen; pomagali nawet stajennemu, kiedy ten pomagał ogierowi z jego fujarą, bo była tak długa, że nie wiedział, co z nią zrobić.

Hilda spróbowała wyobrazić sobie własną matkę z mężczyzną z fujarą tak długą, że nie wiedział, co z nią zrobić, ale wyobraźnia jej nie dopisała.

— Chodź, Cian. Chodźmy stąd. Razem pozałatwiamy sprawy Guenmony.

Pociągnęła go za pas, jak robiła to, kiedy była mała, tylko że teraz nie musiała sięgać w górę i uświadomiła sobie, że chociaż Cian jest wysoki, to kiedy oboje dorosną, ona będzie wyższa od niego. Zrozumiała wtedy, że nie są już tak zupełnie dziećmi.

Coś w jej nagłym bezruchu sprawiło, że spuścił wzrok na jej dłoń; potem skinął głową i po raz ostatni spojrzawszy w stronę matki i Mulstana, odwrócił się i poszedł ścieżką za Hildą.

Kiedy kuźnia zniknęła im z oczu, Hilda się zatrzymała.

— Idź dalej. Ja muszę jeszcze porozmawiać z Mulstanem. Dogonię cię. Idź.

Odprowadziła go wzrokiem — po drodze ścinał wściekle mieczem dzwonki — a potem przygładziła włosy i brwi. Zerwała liść szczawiu, wytarła nim buty i wyprostowała szarfę. Brakowało jej paska i seaksa.

Mulstan i Onnena podnieśli wzrok. Mulstan uśmiechnął się przez brodę. Wyglądał jak uśmiechnięty żywopłot.

— Hilda. Przyszłaś po mnie?

Łup-łup-łup młotem. Łup-łup-łup.

— Nie, panie.

— Czy coś się stało? Czy Begu źle się czuje?

— Wszystko jest w najlepszym porządku, panie.

Oboje przyjęli to z ulgą.

Onnena uśmiechnęła się do Mulstana.

— Nie będę przeszkadzać.

Spojrzała na Hildę, skinęła im obojgu głową i odeszła ścieżką — wolniej niż zwykle i kołysząc biodrami. Mulstan patrzył za nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Odwrócił się do Hildy.

Spróbowała sobie wyobrazić, jak jej matka sformułowałaby prośbę, która nie była prośbą.

— Przyszłam, by w ramach twojego podarku prosić cię o przysługę. O dwie przysługi. Jedną dla mnie, a drugą w imieniu mojego wuja, króla.

To była najdłuższa przemowa, jaką kiedykolwiek do niego wygłosiła. Mulstan

rozejrzał się zaskoczony, niemal spodziewając się, że ujrzy za nią brzuchomówcę.

Podrapał się w szyję.

— Króla? Przybył posłaniec?

— Nie, panie. Mam dług wobec jednego z twoich ludzi. Osoby królewskiego rodu nie powinny mieć długów, zwłaszcza w niespokojnych czasach.

— Nie, doskonale rozumiem — rzekł Mulstan. Był zdziwiony, ale chciał pójść na rękę tej dziwnej dziewczeczce, która mówiła z przestankami, jak ktoś, kto otrzymuje wiadomości od małego ludu spod wzgórza. W sumie cieszyła się wielką łaską u króla. — Czyją jesteś dłużniczką?

— Niejakiego Cædmona.

— Syna mojego pastucha?

— Tak, panie.

Zmarszczył brwi.

— A jaki jest charakter i suma tego... długu?

— Mam od Cædmona książkę wartą według oceny Furseya jedno cielę lub dwa jagnięta, lecz nie mam ani jednego, ani drugiego, by je za nią zaoferować.

Dzyń-dzyń: mniejszy młot. Cokolwiek robił kowal, nie było to nic dużego i zostało już prawie skończone.

Mulstan przyglądał wąsy.

— Jakim sposobem to jest jego książka? — zapytał ze zdumieniem.

— Zachował ją po śmierci starego księdza. Pomyślałam, że go za to nagrodzę.

Mulstan się zastanowił.

— I Fursey uważa, że jest warta zdrowego cielęcia albo dwóch jagniąt?

Chyba oszalał. Ale to jest bratanica króla i trzeba stąpać ostrożnie.

— Mówił o skórze jednego cielęcia albo dwóch jagniąt.

— A, to co innego. — Spojrzał z namysłem na chmury i już chciał znowu zajrzeć do kuźni, ale się rozmyślił. — Cædmon. Tak, znam tego chłopca. Syn Dekkego. Matka zmarła na biegunkę, która dawno temu nawiedziła tę okolicę.

— Tę samą, która zabrała matkę Begu?

Najwyraźniej mały lud spod wzgórza był dobrze poinformowany. Ale nie, ta dziewczeczka spędzała sporo czasu z Begu. Na pewno rozmawiały o tym, o czym rozmawiają dziewczeczki.

— Tę samą. A zatem nie ma matki. Ma starszą siostrę, Bote, dojarcę, która czasami biega na posyłki kucharki. Sprawia wrażenie dobrego chłopca. To oczywiście wealh. Ale jeśli czujesz, że jesteś mu coś winna, to owszem, poproszę Guenmonę, żeby zaproponowała jakąś dobrą odpłatę. Może prosię albo koźlę.

Z kuźni dobiegł kolejny głośny syk, a potem zapanowała cisza.

— Czy to uczyni zadość twojemu honorowi?

— Tak. Dziękuję. Wspomnę o twojej hojności wujowi.

Wujowi królowi.

— Dobrze zatem. Dobrze — rzekł Mulstan z ulgą. Przyjmowanie wpływowych osób to ryzykowne zadanie. A potem przypomniał sobie, że Hilda mówiła o dwóch przysługach. — Miałaś jeszcze jedną sprawę?

Skinęła głową, lecz tym razem wyobrazenie sobie, co mogłaby powiedzieć jej matka, nie pomogło, ponieważ jej matka by się z nią nie zgodziła. Trwała w milczeniu.

Mulstan położył rękę na jej ramieniu. Dziwna była ta dziewczeczka, lecz wciąż była tylko dziewczką i przyjaciółką jego Begu.

— Czy to zaiste coś poważnego?

Hilda skinęła głową.

— A zatem spoczniemy na tym głazie. — Pokazał ręką na wygładzony kamień w zakolu strumienia, gdzie w słoneczne dni często siadali klienci kowala. — Czasami łatwiej mi coś powiedzieć, kiedy sobie na coś patrzę.

Mulstan usiadł, szeroko rozstawiając nogi i opierając rude ręce na potężnych udach. Hilda przysiadła ostrożnie obok niego. Patrzyli na wodę. Pomykały nad nią rozmaite owady.

— Są tu ryby? — zapytała.

— Są. Jeśli posiedzimy wystarczająco długo, to może zapoluje na muchę jakiś pstrąg. A jeśli posiedzimy jeszcze dłużej, to może z tamtego rozlewiska ruszy z prądem szczupak, wodny wilk, i znajdzie sobie kolację. — Przez chwilę słuchali plusku i bulgotu wody. — A więc tak. Prosto jak rzut włócznią. Powiedz mi.

— Cian, syn Onneny, jest nieszczęśliwy. Uszczęśliwiłby go miecz. Mógłbyś mu go dać.

Mulstan odchylił głowę i zaczął przyglądać się niebu. Chmury wyglądały jak odległe kłębki wełny.

— Cian jest wealsh.

Hilda milczała.

— Podobnie jak jego matka, mimo jej angielskiego zachowania. — Westchnął i poprawił uwierający go seax. — Jest młody.

— Nie ma ojca. — Milczenie. Hilda brnęła dalej. — Kiedy miał sześć lat, Ceredig, król w Elmecie, dał mu drewniany miecz.

— Ceredig?

Mulstan zastanawiał się nad znaczeniem tej informacji, mrużąc coś z głębi gardła.

— A władcy północy podarowali mu tarczę i konia. — Może przesadziła, ale konik Acærn, podobnie jak Ilfetu, pozostał w Tinamutha, więc Mulstan się nie dowie. — Doceniły go osoby królewskiej krwi. Lecz Ceredig nie jest już królem w Elmecie, a Cian jest tutaj. Razem z matką.

Ponownie rozdzwiewał się młot kowala. Mulstan znowu coś mrużąc, tyle że teraz Hilda wychwyciła kilka słów.

— Młody baran... chce atakować... jego matka... kto wie, co... Ceredig, tak? — Odchrząknął. — No tak. Tak. Czy chłopca ktoś uczył?

— Trochę mu pokazał zaprzysiężony sługa mojej matki. Podróżował z królewskim oddziałem. Śpi w halli z twoimi ludźmi i cały czas ćwiczy. Jego drogą jest miecz.

— Mówisz jak jasnowidząca.

W jego głosie brzmiała przygana.

— To jego droga.

Znał pogłoski. A ona mówiła z taką pewnością siebie. Lecz nie podobał mu się

pomysł wtrącania się do wyrd.

— Proszę cię, panie. On jest dla mnie jak brat. Pragnę jego szczęścia.

— Podobnie jak jego matka. No tak! — Uderzył się dłońmi po udach i wstał. — Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, dziewczeczko. Zastanowię się nad tym.

— Dziękuję, panie, że mnie wysłuchałeś. I za koźlę lub prosię dla Cædmona. Dziękuję ci w imieniu mojego wuja.

Króla.

Hilda siedziała z Begu w halli przy otwartych drzwiach. Do środka wlewało się południowe słońce, rzucając na podłogę równoległe cienie. Świeciło na starannie wymyty stół, przy którym siedziały, na wydłużający się między nimi płaski pasek czerwono-czarnej tkaniny i na osiem kwadratowych tabliczek z kości morsa. Tabliczki miały wielkość dziecięcej dłoni.

— Napnij — powiedziała Begu trzeci raz.

Hilda wciąż pochylała się do przodu, żeby dotknąć kości. Tabliczki, których używała w domu, były zrobione z wypolerowanego drewna wiązu. Tabliczki jej matki były z rogu. Te wyglądały jak coś do jedzenia, jak płytki zsiadłego mleka albo plasterki jakiegoś gigantycznego orzecha.

Każda tabliczka miała dziurki w czterech rogach, przez które przechodziły oddzielne nitki osnowy. Po każdym przesunięciu czółenka, także zrobionego z kości morsa, tabliczki były obracane o ćwierć albo pół obrotu, by powstał wzór. Hilda widziała, jak jej matka i Onnena utkały pasek w jedno popołudnie; na dodatek jedna z nich przędła za pomocą wrzeciona i kądzieli, a druga szybko przesuwała czółenka, co kilka ruchów przybijając wątek. Lecz Hilda i Begu nie miały jeszcze wprawy i stale musiały przerywać pracę, żeby o czymś sobie wzajemnie przypomnieć: przekręć tę tabliczkę o pół obrotu, napnij osnowę, przybij wątek. To był prosty, lecz wyraźny wzór, marsz czerwonych i czarnych kwadratów.

Guenmona przyniosła każdej z nich po kubku bulionu. Mężczyźni zabili tego ranka dwa woły na ucztę wyprawianą następnego dnia. Hilda słyszała warczenie i szczekanie psów pasterskich, które trzymały stado w ryzach dla rzeźnika. Świeże kości ze skrawkami mięsa zostały ugotowane w posolonej wodzie, z czego powstawał smaczny napój gęsty od szpiku. Guenmona dodała do niego szczyptę tymianku i odrobinę cennego pieprzu.

— Pachnie cudownie — powiedziała Begu.

— Zaczekaj, aż zobaczysz samo mięso — rzekła Guenmona. — Soczyste i poprzerastane delikatnym białym tłuszczem. Wiosenna trawa zawsze daje taki efekt. Mają też być trzy tłuste owce i wodne ptactwo, które przyniesie w swojej sieci Mulstan. Celfleda obiecała nam kilka węgorzy i łanę z jej lasów. A siostra Cædmona przyniosła kilka worków świeżej zieleniny. Ale tak powinno być, zważywszy na tę tłusciutką kózkę, którą dał jej nasz pan. No i spróbowałam najnowszej porcji miodu. Onnena robi najlepsze miody, jakie piłam. Chociaż myślę, że ja robię lepszy słód. — Spostrzegła, że żadna z dziewczynek nie ma zdania w tej sprawie. — O, to piękny, wyraźny wzór. Dla Ciana, tak?

— Tak.

— Czerwień i czerń. Zapewne po to, żeby nie było widać krwi i brudu. — Begu

zbladła i przerwała pracę. Guenmona zacmokała. — Będzie gotowy na ucztę?

— Mam nadzieję — odparła Hilda.

O, to była dziewczeczka, której krew nie zaskoczy.

— A zatem tkajcie dalej, pracowite małe gemæcce.

I odeszła, uśmiechając się do siebie na widok nagłej nieśmiałości, jaka ogarnęła dziewczynki.

Gemæcce, pomyślała Hilda, wpatrując się we wzór. Podniosła wzrok, zobaczyła, że Begu na nią patrzy, zarumieniła się i znowu spojrzała w dół. Po kilku oddechach podniosła wzrok.

— Dobrze? — zapytała Begu.

— Tak. Tak, dobrze. — Upiła łyk bulionu, oparzyła się w usta, wypluła płyn i roześmiała się. — Au. Podmuchaj. Za stołem mojego wuja nikt nie dmucha na swoje jedzenie. Będziesz musiała nauczyć się klaskać.

— Nauczysz mnie.

— Tak. Za jego stołem nikt nie czeka. Jedzenie jest przynoszone odpowiednio ciepłe, bo inaczej służba zostaje ukarana.

Karani są wealh. A Begu była na wpół wealh — chociaż poza Mulstanton nad Zatoką Wici nikt o tym nie wiedział.

Kiedy służba zaczęła gasić paleniska w halli, Hilda poszła poszukać Onneny. Doszła do plaży, gdzie trawa spotykała się z piaskiem; minęła miejsce, gdzie w kuchniach pod gołym niebem jedni służący obracali wielkie rożny, a drudzy układali na piasku długi blat na jedzenie. Znalazła Onnenę między dwoma stosami drewna, które miały zostać podpalone tego wieczoru — a raczej między stosem drewna i jego bezładną stertą.

Onnena krzyczała w mowie Anglów do niewolnika:

— Czy nie mówiłam, żebyś rzucał drobne gałązki na zacienioną stronę?

Niewolnik zwiesił głowę. Miał prawie tyle samo lat co Mulstan, ale był chudy, bosy i miał wystające kolana.

— I gdzie jest ta zacieniona strona? Spójrz na mnie. Gdzie jest cień?

Niewolnik pokazał ręką.

— Tak. A dlaczego nie rzucałeś tam drewna, jak ci mówiłam? Bo jesteś leniwy, bezrozumny i tępy. I teraz wszystko się rozpadło i stos trzeba ułożyć na nowo. Powinam kazać cię wychłostać.

Zobaczyła Hildę zbliżającą się od ścieżki, która prowadziła do lasu, i ruszyła jej na spotkanie krokiem szybkim jak zwykle, ale nie tak lekkim.

— Naprawdę każesz go wychłostać?

— Może.

Hilda nigdy nie widziała, by Onnena groziła niewolnikowi chłostą za taką drobnostkę.

— Dobrze się czujesz?

Onnena skrzyżowała ręce na piersiach.

— Z radością mogłabym cię udusić. Czuję się jak pszczoła we flaszce. Mulstan coś knuje, czuję to, i ma to związek z tobą, z tym, co mu powiedziałaś. Do czego się wtrącasz?

— Cian potrzebuje własnego miecza.

— Słodcy bogowie! Cian jest za młody na własny miecz! Och, dostałby tę przekłętą klingę w odpowiednim czasie, gdybyś tylko dała sobie spokój. Popatrz tu. — Postukała palcem w nowiutkie żelazne haczyki u swojego paska. — Mam klucze. Reszta przyszłaby w naturalny sposób w odpowiednim czasie. Masz pojęcie, co zrobiłaś?

Hilda nie wiedziała, co powiedzieć. Miłość i łożkowe gry to jedno, a klucze to drugie. Onnena może sobie być kuzynką króla Cerediga, ale Ceredig był martwy, a Breguswitha, córka królów, mogłaby nie chcieć jej puścić.

— Moja matka...

— Tak, twoja matka. Cóż, ostrzegłam ją, że moje decyzje mogą... — Machnęła niecierpliwie ręką. — Nie chcę, żeby Cian stał się już mężczyzną. Jeśli już musi małpować lepszych od siebie, to zanim uda się na jakąś wyprawę, żeby dać się zabić, powinien przynajmniej poczekać, aż dorośnie. Pomyśl, co by się stało w Tinamutha, gdyby miał miecz.

Czerwień i czerń, krew i brud. Jej seax rozcinający rękę Irlandczyka, skóra i mięśnie jak rozkwitający kwiat.

Onnena wygładziła suknię i westchnęła.

— Nie wiem, co cię naszło, ale już się stało. Dziś wieczorem trzymaj się blisko mnie. Trzymaj się Ciana, trzymaj się mnie. Chociaż raz zrób, co ci się mówi. A teraz daj mi spokój, żebym mogła się zająć tym bałaganem. Chyba że chcesz pomóc?

Na plaży był odpływ. Fale szeptały do siebie, biegnąc wzdłuż piasku przemieszanego z kamykami i zostawiając pod głębokim błękitem przy horyzoncie jasną, spienioną linię. W miarę jak ciemniało niebo, ludzie — może dwieście osób, wszyscy wojownicy Mulstana i jego krewni, pszczelarze, świniarze i dojarki, żeglarze i goście siedzący na porośniętym trawą piasku i tego wieczoru beztroscy jak dzieci — zaczęli odchyłać się do tyłu i luzować pasy, przepaski oraz szarfy i leniwie dokładać sobie ze stosów wszelakiego jadła. Była tam wołowina, marynowana cały ranek w occie i importowanej oliwie z oliwek i upieczona tu, na plaży, jagnięcina, dziczyzna, ptaki śpiewające, węgore, botwina, ślaz i komosa, mlecz, rzeżucha i kapusta warzywna, wszystkie przyprawione octem, koprem i szałwią, cząbrem i miętą, rozmarynem i rutą.

Hilda wysysała sos ze swojego chlebowego talerza i odgryzała miękki miąższ od skórki. Siedziała kilka kroków od Mulstana, który obejmował Onnena ramieniem. Cian i Begu wymyślili zawody, kto z nich zje więcej marchewek w czasie potrzebnym Hildzie do wypicia kubka słodkiego wina z kwiatów czarnego bzu i teraz oboje byli pokryci ziołowo-octowymi plamami, a jako że żadne z nich nie pomyślało o tym, żeby liczyć zjedzone marchewki, zastanawiali się nad powtórzeniem zawodów. Wtedy jednak Mulstan puścił Onnena, skinął głową na swojego scopa, żeby ten zagrał akord — Hilda rozpoznała zwerbowanego w tym celu Swefreda, głównego fechmistrza Mulstana — i wstał.

Chwilę trwało, zanim cisza rozprzestrzeniła się wzdłuż stołu, lecz w końcu było słyhać jedynie plusk przyboju i płacz szybko uciszonego dziecka.

— Stoimy po drugiej stronie kolejnej zimy i na początku lata, które nosi wszelkie oznaki najlepszego za ludzkiej pamięci. Mieszkamy na dobrej ziemi, nad hojnym morzem. Nasze bydło jest zdrowe, plony obfite, a dzieci silne.

Wszędzie dookoła rozległy się szczere, chociaż dość senne pomruki aprobaty.

Mulstan skinął dłonią na Onnenę, która wstała.

— Pojąłem za żonę tę kobietę, Onnenę z Elmetu, a ona pomoże mi gospodarować na tej ziemi, dbać, by starym było ciepło w zimie, a młodzi potłuszcili na wiosnę. — Splótł palce z dłonią Onneny i uniósł ją. Znowu rozległy się pomruki aprobaty, chociaż nie tak liczne; to była stara wiadomość. — A Onnena ma syna.

Mulstan spojrział wzdłuż stołu na Ciana i pokazał gestem, by wstał. Cian zerwał się, wycierając dłonie o przód tuniki.

— Witam Ciana jako syna Onneny i mojego wychowanka. — Ludzie wyciągnęli szyje, żeby zobaczyć chłopaka; światła ubywało i po kolei wygaszano kuchenne ogniska. Mulstan odwrócił się do Swefreda, który podał mu długi pakunek. — Wychowanek tana powinien mieć broń.

Cian drżał jak koń gryziony przez gzy.

— Cian, wychowanku, odbierz swoją broń.

— Wytrzymaj twarz — syknęła do niego Begu, a kiedy spojrzął na nią z tępych wyrazem twarzy, przeciągnęła sobie dłonią po policzku.

Uniósł rękę, jakby nie był pewien, czy należy do niego.

— To twoja droga, bracie — rzekła Hilda. — Już czas. Wyprostuj się. — A kiedy tak stał, przejęty do głębi, powiedziała to, co powiedziała przed laty jej matka: — Ruszaj. Posłuchał.

Uśmiechał się. Uśmiechał się, potykając się o nogi biesiadników i przewracając ich kubki. Uśmiechał się, biorąc do rąk pakunek, uśmiechał się, odwijając miecz i wtedy, gdy matka dotknęła jego policzka, a Mulstan objął Ciana niedźwiedzim uściskiem. Uśmiechał się szerzej, gdy zgasły ostatnie ogniska, a morze szumiało. Uśmiechał się, unosząc klingę i usiłując dostrzec ją w nagle zapadłej ciemności.

Wtedy wzeszedł księżyc w pełni płaski jak posrebrzany talerz, okrągły jak gomółka sera. Mulstan wydał gromki okrzyk, a tłum go powtórzył. Ukląkł przy kupce brzoźowych strużyn i owczej wełny, skrzesał iskrę, dmuchnął i po chwili słoną noc liznął języczek ognia. Tłum wybuchnął krzykiem. Ogień płonął coraz żywiej. Pojawił się Swefred z naręczem niezapalonych pochodni i zaczął je kolejno podawać Mulstanowi, który zanurzał je w ogniu i płonące podał najpierw Onnenie — tłum zaryczał — potem kowalowi — znowu ryk — potem garbarzowi Celfledowi i tak dalej. Za Swefredem Guenmona rozdawała niezapalone pochodnie wszystkim dookoła, a oni podawali je dalej. Każda z osób, która dostała płonącą pochodnię, ruszyła do paleniska halli, warsztatu czy kuźni i po drodze przytykała łuczywo do tych jeszcze niezapalonych, rozniecając ogień na kolejny rok.

Wówczas tłum zaryczał jeszcze raz i tym razem nie milkł, a Cian, już z własną pochodnią, odwrócił się z uniesionym mieczem w stronę statku, który zbliżał się do plaży, połyskując w świetle księżycy jasnymi żaglami.

Hilda sięgnęła do seaksa, którego nie miała u boku, a potem jedną ręką znalazła nóż stołowy, a drugą chwyciła Begu za nadgarstek. Zaczęła się przeciskać przez tłum do Ciana. „Jesteśmy nami”. Zginą razem. Wtedy jednak dwaj mężczyźni na dziobie statku rozwinęli sztandar i po chwili lniany materiał załopotał na wietrze. Blask księżycy załśnił

na złotej nici i pojedynczym granacie przyszytym na oku królewskiego dzika. Wrócił król.

Kiedy Hilda po raz trzeci tłumaczyła Begu, dlaczego nie musi rozmontowywać swojego łóżka z lipowego drewna, że nie będzie potrzebowała stołowych sreber, że na łodzi nie ma miejsca dla jej konia i że, owszem, może powinna zabrać swoje kościane tabliczki, zorientowała się, że od drzwi obserwuje ją Onnena.

Po raz ostatni taką minę u jej prawie matki Hilda widziała w halli króla Cerediga, kiedy dwaj obcy mężczyźni przyzwali Ciana do światła.

— Co robicie? — zapytała Onnena.

— Pakujemy się — odparła Begu. — Nie miałam pojęcia, że to takie trudne. Hilda mówi, że nie będę potrzebować mojego łóżka. Ani żadnych tkanin na ścianę. Ale ja nie jestem taka pewna. Jak sądzisz?

— Nie będziesz musiała pakować łóżka.

— Naprawdę? No dobrze, skoro tak mówisz. Ale...

— Nie będziesz musiała niczego pakować. Hildo, chodź ze mną.

Wyszły w blask słońca i porywisty wiatr, ale zeszły tylko do połowy schodów, bo Onnena chwyciła Hildę za ramiona i się zatrzymała.

— Coś ty jej obiecała?

— Powiedziałam Begu, że ma jechać ze mną. — Hilda podniosła wzrok i utkwiała go w oczach Onnenny. Musiała mrużyć oczy od słońca. — Mamy być gemæcce.

— Postradałaś rozum?

Hilda dotknęła ciężkiej rękojeści seaksa, który wrócił do niej dopiero tego ranka, ponieważ dumny ze swego miecza Cian już go nie potrzebował, i wyprostowała się. Onnena była od niej wyższa tylko dlatego, że stała na schodku. Tylko dlatego.

Onnena położyła dłoń na własnym nożu i przez chwilę obie ciężko oddychały, a potem Onnena westchnęła.

— Hildo.

— Guenmona powiedziała, że mamy być gemæcce.

— Guenmona to becząca owca. Pomyśl.

— Wybrałam.

Onnena pokręciła głową.

— Wybierze twoja matka.

Milczenie.

Położyła delikatnie ręce na ramionach Hildy i wzmacniała nacisk, aż dziewczynka lekko się obróciła i obie patrzyły na zalane blaskiem słońca dobra Mulstana.

— Mulstan ma tylko Begu. Ona musi wyjść za męża, żeby po śmierci Mulstana pastuch i rzeźnik, rybacy, dojarki i kowal mieli pana, mieli zapewnione bezpieczeństwo, a nie zostali wygnani ze swoich domów jak niewolnicy.

— Mogłabym nakłonić króla, by mi to dał.

— Jesteś taka pewna?

— Ja mu przynoszę światło. Obiecał wynagrodzić mnie bogactwami nad ludzką miarę.

Onnena uśmiechnęła się ze smutkiem.

— A przyrzekł to przed iloma swoimi panami?

Hilda nic nie powiedziała.

— Strzeż się niewdzięczności królów.

Hilda ścisnęła barierkę. Drewno nie zostało jeszcze wygładzone po zimie, ale ścisnęła je z całej siły, ponieważ było prawdziwe.

— Przykro mi, zadziorko. Musisz jednak odpłynąć statkiem króla, a Begu musi tu zostać.

— Będę zupełnie sama — powiedziała i ledwie rozpoznała własny głos, tak jej drżał. — Ty będziesz tutaj i Cian. Nawet Fursey... Nawet Fursey...

— Będziesz miała matkę. I Hereswithę.

— Hereswitha wkrótce sama będzie tkaczką pokoju gdzieś indziej.

A matka może odjedzie z jej siostrą. I wtedy zostanie tylko Hilda i król, i jej odmiennosc.

G

Pożegnała się z ciepłem halli, otrzymała po kolei dary i podała je bezmyślnie służącemu Eadfritha. Wyszła sama na deszcz, na wpół oszalała od wysiłku niepamiętania miękkiego ciepła macierzyńskiej piersi Onneny i zapachu jej ubrań, niemyślenia o błysku ognia na niesfornych włosach Begu, bo wtedy pamiętałaby je zawsze i byłoby to kolejne dręczące ją wspomnienie. Starła się nie wdychać głęboko zapachu morza niesionego wiatrem, który mieszał się z płynącym w dół urwiska zapachem zmoczonej deszczem trawy, starała się nie myśleć o Cianie, Cianie splecionym ze wszystkim. „Jesteśmy nami”. Starła się odgradzić od tego wszystkiego...

Weszła po trapie na statek, który ze skrzypieniem ocierał się o nabrzeże. Drewno było śliskie. Eadfrith czekał niecierpliwie na końcu trapu; zawołał coś do swojego służącego postępującego za nią. Hilda zatrzymała się na końcu trapu, zerknęła na dziób i napotkała spojrzenie Fursey'a.

Zamrugła.

Fursey. Okup za niego został zapłacony i ksiądz już dawno temu powinien był wyruszyć w drogę do swoich.

Eadfrith znowu coś krzyknął. Hilda nie rozumiała jego słów. Nie rozumiała niczego. Deszcz się wzmacniał. Służący Eadfritha stał za nią i coś mówił. Nagle pojawił się przy niej Fursey i pomógł jej wejść na pokład. Odwróciła się, by spojrzeć ostatni raz, ponieważ mogła już nigdy nie ujrzeć dóbr Mulstana, lecz widok na niewielką przystań przesłonił jej opuszczony jasnożółty żagiel.

— Schowaj się przed deszczem — odezwał się Fursey, lecz Hilda była tak sztywna od wysiłku powstrzymywania płaczu, że nie mogła się ruszyć.

— Ty — powiedziała. — Dlaczego?

— Mogłem udać się, dokądkolwiek chciałem, i przypomniałem sobie twoją replikę przy stole, że nie poznałem żadnego Angla, który zna się na czymś więcej niż klinga, krew i przechwałki, bo nie poznałem twojej matki.

— Mojej matki.

— Tak.

Uśmiechnął się po swojemu.

Marynarze do wtóru rytmicznego zaśpiewu ciągnęli konopną linę, która z piskiem

tarła o drewno, i obrócili żagiel. Był nowy, pięknie ufarbowany i ściśle utkany, a pracowało nad nim przez rok dziesięć kobiet. Służący Mulstana rzucił koniec liny marynarzowi na dziobie i statek lekko się obrócił.

— Stać cię na tę podróż?

— Możliwe, że dałem Eadfrithowi do zrozumienia, że nadal chcesz pobierać u mnie nauki.

Spojrzała na niego, na jego chytre oczy i szczeciniastą tonsurę.

— Dlaczego?

— Masz bystry umysł, lecz brak ci subtelności. Mógłbym cię uczyć. A w najbliższym czasie życie przy Edwinie będzie interesujące, bardzo interesujące, jeśli umiem to ocenić, a umiem. I chciałbym poznać twoją matkę.

Rozdział 7



Hilda obudziła się, czując zapach wełny. Goodmanham nią śmierdziało. Przez cały tydzień panował chaos strzyży i Hilda brała w niej udział wraz z większością innych kobiet i dziewcząt. Powoli wstała z łóżka. Bolały ją plecy i górna część uda, gdzie kopnął ją skop, kiedy pomagała go unieść i przewrócić na grzbiet. Na zewnętrznej stronie lewego nadgarstka miała zostawioną przez nożyce ledwie zasklepioną ranę w kształcie długiej kociej źrenicy. Poprzedniego jednak dnia czarno-białe pasterskie psy kierowane gwizdami pasterzy wyгнаły z zagród ostatnie żałośnie nagie owce i wyprowadziły je z powrotem na wzgórze.

W jej umyśle usiłowało przybrać kształt wspomnienie kanałów nawadniających i szeleszczącej wikliny, lecz je stłumiła.

Przeciągnęła się, włożyła niebieską wierzchnią suknię, której skraj sięgał o trzy palce wyżej, niż powinien. Kiedy poprzedniego dnia Hereswitha i Mildburh ubierały się — ładniej niż Hilda, chociaż poranek miały spędzić w mleczarni — siostra powiedziała jej, że nikt z rodu Yffingów nie powinien chodzić w tak zużytym ubraniu. Czy przebywając z dala od rodziny, zmieniała się w dzikuskę? Nie miała jednak czasu przekonywać Hildy, bo podczas strzyży nawet tkaczka pokoju musi pracować jak wealh, a Hilda była zmęczona fizycznie i znużona psychicznie i nie obchodził jej własny strój.

Zapięła pasek i poprawiła seax. Rękojeść została na nowo owinięta surową skórą rai, jednym z pożegnalnych podarków Mulstana. Fursey powiedział, że dzięki reszcie skóry będzie lubiana przez gesithów; zachodził w głowę, kogo powinni obdarzyć względami. Później w ciągu dnia razem z matką miała się spotkać z Coelgarem w celu omówienia jej skarbu, który od wału pojechał do Yorku, oraz uzgodnienia, jakie ma otrzymać ekwiwalenty ze skarbcza Goodmanham. Część jej osobistego skarbu stanowiła bela jedwabiu otrzymana w Alt Clut, lecz Onnena powiedziała jej wówczas na osobności, że materiał jest stary i na pewno miejscami przegniły.

Onnena miała lepsze pojęcie, co dokładnie niósł ten juczny koń, lecz teraz znajdowała się gdzie indziej.

Przeczesała włosy palcami, Hilda zwróciła się, jak miała to ostatnio w zwyczaju, ku północnemu wschodowi, w stronę Zatoki Wici, Ciana i Begu. Zatknęła włosy za uszy. Może teraz Onnena czesze Begu.

Tego dnia miała pomagać matce w głównej chacie tkackiej. Po strzyży, kiedy dłonie były miękkie i gładkie od owczego tłuszczu, na warsztatach tkackich tkano najbardziej skomplikowane wzory przy użyciu najdelikatniejszej przędzy. Hilda była jedyną dziewczynką bez przepaski, która pracowała przy głównym warsztacie, bo jako jedyna miała wystarczający wzrost. Matka powiedziała, że jako jedyna ma umysł pozwalający tworzyć wzory. Jako jedyna nie miała gemæcce.

Nie chciała myśleć o stojącej na półce nad jej łóżkiem pięknie rzeźbionej, lecz niezdarnie pomalowanej szkatułce i ośmiu tabliczkach z kości morsa owiniętych w fioletową lnianą szmatkę.

Przy schodach do halli czekał Fursey. Szatę miał czystą, dobrze skrojoną i bardzo czarną, tonsurę gładką i lśniącą, a krzyż z ciężkiego złota. Niedługo po przybyciu do Goodmanham Hilda widziała, jak patrzy na niego znacząco ksiądz, który pojawił się w jakichś innych sprawach, a dzięki obserwowaniu przez te wszystkie lata matki wiedziała, że później, kiedy nikt nie będzie widział, nastąpi wymiana informacji na niewielką, lecz ciężką sakiewkę.

— Pójdę z tobą — powiedział Fursey.

Hilda skinęła głową. Stąpali ostrożnie, wysoko trzymając skraje szat; miesiąc był suchy. Fursey kichał od pyłu. W oddali czterech mężczyzn krzyczało i klęło, poganiając batami woły, które ciągnęły świeżo ścięty dąb. Miał on zostać zużyty na rozbudowę świętego miejsca, które Edwin pozwolił Coifiemu powiększyć. Jeden z wołów uniósł ogon i strzelił odchodami.

— Oby mieli czas nacieszyć się swoją pogańską świątynią — powiedział Fursey.

Hilda nie wiedziała, co ksiądz ma na myśli, ale w ich grze traciła punkty, jeśli musiała o coś pytać.

— Dałbym im rok. Najwyżej dwa lata.

Nic nie mówiła w nadziei, że jej milczenie zachęci go do wyjaśnień.

Dwaj wealh, którzy toczyli ustawioną pionowo beczkę napełnioną do połowy starym moczem w stronę chaty, gdzie miało być później prane runo, zobaczyli Furseya i się wyprostowali. Mijając ich, Fursey wykonał ręką gest; Hilda już wiedziała, że to znak krzyża Chrystusa. Wealh o ciemniejszych włosach skłonił się. Mocz śmierdział. Beczka stała przy drzwiach halli cały miesiąc, stopniowo się napełniając, ale jej odór na świeżym powietrzu sprawił, że Hilda zapragnęła wytrzeć sobie wnętrze ust rękawem.

Poszli dalej. Fursey wciąż milczał i wciąż się uśmiechał — nawet wtedy, kiedy dotarli do zagłębionej w ziemi chaty tkackiej, gdzie tego dnia Hilda powinna pracować z matką. Matką, która nie powiedziała ani słowa, kiedy Hilda wróciła bez Onnenny.

Dziewczynka zatrzymała się przy południowo-zachodnim rogu niskiego dachu, gdzie stały otworem drzwi przypominające raczej klapę.

— Nie możesz wejść do środka — powiedziała.

— Nie. Ale wkrótce wyjdziecie stąd obie.

— Nie dzisiaj. Mamy dużo pracy.

— O, tak. Dzisiaj. Z całą pewnością dzisiaj.

Zatrzymała się z dłonią na pierwszym szczeblu prowadzącej w dół krótkiej drabiny z wiązowego drewna, lecz Fursey tylko się do niej uśmiechnął. Pokręciła głową, nie chcąc tego dnia brać udziału w jego grze, i zeszła po drabinie.

Chata była mała i kwadratowa, zamiast posadzki miała klepisko, a na wąskich półkach leżały kolorowe ciężarki ułożone według wielkości. Warsztat stał w zalanym światłem północno-wschodnim rogu. Przy warsztacie pracowała matka.

Breguswitha promieniała tryumfem, prawie się od niego trzęsła. Jej oczy błyszczały jaśniej niż glazurowane na niebiesko ciężarki do warsztatu, jaśniej niż lapis na opasce jej

welonu, jaśniej niż inkrustacja na rękojeści jej zatkniętego za pasek tępego miecza, którego używała do przybijania wątku.

— Rædwald nie żyje!

Hilda znieruchomiała. Rædwald. Zwierzchni król wszystkich Anglów, który pomógł Edwinowi zabić Etelfryda i wygnać Idingów. Chmurny Eorpwald, drugi syn Rædwalda, który był za młody, by walczyć u boku Edwina. Eorpwald, który zostanie królem Anglów Wschodnich — lecz płaszcz zwierzchniego króla, najpotężniejszego Angla w Brytanii, odziedziczy Edwin.

Hilda natychmiast pojęła, co to dla nich znaczy.

— Hereswitha — powiedziała.

Hereswitha. Tak szybko.

Matka skinęła głową. Teraz tkaczką pokoju zwierzchniego króla była Hereswitha. To stanowiło dla Breguswithy okazję do zbudowania rodzinnej potęgi i wyjścia z więzami pokrewieństwa poza Nortumbrię, poza własną rodzinę w Kencie. Będzie im to potrzebne. Wszyscy królowie upadają, nawet zwierzchni królowie; taka jest natura rzeczy. Edwin miał wielu wrogów, także wśród własnych krewnych — chociaż nikt nie mówił o Tinamutha i Bebbanburgu i zdradzie kuzyna Osrica, nawet Hilda i jej matka. „Nigdy nie wypowiadaj głośno tego, co jest niebezpieczne”. Małżeństwo Hereswithy dałoby im drugie źródło władzy, lecz oznaczało to jej wyjazd.

— Eorpwald ma oczywiście żonę, ale jest słaby. Kiedy upadnie, jego synowie będą za mali na przejście pozycji króla. Wówczas władza przypadnie synom Eniego.

Eniego, nieżyjącego brata Rædwalda.

— Etelryk Krótkonogi — rzekła Hilda. Najstarszy, już pomniejszy król i władca Ludu Północnego, który nazywał go Ecgrikiem. Hereswitha i Etelryk. — Co myśli Hereswitha o poślubieniu mężczyzny, który nazywa się tak samo jak dziadek?

Co myśli o opuszczeniu rodziny? Ale to zawsze była jej wyrd.

— Dowiemy się. Po otrzymaniu tej wieści przez króla.

Matka i córka przyglądały się sobie. Odmienne włosy, odmienne oczy, odmienne serca. Obie na tyle wysokie, że ludzie szeptali o krwi etin. Obie o bystrych umysłach pozwalających tworzyć wzory.

— Kiedy nas opuści? — zapytała Hilda. — A może... — „Hereswitha potrzebuje szkolenia”. Hereswitha była najstarsza, stanowiła najlepszą ścieżkę do władzy. — Czy... Czy pojedziesz razem z nią?

— Och, wszyscy pojedziemy. Jeśli znam Edwina. Królewski pochód. Król, æthelingowie. Cała królewska rodzina. Nawet Osric.

Zwłaszcza Osric. Nie zostawia się za swoimi plecami potężnych krewnych o wątpliwej lojalności. Lecz kto zostanie w Anglii Wschodniej?

Breguswitha przesunęła w zamyśleniu przybijaczkę tam i z powrotem na pasie.

— Zwierzchni król musi pokazać swoje bogactwo, lojalność swoich ludzi. Wszystkie klanry u pasów muszą być złote, wszystkie okucia czubków pochw srebne, a welony cienkie jak pajęczyna. Buty będą nowe, pierścienie ciężkie, konie dumne. Będziemy lśnić. Musimy działać szybko. Wysłałam wiadomości i kazałam różnym osobom szeptać do ucha Eorpwalda i jego ealdormanów, lecz jego umysł jest płytki jak

taca na mleko i łatwo ulega bliżej się znajdującemu złotu. O Etelryka będą się ubiegać inni. Mimo że twoja siostra jest teraz tkaczką pokoju zwierzchniego króla, musimy pokazać naszą siłę i same przeprowadzić rozmowy.

Ktoś u szczytu drabiny kichnął.

Breguswitha uśmiechnęła się.

— On też może jechać. — Podniosła lekko głos. — Tylko powiedz mu, że musi znaleźć subtelniejszych posłańców. Wiadomość o tym otrzymałam na długo przed jego przybyciem i mogłabym dopilnować, by jego informacja nie dotarła do celu.

Hilda milczała. Znała Furseya, znała odgłos jego kichania; to kichnięcie było celowe. Miała zamęt w głowie.

— Skończymy ustawianie tego wzoru, lecz tkanie zostawimy innym. Musimy skupić się na naszych planach.

Kiedy jednak przywiązały ostatni ciężarek, nastał już prawie middæg i chatę zalewało żółte światło. Breguswitha sprawdziła napięcie osnowy.

— Jesteśmy tu zbyt długo. Nie wiem, co ci się dzisiaj stało.

Hilda skinęła głową. Od kilku godzin nie odezwała się słowem. Miała wrażenie, że jej usta zamieniły się w kamień. Hereswitha. Hereswitha i Begu, i Cian. I Onnena.

— Sama porozmawiasz z Coelgarem. Albo weź z sobą tego swojego sprytnego księdza. On lubi się targować. Ja muszę porozmawiać z królem.

Hilda znów skinęła głową. Cieszyła się, że nie spotka się z Edwinem. Jej włosy z każdym dniem coraz bardziej przypominały włosy jej ojca. Kiedy wuj myślał o władzy i dynastii, lepiej było nie ściągać na siebie jego uwagi. A ona miała wiele do przemyślenia.

Już middæg. Nie miała czasu, żeby znaleźć swój grab nad rzeką, jej ulubione miejsce rozmyślań. Ruszyła w stronę ogrodu kuchennego. O tej porze dnia zioła na pewno zostały już uszczknięte, a rabarbar wyrwany i w cieniu południowego muru, nad którym zwieszały się z sadu jabłka i śliwki, mogło być już chłodno i cicho.

Kiedy jednak tam dotarła, młoda wealh o krzaczastych brwiach i ładnych czarnych włosach rozrzuciła z luzno plecionego wiklinowego koszyka obornik. W ogrodzie śmierdziało.

— Ty — powiedziała Hilda, a wealh upuściła koszyk i podbiegła do bramki, gdzie stała dziewczynka. — Znasz księdza Chrystusa, Furseya?

Wealh kiwnęła głową.

— Znajdź go. Przyrowadź.

Kiedy wealh odeszła, Hilda usiadła na trawie przy zagonie lawendy. Z kwiatu na kwiat przelatowały ciężko pszczoły. Takie niezdarne stworzenia, zawsze na coś wpadały. Odprowadziła jedną z nich wzrokiem od lawendy do naparstnic, dobrych, jak mówiła matka, na słabość serca. Czy Hereswitha się zawaha? A może rozbłyśnie tryumfem jak ich matka i odejdzie, nie oglądając się za siebie? Król nigdy nie pozwoli odejść Hildzie, nie teraz. Chyba że umrze albo już nie będzie do niczego przydatna.

Włochata pszczoła wpełzła do kwiatowego dzwonka i po chwili wychynęła z niego pokryta złotem jak tryumfująca królowa. Hilda nie chciała myśleć o królowych. Nogi pszczoły też wyglądały na grubsze. Dziewczynka wstała i poszła za owadem

podążającym chwiejnie do donic z rezedą przy drzwiach kuchni. Uklękała i czekała, aż pszczoła pojawi się znowu.

Za jej plecami skrzypnęła bramka. Hilda odwróciła się — to wealh, teraz bardzo blada. Hilda uświadomiła sobie, że klęczy na gnoju, a wealh, świadoma, jak toczy się świat, wie, że najprawdopodobniej ona zostanie o to obwiniona. Potem jednak bramka zaskrzypiała jeszcze raz i Hilda przestała myśleć o wealh.

Fursey szedł ostrożnie. Już z dala czuła zapach białego miodu.

Uśmiechnął się na widok jej miny.

— To wielki dzień: Edwin zwierchnim królem. Cudzoziemiec powinien wypić jego zdrowie i żyć z entuzjazmem, by okazać lojalność.

Hilda tylko pokazała na jego przekrzywiony krzyż. Ksiądz zajął się jego poprawianiem, a ona wróciła do zagonu lawendy i usiadła na ziemi. Wśród kwiatów wciąż polatywały pszczoły. Głupie pszczoły. Wszyscy są głupi. A może tylko ona.

— Dałeś mojej matce do zrozumienia, co knujesz — powiedziała po irlandzku, tak na wszelki wypadek. — Celowo. Moja matka jest tego świadoma. Oboje jesteście pogrążeni w swojej grze, a ja jestem jedną z tych pszczół krążących z rozkazu królowej między ulem i kwiatami i niewiedzących, co się naprawdę dzieje.

— Cóż, jestem zaskoczony, że zajęło ci to tyle czasu — powiedział Fursey. Rozsiadł się wygodnie na ścieżce koło niej i uśmiechnął się beznamiętnie. — A więc tak. Odciągnęłaś mnie od mojego miodu z jakiegoś ważnego powodu?

Myśli płątały się jej w głowie. Hereswitha. Matka. Hereswitha. Jest taka samotna. Edwin. Intrygi... Po chwili bezradności powiedziała mu o Coelgarze i negocjacjach planowanych na middæg.

Fursey skinął głową i chociaż wyraźnie zdawał sobie sprawę ze zdenerwowania Hildy, stawiał jej sensowne pytania o wagę naczyń i ich wielkość, o połysk materiału, który Coelgar powiózł do Yorku.

— Chcesz dostać skarb podobnego rodzaju, naczynie za naczynie, klejnot za klejnot, czy to, co skarb sobą reprezentuje?

Lecz Hildzie nie dawała spokoju jedna myśl.

— Co miałeś na myśli, mówiąc, że jesteś zaskoczony, że zajęło mi to tyle czasu?

Fursey spojrzał na wealh, posuwającą się ze swoim koszykiem nawozu wzdłuż zagonu lawendy.

— Polecałbym złoto i kawałki srebra i, owszem, trochę jedwabiu, jeśli go mają. Złoto jest dobre, ale takie niesubtelne. Jedwab jako podarek jest subtelny. I o ile masz drobiazgi dla mężczyzn — już pozwoliłem sobie podarować twoje skóry rai Coelgarowi, æthelingom, służącym twojej matki Burgrædowi i Burgmodowi i młodemu Lintlafowi — o tyle nie masz ich zbyt wielu dla kobiet.

Wealh zaczęła wracać po drugiej stronie zagonu.

— Miałem na myśli to, co powiedziałem. Miałaś wiele wskazówek. Chrystus jeden wie, że ładnie je układałem na twojej drodze, ale odnajdowałaś je powoli. W tych czasach nie można sobie pozwolić na powolne działanie. Wydarzenia już nie kłusują, lecz galopują. Wkrótce wpadną w cwał. Musisz mocno trzymać wodze. I musisz się nauczyć patrzeć w przyszłość...

— Zawsze patrzę w przyszłość. Jestem jasnowidzącą.

— Weź jako przykład swoją matkę. Mówiłaś o niej jako o królowej pszczół. To dlatego, że ona sama uważa się za królową.

— Powinna nią być.

— Ale nie jest. Pamiętaj o tym. Świat jest pełen takich, którzy coś powinni albo mogliby. Jak mówią wasi poeci: „Los tako się dzieje, jako i musi”. Musisz, musisz się nauczyć widzieć świat takim, jaki jest.

Hilda miała serdecznie dość tego, że musi coś robić. Zerwała łądkę lawendy i powąchała kwiat.

Fursey trącił ją w ramię.

— Wolisz wachać lawendę niż gnój. Rozumiem. Masz niecałe jedenaście lat. Twój ojciec nie żyje. Twoja siostra cię opuści. Twój, no cóż, powiedzmy, towarzysz zabaw dziecięcych już cię opuścił. Król się ciebie boi. O, tak, boi się. Posłuchaj uważnie. To prawda, że dziewczeczka, której do osiągnięcia kobiecości brakuje jeszcze dwóch lat, nie powinna widzieć świata takim, jaki jest, lecz ty nie jesteś dziewczeczką. Kazałem ci słuchać. Jesteś prorokinią i jasnowidzącą o umyśle tak bystrym, jaki się nie pojawił od stu lat. W twoich żyłach płynie krew mężczyzny, który powinien być zostać królem, i kobiety, która jest siostrą przyrodnią króla Kentu i która chce być królową. To właśnie widzi król i jego wielmoże. I pewnego dnia cię zabiją. Jeśli nie Edwin, to król, który zabija jego.

Rzuciła kwiatkiem o mur. Jakaś pszczoła zabzyczała spłoszona i wpadła na jabłko rozwijające się na gałęzi przewieszającej się przez mur.

— Oczywiście już próbowali to zrobić, ale o tym wiesz.

Spojrzała na niego.

— O, teraz lepiej. I wiesz także, kto to był. Królewski kuzyn, twój kuzyn. U ujścia Tine.

Hilda zeszywniała.

Fursey uśmiechnął się.

— Nikt nas nie usłyszy. Zanim cię znalazłem, przeszedłem przez sad. Zawsze pamiętaj, by zbadać teren. Jediną osobą w pobliżu jest ta niewolnica. I nawet jeśli zna irlandzki, w co wątpię, nie znajduje się dość blisko. Porozmawiajmy więc o tym, o czym nie chce rozmawiać król, czyli o kuzynie Osricu, który siedzi okrakiem na dolinie Tine, i o towarach płynących nią z całej północy i wschodu. O człowieku, który ma wobec Deiry prawie takie same roszczenia jak twój wuj i prawie tyle samo ludzi.

Pokręciła głową. „Nigdy nie wypowiadaj głośno tego, co jest niebezpieczne”. Nigdy.

Fursey zamachał, żeby zwrócić na siebie uwagę wealh.

— Jeśli już skończyłaś z tym uroczym nawozem, to pani i ja bylibyśmy wdzięczni za dzban piwa! — zawołał.

Wealh postawiła koszyk na ziemi i podeszła.

Skłoniła głowę.

— Ojczy?

Powtórzył prośbę w języku Anglów. Ponownie skłoniła głowę i zerknęła na Hildę, która po chwili kiwnęła swoją.

— Ale przynieś małe piwo. — I zanim Fursey zdołał zaprotestować, dodała: — Coelgar potrafi się targować. Nie chcę, żebyś bardziej się upił.

Kiedy wiklinowa bramka zamknęła się za wealh, Fursey powiedział:

— Traktują cię jak księcia, więc myśl jak książę. Twoja matka tak robi. Ona już planuje. Chce wydać twoją siostrę za człowieka, który zostanie królem Anglów Wschodnich. Dlaczego?

— Żebyśmy miały dokąd uciec. Kiedy nadejdzie pora.

Roześmiał się.

— Naprawdę masz takie złe zdanie o własnej matce? Nie. Spróbuj jeszcze raz.

Hilda poczuła pustkę w głowie.

— Myśl. Co wiesz o Rædwaldzie?

— Nie żyje.

— I?

— I był bogaty.

— Aha. Dobrze. I?

— Ale nie wiem, po co być bogatym, skoro przyjdzie ktoś taki jak mój wuj ze swoimi gesithami i wszystko zabierze.

— A jak myślisz, czym płaci gesithom? Złotem. A z handlu można mieć tyle samo złota, ile można go odebrać zabitemu przez siebie człowiekowi. A nawet więcej. Myśl. Zobacz całą wyspę. Kto kontroluje przepływ towarów?

Nie myślała o tym wcześniej.

— Osric?

— On kontroluje towary, które napływają z północy do doliny Tine. — Od Piktów, Gododdinów, Bernicjan, Deiran Północnych. — Lecz handel Anglów z całym południem, handel z Frankonią, Rzymem, Iberią kontroluje Rædwald, teraz Eorpwald, a wkrótce Etelryk.

Nagle Hilda ujrzała całą wschodnią stronę wyspy jako jedną mocną nić osnowy obciążoną przez króla, z głównymi wątkami wzoru płynącymi przez Tinamutha i Gipswic, cieńszymi przez Lindum i Humber i najmniej ważnymi nićmi jak Zatoka Wici. Lecz materiał ma więcej niż jedną nić osnowy.

Fursey kiwał głową.

— Teraz zaczniesz rozumieć. Kto darzy twojego wuja głęboką i trwałą nienawiścią?

— Cadfan i jego syn, Cadwallon.

— Dlaczego?

Hilda nie rozumiała, co to ma z czymkolwiek wspólnego.

— Ponieważ mój wuj był wychowankiem Cadfana i pokłócił się z Cadwallonem...

— Ha! Ta stara historia o Kainie i Ablu. Na pewno się kłócili jak to chłopcy, ale to jest nienawiść królów. Walka o bogactwo i władzę. O złoto. Edwin jest teraz zwierzchnim królem Anglów. Kłaniają mu się wszystkie porty na wschodzie. Tak jak wszystkie porty na zachodzie kłaniają się Cadfanowi. Dál Riatan i Alt Clut, Rheged i Irlandczycy, aby dotrzeć do win Franków, kapłanów Rzymu, wszyscy muszą klękać przed Gwynedd.

Hilda zmarszczyła brwi.

— Czasami statki z Brytanii Mniejszej zatrzymują się w Caer Uisc w Dyfneincie.

— A Dyfneint klęka przed Cadfanem z Gwyneddu.

Miał rację.

— Ale moja matka i Hereswitha...

— Ktoś będzie zwierzchnim królem po twoim wuju. Twoja matka snuje intrygę. Mając w kieszeni Anglię Wschodnią...

— Zgarnie następny wątek. Osrica?

— Może. Nie zapominaj jednak o Idingach, a także o swoich kuzynach. O większości z nich.

Nie o Eanfrithu, najstarszym. Jego matką była Bebba z Bryneichów. Po jej śmierci Etelfryd pojął za żonę siostrę Edwina, Achę. Ciotkę Hildy. „W tym mrocznym lesie wszyscy jesteście kuzynami”. Nie pamiętała, kto to powiedział.

Coś jej przyszło do głowy.

— I ty. Ty jesteś spleciony z drugą nicią osnowy.

Przechylił głowę i uśmiechnął się chytrze.

— Mój król nienawidzi twojego króla. Nienawidzi też innych irlandzkich królów i Dál Riatan, którzy udzielają schronienia młodszym Idingom. Moglibyśmy więc być po tej samej stronie. A może nie. Lecz zakończenie tej pieśni nie zostało jeszcze napisane. Jeszcze przez jakiś czas będę twoim przyjacielem.

Bramka zaskrzypiała.

— Niech cię Bóg błogosławi! — zawołał Fursey w mowie Anglów do wealh, jedną ręką czyniąc w jej stronę Chrystusowy gest, a drugą biorąc piwo. Hilda żałowała, że nie kazała przynieść pełnego piwa albo nawet miodu. Hereswitha. Osric. Hereswitha...

Fursey się napił, westchnął z zadowoleniem, napił się znowu, podał dzban Hildzie i wstał.

— A teraz musimy porozmawiać o naczyniach.

Po długich negocjacjach z Coelgarem — chociaż mówił głównie Fursey — Hilda z ulgą weszła do mleczarni. W oknach i drzwiach wisiało cienkie białe płótno, które przepuszczało światło i powietrze, ale nie muchy. W gardle poczuła zapach zsiadłego mleka. Tak samo jak w chacie tkackiej podłoga stanowiła mocno ubita ziemia, niemal czarna od rozchlapywanego od dziesięciu lat mleka.

Minęła rzędy ław, na których stały w słomie przykryte pokrywkami gliniane garnki ze zsiadającym się ciepłym odciągającym mlekiem, zeszła po schodku do ciężkich wiązowych drzwi i znalazła się w chłodniejszym pomieszczeniu do zbierania śmietany.

Mildburh trzymała oburącz bijak maselnicy i energicznie poruszała nim w górę i w dół, w górę i w dół. Jej różowa suknia spodnia pociemniała wzdłuż kręgosłupa do czerwieni. Czując podmuch ciepłego powietrza, który wpłynął przez drzwi, odwróciła się i uśmiechnęła, ale nie przestała ubijać masła. Hereswitha nawet nie podniosła wzroku. Rękawy miała odpięte i przewieszane przez pas. Przechylała jedną z kwadratowych dębowych tac z mlekiem z porannego udoju nalany poprzedniego dnia, by na wierzchu zebrała się śmietanka. Wciąż przechylając ukośnie tacę, położyła prawe przedramię w poprzek jej prawego dolnego rogu, a potem wprawnym ruchem przelała szarawe odłuszczone mleko do brązowego dzbana, przedramieniem zatrzymując taflę gęstej

śmietanki. Kiedy mleko przestało płynąć, położyła tacę i przeciągnęła lekko przedramieniem po jej krawędzi, żeby zgarnąć z niego śmietankę. Dopiero wtedy spojrzała na Hildę.

Hilda nie była w mleczarni od czasu, kiedy wyruszyła z oddziałem.

Hereswitha spojrzała znacząco na pustą maselnicę w kącie, a potem na siostrę.

— Czy jasnowidząca króla, uzbrojona i niebezpieczna, pragnie pobrudzić sobie ręce?

Hilda nie wiedziała, czy ma ją dźgnąć seaksem czy ucałować. Ale po to są siostry.

Odłożyła pokrywkę na bok i za jeden z uchwytów podniosła maselnicę. Przyjrzała się rzeźbionym przyborom wiszącym na ścianie, wybrała płaską łopatkę i zaniósła wszystko Hereswicie.

— Podniosę — powiedziała.

Hereswitha zmarszczyła brwi, lecz Hilda już nie była mniejsza od niej. Podniosła jeden koniec tacy. Nie ważyła tak dużo, jak sądziła, i przechyliła się za mocno. Hereswitha podsunęła otwartą maselnicę w ostatniej chwili i zsunęła łopatkę śmietankę.

Bijak Mildburh uderzał teraz wolniej, bo śmietana już się zmieniała w masło.

Hilda i Hereswitha przesunęły się do następnej tacy, a potem do jeszcze jednej. Pracowały płynnie, aż opróżniły wszystkie. Mildburh wyłożyła masło na granitową płytę umieszczoną w ławie i zaczęła je formować drewnianymi łopatkami.

Kiedy Hereswitha wycierała rękę i przypinała rękawy, Hilda przyniosła bryłę szarej soli oraz moździerz z tłuczkiem, by ją rozgnieść. Uwielbiała ten twardy chrzęst pod ręką. Zupełnie jakby kot zjadał ptaka.

Kiedy skończyły, Hereswitha przyniosła dla wszystkich chochlę z maślaną. Hilda zadała sobie pytanie, ile razy piły razem maślaną w mleczarni i czy jeszcze kiedykolwiek będą to robić.

Hereswitha wytarła z podbródka drobinki masła i powiedziała:

— Jesteś silniejsza.

— Jestem większa — odparła Hilda.

Hereswitha skinęła głową i obrzuciła ją wzrokiem.

— Wyższa od Mildburh.

— Jestem wysoka jak ty.

Zabrzmiało to jak wyzwanie i dwa lata wcześniej doprowadziłoby do awantury, teraz Hereswitha po chwili powiedziała tylko:

— Ale nawet w połowie nie tak krągła. Jesteś cała płaska jak ten idiotyczny nóż.

— Jest bardzo użyteczny.

— Bardzo duży — wtrąciła Mildburh.

— Zraniłam nim jednego Irlandczyka.

Mildburh zrobiła przerażoną i zaintrygowaną minę.

— Zabiłaś go?

— Nie, ale mocno krwawił. I wrzeszczał.

— Mężczyźni nie wrzeszczą — stwierdziła Hereswitha.

Co jej siostra wie o takich sprawach?

— Czy próbował się do ciebie dobrać? — zapytała Mildburh.

Hilda wytrzeszczyła na nią oczy. To jej nigdy nie przyszło do głowy.

Hereswitha roześmiała się.

— Nie, prawdopodobnie próbował tylko ukraść prorokinię króla — powiedziała. — Podobno jest warta królewskiego okupu. Nawet jeśli w tej sukience wygląda jak niewolna wealh.

Hilda zmilczała.

Mildburh wzięła Hereswithę pod rękę i spojrzała na Hildę.

— Powiadają, że dzięki swojemu jasnowidztwu ocalałaś w Bebbanburgu nas wszystkich. Czy... widzisz coś związanego z naszą zbliżającą się podróżą?

Oczy Mildburh były niebieskie jak jagody czernicy. Hereswitha miała oczy jak ich matka, lecz bez tego zimnego błysku. „Nie, nic nie widzę — chciała powiedzieć Hilda. — Ubijmy śmietanę, posólmy masło i poplotkujmy o twoim przyszłym mężu”. Ale cóż miała do powiedzenia o mężach nieprzepasana dziewczynka? Oprócz tego, że są niemi w wielkim wzorze tkanym przez innych. I co chciałyby usłyszeć o podróży i spaniu poza hallą?

Wciąż na nią patrzyły. Położyła dłoń na nożu.

— Widzę, że podróż będzie bezpieczna.

Jak mogłoby być inaczej? Będzie z nimi dwustu czterdziestu gesithów i cała armia służących.

W drodze powrotnej z mleczarni zaszła do obory. Pachniała osłonecznionym sianem i raczej końmi niż krowami. O tej porze roku konie znajdowały się w zagrodzie na dworze i nawet mleczne krowy przebywały na pastwisku. Jednak dwa boksy były zajęte: w jednym stała kudłata gniada klaczka, a w drugim wysoki dereszowaty wałach. Hilda odruchowo spojrzała na ich kopyta i ogony.

Deresz miał podkowsy z ciemnego żelaza dobrej jakości; jego kopyta były natarte tłuszczem, a ogon długi i wyczesany. Koń z królewskiej stajni. Jadł, ale kiedy Hilda się zbliżyła, podniósł łeb i wybałuszył oko. Nie podeszła zbyt blisko. To był koń jeżdżony często i ostro, ale nie miał żadnych skaleczeń tam, gdzie można by się ich spodziewać. Zwierzę cenione przez jeźdźca. Przyjrzała się długim, silnym nogom: jedna z ciężkich frankijskich ras mieszanych. We frankijskich koniach i płaszczach, religii i klejnotach gustowali Oiscingowie z Kentu. A zatem z jej matką jeszcze przed rozmową z królem rozmawiał ktoś z Kentu. W jaki sposób Kent łączy się ze wschodnią albo zachodnią osnową? Hilda zachowała to pytanie w pamięci, żeby później omówić tę kwestię z Furseyem.

Klaczka była spokojna, zrównoważona i miała ciekawskie spojrzenie. Typowy wierzchowiec księdza: niewątpliwie przyjechał na nim człowiek, który dostarczył informację Furseyowi. Dotknęła skóry między jej przednimi nogami: chłodna i sucha, a więc od dawna stała w stajni. Parsknęła, a kiedy Hilda poklepała ją po kłębie, zmarszczyła skórę pod jej dłonią. Ten dotyk przywołał wspomnienie zimowego dnia pod rzymskim murem: kiedy wsiadała na Ilfetu, wiatr poruszył jej płaszczem i wałach zmarszczył skórę pod dotykiem materiału. Hilda oparła głowę o szyję klaczy i wdychała koński zapach, który przypominał jej tak wiele spraw, tak wielu ludzi.

— Może jesteś siostrą Cianowego Acærna — szepnęła po brytyjsku. Nie

posługiwała się tym językiem od kilku miesięcy. — Może zobaczysz go w trakcie swoich podróży, może zobaczysz Ilfetu. Powiedz mu, że tęsknię, tęsknię... — Ścisnęło jej się gardło. Wyprostowała się i powiedziała po angielsku: — Ale teraz Cian na pewno ma pięknego nowego konia pasującego do pięknego miecza i przybranej siostry.

Dwór nie wyjechał ani tego miesiąca, ani następnego. To miał być wielki oddział, czterystu ludzi, więc najpierw trzeba było wysłać jeźdźców. Zwierzchni król podróżujący ze swoim dworem nie śpi na ziemi, nie chodzi rozczochrany ani nie je pod wałem wiewiórek i trędownika. Nie łamie sobie zębów na chlebie, jaki jedzą ceorle, w którym jest więcej piasku niż ziarna, ani nie pozwala, żeby jego koniowi było widać żebra, ponieważ nie dostaje owsa. Nie jedzie konno z dłonią na rękojeści miecza i hełmem pod ręką, lecz z pewnością siebie, w jaskrawym odzieniu, widoczny dla wszystkich, mając świadomość, że jego straż oczyściła drogę na pół mili do przodu i na boki. Musi być pestką pośrodku jabłka doskonałego bezpieczeństwa i nieograniczonej szczodrości. Musi być prawie jak bóg.

W końcu, kiedy gałęzie śliw zaczęły się uginać pod ciężarem owoców, kiedy zazłociły się pola, nieustanne bzyczenie pszczół obniżyło się o ton, a robaki objadały się miękkimi, dojrzałymi owocami, dwór z wielkim przepychem wyjechał z Goodmanham.

Edwin, Osric — którego nastoletni syn, Oswine, i córka, Osthryth, zostali „dla bezpieczeństwa” z Coelgarem w Bebbanburgu — æthelingowie i Hilda jechali z dobytą bronią spowici w błękit i złoto. Rzędy ich koni błyszcząły od złota, okucia pochew mieczy były grawerowane i pozłacane, a rękojeści połyskiwały granatami i niebieską emalią.

Breguswitha i Hereswitha jechały pod baldachimem trzymanym przez dwóch ludzi Coelgara. Za nimi jechali Burgmod i Burgræd z dłońmi na rękojeściach mieczy. Następnego dnia obie kobiety miały jechać w wozach z Ædilgithą, Folcwiną i pozostałymi jak jajka w koszyku wymoszczonym sianem, lecz tego dnia były na widoku. Miały na sobie suknie koloru nagietka z szerokimi czerwonymi lamówkami oraz wysokie buty w kolorze sowej piersi i równie miękkie. Ich uszy i welony lśniły od lapis lazuli i złota. Koń Hereswithy, ciemnogniady wałach, niebieskie koraliki miał nawet wplecione w grzywę. Jadąca obok nich Mildburh była odziana w wiosenną zieleń, barwę swojej rodziny, nieżyjącej królowej, Cwenburh, lecz tkane krajki zdobiące jej suknię przy szyi i nadgarstkach były w barwach jej gemæcce, nagietkowe i czerwone.

Za każdą z klamer przy pasach królewskich gesithów można by dostać tyle złota, że dałoby się za nie kupić pięknego barana i dwie owce. Klamry Osrica były niemal równie wspaniałe, a nawet drużynnicy tanów z Deiry Wilgara i Trumwine’a mogliby uchodzić za gesithów pomniejszych królów. Wielu z nich wciąż miało na twarzach i prawych rękach krople krwi ofiarnego byczka. Coifi miał zostać w Goodmanham, domu jego boga, modląc się o dobrą, szczęśliwą podróż. Obiecał, że przed powrotem dworu rozbuduje święte miejsce. Hilda wciąż nie zapytała Fursey, co miał na myśli, mówiąc, że będą się nim cieszyć jeszcze tylko przez parę lat. Jak to pasuje do wielkiej tkaniny?

Fursey jechał na siwym wałachu. Koniki dla księży to nie wierzchowce dla niego. Jechał teraz jako księżę Munsteru w pięknej czarnej szacie obręzionej kunim futrem i z pierścieniami na palcach, chociaż jako osoba duchowna nie miał miecza. Za wszystkimi jechały chwiejnie ze skrzypieniem wozy ciągnięte przez woły z pomalowanymi na biało

rogami. Jeden z wozów, ten z połączanymi piastami wiązowych kół i sprężystym łożem z wikliny z podglówkami z pierza, wóz Hereswithy, miał jasną zamszową budę z wymalowaną krwistoczerwoną farbą głową deirskiego dzika. Oczywiście później buda miała być zdjęta, starannie złożona i do czasu tryumfalnego wjazdu do vill króla Anglów Wschodnich zastąpiona zwykłą brązową skórą. Lecz nawet ona była najlepszą skórą wołową ufarbowaną jednolicie na orzechowy kolor.

Podróż do Lindum, kwitnącego ośrodka handlu wełną i skórą wylewającego się poza jego zniszczone rzymskie mury, zajęła im dziewięć dni. Zbrojny oddział mógł tę odległość z łatwością pokonać w dwa dni, a nawet szybciej, gdyby jeźdźcy nie oszczędzali koni, lecz wozy były jak domy na kołach i nie wolno było ich poganiać. Zatrzymali się tam tylko na jedną noc. Miasto przypominało Hildzie Caer Luel, chociaż było mniej zniszczone i bardziej połatanie: słoma na dachach w miejscach, gdzie spadły dachówki, drewno zastępujące popękane kamienne nadproża. Przywódca, Cuelgils, nazywał siebie princepsem. Ściany jego wielkiej halli były pokryte malowanymi obrazami jak tracące kolory ściany podziemia halli w Yorku.

— Princeps — prychnął Fursey w trakcie zwykłych uroczystości powitalnych. — Wątpię, czy potrafi choćby czytać. — Na wszelki wypadek powiedział to po irlandzku.

Jasnoszary kamienny słupek milowy stojący za Lindum poza zasięgiem fetoru miejskiej garbarni i foluszu miał grubość uda Hildy i był wyższy od wysokiego jeźdźca na koniu. Był o wiele wyższy od Fursey'a. Nawet wyższy od Lintlafa, bohatera wyprawy do Tinamutha, dumnego jak Thunor z nowego złotego pierścienia od króla lśniącego u rękojeści jego miecza. Lecz bohater stale musi odświeżać swoje czyny w oczach innych, musi szukać okazji do zabłyśnięcia, więc Lintlaf mianował się na opiekuna tej dziwnej dziewczeczki i księdza księcia. Ci dwoje mieli woń wyrd. Coś się kiedyś musi wydarzyć i imię Lintlafa zostanie opromienione pieśniami nowego męstwa.

Kiedy więc zatrzymali konie przy słupku, Lintlaf zrobił to samo, a kolumna wozów z mozołem pojechała dalej w zachmurzone popołudnie.

Gdy Fursey i Hilda zsiadli z koni, Lintlaf westchnął. Na wszelki wypadek połuzował miecz w pochwie, chociaż droga została tu dobrze oczyszczona z krzaków i wszelkich kryjówek dla zdesperowanych ludzi i rabusiów.

Ich konie stały cierpliwie nos w nos, a dziewczeczka i irlandzki ksiądz obeszli kamień. Dzień był gorący i pochmurny, bez ostrych cieni i podmuchów wiatru. Może później wywiąże się między bogami walka; będą ciskać w siebie obelgami i błyskawicami, a potem szlochać z wściekłości, aż rowy po obu stronach drogi wzbiorą ich łzami.

— „Durobrivae ileś mil” — powiedziała dziewczeczka do Fursey'a. Musiała wspiąć się na palce, żeby dotknąć zatartych przez wiatr cyfr: LII. — Za tę drogę zapłacili obywatela Lindum. Tak?

— Tak.

— Ale na ostatnim było napisane, że cesarz Karakalla odnowił drogi, „które popadły w ruinę ze starości”. — Ksiądz milczał. — Pięćdziesiąt dwa! — zawołała z tryumfem Hilda. — Pięćdziesiąt dwie mile do Durobrivae! Co to jest Durobrivae?

— Miejsce leżące pięćdziesiąt dwie mile dalej na południe przy tej drodze.

Lintlaf podejrzewał, że znaczy to, iż Fursey nie ma pojęcia, co to jest Durobrivae.

Było gorąco i wyglądało na to, że z kamienia nie dowiedzą się już nic więcej. Wrócili do miejsca, gdzie Lintlaf trzymał ich konie. Podprowadził je do dużego kamienia — fragmentu rozbitej ściany jakiejś dawnej rzymskiej budowli — z którego ksiądz wsiadł na konia pierwszy. Kiedy Lintlaf podał wodze dziewczecze, a ona wdrapała się na siodło, skinął głową w kierunku słupek milowego i powiedział:

— Czy te runy dobrze wróżą?

— Będziemy w Durobrivae za... dziewięć dni. Jeśli bogowie dadzą nam dobrą pogodę.

Spojrzał na niebo i pokręcił głową.

— Przynajmniej deszcz zmyje pył.

Ksiądz wypłukał usta piwem i splunął.

— Nawet pył jest lepszy od błota.

— Fatalnie — rzekł Lintlaf.

Kapłani to ponuracy, bez względu na bogów, do których się modlą.

Puścili się galopem miękką stroną drogi, aż dogonili czoło kolumny i ustawili się za ðthelingami. Fursey cały czas kichał od pyłu. Edwin skinieniem dłoni przywołał Hildę.

— Co powiedziały ci kamienie?

— Że do Durobrivae jest taka sama odległość jak do Goodmanham.

— A czy kamienie powiedziały ci, że droga jest bardzo dobra i że w ciągu ośmiu dni pokonamy odległość, na pokonanie której normalnie trzeba ich dziewięć?

Pokręciła głową.

— Podróżowałem tędy przed ośmiu laty.

Przed ośmiu laty. Kiedy zagarnął tron, na którym powinien zasiąść jej ojciec, otruty jak pies.

Koń Edwina pociągnął w bok.

— Nie patrz tak na mnie. — Kciuk położył na rękojeści swojego seaksa. Po chwili rozluźnił się i roześmiał. — Osiem lat, co, Lilla?

— Wtedy też padało, królu — rzekł Lilla.

— Owszem. Tym razem mamy jednak służących i tym razem nie śpieszy się nam. — Zawołał do syna Coelgara, który jechał na przedzie z chorążym. — Coelfrith! Wyślij swoich ludzi, żeby znaleźli miejsce na postój. — Pociągnął nosem. — W pobliżu jest rzeka. Musi tam być jakieś miejsce, żebyśmy mogli się schronić i zjeść coś ciepłego, zanim bogowie pogody zaczną swoje zabawy.

Zatrzymali się milę dalej, gdzie często używany szlak świadczył, że wielu podróżnych skręcało z drogi ku malowniczym zakrętowi rzeki z dwoma wygodnymi pagórkami, dębowo-leszczynowym laskiem i bardzo zniszczonymi ruinami mostu prowadzącego na wysepkę pośrodku nurtu.

Zanim deszcz z sykiem zamienił ogniska w popiół i błoto, gesithowie mieli godzinę na wojenną grę — utworzyli dwie ściany z tarcz i na zmianę przepychali się po łące, usiłując dźgać przeciwników w łydki i stopy włóczniami o grotach w kształcie liści — a służba na podgrzanie owsianki, pieczonej baraniny i piwa wrzosowego, które dał im na pożegnanie Cuelgils.

Niektórzy spośród na wpół pijanych młodszych gesithów atakowali się małymi grupami, posługując się mieczami i tarczami. Starsi podobnie jak Hilda szukali schronienia. Wiedzieli z długiego doświadczenia, że piwo wyparowuje przed zapadnięciem zmroku, ale ubranie zostaje wilgotne do rana, a jeśli wilgotnych mieczy i kolczug natychmiast nie przetrze się piaskiem i nie natłuści, to będą rdzewieć długo i dogłębnie.

Hilda siedziała w wozie matki i siostry, a deszcz bębnił o nawoskowane płótno, rozpięte jak namiot nad natłuszczoną skórzaną osłoną. Deszcz padał pionowo, więc Breguswitha nie zasznurowała wejścia, by do środka mogło dostawać się powietrze i światło.

Siedziały na miękkiej podłodze, opierając się plecami o przemyślnie skonstruowane wyściełane skrzynie do bezpiecznego przechowywania rozmaitych przedmiotów w trakcie podróży. Breguswitha i Hereswitha rozmawiały cicho o etykiecie na dworach Anglów Południowych i Wschodnich, a Mildburh od czasu do czasu wtrącała swoje spostrzeżenia o Sasach. Ædilgitha i Folcwina haftowały rękawy sukni, chociaż Folcwina częściej ocierała czoło i szyję, niż pracowała igłą. Hilda leżała z głową na udzie Hereswithy, na wpół słuchając, na wpół drzemiąc i przesuając w palcach karneole oplatające jej nadgarstek. Zastanawiała się, co Ædilgitha i Folcwina myślą o konieczności zamieszkania wśród Anglów Wschodnich z Hereswithą i co teraz robi Cian w Zatoce Wici.

Breguswitha mówiła o pochodzeniu. Kiedy opowiadała o swoich krewnych, Oiscingach z Kentu, jej jucki akcent się pogłębiał. Hilda słuchała znajomej wyliczanki. Jej wuj Æthelberht, nieżyjący król Kentu. Jej kuzyn Eadbald, obecny król Kentu. Æthelwald, jej młodszy kuzyn, ætheling Kentu i książę Kentyjczyków Zachodnich.

Hilda przesunęła duży paciorek koloru starego płomienia. Eadbald, wuj. Nie przejmowała się Æthelwaldem — był chorowity — a Eadbald miał już dwóch synów.

Ricula, ciotka Breguswithy, wyszła za Sledda pochodzącego z Sasów Wschodnich. Breguswitha zamilkła i spojrzała na Hereswithę, która zaintonowała:

— Sledd, ojciec Saberta, ojca Sæwarda, już nieżyjącego, i króla Seaxreda.

— I Seaxbalda — odezwała się Mildburh.

Hilda przesunęła mały paciorek z brązową okluzją jak wysychająca rana. Seaxbald, kuzyn.

— Mają siostrę — powiedziała Breguswitha do Hereswithy. — Saewarę. Obecnie jest żoną Anna. — Anna to młodszy brat i spadkobierca Etelryka Krótkonogiego. — Będziesz miała na dworze kuzynkę.

Saewara, kuzynka. Wróg czy przyjaciółka?

— Sasi Zachodni — ciągnęła Breguswitha — Cynegils i jego trzech synowie, są do swoich krewnych ze wschodu nastawieni dość przyjaźnie.

Hilda przesuwała paciorki, by znaleźć ten asymetryczny, ciemnoczerwony. Cynegils z Gewissów. Następnie trzy czerwono-pomarańczowe paciorki oznaczające jego synów. Jeden miał odprysk. Nadała mu imię Cwichelma, najstarszego. Wszyscy byli porywcy i chciwi.

Strzelił piorun. Młodzi pijani gesithowie zawołali radośnie. Hilda wiedziała, że

dźgają włóczniami w stronę nieba, rzucając Thunorowi wyzwanie, by cisnął w nich którymś ze swoich gromów. W zeszłym roku widziała, jak Thunor odpowiada na takie wyzwanie, tuż na południe od wału. Thunor nie lubi, jak się z niego żartuje.

Fursey zapewne grał i pił ze starszymi gesithami i tanami, starając się wybadać ich myśli. Hilda przypomniała sobie frankijskie konie w stajni w Goodmanham, fakt, że jej matka otrzymała wiadomość o śmierci Rædwalda przed Edwinem, przed królem. Matka jest córką królów, wdową po mężczyźnie, który powinien był zostać królem, matką przyszłej królowej, ma kuzynów na wszystkich dworach na wyspie i wielu za morzem. Mimo to Fursey otrzymał tę informację wcześniej. Jakim sposobem?

Deszcz przybrał na sile. Wóz chwiał się lekko pod ciężarem wody. Liny grały. Głos Breguswithy wznosił się i opadał.

Jechali przez kraj wymyty do czysta i wibrujący od obfitości. Lintlaf drzemał w siodle za nimi. Jego kolczuga pachniała rdzą.

Hilda przesuwiała swoje paciorki, wyjaśniając Furseyowi, kim jest największy i najmocniej wybarwiony i dlaczego.

— Zapomniałaś o najpotężniejszym ze wszystkich. — Przechylił się w jej stronę i postukał palcem w mały, ognisty paciorek, w porannym słońcu niemal żółty. — Zapomniałaś o Chrystusie.

— O bogu?

O tym nie miał mówić.

— Ma zdecydowany wpływ na doczesną sytuację. Frankijska królowa, która poślubiła twojego wuja w Kencie, sprowadziła ze sobą Rzymian. Nie żołnierzy, lecz kapłanów. Biskupów.

Wzruszyła ramionami.

— Wealh mają biskupów.

Parszywe towarzystwo.

— Rzymscy biskupi są inni. Są w takim samym stopniu kapłanami co ealdormenami.

Hilda podrapała się w grzbiet dłoni. Po deszczu wyroiły się meszki.

— Ci kapłańscy zarządcy zbierają daninę nie dla króla, lecz dla biskupa Rzymu.

Biskup Rzymu. A zatem to jakiś kapłański zwierzchni król, lecz nieuznany. Spróbowała wyobrazić sobie sieć ealdormenów dbających o interesy króla, o którym nikt nie wie.

— Dlaczego królowie nie zabijają tych księży?

Fursey uśmiechnął się.

— Są dla niego użyteczni?

— Bardzo. Umieją czytać.

Umieją czytać.

Wrażenie, że świat się zmienia, było tak przemożne, że Hilda zachwiała się w siodle.

Umieją czytać.

Jakiś człowiek w Kencie albo w Anglii Wschodniej mógł coś napisać i dać to innemu, który mógł pogalopować tak szybko, że prawie padł trupem on i koń, a potem

dać to komuś innemu, obcemu, który także mógłby pogalopować albo wsiąść na statek i przekazać to kolejnemu posłańcowi i jeszcze następnemu. Wiadomość mogłaby przemierzyć całą wyspę w ciągu jednego dnia. Nie zostałaby zniekształcona. Nie mogłaby zostać przejęta i zrozumiana przez nikogo prócz księży. „Wygoleni szpiedzy”. Już nie sama suknia duchowna z jednej strony i miecz z drugiej, ale książka postawiona naprzeciwko klingi.

— Zamknij usta, nalecą ci muchy.

Wyglądał na szalenie zadowolonego z siebie.

Rozdział 8



Wspaniały widok, jaki przedstawiał sobą rozległy i mieniący się blaskiem vill Rendlesham, bardzo rozzłościł Edwina. Wąsa przygryzał jednak na osobności. Przy ludziach — zarówno siedząc przy stole z Eorpwaldem w wielkiej, eleganckiej sali z podłogą wyłożoną pięknymi rzymskimi płytkami i z pomalowanymi ścianami, jak i mijając złote pola po drodze do królewskiego lasu pełnego zwierzyny, oglądając odległy o dwie mile port Woodbridge z niezliczonymi warsztatami żaglomistrzów i powroźników — ciągle się uśmiechał. Jego gesithowie, którzy znali ten uśmiech, zmieniali swoje przerażenie w przechwałki i wszędzie wywoływali bójkę; Breguswitha była zajęta wierzbową korą i żywokostem, miętą i olejkiem z lawendy, octem słodowym i miodem. Nawet stary Burgræd zwichnął kolano w zapasach. Breguswitha bez słowa je nastawiła i przyłożyła okład z ciepłej owsianki. Nie zaproponowała mu naparzu z kory wierzbowej ani cenniejszego ciemiernika. Nie miała czasu na niemądre zachowania mężczyzn. Wołała się naradzać z emisariuszami z Kentu, oficjalnymi i nie tak bardzo oficjalnymi. W niej też zaczął się tlić gniew.

Hereswitha był napięta jak pies przed walką. Tego dnia miał przybyć ze swojego dworu w Deorham Etelryk, ætheling Angłów Wschodnich i ksiązę Ludu Północnego, który nazywał go Ecgrikiem.

Ciągle zmieniała zdanie, czym doprowadzała Mildburh, Ædilgithę i Folcwinę do szału. Chciała mieć lapis lazuli wpleciony we włosy i wszyty do welonu; nie, chciała granaty i perły; nie, beryle i gagaty. Hilda widziała, jak jej siostra cisnęła welonem w Mildburh, a kiedy spłynął powoli na wypolerowane deski podłogi, chwyciła go i podarła na kawałki. Hereswicie chciało się płakać, ale była dorosłą kobietą. Nikt nie może zobaczyć jej łez, nawet służące, bo mogłaby w ten sposób okryć wstydem ród. Hilda nic nie mogła zrobić. To była wyrd Hereswithy; była nią od śmierci Cwenburh.

Wydawało się, że napięcie panujące wśród Nortumbrian nie ma wpływu na Furseya. Dziwne, ale zaprzyjaźnił się z Lintlafem. W jednej chwili śmiali się z kobiety, która upuściła kosz z jajami, kiedy nakrakała na nią wrona, rozłożywszy skrzydła — bardzo zły znak, lecz tylko dla tak potraktowanej osoby — a w drugiej puszczały kamykami kaczki na stawie rybnym, gdzie pływały gęsi.

Denerwowali Hildę. Wszędzie wprowadzali zamęt. Żeby naprawdę widzieć, naprawdę słyszeć, trzeba było siedzieć spokojnie i cicho. Wysłała ich, żeby odwiedzili świątynię wybudowaną przez Rædwalda dziesięć lat przed śmiercią, a sama poszła na miejsce spotkań kapłanów na skraju bukowego zagajnika nad strumieniem. Usiadła z dala od ich spojrzeń w głębokim cieniu rzucanym przez wysokie drzewo. Buki rzadko występowały na północ od estuarium Humber, a Hilda uwielbiała słuchać, jak szepczą na wietrze, zupełnie jak kobiety przed snem.

Po śmierci Rædwalda czarno odziani kapłani Chrystusa ściągnęli do vill jak wrony. Wszyscy pracowali dla różnych królów, jedni mieli ogolony czubek głowy — Rzymianie — drudzy czoło, ale wszyscy chcieli, by Eorpwald uznał Chrystusa za boga, wszyscy chcieli otrzymać pozwolenie na reprezentowanie go wśród Anglów Wschodnich. Czy ci z ogolonym czołem mieli zwierzchniego biskupa jak zwierzchni biskup Rzymu? Kiedy kolejno wstawali, by przemówić do zebranych, posługiwali się łaciną, lecz kiedy rozmawiali w mniejszym gronie, Hilda słyszała frankijski, irlandzki, uspokajające juckie dialekty młodych księży z Kentu i nawet wydawało się jej, że rozpoznała grekę. Nikt nie mówił po brytyjsku.

Frankijski był dziwnym językiem skażonym łaciną. Rozumiała może jedno słowo na trzy. Jak zwykle, kiedy usiłowała nauczyć się nowego języka, otwierała umysł i przepuszczała przez niego swobodnie płynące dźwięki.

Po jej ręce przebiegła mrówka, a po chwili jeszcze jedna. Lśniły w słońcu jak kropelki bursztynu. Kiedy Hilda była mała, zgmiotła mrówkę idącą po ławie, żeby zobaczyć, co jest w środku i sprawia, że tak błyszczą. Ale na drewnie została wtedy tylko ciemna smuga.

Przemawiał któryś z księży. Mówił z pasją i silnym akcentem, rozrzucając wokół siebie słowa jak roztopione szkło. Hilda zamknęła oczy. Rozumiała bardzo mało — herezja, apostazja, Gehenna — ale ksiądz wyglądał na zdenerwowanego czymś, co zrobił Eorpwald.

Była zmęczona słuchaniem rozdrażnionych ludzi. Wstała i strzepnęła z sukni mrówki i pył. Chciała przyjrzeć się pracy złotników. Eorpwald miał ich dwóch — a także trzech płatnerzy i dwóch kowali.

W zakolu rzeki Deben pracowało ponad dwudziestu mężczyzn i chłopców oraz grupka kobiet. Wokół było słycać zgrzytanie pilników, stukanie dłut i chlupot płynnej gliny. Pachniało węglem drzewnym i gliną, gorącym metalem i woskiem. Pod ogromnym wiązem stało czterech strażników w jednakowych skórzanych tunikach. Kiedy Hilda się do nich zbliżała, na pochwie jej seaksa zalśniło słońce i strażnicy wyprostowali się, unosząc włócznie. Kiedy jednak zobaczyli, że to tylko dziewczynka, znowu oparli broń o ziemię. Dwaj chłopcy przy balii z gliną przestali nią potrząsać, aż musiała na nich krzyknąć kobieta pracująca przy polerowaniu.

Główny złotnik miał pierścień na kciuku, na długich włosach grubą opaskę ze skręconego srebra, a jego niewolnicza obroża była symboliczna, delikatna jak kobiecy naszyjnik. Był to Svear. Dawno temu cios miecza rozplątał mu lewą szczękę i wybił z niej wszystkie zęby. Hilda przeszła ostrożnie między stołami warsztatowymi i spokojnie czekała przy jego stanowisku, uważając, by nie zasłaniać mu światła. W końcu Svear przerwał pracę, zamrugał, a potem zawołał niewyraźnie przez ramię. Z żaru i półmroku spowijającego piec wystąpił niewolnik — obrożę miał ciężką — i mamrocząc coś po irlandzku, otarł czoło przedramieniem. Raz tylko spojrział na krój sukni Hildy, złoto migocące u jej nadgarstków i pasa, ogromny seax i pośpiesznie przyniósł stołek na trzech nogach.

Wytańł go z pyłu dłonią, cofnął się o krok i odchrząknął.

— Czy panienka zechce się napić wody? Mamy gorący dzień. No i w pobliżu jest

źródło.

Cały czas oglądał się jednak na piec.

— Jak się nazywasz?

— Finmail. Fin.

— Masz coś w ogniu?

— Tak, pani.

— A zatem zajmij się pracą. — Spojrzała na stoły emalierów, grawerów, polerowników. — Mnie tu nie ma.

Fin zmarszczył czoło.

— Nie ma mnie — powiedziała po irlandzku i spojrzała mu prosto w błękitne jak niebo oczy.

Uklonił się i wycofał.

Hilda odwróciła się do Sveara i powiedziała wyraźnie i bardzo starannie:

— Chcę popatrzeć, jeśli można.

Skinął głową i wrócił do modelowania z wosku jakiegoś przedmiotu wielkości dłoni.

Przy następnym stole mężczyzna o bardzo jasnych włosach i cerze formował z wosku cienkie pałeczki, nożem ogrzanym we wrzącej wodzie odcinał ich końce i przymocowywał je do maleńkiej woskowej rzeźby.

Przybiegł chłopiec z ciężką wiązką okorowanych jesionowych gałązek, jakie zostają po zjedzeniu przez bydło wszystkiego, co się da z zimowego „siana drzewnego”. Dołożył je do ognia. Blondyn ostrożnie umieścił woskowy model na drewnianej podkładce. Jedna z kobiet zaniósła ją — także ostrożnie — do balii z płynną gliną. Inna kobieta właśnie wyjmowała z balii sieć pokrytą gliną; powiesiła ją obok sieci już suszących się na sznurze rozciągniętym na słońcu. Sprawdziła dwie sieci na końcu sznura, zdjęła je i zaniósła do stołu, przy którym starszy mężczyzna o delikatnych dłoniach oblepiał model gęstszą gliną. Starannie go wygładzał, aż miał przed sobą kulę gliny podobną do gniazda os. Chłopiec od gałązek zaniósł ją do jednego z pieców.

Miech skrzypiał, piece huczały. Dźwięcznie stukały młoteczki. Rzeka płynęła.

Wokół czubka włóczni jednego ze strażników tańczyły dwa kremowe motyle. Były dokładnie takiego koloru jak wosk Sveara. Strażnik na wpół drzemał.

Hilda skupiła uwagę na obróbce złota. W Bebbanburgu obserwowała pracę brązowników. Tu było inaczej. Zupełnie jakby obserwowała zaprawionych w bojach gesithów maszerujących z trzech stron nierównego pola i gładko zlewających się w ścianę z tarcz albo jakby słuchała barda śpiewającego znaną pieśń. Svear nie musiał obserwować pieca ani pilnować paleniska, nie musiał potrząsać balią, jedynie wymyślał ładne kształty i formował je z wosku — gładko, nieśpiesznie — żeby w końcu z pieca mogła zostać wyjęta gliniana forma gotowa do napełnienia złotem. Hilda pomyślała o kobietach, które zawsze muszą przerywać przedzenie, żeby chwycić dziecko, zanim oparzy się ogniem, albo odrywać się od wyczesywania pakuł, żeby opatrzeć komuś ranę...

Hereswitha, zamężna, będąca matką. Jej siostrzeniec albo siostrzenica. Możliwe jednak, że nigdy ich nie pozna. Chciała dać Hereswicie coś, co będzie jej ją przypominało, coś pięknego, coś cennego.

Słońce wspięło się wyżej. Svear wstał, uśmiechnął się szeroko — wyrwa w jego policzku była obrzydliwa; matka Hildy zszylała ją, kiedy była jeszcze świeża — i zachęcił dziewczynkę gestem, żeby poszła za nim. Towarzyszyła mu w wędrówce od stołu do stołu. Patrzyła, jak stopiony wosk jest ostrożnie wylewany z glinianej formy i zachowywany na później; patrzyła, jak do gorącej formy jest wlewane złoto i jak forma jest ustawiana w piasku, żeby powoli wystygła; patrzyła, jak od surowego złotego odlewu kłamry odcina się złote pałeczki — kiedy niewolnicy mieli do czynienia z czystym złotem, zawsze wzajemnie się obserwowali — i jak się ją poleruje, a następnie graweruje. Z powrotem do stołu emaliera, gdzie zezowaty mężczyzna zanurzał najmniejszą łyżeczkę, jaką Hilda widziała w życiu, do miseczek z proszkami i ostrożnie strząsał ich ziarenka do malutkich przegródek na złotej broszy, powstałych przez stopienie cienkiego złotego drutu z płaską powierzchnią.

— Czerwony — powiedział niewyraźnie Svear, pokazując na jedną z miseczek. — Niebieski — dodał, wskazując na inną.

Hilda widziała tylko biały, kremowy i szary proszek.

— Skąd wiesz?

Wziął szczyptę i roztarł ją między palcami.

— Różne. — Która wojna go zagarnęła? Na prawej dłoni nie miał odcisków od posługiwania się mieczem; knykcie lewej nie zostały spłaszczone od ciosów przyjmowanych na tarczę. Dotknął palcem języka. — I smakują inaczej.

Wyciągnął palec, żeby Hilda mogła spróbować. Dziewczynka wysunęła język.

— Hildo — odezwał się zza jej pleców Fursey. — Co jest tak fascynującego w patrzeniu, jak jakiś śmierdzący dzikus robi biżuterię?

Hilda poczuła się jak wałka wdeptana w ziemię. Odwróciła się z gniewem i zauważyła zaczerwienioną twarz Furseya.

— Co się stało?

— Apostazja!

Znowu to słowo. W dalszym ciągu nie wiedziała, co ono znaczy. Możliwe, że strażnicy Eorpwalda też tego nie wiedzieli, ale nie podobał im się ton księdza. Zdjęli z pleców tarcze. Lintlaf wspiął się na palce.

Mężczyźni z bronią są tak przewidywalni jak psy.

— Uspokój się — powiedziała do Lintlafa.

— To najemnicy — odparł prowokacyjnym tonem.

Strażnicy opuścili włócznie.

— Niewątpliwie pokonałbyś ich, trzymając miecz w lewej ręce, ale tego nie zrobisz — rzekła Hilda.

Nikt się nie poruszył.

Jej myśli zlały się gładko, jakby tworząc ścianę z tarcz. Fakt, który można sprawdzić, staje się przepowiednią, w którą musi się uwierzyć. Wbiła wzrok w Lintlafa, lecz przemówiła do wszystkich czterech mężczyzn:

— Widziałam, jak wokół grotów ich włóczni tańczyły dwa żywoty pod postacią motyli; widziałam motyle tańczące ze śmiercią. Czekwały na śmierć. Widziałam to. — Kątem oka zauważyła, jak jeden z Angłów Wschodnich kiwa głową: widział te motyle.

— Lecz dzisiaj nie zostanie przelana żadna krew, nikt nie straci życia. Ja to mówię. Obaj pójdziecie ze mną.

Skinęła głową emalierowi i Svearowi, a potem odwróciła się i ruszyła przed siebie, jak zrobiłaby to jej matka. Poszli za nią.

— Apostazja, herezja, zło! — syczał po łacinie Fursey, idąc za nimi brzegiem rzeki, a potem kichnął.

Hilda chciała się uśmiechnąć, ale pomyślała o szturchańcu Hereswithy i stłumiła uśmiech. Przypomniało jej to, że chciała siostrze coś podarować.

Fursey nadal prychał jak kot. Spojrzała na Lintlafa, szukając wyjaśnienia. Gesith wzruszył ramionami.

— Poszedł do świątyni w swoim zwykłym pogodnym nastroju — ha! — i wrócił w takim stanie.

Fursey potrzebował dwustu albo nawet więcej kroków, by uspokoić się na tyle, żeby mówić w języku Angłów. Nawet wtedy Hilda niewiele rozumiała.

— Zamilknij — powiedziała. — Dwa ołtarze? Jeden dla Chrystusa, jeden dla naszych bogów? Dlaczego to jest złe?

Fursey znowu wybuchnął, lecz tym razem łacinę przypawił irlandzkim.

— Nie rozumiem — stwierdziła Hilda. — Grozi nam jakieś niebezpieczeństwo?

— Zagrożone są nasze nieśmiertelne dusze! Chrystus powali apostatów! Sprawi...

— Nie jestem apostatą. Prawda? Dobrze. A ty? Może Lintlaf? Nie? A zatem przestań. Odpowiedz mi na pytanie. Czy Anglowie Wschodni walczyli kiedykolwiek ze Svearami?

— Co?

— Anglowie Wschodni. Czy walczyli ze Svearami?

Fursey zaniemówił i odwrócił się. Hilda spojrzała na Lintlafa.

— Nie — powiedział.

— A zatem w jaki sposób Eorpwald albo Rædwald schwytał svearskich niewolników?

— Prawdopodobnie ich kupił — powiedział mimowolnie Fursey.

— Można kupić niewolników?

— Z całą pewnością.

— Coelfrith mówi, że w Gipswīc można kupić wszystko. Dosłownie wszystko. To wielkie wīc Rædwalda. Teraz Eorpwalda. Jak vill, ale to port.

— Jak Woodbridge.

Fursey prychnął.

— Jak Woodbridge tak samo, jak Mulstanton jest jak York.

Hilda poczuła się jak wieśniaczka. Rozzłościło ją to, a od oparów złotniczego warsztatu rozbolała ją głowa.

— Odwiedzimy Gipswīc. Kupimy niewolnika.

Prezent ślubny dla Hereswithy. Praktyczniejszy od złotej broszy. Ktoś, kto będzie pomagał jej siostrze, kiedy ona nie będzie mogła tego robić.

— Przepraszam, pani, ale nie dzisiaj — rzekł Lintlaf. — Burgmod powiedział mi, że masz tu być, kiedy przyjedzie Etelryk Krótkonogi.

Mężczyźni — Yffingowie razem z Wuffingami — już siedzieli na swoich miejscach przy stole, domownicy Eorpwalda właśnie zajmowały swoje miejsca, a przyjezdne kobiety czekały za kotarą oddzielającą ich pomieszczenia od halli. Mildburh zaglądała przez szparę między kotarą a ścianą i na bieżąco opisywała sytuację Hereswicie, Hildzie i Breguswicie.

— A teraz wstaje Etelryk Krótkonogi. Prowadzi królową do jej krzesła. Wspaniale to robi. Teraz wraca na swoje miejsce po prawej ręce Eorpwalda. Nie utyka. — Zachichotała. Bardzo denerwujący chichot, pomyślała Hilda, jak końskie rzenie. Bardzo bolała ją głowa i wszystko ją irytowało. — I obie nogi ma tej samej długości. Wcale nie są krótkie.

Co dziwne, Hereswitha zarumieniła się i spojrzała na matkę.

— A więc Saewara miała rację — rzekła Breguswitha, a Mildburh znowu zachichotała.

Hilda wiedziała, co to znaczy: miało to coś wspólnego z tym, co mężczyzna i kobieta robią po ciemku. Odepchnęła Mildburh, żeby sama mogła popatrzeć.

Włosy Etelryka, gęste i błyszczące jak futro bobra, były pięknie wyczesane i przytrzymane z tyłu złotym pierścieniem z niebieską emalią. Bransolety na jego rękach były wykładane granatami i też zdobione niebieską emalią. Podobnie jak jego brat, Anna, miał ciemne włosy i oczy oraz delikatne kości świadczące, że ich matka miała w rodzinie trochę krwi wealh, chociaż mięśnie widoczne wokół jego nadgarstków i grube ścięgna przy szyi nie miały w sobie nic delikatnego. Jego brązowa pikowana kurta miała lamówki koloru nagietka, a nogawice i buty były o odcień ciemniejsze, dokładnie w kolorze jego oczu.

Hilda spojrzała na włosy Hereswithy, lśniące jak zboże i złoto; na jej czerwoną i pomarańczową suknię wierzchnią; na kremową suknię spodnią z niebieskim, złotym i czerwonym haftem, na kremowy wełniany welon przytrzymany opaską ze złotem i granatami. Nawet gdyby chcieli, jej siostra i Etelryk nie mogliby się lepiej dopasować kolorystycznie. Nawet jego emalia pasowała do jej oczu.

Hilda przyłożyła oko do szpary akurat w chwili, kiedy zajmując miejsce obok swojego męża, Saewara zerknęła znacząco na kotarę.

Oczywiście. Kuzynki. Jej siostra i gemæcce już mają zaczątki siatki pokrewieństwa na tej obcej ziemi. Nie będą zupełnie same.

Królewski scop zagrał akord i zarządca zamaszystym ruchem odsunął kotarę. Odezwały się piszczałki i bębny. Wszyscy wstali. Wydawało się, że kiedy wchodziły do halli, nawet ogień zahuczał głośniej.

Ze wszystkich pogrążonych w cieniu zakątków, na każdej tkaninie i talerzu, na wszystkich rękach, pasach i welonach lśniło złoto. Przy uszach, szyjach i na palcach migotały drogocenne kamienie. Środkiem każdego stołu ciągnął się szereg białych woskowych świec płonących jak gwiazdy w srebrnych lichtarzach. Światło iskrzyło się, strzelało i odbijało się od każdej fałdy i każdego kąta. Raziło Hildę.

Hałas, gorąco i muzyka były obezwładniające. Do halli wniesiono strawę i napitki.

Łabędź na wielkim srebrnym półmisku; jego wyparzone pióra przyklejono z powrotem miodem. Wino jak krew i miód koloru słonecznego blasku. Morze węgorzy

w galarecie. Jesiotr w jeziorze sosu z czarnych jagód. Chleb biały jak perły. I muzyka, muzyka ze wszystkich stron halli i z jej środka, fragmenty tej samej pieśni. Zupełnie jakby się było wewnątrz liry, wewnątrz bębna, wewnątrz piszczałki. Hilda myślała, że pęknie jej głowa.

Królowa Eorpwalda, kobieta o płaskiej twarzy, chodziła z wielkim pucharem od gościa do gościa i ważni mężczyźni z rozmaitych grup krewnych kolejno wstawali, by wznieść toast. Hildzie wydawało się, że Etelryk i jego Lud Północny tworzą oddzielną grupę. Były jeszcze dwie: Eorpwald ze swoimi ludźmi oraz jeszcze jeden tan, Ricberht, ze swoimi podwładnymi, którzy zachowywali się swobodniej w towarzystwie gesithów króla niż gesithów Etelryka. Wyglądał na Wuffinga, lecz widząc pełną napięcia linię jego ramion i agresywne wysunięcie podbródka, Hilda pomyślała, że może pochodzi z jakiejś bocznej gałęzi rodu i łatwo się obraża. Jak Osric? Jej matka by to wiedziała.

Edwin uśmiechał się przy każdym toaście i wciąż pił. Wielki puchar dotarł do Hildy, a potem jeszcze raz. Biały miód. Upiła potężny łyk.

Więcej jedzenia. I znowu wino. Kolejny łyk z pucharu dla gości, i jeszcze jeden. Świat wyglądał tak, jakby patrzyła na niego przez wydrążoną trzcinę. Znowu napiła się białego miodu i poczuła, jakby w jej przelyku wił się ognisty wąż. Wypiła kolejny łyk. Mogła przynajmniej uchwycić się tego pieczenia, bo ból głowy zalewał cały jej świat.

Więcej jedzenia. I znowu wino. Strzelające wysoko płomienie. Przemowy. Pieśni. Recytowanie długich rodowodów. Hereswitha córka Hererica, syna Etelryka Włóczni, syna Ælli, syna Yffiego, syna Wuscfrei, syna Wilgisla, syna Westerfalki, syna Sæfugla, syna Sæbalda, syna Segegeata, syna Swebdæga, syna Sigegara, syna Wædæga, syna Wodena.

Hereswitha, siostra Hildy, pomyślała Hilda. A ona nawet nie ma prezentu.

Goście wstawali kolejno i obiecywali wspaniałe dary. Hilda znowu piła z pucharu dla gości i na powierzchni białego miodu zobaczyła rozedrgane odbicie swojej twarzy, jakby ta twarz wymykała się za morze, odjeżdżała, i wtedy zrozumiała: herezja, apostazja, taniec ze śmiercią. Matka miała rację: Eorpwald jest słaby, nie umie nawet wybrać między bogami. Umrze. Królem zostanie Etelryk. Lecz Hilda wiedziała teraz coś, czego nie dostrzegała jej matka: że Etelryk też upadnie. Był zadowolony z siebie, próżny i nie zniżał się do zdobywania szacunku innych. Hereswitha ucieknie do swojej najbliższej rodziny: do krewnych matki po drugiej stronie morza.

Hilda wstała. Uniosła ręce. Przynosiła światło, szukała wzorów. Miała odpowiedni dar dla Hereswithy, coś, co pomoże jej w przyszłości: prawdę.

Hilda gdzieś leżała i za każdym razem, kiedy otwierała oczy, świat zaczynał wirować. Zamknęła oczy. W ustach miała smak wymiocin.

— Co ją opętało? — To był głos Hereswithy. — Co chciała przez to powiedzieć?

— Nie wiem, dziecko.

To matka.

— Ale dlaczego...

Hilda odplynęła. Kiedy odzyskała świadomość, usłyszała głos Fursey'a.

— Opętało? Ona nie jest opętana.

— Ale...

— Z całym szacunkiem, pani Hereswitho, chociaż król Eorpwald dokonał apostazji, używanie słowa „opętanie” w zasięgu słuchu tych z Rzymu nie jest rozsądne.

— Ale...

— Wracaj do stołu, dziecko — rzekła Breguswitha. — To twoja uczta. Nie pozwól, by dar twojej siostry ci ją zepsuł.

— Dar? Ona przepowiedziała moje...

— Dar — powtórzyła stanowczym tonem Breguswitha. — Twój mąż zostanie królem. Królem zostanie twój syn. Będziesz żyła długo i szczęśliwie... za morzem, z rodziną. Wracaj. Uśmiechaj się do narzeczonego. Powiedz wujowi, że wszystko jest w porządku.

Przez jakiś czas dźwięki świata były przytłumione.

Ktoś uderzył ją w prawy policzek.

— Obudź się, dziecko. — Dłoń za głową, kubek przy ustach. Obrzydliwy zapach.

— Pij.

Hilda poruszyła się słabo, dłoń była jednak nieubłagana. Wypiła.

Mgnienie oka później leżała na boku i gwałtownie wymiotowała.

Znowu dłoń i kubek.

— Pij. — Tym razem to była woda. — Wyplucz usta i wypluj. I otwórz oczy. Słyszysz mnie?

Hilda otworzyła oczy: matka kucała przy jej głowie z matowym cynowym kubkiem w ręce.

— Dobrze. — Breguswitha skinęła głową na służącą, żeby zabrała wiadro z wymiocinami, i znowu przytknęła kubek do ust Hildy. — Pij.

Hilda przełknęła letnią wodę.

— A teraz to.

Jej szklane naczynie.

— Co to jest?

— Coś koniecznego. Pij. Niedużo.

Smakowało jak płonąca ziemia. Hilda poczuła, że jej twarz robi się czerwona.

— Jeszcze.

— Będę wymiotować.

Breguswitha roześmiała się ponuro.

— Nie.

Hilda się napiła.

— Poleżysz, licząc pięć razy do dwudziestu. Następnie wstaniesz, wytrzesz twarz, poprawisz strój i pójdziesz ze mną do halli. Jesteś jasnowidzącą obezwładnioną przez własną wizję, a nie głupiutką dziewczeczką o słabej głowie. Nie będziesz się chować. Nie będziesz zwieszać głowy. Będziesz się uśmiechać. Będziesz jeść. Demonstracyjnie wypijesz wino. Jeszcze jeden łyk. Dobrze. A teraz pobieraj się.

Hilda nie bardzo pamiętała, co było dalej. Drżały jej mięśnie. Było jej gorąco i miała ściśnięty żołądek. Halla pulsowała światłem i żarem. Rzędy bladych twarzy z wpatrzonymi w nią oczyma. Z głębokich cieni lśniło złoto, chociaż teraz było ciemniejsze, bardziej ponure, jak złoto gromadzone przez smoki, potwory i wygnańców...

Etelryk mówił coś do niej o pogrzebie — chciałyby zobaczyć? Uśmiech i zgoda. Uśmiech, łyk, trzymanie fasonu.

Do kurhanu Rædwalda przybyli od strony rzeki o świcie.

Hilda, która znajdowała się w pierwszej łodzi z Eorpwaldem i Edwinem, najpierw go poczuła: stary, zimny zapach głęboko kopanej ziemi, zapach kości. Potem z mgły wyłoniła się skarpa tworząca wschodni brzeg. Na tle horyzontu malował się długi, wysoki, owalny kurhan. Nagi kopiec miał, lekko licząc, dwakroć po dwadzieścia łokci długości, więcej niż wielka halla Edwina w Yeaving. Na obu końcach wznosiły się pozłacane słupy symbolizujące dziobnicę i tylnicę statku, a każdy miał co najmniej sześć łokci wysokości. Rzeźbione oczy, pozłacane i wyłożone szkłem lśniły nieziemskim światłem.

Etelryk Krótkonogi stał na dziobie drugiej łodzi, mając u boku swego najważniejszego gesitha. Oczy płonęły mu jak zjawie. Znał swoje przeznaczenie: przeznaczenie wojownika, króla. Będzie rozdawał pierścienie, będzie bohaterem, a później spocznie w ziemi ze swoim skarbem jak jego wuj, Rædwald. Będzie się o nim śpiewało pieśń na rzece o świcie, w halli wieczorem, na drodze w południe. Będzie pamiętany. Słynny. Tak powiedziała jasnowidząca w obecności wszystkich Angłów w halli.

Trzy łodzie rozcinały cicho czystą wodę, a potem zwolniły. Znalazły się w zastoisku, bo właśnie skończył się przyływ.

Woda uderzała o brzeg. Łodzie się kołysały.

— Mój ojciec, który był królem — odezwał się silnym głosem Eorpwald.

— Rædwald, który był królem — powiedział Edwin.

Hilda i Breguswitha, gesithowie Angłów Północnych i Wschodnich, Etelryk i Hereswitha, a także Anna i Saewara zawtórowali mu cicho:

— Rædwald.

— Król.

— Pan.

Scop pogłaskał swoją lirę, przybrał dramatyczną pozę i, wydobywszy z instrumentu akord, wyrecytował melodyjnie:

Zachowaj, ziemio, skoro twój bohater już nie zdoła,
skarb królów!

Wyrwany z twego mroku,

wydarty z twej głębi

przez ludzi,

co się śmiali,

cięli mieczami,

przechwalali się,

wybijali z niego puchary.

Bohaterowie, co się

nawzajem zabijali

dla chwały,

dla lśnienia,

dla złota królów.

dla Rædwalda, króla.
— Rædwald, król! — powiedzieli chórem.
Teraz nie ma komu
polerować ostrza,
wznosić złotego pucharu.
Odszedł bowiem.
Odszedł.
— Odszedł!
Tak też odchodzi
zbroja łuskowa,
żebra ją noszące.
Tak odchodzi
ten, co ją sporządził.
Tak odchodzi koń
z pastwiska,
słońce z nieba,
morze od brzegu.
Tak odchodzi
statek za horyzont.
Tak też odchodzi.
— Tak też odchodzi!

Tak wszystko odchodzi. Hilda zadrżała. Było jej zimno, mdliło ją i czuła się zatruta do szpiku kości. Miała wrażenie, że ma tłustą skórę i bolały ją zęby.

Edwin, który stał obok niej, poruszył się. Zwierzchni król Rædwald leżał martwy pod warstwą ziemi. Teraz Edwin był zwierzchnim królem. Hilda czuła, że jej wuj nadyma się jak rosnące ciasto na chleb.

Gipswic, wic Rædwalda, było większe od Rendlesham i wibrowało słoną atmosferą portu. Wszędzie pełno było służących króla w jednakowych tunikach i z włóczniami w dłoniach. Wszędzie było pełno monet. Złotych i srebrnych, rzymskich, frankijskich, bizantyjskich. I wszystko było na sprzedaż.

Hilda, Fursey i Lintlaf — który miał straszliwego kaca i martwił się o swoją klacz, którą wraz z jej bogatym rzędem musieli zostawić w królewskim obejściu: „Żadnych odchodów między straganami — powiedzieli strażnicy — nieważne, czy księżniczka czy bohater z mieczem ozdobionym pierścieniami” — nigdy nie widzieli czegoś takiego. Fursey mruczał coś do siebie o zagrożeniach płynących z dumy i zagarniania dla siebie chwały niebios i strofował dwóch mocno zbudowanych wealh, których zarządca Eorpwalda użyczył Hildzie, by nosili za nią jej skrzynki z kawałkami srebra. Lintlaf przybrał minę niebezpiecznego bohatera bez miecza, do której zawsze się uciekał, kiedy czuł się niepewnie. Hilda, początkowo onieśmielona taką liczbą obcych, wkrótce zapomniała o ostrożności i dała się ponieść zachwytowi. Szli wzdłuż nabrzeża — było tam pełno statków, więcej, niż którekolwiek z nich widziało w jednym miejscu, i roilo się od dziwnie ubranych ludzi o najróżniejszych kolorach skóry (jeden był czarny jak wilgotny węgiel) — zatrzymując się tu i ówdzie, by dotknąć towaru z okrzykiem:

„Dotknij tego! Spójrz na to! Powąchaj to!”

Reńskie szkło: puchary, miski i flaszki. Ceramika toczona na kole, barwiona na wszystkie kolory i zdobiona wszelkimi wzorami. Sukno. Wino. Miecze — miecze na sprzedaż — i broje. Biżuteria z klejnotami, jakich Hilda nigdy jeszcze nie widziała, w tym z wielkimi kwadratowymi diamentami szarymi jak listopadowe niebo. Perfumy w maleńkich zamkniętych flakonikach, a obok nich jeszcze mniejsze flakoniki — jeden był wielkości paznokcia Hildy — zapieczętowane woskiem: trucizny. Bryłki kadzidła zawinięte w nawoskowane lniane szmatki ułożone w koszykach wymoszczonych słomą. Drewno ułożone rzędami: dąb i wiąz, topola i brzoza, świeże i sezonowane. Dzbany z brązu. Frankijskie toporki do rzucania. Bryły żelaza i ołowiu. Noże: zbyt wspaniałe, by ich używać, wykładane złotem i macicą perłową albo zwykłe z solidną rękojeścią z wiązu, albo wielkości rekiniego zęba z wymyślnymi pochwami do noszenia na przegubie lub na kostce nogi. Jeden nawet dobrze leżał pod wielką kłamrą pasa — Lintlaf długo przy nim stał. Róg jakiegoś morskiego zwierza, skręcony jak lina. Szkatułki z kości słoniowej. Kasetki z drewna cedrowego i sandałowego, wybite jedwabiem. Sandały z rzemieniami zakończonymi srebrem i niebieskim szkłem. Pasy. Sześciostrunowa lira wykładana drewnem orzechowym i miedzią z futerałem z bobrowego futra. Komplet czterech srebrnych miseczek z Bizancjum z wygrawerowanymi literami, które Fursey, zaglądając Hildzie przez ramię, określił jako greckie. Lecz Hilda ledwie go słyszała: gdzieś jakiś mężczyzna wołał coś z dziwną intonacją, co brzmiało niemal jak angielski. Te specyficznie ukształtowane słowa toczyły się trochę dziwnie, nie jak okrągłe jabłka mowy Angłów, tylko jak gruszki, pomyślała Hilda. Ciężkie na dole, dłuższe na górze.

Odeszła od Furseya, podążając za głosem, który wykrzykiwał wykrzywione słowa, i usiłując je zrozumieć, aż znalazła się w kręgu uczestników aukcji nagiego niewolnika.

— Za dwa szylingi, sprzedany! — krzyknął fryzyjski licytator i pokazał na pulchnego mężczyznę z siwym pasmem we włosach i dość sfatygowaną sakiewką. Potem skinął głową młodzieńcowi, który stał obok „Siwego Pasma”. — Dobry zakup, jeśli wolno mi to powiedzieć, panie.

Młodzieniec miał kurtę w tym samym ciemnoniebieskim kolorze, jaki nosił Eorpwald, i takie same włosy jak Etelryk. Jakiś ætheling. Z której gałęzi rodu? Na pewno brał udział w uczcie trzy dni wcześniej. Hilda jednak nie chciała o niej myśleć.

Fryzyjczyk skinął na niewolnika, krótkowłosego młodzieńca wealh z wielkim sińcem na lewym udzie i rękami zamkniętymi w niewolniczym jarzmie, żeby zszedł z podwyższenia. Jeden z Fryzyjczyków szturchnął następnego, by zajął jego miejsce. Tym razem to była ładna dziewczyna z włosami koloru miodu jak włosy Hereswithy; była też w podobnym wieku.

Hilda poczuła, że płuca nie mieszczą jej się w klatce żeber. Odwróciła się, zmuszając się do oddychania. To nie była Hereswitha. Na pewno nie. Wciąż odwrócona, zobaczyła, jak któryś z Fryzyjczyków otwiera ogromnym kluczem jarzmo sprzedanego wealh i oddaje go zarządcy æthelunga, który następnie wraz z niewolnikiem i dwoma gesithami precyzyjnie przesunął się przez tłum do dwóch mężczyzn siedzących za stołem z dwiema wagami oraz tabliczką do liczenia. Hilda słyszała o czymś takim, ale zarządca i niewolnik zasłonili jej widok.

— To ładna i zdrowa dziewczyna — krzyknął Fryzyjczyk. — Zobaczcie jej wypukłe mięśnie, silne kości. Pokaż zęby, dziewczyno. Zęby. — Odgłos uderzenia różgi w ciało. Hilda odwróciła się z powrotem. Dziewczyna stała z wyszczerzonymi zębami, a na ramieniu miała świeżą czerwoną pręgę. — Bardzo zgrabna. Obróć się do panów, niewolnico. Widzicie te dołeczki? Dadzą wam dużo przyjemności. Dobre biodra do rodzenia dzieci...

— Chude kostki! — zawołał mężczyzna stojący obok Hildy.

— Pokaż cycki, niewolnico. Unieś je. Dadzą dużo mleka. Dużo...

Przez środek placyku przebiegły dwa kwiczące prosięta, gonione przez utykającą i wylewającą z siebie strumień przekleństw starszą kobietę wealh. Tłum wybuchnął śmiechem. Fryzyjczyk też się roześmiał, lecz wygięcie jego ust nie świadczyło o wesołości. Zakłócono mu rytm sprzedaży.

Zaczął od nowa i kiedy zachwalał włosy niewolnicy, mówiąc, że one same mogą rozpalić mężczyznę i sprawić, że będzie sztywny jak włócznia, wróciła kobieta z prosiętami mocno trzymanymi pod pachami. Tłum nagroził ją oklaskami. Licytator machnął na nią ręką, żeby opuściła placyk, ale nie zrobiła tego wystarczająco szybko. Fryzyjczyk skinął głową mężczyźnie z różgą, a ten uderzył kobietę.

Kobieta wrzasnęła i upuściła jedno z prosiąt, które wbiegło w rozbawiony tłum, a ætheling zawołał do Fryzyjczyka:

— Jeśli ją uszkodzisz, to musisz ją kupić. — Wśród tłumu rozległy się okrzyki aprobaty. Ætheling wyszczerzył w uśmiechu zęby i wypiął pierś. — A teraz na dodatek jesteś mi winien za prosię. — Tłum wybuchnął śmiechem; ich książe da nauczkę temu cudzoziemcowi. — Albo dostanę obniżkę na tę niewolnicę.

Fryzyjczykowi drgnęła dłoń — Hilda widziała ten sam ruch u Lilli, kiedy w cudzej halli usłyszał zawołaną obelgę pod adresem swojego króla — lecz się skłonił.

— Panie...

Ælberht machnął ręką.

— Dostarczysz ją do mnie. Za tyle, ile kosztował niewolnik.

— To jest wartościowy inwentarz, panie. — Fryzyjczyk klepnął niewolnicę w pośladki otwartą dłonią. Mężczyzna stojący obok Hildy wypuścił powietrze ustami. — Co najmniej cztery szylingi!

— Nie będę się targował, Fryzyjczyku.

— Ależ panie, prosię kosztuje najwyższej pensa.

— Fryzyjczyku...

— Nie — odezwała się Hilda dźwięcznym głosem.

Wszyscy się odwrócili.

Postąpiła krok do przodu w chwili, kiedy pojawił się Fursey i chciał ją chwycić za suknię, lecz chybił. Mówiła do Fryzyjczyka, ale nie spuszczała wzroku z æthelinga. Teraz wiedziała, dlaczego gesithowie się uśmiechali, kiedy w halli z krzykiem rzucali jedzenie na stół i wstawali.

Miała wrażenie, że kości jej twarzy są lekkie i napięte.

— Trzy szylingi!

Nie wiedziała, ile to jest dokładnie, ale miała dwie skrzynki z kawałkami srebra

i zawsze mogła zdobyć go więcej.

— Ona jest moja — rzekł ætheling i położył dłoń na swoim seaksie.

Hilda położyła dłoń na swoim.

— Nie.

Ludzie westchnęli i cofnęli się. Królewskie dzieci z nożami: to lepsze niż walka kogutów. Ætheling odwrócił się do Hildy.

Hilda spięła się do skoku, tak jak widziała, że robią to gesithowie. Ætheling też przysiadł, odruchowo, tak jak go nauczono.

Fursey przestępował z nogi na nogę.

— Przestań! — wysyczał po irlandzku. — Myśl!

Nie chciała myśleć. Robiło jej się niedobrze od myślenia. Do niczego jej nie doprowadziło. Hereswitha była w wieku tej kobiety wealh i sprzedawał ją Edwin — na ładniejszym targu, to prawda, ale sprzedawał ją jak prosię. Ciana nie było. Onneny nie było. Hereswitha zostawała tu, w obcym kraju. Może zostanie z nią ich matka. Pewnego dnia odejdzie Fursey. Jakie to ma znaczenie?

Wyciągnęła swój nóż.

— Okryje się krwią.

No, powiedziała to. Teraz mógł ich powstrzymać tylko krewniak, bo tylko taka interwencja sprawiłaby, że słowa Hildy nie zostałyby uznane za krzywoprzysięstwo. Koniec z myśleniem. Ruszyła na æthelinga, zataczając koło.

Chłopak dobył noża i cofnął się, także po kole. Hilda przyjrzała się jego broni. Ostrze lśniło oleście jak węgorz. Dobra klinga z dobrym ostrzem. Jej była lepsza i dłuższa. Tak jak jej ręce i nogi. Była wyższa od chłopaka o trzy palce. Chwyciła nóż tak, jak lubili to robić gesithowie, kiedy na poważnie stawali do walki na noże — z ostrzem wzdłuż przedramienia. Poczuli się lekka i wolna. Uśmiechnęła się.

Ætheling potknął się i wtedy Hilda zobaczyła, jak ciemne są jego piegi: był błądy z przerażenia. Był małym chłopcem, który nigdy dotąd nie dobył noża na poważnie, nigdy nie stanął twarzą w twarz z Dál nAriadne na nabrzeżu w Tinamutha, nigdy nie myślał, że jego siostra i matka nie żyją i że jest zupełnie sam. To nie była jego wina.

Prosię wybiegło z tłumu, błyskając krótkimi nóżkami. Hilda poruszyła się swobodnie jak matka zgarniająca z podłogi małe dziecko, które z gaworzeniem pędzi do ognia. Prosię podniesione za tylne nogi kwiknęło, ale szybko zamilkło, bo Hilda poderżnęła mu gardło.

Krew mocno spryskała ubitą ziemię.

Hilda wytarła ostrze o udo. Okryło się świńską krwią. Wystarczy.

Rozejrzała się dookoła po milczących mężczyznach.

— Dwa pensy za twoją świnię — rzekła do æthelinga; to była bardzo dobra cena.

— Trzy szylingi za wealh — powiedziała do Fryzyczyka. Martwe prosię rzuciła Furseyowi. — Zapłać im.

Ruszyła stanowczym krokiem, a tłum rozstał się przed nią w milczeniu.

W ogrodzie Eorpwalda Breguswitha spojrzała na Furseya, potem na poplamioną krwią suknię Hildy, a potem na nagą niewolnicę.

— No cóż. Mam nadzieję, że poradzi sobie z plamami. Ubierz ją w coś. —

Odwróciła się, ale zaraz odwróciła się z powrotem. — Księżu, ze mną.

Kiedy odeszli, Hilda zwróciła się do wealh, która poprawiała żelazną obrożę, usiłując zmniejszyć ból otartej skóry.

— Jak się nazywasz?

— Gwladus.

U-la-dus. Zachodnie imię. Południowo-zachodnie. Dyfneint. Hilda była świadkiem, jak Edwin odmówił prośbie ich wysłannika, biskupa Anaoca, który szukał pomocy przeciwko Gewisse, przeciwko wojnie. Może ta kobieta została wtedy pojmana.

— Kiedy założono ci obrożę?

— Przy ostatnim robieniu cydru.

Mieszkańcy Dyfneintu robili wspaniałą cydr. Podobno to była kraina jabłek.

Gwladus znowu poruszyła obrożę. Wcale nie przypominała Hereswithy. Była starsza od niej o co najmniej dwa lata i o pół dłoni niższa. Oczy miała szarzielone, a po umyciu jej włosy będą jaśniejsze. Całe ciało będzie jaśniejsze. Sutki miała bardziej różowe niż czerwone.

Gwladus zakryła się rękami.

— Pani, czy mogę dostać ubranie? Jak powiedziała królowa.

— Nie jest królową. To moja matka.

G

Gwladus, teraz w prostej szarej sukni i z połówką chleba w dłoni, siedziała w kuchni naprzeciwko małej zabójczynie, która zapytała:

— Co potrafisz?

Gwladus żuła chleb i milczała. Jej główna umiejętność raczej nie wywoła u tej dziewczynki zadowolenia.

— Mogłabym cię odsprzedać temu księżątku.

Gwladus słyszała już gorsze groźby. Odgryzła kolejny kęs i się zastanowiła. To był najlepszy chleb, jaki jadła od niemal roku, a ten Ælberht jest prawdopodobnie za młody, by docenić jej talenty. Najlepiej jej będzie przy tej księżniczce z rzeźniczym seaksem.

Próbowała przypomnieć sobie, co robiła przez pierwszy tydzień w obroży, zanim nauczyła się tych innych rzeczy.

— Przerzucam gnój. — A potem dodała po brytyjsku do siebie: — Gwladus z Dyfneintu przerzucą gnój!

Ku jej przerażeniu księżniczka powiedziała także po brytyjsku:

— W Dyfneincie nie ma gnoju?

Gwladus chciała chlusnąć piwem w tę dumną twarzyczkę, ale księżniczka by ją zabiła jak to prosię.

— A co robi twoja rodzina? — zapytała księżniczka.

— Moja rodzina już nie żyje.

— A więc masz szczęście, że przerzucasz gnój.

To była prawda. Gwladus opuściła ramiona.

Księżniczka skinęła głową w stronę jej obroży.

— Masz podrażnioną szyję.

Po chwili Gwladus odłożyła chleb. Ta mała zabójczynie była jej panią. Na razie.

— Tak, pani.

— Powiedz w kuchni, że masz ją obmyć żywokostem i pokryć gęsim tłuszczem. A potem sprawimy ci lżejszą obrozę.

Drzwi halli Eorpwalda stały otworem, lecz w jej kątach zalegał mrok. Nie płonęło drewno, pochodnie ani świece, które wydobywałyby z ciemności błyski złota i drogich kamieni. Na ławie naprzeciwko drzwi siedział Edwin z Lillą, Osrikiem i Coelfrithem. Grali w kości i sączyli piwo, ale za każdym razem, kiedy jakaś przechodząca osoba rzucała cień na próg halli, Edwin podnosił głowę.

Hilda siedziała cicho z matką w kącie między ścianą i drzwiami, gdzie wchodzący mógł nie spojrzeć. Służby nie było.

Breguswitha skinęła głową i Hilda obróciła jedną z wiązowych tabliczek. Wzór winorośli, tworzony przez czerwień zachodzącego słońca i złoto, był ledwie widoczny w mroku, lecz matka zapewniła Hildę, że mężczyźni nawet nie będą się zastanawiać nad ich obecnością. Słuchaj i nie ściągaj na siebie uwagi. „Zamknięta buzia, bystry umysł”.

Hilda słuchała stłumionego klekotu rogowych kości w skórzanym kubku, ostrzejszego ich stukotu, kiedy wysypały się na stół, pełnego niezadowolenia mruknięcia Osrica, a potem uderzeń kości o siebie, kiedy zbierał je do kubka. Był niepodobny do jej wuja. Osric bardziej przypominał borsuka: miał grube, rozczapierzone palce, pochyłe ramiona, czarne włosy i ostre zęby. Nienawidziła go. Nienawidziła go za błoto i krew Tinamutha. Miała nadzieję, że pewnego dnia wuj wykurzy go z jego nory i rozciągnie między palikami jako ostrzeżenie dla wszystkich mu podobnych.

Do halli wszedł mężczyzna w księżym stroju. Breguswitha skinęła głową. Hilda obróciła tabliczkę. Breguswitha przełożyła czółenko przez osnowę, przybiła watek, skinęła głową. Hilda obróciła następną tabliczkę.

Ksiądz zatrzymał się przed ławą Edwina i pochylił głowę. Ogolony na czubku: Rzymianin. Edwin spojrzał na niego ponad krawędzią pucharu, a Lilla zachęcił go gestem, by się zbliżył. Ksiądz uniósł ręce. Lilla wprawnym ruchem przesunął dłonie po przedramionach i żebrach księdza, wokół jego pasa, wzdłuż ud i łydek. Ksiądz był najwyraźniej do tego przyzwyczajony — odwrócił się bez polecenia, by Lilla mógł go pomacać między łopatkami. Miał najczarniejsze włosy, jakie Hilda widziała w życiu, i ciemny cień na szczęce.

Spuściła wzrok na tkaninę i nie podnosiła go, dopóki ksiądz nie odwrócił się z powrotem.

Edwin odstawił puchar.

— Masz dla mnie wiadomość?

— Tak, panie.

Jucki akcent. Kent.

— Długą?

— Nie, panie.

— A zatem wyduś ją z siebie.

Hilda pochyliła się do przodu, lecz Breguswitha zmarszczyła brwi i Hilda odchyliła się z powrotem, napinając tkaninę. Obróciła tabliczkę.

— Ojciec Paulin prosi króla Edwina, by pamiętał swój sen.

Paulin. Zarządca biskupa Rzymu?

— Ach tak. Doprawdy.

Mężczyźni siedzący przy stole nawet na siebie nie zerknęli. Najwyraźniej wiedzieli, co to za sen.

— A czy król Eadbald także prosi mnie, bym pamiętał?

Ksiądz się zawahał.

— Moja wiadomość pochodzi od ojca Paulina.

Teraz Edwin wymienił ze swoimi tanami szybkie spojrzenia i odchylił się do tyłu.

— Nieładnie, że tak każemy ci stać i nie częstujemy napitkiem. Usiądź.

Breguswitha podniosła się, złożyła robótkę na kolanach Hildy i pochyliła się po dzban wina i pięć pucharów stojących za nią na podłodze.

Hilda zajęła się zwijaniem tkaniny, a jej matka podeszła z wdziękiem kolejno do króla, tanów i księdza i z uśmiechem naląła im wino. Wciąż przyciągała męskie spojrzenia.

Kiedy skończyła, usiadła na końcu ławy z dzbanem wina w dłoniach, sprawiając wrażenie, że myśli tylko o tym, jak najlepiej i najszybciej obsłużyć pijących.

— A więc od Paulina — podjął wątek Edwin. — A co z Mellitem?

— Arcybiskup Mellit odszedł do Chrystusa trzy miesiące temu. Naszym ojcem jest teraz arcybiskup Justus.

— Justus? Nie pamiętam go.

— Jest mądrym i świętym sędzią, panie.

— Oczywiście. A czy on, jak Paulin Wrona, uważa, że czas przypomnieć mi o moim śnie?

— Nie znam myśli arcybiskupa, panie.

Ksiądz się napił. Hilda usłyszała, jak przełknął.

— Jeszcze trochę? — Odezwała się Breguswitha z bardzo silnym juckim akcentem. — To z najlepszych frankijskich winogron. — Uśmiechnęła się. Ksiądz uśmiechnął się szeroko do rodaczki. — Chociaż może przywykłeś do czegoś takiego, skoro spędzasz czas z arcybiskupem na dworze Eadbalda.

— O, nie — odparł ksiądz. — Ojciec Paulin nie podróżuje u boku arcybiskupa.

— Mogę się założyć, że bardzo by tego chciał — powiedział Osric.

Ksiądz odstawił puchar.

Breguswitha uśmiechnęła się do Osrica, lecz Hilda poznała po linii jej ramion, że zirytowała ją jego niezręczność. Hildzie nie podobał się uśmiech Osrica, jakim jej odpowiedział.

Edwin też się uśmiechnął, lecz jego uśmiech nie miał nikogo zwieść.

— Wybacz naszemu kuzynowi, księżo. Jak ci na imię?

— Szczepan, panie. Czarny Szczepan.

— A zatem wypij, Szczepanie, a potem posłuchajmy, co jeszcze ma do powiedzenia ojciec Paulin.

Hilda leżała na plecach w sadzie gruszkowym z rękami pod głową i patrzyła, jak na podmuchu powietrza, który na równinach zamieszkiwanych przez Anglów Wschodnich uchodził za wiatr, drżą liście. Skąd się bierze wiatr? Z wielkiej jaskini daleko

na północy, powiedziała jej matka, gdzie wszystko jest białe, nawet niedźwiedzie. Z królestwa Arawna, powiedziała Onnena, poruszany kopytami koni i łapami psów Helu, polujących wysoko na niebie. Zwłaszcza na jesieni, kiedy brązowiały i zaczynały opadać liście. Te liście były wciąż zielone, ale wkrótce pożółkną.

W Goodmanham pewnie są już żniwa. Coifi na pewno urządził skromne święto Wodena w na wpół zbudowanym świętym obejściu. Nie było sensu zadawać sobie wiele trudu przy oddawaniu czci bogu Yffingów, skoro nie było tam żadnego Yffinga. Kiedy jednak Edwin tam wróci, będzie zwierzchnim królem. W przyszłym roku święto będzie obchodzone uroczyście i z wielką pompą. Lecz Hereswithy tam nie będzie. Hereswithy już nigdy tam nie będzie.

Hilda przestała o tym myśleć i zaczęła się zastanawiać, jak wygląda jesień w dworze Mulstana. Czy Cian i Begu się nie kłóca? Czy Cædmon nadal pasie swoje krowy na urwiskach nad zatoką? Wydawało jej się, że od czasu, kiedy bawiła się w kuchennym ogrodzie, piła bulion Guenmony i stała na plaży z rozgniewaną Onnena, minęły całe wieki.

To sprawiło, że poczuła się samotna jak nigdy przedtem.

Wróciła więc do tego, co właśnie usłyszała w halli Eorpwalda. Paulin zmawiał się z Edwinem za plecami głównego biskupa. Edwin nie lubił Paulina. Osric jest głupi, ale Breguswitha uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił jej uśmiech. Miecz i suknia, książka i klinga. Hilda nie rozumiała tego wzoru. Żałowała, że grusze nie są dość wysokie, by się na nie wspiąć.

Gwladus otworzyła wiklinową bramkę, napierając na nią biodrem. Miała ze sobą kosz. Hilda usiadła i poprawiła suknię.

— Chyba będę musiała ją wyprać — powiedziała niewolnica po brytyjsku.

— Mów po angielsku, Gwladus.

— Jest cała brudna.

Postawiła kosz na trawie. Było w niej mięso zapiekane w cieście i dzbanek piwa.

— Zrobi to któraś wealh z vill.

Nad drzewami przeleciało stado młodych jaskółek, które rozlokowały się z trajkotem na krokwiach wielkiej halli. Dokąd odlatywały na zimę? Czy leciały na południe do krainy wiecznego słońca, czy spały jak wiewiórki w jakiejś przytulnej norce? Może siedziały rzędami pod dachem halli.

— Czy twoja mama upuściła cię po urodzeniu na głowę?

Hilda zamrugała i położyła dłoń na nożu.

— No właśnie. Grozisz nożem własnej kobiecie. Nikt tego nie robi. Jeżeli jesteś niezadowolona, każ mnie wychłostać.

Hilda zmarszczyła brwi.

— Chcesz, żebym cię wychłostała?

— Nie!

Gwladus odchyliła się do tyłu i założyła ręce na piersi.

Może wszyscy wealh uczą się tak zakładać ręce.

Gwladus opuściła ręce.

— No więc?

— No więc co?

— Powiem ci coś.

Hilda skinęła głową. Zapiekanka dobrze pachniała. Gołąb?

— No więc tak. Wealh z vill nie wypierze twojej sukni, ponieważ to jest twoja suknia, a teraz ja się zajmuję twoim ciałem. Ja to zrobię. Nikt inny.

Hilda zastanowiła się i po chwili skinęła głową. Sięgnęła po zapiekankę. Gwladus się nie poruszyła.

Hilda westchnęła i cofnęła rękę.

— Tak?

— Jeżeli nie chciałaś mnie dla swojej osoby, to po co mnie kupiłaś?

„Bo niewolnica nie może ode mnie odejść”. Nie mogła jednak tego powiedzieć.

— A więc sama ci powiem, dobrze? Jesteś jasnowidząca. Kobieta jasnowidzącej dba o to, by jasnowidząca ubierała się w czyste ubranie, jadła dobre jedzenie i miała przyzwoite łóżko. Dbą o to, by jasnowidząca dostawała biały miód, porcję jak bohater i miejsce na ławie przy ogniu, jak sam król. To się jasnowidzącej należy. A czy ty wiesz, jak kobieta jasnowidzącej o to dba?

Hilda pokręciła głową, patrząc na zapiekankę.

— Ludzie widzą, że jasnowidząca się nią opiekuje i ją chroni. Ma szacunek. Ma dobre własne ubrania, dobre jedzenie i... i bransoletę! I ładne buty. I ciepły płaszcz, i własne posłanie. I służba będzie widzieć, jak jest ceniona przez jasnowidzącą, że obrażenie jej to obrażenie samej jasnowidzącej, że trzeba jej ulegać, kiedy prosi piekarza o pierwszy gorący biały bochenek, a kucharkę o pierwszą zapiekankę z zająca. I ma ona, tak, ma w sakiewce pensy!

— Pensy?

— Ale tylko kilka. Na wypadek, gdyby jakiś gość miał wieści. Żeby jasnowidząca zawsze otrzymywała wieści pierwsza, bo zaskoczona jasnowidząca to bardzo żałosna jasnowidząca.

Hilda nigdy tak o tym nie myślała.

Gwladus zarumieniła się.

— To nie muszą być pensy. To mogą być jakieś drobiazgi, bezwartościowe przedmioty.

— Jaką wartość ma bezwartościowy przedmiot?

Rumieniec Gwladus rozlał się szerzej. Był blady, zupełnie niepodobny do ciemnoczerwonego, gwałtownego rumieńca Hereswithy. Hilda nie mogła zrozumieć, dlaczego uznała je za podobne do siebie.

— Nie chciałam powiedzieć, że jesteś żalosną jasnowidzącą, że musisz kupować swoje wizje. Niewątpliwie jesteś dobrą jasnowidzącą, wielką jasnowidzącą. Niewątpliwie masz najostrzejsze spojrzenie od czasu, od czasu...

Gwladus się zawahała.

Hilda wstała. Była wyższa od niewolnicy.

— Pensy, powiedziałaś. Rozumiesz, co to są monety?

Gwladus skinęła głową.

— Tak, pani.

— Nauczysz mnie. A potem wrócimy do wīc.

Chciała zobaczyć tę tabliczkę do liczenia.

— I nie każesz mnie wychłostać?

Hilda dotknęła noża.

— Kobiety jasnowidzącej się nie chłoszcze. Kobieta jasnowidzącej traci nos, dłoń albo życie.

Kara taka sama jak w wypadku osobistego służącego króla albo głównego kapłana.

Zmierzyła się na seaksy z æthelingiem. Rozumiała, dlaczego król często grozi przemocą. To przyprawia o dobry humor i odnosi skutek.

G

Na targ wyprawili się wszyscy: Fursey, Hilda, Lintlaf, dwaj tragarze srebra i Gwladus.

— Czy to celowe? — zapytał Fursey. Mijali konno pole jęczmienia, którego kłosa przybierały kolor sezonowanego dębu. Chwasty wybijały się jaskrawą zielenią. — Dziecko?

— He?

Pokazał na niebieską suknię Hildy z ledwie widocznym ciemniejszym zaciekiem, zebraną z jednej strony węzłem pod paskiem.

— Czy to celowe? Przypomnienie dla sprzedawców, że należy dać ci to, co chcesz i za swoją cenę, bo wyciągniesz ten swój rzeźniczy nóż?

— Zaproponowała to Gwladus.

— Naprawdę? — Obrócił się w siodle, by spojrzeć na wealh, która siedziała w siodle bokiem przed Lintlafem, zanosząc się od śmiechu. W drogę wyruszyła piechotą, z pozostałymi wealh. — Jest przebiegła. — Odwrócił się z powrotem. — Jakież to inne perły mądrości upuściła do twoich chętnych uszu?

Hilda wzruszyła ramionami.

— Nadal nie wiem, co cię opętało, żeby kupić taką lisicę.

— Chciałam mieć kogoś na własność.

Kogoś, kto musiał stawiać ją na pierwszym miejscu.

Fursey zgodził się, zaskakując ją.

— Zaiste. Uważaj jednak. Ona jest ładna jak zaskroniec, ale o wiele bardziej niebezpieczna. Zobacz, jak już oczarowała tego prostaka. Co prawda trzeba przyznać, że nie ma on więcej rozumu od cielęcia.

— Ona mówi, że po urodzeniu zostałam upuszczona na głowę.

Fursey wybuchnął śmiechem, za nimi Gwladus śmiała się w głos i wjechali do wīc w wesołych nastrojach.

Na tabliczce do liczenia były wyżłobione pionowe linie — osiem długich pod ośmioma krótkimi. Wyżłobienia wypełniała żółta emalia. W długich rowkach znajdowały się po cztery niebieskie koraliki, a w krótszych po jednym czerwonym. Licząc i dodając monety dla kupca, fryzyjski właściciel kantoru przesuwiał koraliki w górę i w dół, ale robił to tak szybko, że Hilda nie nadążała ze śledzeniem jego ruchów.

Potem nadeszła ich kolej. Jedna ze skrzynek Hildy z kawałkami srebra została opróżniona, a jej zawartość wprawnie zważona pod okiem Franka z toporem; ilekroć się

poruszył, żeby wytrzeć łzawiące lewe oko, Lintlaf się wzdrygał. Właściciel kantoru zapytał Hildę, jakie monety życzy sobie otrzymać, ile złotych i ile srebrnych.

Zważyła złotą monetę w lewej ręce. Miała taki sam obwód jak czereśnia, ale była ciężka jak śliwka. Dobre żółte złoto z wizerunkiem frankijskiego króla z jednej strony i bezsensownym napisem z drugiej.

— Gdybym wzięła wszystko w złocie, ile by ich było?

Jeszcze raz zważyła w dłoni przyjemnie ciężką monetę i położyła ją na stole.

— Na wagę srebra jest piętnaście i pół funta. To by było — stuk, stuk, stuk — pięć razy po dwadzieścia i osiem złotych szylingów i trzy srebrne pensy.

Obróciła w palcach jeden z malutkich pensów, nie większy w przekroju niż wierzbowa gałązka.

— A gdybym zamieniła połowę na szylingi, a połowę na pensy?

Stuk, stuk.

— Pięćdziesiąt cztery złote szylingi i osiemdziesiąt sześć razy po dwadzieścia i osiem pensów. Minus osiem za moje usługi.

— Trzy — powiedział Fursey.

Hilda wzięła do ręki inną złotą monetę, mniejszą, wielkości srebrnego pensa, lecz cięższą. Frank otarł sobie oko. Lintlaf się wzdrygnął. Blask złota przywodzący jej na myśl płynny miód albo pasternak usmażony na maśle sprawił, że zapragnęła włożyć monetę do ust; niechętnie odłożyła ją na stół. Fursey i Fryzyjczyk targowali się przez chwilę i uzgodnili opłatę w wysokości pięciu pensów z obietnicą ponownego skorzystania z usług kantoru, gdyby chcieli spieniężyć drugą skrzynkę. Hilda była oszołomiona. Dziesiątki, setki monet. A to była tylko jedna skrzynka.

Monety stanowiły moc same w sobie. Nie potrzebowały wuja króla, matki, która niemal była królową, ani siły spojrzenia jasnowidzącej. Hilda mogła zaproponować złotego szylinga albo srebrnego pensa w każdym miejscu wic i wszyscy rozumieliby ich wartość. I nie byłoby żadnego ważenia kawałków srebra czy złotego pierścienia, żadnego targowania się i narzekania na złe wykonanie, tylko waga tych frankijskich, rzymskich i bizantyjskich monet.

Wzięła dwie trzecie w złotych szylingach i jedną trzecią w srebrnych pensach. Właściciel kantoru odliczył monety do małych zamszowych sakiewek z wytłoczonym jego znakiem. Fursey ułożył je w tłuściutkich szeregach na dnie skrzynki. Dwaj tragarze i Gwladus obserwowali wszystko jak urzeczeni. Lintlaf obserwował Franka. Fursey obserwował Hildę. Kazała mu odłożyć mniejszą sakiewkę z czterema szylingami i jedną sakiewkę z pensami, a potem poleciła, żeby sam je niósł. Wybierali się na zakupy.

Stanowili dziwny widok. Wieści szybko się rozeszły. Rozpoznano Hildę: wysoka panna z niezgłębionym spojrzeniem, bardzo dużym nożem i śladami krwi na sukni. Pamiętano jednak, że zapłaciła za tę świnię, i to dobrze. Wołali do niej wszyscy straganiarze, których stoiska mijala, i wysyłali za nią biegiem chłopców z kawałkami materiałów, szklanymi buteleczkami albo koszem miodowych ciastek.

Hilda kupowała i kupowała, aż wealh zaczęli się uginać pod ciężarem sprawunków i nawet Fursey niósł worek z drobnymi przedmiotami. Lintlaf miał wolne ręce, żeby móc chwycić za miecz, chociaż Fursey zauważył, że nie na wiele mu się to zda, jeśli nie

przestanie się skupiać na rozkołysanych biodrach Gwladus. Sama Gwladus niosła trzy bele cienko tkanego, lecz prostego materiału z Kent w kolorach jabłek: zielonym, rdzawym i złocistym, buty dla siebie i najcenniejszą ze wszystkiego cienką srebrną bransoletkę z czerwonym szkiełkiem.

Jeden przedsiębiorczy straganiarz wysłał za nimi dwóch chłopców z piszczałkami, żeby grali skoczne melodie, dopóki nie przyjdą obejrzeć jego towaru. Hilda pamiętała ten stragan: zielone sukno na stole i przemyślne schodki pod spodem, eksponujące kaskadę luksusowych drobiazgów. Zatrzymała się przed rządkiem pasujących do siebie czerwonych buteleczek z połączanymi korkami. Straganiarz zachęcił ją, by powąchała olejki: różany, mirrowy i sandałowy. Kupiła je dla Hereswithy, żeby przypominały jej siostrę, kiedy wyjedzie z Etelrykiem, by zamieszkać z nim wśród Ludu Północnego. Mniej cenne olejki — rozmarynowy, szałwiowy i lawendowy — dla Mildburh, Ædilgithy i Folcwiny. Następnie zobaczyła inkrustowany złotem grzebień z kości słoniowej z wyrzeźbioną kozą i pomyślała o Begu, która z rozwianymi włosami wspinała się na wzgórze jak koza. Może go wysłać. Może. Pismo i moneta. Może wysłać wiadomość i podarek do każdego, dokądkolwiek. Może obserwować i tkać wzór świata. A żeby zdobywać prezenty, które mogłaby zamieniać na monety, wystarczy, że będzie widzieć wyraźnie, będzie widzieć pierwsza.

Furseyowi zostawiła negocjowanie cen, a sama oglądała pozostałe przedmioty wyłożone na zielonym suknie. Srebrne lustro z rączką z kości słoniowej wypolerowane z jednej strony i grawerowane z drugiej dla Onnety. Gwladus zaproponowała dołączenie do niego szkatułki z maściami „na wypadek, gdyby dama się starzała i jej twarz się zmieniała”.

Teraz potrzebowała czegoś dla Ciana.

Przeszli do straganu z bronią. Wzrok Lintlafa przyciągnął niewielki nóż z głowicą z niebieskiego szkła i niebieską pochwą przymocowywaną do przedramienia.

— Przymierz — powiedziała Hilda, a kiedy Lintlaf posłuchał, rozpromienił się i napiął mięśnie, żeby sprawdzić, czy pochwa dobrze leży, nakazała gestem Furseyowi, żeby zapłacił. Panem Lintlafa i odbiorcą jego przysięgi był Edwin, tylko on mógł rozdawać miecze i pierścienie do rękoności, lecz ten nóż był bardziej ozdobą niż narzędziem śmierci używanym na rozkaz pana. Można było go podarować Lintlafowi.

— Ostatnim razem był taki przemyślny nóż w klamrze — rzekła do straganiarza.

— Ten, pani?

Mężczyzna uniósł ciężką połączaną klamrę z brązu, lecz, być może mając w pamięci ostatni występ Hildy na targu z nożem, nie wypuszczał jej z ręki.

— Pokaż.

Straganiarz włożył dwa palce do uchwytów w formie pętli, pociągnął je i zademonstrował groźne trzyczalowe ostrze.

Hilda i Gwladus usłyszały krzyki Hereswithy, kiedy znalazły się w połowie schodów prowadzących do pomieszczeń dla kobiet. Wymieniły spojrzenia, starannie chroniąc przed mżawką dźwigane ciężary. Hilda wzruszyła ramionami; nie mogły tak stać na dworze. Weszły do środka.

Służące — cztery kobiety napięte jak struny — nie podniosły wzroku, ale Mildburh

i Hereswitha się odwróciły. Mildburh miała czerwoną, zmartwioną twarz. Twarz Hereswithy była zimna i blada.

— I jakież to niemiłe wiadomości przynosisz tym razem? — zapytała Hereswitha. — Mam umrzeć straszliwą śmiercią przy porodzie?

Hilda nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Och, nie stój tak jak posąg. Wejdz i nie moknij. Powiedz mi, jakie okropne wiadomości ma teraz mama?

— Przyniosłam ci to — rzekła Hilda i wyciągnęła w stronę siostry paczuszkę zawiniętą w jedwab.

Hereswitha wzięła ją, zaczęła rozwijać i wybuchnęła płaczem.

— Ale nawet nie wiesz, co to jest — powiedziała Hilda. Ku jej konsternacji Hereswitha objęła ją i rozszłochała się jeszcze bardziej. — Co się stało? Jesteś chora? O co chodzi? — Skinęła ręką na Gwladus. — Masz, przyniosłam ci też maślanekę. Świeżo z mlecza, jest jeszcze chłodna. Proszę. — Włożyła siostrze kubek w wolną dłoń. Nie wiedziała, co może jeszcze zrobić. — I letnie piwo dla Mildburh.

Takie piwo z letnich miesięcy Mildburh lubiła najbardziej. „Zawsze interesuj się tym, co lubią — mówiła matka. — Będą cię za to kochać”.

Wtedy rozpląkała się także Mildburh.

— Przestańcie, proszę was. Proszę. — Hilda usiadła na łóżku i delikatnie pociągnęła Hereswithę za rękę. — Usiądź. Co się stało?

Hereswitha nie chciała usiąść, ale Mildburh posłuchała. W dłoniach ścisnęła kubek z piwem.

Hereswitha cisnęła kubkiem z maślaneką w wiszącą na ścianie tkaninę z wyobrażeniem polowania na jelenie. Płyn zaczął z niej powoli skapywać.

— Mam poślubić Etelryka i pojechać z nim na to śmierdzące mokradło, które nazywa domem. — Kap. — Gdzie ma już kobietę. — Kap. — Nie przepowiedziałas tego, prawda, mała jasnowidząca? To jakaś księżniczka z południowego Gyrwe. Kobieta i dwoje dzieci.

Kap. Kap. Kap.

Breguswitha zamknęła dłoń na wisiorze, który miała na szyi, uśmiechnęła się i powiedziała do Hildy:

— To nie jest mokradło. Nie cały obszar. I to oczywiste, że on ma jakąś kobietę, jest przecież mężczyzną, prawda? Przysiągł oddać tę ladacznice, przysiągł mnie oraz Edwinowi, swojemu zwierzchniemu królowi.

Hilda zadała sobie pytanie, ile to znaczy. Bez względu na to, co powie król, mężczyzna jest panem swojej halli. A przysięgę Edwinowi złożył jako brat Eorpwalda, Etelryk, ætheling Ludu Południowego, a nie jako Ecgric, władca Ludu Północnego. Książę Ecgric — oraz sprzymierzeniec południowego Gyrwe i wschodniego Wixna.

— Poza tym ta kobieta z Gyrwe dała mu tylko córki. Jemu bardziej jest potrzebny dziedzic niż tkaczka pokoju. Jeden syn, a nawet nadzieja na syna od twojej siostry i tamta kobieta pójdzie w zapomnienie. A Hereswitha będzie miała ze sobą Ædiligithę i Folcwinę, i sześciu gesithów. Nie będzie sama.

Breguswitha wypuściła wisior z dłoni: był to największy granat, jaki dotąd widziała

Hilda, oszlifowany w kształt muszli i otoczony płytkami tego samego kamienia. Wykonanie dorównywało jakością dziełom Sveara, lecz miało inny styl. Kentyjski.

Breguswitha się uśmiechnęła.

— Tak. Dowód wdzięczności. Edwin się żeni. Z Etelburgą. — To siostra króla Eadbalda z Kentu, daleka kuzynka Breguswithy. Kuzynka Hildy. — Przybędzie na północ następnego lata. Z księdzem Paulinem.

G

W przeddzień wyjazdu w pokojach Hereswithy Hilda uśmiechnęła się do Mildburh.

— Kuchnia zachowała resztkę letniego piwa. Zakazałam im wydawać je komukolwiek innemu oprócz ciebie.

— Ale ja...

— Poprosiłam też, żeby zrobili ciasteczka z lukrem. Z płynnym miodem i frankijskimi migdałami.

Załatwiła to Gwladus. Powiedziała, że kosztowało to dwa pensy. Hereswitha popatrzyła na Hildę, a potem zwróciła się do swojej gemæcce.

— Lubię ciasteczka z lukrem, Mil.

Kiedy znalazły się same, Hilda rozejrzała się po pokoju. Tkanina z polowaniem na jelenie zniknęła. Na pewno starannie ją czyszczono. Miała nadzieję, że Hereswitha nie jest w nastroju do ciskania przedmiotami.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Siostra, której ostry szept i szturchańce stanowiły jej najwcześniejsze wspomnienia. Jej siostra.

Wzięła ją za rękę. Dłoń Hereswithy była twarda od pierścieni i mniejsza od jej dłoni.

— Może naprawdę okaże się, że jesteś olbrzymką — rzekła Hereswitha lekkim tonem, lecz usta jej drżały i Hilda wiedziała, co ona myśli: nie zobaczę tego, bo mnie tu nie będzie.

— To twoja wyrd — powiedziała Hilda. — Będziesz królową. Urodzisz dzieci. — W bólu, krwi i pocie. — Przyjadę i je zobaczę.

Lecz jej głos brzmiał fałszywie i żadna z nich tak naprawdę w to nie wierzyła. Wyrd nigdy nie toczy się zgodnie z oczekiwaniami. Hereswitha mogłaby umrzeć w połogu, a Hilda dowiedziałaby się o tym dopiero wtedy, gdy Etelrykowi albo Eorpwaldowi przyszłoby do głowy wysłać posłańca. Nawet wtedy byłaby to wiadomość od króla dla króla: „Tkaczka pokoju zmarła, co proponujesz?”

— Naucz się czytać — rzekła Hilda.

— Czytać? Nie...

— Proszę cię. — Powinna była pomyśleć o tym wcześniej. Ale nigdy wcześniej nie rozstawiała się z siostrą. — Musisz. Znajdź księdza, który cię nauczy. Udawaj, że interesuje cię ich bóg.

— Jaki...

— Ten Chrystus. Proszę cię. Naucz się czytać. Dla mnie.

— Czy to naprawdę jest dla ciebie tak ważne? — Hereswitha miała niebieskie oczy. Po siostrzanemu niebieskie. — Zawsze będę twoją siostrą. Przybędę na twoje wezwanie.

Przysięgam. Proszę cię.

Hilda spostrzegła, że dłoń Hereswithy posiniała od siły jej uścisku.

Hereswitha pociągnęła Hildę za włosy, tak jak to robiła, kiedy były małe, lecz o wiele delikatniej.

— Nauczę się czytać. Ale musisz coś dla mnie zrobić.

Hilda skinęła głową, przełknęła ślinę, zobaczyła, że znowu za mocno zaciska dłoń, spróbowała ją rozluźnić, ale nie zdołała tego zrobić. Dłoń jej siostry...

— Znajdź ludzi. Ludzi, o których wiesz, że są po twojej stronie. Nie tego księdza. Nie jakiegoś niewolnika. Królowie umierają, nawet zwierzchni królowie. Zwłaszcza zwierzchni królowie. Więc znajdź ludzi.

Hilda znowu skinęła głową. Jej łzy kapały na złączone dłonie. Hereswitha je wytarła tak szybko, jak wytarłaby nos dziecku. A Hilda nie potrafiła tego znieść, nie umiała wyobrazić sobie reszty swojego życia bez siostry u boku.

— Będzie dobrze — powiedziała Hereswitha. — Z tobą i ze mną. Jestem starsza i tak mówię. A w twoje urodziny i w moje wzniesiemy toast za siebie nawzajem i pewnego dnia znowu weźmiemy się za rękę.

G

Zobaczyły się następnego ranka, lecz chociaż padło wiele słów, Hilda ich nie pamiętała, bo to były słowa rytualne, przeznaczone dla ludzi: surowa pani Ludu Północnego życzy dobrej podróży i pięknej pogody swojemu wujowi, zwierzchniemu królowi, swojej siostrze, jasnowidzącej króla i swojej matce. Wszystkie trzy kobiety zachowywały się uprzejmie, lecz wyniośle, odgrywając pomniejsze role w królewskiej pantomimie, jaką było wspaniałe pożegnanie Eorpwalda i Edwina, okraszone przyrzeczeniami sojuszu między królem i zwierzchnim królem.

Kiedy odjeżdżali, nikt nie mrugał, wszyscy się uśmiechali. Lecz Hilda już sobie wyobrażała toast, jaki wzniesie za Hereswithę w swoje urodziny w następnym miesiącu i prostą wiadomość, którą wyśle siostrze w jej urodziny w Ćestremonath.

Kiedy już wyobraziła sobie każdą kropkę atramentu i każde zagięcie pergaminu, zaczęła układać wiadomości dla Ciana, Begu i Onneny.

Rozdział 9



Pewnego dnia w Ćstremonath Hilda stała w wejściu do halli kobiet w Yeaveringu i patrzyła w przedpołudniowe słońce. Uniosła kubek pachnącej trawą maślanki i wypłała za pomyślność Hereswithy. Przez chwilę czuła ciepło słońca na plecach siostry, która, obrócona ku północnemu zachodowi, wznosiła kubek miodu za jej pomyślność. Nie wysłała jednak żadnej wiadomości. Oprócz Furseya nie miała nikogo, komu mogłaby powierzyć wypowiedziane słowa, a Anglia Wschodnia leżała za daleko.

Mogła go jednak wysłać do Zatoki Wici. I kiedy wiosna przeszła w lato i podróżowanie stało się łatwiejsze, tak uczyniła.

A teraz wrócili do Goodmanham i znowu zbliżał się Weodmonath. Za miesiąc powinien wrócić Fursey. Jagnięta pasące się na nierównym północnym pastwisku były prawie tak krzepkie jak ich ostrzyżone matki. W dolinie i na południowych stokach kłosa jęczmienia ciężkie od nasion pochylały się ku spalonej słońcem ziemi; chwasty odcinały się od ciemnozłotego zboża ostrą zielenią. Dzieci na zmianę hałasowały patykami, by odpędzić wrony. Te krakały i wzbijały się w powietrze jak czarny dym, a potem siadały na sąsiednim polu i patrzyły czarnymi oczami albo razem z kawkami mieszkającymi wśród wiązków urządzały powietrzne pokazy. Kiedy nadchodził æfen, urwisy straszły się nawzajem opowieściami o duchach wron, o olbrzymich wronach i o wronach, które kradną oddech, a podwładni Coelgara szarpali się ze złości za brody, bo ptaki spokojnie wracały na pole dojrzewającego zboża i jadły do syta.

Tydzień przed żniwami dzieci wyszły na pola z szerokimi koszami, żeby wyrwać chwasty, którymi karmiono kozy. Jak co roku o tej porze mleko zaczęło dziwnie smakować.

Ten smak potęgował niepokój Hildy. Wchodziła na swój ulubiony jesion, ale widziała tylko obrazy rodzącej Hereswithy, wołającej siostrę.

Chodziła po lesie, zastanawiając się, czy Fursey dał Cianowi nóż w klamrze i czy prezent się spodobał. A jeśli Cian się roześmiał i uznał, że jest głupi? Begu na pewno spodoba się grzebień. Ale Begu była taka płocha, ciągle przeskakiwała od jednej rzeczy do drugiej. Hilda wyobraziła sobie, jak Begu pyta Furseya: Kto? Hilda? Ach, tak, była tu w zeszłym roku.

No i Onnena. Hilda kazała Furseyowi powiedzieć jej prawie matce, żeby nauczyła się czytać. Wiedziała jednak, że Onnena zawsze będzie o niej myśleć jako o dziecku wijącym się w balii pod strumieniem zimnej wody albo jako o niemądrej dziewczynce, która wprowadziła Begu w błąd w kwestii bycia jej gemæcce. Nie posłucha Furseya.

Hilda wędrowała po bezleśnych pofałdowanych terenach, obserwując ptaki i zbierając rośliny dla matki. Cokolwiek robiła, zawsze myślała o tych, których tu nie było: „Guenmona na pewno sprawdziła, czy Bán ma nowy płaszcz na zimę” albo „Czy

Fursey pamiętał, żeby znaleźć Cú i dać mu cały miodnik?”. Raz przypomniała sobie, że nie wysłała żadnej wiadomości dla Cædmona.

I znowu wracała myślami do Hereswithy, do pustego łóżka w ich pokoju i ciągłego nasłuchiwania zgryźliwego komentarza, który nie nadchodził.

Nieobecność Hereswithy to nie była jedyna zmiana.

Gwladus wygłaszała zdecydowane opinie na temat tego, co jest, a co nie jest odpowiednie dla Hildy — pod tym względem była gorsza od Onneny — i w vill Hilda ubierała się dostojniej oraz jadła bardziej regularne posiłki. Wystrzeliła w górę niczym chwast na polu jęczmienia, zauważyła też u siebie wrażliwe pączki piersi.

Gwladus też urosła. Już wcześniej przyciągała wzrok, lecz teraz jej jasne włosy — jaśniejsze niż jęczmień, jaśniejsze niż pszenica, jaśniejsze nawet niż kwiaty przestępu rosnącego pod olchami wzdłuż strumienia — lśniły, jej skóra zrobiła się gładka i napięta, a ona sama pachniała dzikim miodem. Lintlaf i inni gesithowie sprawiali wrażenie, że znajdują się pod jej urokiem, co dla Hildy było użyteczne. Gwladus słuchała wielu rozmów mężczyzn, którzy zapominali się pilnować, i powtarzała je Hildzie słowo w słowo: chodziły pogłoski, że Cwichełm, najstarszy z ambitnych zachodniosaskich braci, spiskuje ze starym Cadfanem z Gwyneddu. Młody Cadwallon ap Cadfan przebywał w Irlandii. Wszędzie widywano brytyjskich i irlandzkich księży — nawet u Cuelgilsa z Lindsey, nawet w Arbei, domu Osrica w Tinamutha — przemierzających kraj tam i z powrotem z wiadomościami.

W nocy, kiedy Gwladus spała na swoim pościeli rozłożonym na podłodze, Hilda leżała w szerokim łóżku — matka znowu była gdzieś indziej; Hilda nie chciała o tym myśleć — i obracała te plotki w myślach, a karneole na przegubie ręki, przesuwając jaskrawopomarańczowe, gniewne paciorki w jedną, a potem w drugą stronę. Cwichełm. Wysłała posłów do wszystkich części kraju — nawet na północ. Co on planuje? Zastanawiała się nad słowami i paciorkami całymi dniami, lecz nie umiała dostrzec wzoru. Czegoś w nim brakowało.

Fursey wiedziałby więcej, ale miał wrócić z Mulstanton dopiero za dwa tygodnie.

Hilda wraz z matką pracowały ramię w ramię w destylarni. Dotykały się biodrami i ramionami — Hilda osiągnęła wzrost Breguswithy. Matka płukała krowi róg gorącym octem, a córka precedzała przez cienką szmatkę papkę z cebuli i czosnku moczona przez dziewięć dni w winie i byczej żółci. Kiedy płyn zrobił się przezroczysty, Hilda przelała go ostrożnie do czystego rogu. Breguswitha zatkała go drewnianym kołkiem, a Hilda rozgrzała wosk, by go zapieczętować. W zimie będą zanurzać w tej miksturze piórko i nanosić ją na brzegi zaczerwienionych i spuchniętych powiek, żeby pozbyć się jęczmienia. W zimie infekcje oczu zawsze się nasilały, bo wszyscy się tłoczyli, a paleniska dymiły.

— Zebrałaś ten trędownik, o którym mówiłaś, że go znalazłaś?

Hilda pokręciła ostrożnie głową; nie chciała spryskać grzbietu matczynej dłoni gorącym woskiem.

— Jutro albo pojutrze.

To oznaczało kolejny ranek wyciskania pomarańczowego soku do mosiężnych naczyń i delikatnego podgrzewania go z miodem. Tę miksturę stosowało się na ostre

zapalenie spojówek, ale najlepsza była świeżo sporządzona.

Pomarańczowy kolor przypomniał Hildzie o Cwichelmie. Opowiedziała matce o plotkach.

— A księży widziano na północy aż nad Tine.

Breguswitha zaczęła obrywać liście babki lancetowatej, które Hilda przyniosła tego ranka.

— Irlandczycy zawsze coś knują. Zawsze wysyłają swoich księży tu i tam. — Zerknęła na Hildę z ukosa. — Nie tylko oni.

— Fursey nosi moje wiadomości do Ciana i Onnety. — I Begu. Nigdy nie powiedziała matce o Begu. — Wróci lada dzień. Chciałabyś przekazać coś Onnecie, kiedy wyślę go następnym razem?

— Nic, co zawierzyłabym księdzu.

Hilda zrozumiała, że matka jak zawsze w jakiś sposób ją odepchnęła.

Kiedy Breguswitha zajęła się siekaniem babki, Hilda nabrała ze słoiczka na półce owczego tłuszczu i wtarła go sobie w dłoń. W tym roku w vill było tylu domowników, tyle kobiet przybyło z nowymi służącymi, Edwin otrzymał tylu niewolników w daninie, że Hilda, bratanica króla, jego jasnowidząca, nie musiała pomagać przy strzyży. Gdyby była tu Hereswitha, nie wołano by jej do mleczarni.

Pojawiło się też wielu nowych gesithów, tak wielu — Anglów i Sasów, Irlandczyków i Franków, Svearów i Piktów — składało przysięgę nowemu zwierzchniemu królowi, ucztowało, objadało się i doprowadzało napitkami do bohaterskiego zamroczenia, że zaczynało brakować wołowiny i miodu, a Coelgar krzywo patrzył na tłum sypiących przechwałkami stołowników, których trzeba było codziennie karmić. Edwin zaczął liczyć swoje bransolety. Żeby utrzymać tempo dawania darów, wkrótce będzie musiał wywołać kolejną wojnę.

Wojna. Cwichelm. Cadwallon. Cuelgils. Osric? Kiedy Edwin poczuje się dość silny, by otwarcie wystąpić przeciwko kuzynowi? A jeśli będzie czekał zbyt długo?

Uderzyła ją pewna myśl. A jeśli zamierza wykorzystać ją jako tkaczkę pokoju? Spojrzała na matkę, która nieznacznie się poruszyła, ale nie dała znaku, że widzi spojrzenie córki. Co ona planuje?

Hilda zatknęła nogawice za pasek i moczyła stopy w stawie, przy którym siedziała kiedyś z Cianem i gdzie dawno temu złożyła swoją ofiarę. Pachniało zielenią, chłodem i tajemnicą.

Goodmanham drzemało, lecz Hilda miała pobudzone wszystkie zmysły.

Wzór się zmieniał; wyczuwała to po odmiennej wadze i równowadze jej ciała każdego ranka oraz w spojrzeniach, jakie rzucała jej matka. Pewnego dnia w jakimś sobie wiadomym celu matka albo wuj wyrwą ją z jej życia i poślą na jakieś mokradła z obcym mężczyzną. W świecie sukni i miecza to była część jej wyrd. Lecz nie całej wyrd i jeszcze nie teraz. Jeszcze tyle musiała się nauczyć, dowiedzieć.

Przestała machać nogami i woda na nowo utworzyła gładkie zwierciadło. Stopy Hildy wyglądały jak źle zrosnięte po złamaniu, jak tamten patyk, który pokazała Cianowi.

Czeremcha — tyle owoców w tym roku! — szumiała cicho. Zmarszczki na gładkim piaszczystym dnie stawu poruszyły się i zamigotały. Oddech wodnego duszka.

Nie odwróciła się.

— Wiem, że tu jesteś. Pomóż mi. Dałam ci mój ząb. Pomóż mi.

Na trawę spadł owoc czeremchy. Bzyczały ważki.

Kiedy jęczmień i pszenica zostały zżęte i powiązane w snopki, a następnie ustawione w kopki do wyschnięcia, siano ułożone w stogi, a Hilda wyczekiwała powrotu Furseya, na święto zwierzchniego króla zaczęli przybywać panowie i wodzowie. Pierwszy pojawił się Osric ze swoją wielką świtą ustępującą wspaniałością jedynie świcie króla. Po nim przybyli Hunric i Wilstan, Tondhelm i Trumwine, Cealred i Rhond, każdy z tuzinem pomniejszych tanów. Witali się z Edwinem, okazując mu szacunek. Żniwa były wczesne, a plony wysokie od szerokich dolin po dzikie wyżyny, od morza po góry. Najwyraźniej bogowie darzyli go łaską. Coifi, jako główny kapłan głównego boga głównego króla Angłów, uśmiechał się i był zadowolony z siebie jak foka.

Teraz jego ambicja wydała owoce. Przez rok nadzorował budowę wielkiego miejsca oddawania czci Wodenowi, całymi miesiącami gotował olej lniany i smołę drzewną i mieszał je z pigmentami w celu uzyskania żywych czerwieni, bieli i błękitów do malowania drewnianych ścian pozbawionego dachu korytarza wijącego się jak wąż dookoła wielkiego totemu. Niżsi rangą kapłani hołubili białe cielę i białą owcę, a podczas nowiu przygotowywali wywary z tojadu i wilczej jagody oraz wyciągi z pewnych gatunków jagód i grzybów. To była kulminacja ich roku: uroczystość Edwina, zwierzchniego króla, syna syna po wielokroć syna Wodena, boga Yffingów.

Nadchodziła jednak zmiana. „Dałbym im rok. Najwyżej dwa lata”.

G

Hilda ubrała się na zielono. Ubrali się tak wszyscy domownicy. Stali w zachodzącym słońcu przed wejściem do świętego miejsca. Przed nimi stał odziany w biel Coifi; po obu jego stronach płonęły pochodnie wbite w ziemię. Żadnych kagańców, ponieważ bóg nie tolerował żelaza. Coifi trzymał w dłoniach bardzo starą brzożową miseczkę. Zebranych omiały wieczorne podmuchy wiatru i piskliwe tony niesamowitej muzyki dobywanej z piszczałek, rogów i bębnów. Muzycy kryli się w sercu świętego miejsca i wydawało się, że muzyka pochodzi z nieba. Muzyka boga.

Gesithowie się denerwowali. Zawsze się denerwowali, kiedy musieli pozbyć się wszystkich ostrych przedmiotów, nawet noży stołowych.

Pierwszy łyk z miseczki kapłana pociągnął król. Kiedy wchodził między płomieniami na ścieżkę, którą mieli przejść tej nocy wszyscy, wydawało się, że drży. Może to tylko wiatr szarpał jego szatę. Muzyka wznosiła się i opadała. Coifi skinął głową w stronę æthelingów, którzy ruszyli ramię w ramię. Chwila przerwy i ruszył Osric. Hilda szła za nim z jego bladymi, ciemnowłosymi dziećmi. Mała Osthrytha wzięła ją za rękę. Hilda spojrzała w dół. Taka miękka mała łapka.

Dziewczynka podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Jej mleczone zęby były białe i ostre jak u gronostaja.

Hilda puściła jej rękę, ujęła miseczkę obiema dłońmi i wypita łyczek gorzkiego wodnistego płynu.

Zdrętwiały jej wargi, a potem narkotyk rozlał się po ciele zimny jak wodospad. Jej ścięgna napięły się i przywarły do kości. Drżąc, przeszła między płomieniami.

Korytarz miał wysokie ściany, a przykrywało go tylko niebo krwawe od blasku zachodzącego słońca. Król i Osric zniknęli już za zakrętem i Hilda szła sama — wszyscy szli sami — trasą dążącą po spirali ku środkowi, ozdobioną namalowanymi postaciami z opowieści i pieśni, których całe życie słuchała w halli, pieśni pełnych muzyki, magii i mocy, pieśni o bohaterach i początkach, pieśni o Yffingach. Ich oczy patrzyły z przemyślnie obmalowanych otworów po sękach w wiązowych deskach, wzdłuż słojów lśniły dzioby ich statków: trzech pradawnych statków wypełnionych spragnionymi ziemi panami i ich ludźmi w staromodnych hełmach i kutych zbrojach. Drżała, stojąc w wąskim przejściu między drewnianymi ścianami — i drżała, kiedy kil jej statku szorował po kamkach i gruboziarnistym piasku plaży w Thanet. Z brawurą wyskoczyła ze swoimi ludźmi ze statku. Kruki biły się nad okaleczonymi ciałami, Brytowie klęczeli z gołymi głowami...

Przez jedno uderzenie serca na powrót była Hildą. Z zaokrąglonych ścian nachylały się ku niej obwiedzione czarnym konturem ogromne wizerunki twarzy i zbryzganych krwią mieczy. Wszystko przenikała woń smoły drzewnej. A potem znalazła się w lesie; biegła przez mgłę w rytm uderzeń własnego serca, zmuszała do pracy ścięgną swego przodka, który niestrudzenie biegł z rykiem przez paprocie i jeżyny, przeskakiwał strumienie, pędził przez wrzosa, palił osady Brytów, wyganiał duchy zabitych we wzgórza, zabierał ich złoto.

A potem stanęła w sercu świętego miejsca. Potężny rzeźbiony totem sięgał wysoko w atramentowe nocne niebo. Przestrzeń wypełniał majaczący w półmroku tłum — nie tylko jej wuj i matka, jej kuzyni, Oswine i Osthyrtha, lecz także wszyscy ci, którzy już odeszli: jej ojciec i jego ojciec, i jego ojciec wstecz aż do Wilfgisła Rozłożystego i jego ojca, Westerfalki, których kasztanowe włosy wyrastały z nozdrzy i grzbietów dłoni jak błyszczące druty, do Swebdæga i Sigegara, którzy mieli takie same blade twarze i ostre zęby jak jej kuzyni, do Wædæga i — ucieleśnionego w wielkim totemie — samego Wodena.

Wokół totemu zapłonął z miękkim szumem krąg pochodni. Światło i muzyka wezbrały, zogniskowały się w jeden punkt i przeniosły uwagę żywych tam, gdzie wielki totem zniknął w studni niebios. Tworzyły go trzy dębowe pnie pomysłowo umocowane jeden na drugim, pokryte malowanymi i złożonymi magicznymi symbolami ich ludu: wizerunkami dzika i kruka, płomienia i orła, błyskawicy i morza, i Tego Który Wszystko Dzierży — boga pogody i wojny, życia i śmierci, i obracania świata, samego Wodena, którego broda i ręce owijały się dookoła totemu oszalamiającą spiralą. Chmury odsłoniły księżyc. Boskie oko załało ich białym światłem.

Gesithowie śpiewali. Hildzie wydawało się, że też śpiewa, ale wydawało jej się również, że szybuje jak te odległe chmury barwy jasnego indygo. A potem pochodnie zamigotały, pojawiły się gwiazdy biegnące po swoich okręgach i totem objawił się jako oś, wokół której obraca się cały świat.

Dwa tygodnie po tym, jak większość panów wyjechała z Goodmanham — chociaż Osric został — Fursey upuścił pękaty worek na trawę nad strumieniem i usiadł obok Hildy.

— Twoja wealh powiedziała, że cię tu znajdę.

Hilda skinęła głową i rozszczepiła łydżkę stokrotki paznokciem kciuka.

— Co, żadnego „Witaj w domu, mój bohaterze, czy podróż była strasznie trudna? Jakie przynosisz wieści z Mulstanton?”.

— Droga wzdłuż wybrzeża i w górę rzeki jest łatwa. Zapewne większość czasu spałeś albo grałeś w kości.

Tak właśnie było.

— No tak. Pozwoliłem sobie wysłać twoją kobietę do kuchni po jedzenie dla nas. I powiedziałem jej, że jeśli przyniesie małe piwo, wysuszę jej duszę na wiór. — Hilda zerwała następną stokrotkę. — Znowu była z tym rozmarzonym młodym gesithem.

Hilda przewlekła łydżkę drugiej stokrotki przez łydżkę pierwszej. Robiła łańcuszek.

— Odpowiada mi to.

Fursey spojrzał na nią uważniej.

— Co się stało, dziecko?

— Nie jestem dzieckiem. Już nie.

— Wstań. — Po chwili usłuchała. — Ach tak. Rozumiem. Tak. Wzrostem dorównujesz tej czeremsze. — I zaczyna się rozwijać. To trudny czas. Matka powinna się nią bardziej opiekować. Wkrótce rozkwitnie. — A twoja matka? Dobrze się czuje?

Hilda usiadła, starannie układając suknię.

— Coraz przyjaźniej odnosi się do Osrica.

— Ach tak — powiedział znowu Fursey.

Spojrzała mu w oczy. Tak samo falowały wody Kanału Północnego na zachód od Manau przed sztormem, w którym zginął jego starszy brat. Fursey odwrócił wzrok.

Przyciągnął do siebie worek.

— No to zobaczymy, co przywiozłem z Mulstanton. Cian przysyła pozdrowienia, kazał powiedzieć, że może pokonać bohatera Oweina i olbrzyma Gwvrlinga jedną ręką i uważa, że w opinii wszystkich kobiet ustępuje tylko Bogu.

— Tego nie powiedział.

— Nie, ale tak myśli — powiedział swobodnym tonem Fursey.

— Czy to prawda?

Fursey roześmiał się.

— Oczywiście, że nie! Chłopak nie ma jeszcze siedemnastu lat. Jest jednak dobrze zbudowany, przystojny i wygląda jak prawdziwy wojownik i jest jedynym wychowankiem możnego pana. Jest wysoki i będzie jeszcze wyższy, chociaż chyba nie dorówna wzrostem tobie, a dziewczęta, no cóż, dziewczęta zaczynają go zauważać.

— A on je?

— Z całą pewnością. Sądząc z zalotnych uśmiezków, które uważał za bardzo skryte, mógł się przespać z jedną z dojarek.

— Z Bote, siostrą Cædmona?

Fursey strzepnął palcami.

— Nie wiem. Ale ładna z niej bestyjka.

— A Cædmon?

Fursey pociągnął nosem.

— Nie miałem okazji porozmawiać z pastuchem.

— Onnena?

— O, to jest kobieta. — Fursey podrapał się w kostkę. — Dzięki niej Mulstan szczeka jak foka i jest tłusty jak wieprz.

— Ale dobrze się czuje?

— Och, doskonale. I zaprasza cię, żebyś ją odwiedziła. Jeśli twoja matka pozwoli.

Na wzmiankę o matce dziewczyna oderwała stokrotce główkę. Fursey zaczekał, aż wyplątała ją z łańcuszka i zerwała następną.

— Powiedziałem jej, że ucieszysz się z zaproszenia, że z radością przyjedziesz, jeśli pozwoli na to los i okoliczności rodzinne. I że niewątpliwie twoja matka uważa tak samo. — Tym razem nie zrobiła nerwowego ruchu. Tak szybko uczyła się panowania nad sobą. — Wtedy prychnęła, co dla pani domu jest wysoce niestosowne, i powiedziała... — Tu przymknął oczy. — „I bez wątplenia, księżo, jałówka da mleko, a jaskółki odlecą na północ na zimę” i zapytała o Hereswithe, twoją siostrę. Spędziliśmy trochę czasu, martwiąc się o jej sytuację na mokradłach, gdzie mieszka z mężczyzną, który ma już kobietę i dwoje dzieci.

— Dziewczynki.

— Zaiste. Zwróciłem na to uwagę Onnemy. Wtedy znowu prychnęła. A kiedy zaryzykowałem stwierdzenie, że kobieta czasami może wydawać dźwięki jak świnia, przypomniała mi się twoja mała przygoda w wīc.

Hilda zarumieniła się.

Fursey znowu podrapał się w kostkę i zdjął but — w podróży nie nosił sandałów. Idiotyczne obuwie, same puste miejsca.

— A mówiąc o twojej przygodzie, gdzie jest ta wealh z moim posiłkiem?

Hilda wzruszyła ramionami.

— Zmarnowane trzy szylingi — stwierdził ksiądz. — Chociaż ten rozmarzony gesith uważa inaczej. Trzyma go mocno pod swoim, cóż, powiedzmy, pantoflem.

Hilda zerwała świeżą stokrotkę i rozszczepiła łądyżkę.

— Więc tak. Onnena. Opowiedziałem jej o twojej walce na noże i o zakupie, a ona z powagą kazała mi powiedzieć ci, żebyś uważała na tę dziewczynę. Powiedziała, że wealh i Anglowie nie idą tą samą drogą ani nie mają tych samych snów. A ona powinna to wiedzieć.

Hilda nie słuchała. Zastanawiała się, jaką drogą wędruje w swojej głowie.

— Ale nie zapytałaś o swoją przyjaciółeczkę o koziej twarzy.

Podniosła na niego wzrok.

— Ona nie ma koziej twarzy.

— Oczywiście, że nie. Nie jest także papłą ani sroką, jestem przekonany, że rozważała kradzież mojego krzyża.

Przynajmniej teraz się uśmiechnęła. Lecz uśmiech ten był tak ostrożny, że Furseya to zabołało. Jak dawno temu to dziecko śmiało się i bawiło ze swoimi rówieśnikami?

— No dobrze — powiedział. — Zgodzę się w tej koziej kwestii. Ale jest mała.

— Nadal?

— W porównaniu z tobą i z Cianem tak. W porównaniu z Onneną i tą drugą

megierą, która bardzo pilnuje swoich miodowych ciastek...

— Guenmoną.

— Tak. W porównaniu z nimi jest dobrze wyrosnięta jak na dziewczynkę w jej wieku.

Hilda spojrzała na swoją pierś.

— Tak jak ty — dodał pośpiesznie Fursey. — Tak jak ty. — Powtórzenie kłamstwa nie pomogło. — Jednakowoż. — Otworzył worek i zaczął w nim grzebać, aż znalazł przedmiot wielkości połowy swojej pięści owinięty w lnianą szmatkę. — Przysyła ci to.

Hilda upuściła stokrotki, wzięła przedmiot i zważyła go najpierw w jednej ręce, a potem w drugiej. Rozwinęła szmatkę i ujrziała twardą szarą kamienną spiralę, jakby zamrożonego robaka.

— Wężowy kamień — rzekł Fursey. — Miejscowa legenda mówi o znękanym bogu, który zmienił wszystkie węże w kamienie, żeby odpocząć od płaczliwych próśb chłopstwa.

Hilda głąskała ciasne kamienne zwoje czubkiem palca.

— Begu kazała ci także powiedzieć, że znalazła w urwisku smoka.

Hilda uniosła brwi.

— Owszem, ta dziewczyna ma bujną wyobraźnię. Ale widziałem go na własne oczy.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Ogromną czaszkę i skrzydła, pogrzebane w urwisku w innej epoce i widoczne teraz w miejscu, gdzie część urwiska runęła do morza. Te skrzydła musiały mieć osiem łokci! Kości były w większości zagrzebane w ziemi, więc nie mogłem ich zmierzyć krokami. Ale czaszka była większa niż moje rozłożone ręce. I cała z kamienia.

— Kości z kamienia...

— I czarne jak oczy diabła.

Hildę przeszedł dreszcz.

— Pomyśl — powiedział Fursey. — To musiał być straszny kataklizm, kiedy taka bestia wbiła się w litą skałę. — Fursey zawiązał worek. — Begu też błaga, żebyś ją odwiedziła. Mówi, że tęskni za tobą. Kazała mi powiedzieć, że ktoś imieniem Winty urodził tej wiosny piękne tłuste bliźnięta.

Przerwał na chwilę, lecz Hilda znowu wędrowała po swojej wewnętrznej krainie. Gdziekolwiek się znajdowała, wydawała się ponurym miejscem.

— Powiedziała też, że bardzo jej się podoba grzebień, potem mówiła o demonach w robakach, rybach i psach, i o demonach w grzebieniach i włosach, ale tak się zaplątała we własnej wesołości, że trudno było zrozumieć, o co jej chodzi.

Wydawało się, że Hilda zmusiła się do powrotu z miejsca, w którym przebywała. Uśmiechnęła się, ale było to niepokojące napięcie mięśni.

— Winty to krowa. Jeśli mam rozumieć wiadomości Begu, to ona musi nauczyć się czytać. Musi się nauczyć, Fursey.

— Wspomniałem Mulstanowi, który jest bardziej włochaty niż przedtem, o pewnym księdzu, ale tylko się roześmiał, powiedział, że wszystko w swoim czasie, i klepnął mnie w plecy tak mocno, że wyplułem z ust mięso.

— Musisz się tam udać jeszcze raz. Musisz sprawić, by zrozumiał.

— Muszę?

— On musi zrozumieć. Cian i Begu muszą się nauczyć czytać. Wszyscy muszą się nauczyć. Hereswitha w Anglii Wschodniej też. Lecz ona nie potrzebuje tego tak bardzo.

— Tak bardzo jak kto?

Nie odpowiedziała.

— Tak. Wrócisz tam. Powiesz mu, że taki jest mój rozkaz.

— A jeśli wolę tego nie robić? Jeśli pewnego dnia po prostu odejdę i wsiądę na statek płynący do Irlandii?

— To każe cię sprowadzić z powrotem. I wychłostać.

— Dziecko...

— Nie jestem dzieckiem. — Fursey zrozumiał, że ostry ton Hildy skrywa dojmującą samotność. Wygrał jednak ostry ton. — Nieważne, że jesteś kapłanem; jeśli spróbujesz odejść, każe cię wychłostać. Kto może mnie powstrzymać? Tylko król, a on daje mi, o co proszę. Więc kto może mnie powstrzymać? Nikt.

— A zatem mówię ci szczerze, że musisz się nauczyć powstrzymywać samą siebie.

Milczenie. Zakraką wrona, a po chwili jeszcze jedna.

— Pewnie idzie Gwladus z twoim jedzeniem — stwierdziła Hilda.

Fursey nic nie powiedział.

— Żałuję moich słów.

— Nie sędzę. Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale nie sędzę, byś żałowała tego, co powiedziałaś.

Tym razem wytrzymał jej spojrzenie, chociaż się od tego spocił, i tym razem to ona odwróciła wzrok.

— Proszę cię — rzekła. — Jedź do Mulstana. Oni muszą się nauczyć czytać. Nie mam nikogo innego.

Fursey westchnął.

— Dobrze. Ale najpierw odpoczne dwa tygodnie.

— Nie zdążysz, bo na nowiu wyjeżdżamy do Brough. Przyjeżdża Etelburga.

— A zatem na nowiu.

— Ale wtedy będzie już padać.

— Nie szkodzi.

Miał wrażenie, że zapowiada się ładna pogoda, ale nawet gdyby miało padać jak za czasów Noego, chciał porozmawiać z Gwladus i Lintlafem — jeśli ten idiota zdoła choć przez chwilę myśleć głową, a nie tym, co miał w nogawicach. Musiał się dowiedzieć, co ta wiedźma, matka tego dziecka, knuje z mającym królewskie ambicje Osrikiem. A słyszał to i owo. A to dziecko już wkrótce będzie żyło w bardzo niebezpiecznych czasach.

Rozdział 10



Przystań w Brough była niemal niewidoczna w strugach deszczu bielących się pianą na grubych balach nabrzeża, bębniących w dach wielkiego magazynu i złoścących się ludzi, którzy pod nim czekali. Zwierzchni król Edwin nie był przyzwyczajony do towarzystwa bel wełny i worków zboża, lecz miał przybić statek Etelburgi, a to było jedyne schronienie.

Przez boczne drzwi wprowadzono przemoczonego robotnika rzeczno: właśnie widział czerwony żagiel! Według niego będą na miejscu, zanim jeszcze dostanie swoją nagrodę, z przeproszeniem pańskim.

Coelgar skinął głową i Coelfrith dał mężczyźnie pół srebrnego pensa. Edwin poprawił swój nabijany złotem pas i złotą opaskę na czole, którą zaczął nosić przy ważnych okazjach. Breguswitha przyglądała suknię. Hilda wzruszyła ramionami, by jej długi płaszcz ułożył się w idealne fałdy, i naciągnęła kaptur na głowę. Gesithowie — ubrani w najbardziej krzykliwe i bogate stroje, z płaszczami odrzuconymi na ramiona, by było widać ich bransolety otrzymane za bohaterskie czyny — nastroszyli palcami wąsy, żeby były bardziej męskie. Lilla skinął głową i Forthere wraz z rudym żylastym nowym domownikiem, sądząc po jego broszy, Sasem Zachodnim, otworzyli ciężkie drzwi magazynu. Æthelingowie, Osric i Oswine wyszli pierwsi, idąc noga w nogę przy rogach wielkiego baldachimu osłaniającego Hildę i Breguswithę. Narzeczoną Edwina miała spotkać i opiekować się tylko najbliższa rodzina. Etelburga miała zaledwie cztery lata, kiedy wyjechała Breguswitha, lecz łączyły je więzy krwi.

Wiatru prawie nie było, szumiał tylko deszcz. Hilda i jej matka ledwie widziały, co się dzieje poza baldachimem.

Nawet w deszczu oszałamiał Hildę stary, zimny i wszechogarniający zapach rzeki i błotnych równin, przez które płynęła. Dziewczynka zastanawiała się, czy łódź Fursey'a przecięła kilwater statku Etelburgi w dole rzeki. A potem rzucono liny i wysunięto trap; na widok pół tuzina uzbrojonych mężczyzn w czerwonych płaszczach, którzy schodzili na brzeg, gesithowie stojący za Hildą zeszywnieli. Następnie pojawiła się grupa sześciu czy siedmiu czarno odzianych, skulonych pod wilgotnymi kapturami księży. A potem na ład zeszła Etelburga eskortowana przez pięć kobiet i Paulina Wronę.

Paulin Wrona. Biskup Paulin. Wysoki, pochylony i czarnowłosy mimo wieku. Miał także czarne oczy i orli nos, jaki Hilda widywała na uszkodzonych posągach.

— Chodzące pragnienie — stwierdziła Gwladus, kiedy go ujrzała. — Tylko nie wiem, czego.

Hilda wiedziała. Zobaczyła to od razu tego ranka, kiedy Paulin i Szczepan stali z nią w zimnej komnacie zrujnowanego rzymskiego pałacu nad rzeką Derwent ledwie milę na południe od brodu.

Zaczynał się Winterfylleth, kiedy noce stawały się dłuższe niż dni. Osric w końcu wyjechał do Arbei. Hilda miała nadzieję, że utonął u ujścia Tine. Deszcz przestał padać i dni wstawały suche i rześkie. Słoneczne światło rzadkie jak serwatka przesączało się do zrujnowanego pałacu szparami pod okapem i rozlewało się po mozaikowej posadzce. Księża mieli ściągnięte twarze i sprawiali wrażenie zmarzniętych, chociaż Hilda nie czuła chłodu. Wewnątrz nawet zrujnowanego budynku było cieplej niż na drzewie albo na grzbiecie wzgórza, gdzie rósł trędownik.

— Spójrz, dziecko — rzekł Paulin i wskazał swoim wysadzonym klejnotami pastorałem na wizerunek obok swojej stopy: ułożoną z maleńkich zielonych kwadracików rybę i kielich. — To znak Chrystusa. Ci, którzy tu mieszkali, byli dobrymi bogobojnymi obywatelami.

Ci, którzy tu zginęli, pomyślała Hilda, patrząc na ślady topora na fresku w miejscu, gdzie ktoś wyrąbał ze ściany żelazne kinkiety, na osmalone zagłębienie w zniszczonej podłodze, gdzie próbowano rozpalić ognisko.

Wrona odwrócił się do Szczepana i zaczął mu dyktować po łacinie polecenia związane z poświęceniem budynku jako kaplicy pod wezwaniem świętego Jana. Szczepan uniósł drewnianą tabliczkę pokrytą woskiem, którą zawsze miał u pasa, i wszystko zapisał rylcem. Hilda nie dała po sobie poznać, że cokolwiek rozumie.

Tylko jej wuj wiedział, że dzięki Furseyowi potrafi czytać i że rozumie łacinę, jeśli dana osoba mówiła powoli — a nawet on wołał, żeby uczyła się w tajemnicy. Chciała, by nadal tak było do czasu, kiedy zrozumie, jak myśłą i czego chcą ci przybysze. Chciała, by jej kości jeszcze grzechotały w kubku. Niemądrze jest nimi rzucać, zanim na stole pojawią się wszystkie zakłady.

I znowu łacina. Kolejne zapiski na tabliczce. Odbudowa wydała jej się bezsensowna. Jeśli ci księża chcą mieć budowlę nad rzeką, to powinni zburzyć te ruiny i zacząć od nowa.

— Dlaczego obchodzi was to zniszczone miejsce?

— Ludzie pamiętają Rzym. Jest stary i potężny i pełni rolę mądrego ojca zbłąkanych dzieci. — W kościstym nosie Wrony zaświszczał oddech, pociemniały jego oliwkowe policzki. — Tutaj Rzym powstanie na nowo, świecąc dla tych, co mają oczy, jak ognisko sygnałowe. Odbudujemy budowle tutaj i w Campodunum, i w Yorku, w Malton i wzdłuż wału i ludzie zobaczą, że Rzym powrócił i będą się nas bać i nas chwalić. Będą się nas bać i nas chwalić nawet królowie tej wyspy. Pod nasz sztandar zbiegną się wierni.

Stał wyprostowany i surowy i Hilda zrozumiała, że biskup nie widzi znaku zwierzchniego króla, lecz swój własny jedwabny sztandar z krzyżem haftowanym perłami oraz siebie, głównego kapłana Chrystusa na wyspie, stojącego na czele swoich wiernych. Jego ambicja była tak wyraźna, że Hilda zadała sobie pytanie, dlaczego król na to pozwala.

Niewątpliwie wuj miał swoje powody. Włożyła ręce do kieszeni i zaczęła obracać w palcach węzowy kamień. Przekonała się, że pomaga jej to w myśleniu.

Król musiał mieć powody, by wprowadzać tak wielkie zmiany. Sześciu księży, diakon — tak jak ten kupiec, którego widziała w Gipswīc, miał skórę czarną jak węgiel

— i biskup to było więcej sług boga, niż kiedykolwiek przebywało na jego dworze. Coifi był niezadowolony. I nie tylko on. Zmienił się rytm funkcjonowania dworu. Królowa i jej kobiety oraz wojownicy z Kentu — już nie gesithowie króla, lecz ludzie królowej — którzy towarzyszyli jej wszędzie tam, gdzie nie towarzyszył jej król, jednego dnia w tygodniu jedli tylko ryby. Innego dnia chodzili na uroczystość nazywaną mszą. Przywieźli ze sobą inne zwyczaje: do śniadania pili raczej rozwodnione wino niż małe piwo, nosili odmienne ubrania.

Król musiał mieć jakiś powód.

Obracając w kieszeni kamień i przyglądając się, jak Szczepan tworzy na wosku porządne rzędy liter, pomyślała, że może chodzi o to. Że ma to coś wspólnego z pisaniem. Ale po to król trzymał Furseya, żeby ją uczył, chociaż od jej powrotu z Zatoki Wici wuj ją ignorował. „Wszystko, co robi król, to kłamstwo”. Będzie obserwować i się uczyć. Dowie się, dlaczego Paulin tak się nią interesuje, dlaczego sprawia wrażenie, że chce ją przekonać do swojego boga.

Po drodze do kuchni Gwladus powiedziała jej, że wrócił Fursey. Hilda pobiegła do stajni i dotarła tam w chwili, kiedy ksiądz strzepywał z szaty pył podróży, a młody stajenny odprowadzał jego konia. Krzyknęła, roześmiała się i uściśnęła Furseya, czym zaskoczyła ich oboje.

— Na słodki uśmiech Chrystusa, jeszcze wyrosłaś! — Odsunął ją na odległość wyciągniętej ręki. — Widzę, że dobrze się czujesz.

— Tak, skoro wróciłeś. — To była prawda; jego widok ją ucieszył, bardzo ucieszył. — Przepraszam, Fursey, że kazałam ci jechać. Miałaś rację, wtedy nie żałowałam tego, co powiedziałam, ale teraz żałuję. — Znowu uśmiechnął się, zadowolony, lecz nie potrafił ukryć zatroskania i znużenia. — Co się stało?

— Porozmawiamy w stajni — rzekł po irlandzku i pochylił się do swoich sakw.

— Ja to zrobię.

Bez wysiłku przerzuciła je sobie przez ramię.

Stajnia dla gości, niedawno przebudowana i pachnąca świeżym drewnem, była pełna, lecz innymi zwierzętami zajęto się już wcześniej. Był tam tylko chłopak rozcierający konia Furseya.

— Usiądziemy tu? — zapytała Hilda, pokazując na bele siana pod ścianą naprzeciwko boksów.

— Twoja wspaniała suknia...

— To? — Przyjrzała się swojej pięknie haftowanej ciemnoniebieskiej wierzchniej sukni. — No tak, chyba jest wspaniała. Ale Gwladus się upiera, zwłaszcza od przybycia królowej i jej pań. — Upuściła torby na ziemię, usiadła i strzepnęła pył z ramienia. — Usiądź, bo się przewrócisz. Powiedz, co masz do powiedzenia, a potem znajdziemy ci coś do jedzenia i czyste ubranie.

— To nie jest wiadomość, którą można przekazać tak z marszu.

Coś strasznego przydarzyło się Cianowi albo Begu. Albo Onnenie. Hilda zamknęła oczy.

— Ach, nie, oni wszyscy dobrze się czują. — Zamrugwała. — Jestem tak zmęczony, że nie wiem, co mówię. Przepraszam. Wszyscy są zdrowi. Ale Onnena prosi, bym ci

przekazał wiadomość. Przypomina ci, że jest kuzynką żony pana Craven...

Hilda skinęła głową, a jej serce się uspokoiło. Kuzynką siostry Cerediga z Elmetu, Dwynai, która poślubiła Dunoda ap Pabo z Craven, nazywanego przez niektórych księciem tego kraju — pierwszego gościa, któremu podała puchar.

— ...a wiadomości między krewnymi wymienia się często, zwłaszcza w niespokojnych czasach.

Niespokojne czasy. Hilda wbiła wzrok w Furseya.

— Onnena, a może powinienem powiedzieć: pani na Mulstanton, otrzymała wiadomość od swojej kuzynki, pani Dwynai, że Cadfan z Gwyneddu nie pożyje już długo na tym świecie, oby jego dusza szybko znalazła ukojenie. I że jego syn, Cadwallon, życzy ci śmierci.

— Mnie? Śmierci?

— Tobie oraz wszystkim z rodu Edwina.

— Tak, ale ja jestem tylko...

— Tylko? Przynosisz Edwinowi światło i jesteś jego jasnowidzącą. Ocaliłaś Bebbanburg. Jesteś jego bratanicą, jego tkaczką pokoju. Musimy znowu prowadzić tę rozmowę? Dla ciebie nie ma już żadnego „tylko”. — Klepnął ją w kolano. — Posłuchaj. Cadwallon przechwalał się przy miodzie, że kiedy zostanie królem, zetrze Yffingów z powierzchni ziemi. Przysiągł, że tak zrobi. W tym celu rozmawia teraz z wszystkimi paniątkami, którzy chcą go słuchać. Rozmawiał z Cuelgilsem z Lindsey...

Człowiekiem, który nazywał siebie princepsem, który karmił ich w Lindum podczas ich podróży na południe.

— ...i z Piktem, Ciniodem.

— Ale Ciniod wysłała do mojego wuja swojego człowieka na znak przyjaźni! A przynajmniej tak mówił wczoraj wieczorem posłaniec w halli.

— Tak. Niewątpliwie Ciniod wysłała swojego człowieka na znak przyjaźni, ponieważ odmówił przyjęcia oferty Cadwallona.

— Nie bardzo...

— Ale jego wychowanek nie odmówił.

— Jego... — Hilda na chwilę się pogubiła, ale zaraz sobie przypomniała. — Eanfrith Iding.

— Ten sam.

Najstarszy syn Etelfryda i jego pierwszej żony, Bebby. Wychowanek Cinioda. Wróg.

— Słyszeliśmy, że Eanfrith pojął za żonę piktyjską księżniczkę.

— W rzeczy samej. I teraz mają syna, Talorca.

To imię mówiło wszystko. Talorc, jak Beli, było jednym z imion zarezerwowanych dla potencjalnych zwierzchnich królów Piktów.

Hilda intensywnie myślała.

— Czy Ciniod pożyczycy Eanfrithowi swój oddział zbrojny?

— Możliwe. Nieoficjalnie.

— Ale oddział mojego wuja jest teraz olbrzymi, dwa razy większy od jakiegokolwiek innego. To byłoby szaleństwo. Nie mogliby mieć nadziei... Ach, lecz

jeżeli Cuelgils...

Fursey kiwał głową.

— Tak. Jeśli Cadwallon przekona Lindsey, to mogliby się też włączyć Sasi, a wtedy Ciniod mógłby dostrzec możliwość i wykorzystać Eanfritha jako swoje narzędzie. Wtedy twój wuj znalazłby się między młotem Piktów a kowadłem zmasowanych Sasów, Walijczyków i ludzi z Lindsey.

— Nie tylko samych Piktów — rzekła Hilda.

Jeśli piktyjski oddział ruszyłby i dołączył do Gwyneddu, to Cadwallon i Eanfrith mogliby także ściągnąć ludzi z północy, Bryneichów i Gododdinów, a ci mogliby sprowadzić mieszkańców Alt Clut. A nawet Rhegedu. To byłoby jak obserwowanie narodzin zimowego potoku: strużka staje się chlupoczącym strumykiem, a potem ryczącą masą wody porywającą ze sobą głązy i wyrrywającą z brzegów drzewa. Setki maszerujących wojowników wealh śpiewających swoje pieśni chwały.

Wszystko zmieniłoby się w czerwone zgliszcza.

Hilda nie mogła jednak nic zrobić. Kiedy przybędzie wysłannik Cinioda, będzie się tylko uśmiechał i nic nie będzie wiedział. Bez względu na to, czy jest jasnowidząca, nikt nie będzie jej słuchał, dopóki nie da się wskazać czegoś konkretnego. Czegoś, co mogłaby udowodnić. Będzie musiała poczekać, aż wszystko się zacznie.

Chcą jej śmierci...

G

Na wschodnim brzegu Derwent dzień pachniał zimowym słońcem. Kobiety siedziały przy deskach gęsto nabitych żelaznymi szpikulcami do czesania lnu. W dali Coelgar nadzorował wznoszenie przy użyciu młotków i toporków niewielkiego osiedla obok pustej skorupy rzymskich ruin. Król przebywał z królową. Gesithowie wzięli psy na polowanie. Nieliczni służący, którzy nie pracowali toporkami, spali, więc w obejściu panował spokój.

Hilda siedziała z kobietami. Matka powiedziała jej, że za dużo czasu spędza sama — znowu pojawiły się plotki o hægtes i krwi olbrzymów. Hilda nie pojmowała, jak siedzenie z garścią pakuł przed szpikulcami czegoś, co wyglądało jak grzebień olbrzyma, miałoby położyć kres tym plotkom.

Przy przeciąganiu włókien raz po raz przez szpikulce, aż wszystkie włókna ułożą się równolegle, robiło się zwykle gorąco i powstawał przy tym kurz, ale słońce Winterfylleth było chłodne jak szkło, a powietrze wilgotne od wezbranej rzeki i mających wkrótce opaść liści. Od czasu do czasu lekki powiew wiatru przynosił zapach wieprzowiny pieczonej ze zdziczałymi jabłkami i damaszkami — dziedzictwo rzymskich ogrodów — i Hildzie ślinka napływała do ust.

Przez ostatnie kilka dni rzadko zdejmowała dłoń ze swojego seaksa i jadła tylko to, co przygotowała Gwladus. Potem zaczęła się zastanawiać nawet nad nią. Budziła się na odgłos kroków, do każdego z gesithów zachowywała odległość długości miecza i wciąż słuchała, aż zaczęła się bać, że jej uszy zaczną się obracać jak u kota.

Lecz nikt nie wyskoczył z toporem zza drzewa morwy, nikt nie wsypał trucizny do jej piwa i po pewnym czasie nawet strach ustąpił. Teraz, czując zapach wieprzowiny i jabłek, zrobiła się głodna.

Siedziała z matką obok starej Burgeny i Æffe. Obie służące kulily się, okutane szalami i płaszczami. Hilda była zahartowana po latach wędrówek po dolinach i grzbietach wzgórz czy siedzenia na czubku drzewa w blasku księżyca. Jej było ciepło. Zastanawiała się, czyby nie odpiąć rękawów i nie przewiesić ich przez pasek, ale postanowiła tego nie robić: byłaby jedyna z odsłoniętymi rękami, a widoczne na nich mięśnie tylko by wywołały plotki. Przy następnej desce siedziały cztery służące królowej. W ich trajkotaniu wyraźnie było słycać leciutką nosowość juckich samogłosek; takiej nosowości też czasami nabierały solidarnie samogłoski Breguswithy. Za nimi siedziały Teneshilda, gemæcce starej królowej, i Ædilgitha, której gemæcce, Folcwyna, poprzedniego roku zmarła w połogu — chociaż niektórzy winili za to raczej febrę — a z nimi dwie młode kobiety, które otrzymały przepaski ledwie poprzedniego lata, Cille i Leofe. Leofe, ledwie dorastająca Hildzie do ramienia, była w zaawansowanej ciąży z dzieckiem Forthere'a.

— Dlaczego tak potrząsas głowę? — zapytała Hildę matka.

— Leofe. Forthere jest taki duży, a ona taka mała.

Stara Æffe pochyliła się, łypiąc lubieżnie okiem.

— Podobno nie tak duży, jak mąż twojej siostry.

— Hę? — odezwała się Burgena.

Æffe powtórzyła swoją uwagę, prawie krzycząc.

— A czy ona pamięta moją radę co do gęsiego tłuszczu? — zapytała Burgena. — Zapytaj ją. Mówiłam wam, młódkom, o gęsim tłuszczu, prawda?

— Nie mogę jej zapytać, durna babo, bo dawno wyjechała na te moczary z tym swoim nowym mężem, Etelrykiem Krótkonogim — krzyknęła Æffe, a potem dodała, rechocząc: — Krótkonogim!

Burgena jednak nie dawała za wygraną.

— Mówiłam wam? — zapytała Hildę. — Mówiłam, prawda?

— Tak, matko — odparła Hilda. Pokazała na Leofe ręką, w której trzymała garść paku. — I najwyraźniej chociaż jedna z nas posłuchała.

— A ty, młoda olbrzymko, masz już oko na jakiegoś mężczyznę? — Zapytała Æffe. — Widzę te twoje ładne paciorki. Jakiś bohaterski gesith, hę?

— Nie, matko. To był prezent od księżnej Rhianmelldty.

— Od kogo? — Burgena rozejrzała się i zatrzymała wzrok na służących królowej. — Która z nich to Rhianmelldta?

Æffe zaczęła wykrzykiwać genealogię Rhegedu — chociaż ją poplątała, zapominając, że Urien od dawna nie żyje — i Hildzie przypomniał się Alt Clut i pieśni mieszkańców północy. Zaczęła się zastanawiać, czy właśnie w tej chwili ostrzą miecze i przechwalają się, kto zabije króla i jego tajemniczą bratanicę.

Matka patrzyła na nią.

— Æffe jest stara, ale ma rację. Jeśli się nie mylę, zaczniesz krwawić, nim nastanie lato. Powinnyśmy się zastanowić nad mężami.

Hilda przeciągnęła swoje pakuły przez szpikulce. Jeśli wyjdzie za mąż i opuści dwór, nie będzie już uważana za członkinię rodu Yffingów.

— Jak ci się podoba Oswine?

Hilda pochyliła się i strzepnęła z sukni pył. Oswine, syn tego zdradzieckiego borsuka, Osrica.

— Dobrze wygląda, nie sądzisz?

— Nie.

— Ma dobre widoki na przyszłość — rzekła Breguswitha cicho, bo w tle krzyczały stare kobiety. — Co byś powiedziała na poślubienie Oswine’a i zostanie, powiedzmy, panią Elmetu?

Hildzie przypomniały się kawki wśród wiązów, zadymiona halla.

— Lubię Elmet — powiedziała w końcu. — Ale król Ceredig podobno jeszcze gdzieś żyje.

A ojciec Oswine’a nie powstrzymał Fiachnae’a mac Báetáina przed usiłowaniami zabicia ich. W pewnym momencie Edwin będzie musiał albo publicznie wybaczyć Osricowi konflikt w Tinamutha, albo go zabić.

— W pewnym momencie twój wuj sprawi, że komuś opłaci się go zabić.

Hilda skinęła głową, a potem uświadomiła sobie, że matka nie mówi o Osricu, lecz o Ceredigu. Kiedy go zabraknie, Elmet dostanie własnego ealdormana — jak każda tradycja, królewskiego krewniaka. Jeśli Osric będzie wciąż żył, kiedy umrze Ceredig, Elmet przypadnie jemu.

— Czy Osric ustąpiłby na rzecz swojego syna?

— A gdyby nie musiał?

Hilda przyjrzała się matce. Spojrzenie jasnyniebieskich oczu Breguswithy było twarde, bez odrobiny tej mlecznej mgiełki, którą Hilda widziała w oczach Æffe i Burgeny. Owszem, jej palce zaczynały grubieć w kłykciach, a jej miodowozłote włosy wyglądały jak przykurzone, ale nadal były gęste, skóra na jej szyi napięta, a piersi pełne. Wciąż co miesiąc krwawiła. Gry łóżkowe to jedno, a klucze to drugie.

— Wyjdiesz za Osrica?

— Twój wuj by na to nie pozwolił.

Głos matki był głęboki, pełen sekretów. Hilda spróbowała sztuczki, której nauczyła się od Gwladus, i przyjrzała się matce przez na wpół przymknięte powieki, pochyliwszy głowę. Breguswitha uśmiechała się do siebie.

Hilda zmieniła temat.

— Czy mój wuj chciałby, żebym wyszła za Oswine’a?

Matka spuściła wzrok i powiedziała swobodnym tonem:

— Twój wuj nie będzie żyć wiecznie.

Hildzie ścisnęło się serce.

Breguswitha skinęła głową w stronę rąk córki: nie przerywaj pracy. Hilda przeciągnęła pakuły przez szpikulce. Za nimi Burgena z czegoś chichotała, a pozostałe kobiety wykrzykiwały dobrodusze zniewagi. Dziewczynka pochyliła się nieco do przodu.

Breguswitha mówiła bardzo cicho.

— W Arbei pewien Sas Zachodni wykazał się brakiem dyskrecji. Wiesz coś o tym.

To nie było pytanie. Powinna się była spodziewać, że matka będzie wiedziała, że ona wie.

— Osrice nie rozumie, jakie mu zagraża niebezpieczeństwo, chociaż jest bliskie. Lecz jedno słowo, ostrożne słowo wyszeptane do właściwego ucha, sprawiłoby, że to jajko pęknie, nim coś się z niego wykluje.

— Nie...

— A wykluje się wkrótce.

— Ale...

— Szepczecie o miłości? — krzyknęła Æffe. — Oczywiście, że tak. Pustogłowe młódki. Spójrz na te pakuły. Wyczesłaś je, aż się podarły.

Kiedy wzeszedł księżyc, Gwladus przyprowadziła Fursey'a do stajni.

— Co takiego nie może poczekać, aż skończę jeść? Resztki damaszek i świeżo ubita świnia. I nie wiem, gdzie znaleźli te jabłka, ale to były najśłodsze... — Hilda wystąpiła z cienia i na jej szczupłą, bladą twarz padło światło księżyca. — Aha. No cóż, przynajmniej jest tu ciepło.

Gwladus odwróciła się, żeby wyjść, ale Fursey zastąpił jej drogę.

— Gwladus, moja miła, przynieś nam jedzenie. Dużo jedzenia. Twoja pani to same kości; twarz ma tak ostrą, że mogłaby nią kroić ser.

— To nie...

— Bądź tak dobra i nic nie mów. Biegnij. Przynieś jedzenie i oczywiście miód, a ja cię rozgrzeszę ze wszystkich grzechów, jakie w sobie gromadzisz. — Przez chwilę patrzył za Gwladus idącą przez podwórze, już zaczynające migotać od mrozu, a potem odwrócił się do Hildy. — Usiądźmy na belach przy tym słupie. — Usiedli. — O co chodzi?

Przez chwilę nic nie mówiła. Wokół nich konie, które się rozruszały, kiedy weszła, zaczęły z powrotem zasypiać.

— Osrice wie o spisku Cadwallona przeciwko Edwinowi. O spisku, który się już zaczął.

— Zaczął?

— W Lindsey. Matka mi powiedziała.

— Powiedziała ci. Dlaczego?

— Nie wiem. — Zaciśnęła dłonie na pasku. Fursey założył, że chciałaby, żeby to była szyja jej matki. On z pewnością tego chciał. — Jeśli Edwin się dowie, że Osrice coś knuje, zabije go.

— A jeśli się nie dowie, Cadwallon zabije w końcu Osrice. On też jest Yffingiem.

— Wiem!

— Osrice jest głupi.

— Tak...

— Ale twoja matka nie.

— Chce, żebym powiedziała Edwinowi o spisku, żebym go uniemożliwiła i żebym trzymała Osrice z dala od niego.

Fursey skinął głową.

— Chce go dla siebie.

Milczenie. Wpatrywała się w słup. Jakiś stajenny albo gesith, znudzony czekaniem na swojego wierzchowca, wrył w świeżym drewnie wizerunek ogiera. Ogiera z nieprawdopodobnymi atrybutami.

— Chce, żebym przekazała Edwinowi moją wiedzę, okraszając ją znakami. Chce, żebym rozpoczęła wojnę, żeby zapewnić bezpieczeństwo temu zdradliwemu prostakowi. Tka pajęczą sieć, a ja muszę spełniać jej polecenia. Znowu.

— Ujawnienie tego spisku ocaliłoby życie wszystkim Yffingom. Łącznie z tobą. Powoli zgniatała pasek obiema rękami.

— To tylko część tego wszystkiego. Ona ma coś na celu... Nie potrafię... Dlaczego ona to robi? Dlaczego go broni? Ludzie Osrice mogli mnie zabić w Tinamutha!

— Ściśle rzecz biorąc, to byli ludzie Fiachnae'a mac Báetáina. Tak jak byłem nim ja. Jak nim jestem.

O tym zapomniała. Cóż, czasami trzeba o czymś dziecku przypomnieć.

— Przez ciebie mam zamęt w głowie.

— Świat jest pełen zamętu.

Dobyla seaksa, zerwała się i ugodziła słup gwałtownym ciosem z góry. Klacz w najbliższym boksie odwróciła głowę w jej stronę i parsknęła.

Serce Hildy waliło jak królikowi. Była taka szybka. I silna. Ostry czubek zanurzył się w wiązowym drewnie na trzy palce.

— Gdyby mnie choć poprosiła! Ale nie, wpycha mnie do kąta, gdzie nie mam wyboru.

— Tak robią kobiety: tkają sieć, pociągają za sznurki, zaganiają do kąta. To ich jedyna siła. Chyba że są jasnowidzącymi.

Był dumny, że głos mu nie drżał.

Dziewczynka masowała sobie dłonie.

— Matka zbudowała ci miejsce, w którym możesz mówić otwarcie. Teraz prosi cię, byś wykorzystała to dla niej i oczywiście dla siebie.

Na zewnątrz rozległy się czyjeś kroki na zmrożonej trawie.

Fursey odwrócił się. To była Gwladus; włożyła płaszcz dla ochrony przed zimnem, a także, jak podejrzewał, dlatego, że dzięki rdzawemu kolorowi jej włosy lśniły jak woda rozświetlona blaskiem słońca. Za nią stało dwóch służących, których nie znał. Kiedy spojrzała na nich Hilda, wzdrygnęli się. Bali się tego dziecka. Fursey nie wiedział, czy ma ich żałować, czy się cieszyć. Strach zawsze można wykorzystać.

Uniósł brwi, patrząc na Gwladus.

— Powiedziałeś, żebym przyniosła dużo. To powinno wystarczyć do otrzymania rozgrzeszenia. Dwóch rozgrzeszeń. Jednego teraz i jednego jutro za grzechy, które popełnię w nocy. — Uśmiechnęła się do siebie, głaszcząc płaszcz, a potem zauważyła seax tkwiący w słupie. Ruchem nakazała służącym postawić tace. — Załatwajcie sobie te wasze interesy.

Wyszła zamaszystym krokiem, a służący niemal nadepnęli na jej płaszcz, tak im było śpieszno zejść z oczu hægtes.

Hilda zaczęła wyciągać seax ze słupa, a Fursey zajął się jedzeniem.

— Nie jestem głodna — powiedziała, nie odrywając oczu od noża, ale zaburczało jej w żołądku.

— Oczywiście. Zrób jednak przyjemność staremu człowiekowi i zjedz mimo to. Tu jest wieprzowina z chrupiącą skórką. Miękkie i soczyste damaszki. A co to? Och,

pobłogosław, Panie, tę dziewczynę. Pieczarki smażone w świńskim tłuszczu. Orzechy laskowe z jabłkami. Dobry ostry ser. I, niech będzie po trzykroć błogosławiona, wino. — Pociągnął nosem. — Ze specjalnego składu Wrony, jeśli się nie mylę.

Hilda schowała seax do pochwy i usiadła.

— Ukradła Wronie wino?

Czyżby to był uśmiech? Podał jej kromkę chleba ze skórką obsypaną mąką, garnuszek z pastą z kasztanów — kolejny owoc rzymskiej przeszłości okolic Derwent — i brzozowy kubek ze srebrnym brzegiem.

— Lepiej wypijmy dowód.

Kiedy oparła się wygodnie plecami o belę, żeby wyssać tłuszcz z ostatniego kawałka wieprzowej skórki, księżyc stał wysoko i zrobił się mały. Fursey kończył wino.

— Wyglądasz lepiej.

Skinęła głową, wzięła z tacy ostatni orzech laskowy i go schrupała.

— Jutro — powiedziała. — Pójdę do wuja jutro przed południem, kiedy będzie otoczony doradcami.

— Zaskoczeni królowie mogą być niebezpieczni.

Dziewczynka zastanowiła się nad tymi słowami.

— Najpierw powinnam z nim porozmawiać na osobności?

Skinął głową.

— Poszukaj go, wystraszona snem. Zwoła doradców, a ty będziesz mogła mówić pewniej.

I modlić się. Modlić się, żeby nikt nie okazał się dość sprytny, by spojrzeć poza dziewczynkę na jej matkę i drzemącą w niej straszliwą ambicję.

Hilda przyglądała się sobie w wypolerowanym srebrze.

— Więcej dzikości wokół oczu — powiedziała i opuściła zwierciadło, a Gwladus szybkimi pociągnięciami palca wtarła w jej dolne powieki popiół.

Tym razem król nie był zdezorientowany i nie znajdował się z dala od domu. Tym razem miał nową żonę i był zadowolony. Hilda będzie potrzebowała wszystkich znaków, jakie będzie umiała przywołać. A sny były najpotężniejszymi z nich.

— Zaczekaj — powiedziała Gwladus. — Nie ruszaj się. — Zanurzyła nadgryzioną gałązkę w dzbanku z wodą i zręcznym ruchem dotknęła nią śladów popiołu. Raz, dwa razy. — Spójrz na to — rzekła z wielkim zadowoleniem.

Hilda spojrzała. Wyglądała jak zapłakana dziewczeczka, która nie może spać, przygnieciona ciężarem wiedzy. Uśmiechnęła się.

— Nie uśmiechaj się, bo wyglądasz na szaloną.

Hilda spojrzała na nią.

— Mogłabyś doprowadzić do drżenia dolną wargę. No, spróbuj.

Hilda uniosła zwierciadło i spróbowała. Gwladus miała rację. Drżenie wargi zmieniło ją z wariatki w przestraszoną dziewczeczkę.

Gwladus kunsztownie potargała jej włosy i ubrała w ciężką szkarłatną szatę; Hilda wyglądała jak obraz jasnowidzącej królewskiej krwi, która wyskoczyła ze swego królewskiego łóżka, by ostrzec króla.

Wyszła z pokoju stanowczym krokiem, wołając Burgmoda.

Edwin siedział z nieuczesaną brodą na stołku w swojej sypialni. Na tunikę do spania narzucił płaszcz, chociaż nie było zimno, ponieważ królewski ogień nigdy nie wygasał.

Hilda stała, lecz nie za blisko niego. Nawet niechlujnie ubrani i rozbudzeni zaledwie na tyle, by zachować czujność, królowie nie lubią, jak ktoś nad nimi stoi — nawet ich krewni. A zwłaszcza krewni. Czy królowa słucha ze swojego łóżka za zasłonami? Na wszelki wypadek Hilda musi mówić głośno.

Powiedziała, że śniły jej się orły podobne do orłów Gwyneddu, które miały gniazdo nad Lindum, i że jeden z orłów wypchnął brata z gniazda.

— Cadwallon?

W tym śnie mknęła przez powietrze obok kawki, która wleciała w świeżo ufarbowany czerwony materiał wiszący obok bramy Lindum i ubrudziła sobie dziób na czerwono.

Edwin zmarszczył brwi.

— Zwykły ptak wplątuje się w królewski szkarłat, królu. W Lindum.

— Cuelgils! Ten nadęty ceorl. Spiskuje z Cadwallonem.

Hilda skłoniła się.

— Mów dalej, mów dalej.

I wtedy się obudziła i usłyszała wiadomość, że padł najmłodszy byczek vill, „ten koloru wątroby jak Byk Lindsey, królu”, a niektórzy przysięgali, że widzieli wokół zagrody tropy dzika. To ostatnie było prawdą, a przynajmniej śmierć byczka; powiedziała jej o tym Gwladus.

Edwin odwrócił głowę i zawołał:

— Forthere!

Olbrzymi gesith wsunął głowę przez drzwi. Hilda dostrzegła za nim Burgmoda, który drapał się po karku, przesunawszy hełm na nos.

— Czy najmłodszy byczek nie żyje?

— Byczek, królu?

— Byczek. Urodzony wczoraj. Żyje czy nie? Dowiedz się.

Służba zorientowała się, że król obudził się wcześniej, i pośpiesznie przynosiła gorącą wodę, pieczywo oraz śniadaniowe piwo. Jeden z mężczyzn zsunął płaszcz z królewskich ramion, a drugi rozsznurował mu tunikę. Zarost na jego piersi połyskiwał tu i ówdzie siwizną. Wzdłuż żeber po lewej stronie biegła wyraźna, zakrzywiona blizna od ciosu włócznią.

Nachmurzona twarz króla zniknęła na chwilę pod świeżą tuniką, którą służący włożył mu przez głowę.

Nikt niczego nie zaproponował Hildzie.

Po włożeniu kurty Edwin sprawiał wrażenie o wiele czujniejszego. Kiedy służący czesał mu brodę, Forthere znowu wsunął głowę przez drzwi.

— Zdechł, królu. I jałówka urodzona razem z nim też.

Edwin odepchnął służącego i spojrział na Hildę.

— Jałówka?

— Ona nic nie oznacza.

Obdarzył ją przebiegłym spojrzeniem.

— Ważny jest byczek, królu. Byczek koloru Byka Lindsey.

— Jeżeli się nie mylisz.

— Czy kiedykolwiek się myliłam?

— A zatem Cadwallon sprzymierza się z Cuelgilsem, żeby podburzyć Lindsey. —

Popatrzył w ogień, zastanawiając się. — A jednak z Gwyneddu nie wyruszyły żadne wojska.

— Jeszcze nie.

— Jest zima.

Było jasne, co chce powiedzieć: jeśli teraz poprowadzi wojenny oddział do Lindsey i niczego tam nie znajdzie, to nie będzie miał łupów do podziału między swoich gesithów. Będzie musiał ich obdarować, sięgając do swojego osobistego skarbcza. Straty odbije sobie na niej.

— Wojska Gwyneddu przybędą do Lindsey na wiosnę. Jeśli Cuelgils wciąż będzie rządził.

Długie milczenie przerywał tylko trzask płomieni liżących drewno świeżo dołożone do ognia. Edwin patrzył na Hildę.

— Ile masz teraz lat?

— Jedenaście, królu.

— Chcesz, żebym popędził do Lindsey, kierując się snem jedenastoletniej dziewczynki... — To nie było pytanie, a w każdym razie Hilda nie miała żadnej odpowiedzi. Po prostu stała. — Kiedy więc spadnę na Lindsey i wszystkich wyrznę, to skąd będę wiedział, czy miałaś rację, czy nie?

Hilda nie miała pojęcia.

— Będiesz wiedział.

I teraz jej życie zależało od informacji jej matki.

Jedenastoletnia dziewczynka. Dziecko.

Otrzymawszy oficjalne wezwanie do królewskiej halli, przepasana kobieta z welonem uniosłaby piersi, obwiodła na ciemno oczy i zacisnęła pasek, by podkreślić krągłość bioder i wiszące u nich symbole jej pozycji: klucze, kryształ i przybijaczkę.

Świetnie.

Hilda odpięła rękawy, by pokazać ramiona opalone i mocne jak u chłopaka, włożyła lekki płaszcz w królewskim kolorze błękitu i odrzuciła go do tyłu, jak robią to gesithowie, a włosy założyła za uszy, żeby przypominać wojownika z włosami przygładzonymi tłuszczem.

Kiedy Lintlaf i Coelfrith zaprowadzili ją do halli, zatrzymała się w odległości czterech kroków od wielkiego tronu Edwina, o krok dalej niż zwykle, żeby stanąć w snopie zimowego światła, dzięki któremu jej włosy lśniły jeszcze bardziej kasztanowo niż włosy króla. Stała wyprostowana — teraz była już wyższa od wszystkich oprócz Forthere'a — i nasyciła każde swoje słowo królewską pewnością siebie: Cuelgils to zdrajca. Wspomnijcie na Bebbanburg. Wspomnijcie na zdradę.

— Zajmiemy Lindsey — rzekł Edwin; nie podniósł się ani jeden głos sprzeciwu.

Tym razem nie było wozów, kobiet ani worków z pięknymi strojami na pokaz. Było

za to dwustu gesithów odzianych w żelazne bogactwa, ich wierzchowce i luzaki, sto psów bojowych, stu służących na własnych koniach, kowal płatnerz i pięćdziesiąt koni jucznych. Tym razem jedli w siodle i spali owinięci w derki, a zwiadowcy mieli rozkaz zabijać każdego — Angla czy wealh, mężczyznę, kobietę czy dziecko — kto ich ujrzał. Cały czas mżyło; jechali obsypani klejnocikami deszczu. Drugiego dnia wjechali na obszar Lindsey.

Wszędzie było błoto. Konie w nim grzęzły. Lekka Hilda nie obciążała wierzchowca tak bardzo jak większość jeźdźców, ale mimo to, kiedy dotarli do płytkiej doliny rzeki Trent, czuła, jak Cygnet pod nią drży, tak jak drżały jej własne uda i bolały nadgarstki.

Rzeka lśniła matowo jak cyna. Gęste lipowe lasy tworzyły ciemne plamy wzdłuż jej brzegów. Zwiadowcy chyba kogoś przeoczyli: mieszkańcy Lindsey najwyraźniej mieli dość czasu, by drzewa na zachodnim brzegu rzeki powalić z gałęziami skierowanymi ku drodze, a na wschodnim utworzyć ścianę z tarcz.

Nortumbrianie wybuchnęli śmiechem. Ściana z tarcz miała szerokość zaledwie dwudziestu tarcz i głębokość trzech, a droga była tylko trochę zatarasowana, ponieważ miejscowi zdołali ściąć jedynie małe drzewa.

Edwin zarządził postój na tyle długi, by wytrzeć twarze i zjeść kawałek dwukrotnie pieczonego chleba podróznego; pięćdziesięciu gesithów i wealh zsiadło z koni, by oczyścić drogę i nałożyć psom wojenną uprząż. Z lasu dołączyli do nich zwiadowcy.

Kiedy wealh pracowali z końmi, pięćdziesięciu gesithów utworzyło tarczę przeciwko łucznikom ustawioną frontem do lasu. Nie pojawiły się żadne strzały. Lilla wymienił spojrzenia z królem.

Konie grzebały nogami i parowały, a gesithowie, którzy nie mieli nic do roboty, śmiali się i głośno rozmawiali, chociaż niektórzy pobledli. Wszyscy ostentacyjnie pokazywali, że jedzą, chociaż tak naprawdę tylko nieliczni żuli chleb i przełykali. Wielu rzuciło go psom, które o niego walczyły. W szumie deszczu odgłosy te raziły gwałtownością.

Hilda żuła swój chleb. Usta miała wyschnięte na wiór. Żuła jednak uparcie i udało jej się przełknąć jeden kęs. Uniosła rękę, żeby resztę rzucić psom, ale zmieniła zdanie. Niektóre z nich już krwawiły; spływały w deszczu czerwienią, stojąc w różowych kałużach.

Napiła się piwa z flaszki, która wisiała u łęku siodła, i znowu zmusiła się do żucia i przełknięcia. Dziwnie się czuła, jakby to ktoś inny unosił chleb, gryzł go i przełykał, jakby ktoś inny ostrożnie otworzył sakwę i schował w niej pozostały chleb. Jakby ktoś inny poluzował seax w pochwie, jakby ktoś inny przyglądał się opadłemu listowiu i pomyślał, że jest piękne.

Ktoś położył dłoń na szyi Cygnet. Lintlaf, bez konia.

— Król chce, żebyś została po tej stronie z wealh i końmi — rzekł. Hilda skinęła głową. Większość gesithów zsiadała z koni. — Nie próbuj walczyć. To nie jest jak walka na noże. Nie masz pojęcia... Będzie cię strzec Forthere ze swoimi ludźmi. — Znowu skinęła głową. — Forthere jest zły.

Tak było. Lintlaf i reszta wojowników sprawdzali broń, psy siedziały w pełnej napięcia ciszy, a Forthere wykręcał koniowi głowę na wszystkie strony i krzyczał na

wealh, żeby przestali, na Thunora, wymachiwać rękami i schowali się z końmi za drzewami, i to ze wszystkimi końmi, bo inaczej każdemu niefrasobliwemu tchórzliwemu durniowi odrąbie lewą nogę.

Hilda zajechała mu drogę.

— Jesteś zły na swojego konia, Forthere?

Skinęła głową w stronę śliny kapiącej z jego wędzidła.

— Ty...

Zaczął się mienić na twarzy, ale ona była jasnowidząca, która ocalała Bebbanburg, była bratanicą króla. To z jej powodu tu się znaleźli.

Skinęła głową.

— Ja. — Rozumiała jego gniew. Forthere, olbrzym Forthere, był przyzwyczajony do działania w straży przedniej, biegnięcia pod sztandarem lub niezłomnego stania za tarczą, a nie pilnowania bagażu. — Niemniej jednak zważaj na swojego konia.

Poluzował nieco wodze.

— Trzymaj się za wealh, za końmi, za mną. Jeśli stracisz choćby rzęsę, król obetnie mi uszy. — Uniósł dłoń wielkości szynki, włożył dwa palce do ust i gwizdnął. Jeden z gesithów podniósł wzrok i Forthere przyzwał go ruchem dłoni. — To jest Eamer. — To był ten rudzielec z mięśniami jak postronki, którego Hilda zauważyła w Brough; teraz dosiadał chudego karego wałacha. — Przyłgniesz do niego jak miód do chleba — powiedział do niej Forthere, a potem zwrócił się do Eamera: — Dokądkolwiek się uda, udasz się za nią. Nawet na siku. Ty, ona, aż ci z Lindsey będą martwi.

Królewski dobosz zaczął wybijać rytm. Obaj mężczyźni na chwilę zeszytnieli jak wystawiające psy, a gesithowie utworzyli dwie grupy. Forthere otrząsnął się i zebrał wodze.

Hildzie ścierpła skóra na głowie. Bitwa, ściana z tarcz naprzeciwko ściany z tarcz. Lipowe drewno naprzeciwko lipowego drewna. Wyobraziła sobie starcie z mężczyzną postury Forthere'a, zjeżonego bitewnym szałem, przesiąkniętego nim; śliniace się i warczące psy u jej nóg, u rąk. Ostre miecze siekące w dół, roztrzaskujące tarcze, miażdżące czaszki, odcinające twarze. Mężczyzn, którzy przysięgli dochować wierności panu albo zginąć. Zwycięstwo albo śmierć, żadnego kompromisu. Śpiewali, żeby się nie zsiakać.

Forthere odjechał galopem, już coś krzycząc.

— Pani — odezwał się Eamer i cofnął konia, żeby Cygnet mogła ruszyć w stronę miejsca wyznaczonego wśród lip dla wierzchowców.

Dwa oddziały gesithów znajdowały się do pół łydki w rzece, psy już płynęły. Hilda cieszyła się, że nie ma wyboru i musi się ukryć wśród drzew, ukryć się przed krwią i wściekłością, przed zabijaniem. Ścisnęła Cygnet nogami, by klacz ruszyła do przodu.

Bęben umilkł. Hilda obróciła się w siodle. Gesithowie znajdowali się w połowie rzeki i woda dochodziła im do piersi, a dobosz trzymał bęben wysoko nad głową. Gesithowie śpiewali dla dodania sobie animuszu; jedna grupa skierowała się w górę rzeki od mieszkańców Lindsey, a druga w dół rzeki od nich.

Między drzewami rozciągnięto liny dla koni. Hilda zsunęła się z siodła; w chwili, kiedy dotknęła stopą ziemi, umilkły wszystkie odgłosy rzeki oraz śpiew gesithów.

Zniknęły jako nożem uciął. Zamrugnęła. Wciągnęła się z powrotem na siodło — śpiew urósł do ryku, jakby z wozu staczały się kłody.

— Pani.

Zsiadła z konia. Dźwięki zniknęły.

— Dźwięki...

— Dźwiękowy cień — rzekł Eamer. — Dłoń boga. Tak mówią. Ale ja lubię słyszeć, co się dzieje.

Zanim zsiadł z konia, zarzucił na plecy lipową tarczę.

Hilda poluzowała popręg Cygnet, podała wodze służącemu i wyteńczyła słuch: tylko szmer rozmów wealh, głośny rozkaz wydany przez Forthere'a dziesięciu gesithom na skraju zagajnika i kapanie deszczu wśród drzew. Dziewczynka usiadła na porośniętym mchem wapiennym głazie w kształcie wielkiego kapelusza grzyba. U jego podstawy rosła paproć. Hilda odchyliła głowę i przyjrzała się nagim gałęziom lipy. Gdyby wyprostowała się na całą wysokość, mogłaby dotknąć jednej z nich.

Drzewo, z którego robi się tarcze, i dziewczynka, której imię znaczy „bitwa”. Mimo to drżała.

Któryś z koni tupnął. Hilda i wealh podskoczyli. Gesithowie Forthere'a roześmiali się.

Deszcz chyba ustawał. Z drzew odezwało się kilka ptaków. Chcąc usłyszeć je lepiej, Hilda zdjęła kaptur. Nie rozpoznała ich.

— Ile to potrwa?

Eamer oparł włócznię o głaz, zdjął hełm i podrapał się w głowę.

— Kiedy dowodzą głupcy, mędrcy niczego nie przewidują.

— Głupcy?

Na powrót włożył hełm i ujął włócznię.

— Czy wojna interesuje cię, pani?

Nigdy jeszcze żaden gesith o nic nie zapytał Hildy. Spojrzała na niego świeżym okiem, na jego broszę z Gewisse.

— Dzisiaj tak.

— A zatem mieszkańcy Lindsey powinni ściąć drzewa po drugiej stronie rzeki, gdzie musielibyśmy się na nie wspinać już zmęczeni przeprawą, w ciężkich mokrych ubraniach, ślizgając się w błocie. Albo mogliby ukryć łuczników po tej stronie i strzelać do każdego, kto wszedł na ścieżkę. To głupcy.

Hilda zastanowiła się nad jego słowami.

— Dlaczego jest ich tak mało?

— Prawdopodobnie większość z nich strzeże w Lindum złota. Gdyby... — Przerwał i przełożył tarczę z pleców do ręki. — Na ziemię. Zejdz na ziemię. Za ten głaz.

W jego tarczę uderzyła strzała. Hilda nie mogła oderwać od niej wzroku. Jeszcze jedna wpadła z sykiem w paproć u jej stóp i wtedy dziewczynka zerwała się na nogi, podskoczyła i wspięła się wysoko na drzewo. Złapała równowagę na śliskim gładkim konarze; rękoma oplatała pień, a serce waliło jej jak młotem.

Zerknęła w dół na polanę. Wszyscy ruszali się jak muchy w mazi.

Eamer zmiotł strzałę z tarczy drzewcem włóczni. Złamana strzała odpadła, wirując

leniwie jak nasionko mlecza, i wylądowała na mchu wieńczącym głaz, dokładnie pod Hildą. Lotki miała z gęsich piór.

Drzewo na tarcze, gęsie pióra. „Część twojej wyrd”.

Parsknął któryś z koni, inne odpowiedziały mu rzeniem, a potem rozległo się rzenie gdzieś dalej. Krzyczeli ludzie. Głosy falowały, były nierzeczywiste. Hilda wpatrywała się w gęsie pióra lśniące bielą i beżem na jasnej zieleni omszałego głazu.

Z lasu zasyczały następne strzały. Ludzie padali.

Na polanę wbiegli ludzie z Lindsey.

— Tarcze! — krzyknął Forthere.

Nortumbrianie — którzy nie leżeli na zielonej ziemi ze strzałami sterczącymi z piersi — złączyli tarcze; napastnicy rozdzielili się wokół nich jak woda, przeskakując nad zabitymi.

— Złamać szyk! — zawołał Forthere i wszyscy gesithowie rzucili się biegiem za napastnikami.

W stronę krańca polany pod drzewem Hildy.

— Śmierć! — ryknął Forthere i uderzył tarczą w głowę jednego przeciwnika, a włócznią drugiego.

Żelazo zadzwęczało z taką siłą, że zatrzęsło się drzewo. Grot włóczni Eamera trafił wojownika w okrągłym skórzanym hełmie pod szczęką i wyszedł przez policzek. Eamer potrząsnął mężczyzną jak martwym szczurem na kiju, a potem zaklął, cisnął go wraz z włócznią na ziemię i dobył miecza. Wrogowie ścigani przez gesithów przebiegali obok głazu. Hilda na wpół spadła, na wpół zeskoczyła z drzewa, wrzeszcząc jak patroszony koń i błyskając seaksem.

Ktoś na nią wpadł, a potem ktoś inny podniósł ją i rzucił za skałę.

Wealht chwytali konie odwiązane przez mieszkańców Lindsey i zabijali te z podciętymi ścięgna. Forthere pytał Hildę głośno i z niepokojem, czy nic się jej nie stało. Dziewczynka wytarła krew z twarzy wilgotnym liściem szczawiu i pokręciła głową. To nie była jej krew, tylko tych, którzy walczyli nad nią jak wściekłe zwierzęta, kiedy leżała bez czucia.

Jakiś czas później to Eamer kiwał głową, a Forthere krzyczał. Z tej odległości widziała, że jego hełm został wgnieciony nad uchem. Eamer nie słuchał: nogą przyciskał twarz martwego wroga i usiłował wyrwać z niej swoją włócznię. Mimo to Forthere wciąż krzyczał:

— ...do niej jak rzep. Jak rzep. Na brodę Wodena, chodziło im o nią. O tę dziewczeczkę. — Eamer wyciągnął włócznię z paskudnym mlaśnięciem. — Król chce, żeby się znalazła na wschodnim brzegu. Jeśli cenisz swoje uszy, dostarcz ją tam bezpiecznie.

Na trawie leżało trzykroć po dwudziestu poskręcanych, poranionych mężczyzn. Garstka ludzi Edwina została ułożona porządnie na skraju pola z mieczami u boku, przykryta ich płaszczami i tarczami. Kilkunastu mieszkańców Lindsey poruszało się, jęczało i wołało o wodę. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Ich głosy przenikały Hildę do szpiku kości. Skupiła wzrok między uszami Cygnet, która wraz z wałachem Eamera kroczyła ostrożnie po stratowanym, śliskim terenie do skózanego namiotu, gdzie głęboko w ziemię wbito drzewce królewskich sztandarów.

Gesithowie znaleźli piwo. Jeden z nich, pozbawiony palca i z udem zbryzganym krwią, śmiał się i sikał do ust zabitego.

Na myśl o wejściu do królewskiego namiotu pełnego mężczyzn, którzy właśnie zabili innych mężczyzn, kręciło jej się w głowie. Powiedziała sobie w duchu, że Eamer też przed chwilą kogoś zabił, ale i tak polecenie wydała mu drżącym głosem:

— Zostań tu.

Przy wejściu do namiotu stał król bez hełmu na głowie; w jednej ręce trzymał nagi miecz, który opierał czubkiem o ziemię, a w drugiej puchar. Lilla, wciąż w hełmie i czerwony od krwi, stał pośrodku namiotu, gdzie do centralnego słupka byli przywiązani dwaj krótkowłosi mężczyźni. Jeden z ludzi Lilli stał pod ścianą namiotu, ostentacyjnie nic nie widząc i nic nie mówiąc. W namiocie panował fetor.

Edwin się uśmiechał. Kolczuga wokół jego łokcia była zlepiona krwią.

— Jeśli się pośpieszymy, droga do Lindum będzie stała otworem, a straciliśmy zaledwie jedenastu ludzi.

— Jedenastu ludzi po tej stronie, królu — rzekł Lilla.

Edwin nie zwrócił na niego uwagi i powiedział do Hildy:

— Miałaś rację. — Pokazał ruchem podbródka na związanych mężczyzn. — Walijczycy.

Obaj zwisali w więzach. Jeden z nich był tak mocno pobity, że nie poznałaby go rodzona matka. Prawy bok tego bliżej Hildy był przesiąknięty krwią z niewidocznej rany. Zapewne spod pachy. Hilda wiedziała z pieśni, że to dobre miejsce do zadania ciosu wojownikowi w zbroi. On jednak nie miał zbroi, tylko kraciasty płaszcz.

Hilda go знаła. Nagle zobaczyła go wyraźnie w pamięci: więzowy las, gdzieś w oddali gęsi, ten mężczyzna stojący z bratem w halli Cerediga. „Masz włosy ojca”. A potem: „Przybędzie Edwin Wężobrody”.

„Gwynedd. Marro. Cadwallon”.

Żałowała, że nie może pobiec na górę i położyć się do łóżka z Hereswithą, żałowała, że nie będzie tam Onneny, która wycesałaby jej włosy. Zmusiła się do postąpienia kroku do przodu. Skinęła głową w stronę mężczyzny pobitego do nieprzytomności.

— Umrze od tych ran? — zapytała Lillę.

— Nie. Chociaż nie będzie już ładny.

Hilda zwróciła się do Edwina.

— Królu Edwinie, wuju. To są ludzie samego Cadfana. — Zauważyła, że drgnął z zaskoczenia, co ukrył, unosząc puchar. — Ten zakrwawiony umrze. Pobity nie może mówić. W każdym razie nie będzie mógł mówić jeszcze przez jakiś czas. Daj mi go, to ten pierwszy przemówi, zanim umrze.

Oczy Edwina zaślniły zielenią.

— Nie mamy czasu na zakłęcia i ofiary.

— Nie.

Cisza.

— No dobrze.

Machnął pucharem, jakby sprawa nie miała znaczenia, i podszedł do poły

zasłaniającej wejście, żeby porozmawiać z Coelgarem.

Hilda odwróciła się do zakrwawionego mężczyzny. Obserwował ją. Powiedziała szybko po brytyjsku, bo wiedziała, że Lilla ledwie rozumie ten język:

— Nadal mam włosy mojego ojca i wuja. A wąż przyszedł do ciebie. Nie, nic nie mów. Nie masz czasu. Umierasz, Marro. — Na dźwięk swojego imienia Marro poruszył się. — Ty umierasz, ale twój brat — teraz szarpnął się w więzach; dobrze się domyśliła — twój brat będzie żył, jeśli tego dopilnuję, jeśli powiesz mi prawdę. Król Cadfan umiera, tak czy nie?

— Kim jesteś?

Jego głos ledwie się wznosił ponad szept, ale był to ten sam głos co przed laty.

— Jestem światłem króla.

Zamrugął, jakby nie najlepiej widział.

— Jesteś prawdziwa?

Dotknęła kciukiem jego czoła.

— Powiedz mi, czy Cadfan umiera?

— Tak.

— A królem będzie Cadwallon.

— Faktycznym królem jest już teraz.

— I z kim spiskuje?

Długie milczenie.

— Nie jesteś człowiekiem. Jesteś demonem?

— Jestem światłem króla. — Światłem króla. Drżącym liściem króla, ukrywającym się wysoko na drzewie. — Z kim spiskuje Cadwallon?

— Zapewnisz mojemu bratu bezpieczeństwo, demonie, przyrzekasz?

— Przyrzekam. Z kim?

— Z Eanfrithem Idingiem. Z princepssem Cuelgilem. Z Neithonem z Alt Clut. Z Eochaidem Buidem z Dál...

— Kłamiesz — przerwała mu Hilda. — Alt Clut i Dál Riatanie nigdy nie zawarliby sojuszu.

— Odpowiednia ilość złota potrafi stworzyć... — Zakaszłał. Jego tunika zalsniła od świeżej krwi. Miał nią przesiąknięte opadające nogawice. — Najdziwniejsze pary...

— Cadwallon nie ma tyle złota.

— Ma je zwierzchni król Edwin, nawet jeśli zostanie podzielone między siedmiu panów.

Jego głos ledwie szemrał jak poruszone delikatnym podmuchem wiatru wierzbowe witki.

— Siedmiu?

Zamknął oczy. Potrząsnęła nim delikatnie.

— Mówiłeś o siedmiu panach. Kto jeszcze? Kto jeszcze, Marro?

Nie była pewna, ale pomyślała, że ten dziwny dźwięk, który wydał, to może być śmiech.

— Ty wiesz. Tak blisko ciebie. I Dunod...

— Dunod z Craven? — Wydał bardzo długie westchnienie. Nie zamknął oczu. —

Marro?

Dmuchięła mu w oczy. Nie zamruęał.

Cofnęła się.

— Nie żyje — powiedziała do Lilli. — Przywiąż tego drugiego do siodła. Kiedy już będziemy mieli konie. Zapewnij mu bezpieczeństwo.

Coelgar podniósł połę namiotu, żeby król mógł wyjść. Do wnętrza wlały się jęki mieszkańców Lindsey.

— Za mną — powiedział Edwin przez ramię do Hildy.

Lilla złowił spojrzenie swojego słuęącego pod ścianą namiotu, pokazał na Walijczyka i wyszedł za królem.

Eamer poszedł w ich ślady.

Po drodze Edwin i Coelgar rozmawiali o koniach i zapasach, a Lilla chciał wycierać krew na kolczudze, ale tylko ją rozmazywał. Odęłosy cierpienia rannych były straszne, o wiele głośniejsze niż przedtem. Nie zauważał tego chyba nikt oprócz Hildy.

— Dlaczego ich nie zabijają? — zapytała Eamera.

Wojownik wzruszył ramionami.

— To zadanie dla wealh, a oni są po drugiej stronie rzeki. Albo dla kobiet.

G

To nie było jak poderżnięcie gardła prosięciu. Prosię nie patrzyło jej w oczy.

Po pierwszym, po rzucaniu się, dławieniu i krwi, Hilda wytarła ręce w trawę i poprosiła Eamera, żeby jej znalazł krótką włócznię. Przyniósł jej włócznię z odłamanym w połowie drzewcem. Jasne jesionowe drewno było ciepłe. Hilda pochyliła się nad drugim mężczyzną; leżał zwinięty na boku z nogą niemal odciętą w kolanie.

— Leż spokojnie, to sprawię się szybko — powiedziała.

Zdjęła mu hełm, poszukała kciukiem miękkiego miejsca u podstawy czaszki, przyłożyła do niego grot włóczni i jednym pchnięciem zadała śmierć.

To było trochę jak wbijanie szpikulca w pieczeń, żeby sprawdzić, czy jest gotowa. Ten sam trzask przerywanej skóry, a potem mocne pchnięcie przez odporne ciało. Jednak wyciekający płyn był czerwony, nieprzezroczysty, a i zapach bardzo się różnił: odchody, rdza i błoto.

Wokół niej ludzie zaczęli wołać głośnie, jedni chcieli być następni, a inni mówili, że to tylko złamana noga, gdyby tylko ją obwiązała i przyniosła wodę...

Hilda poruszała się w pęcherzu ciszy, we własnym dźwiękowym cieniu, lecz po trzecim człowieku spostrzegła, że postępuje za nią grupka gesithów. Nie zwracając na nich uwagi, przykłęła przy czwartym rannym i zaczęła się mocować z jego hełmem. Jęczał jak człowiek we śnie, ale Hilda uznała, że zapewne już niewiele czuje. Trudno było to ocenić; nie miał połowy twarzy. Gesithowie za jej plecami rozmawiali stłumionymi głosami.

„Znała... Znała imię tego Walijczyka... Wiedziała, że są braćmi... Wszystko przewidziała... Nagle zniknęła... Spadła z nieba jak orzeł... Nie zginęła, nawet kiedy z zasadzki zaatakowało dwudziestu, dwakroć, trzykroć po dwudziestu mieszkańców Lindsey... Czyż nie ocaliła ich w Bebbanburgu?... Ma prawdziwy wzrok”...

Na skraju pola krzyknął jakiś mężczyzna; w jego brzuchu ryła locha.

— Eamerze, proszę cię. Zabij go.

— Pani, muszę zostać u twego...

— Proszę.

Inny gesith dobył miecza, pobiegł na skraj pola i zadał trzy szybkie ciosy, a potem rzucił bryłą ziemi w lochę. Odbiegła kawałek, chrząkając.

Gesith wrócił biegiem.

— Nie żyje, pani.

— Dziękuję.

Kolejny gesith dobył miecza, a po nim jeszcze jeden. Patrzyli na nią, jakby prosili o pozwolenie.

— Wam też dziękuję.

Rozeszli się po polu, wznosząc i opuszczając miecze. Zabijanie na prośbę jasnowidzącej było zadaniem odpowiednim dla gesithów.

Hilda zgięła się w pół i zwymiotowała piekącą żółcią, a potem, szlochając, zabiła człowieka, który leżał u jej stóp.

Ruszyli pośpiesznie do Lindum, zostawiwszy swoich rannych z garstką wealh, którzy mieli się nimi opiekować, a także odebrać martwym wrogom broń i zbroje. Z oczu Hildy wciąż ciekły łzy. Lilla zwolnił, przepuszczając jeźdźców przed sobą, i podał jej swoją flaszkę. Miód.

— Picie pomaga.

Jakiś czas później Hilda miała już suche oczy. Niedługo potem konie przeszły do stępa, a od czoła kolumny nadeszła wiadomość: król wzywa dziewczkę. Hilda pogalopowała do przodu wraz ze swoim cieniem, Eamerem. Za nimi pogalopowali inni — gesithowie z pola. W sumie dziewięciu.

Mijani przez nich wojownicy śpiewali wesołą, sprośną pieśń. Niektórzy trzymali tyczki z nabitymi na nie głowami mieszkańców Lindsey. Nie wyglądały jak głowy ludzi. Hilda udawała, że nie są ludzkie.

Kiedy się zbliżali do króla, Lilla położył dłoń na mieczu. Hilda skinęła głową do Eamera, który gestem nakazał jej gesithom, by nie podjeżdżali bliżej, i sam z nimi został, kiedy Hilda zrównała się z królem.

— Zbliżamy się do Lindum — rzekł Edwin. — Co tam zastaniemy?

Jeźdźcy znajdujący się w pobliżu nachylili się, by lepiej słyszeć. Zaskrzypiała skóra. Hilda miała pustkę w głowie; pamiętała tylko wrażenie wywoływane przez żelazo, z trudem przedzierające się przez mięśnie i chrząstki. Pokręciła głową.

W oczach Edwina zafalowały zieleń i czerń.

— Jesteś jasnowidzącą. Powiesz swojemu królowi.

Hilda patrzyła na niego z umysłem gładkim jak woskowa tabliczka.

Ścisnął konia łydkami, a potem ostro ściągnął wodze.

— Znałaś tych mężczyzn w namiocie. Nie mogłaś ich znać, ale znałaś. Lilla powiedział, że zaczarowałaś ich tak, że rozmawiali z tobą. A teraz zaczarowałaś moich własnych ludzi, że chodzą za tobą jak szczenięta. Więc powiedz mi albo, na Wodena, wrzucę cię do rzeki z językiem i palcami nóg w woreczku wiszącym ci u szyi.

Zrobiłby to. Tego dnia widziała dosyć, by być tego pewna. Kto miałby go

powstrzymać?

Świat zaczął się obracać z sykiem. Ziemia wydawała się bardzo odległa. Trzymała się łąku siodła. Gdyby teraz spadła, Edwin by ją zabił. Musi wytrzymać.

Wytrzymała.

Nieważne, że miała pusty żołądek, że pchnęła włócznią czterech mężczyzn i zdmuchnęła ich życie, jakby to to były chwiejne płomyki świec. Nieważne, że była nieprzepasaną dziewczeczką w wojsku mężczyzn, którzy sikali trupowi do ust i zostawili rannego trzymającego własne trzewia, bo pomagać miały kobiety.

Jestem światłem, pomyślała. Nie jestem dziewczeczką. Jestem światłem. Zimnym jak miecz. Nie okażę słabości.

Pozbyła się uczuć, jakby pozbywała się odzienia. Nic ją nie bolało. Nie musiała jeść, nie troskała się o życie. Oddychała swobodnie.

Uniosła głowę.

— Królu Edwinie, przeciwko tobie stoi siedmiu panów. — Siedem, liczba przesiąknięta wyrd. — Nie znam wszystkich imion. Jeszcze.

Przyjrzał się jej, a potem odwrócił się do Coelgara.

— Niech ludzie dalej jadą stępą. Lilla, ze mną. Nie — powiedział do Eamera, a potem do watahy gesithów, którzy przyjechali za Hildą. — Wy, ogary, zostajecie. — Zwrócił się do Hildy. — Jedziemy.

— Kłamiesz — powiedział, kiedy ich konie przeszły pięćdziesiąt kroków. — Och, nie w sprawie imion, które mi podałaś: Cadwallon z Cuelgilsem, Eanfrithem, Neithonem i Eochaidem. Ależ musiał im obiecać złota za ten nienaturalny sojusz! Nawet Dunod. Nie, one są prawdziwe. Ale czegoś mi nie mówisz. — Postukał paznokciem kciuka w zęby, zastanawiając się. — Zasadzka na ciebie została przygotowana na zachodnim brzegu. Dwudziestu mężczyzn. Dla ciebie. Dlaczego?

— Okup?

— Spójrz na siebie. Co jesteś warta jako bratanica?

Jako tkaczka pokoju więcej niż ætheling. Lecz Hilda nie zadała sobie trudu, żeby to powiedzieć.

— Nie powinnaś była pozwolić temu Walijczykowi umrzeć, zanim podał ostatnie imię.

— Ludzie umierają, wuju.

— A tego nie potrafisz, co? Sięgnąć swoim światłem poza śmierć.

W tym dziwnym, zimnym i odległym miejscu, w jakim się umieściła, Hilda zadała sobie pytanie, co zrobiłby Edwin, gdyby powiedziała, że potrafi sięgnąć wzrokiem do królestwa zmarłych. Uwierzyłyby jej. Wszyscy jej wierzyli bez względu na to, co mówiła.

Znowu usłyszała szept Marro. „Ty wiesz. Tak blisko”. Rzeczywiście znała albo potrafiła się domyślić tego siódmego imienia: Osric. Był Yffingiem, mężczyzną w sile wieku z niemal dorosłym dziedzicem. Gdyby Edwin zmarł nazajutrz, połowa królestwa stanęłaby po stronie Osrica przeciwko młodym æthelingom. Lecz zdradzenie Osrica oznaczało zdradzenie Breguswithy.

— Cóż, wkrótce dowiemy się prawdy od samego Cuelgilsa — rzekł Edwin.

Zajęli Lindum przed æfen. Lindum, miasto garbarzy i foluszników od pokoleń

śmierdzące starym moczem i garbowaną skórą, teraz śmierdziało krwią.

Edwin i jego doradcy, każdy z własnym służącym, siedzieli przy porysowanym marmurowym stole należącym niegdyś do Cuelgilsa. Hilda, która przyprowadziła Lintlafa — Forthere bowiem odebrał jej Eamera, a imion swoich ogarów nawet nie znała — siedziała nieco dalej. Nikt nie wiedział, czy wypadła z łask. Za pomalowanymi ścianami pohukiwali gesithowie, zabawiając się głowami synów Cuelgilsa. To były małe głowy. Głowa samego Cuelgilsa była myta, jego włosy starannie suszone, a wąsy czesane, żeby można ją było nadziać na połączoną pikę.

Edwin był odprężony i uśmiechnięty. Cuelgils został zabity w walce, szkoda, ale Edwin miał Lindsey i jego złoto. Dużo złota. Tyle, żeby się wymknąć każdej północnej konspiracji. Na palcu wskazującym Edwina błyszczał nowy pierścień z wielkim granatem.

Król rzucił Coelgarowi wielki złoty torkwes prawdopodobnie irlandzkiej roboty.

— Najmądrzejszemu spośród doradców.

Coelgar skłonił głowę.

Bransoletę na ramię ozdobioną srebrem i emalią rzucił Lilli ze słowami:

— Najdzielniejszemu z ludzi.

Blaëcca dostał bransoletkę.

— Najlojalniejszemu tanowi.

I dalej tak wokół stołu, aż w końcu wszyscy spojrzeli na Hildę.

Edwin wyjął ze sterty mały, ale ciężki puchar. Polerowane srebro z Bizancjum, wykładane złotem: lubieżna kobieta z jednej strony, dostojna królowa z drugiej. Obie miały tę samą twarz. Edwin przez chwilę ważył puchar w rękę, a potem postawił go na stole z lekkim trzaskiem i pchnął w stronę Hildy.

— Dla Hildy, jasnowidzącej, prorokini i najukochańszej bratanicy, na jej urodziny.

Hilda o nich zapomniała. Skończyła dwanaście lat.

Rozdział 11



Pogoda się zmieniła. Opadły pierwsze liście. W Goodmanham brat Marro obudził się i tego samego dnia umarł na krwawe wymioty. Hilda nawet nie dowiedziała się, jak miał na imię. Następnego dnia Breguswitha wyjechała do Arbei. Miała wrócić na Gody.

Dwór przeniósł się do Yorku, a zarządzanie nim stopniowo przejęli ludzie Etelburgi. Administracją zajął się diakon Jakub, ciemnoskóry mistrz muzyki. Eormenfrith, mistrz handlu, zaproponował, żeby kobiety haftowały tkaniny ozdobne, które mogłyby wymieniać na rozmaite towary z kontynentu. Paulin, doradca i ksiądz Etelburgi, trzymał się króla, podsuwając mu rady. Zawsze towarzyszył mu Szczepan. Sama królowa stała się kobietą, do której zgłaszają się inne kobiety ze swoimi dolegliwościami, chociaż Gwladus mówiła, że leczy w równej mierze kompresami co modlitwą.

Hilda poruszała się z otępieniem w zimnym świecie: dziewczeczka, która zabijała, dziewczeczka, która nic nie czuje. Dziewczeczka bez matki, siostry i przyjaciół, za to z wujem królem, który już jej teraz nie potrzebuje. Dziewczeczka z własną niezaprzysiężoną komitywą, dziewięcioma gesithami, którzy, kiedy nie mieli nic lepszego do roboty, starali się jej towarzyszyć i ją chronić, udając, że wcale tego nie robią. Hilda wędrowała po dolinie i jej gęstych lasach, zbierając zioła i patrząc, jak świat zwalnia, zanika i przygotowuje się do zimy. Cały świat oprócz sokołów wędrownych.

Uwielbiała je zimą: samotne, zaciekłe i niebezpieczne, a ich wołanie było czyste i jasne jak klinga. Za jednym samcem szła trzy dni; spała wtedy w szeleszczącym podszybie dębiny, kulila się pod rozpadającą się ścianą opuszczonego domu, nie zważając na zimno, brodziła korytem usłanego otoczakami strumienia, w którym sokół codziennie się kąpał. Jej grupka gesithów usiłowała podążać za nią, lecz Hilda wspięła się na ogromną jarzębinę, mającą jeszcze pełno liści, i patrzyła, jak wojownicy ją mijają. Później zaczęła obserwować wydry nad Fosse powyżej murów. Kucą tam w trzcinach, nie zważając na błoto ani na wiatr grzechoczący łodygami, i patrzyła, jak te lśniące, eleganckie zwierzęta się bawią i jak zabijają.

Cadwallon chciał ją zabić. Chciał ją wyrwać na haczyku z jej strumienia i zmiażdżyć jej kręgosłup, ponieważ pochodziła z rodu Yffingów, a potem wrócić do bawienia się w króla. Jej wuj król nie ufał jej. Ona nie ufała matce. A matka przebywała ze zdradzieckim Osrikiem w Arbei.

W nocy śnił jej się człowiek z Lindsey wołający, że to tylko złamana noga, a czasami sama tam leżała ranna i błagała o pomoc. Czasami postacią z włócznią był Edwin, czasami jej matka, która płakała tak jak ona, lecz nie okazywała litości, tak jak nie okazała jej ona.

Pogoda robiła się coraz gorsza i opadły ostatnie liście, a Hilda błąkała się po na

wpół zrujnowanych skrzydłach starego rzymskiego fortu. Pewnego popołudnia napotkała Paulina — w towarzystwie Szczepana — który, nie zwracając uwagi na jej rozczochrane włosy i zabłoconą suknię, poczęstował ją politycznym uśmiechem oraz informacją, że ogląda to miejsce dla królowej. Chciał, by panie królewskiej krwi miały własne pomieszczenia — oczywiście dotyczy to także pani Hildy. Którą ma nadzieję wkrótce odwiedzić, by porozmawiać z nią o chwale Pana Jezusa.

— To nie jest mój pan. Moim panem jest król. Mój wuj.

Paulin nie przestał się uśmiechać, lecz kiedy zwrócił się po łacinie do Szczepana, Hilda usłyszała w jego głosie fałszywą nutę.

— Zanotuj, że wiele z tych cegieł się kruszy.

Szczepan posłusznie przytknął rysik do wosku. Hilda zobaczyła, że napisał „Oczywiście, że cegły się kruszą!” i parsknęła śmiechem.

Paulin wbił w nią spojrzenie czarnych oczu i Hilda zrozumiała, że popełniła błąd.

Nazajutrz, wezwana przez królową, stała obok niej pośrodku rozbrzmiewającego echem wielkiej halli Yorku. Patrzyły, jak diakon Jakub przygotowuje się do zademonstrowania królowej swojego maleńkiego chóru składającego się z czterech konwersów wybranych ze względu na to, że „śpiewają jak cherubini, cherubini”.

Twarz Jakuba wyglądała z bliska jak zwęglona olcha. Hilda zadała sobie pytanie, dlaczego to Szczepana nazywa się „Czarnym”, a nie Jakuba. Miał sztywne siwe włosy kręcące się wokół tonsury i oczy jak paciorki z gagatu, lecz nie przybierał mrocznych min. Dużo się śmiał i mówił w języku Anglów z bulgoczącym łacińskim akcentem, chociaż wesoło przyznawał, że jeśli chodzi o muzykę i zarządzanie, ma duszę oprawcy. Według Gwladus tego ranka dręczył domowników.

— Zdejmijcie wszystkie gobeliny. I wymiećcie całe sitowie. Nie, nie obchodzi mnie, że król powiedział, że nie wolno niczego ruszać. Porozmawiajcie z królową. Nie, żadnych poduszek! Żadnych gobelinów! Pozbądźcie się ich. Wszystkich, powiadam. Posłuchamy prawdziwej muzyki, muzyki na chwałę Boga i dla przyjemności królowej i dlatego ta bazylika ma być pusta jak skorupka jajka.

W odpowiedzi na prośby domowników królowa przysłała wiadomość: „Róbcie, o co prosi, to tylko na dzisiaj, to będzie dobry pretekst do wysprzątania tej starej jaskini”.

Halla — bazylika — bez palenisk, bez gobelinów wyglądała obco, staro i było w niej zimno jak w psiarni. Wszystkich otaczała mgiełka własnych oddechów. Królowa miała na sobie płaszcz wykończony bobrowym futrem, tak samo gładkim i ciemnobrązowym jak jej włosy. Na szyi połyskiwał gruby naszyjnik ze złota i kamieni szlachetnych z zawieszonym na nim krzyżem. Hilda stała bez płaszcza, nieczuła na chłód. To podtrzymywało legendę — dziewczeczka, która nic nie czuje.

Wiedziała, dlaczego się tu znalazła; kazała Gwladus zadbać, by była czysta, porządnie ubrana i miała na sobie mnóstwo biżuterii, lecz nie śpieszyło jej się do słuchania. Cierpliwością potrafiła przewyższyć jastrzębia. Z całą pewnością potrafiła przewyższyć cierpliwością każdą królową z południa. Jej płaszczem i tarczą była obojętność.

Jakub ustawiał nerwowo swoich chórzystów, a Hilda wpatrywała się w posadzkę, która została zamieciona do czysta może po raz pierwszy od dwudziestu lat. Starła

czubkiem buta stwardniały brud, usiłując rozpoznać, z jakiego kamienia ją zrobiono. Zdawała sobie sprawę, że konwersi się wyprostowują, a diakon Jakub wybija rytm, żeby wyrównać bicie ich serc, ale nie podniosła wzroku. Może to wapień.

Kiedy zabrzmiały głosy poszukujące swojej nuty, rozlewająca się gwałtownie muzyka zdarła z Hildy obojętność i przeszła ją z szybkością odwilży.

Zapomniała o posadzce. Zapomniała o królowej. Zrobiło jej się gorąco, a potem zimno, a potem nic już nie czuła, jak pęcherzyk wznoszący się ku powierzchni wody i odrywający się od niej w powietrze.

To była chłodna, nieludzka muzyka; takie pieśni mogły śpiewać gwiazdy. Niekończące się, rozlewne, czyste. Gdyby to była woda, to każdy ptak, który by się jej napił, zrobiłby się biały.

Muzyka wznosiła się ku niebu. Hilda wznosiła się razem z nią.

Królowa, która stała wraz z nią pośrodku halli, gdzie Jakub kazał przykryć deską wgłębienie na palenisko, wzięła dziewczynkę za rękę.

Kiedy mężczyźni przestali śpiewać, muzyka jeszcze przez chwilę wznosiła się ku krokwiom. Kiedy ucichła, królowa mocniej ścisnęła dłoń Hildy i puściła ją. Skóra dziewczynki mrowiła i pamiętała to, czego ona sama nie czuła: dłoń chłodną, mniejszą od jej własnej, gładką, lecz nie miękką.

Etelburga musnęła policzek Hildy wilgotny od łez; Hilda poczuła jej zapach — to była woń jakiegoś nieznanego jej kwiatu. Przepęłniła ją nagle tęsknota za zapachem siostry, tęsknota za Begu i Cianem, za Onneną, nawet za matką.

Wytarła twarz rękawem, świadoma faktury lnu, zimna własnych policzków.

Podszedł do nich Jakub, klapiąc sandałami po nagich kamiennych płytach. Miał lekki, szybki krok, jak Onnena.

— Podobało ci się!

— Tak — odparła Etelburga.

— Oczywiście będzie lepiej — stwierdził Jakub. — Zwłaszcza kiedy otynkujemy te krokwie i założymy drzwi zamiast tych tkanin. Tobie też się podobało — zwrócił się do Hildy.

Skinęła głową. Nie umiała jednak powiedzieć, iż muzyka sprawiła, że poczuła się tak, jak sobie wyobrażała uczucia mewy wiszącej nad wzburzonym morzem, podtrzymywanej tylko przez wiatr. Że zapomniała o zapachu wnętrzości ludzi z Lindsey. Że ta muzyka przypominała jej niewysłowione, nieuchwytnie wzory, które wyczuwała, licząc płatki stokrotki albo patrząc na kręgi na stawie.

— Podobało mi się... Podobało mi się to, jak się wspinała w górę, po samej sobie — spróbowała opisać swoje wrażenia.

Jakub się rozpromienił.

Królowa poklepała go lekko po ręce, w ten sposób odpowiadając, a potem uważnie przyjrzała się Hildzie, która oddała jej spojrzenie.

Królowa była w ciąży, chociaż nikt nie miał o tym wiedzieć. Gwladus, która zaprzyjaźniła się z Ardduną, służącą gemæcce królowej, powiedziała Hildzie, że od nocy poślubnej na pościeli królowej nie było krwi, że król musi być płodny jak stary Thuddor: dopiął swego podczas pierwszego miesiąca. Po królowej nic nie było widać: szczupła

twarz i nadgarstki, lśniące włosy.

— Podobno nic nie czujesz, ale to chyba nieprawda — rzekła królowa. — Chociaż z pewnością nie czujesz zimna.

Hilda nic nie mówiła.

— Paulin mówi, że umiesz czytać. Nigdy nie słyszałam o kimś, kto umie czytać, ale nie zna Chrystusa.

Milczenie.

— Moi gesithowie mówią, że jesteś czarownicą. Albo może hægtes. Mówią, że potrafisz latać. Też bym tak chciała. Słuchając muzyki, prawie latam.

Przez chwilę Hilda znowu krążyła, wznosiła się bez końca razem z pieśnią.

Królowa uniosła rękę i otarła jej świeże łzy.

— Mów.

— Jakim kwiatem pachniesz?

Etelburga zamrugła, a potem się roześmiała.

— Jaśminem, to cenny olejek ze Wschodu. Podarunek od brata, który dostał go od rodziny mojej matki we Frankonii. Dam ci go trochę.

Hilda nie zaprotestowała. Matka nauczyła ją przyjmować wszystkie korzyści: używanie takich samych perfum jak królowa byłoby oznaką jej wielkiej przychylności, którą ludzie zauważaliby nieświadomie.

— A ty będziesz codziennie ze mną spacerować. Jesteśmy kuzynkami, lecz musisz mnie nazywać ciotką. Będziesz ze mną rozmawiać. Poznamy się nawzajem.

Szły brzegiem rzeki — w górę jej biegu, z dala od krzyków i fetoru przystani oraz rozdrażnionych ludzi zarządcy, którzy teraz często zwracali się do królowej, jako że Coelgar, wspierany przez Blækkę, był bardzo zajęty przejmowaniem steru w Lindum w imieniu Edwina — a w odległości dziesięciu kroków podążali za nimi Lintlaf i Bassus, dowódca królowej w czerwonym płaszczu.

— Teraz już dziewięć kobiet pracuje nad haftem dla króla Clothara — rzekła Etelburga. — Będzie gotowy przed Godami.

Tuż zza drzew na zakręcie rzeki poderwały się do lotu gęsi i utworzyły klucz.

— Dziewięć?

Etelburga skinęła głową.

Teneshilda ma zręczne palce. I Æffe. Burgena może jest głucha, ale oczy ma zdrowe i umie sprawić, że kolory tańczą.

A dzięki swoim chytrym uwagom Burgena i Æffe wkrótce doprowadzą do tego, że Kentyjki i Nortumbrianki będą plotkować ze sobą jak starzy gesithowie na wojennym szlaku.

— Jesteś sprytna.

— Jestem królową. — Etelburga położyła sobie rękę na brzuchu. Ci, którzy umieli patrzeć, zaczęli już coś dostrzegać. — Pytanie, kim ty jesteś? Dzieweczką bez matki.

— Mam matkę... Twoją ciotkę.

— Tak. — W tym jednym słowie zawierał się ocean komplikacji. — Ty naprawdę nie czujesz zimna, prawda? Jak moi bracia. Może nauczysz mnie tej sztuczki.

Hilda nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ta królowa w bobrowych futrach

przemierzała konno północ, głodna i zmęczona, i wbijała włócznie w mózgi wroga.

— Tęsknię za braćmi. Może ty tęsknisz za siostrą.

— Twoją kuzynką.

— Moją kuzynką. Ale ona jest teraz u Angłów Wschodnich, a ty jesteś tutaj.

Hilda nie mogła się z nią nie zgodzić.

— Przepowiedziałas jej los.

— Nie jej. Etelryka.

— Paulin powiedziałby, że losem kobiety jest los jej męża.

— Dlaczego?

Królowa roześmiała się zaskoczona.

— Zapewne ta myśl daje mu pociechę. — Przez chwilę szły w milczeniu. —

Nauczyłaś się czytać od tego irlandzkiego księdza, Furseya.

Hilda skinęła głową.

— Przedstawisz mi go. Nikomu o tym nie powiemy.

Hilda zerknęła na nią.

— Musisz się nauczyć czasami wypowiadać te swoje myśli, dziecko, bo inaczej ci, którzy patrzą jak ci twoi gesithowie, sami zdecydują, co myślisz, kim jesteś, po czyjej jesteś stronie. Istnieją bowiem strony. Chociaż nie wiem, która jest twoja.

Jeśli Hilda myślała o stronach, to myślała zarazem o spiskach, o swojej matce, o Lindsey, o krwi, jej odorze, i wtedy świat zaczynał się rozpyływać z białym sykiem, a ona chciała wyjść ze swojego ciała i znowu stać się marmurową dziewczeczką. Oddychała powoli, ostrożnie. Była w Yorku, nad rzeką, z królową, swoją kuzynką. Albo ciotką. Która podarowała jej wonny olejek. Która próbowała być jej przyjaciółką. Może.

Chciała odwzajemnić się jakimś podarunkiem i czymś w rodzaju odpowiedzi.

— Będę szyc z twoimi kobietami.

— Dziękuję. Będzie nam bardzo miło.

Hildzie nie przyszło do głowy, że mogłoby im nie być miło. Udawała, że patrzy na przepływającą parę łabędzi.

— A czy twoim zdaniem twoja matka chciałaby szyc z nami? Kiedy już wróci?

Hilda pomyślała o starej królowej umierającej w kałuży krwi i świat zaczął robić się zimny.

— Nieważne. Wrócimy do tego kiedy indziej.

Przedstawiła Furseya Etelburdze, ale o czym mówili, ksiądz jej nie powiedział.

Mróz pojawił się wcześniej. Przez miasto przetoczyła się choroba, dręcząc zarówno młodych, jak i starych mokrym kaszlem. Palce u rąk i nóg wealh, a potem nawet Angłów królewskiej krwi zrobiły się czerwone i lśniące od odmrożeń. Hilda zaproponowała na królewski stół pietruszkę ze swoich garnuszków, ale na osobności przestrzegła królową, żeby w jej stanie pietruszki nie jadła. Królowa oznajmiła, że wszyscy, nawet wealh, będą dostawać na śniadanie ser i jęczmienny chleb albo owsiankę.

Rano, kiedy światło było dobre, Hilda szła z kobietami królowej. W popołudniowym zmierzchu chodziła spacerować nad rzekę, a wieczorami jednym uchem słuchała muzyki, a drugim przechwalających się i pijących gesithów oraz tanów starających się zyskać przychylność króla. Mężczyźni wypijali całe beczki piwa i tyle

białego miodu, ile potrafiły z dnia na dzień rozmrozić kobiety z żółtego miodu nalewanego do specjalnych wysokich beczulek — wszyscy mężczyźni z wyjątkiem Paulina Wrony, który w niewielkich ilościach pił wino dostarczane przez Etelburgę. Hilda podejrzewała, że diakon Jakub — który nie jadł w halli, lecz ze swoimi chłopcami — pił wino w dużych ilościach. Jakub i Fursey zaprzyjaźnili się, chociaż Hilda nie wiedziała, czy po prostu przypadli sobie do gustu, czy też doprowadziła do tego królowa.

Przez pewien czas cieszyła się życiem, w którym zachowywała się dokładnie tak, jak powinna, czyli jak nieposiadająca żadnych tajemnic dziewczeczka królewskiej krwi. Siedziała na swoim zaszczytnym miejscu na ławie, często blisko aethelingów Eadfritha i Osfritha, którzy byli już mężczyznami i nie mieli czasu dla dziewczeczki, i sączyła miód. Wznoszący się i opadający gwar halli przepływał nad nią jak odgłosy przyrody, kiedy siedziała ukryta za paprociami na skraju polany albo wśród sitowia na brzegu stawu. Życie, śmierć, zmiana zdarzały się najczęściej na skraju, tam, gdzie las spotyka się z polaną, powietrze z wodą. Wystarczy, że pająk uplecie sieć na skraju kałuży, żeby schwytać muchę, która przyleci się napić. Wystarczy, że ryjówka z kolei będzie wypatrywać pająka. Mucha bowiem musi przylecieć na skraj kałuży, żeby się napić, a pająk musi podążyć za muchą. „Los tako się dzieje, jako i musi”.

Zbliżały się Gody. Z Arbei wróciła Breguswitha, a Osric dzień po niej.

W pokoju Hildy matka i córka przyglądały się sobie w milczeniu.

— Wyrosłaś — rzekła Breguswitha. — Twoja kobieta dobrze się tobą opiekuje.

— Kazałam jej przygotować dla ciebie łóżko obok mojego.

Wbrew jej najlepszym intencjom głos Hildy wzniósł się pytająco.

Lecz Breguswitha tylko skinęła głową.

Tej nocy Hilda nie spała dobrze. Następnej jej matka nie przyszła do łóżka. Hilda nie starała się dowiedzieć, gdzie ją spędziła.

Wielmoże wyspy zgromadzili się, by zaskarbić sobie przychylność Edwina i jego nowej królowej oraz złożyć im hołd. Co wieczór w rytm uderzeń bębna lub delikatniejszych dźwięków liry do halli wkraczała i chyliła dumne głowy przed honorowym stołem grupka mężczyzn ubranych w kolorowe płaszcze i mających na sobie dość złota, by olśnić sójkę. Przybyli z północy Bryneichowie o krótkich włosach, czerwonych ustach i z emaliowanymi broszami pod wodzą króla Coledauca, który uklonił się Hildzie i przekazał najlepsze życzenia od księcia Morcanta. Hilda przypomniawszy sobie prosię. Delegacja z Rhegedu pod wodzą Rhoedda Mniejszego, siostrzeńca Rhoedda i starszego brata małego Uinniau, tytułującego się księciem i przywożącego dla króla i królowej dary od Rhoedda — oraz piękną podwójną spinę z granatami od księżniczki Rhianmelldty dla księżniczki Hildy. Coelgar, który wrócił z Lindsey z kilkoma tamtejszymi tanami i królewską postawą. I Dunod, pan Craven, którego niektórzy nazywali królem.

Kiedy oznajmiono jego przybycie, w halli zapanowała cisza.

Wkroczył między ławy ze swoją świtą — dwudziestu wojowników o wyzywających minach, z nożami odrobinę zbyt długimi jak na dobre obyczaje — niemal omiatając palenisko płaszcami, po czym wszyscy przyklękli przed Edwinem. W pomieszczeniu rozległ się pomruk; wszyscy wiedzieli, co człowiek Cadfana

powiedział hægtes o zdrajcach. Dunod postawił przed sobą na podłodze ciężką skrzynkę. Edwin odchylił się do tyłu, udając, że wacha miód w swoim pucharze, lecz Hilda dostrzegła w jego oczach zielony błysk.

— Królu Edwinie! — zaczął Dunod mocnym głosem; gwar przycichł i nawet służba przystanęła. — Królu Edwinie, mój honor został splamiony ohydnyimi kłamstwami. Jestem twoim lojalnym sługą. — Uniósł skrzynkę, a dwaj wojownicy po obu jego stronach położyli dłonie na jej wieku. — Przynoszę ci podarunek. — Gesithowie odrzucili wieko z trzaskiem. — Ceredig z Elmetu.

Nawet Edwin pochylił się do przodu.

Głowa była nierozpoznawalna. Miała kolor spodniej części kapelusza pieczarki i zapadnięte oczy. Ciemnofioletowe wargi były odciągnięte w straszliwym grymasie od czarnych dziąseł i długich żółknących zębów. Siwe włosy znaczyła krew, a żylastą szyję otaczał złoty torkwes.

Nikt nic nie mówił.

Edwin spojrział wzdłuż stołu na Breguswithę, która siedziała obok Osrica.

— Czy to Ceredig, kuzynko?

Breguswitha wstała, pochyliła się do przodu, opierając się na rękach, żeby lepiej widzieć, i po chwili powiedziała:

— To jego torkwes. I tak mogłyby wyglądać jego włosy po dziesięciu latach.

Edwin nakazał jej gestem, by usiadła. Postukał w zamyśleniu swoim wielkim pierścieniem — w granacie był teraz wycięty wizerunek dzika — o puchar.

— Przyjmujemy twoją lojalność, Dunodzie, i dziękujemy ci za ten torkwes. — Skinął na Coelfritha, by znalazł nowym gościom miejsca. Uśmiechał się zadowolony z siebie: nie przyznał, że to Ceredig, nie przyznał, że oddano mu przysługę, ale przyjął dar. — Nie — rzekł do służącego Coelfritha, który pochylił się nad skrzynką. — Zostaw. Chcemy cieszyć nim oko.

Hilda obserwowała matkę kątem oka. Breguswitha jakby nabrzmiała i stwardniała. Dunod opowiedział się za Edwinem. Lecz jeśli Edwin uznał śmierć Cerediga, to mógł teraz uczynić podarunek z Elmetu. Tradycyjnym czasem robienia takich prezentów był wieczór dwunastego dnia po Godach.

Rano tego dnia przy śniadaniu składającym się z gorącego chleba z przyprawami i grzanego cydru królowa dała prezenty wszystkim swoim kobietom. Hilda dostała flakonik olejku jaśminowego.

Na oficjalnej uczcie krewni siedzieli ściśle według hierarchii. Hilda została posadzona po prawej ręce æthelingów siedzących po prawicy króla. Breguswitha siedziała po prawej stronie Hildy, a nie z Osrikiem. Kiedy Hilda siadała, nozdrza jej matki się rozděły.

— Byłaś zajęta pod moją nieobecność. To dobrze. — Wtedy jednak weszli Edwin i Etelburga. — Porozmawiamy o tym później.

Król, królowa i Coelgar wyciągnęli ręce nad wielkim bojowym rogiem Yffingów leżącym wraz z motkiem białej wełny na pięknym kwadracie ufarbowanej na niebiesko cielejącej skóry — symbolami skórzanych i wełnianych towarów z Lindum — i oddali Lindsey pod opiekę Coelgarowi jako ealdormanowi.

Król i królowa przyrzekli być hojni, sprawiedliwi, a w sprawach jego honoru mściwi, zależnie od sytuacji.

— Przysięgamy na to naszym oddechem, przysięgamy na to naszą krwią i przysięgamy na to naszym życiem.

Coelgar przysiągł być lojalnym i uczciwym wobec króla, a wobec jego ludu sprawiedliwym.

— Jeśli okażę się kłamcą, niech wszystkie rzeki odwrócą ode mnie swoje oblicze, niech moje jedzenie zmieni się w pył, a moi krewni odwrócą się do mnie plecami.

Wtedy wniesiono pieczone mięso z ofiary i rytualny puchar. Uczta zaczęła się na dobre.

Osric, który siedział po lewicy króla z kwaśną miną, zawołał o dolewkę białego miodu. Breguswitha zobaczyła, że Hilda go obserwuje.

— Jego czas jeszcze nadejdzie, mała zadziorko. Nasz czas. Coelgar może ma Lindsey, lecz kluczem jest Elmet. Edwin wkrótce się przekona, że musi opierać się na krewnych.

Rozdział 12



Rzeka Derwent płynęła stalowym, ciemnym nurtem pod zachmurzonym niebem. Co pewien czas zza pędzących chmur wyglądało słońce i jego promienie padały na żonkila, wczesnego trzmiela czy chwiejące się baze. Hilda szła brzegiem rzeki z Etelburgą, omijając kałuże, żeby ich świeżo wygojone odmrożenia się nie zamoczyły i na nowo nie zaogniły. W dyskretnej odległości za nimi postępowali Bassus i Lintlaf.

Królowa szła wolno i mimo że bardzo się starała, by tego nie robić, kiwała się jak kaczka. W każdej chwili mogła urodzić. Miała zmarszczone czoło.

Pierwszy haft królowej spotkał się z takim zadowoleniem i pożądlivym spojrzeniem jej mistrza handlu, że teraz czternaście kobiet pracowało nad trzema kolejnymi tkaninami. Tego ranka Burgena oznajmiła głosem donośniejszym od gęgania gęsi, że królowa nosi córkę. Nigdy w życiu nie widziała tak wyraźnego przypadku, a trzeba przyznać, że miała długie i owocne życie. A co, może nie? Zaiste, mruknięło kilka kobiet. Och, zamilknij, niemądra starucho, powiedziała Æffe, wszystkie miałyśmy ciekawe życie, nawet ta młoda olbrzymka z gołą głową. Nie, rzekła Burgena, przekrzykując swoją gemæcce, wyraźnie widać, że królowa nosi córkę. Wystarczy na nią spojrzeć. Ma wysoki brzuch, a sutki różowe jak u dziewczeczki. Nawet nieprzepasana Hilda ma prawdopodobnie ciemniejsze sutki. I spojrzcie na szerokość bioder królowej...

— To nie jest dziewczynka — powiedziała do Hildy Etelburga. — Na pewno nie.

Hilda nie wiedziała, dlaczego królowa się tym martwi. Jej wuj byłby zadowolony z tkaczki pokoju — wtedy mógłby zatrzymać Hildę jako jasnowidzącą.

— On już ma synów.

— Nie moich — rzekła Etelburga. — Zatrzymajmy się tu.

Pokazała na zwaloną topolę. Cztery miesiące wcześniej Hilda usiadłaby natychmiast, ale przebywanie z królową wiele ją nauczyło. Kiedy więc Lintlaf zdjął kurtę i ruszył ku nim szybkim krokiem, obserwowała pokryte delikatnym puchem pędy i rozwijające się na topoli liście. Musiała upaść podczas ostatniej burzy.

Etelburga uśmiechnęła się do Lintlafa, który położył kurtę na gruzłowatym pniu i się wycofał.

— Wygląda, jakby był gotów oddać za ciebie życie — powiedziała Hilda, pomagając królowej usiąść.

— Mimo że toczę się jak prośna maciora?

Hilda wiedziała, że nie powinna przytaknąć. Usiadła obok królowej i zaczęła odrywać zgrubiałą korę pod udem. Ciekawe, dlaczego topole mają tyle guzów.

— Czy matka rozmawia z tobą o kobiecych sprawach, Hildo?

— Nie.

Nieopodal poderwała się z furkotem para płaskonosów. Hilda zadała sobie pytanie,

co je spłoszyło.

— Jesteś gotowa na welon z opaską? Nawet ślepy widzi, że będziesz go wkrótce potrzebować.

Hilda patrzyła na kaczki wracające do swoich jajek. To pewnie nie była wydra. Pewnie nic się nie stało. Kaczki wysiadujące jaja mogą być nieprzewidywalne.

— A ty nawet nie nosisz krajek. Czy twoja matka ma dla ciebie przygotowaną przepaskę? Przybijaczkę?

Hilda nie miała pojęcia. Nie chciała myśleć o matce.

— Nie masz tu siostry. Twoja matka, cóż, jest zajęta. Potrzebujesz gemæcce.

Hilda przypomniała sobie tkanie z Begu wzoru tabliczkowego dla Ciana, cienie w halli Mulstana układające się w jedną stronę, poprzecinane strumieniami słonecznego blasku.

— Hildo?

Hilda pokręciła głową. To wspomnienie o Begu należało do niej.

— Dziecko, potrzebujesz gemæcce. Chcesz, żebym ci ją wybrała?

— Nie!

— Aha. A więc dokonałaś wyboru. Czy jest tak bardzo nieodpowiedni? Nie? Moja kochana, nie mogę ci pomóc, jeśli nic nie wiem. I w przeciwieństwie do tego, co mówią o tobie, ja nie umiem czytać w myślach.

— Nie umiem czytać w myślach.

— Nie. Ale są tacy, którzy mówią, że potrafisz. — Ruchem głowy pokazała na ścieżkę, gdzie Lintlaf czochrał się plecami o dąb, a Bassus czyścił sobie nożem paznokcie. — Ostrzegalam cię, że jeśli nie będziesz mówić, to inni będą mówić za ciebie. I tak się dzieje. To niebezpieczne. Musisz się nauczyć mnie słuchać. Teraz jednak mówię, że musisz mieć przygotowane welon i przepaskę i musisz szybko wybrać gemæcce. Bardzo szybko. Jeśli nie zajmiesz się tym ani ty, ani Breguswitha, zrobię to ja. Jestem twoją ciotką.

Kuzynką, pomyślała Hilda. Ale może byłoby nieźle, gdyby królowa była jej ciotką.

— Ona chce, żebym wyszła za Oswine'a, a za gemæcce miała Osthrythę. Moja matka.

Królowa nie umiała ukryć zaskoczenia tym wybuchem zaufania.

— To ci się nie podoba?

— Wyglądają jak gronostaje o spiczastych pyszczkach.

Etelburga roześmiała się, a potem nagle zbladła. Położyła dłonie na brzuchu i powiedziała po chwili:

— Niecierpliwi się. — Twarz jej się wygładziła. — Pomóż mi wstać.

Hilda podała jej rękę. Lintlaf podbiegł, żeby wziąć kurtkę, a Bassus pilnował ścieżki. Kiedy go mijali, królowa znowu pobladła i na chwilę oparła się o dąb.

— Bardzo mu się śpieszy na ten świat. — Dyszała. — Tyle niedługo się wydarzy. Zbyt szybko. Pomyśl o tym, co mówiłam. — Odepchnęła się od drzewa, wyprostowała i wzięła Hildę pod rękę. — Spójrz na te wszystkie galasówki. Przypomnij mi o nich, kiedy wrócimy. Szczepan będzie za nie wdzięczny, bo potrzebuje ich do atramentu.

Kiedy wróciły, Hilda zapomniała o galasówkach. Przy bramie stał szeroko

uśmiechnięty Fursey. Lecz to nie jego zobaczyła, tylko dwie osoby obok niego: Ciana i Begu.

Hilda zatrzymała się tak raptownie, że królowa, wciąż wsparta na jej ramieniu, obróciła się w miejscu.

Begu miała welon z opaską. Welon z opaską i przepaskę. Była dorosłą kobietą. A Cian wyglądał jak młody gesith, jak przybrany syn tana: był wysoki, muskularny, miał zaczątki wąsa, natłuszczone włosy, płaszcz odrzucił z ramion do tyłu, a nad lewym ramieniem wystawała mu długa rękojeść miecza.

Bassus też tak uważał. Postąpił przed królową i położył dłoń na mieczu. Cian spał się do skoku.

— Nie! — powiedziała Hilda. — To przyjaciele.

I, nie zważając na dobre maniery, podbiegła do Ciana. Świat wypełnił się uściskami, pytaniami i gwałtownym, czystym śmiechem ulgi i przyjaźni.

Hilda, Begu i Cian siedzieli na świeżo wyczyszczonych wapiennych płytach tego dziwnego, nagiego, wysokiego pomieszczenia, które miało się stać kaplicą Derventio. Pod kierunkiem Wrony ludzie wycięli wysoko na wschodniej ścianie rząd okien. Nie było okiennic. Wszystko oprócz tych jasnych, chropowatych płyt zostało pokryte błotem i tynkiem, a następnie pobielone wapnem.

— Powietrze szczypie mnie w język — stwierdziła Begu i odchyliła głowę, by popatrzeć na sufit. — Będzie tu mieszkał jakiś bóg?

— Chrystus — odparła Hilda.

— To zbyt ponure miejsce jak dla boga — rzekł Cian. Opierał się na rękach i obracał w różne strony. Czubek pochwy jego miecza szorował po posadzce, a rękawy jego kurty podjechały w górę. Hilda spostrzegła koniec nowej blizny na przedramieniu chłopaka. — I zimne.

— Kiedy wyschną ściany, będzie srebro i drogie kamienie, jedwabne tkaniny i pozłacane rzeźby, które zawstydzą starego króla Coela — powiedziała urażona Hilda. — A Wrona pośle do Frankonii po szkło do okien!

— Szkło? W ścianie? — zapytała Begu, a Cian pokręcił głową.

Kto słyszał o czymś takim?

Hilda poczuła się zganiona i jak dziecko zapragnęła się popisać. Cian był młodym wojownikiem, przybranym synem tana. Begu była przepasaną kobietą, dziedziczką tana na wydaniu. Hilda może i sięgała sufitu głową i była jasnowidząca, która uratowała Bebbanburg i przewidziała upadek Lindsey, ale oficjalnie wciąż była dzieckiem. Wydawało się, że od czasu, kiedy tarzali się w kuchennym ogrodzie Mulstanton, zaśmiewając się i plotąc o bogach, robakach, psach i demonach, minęło całe życie.

Cisza się przedłużała.

— Podoba mi się królowa — rzekła Begu. Spod opaski na czole wymykało jej się pasmo włosów. Zauważyła, że Hilda na nie patrzy. — Codziennie używam twojego grzebienia.

Hilda dotknęła kieszeni.

— Ja noszę przy sobie twój węzowy kamień.

— Miałam nadzieję, że ci się spodoba. Cian właściwie śpi z tą kłamrą.

— Nieprawda! — Rumieniec podkreślił nową siłę jego szczęki, mocną linię brwi. Zerwał się na nogi. — Słyszę śpiew. Odszpuntowali nową beczułkę. Idę pić.

Patrzyły za nim. Mięśnie oplatające jego kolana też zrobiły się większe.

— Już nie lubi, żeby się z nim droczyć — powiedziała Begu.

Nigdy nie lubił, pomyślała Hilda. Może jednak nie zmienili się tak bardzo. Ale obok niej siedziała Begu w welonie i przepasce, ze złotem i bursztynami połyskującymi przy uszach.

— W co się tak wpatrujesz?

— W twój welon. Jest... — To jest welon. Kobięcy welon. — Jest śliczny.

— Zrobiła go dla mnie Onnena. Dla ciebie też. Przywiozłam go z sobą. I przepaskę. Na wszelki wypadek, gdyby twoja mama zapomniała. Chociaż zakazała mi o tym mówić. Aj.

Patrzyły na siebie przez dłuższą chwilę, aż wreszcie Hilda wybuchnęła śmiechem.

— Cieszę się, tak się cieszę, że przyjechałaś.

Begu też się roześmiała swoim migotliwym, srebrzystym śmiechem, który Hilda już zawsze miała wiązać ze światłem padającym na wilgotną plażę i z zapachem morza. Wzięła ją za rękę.

— Powiedziałam, że przyjadę. Powiedziałam, że użyjemy tych tabliczek. Onnena też chciała przyjechać, ale nie mogła. Bardzo się o ciebie niepokoi, ale o tym ma mówić Cian, ja nie wiem, co się dzieje, nikt mi nic nie mówi.

Hilda już zapomniała, że myśli Begu przypominają szpaki polatujące całym stadem to tu, to tam. Zrozumienie tego, co powiedziała Begu, zajęło jej chwilę.

— Onnena jest chora?

Begu wytrzeszczyła na nią oczy.

— Nie mówiłam ci? Nie, może nie mówiłam. Ale twój welon... Och, jaki on jest ładny! Jest dokładnie takiego koloru jak...

— Begu, powiedz mi, co się stało! Co jest Onnienie?

— Jak to co, nic.

— No to... — Hilda zaczerpnęła tchu, zaczęła od nowa. — Powiedz mi, jak się czuje.

— Dobrze. Jest zła, że nie może przyjechać. Bez końca ciosała Cianowi kołki na głowie: wytłumacz dziewczynie, wytłumacz dziewczynie. Och, jest jak pszczoła w butelce i wielka jak dom. Ale tata jest szczęśliwy. Jego zdaniem to będą bliźnięta. Tak jak u Winty. Chociaż oczywiście tak naprawdę to on nie zna Winty. Mówiłam ci o Winty?

— Onnena jest w ciąży?

Begu zrobiła zaskoczoną minę.

— No oczywiście. Właśnie to powiedziałam. Urodzi lada dzień.

Hilda znowu zaczerpnęła tchu. Taka właśnie była Begu. Będzie musiała porozmawiać z Cianem o Onnienie i tej wiadomości.

— Powiedziałaś, że podoba ci się królowa.

— Wydaje się miła. Ale co ona robiła na dworze z gesithami? Mogłaby urodzić, gdyby nagle zaśpiewał jakiś ptak. W każdej chwili. Może nawet dzisiaj. Zawsze tak jest, kiedy się tak kołyszą i bledną. Dziecko się rodzi. Co to za pachnidło? — Uniosła rękę

Hildy i powąchała jej nadgarstek. — Pachniesz jak ona.

Hilda odzyskiwała umiejętność wydobywania znaczenia z przelatujących słów.

— Jaśmin. To olejek kwiatowy. A ona jest miła. Jak na królową. — Lecz Hilda nie chciała mówić o Etelburdze. — Jakiego koloru jest mój welon?

— Och, jest piękny. Ma kolor pośredni między mchem i morzem. Żeby pasował do twoich oczu. Onnena spędziła nad nim całą zimę. A twoja przepaska! Suszyła głowę tacie, aż dał jej te kamienie. — Zmarszczyła się, co nadało jej wygląd kozy zastanawiającej się, czy ma zjeść oset, i przechyliła głowę, nasłuchując. Gesithowie śpiewali głośniej. — Myślisz, że Cian się upija? Obiecałam Onnenie, że będę go pilnować. Powiedziała, że mam mu przypominać, żeby nie wyciągał miecza z pochwy, że tutaj jest tylko mężczyzną z klingą, i to młodym mężczyzną, a nie synem pana.

Hilda nie miała pojęcia, jak Begu mogłaby chronić Ciana przed kłótliwymi, żądnymi krwi gesithami.

— Zobaczmy, czy nic mu nie jest.

*

Po wyjściu z kaplicy zatrzymały się i zamrugały na zimnym wietrze, a potem ruszyły po szorstkiej trawie w stronę śpiewających — Hilda już dostrzegła ścieżkę między drzwiami halli używanymi przez służbę a kaplicą, gdzie trawa została wydeptana przez służących.

Sądząc po dobrodusznej treści pieśni, nie upili się jeszcze za bardzo:

Czy twe uszy nisko wiszą,

Możesz nimi machać?

Możesz związać je na supeł,

Może na kokardkę?

Lub zarzucić je na plecy

Jak nieprzytomnego?

Czy twe uszy nisko wiszą?

— To nie ma sensu — stwierdziła Begu. — Nikt nie ma takich długich uszu.

— Oni nie śpiewają o uszach.

— Aha.

Dziesięciu gesithów wyciągnęło na dwór dwie ławy i postawiło je przy południowej ścianie przy wschodnim krańcu halli. Było to ulubione miejsce leniuchowania młodszych mężczyzn i ich psów, osłonięte od zimnego wiatru, który przez ostatnie kilka dni wiał z północnego zachodu, i jasne od przedpołudniowego słońca. Można też było zawołać stąd na przechodzącą służbę i zażądać jedzenia i piwa. Dwaj gesithowie, czarnowłosi bracia Berhtred i Berhtnoth, mieli obnażone torsy i właśnie chowali miecze do pochew po pokazowej walce. Berhtred wytarł pierś kurtą i usiadł na ławie okrakiem naprzeciwko Ciana.

— Tak oto, młody kasztanku, zrobiliśmy to w Lindum.

Następnie z rozmysłem wziął do ręki drewnianą miskę stojącą przed Cianem i napił się z niej.

Hilda zacisnęła dłoń na ramieniu Begu, która się do niej odwróciła. Lecz Begu nie

widziała, jak ci mężczyźni zabijali mieszkańców Lindsey i uważała, że to nic straszniejszego od zarzynania gęsi.

Mężczyźni — jej ogary: zobaczyła Gwrasta, młodego pana Bryneichów, i jego kuzyna, Cynana; Wilframa, syna Wilgara; Lintlafa; Eadrika Brązowego i jego przyjaciela, Grimhuna; oraz Coelwyna, o wiele młodszego brata Coelfritha; lecz nie Eamera z Gewisse, który od czasu Lindsey nie zamienił z nią ani słowa — rozsiedli się wygodnie i czekali na reakcję Ciana.

Cian sięgnął po dzban, napełnił miskę i gestem zaprosił Berhtreda, by się napił.

— Szanuję was za to.

Berhtred pogardliwie skrzywił usta. Ten młokos to tchórz.

— Co więcej, słyszałem, że mieszkańcy Lindsey byli tak przerażający — ciągnął Cian — że pół tuzina zabiła dziewczeczka.

Wiedział, co zrobiła w Lindum.

Berhtred poczerwieniał. Lintlaf zerwał się na nogi.

— Obrażasz panią Hildę!

— Nie. — Cian uniósł miskę z piwem i się napił. — Moim zdaniem obrażam mieszkańców Lindsey.

Grimhun ryknął śmiechem i rzucił w Coelwyna kawałkiem chleba.

Cian uśmiechnął się szeroko do Lintlafa.

— Może zaszczycisz mnie walką. — Zwrócił się do Berhtreda. — Po tym, jak skrzyżuję miecze z Berhtredem. Chyba że — kolejny uśmiech, tym razem celowo szeroki — czujesz potrzebę odpoczynku w słońcu, by wygrzać stare kości, panie.

Śmiech, gwizdy, ciskanie przedmiotami. Teraz rozumieli, o co chodzi.

Berhtred spojrział na Lintlafa.

— Jak myślisz? Ja czy ty?

Lintlaf machnął lekceważąco ręką i usiadł.

— Będę walczyć ze zwycięzcą.

— Ten pierścień na Lintlafa — powiedział Berhtnoth i rzucił na ławę kawałek złota z topazem, czym zarobił na pełne wyrzutu spojrzenie brata.

— Przyjmuję zakład — rzekł Cian. — Ale pod warunkiem, że najpierw zmierzę się z twoim bratem. Bez tarcz.

„Nie, jesteś za młody!” — chciała krzyknąć Hilda, ale oni wszyscy byli młodzi.

Cian wstał, odpiął pas — Hilda rozpoznała złoty język i oczy z granatu — i wtedy spostrzegł dziewczęta.

— Chodźcie i popatrzcie! — zawołał. — Zamierzam im pokazać, jak robimy to w Mulstanton!

Upił się, pomyślała Hilda. Ale nie: oczy miał błyszczące, a policzki zaczerwienione, lecz z radości. Tego szukał całe życie — być gesithem i robić to, co gesithowie, i właśnie miał się zmierzyć pod hallą zwierzchniego króla Anglów z jego wojownikami.

— To dla zabawy — powiedziała do Begu. — Nie zrobią mu krzywdy.

— Oczywiście, że nie — odparła Begu. — Nie pozwoli im na to. Pobije tych niemądrych chłopców.

Ci niemądrzy chłopcy patroszyli ludzi i bawili się jak piłką głowami dzieci.

— Usiądźmy i popatrzmy.

Gesithowie przywitani je radośnie i zrobili im miejsce na ławie najbardziej nagrzanej słońcem, a potem wrócili do robienia zakładów, picia i wygłaszania sprośnych uwag.

Cian zdjął kurtę i rzucił ją Begu, która ją niestaránnie złożyła. Hilda wzięła kurtę, złożyła na nowo i położyła sobie na kolanach. Była tak ciemnogrnatowa, że niemal czarna, a przy szwach na ramionach i na dole haftowana złotą i zieloną nicią stylem, który Hilda rozpoznałaby wszędzie. Wyobraziła sobie Onnenę pochyloną nad kurtą i przerażoną, że musi odesłać syna. Jakby ogrzany na słońcu, materiał pachniał znajomym zapachem Ciana z cierpką nutą żelaza i miedzi — zapachem mężczyzny.

Cian dobył miecza z posuwistym brzękiem, od którego mocniej zabiło jej serce.

— Nie do krwi! — krzyknął i odrzucił pochwę.

Zaczęli krążyć w słońcu. Hilda poznała znajomą postawę Ciana: lewa stopa wysunięta do przodu ukosem do przeciwnika, prawa stopa i ręka cofnięte, miecz trzymany wysoko i odchyłony do tyłu. Wyobrażała sobie, jak trudno jest utrzymać miecz w tej pozycji. Kilku gesithów kręciło głowami — bez tarczy miał odsłonięty prawy bok. Hildzie ścisnęło się serce. Czy on próbuje coś jej udowodnić, bo Begu się z nim droczyła?

Była to ryzykowna postawa, całkowicie polegająca na wyczuciu czasu i połączonej sile ramienia, łokcia i nadgarstka. Oraz na zasięgu. Podobnie jak Hilda, Cian go miał. Miał też mięśnie, był raczej żyłasty niż pulchny, a żyły wiły się wokół jego nadgarstków jak robaki.

Blizna, którą zauważyła w kaplicy, była ściągnięta i zaczerwieniona. Miała może rok. Paskudna rana. Od włóczni?

Berhtred wybrał zwykłą postawę: prawa stopa i prawa ręka wysunięte do przodu, miecz nisko. Wyglądał jak borsuk: miał krótkie ręce i nogi, a jego krępe ciało było zbudowane do zapasów, do napierania z tarczą w bitewnym ścisku.

Może jednak Cian nie ryzykował.

— Ha! — krzyknął i zamarkował szybki sztych czubkiem miecza.

Berhtred uniósł poziomo klingę, spodziewając się mocnego uderzenia, lecz Cian już cofnął swoją, Berhtred trafił w powietrze i leciutko się zachwiał.

Cian, którego znała Hilda, Cian z drewnianym mieczem i wiklinową tarczą, marzący o Oweinie, wrzasnąłby i rzucił się do ataku. Dzisiaj Cian, Cian z węzłami mięśni i półśmiechem, po prostu krążył wokół przeciwnika. A kiedy ukośne promienie porannego słońca zaświeciły Berhtredowi w oczy, zaatakował.

Znowu zamarkował sztych czubkiem, czego Berhtred się spodziewał, więc uniósł miecz tylko do połowy, ale potem Cian wykonał pchnięcie z pełnym wypadem prawej stopy, skręcając dłoń, przeniósł miecz na lewo nad mieczem Berhtreda i wytrącił mu go z ręki. Oparł czubek swojej klingi o czarne kędziory na piersi przeciwnika, a potem uśmiechnął się i uniósł miecz w geście pozdrowienia. Berhtred mrugał zaskoczony.

— Mój tata go tego nauczył — rzekła Begu.

Gesithowie pokrzykiwali i walili dłońmi w ławę.

— Powiedział, że do tego trzeba silnego, gibkiego nadgarstka. Mówi, że nawet

jeden człowiek na stu nie potrafi tak tego zrobić w lewą stronę. Mówi, że w prawo, zgodnie z ruchem słońca, jest łatwo, ale zrobić to przeciwnie to coś szczególnego. Chociaż większość gesithów uważa, że to przynosi pecha. I że w prawdziwej bitwie można przez to zginąć.

Hilda prawie jej nie słyszała. Cian, jej Cian, rozbroił królewskiego gesitha, skrwawionego w bitwie pod Lindum, a sam nie odniósł żadnych obrażeń ani nawet się nie spocił.

— Wezmę ten pierścień — powiedział Cian do Lintlafa głosem dźwięcznym od własnej siły. — Albo moglibyśmy podwoić stawkę lub z niej w ogóle zrezygnować, ty i ja.

— Przyjmuję zakład. Z tarczą i włócznią.

Hilda wstała. Zabawy z włóczniami powodowały najwięcej krwi przelanej w przyjacielskich zmaganiach. Niełatwo jest zapanować nad ostrym kawałkiem żelaza na końcu długiej jesionowej tyczki.

— Cian, chodź z nami. Twoja przybrana siostra czuje się samotna.

— Skłamałaś! — powiedziała Begu, kiedy cała trójka znalazła się poza zasięgiem słuchu gesithów.

Znowu śpiewali.

— Tak. Chcę porozmawiać z Cianem. To łatwiejsze, kiedy wnętrzości ma w środku.

Cian uśmiechnął się do niej leniwie.

— Nawet by mnie nie dotknął.

Hilda zignorowała go. Nie wiedziała, jak ma postępować z tym pewnym siebie młodym panem. Wbiła spojrzenie w Begu.

— Wiem, wiem. Mam sobie iść, żebyś mogła z nim porozmawiać.

— Zapytaj o Gwladus. To moja kobieta. Prawdopodobnie jest w kuchni.

Kiedy Begu się oddaliła, Hilda zwróciła się do Ciana.

— Masz wiadomość.

— Mama powiedziała, że masz na siebie uważać. Powiedziała, że mam cię pilnować jak jastrzęb. Powiedziała, że nikomu masz nie ufać, nikomu. Słyszała różne pogłoski.

— Jakie pogłoski?

— Nie wiem. Wiem tylko tyle, że może cię powierzyć tylko mnie, a ja mam przyłgnąć do ciebie jak miód do chleba.

— Nawet tutaj, w vill?

— Zwłaszcza tutaj. Powiedziała, że zwłaszcza wtedy, kiedy czujesz się bezpieczna. Powiedziała, że cała twoja rodzina powinna oglądać się za siebie. Ale uważa, że twoja mama potrafi zadbać o siebie, a twój wuj ma swoich gesithów.

— Ja też mam ludzi.

— Naprawdę swoich?

Zastanowiła się nad tym.

— Ocalili mi życie pod Lindum. A w każdym razie zrobił to Eamer. Ten rudy. Ale to są gesithowie króla.

Cian skinął głową.

— Nie kierują się własną wolą. Złożyli przysięgę.

Słowo „przysięga” wymówił z taką samą czcią, z jaką kiedyś mówił o bohaterze Oweinie.

Hilda przyjrzała się Cianowi. Zarumienił się. Musi się pozbyć tego zwyczaju, jeśli nie chce, żeby z niego drwiono, ale dziewczętom na pewno będzie się to podobać. Zadała sobie pytanie, ile czasu upłynie, zanim Gwladus go usidli, i jak mogłaby wyperswadować jemu i Lintlafowi, żeby nie walczyli ze sobą.

— Chcesz złożyć przysięgę królowi. — Zwiesił głowę jak wół, który nie chce przyjąć jarzma. — Co byś więc zrobił, gdyby król kazał mnie zabić?

— To nie jest król, który pragnie twojej śmierci.

— Dzisiaj nie.

Oboje zamilkli. Gesithowie znowu śpiewali.

— Co do króla. Nigdy nie mógłbym...

— Angielska przysięga jest jak woda — powiedziała po brytyjsku. — Wlewa się we wszystkie zakamarki człowieka. Nie można przed nią uchronić żadnego z nich.

Jego przeznaczeniem był miecz, a jaka droga byłaby dla niego lepsza niż służba królowi?

Oczy mu zalśniły. Potarł górną wargę kłykiem. W końcu powiedział po brytyjsku, ledwie pamiętając ten język:

— Nie jestem Anglem.

Pokazała w uśmiechu zęby. Cian. Jej Cian. Wciąż pocierał wargę. Powiedziała nadal po brytyjsku:

— Nie poproszę cię o przysięgę, Cian. Ona jest twoja jak twój drewniany miecz. Ale może mi ją na razie pożyczysz, niewypowiedzianą, i będziesz mógł w każdej chwili poprosić o jej zwrot, bo jest twoja.

Uśmiechnął się. Błado, ale się uśmiechnął.

— W każdej chwili?

— W każdej chwili.

Pamiętał. Dotknęła jego ręki, tej blizny, i powiedziała w języku Angłów:

— Włócznia, jak włócznia Oweina?

Pokręcił głową. Spłynęła łza, otarł ją.

— Dzik.

— Na pewno straszliwy?

Pomieszczenia królowej w Derventio były przestronne i jasne. Jak w kaplicy sufit i ściany zostały otynkowane i pobielone. Pokój był chłodny jak kaplica. Królowa, szeroka jak wół, nie mogła znieść ciepła. Hildzie to nie przeszkadzało, lecz Begu obejmowała się ramionami, a Wilnoða, gemæcce królowej, siedząca z Ardduną przy pustym palenisku i wybierająca nici do haftowania, miała na sobie grubą suknię wierzchnią. W przeciwieństwie jednak do kaplicy, w pokoju królowej stało łóżko z pięknymi kocami — w paski i w żółto-czerwoną jodełkę — na którym spoczywała Etelburga, a na szerokich wiązowych deskach podłogi leżał cienko tkany dywan przywieziony ze Wschodu przez Frankonię.

Królowa podniosła wzrok znad tkanin, o których pokazanie poprosiła Begu, i powiedziała, patrząc na nagie ramiona Hildy:

— Jesteś jedyną kobietą, która nie kuli się, nie drży i nie posyła mi pełnych wyrzutu spojrzeń.

Hilda skinęła głową, zastanawiając się, po co zostały wezwane. Begu z niepokojem przyglądała się królowej.

— Mój mąż — nigdy nie nazywała go królem — mówi, że jest tu równie przyjemnie jak w pustej stodole, chociaż w stodole jest cieplej. Powiedziałam, że kiedy tylko ściany dobrze wyschną, każę je pomalować i powiesić tkaniny.

— Jeśli kaplica nie wyschnie wcześniej. Paulin Wrona zagarnie malarzy i pozłotników dla siebie — rzekła Wilnoða, nadal rozkładając nici.

— Ku większej chwale Boga — powiedziała Etelburga, lecz z jej tonu i miny Hilda nic nie umiała wyczytać. — A mówiąc o Bogu — zwróciła się do Hildy i Begu — mam nadzieję, że rano obie przyjdziecie do kaplicy. Jakub przygotowuje specjalną mszę na Wielkanoc. Zapewnia mnie, że od tej muzyki załkają aniołowie, a kury wzbiją się w powietrze. Zaraz potem w halli rozpocznie się uczta.

Hilda znowu skinęła głową. Była ciekawa tego Chrystusowego rytuału.

— Dobrze. — Królowa uśmiechnęła się i pogłaskała opaskę do welonu oraz przepaskę, które przyniosła Begu. — Piękna robota. Twoja?

— Och, nie. To znaczy tak. Onnena, nowa... to znaczy... W każdym razie Onnena mi pomagała.

Hilda otworzyła usta, żeby powiedzieć, że Onnena jest... Kim jest Onnena?

— A haft na twoim welonie? — zapytała królowa.

— Mój. W większości.

— Podejdź bliżej, niech się przyjrzę. — Begu uklękła obok łóżka. Etelburga przyjrzała się uważnie welonowi, a potem powiodła palcami po fioletowo-niebieskim ściegu. — Ładnie wykonany.

Usiadła prosto, poprawiła koce i, gładząc się po brzuchu, przyglądała się kolejno dziewczętom. W końcu zatrzymała wzrok na Begu.

— Pochodzisz z dobrej rodziny. — Głos miała mocny, a ton przybrała oficjalny. Hildzie zaczęło mocno bić serce. — Powiedz mi, czy twój ojciec i... Onnena? Chcieliby, żebyś tu została?

— Chyba tak. Przysłała mnie Onnena. Kazała mi się trzymać blisko.

— A ty byś chciała trzymać się blisko pani Hildy?

— Och, tak!

Etelburga zwróciła się do Hildy, która teraz zaczęła rozumieć, co musiał czuć Cian tamtej nocy na plaży, kiedy Mulstan rozpakował miecz.

— A twoja matka, pani Breguswitha?

Hilda spróbowała jednocześnie przełknąć ślinę i odpowiedzieć.

— Tak. — Jej głos brzmiał jak głos duszącej się ropuchy. Begu zachichotała nerwowo. Hilda znowu przełknęła ślinę i powoli odetchnęła. — Moja matka i Onnena dobrze się znają.

— I sprawiłoby ci to przyjemność?

— Tak!

Etelburga skrzywiła się i przez jedną straszną chwilę Hilda myślała, że powiedziała to za głośno, ale królowa położyła dłoń na brzuchu i dwa razy głęboko odetchnęła. Po chwili jej twarz się wygładziła i zagościł na niej uśmiech.

— A zatem tak będzie.

Uśmiechnęła się do Wilnoży, która odwzajemniła się jej z czułością, a potem wstała, trzymając w ręce koszyk.

— Begu, witam cię w moim domu jako ciebie i jako gemæcce Hildy, bratanicy króla. Oraz królowej.

Hilda nie śmiała spojrzeć na swoją gemæcce — gemæcce! — ale dłoń Begu wśliznęła się do jej dłoni. Hilda ją uścisnęła.

— Dla przypieczonego tego układu mam podarunek.

Królowa gestem nakazała Begu stać, a Hildzie postąpić do przodu.

Po kolei wyjmowała przedmioty z koszyka Wilnoży i unosiła je do światła. Kościane wrzeczono dla każdej dziewczynki i kądziele dwóch długości. Nożyce zrobione z żelaza i wykładane fantastycznymi motywami zwierzęcymi ze srebra.

— Kowal przysięga, że to jelenie, chociaż dla mnie wyglądają jak lisy.

Po złotym naparstku. Dwie paczuski najcieńszych igieł, jakie Hilda widziała w życiu.

— A dla ciebie, Hildo, kiedy nadejdzie czas, byś nosiła przepaskę, to. — Farbowana na niebiesko skórzana sakiewka z kościanym wieczkiem na trzech złotych zawiasach z granatem na każdym z nich. Hilda zapagnęła unieść ją do twarzy i poczuć zapach nowej skóry, wypróbować jej miękkość. — A do środka...

Dłoń królowej, szukająca czegoś w koszyku, zacisnęła się w pięść, a jej twarz się ściągnęła. Wilnoża położyła z troską rękę na jej brzuchu.

— Możesz nie dotrzeć na jutrzejszą mszę, pani. — Podała koszyk Begu. — Zmiaatajcie. Moja pani musi odpocząć. Nie, nic nie mówcie. Podziękujecie jutro.

Na zewnątrz odwróciły się do siebie, lecz na dziedzińcu było zbyt dużo ludzi. Hilda spojrzała na niebo. Chmury były drobne i białe; nie zanosiło się na deszcz.

— Pokażę ci tajemne miejsce — powiedziała.

Zaprowadziła Begu na powstały w przeszłości szlak między rzymską willą i brodem. Częściowo był zarośnięty, zielony i tajemniczy, tworząc tunel w lesie, którego drzewa zostały przycięte wiele pokoleń wcześniej, a który potem zdziczał i teraz był stopniowo zagospodarowywany na nowo.

Begu co pewien czas przypominała sobie, co było w koszyku, i przestawała nim wymachiwać, przestawała trajkotać i robiła uroczystą minę, ale zaraz coś zauważała — Patrz, jeże już się obudziły! — pokazywała to palcem i zapominała o koszyku.

Po chwili zeszyły ze szlaku na gorszą, krętą ścieżkę. To była dróżka drwali. Przeskoczyły przez strumyczek toczący bystre, brunatne wody.

Stało tam w kręgu jedenaście jesionowych pni przyciętych na początku wzrostu. Drwale mieli tu wrócić dopiero po wielu latach. Pośrodku powstała miękka sterta zbutwiałych liści. Hilda i Begu usiadły na niej. Rozłożyły suknie na ziemi, żeby zachodziły na siebie, a potem ułożyły na nich podarunki od królowej, wzięły się za ręce

i zapatrzyły na swoje skarby.

Wiał lekki wiatr, grzało słońce. W lesie pachniało młodymi pędami. Strumyczek bulgotał. Gdzieś w pobliżu odzywał się strzyżyk. Było słychać skrzypiące pieśni godowe dzwońców. Hildzie chciało się śmiać, krzyczeć i jednocześnie milczeć.

— Czuję się, jakby od środka właśnie wypełnił mnie słoneczny blask.

Begu skinęła głową.

— Chyba pękne.

Uścisnęła dłoń Hildy, a ta oddała jej uścisk.

Jeszcze trochę patrzyły na swoje skarby.

— Najbardziej podobają mi się naparstki — stwierdziła Begu. Puściła rękę Hildy i wsunęła jeden naparstek na środkowy palec, a drugi na palec wskazujący. — Chyba są dla ciebie za małe — powiedziała z nadzieją.

Hilda opadła na plecy i roześmiała się. Begu, jej kawka, jej gemæcce.

Pogoda zmieniła się z dnia na dzień. W wielkanocny poranek chmury kłębiły się na niskim niebie i ci, którzy musieli odejść od ognia, żwawo chodzili między budynkami, otulając się szczelnie ubraniem przed zimnym, kapryśnym wiatrem.

Królowa dotarła na mszę, lecz król już nie. Hilda zauważyła, że nie pojawili się żadni mężczyźni prócz Jutów królowej, księży i chórzystów oraz kilku służących w tunikach starannie oczyszczonych na tę okazję i spryskanych na ramionach pierwszymi grubymi kroplami deszczu — nie było żadnych Angłów prócz Ciana.

Cian wbił gniewne spojrzenie w Hildę, lecz Paulin w kapie sztywnej od drogich kamieni i złotej nici zauważył go i uśmiechnął się, więc teraz Cian musiał zostać.

Hilda nie zwracała na niego uwagi. Bolał ją brzuch, dziwny i ciężki, i lekko ją mdliło. Może sprawiły to te wszystkie kadzidła dymiące w mosiężnych kadzielnicach, którymi kołysali na łańcuszkach dwaj księża.

Dzięki muzyce Hilda zapomniała o bólu brzucha. Głosy wzbijały się wysoko. Na zewnątrz szumiał deszcz i bębnił o dachówki.

Dźwięczna łacina Paulina sprowadziła ją na ziemię. Wrócił ból brzucha. Hilda skupiła się na niezauważalnym przenoszeniu ciężaru ciała z jednej nogi na drugą. Chciała usiąść, ale tylko blada królowa miała do dyspozycji stołek na trzech nogach.

Msza ciągnęła się monotonicznie. Deszcz bębnił o dach. Jakaś kobieta wealh ciągle ostrożnie kaszła.

Znów wybuchła muzyka, Paulin przeszedł uroczyście wzdłuż nawy, poprzedzany przez księży z kadzielnicami. Kaszel kobiety osiągnął apogeum. Królowa wstała, zachwiała się i Wilnoða wraz z innymi kobietami pośpiesznie wyprowadziły ją z kaplicy. Begu zerknęła na Hildę i zachęcona jej skinieniem głowy wyszła z nimi.

Pod okapem, z którego spływały krople deszczu, Szczepan zagadnął Ciana: jeśli młody pan się zgodzi, biskup chciałby porozmawiać z młodym panem podczas uczy. Cian się uklonił i dał do zrozumienia, że nie tylko bardzo chętnie się zgodzi, ale że jest zaszczycony. Hilda oddychała głęboko wilgotnym, lecz świeżym powietrzem i zastanawiała się, kiedy chłopak nauczy się kłamać jak tan. Szczepan szybko się oddalił, unosząc szatę nad błotem. Cian popatrzył za nim spod zmarszczonych brwi i wytarł mokre przedramiona o tunikę.

— No tak — odezwał się Fursey. Odwrócili się. — Szczepan wygląda na zadowolonego jak czarny kogut. Gdybym był ekspertem w tej dziedzinie, a jestem nim, to powiedziałbym, że ten rzymski biskup spodziewa się ochrzcić pierwszego gesitha.

— Nie jestem gesithem...

— Jeszcze nie — wtrąciła Hilda.

— ...i nie chcę zostać księdzem!

— Też mi się tak wydaje — rzekł Fursey z uśmiechem. — Na szczęście chrzest nie czyni człowieka księdzem. Chociaż — tu jego uśmiech się poszerzył — czyni go nadzwyczaj mokrym.

Nie rozumiejąc, co ma na myśli, poszli za nim do halli na ucztę.

Forthere stał czujnie przy drzwiach, a goście pozbywali się broni, opierając ją o wschodnią ścianę. Cian postawił swój miecz obok kompletu miecza ze sztyletem z delikatnym zdobieniem ze srebra; to była piktyjska robota. Nareszcie przybył wysłannik Cinioda. Hilda położyła swój seax przy starej brytyjskiej klindze ze wspaniałym żółtym kamieniem w głowicy, prawdopodobnie z Dyfneintu, co oznaczało, że Geraint przysłał kolejnego posła. Przynajmniej nie popełnił błędu, znowu śląc biskupa. Hilda zastanawiała się, co się stało z Anaokiem. Zapinając pas, obrzuciła spojrzeniem zbiór broni, szukając tej należącej do wrogów Dyfneintu, Gewissów, lecz Cian i Fursey już szli w kierunku grupki pijących gesithów, więc Hilda pośpieszyła za nimi.

Znowu zrobiło się jej niedobrze i wrócił ten dziwny ból w podbrzuszu.

Uczta jeszcze się nie zaczęła. Scop króla — ten nowy, który odśpiewał lament po śmierci Rædwalda — ustawiał muzyków z piszczałkami i lirami; służba rozkładała talerze z chleba, miski i kubki. Kobiety chodziły od pochodni do pochodni z płonącymi świeczkami. Pośrodku wzdłuż palenisk mężczyźni ściskali się za przedramiona, składali ukłony albo klepali się po plecach. Największa grupa skupiła się wokół króla. Szczupły wysłannik z Dyfneintu w szkarłatnym płaszczu — Dyfneintowie uwielbiali swoje rzymskie zwyczaje — stał obok Paulina, który zdjął już zdobioną klejnotami kapę, lecz czerń jego stroju łagodziła fioletowa jedwabna szarfa, którą owinał się w pasie. Kręcił się przy nich z miną pełną szacunku Szczepan; stał tam nawet diakon Jakub. Wysłannik z Dyfneintu wbijał gniewne spojrzenie w żółtowołosego mężczyznę z bujnymi wąsami, który cicho rozmawiał z królem; Gewissowie, najpotężniejsi spośród Sasów Zachodnich, uwielbiali zarost na twarzy.

Mężczyźni otaczający króla ostentacyjnie rozmawiali ze sobą, lecz za każdym razem, kiedy król się roześmiał, westchnął albo lekko odwrócił, wyciągając puchar w stronę służącego, by go napełnił, zauważali to i lekko dopasowywali pozę, minę albo ton głosu do pozy, miny albo tonu głosu króla.

Nikt nie miał przy sobie niczego ostrego, nawet stołowego noża, lecz u boku króla cały czas czuwał Lilla, a Eamer i nawet Lintlaf znajdowali się w pobliżu i prawie nie pili. Eamer i Gewissowie udawali, że się nie zauważają. Może powodem było to, że Eamer już się nie uważał za Gewissa: przysięga gesitha miała pierwszeństwo przed wszystkim innym. Co prawda nie zwracał też uwagi na Hildę. Zastanawiała się, dlaczego. Wydawało się jej, że w Lindsey ją polubił, chociaż może źle go oceniła.

Przy jednym końcu paleniska stał Osric z Breguswithą i braćmi Berhtnothem

i Berhtredem. Osric nie przychyłał się do Breguswithy jak niegdyś Mulstan do Onneny, lecz obejmował ją ręką w pasie. Breguswitha uśmiechała się, śmiała i patrzyła na Osrica płonąącym wzrokiem, lecz częściej odwracała od niego twarz niż ją ku niemu zwracała, jak kot, który znalazł się w jednym pomieszczeniu z obcym. Dużo pili, podobnie jak Eadfrith i Osfrith wyglądający jak młodzi książęta. Nieopodal stał Oswine, wyraźnie chcąc podejść do kuzynów æthelingów, lecz nie był pewny przyjęcia.

Cian był spięty. Dzień uczyty był czasem wielkich przechwałek, bohaterskich czynów, propozycji i składania przysięg, a Edwin był zwierzchnim królem, najlepszym panem, na jakiego mógł mieć nadzieję gesith. Cian, przybrany syn tana, chciał zrobić dobre wrażenie.

— Daj Cianowi swój trunek — rzekła Hilda do Furseya. — Potrzebuje odwagi. Zamierza porozmawiać z Wroną.

— Ja? — zapytał Cian.

— Powiedziałeś, że to zrobisz. Na razie zapomnij o królu. Wypij to. Dobrze. I jeszcze jeden.

Posłała Szczepanowi ostrzegawcze spojrzenie, a potem ujęła Ciana pod łokieć i podprowadziła go do Paulina. Szczepan nachylił się i mruknął coś swojemu biskupowi do ucha. Paulin odwrócił się z uśmiechem.

— Nazywaj go ekscelencją — szepnęła Hilda i leciutko go pchnęła.

— A, nasz wojownik uczęszczający na msze — rzekł Paulin i wyciągnął rękę.

Cian pochylił głowę, ale chyba nie wiedział, że należy pocałować pierścień z ametystem.

— Ekscelencjo.

Mięśnie wokół oczu Paulina drgnęły.

— No tak. — Powiódł czubkiem upierścienionego palca wokół krawędzi swojego pucharu z błękitnego szkła. — Szczepan mówi, że interesujesz się wiarą, młody... Cian z Mulstanton przy Zatoce Wici?

— Tak, ekscelencjo. To znaczy muzyka, muzyka była bardzo piękna.

— Tak. Sprowadziłem tu diakona Jakuba specjalnie po to, by podbudowywał dusze ku większej chwale Boga.

— Jesteś bardzo przezorny, biskupie — odezwała się Hilda.

Paulin spojrział na nią, potem na Ciana i znowu na nią.

— Jesteście kuzynami?

Hilda znieruchomiała. Na chwilę zapomniała, jak niebezpiecznie jest stawać obok Ciana, jak ktoś obcy będzie widział ich wzrost, ich włosy, ich poważne twarze.

Cian roześmiał się i pokręcił głową.

— Ale przez całe dzieciństwo bawiliśmy się ze sobą jak lisie szczenięta.

Z oczu Paulina skrytymi pod opadającymi powiekami nic nie dało się wyczytać, ale Hilda się martwiła. Wrona nie był głupi.

Bolał ją brzuch.

Tłum zafalował.

— Nie — powiedział głośno król, już drugi raz, jak uświadomiła sobie Hilda. — Nie, panie Ceadda. Nie zniosę nieustannego nagabywania we własnej halli. — Odwrócił

się z rozmysłem od Sasa Zachodniego, spojrzął na grupę Hildy, skinął ręką na Dyfneinta. — Panie Dywel, powiedz mi o propozycji króla Gerainta. Właściwie chodźcie tu wy wszyscy, ekscelencjo, tak, i twoi księża, i ty, bratanico, chodźcie tu i porozmawiajcie ze mną o sprawach odpowiednich na dzień uczyty.

Scop uderzył w struny liry. Coelfrith podniósł wzrok, dostrzegł znak dany przez kuchmistrza stojącego obok zasłony i skinął głową królowi. Edwin uśmiechnął się.

— Ocaleni przez jedzenie. Chodźmy ucztować.

Pokazał ręką na stół za plecami grupki Hildy i zrobił krok w jego stronę.

Świat oszalał.

Hilda spostrzegła błysk światła. Lilla, znajdujący się dwa kroki za królem, wrzasnął i rzucił się na Edwina i Eamera. Krótkim czerwonym łukiem trysnęła krew.

Wszystko zwolniło, dźwięki się rozciągnęły.

Blask pochodni lśnił na pierścieniach, torkwesach wysadzanych klejnotami, na klindze ociekającej krwią. Błysk. Błysk.

Hilda nie potrafiła tego zrozumieć, mogła tylko patrzeć, a po podłodze zasłanej sitowiem ciekł strumyczek krwi i wsiąkał w jej but. Krew w królewskiej halli.

Wtedy uderzył w nią zapach i świat wrócił do normalnej prędkości. Przykucnęła i sięgnęła ręką do seaksa, którego nie było na zwykłym miejscu.

Forthere i Cian odrzucili ją na bok; wszędzie wokół niej mężczyźni sięgali do mieczy, których nie mieli, i na chwilę zastygli w bezruchu. Krzyki, wrzaski, nagłe wycie, jeszcze jeden błysk noża, i jeszcze jeden.

Edwin zerwał się z podłogi, pobladły z bólu. Z ramienia kapała mu krew. Osłaniał go Cian z szaleńczym wzrokiem; pomiędzy jego kłykci wystawało małe ostrze, lśniące czerwienią granatów. I krew, tyle krwi, rozlewającej się szeroką kałużą z rozciętego gardła Forthere'a. Lilla tulił własne wnętrzności, jakby to był mały lśniący pies. I Eamer, który wciąż trzymał długi cienki nóż. Nóż skrytobójcy. Eamer się nie ruszał.

Cian sięgnął ręką za siebie, by się upewnić, że królowi nic nie grozi.

— Do mnie! — wrzasnął. — Do króla!

I wtedy podniosła się wrzawa: krzyki, mężczyźni biegnący po swoje miecze, król chwiejący się na nogach z krwią spływającą po ręce.

Cian i wojownicy uzbrojeni teraz w miecze wycofywali się powoli z halli; miecze sterczały na wszystkie strony jak kolce jeża. Małe ostrze Ciana wyglądało groźnie jak ząb żmii.

Gewiss zniknął. Podobnie jak Fursey.

Płomienie migotały spokojnie w komnacie Hildy i Begu, budząc błyski na srebrnej nici gobelinu. Begu wyżeła szmatkę nad miską z brudną wodą i ponownie zanurzyła ją w miedzianej misce z ciepłą wodą. Starannie wytarła szyję Hildy. Hilda siedziała nieruchomo jak posąg.

— Skąd się wzięła na twojej szyi?

— Nie wiem.

Język jej ciążył.

— Masz jej też trochę na bucie. Ojej, przesiąkła do nogawicy. To twoje najlepsze

nogawice. — I chlapnęła na suknię.

Wyplukała szmatkę, wyżeła ją i znowu wytarła Hildę.

Begu przyzwała gestem Gwladus stojącą w cieniu przy wnęcie z łóżkiem.

— Potrzebujemy zimnej wody, żeby namoczyć ubranie. I więcej szmatek. I jedzenia. — Spojrzała na Hildę. — Mizernie wyglądasz. To pewnie szok. Ale może jesteś głodna. Ja nie dostawałam jedzenia, kiedy królowa rodziła. — Hilda nic nie mówiła. Nic nie czuła. — Przynieś dużo, dużo wszystkiego — poleciła Begu.

Gwladus wyszła.

— Rozbierz się — powiedziała Begu. — Zdejmij z siebie wszystko.

Hilda wstała i rozebrała się; miała zimne, niezdarne ręce. Begu umyła ją od stóp do głów mocnymi, uspokajającymi pociągnięciami.

— Oj, masz tu na goleni małe skaleczenie.

Hilda spojrzała. Noga wydała się jej bardzo odległa. To nie była jej noga.

— Nie boli? To nic wielkiego. — Begu delikatnie wytarła ranekę. Hilda poczuła odległe mrowienie, a Begu owinęła nogę szmatką i zawiązała. — Już.

Teraz Hildzie zrobiło się zimno, zimno do szpiku kości, zimno jakby była marmurową rzeźbą. Wszystko przesiąknięte krwią, jakby w niej tonęła.

Begu dalej coś mamrotała i wycierała Hildę jak nowo narodzone ciele, a potem pomogła jej włożyć czystą koszulę nocną z długimi rękawami.

— Rozgrzejemy cię. — Pomogła Hildzie się położyć, przykryła ją i odgarnęła włosy z twarzy. — Zostań tu, a ja zrobię porządek.

Begu zaczęła szukać śladów krwi na ubraniu Hildy; części garderoby, które nie miały plam, składała i wygładzała.

— Opowiem ci o dziecku, dobrze?

— Cian...

— Cianowi na pewno nic nie jest. Jest bohaterem. Leż spokojnie.

Król na pewno jest na wpół oszalały ze strachu. Powinna przy nim być, nie mogła się jednak poruszyć.

Begu mówiła o tym, jak krzątały się kobiety królowej.

— Można by pomyśleć, że nigdy przedtem nie widziały noworodka. I królowa. Wygląda na spokojną, a klęła jak gesith! Ale one zawsze tak klną...

Cian. Powinna tam być.

— Ma na imię Eanflæda.

Eanflæda. Nowa tkaczka pokoju, narodzona we krwi. Wszystkie dzieci rodzą się we krwi.

— Przez chwilę się martwiłam, że królowa odrzuci maleństwo. Ale kiedy... A co to takiego?

Hilda otworzyła oczy. Begu patrzyła ze zmarszczonym czołem na majtki Hildy. Dotknęła czubkiem palca czerwonej plamy.

— Jest jeszcze wilgotna. — Podniosła wzrok. — To twoja.

Hilda nie rozumiała.

— Boli cię brzuch?

Hilda położyła rękę na brzuchu.

Begu się rozpromieniła.

— Jesteś kobietą! Chociaż wybrałaś na to piękny wieczór: król na wpół martwy, królowa ma nową córkę, a wszędzie panuje chaos.

Hilda dotknęła swojego brzucha. Kobieta. A potem uświadomiła sobie, co powiedziała Begu.

— Król na wpół martwy?

Begu zbyła kwestię królewskiego zdrowia machnięciem ręki. Potrząsnęła majtkami Hildy.

— Jesteś kobietą!

Do komnaty weszła Gwladus, a za nią dwie podkuchenne z potężną tacą i dwoma wiadrami wody. Begu znowu zamachała majtkami i powiedziała:

— Będziemy potrzebować więcej szmatek i naparu z liści malin!

Gwladus westchnęła, pokazała, gdzie służące mają postawić swoje ciężary, i właśnie zabierała się do wyjścia, lecz Hilda usiadła w łóżku i powiedziała:

— Zaczekaj. Dowiedz się o zdrowie króla i Ciana.

— I przynieś miód — dodała Begu i zwróciła się do Hildy: — Zrobimy sobie ucztę! Wyglądasz o wiele lepiej. Czasami szok tak działa na ludzi. Ale trochę jedzenia wszystko wyleczy. Ubieraj się.

— Cian...

— Przestań się martwić o Ciana. Potrafi o siebie zadbać. Ocalił królowi życie. Zrobią z niego bohatera. Poza tym nie pomożesz mu z tego łóżka, prawda?

Z tym Hilda nie mogła polemizować.

— No właśnie. Nie, nie. Właściwe ubranie. Teraz jesteś kobietą. Najlepsza suknia wierzchnia z suknią spodnią i butami, które przysłała Onnena do kompletu z opaską do welonu. I wyłóż czymś majtki. — Podała Hildzie czystą szmatkę i pokazała, jak ją złożyć. — Ja to zrobię.

Tak więc Hilda po raz pierwszy ubrała się jak kobieta do wtóru plusku wody i odgłosów wyzymania materiału oraz obrazów Ciana zamordowanego przez na wpół oszalałego króla.

— Nie zapomnij o naszyjniku, tym grubym ze złota.

Hilda znalazła ciężki naszyjnik i włożyła go, poruszając się, jakby znajdowała się pod wodą. Czy to znaczy być kobietą? Nikt jej nigdy nie mówił o grubym języku i tej dziwnej odległości. Uniosła przepaskę, którą Begu przywiozła od Onnenny.

— To w brzuchu to jak ból zęba, prawda? — powiedziała Begu, patrząc na drugą dłoń Hildy, zwiniętą na brzuchu. — Pomoże ci na to napar. I miód. Poza tym ból jutro zniknie. Daj mi to. — Wzięła od Hildy przepaskę. — Nie mogę ci jej zawiązać, jak się tak ściskasz. No. Za ciasno?

Hilda pokręciła głową.

— Szkoda, że twoje dobre nogawice są w wiadrze. Ale i tak nikt niczego nie zauważy. Poza tym, gdyby to skaleczenie się otworzyło, to tylko byś je znowu zakrwawiła. Nie ruszaj się. — Pogrzebała w zamszowej sakiewce wiszącej u jej własnej przepaski i wyjęła z niej grzebień, który dostała od Hildy. — Zanim przymierzemy welon, ładnie cię wyczyszemy. Nie, nie, będziesz musiała usiąść na łóżku. Zupełnie jakbym

próbowała uczesać czubek drzewa!

Hilda siedziała z tępą miną, a Begu ją czesała, posuwając się systematycznie od końców włosów do czubka głowy. Kiedy uporowała się z wszystkimi supełkami, uniosła włosy Hildy, zebrawszy je blisko przy głowie, i energicznie przeciągnęła przez nie grzebień jakby czesała ogon konia.

— Przysięgam, że masz włosy dokładnie takiego koloru jak Cian. Moglibyście być bliźniętami.

Begu puściła włosy, które rozsypały się na jej przedramieniu, a potem ostrożnie zabrała rękę, żeby spadały prosto między łopatkami Hildy.

— Dobrze. Nie, nie ruszaj się.

Ostrożnie nasunęła welon na czoło Hildy.

Modresniht, Edwin wkłada na jej głowę ciężką bransoletę jak koronę. Jej ścieżka.

— Co się stało? Och, cicho, cicho, już dobrze. — Begu objęła Hildę. — Już dobrze. To się zdarza wszystkim. Przrzekam, że wkrótce to polubisz.

Hilda pokręciła głową. W uszach jej trzepotało, jakby pełno w nich było motyli.

— Opuść głowę. Opuść. Już dobrze. — Begu głaskała ją po plecach. — Już dobrze.

— Zdejmij go.

— Welon? Ale...

— Zdejmij go!

Begu ostrożnie zdjęła welon. Hilda odetchnęła. Begu skinęła do siebie głową.

— Tak lepiej. Zbladłaś jak mleko. — Ostrożnie pomacała haftowaną, naszywaną klejnotami opaskę. — Nie czuję, żeby coś wystawało.

— Nie o to chodzi.

— A o co?

— Wszystko jest inne. Wszystko.

— To oczywiste.

— Nie rozumiesz.

Zaatakowali ją w Lindsey. Zaatakowali króla w jego własnej halli. Cian, jej Cian, zabił człowieka. Powinna była tam zostać. Jak może być światłem świata, skoro tak się czuje?

— Ależ rozumiem. Mnie się to przytrafiło dawno temu. — Machnęła lekceważąco ręką. — Za dwa tygodnie nawet nie będziesz pamiętać, jak to było być dzieckiem. Poza tym już się stało. — Wzięła Hildę za rękę. — Nie można nic zrobić. I ja tu jestem. Twoja gemæcce.

— Ale...

— Żadnych „ale”. Jest, jak jest. Jak idzie pieśń tego nowego scopa?

— Los tako się dzieje, jako i musi.

— Właśnie. Cian jest już mężczyzną. Bohaterem. Ty jesteś kobietą. Jesteś więc gotowa jeszcze raz przymierzyć tę opaskę?

„Los tako się dzieje, jako i musi”. Hilda pochyliła głowę.

Kiedy tym razem poczuła na czole ucisk opaski, była gotowa. Nie jestem dzieckiem w halli, powiedziała sobie w duchu. Żadne z nas nie jest już dzieckiem.

— Wstań. Weź to. — Begu podała jej sakiewkę, którą Hilda dostała od królowej.

— I swój seax. Proszę. — Twarz Begu się wygładziła, dłonie opadły na kolana. Uśmiechnęła się zaskoczona, dumna. — Twoja matka już nigdy nie będzie ci mówić, co masz robić. — Znowu ten uśmiech. — Zaczekaj.

Wstała i wlała wodę do picia po same brzegi wiadra z ubraniami.

— A teraz chodź i popatrz. Nie, zaczekaj. Zapomniałam. Mam dla ciebie prezent. — Wskoczyła na łóżko, złapała równowagę i przesunęła ręką po półce, szukając takiego samego pudełka jak to niezdarnie pomalowane, które kiedyś dała Hildzie.

— Proszę. — Kolczyki. Agat mszysty nawleczony na złoty drut. — Nie ruszaj się. O, tak. Są dokładnie takie jak twoje oczy. I to. — Zatknęła za przepaskę Hildy kościaną kądziel bardzo podobną do tej, którą sama miała przy sobie, i zeskoczyła z łóżka. — Teraz chodź i popatrz. — Hilda stanęła obok niej. — Wyglądasz jak królowa.

Hilda spojrzała na swoje odbicie. Zobaczyła wysoką, zimną kobietę. Niebieskozielony welon haftowany złotą i srebrną nicią, z naszytymi kamieniami lapis-lazuli, agatami i beryłami. U jej uszu kołysały się agaty, między piersiami spoczywało ciężkie żółte złoto. Ufarbowana na niebiesko przepaska. Dopasowana sakiewka z kościanym wieczkiem. Kądziel.

Roztaczała woń władzy: była bogato odziana, silna, niesamowita. Położyła dłoń na seaksie i posłała samej sobie długie spojrzenie. Begu ma rację. Nikt nie będzie tak głupi, by stanąć na drodze tej kobiecie. Wyglądała jak blada, nieziemska królowa.

— Mogłabyś rozkazać płomieniowi, by z powrotem wskoczył do kłody, a on by posłuchał — rzekła Begu.

Hilda uśmiechnęła się, czując swoją moc. Uśmiech zmienił nieziemską królową w wymizerowaną, kościstą nastolatkę bawiącą się w przebieranki. Cofnęła się, zaskoczona.

Do komnaty wpadła Gwladus.

— Ha! — zaczęła i postawiła na stole wielką tacę. — Przepowiadacie sobie przyszłość? A ja mam wiadomości. Lilla jest zimnym trupem. Król ryczy jak niedźwiedź przekłuty szpikulcem, ale podobno już oddycha swobodnie. Jutro nic mu nie będzie oprócz tego draśnięcia w ramię. Ardduna powiedziała, że wiedźma, to znaczy, z przeproszeniem, pani Breguswitha, powąchała ostrze i uznała truciznę za źle sporządzoną.

— Truciznę?

Begu spojrzała na Hildę. Trucizna.

— No co? — zapytała Gwladus.

— Opowiedz mi o tej truciznie.

— Lintlaf powiedział, że nie mógł mówić. Język mu sterczał jak martwy. Kręciło mu się w głowie i było mu zimno. Serce mu waliło. Ale teraz już mu nic nie jest. Jak mówiłam.

Trucizna.

— Nic mi nie jest — Hilda powiedziała do Begu. Jeśli jej goleń drasnęła klinga Eamera, to trucizna rzeczywiście była kiepska. — Mów dalej.

— Biskup rozповіда, że króla ocalił Bóg. Król tak głośno woła swoje wojsko, że aż poczerwieniał na twarzy. Wrzeszczy do biskupa, że jeżeli ten Chrystus da mu krwawe

zwycięstwo nad Sasami, to on, król, odda Chrystusowi swoją córkę, żeby została ochrzczona. Biskup wrzeszczy na swoich księży, żeby się modlili o zwycięstwo. Dowódcy wołają swoich ludzi i wrzeszczą na siebie nawzajem, bo Lilla i Forthere nie żyją i nikt nie wie, kto dowodzi. Lintlaf tylko kręci głową, a bracia Berhtowie marszczą się jak czarne psy. Królowa wrzeszczy na swoje kobiety, żeby uciszyły króla, bo obudzi małą. Mała płacze. Będzie się nazywać Eanflæda. Ma czarne włosy i niebieskie oczy. I ma niezłe płuca. Różowa, pulchna i głośna jak maciora.

— Cian?

— Lintlaf mówi, że nic mu nie jest. Do jutra, kiedy wszyscy się uspokoją, będzie pod strażą, ale pilnują go twoje ogary, które uważają go za bohatera.

Gwladus oceniła wrażenie, jakie zrobiły jej wieści, kiwnęła z zadowoleniem głową, a potem zerwała z tacy szmatkę i zaczęła wyliczać:

— Przyniosłam biały miód, słodkie ciasteczka i pas do szmatek. Jest tyle krzyku, że nikogo nie obchodzi, co jest dzisiaj wynoszone z kuchni.

— Widzisz? — powiedziała Begu. — Nic nie możesz zrobić. Nic mu nie jest. Tobie też. A teraz świętujmy.

Jadły i piły, wznosząc toasty za siebie jako gemæcce, za Etelburgę i Eanflædę, za króla, by przeżył, za Gwladus za przyniesienie wiktuałów, za Arddunę za wieści i za Ciana.

— Lintlaf mówi, że za dzisiejszy wieczór dostanie pierścień — rzekła Gwladus. Wydawało im się naturalne, że ich wealh siedzi razem z nimi na łóżku i sączy miód z drewnianego kubka ze srebrnym brzegiem. — Młody gesith, który ocalił króla. Jak w tych starych pieśniach.

— Cian ocalił króla! — powiedziała Begu. Zeskoczyła z łóżka i zatańczyła z miodem w ręce. — Cian ocalił króla!

Z jakiegoś powodu wydało się to im wszystkim zabawne.

Potem znowu piły i wznosiły kolejne toasty, a potem uklękły przy wiadrze z wodą i patrzyły, jak Gwladus zdmuchuje wszystkie świece i zapala skręcone włókno konopi pływające w miseczce z łojem.

Po białym, jasnym jak blask księżycy świetle woskowych świeczek szeroki płomień pełgający w prostym glinianym naczyniu przywodził na myśl początek czasów. Woda lśniła brązem i czernią.

— Spójrz, ty — rzekła Gwladus. — Spójrz w wodę i powiedz, co widzisz.

— Tak, och, tak! — zawtórowała jej Begu. — Pokaż nam magię przepowiedni.

Hilda spojrzała na wodę, na siebie, na kobietę. Kobietę, która wie. Stojącą jak królowa. Światło świata. Królową świata.

— Mogłabym być królową — powiedziała.

— Czy to widzisz? To jest twoja wyrd?

Hilda zajrzała głębiej, wtapiając się umysłem w migotanie i cień, jak mogłaby to zrobić w lesie, patrząc na liście albo leżąc na plecach, obserwując chmury i pozwalając na swobodny przepływ myśli, pozwalając, by znane jej fakty ułożyły się we wzór, w opowieść, którą inni mogliby nazwać przepowiednią.

— Czy to twoja wyrd? — powtórzyła Begu.

— Nie.

Nie było świata, w którym chciałyby być królową jakiegoś innego króla. Tkaczką pokoju będzie Eanflæda. Ona była światłem świata.

— A co z Cianem?

— Cicho, ona widzi — powiedziała Gwladus.

Cian. Gwladus miała rację. Cian złoży przysięgę królowi, przysięgnie oddać życie w obronie honoru króla. Będzie bohaterem, który ma miecz z pierścieniem. Kimś więcej, bo Lilla i Forthere zginęli, Edwin nie będzie wiedział, komu ufać, a Cian udowodnił swoją lojalność. Edwin... Pokręciła głową.

— Co? Co teraz widzisz? Co ona widzi?

— Cicho — Gwladus uciszyła Begu, a do Hildy powiedziała po brytyjsku: — Wypij to. Jeszcze jeden łyk. A teraz spojrzysz, spojrzysz głębiej.

Z przelotykiem palącym od miodu Hilda poczuła się wszechmądra, wszechwidząca, wszechpotężna.

Popatrzyła na wodę, na falujące twarze towarzyszek. Mała wieśniaczka Begu, która nic nie wie o świecie. Gwladus, wealh z Dyfneintu, która tylko chce wrócić do domu. I może wróci. Gewiss próbował zabić króla, Gewiss, który zapałł się samego siebie.

— Król będzie polował na Gewissów. Będzie wojna z Sasami Zachodnimi.

Z wrogami mieszkańców Dyfneintu. Ale one to wiedziały.

— Czy Lintlaf będzie walczył z Sasami u boku króla?

— Tak — odparła Hilda po brytyjsku. Lintlaf jest gesithem. Co innego miałby robić? — Zabije wielu Sasów.

— Wróci do domu, do mnie?

— Do domu... — Jeśli wojna potoczy się pomyślnie, a oczywiście tak będzie, bo zbrojny oddział Edwina jest ogromny, to może postanowi zatrzymać ziemię odebraną Sasom Zachodnim, tę, którą niedawno zabrali Dyfneintowi. A jeśli Lintlaf spisze się dobrze... — Król zajmie ziemię Dyfneintu. Jeśli tak postanowi, Lintlaf mógłby zarządzać jakąś ich częścią w imieniu króla.

— Ziemię Dyfneintu, Lintlaf? Mógłby zawieźć mnie do domu?

— Co? Co takiego? Co ty mówisz? — zapytała Begu.

Hilda oderwała wzrok od wody. Oczy wealh lśniły. Tak łatwo było zmienić czyjeś życie.

— Mógłby.

Gwladus pisnęła i uściskała Begu.

— Wracam do domu! Wracam do domu!

— Teraz moja kolej — rzekła Begu. — Zobacz, co mnie czeka.

Hilda uśmiechnęła się i spojrzała na wodę. To było nawet łatwiejsze. Begu wyjdzie za mąż i nauczy swoje dzieci imion wszystkich koni, krów i kóz w okolicy. Ale nie, chwileczkę. Chwileczkę. Begu jest teraz jej gemæcce; musi więc towarzyszyć Hildzie. Lecz dokąd się uda Hilda?

Z głębi wiadra uniosła się rozdęta przez uwięzione powietrze stopa jej nogawicy, obróciła się i opadła z powrotem jak wieloryb, nurkujący głęboko w zimnych wodach Morza Północnego. W dół i w dół, i w dół w ciemność...

Zadrżała. Los Begu splatał się z jej losem. Powinna była o tym pomyśleć. Begu nie ma pojęcia o życiu Hildy; Hilda powinna była jej wiele wyjaśnić. Lecz teraz było za późno. Sama królowa uczyniła z nich gemæcce; nie można było tego cofnąć. Życie Begu już nigdy nie będzie proste.

Dlaczego królowa to zrobiła? Królowa... Królowa, która sprowadziła Paulina, tego Chrystusowego biskupa... A temu Chrystusowi król przysięga oddać dziecko królowej za zwycięstwo w bitwie. Chrystusową tkaczkę pokoju...

Knotek pływający w tłuszczu rozbłysnął na żółto i Hilda przypomniała sobie drogę do Rendlesham, kiedy Fursey postukał w mały ognisty paciorek. „Zapomniałaś o najpotężniejszym ze wszystkich”.

Płonący światłem żółty paciorek obok innych: tego Cynegilsa z Sasów Zachodnich, gniewnie ciemnoczerwonego i czerwono-pomarańczowych paciorków jego trzech synów. Jeden jest wyszczerbiony. Ostry. Irytująco ociera się o ojca. Aha.

— Cwichelm! — powiedziała. — To był Cwichelm, książę Gewissów. To on wysłał Eamera.

Nie pamiętała imienia tego drugiego Sasa obecnego na uczcie. Ceadda? Nie patrzył na Eamera, ale musiał mu dać jakiś sygnał. Dlaczego tego nie widziała? Dlaczego nie patrzyła? Bo u boku miała Furseya, a w myślach Ciana. Jej matka byłaby zła. Jej matka... Czy ona ma coś z tym wspólnego? Nie: nie mogłaby kontrolować chaosu, który wybuchł po zabójstwie, a Breguswitha lubiła sprawować kontrolę. Osric? Hilda pomyślała o tym, jak jego ciało ukazuje jego myśli — nie, był bardzo zaskoczony. A gdzie zniknął Fursey?

— Hildo, co ze mną? — zapytała Begu. — Co z moją przyszłością, naszą przyszłością? Będziemy szczęśliwe? A ja?

Knotek rozpalił się mocniej i sychnął iskrami. Chrystus. Cwichelm. Fursey. Wszystko się zmieniało, a ona nie widziała wzoru. To już nie było łatwe. Ból brzucha przyprawiał ją o mdłości.

Poczuła na dolnej wardze ucisk srebrnego brzegu kubka Gwladus.

— Pij.

Przelknęła. Chciała się położyć. Teraz jednak w jej głowie roilo się od obrazów: szaleńczo rozglądający się Edwin z krwią kapiącą z ręki — komu ufać, komu ufać? Poczuła zadowolenie, wielkie zadowolenie, że Eamer nie był jednym z jej ogarów. Zobaczyła, jak Edwin siedzi na swoim wielkim tronie i z rozbieganym wzrokiem podejmuje i cofa decyzje przez całą wiosnę i lato, aż jego doradcy wpadają w rozpacz i zaczynają słuchać obietnic innych królów i książąt. Jest tylu innych królów: Anglowie, Brytyjczycy i Sasi, Irlandczycy, Piktowie i Szkoci. Tyle strachu i chciwości, tyle szeptów: przybrany brat w Gwyneddzie, oschli bratankowie na wygnaniu u Piktów i Szkotów, a jego czarnowłose kuzyn, Osric, spiskuje w Arbei. Szczęk mieczy.

— Czarne włosy i kasztanowe — powiedziała, patrząc, jak wzór ze światła i cienia splata się i lśni na powierzchni wody.

Jej nogawica znowu uniosła się do góry jak martwy, wzdęty wieloryb.

Pochyliła się niżej.

— Tyle krwi.

— Nie dotykaj! — Begu chwyciła Hildę w momencie, kiedy jej twarz znajdowała

się tak blisko wody, że mogłaby jej dotknąć językiem. — Rozleje się i przerwie zaklęcie.

— Śmierdzi — powiedziała Hilda.

— No, śmierdzi. Jest pełna twoich brudnych ubrań.

Hilda zamruwała. Ubrania. Brudna woda. Tylko brudna woda. Wyprostowała się, a potem musnęła jej powierzchnię palcem. Rozedrgana woda przelała się przez krawędź wiadra. Hilda wstała.

— Kiedy to sprzątniesz, przynieś mi napar z malin — poleciła Gwladus.

Następnego dnia brzuch ją nie bolał, za to bolała głowa, a skóra pachniała inaczej, jakby to była skóra kogoś obcego.

Gwladus przyniosła jedzenie i wieści, że według Lintlafa Cian wciąż jest cały i zdrowy, a według Ardduny królowa i niemowlę mają się dobrze. Hilda wysłała ją z misją dopilnowania, żeby Cian dostał jedzenie; kiedy sączyła z Begu piwo i pogryzała niechętnie ciepły chleb z miodem, zasłona się rozchyliła i do komnaty wkroczyła Breguswitha.

— Tu jesteś. Król chce... — Przerwała. — Aha. — W tym jednym słowie zawarła więcej, niż mieściło się w całej pieśni scopa. — Jaki śliczny welon. — Na chwilę tak krótką, że Hilda zastanawiała się, czy sobie tego nie wyobraziła, twarz matki ściągnęła się i pomarszczyła jak skórka na podgrzany mleku, lecz zaraz się wygładziła i przybrała zwykły nieprzenikniony wyraz. — I bardzo piękna sakiewka. Kentyjska robota, jeśli się nie mylę.

Spojrzała znacząco na kądziel za paskiem Hildy, a potem na dopasowaną do niej kądziel za paskiem Begu.

Hilda powoli strąciła okruszki z sukni. „Twoja matka już nigdy nie będzie ci mówić, co masz robić”. Wstała. Była wyższa od Breguswithy.

— Czego chce mój wuj?

Mój wuj, nie twój.

— Twój ksiądz, który do wszystkiego się wtrąca, znalazł tego Sasa, Ceadę, Gewissa, który uciekł.

— I król chce, żebym go przepytala?

Breguswitha uśmiechnęła się; błysk oczu i zębów, jakby krzemień uderzył w stal.

— Niestety, król zabił go, zanim zdołał coś powiedzieć. Zabiłby też tego twojego księdza, gdyby ten nie uciekł jak królik. Jeśli ma choć odrobinę rozsądku, nie przestanie uciekać. Jednakże pogłoska o twojej wizji, o czarnych włosach walczących z kasztanowymi i wskazanie przez ciebie Cwichelma obiegła kuchnię i dotarła do Edwina. Jest... zaniepokojony. — Breguswitha zwróciła się do Begu: — Ty pewnie jesteś tą dziewczyną z Mulstanton. Myślałam, że będziesz lepiej ubrana.

Begu przekrzywiła głowę i przyjrzała się matce Hildy najpierw jednym, a potem drugim okiem.

— Ty pewnie jesteś matką Hildy. Myślałam, że będziesz wyższa.

Hilda poczuła straszną chęć, żeby zachichotać. Zamiast tego wzięła swoją gemæcce za rękę.

— Może królowa zechce cię zobaczyć.

Begu popatrzyła tym ptasim wzrokiem na Hildę i po chwili zastanowienia skinęła

głową. Zebrała swoje rzeczy pod milczącym spojrzeniem Hildy i jej matki i wyszła.

— Ty głupia dziewczyno! — rzekła Breguswitha. Jej głos przypominał syk łabędzia. — Cwichełm! A jeśli się mylisz?

Hilda usiadła.

— Nie myślę się.

Zjadła kawałek sera.

Matka też usiadła.

— Skąd wiesz?

Hilda przestała żuć zaskoczona. Przełknęła.

— Jestem światłem świata.

— Tak, tak. Światło świata, jasnowidząca króla. Ale on cię zapyta, co i jak widziałś. Co więc mu powiesz?

— Popatrzyłam na wodę.

— Świętego stawu, mam nadzieję? — Hilda pokręciła głową. — Srebrna misa w świetle księżyca w pełni? Staw, na który się natknęłaś, śledząc orła? Nie. Nie, ty głupie dziecko. Wiadro pełne brudnych ubrań! Tak usłyszałam w kuchni. Czy wiadro z praniem napęlnia słuchacza nabożnym podziwem? Czy brudne ubrania budzą strach przed posłaniem z zaświatów i tą, która je przekazuje? Nie. One budzą tylko myśli o brudzie, o ludzkim smrodzie. Ludzkim. O ludzkich kłamstwach i oszustwach, o zdradzie, spiskach i zabójcach z zatrutymi nożami.

— To była tylko zabawa.

— W królewskim vill słowa jasnowidzącej króla mają wagę trucizny albo pereł. Nic, co mówisz, nie jest zabawą.

Hilda wpatrywała się we własne buty. To nie jej wina, że służba roznosi plotki. To była tylko zabawa.

— Nie, mała zadziorko. Nie pora teraz zwinąć się w kłębek i czekać, aż myśliwy się oddali. Król zabije ciebie albo Ciana, jeśli choćby zerkniesz na niego z ukosa. Spójrz na mnie. — Uniosła podbródek Hildy, aż ta poniosła wzrok. — Myśl.

Hilda chciała ugryźć matkę w rękę. Lecz matka miała rację. Edwin szalał z bólu, szalał ze strachu. Delikatnie odsunęła matczyną dłoń.

— Czym był zatruty nóż Eamera?

— Czymś podobnym do tojadu. Truciznę przygotował jakiś partacz. — Znowu ten skrzący się uśmiech: gdyby zrobiła to ona, król byłby martwy. — Dałam królowi zimny napar z naparstnicy. Dobrze się czuje. Przynajmniej na ciele. — Jego zdrowie potraktowała jak Begu lekceważącym machnięciem ręki. — Powiedz mi o swojej wizji. Niczego nie pomijaj.

Hilda posłuchała bicia swojego serca: równe. Oddechu: spokojny. Nie potrzebowała naparu z naparstnicy.

— To nie była wizja. — Breguswitha zgromiła ją wzrokiem. — Wizja. Tak.

Opowiedziała matce o ubraniach, krwi i wodzie.

— Ach tak. — Breguswitha się zamyśliła. — Krew króla i pierwsza krew jasnowidzącej dziewczicy zmieszane z wodą zaczerpniętą ze studni w blasku księżyca. Tak. Doskonale. Twoja wealh i ta gemæcce. Obie przysięgną, że tak było?

— Ona ma na imię Begu.

— Wiem, jak ma na imię. To był głupi... — Opanowała się. — Co się stało, to się nie odstanie. Teraz musimy się pośpieszyć. Możemy przedstawić twoją wizję tak, by mocno wskazywała na sidsa: król, dziewica, krew, woda ze studni w świetle księżyca. No i byli przy tym świadkowie. Bardzo dobrze. Jak jednak odpowiesz na zarzut, że Eamer, zabójca, był twoim człowiekiem?

— Co? Nie! Pod Lindsey otrzymał polecenie, żeby mnie strzec...

— Kto je wydał?

— Forthere. A on miał rozkazy od Lilli, a Lilla od króla.

— Nie był jednym z twoich ogarów?

— Nie. Nigdy. Zastanawiałam się, dlaczego. Myślałam, że mnie lubi...

— Może lubił. A teraz jeszcze raz opowiedz mi o swojej wizji, ale tak, jak powiesz o niej królowi.

Matka przeprowadziła ją przez tę opowieść krok po kroku, kształtując ją, wyostrzając.

— Tak jest dobrze. Ale uważaj, dziecko. Nade wszystko musisz polechtać jego próżność. Musisz sprawić, by poczuł się silny i że panuje nad sytuacją. Spraw, by poczuł się jak król.

W halli Hilda żałowała, że nie ma przy sobie matki. Wydawało się, że król prawie nie słucha jej opowieści. Nie mógł usiedzieć spokojnie. Drgały mu mięśnie w kąciku oka i ust. Siedział na swoim wielkim tronie na podwyższeniu z zakrwawionym mieczem na kolanach i seaksem w lewej ręce. Co pewien czas unosił ją i ocierał przedramieniem czoło. Jego wielki granat lśnił gorącą czerwienią, a na ramieniu bielił się niezdarnie zawiązany bandaż. To nie była robota Breguswithy. Rozbieganym wzrokiem usiłował przebić mrok pod ścianami. Po jego lewej ręce stał Paulin; jego kościste czoło wyglądało jak pociągnięte starym woskiem, błyszczały mu oczy. Szczepan siedział u stóp podwyższenia przy przechylonym drewnianym urządzeniu — było to coś w rodzaju stolika do pisania, na którym piętrzyły się tabliczki woskowe. Byli tam wszyscy mężczyźni: borsuk Osric, æthelingowie, Coelfrith, bracia Berhtowie — nieumyci, nieogoleni, niewypoczęci, z napiętymi mięśniami, gotowi rzucić się na każdy ruchomy cień i go zmiażdżyć. W kącie klęczał pozbawiony miecza i pasa Cian z rękoma przykrępowanymi z tyłu do kostek u nóg. Prawą stronę twarzy miał ciemną i spuchniętą. Włosy zlepiła mu chyba jego własna krew. Wyglądał na oszołomionego i bardzo młodego. Bycie bohaterem nie było takie jak w pieśniach.

Tondhelm trzymał Hildę z tyłu za nadgarstki i lekko nią potrząsnął, by mówiła dalej.

— Forthere kazał Eamerowi strzec mnie w Lindsey.

— Forthere, który nie żyje — powiedział król. Obrócił się na tronie, by spojrzeć za siebie, a potem znowu popatrzył na Hildę. — I Eamer ocalił cię w Lindsey, a mimo to spróbował zabić mnie, swojego króla. Dlaczego?

Nie było słyhać zwykłego szmeru rozmów towarzyszącego audiencjom w halli. Nikt nie chciał być słyszany, nikt nie chciał być zauważony. Na wszystkich padł strach: strach przed królem, strach przed tą młodą hægtes, strach przed Sasami w mroku i przed

ludzkim losem tkanym przez dłonie nie z tego świata. Zupełnie nie jak w pieśniach. W pieśniach...

— Ponieważ Cwichelm, jego pan, nic mu o mnie nie mówił. Bo ja nie jestem ważna. Ty natomiast, panie, jesteś zwierzchnim królem. Królem wszystkich Anglów.

— Wkrótce będę królem Sasów — powiedział kategorycznym tonem, ponieważ jego gesithowie, doradcy i wszyscy ci, którzy widzieli jego krew i czuli jej zapach, mogli spiskować przeciwko niemu. — Powiedz mi więc, jak to się stało, że ten obcy — tu wskazał zakrwawionym mieczem na Ciana — znalazł się w mojej halli z nożem jak ząb węża?

Wyprostowała się. „Jak tętent. Jak pieśń”.

— Powiedz raczej „ząb wilczęcia”, królu. To małe, ale uczciwe ostrze. Jak człowiek, który je dzierży. — Była zadowolona, że Cian jest ranny i nie stoi obok niej, wysoki jak ich ojciec i z jego włosami. — Jego matka, niejaka Onnena, była kobietą mojej matki. Bawiliśmy się razem jako dzieci. Lecz dzieci dorastają. Onnena wiedziała, że niedługo stanę się kobietą. Przysłała Ciana z darami. — Dotknęła welonu i kolczyków. Matka kazała jej włożyć całą złotą biżuterię, jaką miała, a na przepasce otrzymanej od królowej powiesić wszystkie symbole kobiecego statusu — nawet pożyczyła jej własny wróżebny kryształ. — Ostrze ukryte w klamrze było darem ode mnie. Z mojej ręki do jego. Do jego ręki, by chroniło twoje życie.

— Zaiste. — Oparł podbródek na pięści. — A skąd wiedziałaś, że będzie go potrzebować?

Dotknęła kryształu wiszącego u jej lewego biodra.

— Jestem twoją jasnowidzącą.

— Cwichelm, powiadasz. — Gestem nakazał Tondhelmowi, by ją puścił. Patrzył przez chwilę na swój seax, a potem schował go do pochwy. Podrapał się z namysłem po brodzie. — Usiłował mnie zabić.

— Tak, królu.

Chciała roztrzeć sobie nadgarstki, ale nie śmiała tego zrobić. Wszystko mogło zirytować Edwina, wszystko mogło wprawić jego miecz w ruch.

— I twierdzisz, że go powstrzymałaś.

— Panie...

Uniósł dłoń.

— Paulin jednak mówi, że moje ocalenie było zgodne z wolą Chrystusa.

— Może wolą Chrystusa było, bym się urodziła, widziała twoją drogę i kierowała innymi, by zapewnili ci bezpieczeństwo.

Paulin Wrona wbił w nią wzrok. Oddała mu spojrzenie.

— Biskup Chrystusa i służebnica wyrd — rzekł Edwin. — Komu mam wierzyć?

— Obiecałaś mi swoją córkę, bym ją ochrzcił, panie.

— Obiecałem ci ją, jeśli ty możesz mi obiecać, że twój Chrystus da mi zwycięstwo. Możesz to zrobić? Czy będziesz bąbał jak ten głupi biskup Dyfneintów, który powiedział mi, że wszystkie przepowiednie to dzieło demonów?

— Nie wszystkie, panie.

— A widziałaś moje zwycięstwo?

— Modliłem się. Poprosiłem o pomoc naszego Pana Jezusa Chrystusa i wszystkich Jego świętych i aniołów.

— Szkoda, że nie poprosiłeś wczoraj. — Powiódł palcem po zaklejonym krwią zboczku swojego miecza, a potem powąchał palec, wytarł go o udo i uniósł miecz. — Zbliź się.

Czarno odziana postać postąpiła do przodu.

— Bliżej.

Edwin dotknął sztychem miecza szyi biskupa tuż pod grdyką.

Hilda podziwiała odwagę Wrony i jego opanowanie. Włożył czyste szaty i się ogolił. Grdyka mu nie drgnęła.

— Założysz się? — spytał Edwin.

— Określ warunki, panie.

— Moja córka przeciwko twojemu życiu. Zwycięzę Sasów, to ją ochrzczisz. Jeśli nie...

Uśmiechnął się i delikatnie pchnął.

— Przyjmuję zakład.

W halli rozległ się pomruk zadowolenia. Wszyscy lubią odważnych. Wszyscy lubią zakłady.

— Tondhelm! — Wszyscy podskoczyli. Edwin wyciągnął miecz rękojeścią w stronę swojego tana. — Oczyszczyć go i odłóż. I przynieś jedzenie. Jestem głodny jak wilk. I przetnij jego więzy. — Wszyscy w halli, łącznie z Hildą, powędrowali wzrokiem do Ciana. — I niech ktoś znajdzie ten nóż jak ząb i jego pas. Do złożenia przysięgi będzie potrzebował klingi.

Hilda powoli się cofnęła.

— Bratanico. — Hilda zastygła w bezruchu. — Znajdź swojego księdza i przyprowadź go do mnie.

Kiedy wyszła na zewnątrz, oparła się o framugę i zwróciła śniadanie; w tym samym czasie Cian zaprzysięgał życie królowi.

Hilda zapomniała o maści, którą trzymała w ręce, i obserwowała treningową walkę Ciana i Berhtnotha: tarcza przeciwko tarczy, proste i zwinne ruchy Ciana jak poemat; nigdy nie rzucał się w przód, nigdy nie tracił równowagi, zawsze nad stopami, zawsze za tarczą.

Za nimi Coelfrith, równie jak jego ojciec zważający na szczegóły, nadzorował stajennych, którzy przyprowadzali mu z pastwiska do oględzin po kilka koni. Oddział zbrojny będzie się poruszał szybko. Coelfrith wodził dłonią po pęcinach i pyskach i tak jak ojciec przyjmował konie skinieniem głowy. Każdy wierzchowiec musiał nieść swojego gesitha czterdzieści mil dziennie w głąb terytorium Sasów i wciąż mieć siły na szybki galop, gdyby bitwa poszła źle.

Gesithowie nie zwracali na niego uwagi; konie to nie była ich sprawa.

W przeciwieństwie do Ciana, Berhtnoth zaczął dyszeć. Niedługo potem Cian odbił jego tarczę w bok, cofnął się, kiedy Berhtnoth przypuścił atak, i pociągnął owiniętym w szmaty mieczem po szczelinie między policzkiem hełmu a ramieniem osłoniętym kolczugą. Berhtnoth był martwy.

Odstąpili od siebie; podbiegł do nich wealh i wziął od nich tarcze i miecze, a oni klepali się po plecach i śmiali się z każdego ciosu. Wealh przybiegł z powrotem z zimną wodą ze studni.

Króla nigdzie nie było. Hilda wyłoniła się z rzucanego przez ścianę cienia.

Cian ją zobaczył i podszedł do niej, wylewając na trawę wodę z dzbana. Skórzane elementy jego ubrania śmierziały potem, a kolczuga tłuszczem i żelazem.

— Jesteś bardzo dobry — stwierdziła Hilda.

— Owszem. — Uśmiechnął się szeroko i wytarł twarz. Jej lewa strona wciąż była zielonkawożółta. — Jestem królewskim gesithem! Jadę na wojnę! Wszystkie te dni walczenia na kije w zaroślach kolcolistu. A potem Mulstan, och, on świetnie walczy tarczą! Tyle razy mnie pobił, po prostu odrzucając na bok, i nawet się nie spocił. Mówił: „Zachowuj siły!” i walił mnie w głowę. „Uważaj na stopy i zachowuj siły! Walkę na tarcze przegrywa ten, komu pierwszemu zaczynają drżeć nogi”. I już niedługo... — Przerwał. — Co jest?

Hilda pokręciła głową. Wyjeżdżał na wojnę. Nie potrzebował jej ciężaru: zniknięcia Furseya i koszmarów podejrzliwego króla. Poza tym wkrótce nie będzie się już musiała martwić o nastrój króla.

— Gdzie jest Begu?

— Z królową i niemowlęciem.

Cian zrobił minę, jaką robią mężczyźni na wzmiankę o niemowlętach, i napił się wody.

— Cian.

Wytarł usta.

„Wróć bezpiecznie do domu. Nie bądź bohaterem. Trzymaj się z dala od króla”. Ale Cian był gesithem króla. Równie dobrze mogłaby mówić deszczowi, żeby nie padał.

— Pamiętaj nauki Mulstana. Dobrze myj swoje rany. — Zważyła na dłoni przygotowaną przez siebie kiełbaskę z maścią i wyciągnęła ją w stronę Ciana. — I wysyłaj wiadomości, kiedy tylko będziesz mógł.

Rozdział 13



Włosy Begu wymykały się spod welonu. Dziewczyna mruzczała coś do siebie, składając suknie i zwijając nogawice. W mruczeniu tym dawało się wyczuć irytację. Zbrojni wyruszyli z vill przed dwoma tygodniami.

— Zrobi to Gwladus — powiedziała Hilda.

— Gwladus jest zajęta pracą tych wszystkich mężczyzn, którzy wyjechali z gesithami. Ja to robię.

Hilda wątpiła, by Gwladus kiedykolwiek wykonywała jakieś męskie prace, lecz nic nie powiedziała. Oparła się o framugę, wspominając Mulstanton i Begu, która głośno się zastanawiała, czy będzie potrzebować swojego łóżka.

Begu starannie ułożyła kościane szkatułki w rzeźbionej skrzyni, która miała jechać pod ich bezpośrednią opieką.

— Nawet nie wiem, dlaczego musimy stąd wyjechać. Eanflæda jest jeszcze taka malutka!

Hilda wzruszyła ramionami.

— Tak po prostu jest.

— Dlaczego nie możemy poczekać przynajmniej do powrotu oddziału?

Nie wszyscy wrócą; nigdy nie wracali wszyscy. A tym razem jest z nimi Cian.

— Nie przewoziłabym tak małego jagniątka, a co dopiero księżniczki!

Hilda skinęła głową.

— Jak jest w Sancton? Jest blisko morza?

— Nie. Ale Brough, dokąd udamy się później, leży nad rzeką szeroką jak morze i czasami, jeśli przyjdzie się do portu wystarczająco wcześnie, można wypłynąć łodzią na morze i wrócić na kolację.

— Ale nie w Sancton.

— Nie.

— Tęsknię za mewami.

Hilda pogłaskała Begu po rękę.

— Przykro mi, że nie mamy domu.

— Przenoszenie się jest głupie! — powiedziała Begu, nie odwracając się.

Jej włosy pachniały żywiczną sosną, której używały do odstraszenia moli. Hilda nie wiedziała, co powiedzieć.

— Och, idź sobie i daj mi skończyć w spokoju. Królowa chyba chce z tobą o czymś porozmawiać.

Przy drzwiach do pomieszczeń królowej Hilda przyłożyła na chwilę palec do ust i stary Wulphere, który w jakiejś dawnej kentyjskiej bitwie otrzymał cios włócznią pod kolano, skinął głową i nic nie powiedział.

Patrzyła na Wilnođę i królową siedzące na stołkach naprzeciwko siebie z robótką tabliczkową. Co pewien czas Wilnođa szturchała stopą malowaną i połączaną kołyskę, by nie przestawała się poruszać.

Po chwili Hilda odchrząknęła. Wilnođa podniosła wzrok.

— Dobrze — powiedziała. — Możesz pójść z królową na szybki spacer. Nie słuchaj żadnych wymówek. — Królowa zaczęła kręcić głową. — Mała śpi, Etelburgo. Nic się nie stanie, jeśli znajdzie się poza zasięgiem twojego wzroku. Idź na spacer.

Cienkie jak sznurek ścieżki wczesnej wiosny były teraz szersze i Hilda mogła iść obok królowej. Miękkie zielony gobelin lasów przetykały jasne nici ptasiego śpiewu, a ptaków było zbyt wiele, by je wyliczyć.

Szły w milczeniu. Królowa myślami znajdowała się gdzieś indziej, a może szukała sposobu, żeby coś powiedzieć.

Przeszły już spory kawałek. Królowa chyba zapomniała, że powinny się zatrzymać, żeby dogonił je Wulfhere, ale Hilda nie czuła się w obowiązku jej o tym przypomnieć. Z głębi lasu dobiegł trzask gałązek łamanych przez jelenia, a potem gdzieś blisko rozległo się nagłe stukanie. Etelburga ścisnęła w dłoni swój krzyż.

— To dzięcioł — stwierdziła Hilda.

— A nie leśny duszek?

Hilda pokręciła głową. Głośne stukanie — dzięcioł był duży — przybliżyło się.

— Jeżeli nie będziemy się ruszać, może tędy... Tam jest.

Przez ścieżkę przeleciał charakterystycznym wznoszącym się i opadającym lotem czerwony kształt. Pewnie kierował się do dużego dębu przy polanie. Dzięcioły go lubią; Hilda widziała tam kiedyś odłupane płyty kory — drzewo musi być zaatakowane przez robactwo. Może zwali się podczas następnej wielkiej burzy i kiedy wrócą nad Derwent, będzie tylko martwym drewnem. Hildę znowu przeszło pragnienie posiadania domu na stałe, przez cały rok, żeby mogła obserwować las, strumień, zbocze wzgórza w śniegu, we mgle i słońcu, smagane wiatrem i deszczem, latem i zimą — i uczyć się ich. Begu miała rację. Przenoszenie się cały czas z miejsca na miejsce jest głupie.

— Begu tęskni za krzykiem mew — odezwała się. — Tęskni za domem. Ja go nigdy nie miałam. Tęsknisz za swoim?

Etelburga pogłaskała swój krzyż.

— Kiedy Eanflæda zasnęła zeszłej nocy, nasłuchiwałam odgłosów pszenicy. Podczas kentyjskiego lata klekocze i szumi na wietrze. Wszędzie. Gdziekolwiek spojrzysz z każdego vill: rozfalowana jak morze złota pszenica.

Hilda poczuła, że powinna królową pocieszyć. Gdyby to zależało od niej, wspięłaby się na jesion i obserwowała borsuki, bo one lubią taką pogodę — ciepłe słońce, na którym można wietrzyć posłania. Wątpiła jednak, by królowa chciała wejść na drzewo, a poza tym borsuki przypominały jej o Osricu.

— Chcesz zobaczyć kolonię gawronów?

— Z przyjemnością poobserwuję z tobą gawrony.

Hilda poprowadziła królową do innej, ledwie widocznej ścieżki; zapach zmienił się z letniej otwartej zieleni na chłodniejszy, bardziej gliniasty. Nie licząc tamtego dnia, kiedy zostały z Begu gemæcce, tylko ona tędy chodziła. Po tygodniu bez deszczu strumyk toczył

wody czyste i spokojne, a zamiast jaskrawych wiosennych pierwiosnków na jego wąskich brzegach niebiesciły się chabry przetykane delikatnymi fioletowymi płatkami, nad którymi nie polatywały żadne motyle. Goryczuszka. Robi się z niej antidotum na kilka trucizn, jest też dobra na gorączkę i zmęczenie. Matka zawsze jej szukała, ale najlepszą częścią rośliny jest korzeń, który jest gotowy do zbioru jesienią, lecz wtedy żadnej z nich tu nie będzie.

Po pewnym czasie nieduże, gęsto rosnące jesiony i krzaki bzu czarnego ustąpiły miejsca polanie, za którą rosła kępa wysokich wiązów. Ziemia pod kolonią gawronów była biała od ptasich odchodów. Wśród drzew rozchodziło się echem krakanie młodych ptaków, które niedawno się opierzyły, ale chciały jeszcze zostać z rodzicami.

Etelburga i Hilda usiadły na gładzie poza plamą odchodów. Wiał łagodny, ciepły wiaterek. Obserwowały ptaki.

— Wyglądają jak wrony — odezwała się królowa.

— Są młode. Zrzucą te pióra jesienią i będą wyglądać jak gawrony. Przynajmniej tak się dzieje w Goodmanham i w Yorku.

Twarz Etelburgi, która przez kilka tygodni po porodzie była blada i nabrzmiała, zaczęła znowu nabierać ostrości rysów. Królowa miała na wpół przymknięte oczy.

Hilda na chwilę zatopiła się w gaworzeniu młodych ptaków. Wiatr zmienił nieco kierunek i teraz wiał już nie z zachodu, lecz z południowego zachodu. Tam był Cian. Może właśnie walczy. Może jest ranny. Stopniowo Hilda uświadomiła sobie, że obserwuje ją wcale już nie senna Etelburga.

— Tak wyglądasz, kiedy słuchasz muzyki — powiedziała. — Wszystko obserwujesz, prawda? Dlaczego?

— Jest spokojnie. Uczę się.

Królowa rozplotła warkocz i zaczęła przeczesywać włosy palcami.

— Czego?

— Że gawrony, psy, koty, ludzie robią pewne rzeczy zależnie od swojego wieku. Jak te młode gawrony. Jesienią tracą pierwsze pióra i złączą się bawić, latać dla samej radości latania, tylko że one nie robią tego dla samej radości latania, one udowadniają, że się nadają do kolonii, że mogą zostać. Jak gesithowie z ich przechwałkami i walkami. Gawrony są jak kawki, jak ludzie. Mają rodziny. Rozmawiają. Nie lubią zmian. Miłą stąd jest jesionowy zagajnik, dokąd lubią latać po gałązki do gniazd. Wyłamują je zawsze z tego samego miejsca; jedno drzewo prawie nie ma małych gałązek. Ale to tylko gałązki, po co latać po nie tak daleko? Nie wiem. Ale tak właśnie robią.

Etelburga wyplątała z włosów rzep i go odrzuciła.

— A co robią psy i koty?

— Psy zagarniają przestrzeń, a koty czas.

Dłonie królowej na chwilę znieruchomiały, a potem podjęły wyczesywanie włosów.

— Koty dzielą stodołę i obórkę. Wszystkie. Ale widziałas tego dużego rudego kocura z rozerwanym uchem? — Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, do którego vill należał. Nie miało to znaczenia. — Przesiaduje na beli siana przy drzwiach w middæg. Dwie szare królowe zwijają się tam w æfen. Kocur nie pojawiłby się tam wieczorem,

a królowe w middæg. Ale pies w halli czy w psiarni lubi swój kąt rano, w południe i wieczorem. To jego kąt.

— A ludzie?

— Królowie podróżują z miejsca na miejsce jak kot, ale chcą mieć te miejsca dla siebie jak pies. Dlatego są wojny.

Etelburga zamrugwała.

— A królowa?

— Królowa... — Hilda uświadomiła sobie, że właśnie porównała jej męża do psa. — Królowa jest jak nowy ptak w kolonii. Jej ceną za przynależność jest to, że znajduje nowe robaki, buduje nowe gniazda.

Hilda odchyliła głowę do tyłu, w stronę vill.

— Derventio to był pomysł Paulina. Dużo spraw to jego pomysły.

Aha. Czekala.

— Jak chrzest Eanflædy. Został uzgodniony jako część układu małżeńskiego. Będę mogła ochrzcić każdą dziewczynkę, ale termin... to dzieło Paulina.

Jakaś myśl wymykała się Hildzie jak węgorz.

— Miałaś jakieś wieści?

— Nie. Ale przyjdą. Król, mój mąż, zwycięży. Wróci obładowany złotem i opromieniony chwałą do Sancton, gdzie Eanflæda zostanie ochrzczona jako pierwsza z rodu Yffingów, co będzie wyrazem hołdu mojego męża dla Boga.

Nie trzeba było mieć daru jasnowidzenia, by to przewidzieć. Angielski zwierzchni król z ogromnym wojskiem przeciwko zbieraninie drobnych saskich panów, z których każdy nazywał siebie królem. Chodziło tylko o to, ile czasu zajmie podporządkowanie ich i kogo Edwin uczyni podległym sobie królem.

— Nie rozumiesz, dziecko, co ci mówię? Kiedy dotrzemy do Sancton, Eanflæda zostanie ochrzczona. Będzie potrzebowała potężnych siostr i braci w chrzcie. Myślałam, żeby poprosić ciebie, ale ty wywodzisz się z Yffingów. Jesteś krewną. Mój mąż nie zgodzi się na większą oznakę hołdu niż niemowlę. Możesz zostać ochrzczona dopiero po nim. A on nie chce się ochrzcić, na razie, chociaż kiedy to zrobi, wszyscy będą musieli pójść w jego ślady. Rozumiesz, co mówię? Ci, którzy zostaną ochrzczeni pierwsi, będą mieli uprzywilejowaną pozycję. Tak się stało na dworze mojego ojca.

— Ale, jak mówisz, jestem krewną.

— Nie jest nią twoja matka. Ani twój... ani przybrany brat twojej gemæcce. Mogłabyś im o tym wspomnieć.

W półmroku obórki Hilda z zażenowaniem poprawiła przepaskę.

— Dobrze ci w niej — rzekł Fursey.

Jego głos brzmiał tak samo lekko jak poprzednio, lecz wkradło się do niego coś chropawego i głuchego; Hilda zauważyła też wystające kości jego nadgarstka, dziurę w bucie i drobne rozdarcie szaty. Pachniał kurzem, nie koniem. Przyszedł piechotą.

— Co się stało z twoim wierzchowcem? Jutro wyjeżdżamy do Sancton. Prawie się rozminęliśmy. Dlaczego uciekłeś? Dlaczego tak długo cię nie było?

— W ogóle nie powinienem wracać.

Hilda nic nie powiedziała.

Fursey roześmiał się.

— Och, wiele się nauczyłaś od czasu Tinamutha. Będzie mi cię brakowało.

„Będzie mi cię brakowało”. Czasami jeśli ignorowało się daną rzecz, to znikiała.

— Eanflæda ma zostać ochrzczona.

Uniósł brwi, co podkreśliło, jak bardzo jest wymizerowany.

— Już słyszałaś? Sądziłem, że przybędę przed tą wiadomością.

— Wiadomością?

— Twój król podąża tryumfalnie do Sancton z większością swojego oddziału, twierdząc, że zabił pięciu saskich królów, jeśli usiane kamieniami pole i błotnisty strumień można nazwać królestwem. Niestety, wśród zabitych nie ma Cwichelma i Cynegilsa. Wciąż uciekają ścigani przez trzykroć po dwudziestu wojowników pod wodzą Eadfritha. Nie, nie mam wiadomości o Cianie.

Nic mu nie będzie. Na pewno.

— Kiedy przybędą do Sancton?

— Może za sześć dni od dzisiaj. Mają rannych.

Nie Ciana. Cianowi nic nie będzie.

— Królowa powiedziała coś dziwnego.

— Tak?

Wyglądał na bardzo zmęczonego.

— Powiedziała, że moja matka i Cian powinni przyjąć chrzest.

— Naprawdę?

— Powiedziała, że da im to władzę i wpływy. — Fursey skinął głową. — Ale dlaczego miałyby chcieć ich dla mojej matki? Chyba jej nie lubi.

— Ale lubi ciebie. — Uśmiechnął się ze znużeniem. — Macie w sobie tę samą krew. Usiłuje cię chronić.

Przed królem. Przed Paulinem. Przed Cadwallonem i wszystkimi spiskowcami, którzy pragnęli jej śmierci tylko dlatego, że pochodzi z rodu Yffingów.

— Dziecko, jestem wykończony, a zaraz muszę wyruszyć w drogę, więc...

— Możesz jechać ze mną do Sancton. Po drodze opowiesz mi o chrzcie.

— Powiem ci wszystko, co mogłabyś chcieć wiedzieć o świętym obrzędzie chrztu, ale nie pojedę do Sancton.

Milczenie.

— Muszę odejść — powiedział łagodniejszym tonem. — Na dobre. Twój król nie może mi ufać.

— Nie rozumiem. Nie zrobiłeś nic złego. Mogę wyjaśnić...

— Mój król nie żyje. Fiachnae mac Báetáin, król Dál nAriadne, zginął z ręki Fiachnae'a mac Demmáina z Dál Fiatach. Pod Lethet Midind. U boku mojego króla walczyło trzech Idingów.

Idingowie. Przyjaciel mojego wroga jest moim wrogiem.

Hilda wstała.

— Znajdę ci konia.

— Och, przestań wreszcie. Mogę tu spędzić noc, o ile nikt mnie nie zobaczy.

Jedną noc.

— Przynajmniej poślę po jedzenie.

— Byłoby miło. Każ je przynieść swojej wealh za trzy szylingi. Ona umie trzymać język za zębami. Chciałbym jeszcze raz zobaczyć jej szelmowską twarz, zanim wyruszę w nieznane.

— Zaraz wracam.

Kiedy wróciła, Fursey spał zwinięty w kłębek na słomie. Coś mu się śniło, bo drgała mu twarz. Przy jego nosie błyszczało żółte źdźbło. Książd, książę Munsteru. Obdartus bez króla. Bez domu. Fursey. Nauczył ją czytać.

Kiedy usiadła na sąsiedniej beli słomy, poruszył się.

— Gwladus przyniesie zimną baraninę, chleb i ser.

Podrapał się po szczeciniastej tonsurze.

— Musisz się ogolić.

— Tak naprawdę to muszę się napić.

— Gwladus przyniesie piwo wrzosowe, wszystko inne jest już spakowane.

Skrzywił pogardliwie usta, ale nie włożył w to serca.

— Fursey? — Spojrzał na nią. — Co zrobisz?

— Wyszuszę dzban.

— Nie, mam na myśli...

— Wiem, co masz na myśli, dziecko. — Potarł sobie podbródek. Rozległ się suchy szelest. — Jutro odejdę. Mam ochotę zobaczyć się z twoją siostrą. Jak myślisz, przyjmie mnie?

— Moja siostra? Hereswitha?

— Masz jakąś inną?

— Nie. To znaczy tak. O, tak. — Oczywiście, że go przyjmie. To był Fursey. — Musi się nauczyć czytać. Kiedy tylko córka zwierchniego króla otrzyma Chrystusowe imię, Paulin zmusi wszystkich na wyspie, żeby zanurzyli głowy i ucałowali jego pierścień. Hereswitha będzie potrzebować rady.

Fursey i Hereswitha. Hereswitha i Fursey. Gdyby wiedziała, gdzie on jest, gdyby mogła do niego pisać, byłoby tak, jakby nie odszedł. I mogłaby pisać do siostry. Nie byłiby dla niej straceni.

Gwladus przyniosła jedzenie. Fursey był tak zmęczony, że zdołał się tylko uśmiechnąć, a Gwladus chyba przejęła jego nastrój. Postawiła tacę na ziemi, skinęła głową i wyszła.

Hilda usiadła przy nim.

— Opowiedz mi o chrzcie.

Mówił, jedząc. Hilda patrzyła na niego, usiłując zachować w pamięci jego obraz.

— Chrzest — powiedział, trzymając w dłoni jagnięcą kość — zmazuje twoje grzechy.

— Co to jest grzech?

— To jest... No tak, to jakby zejść ze ścieżki. Wykroczenie. — Widząc jej pozbawione wyrazu spojrzenie, dodał: — Złamanie przysięgi złożonej Bogu.

— Grzesznik to nithing?

Cian nie chciałby, żeby uważano go za nithinga.

Fursey napił się porządnie piwa, wyraźnie żałując, że wdał się w wyjaśnienia. Hildzie przysłała do głowy jeszcze jedna myśl.

— Jeśli jednak nie złożyło się Chrystusowi przysięgi, to jak można ją złamać? Jak można mieć grzechy?

— Wszyscy rodzimy się grzesznikami. Wszyscy rodzimy się z plamą na duszy.

— Plamą? Jak ze znamieniem?

— Jedni z większą niż inni. Może dlatego królowa proponuje... — Pokręcił głową.

— Ale nie martw się o to. Paulin wszystko ci wyjaśni na długo przed twoim chrztem.

— Nie lubię Paulina.

— Nikt go nie lubi oprócz niego samego.

— Jeśli mam być ochrzczone, to chcę, żebyś ty to zrobił.

Fursey zastygł z kubkiem w połowie drogi do ust.

— Lepiej, żebym cię nie chrzczył, dziecko... Przyzwyczaj się do nazywania cię dzieckiem. Tak księża zwracają się do swojej trzódki, ponieważ reprezentujemy Boga na ziemi, a wy jesteście jego dziećmi.

— Ty też.

— Nie przerywaj. Paulinowi nie spodoba się przerywanie mu. Posłuchaj. Kiedy nadejdzie pora chrztu, daj się ochrzcić Paulinowi. Jest biskupem, a może będzie zwierzchnim biskupem. A chrzest jest jak... — Napił się piwa, wytarł usta, dopełnił kubek, chwilę się zastanawiał. — Chrzest jest jak miecz — ciągnął już po irlandzku. — Człowiek, przez którego ręce przechodzi miecz albo dusza, dodaje im swego blasku. Tak jak miecz zwierzchniego króla jest szlachetniejszy od miecza tana, tak błogosławieństwo biskupa jest świętsze od błogosławieństwa księdza, które z kolei jest lepsze niż błogosławieństwo diakona. Tak toczy się świat, to znaczy takie są układy między ludźmi, którzy, stworzeni na obraz Boga, odzwierciedlają Jego zamierzenia wobec świata.

— Ciebie ochrzcił sam Brendan, więc dlaczego nie jesteś biskupem?

— Cóż, może kiedyś nim zostanę. Po prostu nie teraz i nie tutaj.

Nazajutrz o świcie Hilda odprowadziła go ścieżką do wiązków wskazujących undern. Fursey prowadził swoją klacz.

— No tak — odezwał się i poprawił pas.

Hilda nie wiedziała, co powiedzieć.

— Tym razem upłynie bardzo dużo czasu, nim znowu się zobaczymy.

Ścisnęło ją w gardle.

— No tak — powtórzył. Sprawiał wrażenie drobnego i zmęczonego, czego Hilda nie mogła znieść. Rozłożyła ramiona i mocno go uściskała. Poklepała ją po plecach. — Nie mogę oddychać, dziecko.

Puściła go. Zupełnie jakby puszczała świat.

Oczy mu lśniły.

— Podsadź mnie.

Hilda zrobiła z dłoni strzemię. Miał brudną łydkę. Przed końcem podróży będzie jeszcze brudniejsza. Taka daleka droga. A on jest całkiem sam.

Dźwignęła go w górę.

Spojrzał na nią z wysokości siodła.

— Żegnaj, Hildo, córo Yffingów. Niech ci się wiedzie.

Yffingowie nie płaczą. Ale patrzyła za nim, patrzyła na ścieżkę, aż opadł pył wzbity kopytami klaczy.

W szarym, wodnistym jak odciągane mleko świetle przedświt uznad rzeki unosiła się mgła, chłodna i pachnąca tajemnicami. Z bagnistego rozlewiska w dole rzeki odezwał się bąk, lecz umilkł. Zbliżała się grupa trzydziestu osób, z których jednaście miało na sobie białe wełniane szaty — dwanaście, jeśli policzyć małą Eanflædę mocno śpiącą w ramionach królowej. Gdzieś niedaleko poderwały się z furkotem i kwakaniem kaczki. Jakieś niewidoczne zwierzę skoczyło z pluskiem do wody.

Procesję prowadził Szczepan, machając mosiężną kadzielnicą. Kadzidło wciąż gasło. Teraz też zgasło, ale nikt tego nie komentował. Ważne było dotarcie do miejsca chrztu nad rzeką, a nie zatrzymywanie się i robienie zamieszania z płonąącą frankijską żywicą. Nieliczni tylko spośród nich wiedzieli, czego mają się spodziewać, lecz wszyscy wiedzieli, że rzeki są pełne sidsa, zwłaszcza o świcie. Drżało od niej powietrze — jak skóra żrebięcia, które stoi, ale pragnie pogalopować po bujnej świeżej trawie.

Diakon Jakub przewodził swojemu sześćoosobowemu chórowi w cichej śpiewnej recytacji. Jeden z chórzystów, jasnowłosy piegowaty młodzieniec, wciąż się zacinał. Na to też nikt nie zwracał uwagi.

Komuś zaburczało w brzuchu. Berhtnoth szturchnął Berhtreda i coś do niego szepnął. Berhtred chciał poprawić pas od miecza, ale nie miał go na sobie, więc tylko objął się mocno ramionami. Ich włosy lśniły jak włosy Ciana. Wszyscy byli głodni. Paulin wymógł na tych, którzy mieli zostać ochrzczeni, żeby nic nie jedli, aby ich ciała były odpowiednio puste i czyste na przyjęcie łaski Ducha Świętego, a królowa zaproponowała, by wszyscy zrezygnowali z jedzenia.

Cian, podobnie jak Breguswitha, jak czterej członkowie chóru Jakuba, jak Burgmod, Eadric Brązowy, Grimhun i bracia Berhtowie, został przekonany do politycznych korzyści płynących z chrztu. Hilda i pozostali krewni Edwina — æthelingowie, Osric i Oswine oraz Osthrytha — muszą pójść za jego przykładem, a Edwin chciał przed podjęciem decyzji zobaczyć na własne oczy, co się dzieje, kiedy w ludzkim ciele zamieszka drobna część Chrystusowego ducha.

Hilda szła z Begu za odzianymi na biało katechumenami; wszyscy stąpali ostrożnie, nie chcąc w tym dziwnym mglistym półświecie złamać choćby gałązki — nie chcieli przyciągać uwagi żadnych duchów, świętych czy też nie świętych. Fursey wypowiadał się o Duchu Świętym trochę niejasno; Hilda sądziła, że może to jest jakiś boski kuzyn, ealdorman Chrystusa z innego świata. Zastanawiała się, czy go zobaczy. Ranek był z całą pewnością wystarczająco niesamowity.

— Gdyby Eanflæda była głodna, to by tak nie spała — szepnęła Begu do Hildy.

Hilda nie odpowiedziała. Nie chciała mówić. Fursey powiedział jej, że tego dnia przypada święto Pięćdziesiątnicy, które upamiętnia płomyki ognia tańczące na głowach świętych. Chciała to zobaczyć. Nic dziwnego, że robili to nad rzeką. Miała nadzieję, że Cian nie zostanie poparzony.

Ostrzegła go przed tymi płomykami. Na wszelki wypadek zwilżył sobie głowę. Bracia Berhtowie poszli za jego przykładem.

Nie płakała, kiedy odchodził Fursey. Teraz jednak, idąc w uroczystej procesji nad rzekę, by dopełnić Chrystusowej tajemnicy, musiała przełykać ślinę, mocno mrugać i starać się nie nasłuchiwać jego drwiącego irlandzkiego głosu, który sprawiał, że wszystko wydawało się bardziej proste, mniej przerażające.

Na wielkim łuku rzeki, gdzie północny brzeg był niski, a prąd powolny, ułożono na błocie prowadzącą do wody zieloną ścieżkę ze świeżo ściętych trzcin. Paulin, który wyglądał olśniewająco w wyszywanej klejnotami kapie i z pozłacanym pastorałem w dłoni, zatrzymał się i uniósł obie ręce. Szczepan przestał machać i podzwaniać kadzielnicą. Jakub uciszył chór.

Hilda i jej matka uniosły głowy. Miała spotkać swojego nowego boga.

Słychać było tylko odgłosy rzeki.

Paulin zawołał coś po łacinie. I jeszcze raz, coś o życiu wiecznym i pieczęci Boga, a Szczepan, Jakub i chór zawtórowali mu jednym głosem.

Rzeka płynęła.

— A jedenastu uczniów poszło do Galilei na górę, którą wskazał im Jezus — zawołał Paulin w języku Anglów. — I kiedy go ujrzeli, oddali mu cześć, lecz niektórzy wątpili. I przyszedł Jezus i przemówił do nich, mówiąc: „Dana mi jest cała władza w niebie i na ziemi. Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego; i ucząc je, by zachowywały wszystko, czego was nauczyłem: a oto jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata. Amen”.

— Amen — odpowiedzieli ksiądz, chór i Etelburga.

Paulin krzyczał coś jeszcze, a w miarę jak mówił z coraz większym zapalem, jego zwykle woskowa twarz zaczęła nabierać kolorów. Mówił za szybko i miał tak dziwny akcent, że Hilda nie wszystko rozumiała, ale wydawało się jej, że biskup zwraca się do kogoś o imieniu Szatan. Zupełnie jakby był heroldem, który szydzi z wrogiego wojska, zapowiadając jego rychłą klęskę, przechwalając się umiejętnościami swoich dowódców i bezwartościowością przeciwnika.

Na policzki Paulina wystąpiły czerwone plamy. Machał pastorałem. Hilda zadała sobie pytanie, czy dobrym pomysłem jest prowokowanie nieziemskiego wroga, kiedy słońce nie całkiem jeszcze wzeszło. Zerknęła w lewo, ku północy i wschodowi — nie ona jedna — lecz w pograżonym w mroku lesie nie było widać ani śladu Szatana i jego wojska.

Niebo zaczęło już bardzo jaśnieć; zaśpiewał kos, lecz nagle zamilkł.

Paulin też ucichł. Uśmiechnął się i skinął na Etelburgę, która zerknęła na Edwina i prawą ręką ujęła go za jego lewą, a potem na Szczepana, który wystąpił do przodu z biało-złotą stułą i włożył mu ją na szyję. Podobnie jak wszyscy pozostali Hilda pochyliła się do przodu.

Paulin i Szczepan weszli do rzeki i odwrócili się. Woda sięgała im do połowy uda. Król i królowa poszli w ich ślady.

Miejsce zostało starannie wybrane. Woda nie stała w bezruchu — byłoby to niebezpieczne; duszki lubią spokojną wodę — ani nie płynęła na tyle szybko, by pociągnąć ze sobą kobietę. Mimo to i mimo mężowskiego ramienia Etelburga zatrzymała się, gdy woda sięgnęła jej kolan.

Przez chwilę Hilda myślała, że Paulin nie zechce podejść bliżej, lecz Szczepan ruszył pierwszy i Wrona musiał pójść za nim. Szczepan zdjął pokrywkę z jednego ze srebrnych naczynek, które miał za pasem, i wyciągnął je w stronę biskupa.

Jeśli miał przybyć Szatan, to zapewne nastąpi to wkrótce. Hilda bardzo żałowała, że nie ma przy sobie seaksa albo choćby nożyka ukrytego w klamrze, który podarowała Cianowi.

— Zwróćcie się ku zachodowi — polecił Paulin.

Król i królowa ostrożnie odwrócili się w górę rzeki. Paulin zanurzył kciuk w naczynku. Palcem pokrytym czymś lśniącem nakreślił na czole Eanflædy krzyżyk. Niemowlę otworzyło oczy i wydało dźwięk zdziwienia. Szczepan schował naczynko za pas i wyciągnął następne.

— Czy ty, Etelburgo, w imieniu córki wyrzekasz się Szatana i wszystkich jego dzieł?

Hilda zeszywniała. Tak mocno była świadoma obecności matki, Ciana i Begu, że czuła ją na skórze jak blask ognia.

— Wyrzekam się — rzekła Etelburga wyraźnym, silnym głosem.

— Zwróćcie się ku wschodowi — polecił Paulin tonem, jakiego mógłby użyć król wobec wealh.

Edwin zmrużył oczy, lecz Paulin ani mrugnął. Edwin się odwrócił. Rzeka napierała na nich.

Paulin pochylił się i zaczerpnął dwie garście wody.

— W imię Ojca — puścił strużkę wody na głowę Eanflædy — i...

Resztę zagłuszyły przenikliwe piski niemowlęcia.

Wszyscy gesithowie przykucnęli — Hilda niemal zrobiła to samo — a potem się wyprostowali. Piski jakby przełamały czar: to była tylko rzeka o wschodzie słońca i mokrzy ludzie. Hilda zobaczyła, że jej matka rozluźniła ramiona w tej samej chwili, kiedy i ona uświadomiła sobie, że ceremonia jest bardzo podobna do któregoś z błogosławieństw Coifiego, a przecież nigdy nie widzieli Wodena.

Paulin ułął jeszcze trochę wody i podniósł głos, chociaż nikt nie wiedział, co mówi. Wytarł stulą główkę wierzącego się dziecka, a następnie zanurzył kciuk w drugim naczynku i dotknął nim główki, noska i piersi Eanflædy. Pełne oburzenia piski małej przybrały na sile. Nieporuszony Paulin nakreślił w powietrzu znak krzyża nad ojcem, matką i córką w chwili, gdy nad rzeką pokazało się słońce.

— Och, szkoda, że tego nie widziałas! — powiedziała później Begu do Gwladus. — Niemowlę cały czas krzyczało, a Wrona spojrział srogo na Jakuba, więc Jakub skinął głową chórzystom, żeby zaśpiewali, ale każdy zaczął na innej nucie i zabrzmiało to jak niewydojone krowy w Mulstanton! A potem Jakub wszedł do wody, prowadząc za sobą innych do chrztu, i wpadł na króla. Narobili plusku i prawie się przewrócili. Ciekawe, czy Chrystus by ich ocalił? Gdyby król miał miecz, przynajmniej jeden ksiądz zostałby pozbawiony głowy. Lecz największą niespodziankę sprawił Cian. Jego matką chrzestną była królowa! To zaskoczyło nawet Wronę.

To zaskoczyło wszystkich, zwłaszcza Hildę. Niewiele wiedziała o chrzcie, lecz dobrze wiedziała, co to są królewskie względy.

— Cian tak szeroko otworzył usta, że kiedy Szczepan i Jakub zanurzyli go plecami w rzece, myślałam, że się utopi. Zrobili to trzy razy. Raz dla Ojca, raz dla Syna i raz dla Ducha Świętego. Ale wtedy już wzeszło słońce, więc nie widzieliśmy żadnych duchów. Co prawda za tydzień oni wszyscy mogą być duchami. Żebyś słyszała, jak w drodze powrotnej szczękali zębami!

Przesadzała. Kiedy wracali wzdłuż rzeki, słońce stało już wysoko, chór śpiewał, a kadzielnica się kołysała. Blask słońca lśnił na wilgotnych włosach gesithów i Breguswithy, która nie została siłą przechylona do tyłu jak mężczyźni, lecz była podtrzymywana w lekkim odchyleniu, a Paulin polewał wodą czubek jej głowy.

Hilda szła obok matki. Breguswitha nie wydawała się ani odrobinę inna poza tym, że była mokra, ale nie była rozmowna — zawsze miała dobre wyczucie chwili, a Hilda przekazała jej, co powiedział Fursey: że ma sprawiać wrażenie przepelnionej łaską, oczyszczonej, spokojnej; Breguswitha była zdecydowana odegrać swoją rolę. Potem Hilda szła kawałek z Cianem. On też nic nie mówił. Właściwie niewiele mówił od powrotu z walk z Sasami ze znakiem na szczęcie, który przypominał ślad po ugryzieniu.

— Ściana z tarcz to jak bycie wrzuconym do dołu z dzikami i krwią — powiedział wtedy. — Błoto, napięte mięśnie i szaleństwo.

Nie chciał mówić nic więcej. Ugryzienie się goiło. Może chrzest oczyści go z tego, co zrobił.

Hilda szła u jego boku zadowolona, że może milczeć i przyglądać się stadku kaczek krzyżówek, samych kaczorów z zielonymi głowami lśniącymi w słońcu, które nurkowały, czyściły pióra i odprawiały własny rodzaj chrztu.

Rozdział 14



Najstarszy ætheling, Eadfrith, nadal ścigał Sasów na południowym zachodzie. Osric wrócił do Arbei, ale Breguswitha została na królewskim dworze. Od czasu chrztu nawiązała z królową porozumienie, którego charakter Hilda wciąż starała się zgłębić. Dobre słowo królowej się rozchodziło: matka Hildy ponownie stała się tą, do której przychodziły ze swoimi bólami i kłopotami inne kobiety. Chrzest zmienił splot całego płótna. Edwin poświęcał więcej uwagi Paulinowi niż Hildzie. Nie potrwa to długo — król zmieni zdanie, bo tak się zachowuje król — a tymczasem już się nie domagał, by Hilda przyprowadziła mu Fursey'a. Co dla niego znaczył jeden bezdomny, tropiony ksiądz z niewłaściwie ogoloną głową?

Cadfan umarł i królem Gwyneddu został Cadwallon. Edwin oddał się rozmyślaniam, a następnie ożenił Osfritha, swojego drugiego syna, z Clotrudą, drugą córką Clothara, króla chrześcijańskich Franków. Chciał do swojej osnowy przyciągnąć więcej rzymskiego wątku. Niech Cadwallon się tym udławi.

Osfrith sprawiał wrażenie oszołomionego małżeństwem. Gwladus powiedziała Hildzie, że według Ardduny Osfrith i Clotruda co noc kwiczą jak zarzynane prosięta. Gesithowie, łącznie z tymi kilkoma, którzy towarzyszyli Clotrudzie, bezlitośnie drwili z æthelinga. Frankowie nosili krzyże bardzo podobne do tych, które otrzymali nowo ochrzczeni Anglowie: grube, ciężkie, łatwo mylone z młotami, które wciąż nosiła większość gesithów. Najwięcej krzyży było z brązu, niektóre z posrebrzanej miedzi. Cian miał krzyż ze złota.

Hilda i Cian nabrali zwyczaju wieczornego spacerowania nad rzeką, kiedy mogli pozostać niezauważeni. Chłopak nosił miecz ze złotym pierścieniem na rękojeści, który otrzymał od króla, wuja Hildy, z tą samą mieszaniną dumy i rezerwy co krzyż, dar od królowej, jego matki chrzestnej.

Po ciemniejącym niebie śmigały jerzyki, a oni szli na zachód wzdłuż wewnętrznej strony zakola rzeki, gdzie woda płynęła leniwie, a po jej powierzchni pomykały nartniki. Hilda podpięła skraj sukni. To był pierwszy gorący dzień roku i mógł ją tak zobaczyć tylko Cian.

— Chciałabym się znaleźć przy czeremsze w Goodmanham — powiedziała. — Tam zawsze wiał choćby wiaterek.

— Mówiłaś, że to oddech wodnego duszka.

— Wierzyłeś mi.

— Tak.

— Wierzyłeś mi też, kiedy ci powiedziałam o żabie, która połknęła serce hægtes.

— Nie.

— Tak. — Ptaki milkły. Miejsce ich śpiewu zajęło ćwierkanie świerszczy. — Czy

kiedykolwiek wierzyłeś, że jestem hægtes? — Nic nie powiedział, a Hilda w zapadającym zmierzchu nie umiała niczego wyczytać z jego twarzy. — Nie przeszkadza mi to.

Zatrzymał się i mocno chwycił ją za rękę tuż pod łokciem.

— Owszem, przeszkadza ci. — Głos miał szorstki jak pilnik kowala, a oczy bardziej granatowe niż niebo. — Wszyscy się przejmujemy, zawsze się przejmujemy tym, co mówią o nas inni.

Puścił ją. Szli dalej. Hilda pomasowała sobie rękę.

— Nie jesteś hægtes.

Szła z podniesionym podbródkiem, nie rozumiejąc, dlaczego nagle oczy ma pełne łez.

— Wiesz, że gesithowie śpiewają o tobie pieśni?

— Słyszałam je.

Zwolniła kroku i ukradkiem wytarła policzek o ramię.

— Nie wszystkie. — Teraz w jego głosie czuło się uśmiech, zachętę, ton, jakiego używał do uspokojenia konia przed zmianą chodu. — W ich pieśniach może i jesteś hægtes, ale jesteś ich hægtes. Jesteś jasnowidzącą, która ocaliła Bebbanburg i ujawniła spiszek królów. Która spada z drzewa, by jednym ciosem zabić tuzin mieszkańców Lindsey. I grozi wypatroszeniem æthelingom, którzy wchodzą ci w drogę.

— Wiedzą o tym?

— Znają tę pieśń. Napisał ja Coelwyn. Usłyszał o tym od Lintlafa. Ma bardzo wpadający w ucho refren: „Przysięgam, że cię wypatroszę jak zajaczka i rzucę kawałki ciebie królewskim psom”.

— Zajaczka?

— Czasami śpiewają „prosiątko”, w zabawnej wersji.

Zabawna wersja.

Przez chwilę szli w milczeniu. Między drzewami rozlewały się łagodne cienie. Wkrótce po niebie zamiast jerzyków będą śmigać nietoperze. Zmierzch. Czas pomiędzy, kiedy zza głogu mogą spokojnie się przyglądać ælfy i kiedy łatwo jest rozmawiać, nawet po angielsku.

— Ten ætheling miał na imię Ælberht.

Cian po prostu skinął głową.

— Chciałam go zabić. Mogłam to zrobić. Ale on się bał. Spojrzał mi w oczy i bał się.

— Jak przychodzi co do czego, to mężczyźni się boją.

— On nie był mężczyzną. Nie rozumiesz? W tym sęk. To był chłopiec. — Drzewa rosły tu gęściej i prawie dochodziły do brzegu rzeki. Cian nie mógł widzieć jej twarzy. — Ale za trzy lata otrzyma miecz i będzie umiał się nim posługiwać, a ja nie. Nie będzie wyższy ode mnie ani szybszy i nie będzie miał bardziej królewskiego pochodzenia ode mnie, ale będzie miał miecz, a ja nie. I jeśli mnie rozzłości, a ja na poważnie dobędę swojego seaksa, to tylko położy dłoń na rękojeści miecza, a ja będę musiała ugiąć przed nim karku.

— Nie w mojej obecności. Albo braci Berhtów. Albo Grimhuna lub...

— Ale ty przysięgałeś królowi, a nie mnie.

Pierścień na rękojeści miecza Ciana pobrzękiwał głucho pod jego dotykiem.

— Naucz mnie.

Ciche do tej pory skrzeczenie rzekotek drzewnych nagle rozbrzmiało bardzo głośno i równie nagle przycichło. Miecz to męska magia. Gdyby Cian został przyłapany, poniósłby śmierć bez względu na to, czy ma na rękojeści swojego miecza pierścień czy nie. Zostałby przybity do drzewa, jego płuca zostałyby wyciągnięte przez żebra na grzbiecie i rozłożone jak skrzydła.

— Nie wiesz, jak to jest — powiedział w końcu Cian. — I lepiej, żebyś nie wiedziała.

Wyszli spośród drzew. Wachlarz chmur na zachodzie odbijał ostatnie promienie różanozłocistego światła. Hilda dotknęła ramienia Ciana.

— Zatrzymaj się. Proszę cię.

Cian zatrzymał się i odwrócił do Hildy. Za plecami miał horyzont, a jego twarz spowijał cień. Mógłby być upiorem powstałym z kurhanu i pobłyskującym złotem. Hilda czuła jego zapach, słyszała poskrzypywanie jego pasa, gdy oddychał.

— Byłam w Lindum. Nie chcę być gesithem. Chcę wiedzieć, jak mogę pokonać mężczyznę z mieczem. Może toporem. — Czasami kobiety rąbały drewno. Chodzenie z toporem zatkniętym za pas mogłoby zostać uznane za dziwne, lecz nie było zakazane. — Jeden na jednego, miecz przeciwko toporowi. Mogłabym tego dokonać?

— Nie.

— Przywiozłeś wiadomość od Onnety: mam na siebie uważać. Pomóż mi. Jeśli nie topór, to co?

— Pałka — powiedział po chwili.

— Pałka? Przeciwko mieczowi?

— Miecze nie są magiczne.

— Kiedyś myślałeś inaczej.

Pamiętała śpiewne peany Ciana na cześć jego wyobrazonego miecza: wężowa stal okrwawiona w bitwie, zaciekła klinga, pomnożyciel wdów, obrońca honoru i przechwałek, zdobywca chwały. Oczywiście, że są magiczne. Tylko nie są przeznaczone dla niej.

— Pokaż mi swoje nadgarstki — powiedział.

Wyciągnęła do niego ręce.

Objął jej nadgarstki dłońmi.

— Duże jak na kobietę. A teraz zaciśnij pięści. — Wzmocnił uścisk. — Rozłóż palce.

Bolało, ale wykonała polecenie.

— Dobrze. — Puścił ją. — Do pałki potrzebne są mocne nadgarstki. Ale ty już jesteś nazywana hægtes. Jak wytłumaczyłabyś pałkę u pasa?

— Nie nosiłabym jej cały czas.

— Broń, która nie jest pod ręką, jest bezużyteczna. Gesith jest zawsze gotowy.

— Nie jestem gesithem. — Chwilę się zastanawiała. — A kij? Są wszędzie. Trzonek grabi, szpadla, miotły...

— Albo krzywa gałąź drzewa nad stawem?

Roześmiała się.

— Jesteśmy nami!

— Jesteśmy nami — powiedział z westchnieniem Cian.

Eadfrith wrócił z resztką wojska, kiedy zaczęły się rozmnażać i kasać meszki. Cwichełm i Cynegils uciekli.

Begu otrzymała wiadomość od królowej i przekazała ją Hildzie, która siedziała w cieniu przy zachodnich drzwiach halli i czekała na Eadfritha. Kiedy pojawił się brudny i woniejący nie tylko koniem, usiadł przy stole z Edwinem, jego doradcami, Osfrithem o szklistym spojrzeniu i Paulinem. Hilda ułożyła lewą rękę ostrożnie na kolanach wnętrzem dłoni do góry, by ukryć długi strup na przedramieniu, gdzie Cian drasnął ją czubkiem miecza. Wielki siniec na goleni zakrywała suknią. Siedząca obok królowej matka przeciągle spojrzała na Hildę. Czyżby się skrzywiła?

Gesithowie, a wśród nich Cian, rozsiedli się dookoła i udawali, że grają w kości i piją.

— Sasi Zachodni otrzymali pomoc od Pendency — rzekł Eadfrith i oderwał zębami kawałek mięsa od zimnych żeberek wieprzowych. Jego normalnie jasne włosy — jak Osfrith, odziedziczył ich złocisty blask po matce — pociemniały od potu i kurzu. — Zostawiłem Tondhelma z dwudziestoma mieczami do pomocy, żeby ułożył się z Dyfneintami. Kazałem mu pomóc im w odbudowie Caer Uisc. Nie możemy pozwolić, żeby Mercjanie i Sasi — przerwał, żeby się napić, a w halli było tak cicho, że Hilda słyszała każdy jego łyk — nie możemy pozwolić, żeby połączyli siły. Nie teraz, kiedy królem jest Cadwallon.

— Nie — rzekł Edwin. Pchnął w stronę syna bochenek chleba. — Jakie są nastroje?

— Powiadają, że Cadwallon rwie się do walki.

— Zmusimy go, by zgiął kolano. — Edwin podrapał się po brodzie. Gestem nakazał Szczepanowi, by zrobił notatkę i powiedział do Eadfritha: — Za tydzień, kiedy odpocznesz, powiesz oddział zbrojny do Gwyneddu.

Eadfrith zerknął na Osfritha, czystego i dobrze odżywionego, a potem na ojca.

Edwin pochylił się do przodu.

— Rzekłem.

Hilda odetchnęła cicho. Edwin od czasu zamachu na swoje życie nie znosił nawet pośredniego kwestionowania jego rozkazów. Nikomu nie wierzył. Za taką bezczelność ktoś o mniejszym znaczeniu zostałby przywiązany do drzewa i wychłostany. Gesithowie skupili się na grze w kości.

Lecz wtedy Edwin roześmiał się i rzucił Eadfrithowi kolejny bochenek, który ætheling odruchowo złapał.

— Oczywiście, że musisz jechać ty. Jesteś najstarszy. Poza tym twój brat wciąż jest oszołomiony małżeństwem. — Uniósł dłoń. Granat zalśnił krwistą czerwienią. — Będziesz miał mój znak i mówił moim głosem.

Breguswitha zamyśliła się. Hilda bardzo chciała porozmawiać z Furseyem. Nie miała pojęcia, jakim torem podążają myśli jej matki.

W wiązowym lesie na zachód od Sancton, na polanie, gdzie ważki lśniące jak emaliowane spinki oczyszczały powietrze z meszek, gdzie ledwie tydzień wcześniej

Hilda widziała, jak młody lis podkradał się do zająca, a liście pachniały popołudniem i nienaruszonym pyłem, Cian mocno się zamachnął oburącz na szyję Hildy. Dziewczyna sparowała cios miecza kijem, uderzając pod właściwym kątem i z właściwą prędkością tak, że dąb i stal zadzwoniły i odskoczyły od siebie. Cian uniósł lewą dłoń, schował miecz do pochwy i sięgnął po nową tarczę opartą o sękatą jabłonkę.

Kiedy zajął się dopasowywaniem pasków, Hilda popatrzyła wzdłuż kija, żeby sprawdzić, czy miecz go nie osłabił. Kij był nietknięty. Coraz lepiej oceniała kąt, z jakim należało odbić płaz miecza. Wytarła czoło przedramieniem i wyżej podciągnęła skraj sukni. Nie było wiatru. Od dwóch tygodni prawie nie padało. Na polanie panował upał.

Gdzieś w głębi lasu odezwał się gołąb grzywacz. Uwagę Hildy zwrócił czerwony błysk — na leżące w pobliżu zwalone drzewo wskoczył rudzik. Już go tutaj widziała. Czasami udawał, że przygląda się kępie żabich oczek błękitniejących przy butwiejących korzeniach albo łapie mrówki z odpadającej kory, ale Hildzie wydawało się, że ptaszek po prostu lubi wiedzieć, co się dzieje.

Zakręciła kijem zadowolona z jego wyważenia. Najbardziej lubiła dębinę, bo była twarda i pewna, a w jej dłoni mocna jak łopatką wołu. Jesionu było więcej — połamane i wyrzucone włócznie albo zielone tyczki wycinane w którymś z zagajników znajdujących się niemal przy każdym królewskim vill — i był sprężysty, co miało swoje zalety. Brzoza miała drewno miękkie i lekkie, co czyniło je prawie bezużytecznym. Wiąz był niewiele lepszy — bardziej miękki od dębu, mniej sprężysty od jesionu. Gdyby musiała, potrafiłaby walczyć każdym kijem, czy to wygładzonym i sezonowanym, czy świeżo spadłą poskręcaną gałęzią.

Wolała broń długości swojego wzrostu i grubości włócznie na dziki, ale ćwiczyła z trzonkami toporów, drażkami z krosien i gruzłowatą pałką zrobioną z korzenia tarniny. Drewno było wszędzie, pospolite jak powietrze; zawsze miała pod ręką broń. Z Cianem ćwiczyła codziennie, ale często również sama. Ćwiczenia przychodziły jej z łatwością: w dzieciństwie każdego dnia bawiła się z Cianem i jego drewnianym mieczem. Do odcisków od wspinania się na drzewa doszły zgrubienia po wewnętrznej stronie palców środkowych. Na przedramionach wykształciły się wyraźne mięśnie, które falowały, gdy przebierała palcami, a ramiona miała szerokie jak młody chłopak. Wiedziała, jakiej trzeba siły i szybkości, by wytrącić przeciwnikowi miecz z ręki, złamać mu kark, podciąć nogi albo złamać żebro. Czuła grę mięśnia od jego zakotwiczenia na żebrach poprzez klatkę piersiową do obojczyka, przez który przechodził jak lina przez krawędź studni. Wykorzystując palce i mięśnie przedramion, potrafiła lekko unieść czubek kija, by trwał w równowadze, tak jak wiadra równoważą się na koromyśle. Poznała ból. Bardziej ją jednak bolało, kiedy spadała z drzewa. Ból to ból. Wszystko goiło się na niej szybko jak na szczeniaku.

Teraz, mając długi dębowy kij, chwilę na odskoczenie i przeciwnika bez tarczy, nie mogła przegrać. Tarcze jednak stanowiły problem.

Cian miał nową tarczę pomalowaną w jego kolory: czerwień i czerń pierwszego pasa do miecza, który Hilda i Begu utkały w Mulstanton. Jej krawędź była obita piękną czerwoną skórą. Dzięki łupom z walk przeciwko Sasom Zachodnim namówił kowala, by pokrył żelazne umbo warstwą lśniącej cyny i po obu jego stronach umieścił posrebrzane

ryby. Chuchnął teraz na nie i potarł je skrajem tuniki.

— Bardzo ładna — zawołała Hilda i przesunęła się nieco ku wschodowi, tak że kiedy Cian podniósł wzrok znad paska i klamry, słońce świeciło mu prosto w oczy. — Kiedy ty chuchałeś i polerowałeś, ja ukradłam słońce.

Chłopak tylko uśmiechnął się swoim krzywym uśmiechem, wsunął rękę za paski i zamaszystym ruchem podniósł tarczę. Blask słońca odbił się od umba i oślepił Hildę. Odskoczyła w bok, ale Cian był za szybki. Podbiegł do niej, wytrącił jej tarczą kij z ręki i uderzył płazem miecza w lewe biodro. Hilda upadła, lecz sprawnie przetoczyła się i poderwała na nogi, uważając na zwalone drzewo, mrugając wściekle, żeby cokolwiek zobaczyć, i ostrożnie obciążając lewą nogę. Wytrzymała. Cian znowu zastosował swój cios i znowu ją przechytrzył.

Kraźyli czujnie wokół siebie. Hilda nie skupiała wzroku w jednym punkcie, lecz starała się widzieć wszystko naraz, jak robiła to w lesie, żeby dostrzec zmianę: nieruchomy cień, drgnienie lisiego ucha w trawie czesanej wiatrem, spięty grzbiet gotowy do skoku. Cian, zanim robił krok, miał zwyczaj przesuwając czubek miecza o szerokość palca w prawo. Obserwując go, Hilda szukała stopami dobrego podparcia; znała na tej polanie każdy korzeń, każdy dołek wykopany przez zająca, każdą leżącą gałąź.

— Poprosisz więc, żebyś mógł pojechać do Gwyneddu z Eadfrithem?

— Po co?

Zamarkował cios tarczą, ale Hilda nawet nie mrugnęła.

— Bo jesteś gesithem i mógłbyś tam zdobyć chwałę.

— Chwałę.

Gojące się ugryzienie na jego szczęce lekko pociemniało; Cian wyskoczył w powietrze z wysoko uniesionym mieczem, ale kiedy wylądował na ziemi, Hildy już tam nie było.

Oboje oddychali nieco ciężiej.

— Co jest złego w chwale? — Lekko zmieniła chwyt, wciąż obserwując. Ta nowa tarcza wydawała się cięższa od starej. Hilda mogłaby to jakoś wykorzystać. — Jesteś gesithem, który złożył przysięgę.

— Królowi, a nie jego synowi.

Hilda zamarkowała końcem kija uderzenie Ciana w twarz, a następnie ruchem błyskawicznym jak ciernik wystrzelający z gniazda chciała uderzyć go w kolano. Prawie go trafiła.

— Jesteś powolny z tą swoją ładną nową tarczą.

— Jest z cisu.

Hilda skinęła głową. Cis jest bardziej zwarty, sprężysty i twardy od lipy. Dobry na ścianę z tarcz. Dobry przeciwko toporom i włóczniom. Zamarkowała cios. Cian też. Kraźyli wokół siebie. Rudzik odleciał obrażony.

— Poza tym nie będzie walk — ciągnął Cian. — Słyszałaś, co powiedział król. Będą tylko rozmowy i rozmowy. Dlatego wysyła Eadfritha. Cadwallon ugnie kolano.

— Niekoniecznie.

Te nitki osnowy nie były jeszcze gotowe do połączenia w jednym gobelinie.

Nie odpowiedział. Hilda mocno zamrugnęła i potrząsnęła głową, jakby coś jej

wpadło do oka, ale Cian znał ją zbyt dobrze i nie dał się zwieść. Będzie musiała go rozproszyć w jakiś inny sposób.

— Cadwallon nienawidzi Edwina.

— Zawsze go nienawidził. Jakie to ma znaczenie? Znasz pieśni: „Słowo Cadwallona skręca za rogi, których nie widzi nikt inny”. Będzie się do nas uśmiechał i kłaniał nam, a kiedy tylko odwrócimy wzrok, poprowadzi na nas wojsko. Ale to tylko Gwynedd.

— Tylko Gwynedd? Kraina bohaterów! Pamiętaj Gwyrusa: „Byk zastępu, ciemiężca w bitwie książąt”.

— Teraz wszyscy jesteśmy Anglami.

Cały czas był skupiony na ćwiczeniu.

— Pierwszy miecz dostałeś od Cerediga z Elmetu!

— On nie żyje. Bycie wealh oznacza bycie martwym lub niewolnikiem.

— Cadwallon jest królem. Nie niewolnikiem ani trupem.

Wzruszył ramionami. Zrobił to tak swobodnie, jakby nie miał miecza i tarczy. Czy on nigdy się nie zmęczy?

— Pamiętasz strumyczki w zadrzewionej dolinie w Goodmanham?

— Nie.

— Owszem, pamiętasz. Przy grzędawisku, gdzie mieszkała żaba z sercem hægtes. Uśmiechnął się.

— Nie wierzyłem ci.

— Wierzyłeś.

— Nie.

— Tak.

Oboje się roześmiali, lecz nie przestali krążyć wokół siebie.

— Poza tym to nie były strumyczki, tylko strużki — stwierdził Cian. — Niewiele większe od strużek potu, które ściekają ci po twarzy.

Teraz zachciało jej się wytrzeć twarz o ramię. Och, był sprytny.

— Dobrze, strużki. Małe, nieszkodliwe, pojedyncze. Ale gdyby połączyły się w jeden strumień, przebiłyby się przez tę miękką skarpe w tydzień. — Spróbowała wypadu z szybkim hakiem. Prawie jej się udało. — Mercjańska strużka Pendency już się połączyła z saską strużką Cwichelma i Cynegilsa...

— A jeśli przyłączy się do nich Gwynedd, wszystkich nas zniosą. Tak. — Uniósł wysoko miecz, odchylił go do tyłu i osłonił się tarczą. — Ale oni nie połączą się z Mercją.

Hilda cofnęła się, nie wiedząc, co zamierza Cian.

— Mogliby to zrobić, bo Cadwallon nienawidzi króla Edwina.

Cian ruszył do przodu.

— Tak, nienawidzi jak wealh. — Cięcie. — I jak wealh nie powie tego żadnemu Anglowi w twarz. — Cięcie. Cięcie na odlew. — I każda przysięga, jaką złoży, będzie przysięgą bezwartościową.

Pchnięcie.

Mówił twardym, znudzonym, lekceważącym tonem. Jak ktoś obcy. I wciąż atakował. Hilda mocno uderzała w prawo, w lewo, lecz zawsze trafiała w tarczę. Dąb

uderzał głucho w malowany cis.

Cian odsłonił zęby. Pulsowała mu żyła na szyi. Zamachnął się mocno, celując ostrzem w jej żebra. Hilda ledwie odbiła cios. Cian wciąż atakował. Hilda się cofała.

— Cian...

Nie słuchał. Celowała w jego głowę, nogi, nawet w nadgarstek. Lecz tarcza była duża, a on wydawał się pełen sił.

Atakował jak fala przyływu, nieustępliwie, z twardym, obojętnym spojrzeniem niebieskich oczu. Hilda dźgała, machała i wciąż się cofała.

Oparła się plecami o drzewo. Nie miała dokąd iść. Cian uniósł miecz.

Świat zwolnił. Po lewej stronie załśniła ważka. Hilda widziała każdy ruch jej przezroczystych skrzydełek, jakby ubijane przez nie powietrze miało gęstość miodu.

Znajdował się tak blisko: po grubej żyłce na jego szyi ściekał powoli pot, od potu pociemniała też jego tunika i włosy. Czy jej włosy na skroniach też tak pociemniały? Cian pachniał ostro jak dojrzewający ser.

— Wygrałem — powiedział i świat wrócił do normalnej prędkości. Cian uśmiechnął się szeroko i opuścił tarczę. — Wyglądałaś, jakbyś się spodziewała, że obudzisz się w halli Wodena.

Roześmiała się. Głos miała chrapliwy od ulgi. Chciała krzyknąć i uścisnąć Ciana, ale zadowolona się odepchnięciem plecami od drzewa i przyjaznym trzepnięciem chłopaka kijem po pośladkach.

Siedzieli nad rzeką przy gładkiej rynnie wydrzej zjeżdżalni i zwalonej olsze gnijącej na różowawy proch. Hilda machała nogami w wodzie, a Cian miał skrzyżowane nogi i ostrugiwał jasny kawałek brzozy wielkości pięści.

Dziewczyna wdychała mocny zapach ciemnej wody, sitowia, błyszczącego błota.

— Myślałam, że oszalałeś — powiedziała. Cian milczał tak jak on tylko potrafił; było to niewymuszone milczenie, bez głodu wyjaśnień. — To, co mówiłeś, twoja twarz.

Podniósł wzrok.

— Walczyliśmy.

— To, co mówiłeś o wealh. Mówiłeś poważnie?

— Walczyliśmy.

Obrócił bryłkę drewna w dłoniach. Zaczynała się z niej wyłaniać kaczka.

— Brzmiało prawdziwie.

— Gdybym mógł w ten sposób zmusić cię do mrugnięcia, powiedziałbym, że chcę osiąść twoją matkę.

Teraz ona milczała, a Cian strugał. Może nie była w tym tak dobra jak on; Cian ciął zbyt głęboko.

Westchnął i wrzucił drewnienko do rzeki.

— Może mówiłem poważnie. — Schował nóż do pochwy. — W ścianie tarcz muszę być jednym z wielu, muszę być taki sam jak inni. Muszę być Anglem, nie wealh. Dla człowieka z mojej prawej strony moja matka jest panią na Mulstanton; dla tego z lewej jestem przybranym synem tana. Wszyscy jesteśmy gesithami króla.

— Nie czuj do niej nienawiści. Jest twoją matką.

Cian wrzucił kamyk do rzeki.

— Czy jej słowo jest bez wartości? Czy słowo Cerediga nie miało wartości? Dał ci miecz...

— Z drewna.

— ...jaki dałby każdemu księciu krwi w twoim wieku. To był miecz od króla.

— Księżę krwi... — Starał się mówić lekceważąco. — Moja matka jednak nigdy o tym nie mówiła.

Wychowywali się bliżej siebie niż większość braci i sióstr, bawili się nadzy jak węgorze. Od razu by poznał, gdyby kłamała.

— Nie musiała; król dał ci miecz.

— Ale nie publicznie.

— Czy trzeba świadków, żeby to tutaj było prawdziwe? — Stuknęła dwoma palcami w jego mostek. Rozległ się głuchy dźwięk jak uderzenie w bęben. Mocny dźwięk. Hilda odchyliła się do tyłu, opierając się na rękach. — Pierwszy miecz otrzymałeś bezpośrednio od króla, twoja matka była kuzynką króla z rodu Coela Hena. Z tego samego rodu pochodzi Cadwallon. Jedź z Eadfrithem do Gwyneddu. Spójrzj swojemu królewskiemu kuzynowi w oczy. Jeszcze raz zobacz króla w królewskiej halli, króla z rodu starożytnego już wtedy, kiedy mój lud był jeszcze za morzem. A kiedy Eadfrith albo Osfrith, jeśli wtedy nie będzie już tak przejęty małżeństwem, zostanie wysłany do Craven, żeby go odebrać Dunodowi, pojedź i tam. Poznaj swój lud, wojowników, królów, bardów z harfami.

— Może pojedę. — Cian wrzucił do wody kolejny kamyk. — Ale i tak cały czas będzie się gadać i gadać. Wysyłają nawet księży. Księża nie walczą.

Hilda pokręciła głową.

— Paulin jest rzymskim biskupem. Fursey mówi, że biskupi wealh i biskupi rzymscy są jak psy i koty. Jedne zawsze prychają, a drugie zawsze szczekają. Biskupi wealh nigdy nie ucałują rzymskiego pierścienia Wrony, nawet jeśli Cadwallon ugnie karku przed królem. Paulin chce, żeby Cadwallon walczył i zginął. Inaczej nie zostanie zwierzchnim biskupem wyspy przy zwierzchnim królu Edwinie.

Królowie wybierają głównego kapłana, który następnie wybiera pomniejszych kapłanów. Tak zawsze było. Imię boga nie ma znaczenia.

Cian zastanowił się nad tym.

— Więc bez względu na to, jakie Edwin wyśle prezenty i jak pięknie przemówi Eadfrith, Paulin wszystko zepsuje sypaniem obelg jak pies otrząsający się z deszczu?

Hilda skinęła głową.

— Psy i koty. Nic na to nie poradzą.

Oddał z olchy płat kory i wyciągnął nóż.

— Nadal nie wiem, czy chcę jechać do Gwyneddu. Eadfrith... budzi mój niepokój.

Pamiętała Eadfritha sprzed lat, jak łąsił się do dziewczyny wśród wrzosów i ze śmiechem mówił jej, że Hilda to hægtes w sukni. Nigdy go nie lubiła.

Cian obracał korę w różne strony.

— Eadfrith jest jak król Edwin.

— Król wygrał wszystkie swoje bitwy.

— Ale ma rowek w dupie od tak długiego siedzenia okrakiem na płocie.

— W końcu zeskoczy — rzekła Hilda, ale zastanawiało ją jednak zamyślane spojrzenie matki.

— A Eadfrith?

— Co? — Chwilę pomyślała. — To zależy od tego, ilu ludzi wyśle król.

Cian wrzucił korę do rzeki. Odplynęła jak maleńka tratwa. Schował nóż do pochwy.

— Lintlaf uważa, że oddział zbrojny Gwyneddu liczy czterykroć po dwudziestu ludzi.

Zwykle sądzono, że przeważająca siła to potrójna liczba wojowników wroga: gwarancja, że Cadwallon zegn timer kolano. Lecz dwanaściekroć po dwudziestu ludzi to duży oddział jak na negocjacje, zwłaszcza biorąc pod uwagę sojusz Sasów z Mercjanami, niepewną sytuację Elmetu i zbliżające się żniwa.

Hilda wyjęła z sakiewki swoje karneole i owinęła je wokół nadgarstka.

— Mimo wszystko powinieneś pojechać i spotkać się ze swoim ludem. — Poruszyła ręką, żeby paciorki załśniły w słońcu. — Poza tym mógłbyś dostać prezenty — dodała z szerokim uśmiechem.

Pięć dni później Edwin wysłał Eadfritha na zachód z Paulinem i czterema księżmi, sześćkroć po dwudziestu gesithami i Cianem. Osfrith wrócił do conocnych głośnych igraszek z Clotrudą (robili to też w dzień, jak mówiła Gwladus, i to w takim upale!), Edwin do ponurego przesiadywania w halli jak pierzający się jastrząb, a Etelburga i diakon Jakub do rozmów o muzyce.

— Nie wiem, co ona w tym widzi — rzekła Begu. Wraz z Hildą liczyły motki przędzy z Elmetu, o których posortowanie poprosiła je Breguswitha. — Osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia. To razem jest trzykroć po dwadzieścia czerwonych. Tego nie da się zanucić. — Przyciągnęła worek bliżej i spojrzała z powątpiewaniem na zielone motki. — A to się nie nadaje do niczego. — Uniosła do światła źle ufarbowany motek wełny. — Bardziej żółty niż zielony.

Hilda myślała o królu. Rowek w dupie, doprawdy. Sześćkroć po dwudziestu przeciwko czterykroć po dwudziestu. Zuchwały dowódca pewny swoich ludzi mógłby przy takim układzie sił wymusić stoczenie bitwy. Ale jeśli Eadfrith by do niej nie przystąpił, nikt nie nazwałby go głośno tchórzem. Nie na terenie wroga. Cian byłby zły. Ale przynajmniej byłby bezpieczny.

— Powinno się ich wychłostać.

— He?

— Ludzi z Elmetu. Powinno się ich wychłostać.

Przynajmniej tym razem chciała chłosty dla Angłów.

— Daj mi to. — Hilda wyciągnęła nitkę z motka i potarła ją między palcem wskazującym i kciukiem. Słaba jakość: krótkie, szorstkie i nierówne włókna. Nawet nie warto tego przefarbować. Powie matce. Matka powie królowi, że pozbawieni przywódcy Anglowie z Elmetu przysyłają mu w daninie bezwartościowy towar. Edwin będzie się dalej ponuro zastanawiać i konstruować w głowie skomplikowane wyjaśnienia, dlaczego jeszcze nie sprowadził Elmetu do nortumbryjskiej owczarni. — Odłóż wszystko z powrotem do worków — powiedziała Hilda. — Gwladus je zaniesie... Gdzie jest Gwladus?

— Pewnie pluje Lintlafowi do miodu.

Lintlaf wrócił z kampanii zachodniosaskiej z garścią złota oraz informacją, że odrzucił propozycję przyjęcia ziemi w Dyfneincie, „Ponieważ dlaczego miałbym mieszkać tak daleko od wszelkich działań i rozmawiać tylko z wealh?”. Kiedy posadził sobie Gwladus na kolanach, nie opierała się — była niewolnicą, jaki miała wybór? — ale później Begu widziała, jak napluła do kubka, który napełniła dla Lintlafa i podała mu go z uśmiechem.

Hilda poszła szukać matki. Powiedziała jej o wełnie.

Breguswitha słuchała, kiwając głową.

— Nie jesteś zdziwiona — stwierdziła Hilda.

— Nie mają pana. Nikogo, kto by ich chronił albo się nimi opiekował w trudnych czasach. Chronią się więc sami i gromadzą na trudne czasy to, co mają najlepszego, ale wiedzą też, że powinni wysłać coś królowi, żeby zostawił ich w spokoju. A tymczasem on wmawia sobie, że przyjdą do niego z własnej woli. — Uśmiechnęła się. — Na razie nie martwmy więc tym króla. Zaczekajmy na wieści z Gwyneddu. Po co podejmować niepotrzebne ryzyko? Nie. Zawsze przychodź do królów z odpowiedziami, a nie z pytaniami.

Kiedy tego wieczoru Begu głośno się zastanawiała w łóżku, czy Wilnoða, gemæcce królowej, jest brzemienna, Hilda słuchała jednym uchem.

— To by wyjaśniło przyrzeczenie złożone w takim pośpiechu Bassusowi.

— Słuchaj wszystkiego, co mówi królowa — powiedziała Hilda, wciąż myśląc o matce.

— Już mi to mówiłaś.

— Mówię poważnie.

— A przedtem nie?

Hilda zamknęła oczy. Jak to jest, że Begu zawsze sprawia, iż proste sprawy wydają się takie pokrętne?

— Potrzebuję informacji.

— Po co?

— Moja matka... Moja matka coś planuje. Tworzy wzór, do którego chce wpleść wszystkie nitki, żeby coś opowiedzieć. Chcę wiedzieć, czy jest oparty na prawdzie. Słuchaj uważnie wszystkiego na temat północy. Także o synach króla. Proszę cię.

Begu mruknęła coś niewyraźnie; zasypiała. Zapadała w sen natychmiast, z szybkością kamienia wpadającego do studni. Zawsze tak było, nawet w jej lipowym łóżeczku w Mulstanton. Kiedy zaczynała odpływać, nic nie mogło tego przerwać.

Hilda i tak dalej mówiła. O Osricu — miał wrócić z Arbei u ujścia Tine po żniwach i wysłaniu statkami ostatnich towarów — i o tym, jak żałuje, że matka wzięła jego stronę. Nie rozumiała, dlaczego ona to robi. Ich ciała nie przechylały się ku sobie tak jak ciała Onnemy i Mulstana albo jeszcze niedawno Lintlafa i Gwladus. Edwin mu nie ufa. To tylko kwestia czasu. A potem pomyślała o Furseyu. Czy jest już w Anglii Wschodniej z Hereswithą? Czy mu się tam spodoba? Brakowało jej go — brakowało błyskotliwości jego dowcipu, jego informacji. Skąd teraz będzie je brać? Czy Onnena już urodziła? Chłopca czy dziewczynkę? Czy dziecko będzie podobne do Onnemy czy do Mulstana, czy

może do Ciana...

Wszedł księżyc. Begu delikatnie chrapała.

Przy chatach tkackich w Goodmanham kobiety pracowały w dwóch dwuosobowych zespołach. Od kilku dni pogoda była idealna: słońce i lekki wiatr z północnego zachodu niosący zapach kwiatów i dojrzewającego zboża. Hilda, która wyglądała bardzo porządnie w welonie, przepasce i silnymi rękami pokrytymi bransoletami, czasami pracowała z matką przy ustalaniu wzorów na krosnach, ale często z Begu i królową oraz Wilnołą. Wtedy odpoczywała przy luźnej rozmowie o niczym i unoszeniu osnowy, przekładaniu czółenka i przybijaniu wątku. Bycie niezauważaną przez króla miało swoje zalety.

Hilda przyglądała się gemæcce królowej. Wilnoła była pulchna jak strzyżyk w zimie. Begu miała rację.

Mała Eanflæda leżała na brzuchu na pasiastej tkaninie u stóp Etelburgi; wierciła się, a czasami unosiła na rączkach i dziwiła się późnym promieniom słońca wpadającym ukośnie przez otwarte drzwi w dachu albo wyciągała rączki do wiszących obciążników i gaworzyła. Ilekroć odzywała się Etelburga albo Wilnoła, Eanflæda patrzyła na nie i odsłaniała w uśmiechu nagie dźiąsła. Włosy i rzęsy miała delikatne i czarne jak smoła, ciemniejsze od włosów matki. Właściwie były bardzo podobne do rzęs Cygnet, klaczy Hildy.

Hilda wstała i się przeciągnęła. Czubkami palców musnęła strzechę.

— Spójrz tylko — rzekła królowa do Wilnoły. — Jak młody dąb. Wątpię, czy nawet Bassus sięgnąłby tak wysoko.

— Och, sięgnąłby. Gdyby podskoczył.

Roześmiały się na samą myśl o odzianym w czerwony płaszcz Bassusie, który miałby w taki sposób narazić swoją godność na szwank.

— Cian chyba by sięgnął — odezwała się Begu.

Może Hilda tylko sobie wyobraziła, że królowa i Wilnoła unikają spojrzenia na siebie.

Po chwili Begu zaczęła mówić o Eanflædzie — na pewno wkrótce będzie ząbkować, popatrzcie, jak się ślini, i może się założyć, że piękne karneole Hildy nie będą już bezpieczne, dziecko zawsze będzie chciało włożyć je sobie do buzi. Od tej chwili rozmawiały o najlepszych gładkich kamieniach dla ząbkującego dziecka. Etelburga twierdziła, że jako dziecko miała do żucia kółko z agatu, „Dokładnie takiego samego koloru jak twoje oczy”, powiedziała do Hildy. Mówiły, jakie zioła są najskuteczniejsze na niekończący się płacz i krwawiące dźiąsła. Kiedy dotarły do omawiania fenkułu, Hilda poczuła wibracje od kopyt szybko biegnącego konia. Po chwili wszystkie usłyszały tętent i okrzyk posłańca:

— Wieści dla króla! Wieści z Gwyneddu!

W halli nie było tak jasno jak w chacie tkackiej, lecz zrobiło się za gorąco, żeby zapalić pochodnie. Edwin siedział na swoim wielkim tronie, wokół niego ustawili się gesithowie, Coelfrith stanął po jego prawej ręce, a z tyłu majaczył w mroku wielki królewski sztandar.

Edwin był siny z wściekłości.

Hilda zerknęła na posłańca, który siedział z boku na ławie i usiłował jeść, lecz był zasypywany pytaniami przez scopa. Będzie musiała poczekać na swoją kolej, żeby dowiedzieć się czegoś o Cianie.

Na oświadczenie Edwina czekali wszyscy: gesithowie, diakon Jakub, Coifi i jeden z jego pomocniczych kapłanów, posłaniec z Rhegedu, a nawet wyglądający na oszołomionego Osfrith. Na ławach dla kobiet po lewej stronie siedziała królowa i jej damy wraz z Breguswithą i Begu; większość z nich dobrze udawała, że przedzie.

Edwin wstał.

— Czyż nie jestem zwierzchnim królem Anglów? — Nikt nie był na tyle niemądry, by się odezwać. — To była dość prosta wiadomość. Uznaj mnie za zwierzchniego króla i zachowaj sobie tę nędzną górską warownię. Trudno to źle zrozumieć. — Rozejrzył się po zebranych i zatrzymał wzrok na emisariuszu z Rhegedu. — Czyż nie?

Posłaniec, przysłany tu tylko z wiadomością o śmierci Rhoedda Mniejszego, powiedział ostrożnie:

— Może król Cadwallon nie zrozumiał źle, panie.

— Nie wymieniaj imienia tego nędznego tchórza w mojej halli! — ryknął Edwin. — Wkrótce nie będzie królem niczego! Uklęknie u moich stóp w kajdanach i będzie patrzył, jak palę jego hallę, wykorzystuję jego kobiety, a jego dzieci sprzedaję w niewolę. Obetnę mu członki i wystawię na włóczniach w czterech rogach jego ziemi. Posypię solą jego pola. Wyrwę języki tym, którzy będą wymawiać jego imię. Pluję na niego!

Splunął na leżące przed nim sitowie. Po kolei wszyscy mężczyźni w halli charknęli i splunęli.

Hilda dołała diakonowi Jakubowi reńskiego wina.

— Biskup był pewnie tak samo zły jak król — powiedziała.

Posłaniec powiedział jej, że bardziej. Powiedział też, że Cian kazał przekazać jej wiadomość, iż dostał od swoich krewniaków nowy płaszcz o krzykliwym wzorze. Hilda dała posłańcowi pierścień, który zdjęła z kciuka i odłożyła wiadomość do późniejszego przemyślenia.

Jakub skinął głową i pociągnął łyk wina.

— List był oczywiście napisany ręką Szczepana, więc był jak zwykle piękny i wyraźny. Wspaniały charakter pisma ma ten człowiek, wspaniały. Gdyby choć w połowie śpiewał tak dobrze, jak pisze... Nie, nie, już dziękuję. No dobrze, ale odrobinę.

— Więc Paulin był zły.

— Pienił się z wściekłości. Kazał dopilnować, by do jego powrotu w Goodmanham nie został ani jeden ksiądz wealh. Nawet to żalosne chuchro przy źródle.

— Książę świętej Eleny?

— Nawet on. I powiedział, że potem musimy się ich pozbyć z całego królestwa. Wyrwać ich z korzeniami. Powiedział, że wszyscy oni są szpiegami. Ale wątpię, by większość z nich umiała choćby czytać, nie mówiąc już o pisaniu tajnych wiadomości do króla, którego nigdy nie widzieli. I jak mam zrobić to wszystko w dwa dni, nie wiem. — Pokręcił głową, kołysząc siwymi lokami. Z żalem odsunął kubek i postukał palcem w leżącą na ławie książkę oprawną w brązową skórę. — Dobrze. Dokąd dotarliśmy wczoraj?

— Do Jakuba, syna Zebedeusza i brata Jana.

Jakub się rozpromienił.

— Najukochańszego ucznia Chrystusa.

— Tak.

Hilda lubiła słuchać opowieści Jakuba. Podobał jej się jego akcent, gorący i korzenny jak grzane wino. Nawet jego łacina, kiedy jej używał, bardzo się różniła od łaciny Furseya.

— Odwiedziłem jego sanktuarium w Iberii. Złoto, wszędzie złoto wysadzane klejnotami wszystkich kolorów. Jest tam więcej klejnotów niż gwiazd na niebie. I och, jak oni tam śpiewają. Jak anielskie hufce. Na samą myśl o tym chce mi się płakać.

Dolała mu do kubka.

— Czy Jakub lubił muzykę?

— Oczywiście! Był bratem ukochanego ucznia Chrystusa! Duszę miał piękną jak mleko i równie czystą. Mieszkał w kraju pełnym słońca, wina i dobrego jedzenia. Do czasu, kiedy podły Herod Agryppa obciął mu mieczem głowę. Czy królowie potrafią myśleć tylko o mieczach?

I zaczął perorę o mieczach i o tym, że wszystkie powinny zostać wrzucone do morza, że życie powinno być miłością i muzyką, niebem na ziemi aniołów i blasku słońca, wina płynącego jak woda i królów pradawnego, pewnego pochodzenia, których wszyscy poddani są szczęśliwi, posłuszni Kościołowi oraz kapłanom opiekującym się swoją trzodą i niemartwiącym się królami, wojskami ani urojonymi szpiegami!

G

Gwladus złapała Hildę, kiedy ta wychodziła od diakona.

— Chce, żebyś zjadła z nią w halli. — Podała Hildzie pierścień z żółtym kamieniem, duży i rzucający się w oczy, chociaż nie tak ciężki, na jaki wyglądał, w miejsce tego, który teraz nosił posłaniec. Hilda wsunęła go na kciuk. — Nie ruszaj się — powiedziała Gwladus i poprawiła welon Hildy. — Wrócił Osric. Z Oswinem.

Hilda westchnęła.

— Mam jej powiedzieć, że cię nie znalazłam?

Hilda pokręciła głową.

— Znajdź Begu. Powiedz jej, że Cianowi nic nie jest i że wróci pojutrze.

Gwladus skinęła głową; Hilda wiedziała, że wiadomość o powrocie mężczyzn za dwa dni zostanie sprzedana w kuchni: tu kawałek słodkiego podpłomyka, tam kubek mleka.

Hilda siedziała z matką oraz Osrikiem i Oswinem przy rogu stołu. Po drugiej stronie halli gesithowie śpiewali rzewną pieśń o palenisku i halli. Kiedy Osric dotykał dłoni jej matki, Hilda siedziała wyprostowana i zachowywała przyjemny wyraz twarzy. Breguswithy nie zwiodła, ale Osric nie wiedział, jak bardzo chciała przyłożyć mu seax do szyi i rozciąć gardło, jak wtedy rozcięła przedramię tamtego mężczyzny w porcie Tinamutha. Zamiast tego obracała na palcu nowy pierścień, jak mogłaby to robić znudzona dziewczeczka. Był nieco za duży i wcale nie taki piękny jak ten, który dała posłańcowi.

Oswine skupiał więcej uwagi na gesithach, wyraźnie chcąc się znaleźć wśród nich.

Hilda postanowiła z nim porozmawiać, kiedy nikt nie będzie mógł ich słyszeć.

— Kiedy wróci Eadfrith? — zapytał Osric, nie zadając sobie trudu ściszenia głosu, ponieważ Grimhun, który grał na lirze, miał niezdarne palce, co jedynie zachęcało pozostałych gesithów do głośniejszego śpiewu, żeby zagłuszyć fałszywe nuty.

— Jutro — odparły razem Hilda i jej matka.

Spojrzały na siebie.

— Usłyszałam to od Jakuba, a on od Paulina — rzekła Hilda.

— A ja od samej królowej — powiedziała Breguswitha.

— A zatem wkrótce ruszymy na Elmet — stwierdził Osric.

Hilda i jej matka skinęły głowami — to oczywiste. Jeśli Gwynedd sprzymierzy się z Mercją, to jedynym buforem między ich połączonymi wojskami i Nortumbrią będzie Elmet, ważniejszy niż kiedykolwiek. Edwin musi go zająć.

— Musi ustanowić garnizon w Elmecie i mianować mnie jego ealdormanem. — Osric uderzył obiema dłońmi w stół. — I nawet nie myśl, by doradzić mi cierpliwość! — Kilku gesithów spojrzało w jego stronę. Pochylił się do przodu. — Czekałem, kiedy zajął Deirę i Bernicję. Czekałem, kiedy dał Lindsey temu zarządcy o miękkich rękach. Jestem Yffingiem. Mam ludzi, silnego syna i zdrowe córki. Elmet mi się należy. I jestem zmęczony czekaniem.

Hilda pojęła, że w tej sprawie nie będzie słuchała jej matki. Pojęła to też najwyraźniej Breguswitha. Zrobiła to, co robiły kobiety, a czego Hilda jeszcze nie rozumiała: w następnej chwili jej ciało zmiękło, przypominając raczej wierzbę niż dąb.

— Tak, panie, powinien ci się należeć. A ty nie powinienesz czekać. Lecz zwierzchni królowie nie lubią nacisków. Pozwól więc, że ja mu to powiem. Mam coś, co przeważy szalę. Tę wełnę — zwróciła się do Hildy, a potem do Osrica. — Elmet zmniejszył daninę wełny.

Zajął mu to chwilę — był taki powolny! — lecz potem się uśmiechnął. Zmniejszona danina to obelga. Żaden król nie może zignorować obelgi. Osric uśmiechnął się szerzej i zmrużył oczy, co przy jego ostrych białych zębach lśniących w blasku pochodni sprawiało, że przypominał nie borsuka, lecz szerokogłowego gronostaja szukającego węchem kur.

Breguswitha oddała mu uśmiech, a Hilda była pewna, że pod stołem przycisnęła swoje kolano do kolana Osrica.

— Najlepiej, żeby taką wiadomość dostarczyła kobieta, której nie przyniesie to korzyści. I żeby dostarczyła ją królowej, a ta w odpowiedniej chwili napomknie o sprawie królowi. Bądź gotów.

Lecz Elmet to nie Lindsey zamieszkane przez bogaty lud kupców o słabych rękach, a Edwin był sprytniejszy i ambitniejszy od swojego kuzyna. Chciał przyłączyć Elmet do Nortumbrii starannie i zatrzymać go na całe życie, nie tylko swoje, ale i swoich potomków i ich potomków. Chciał zbudować królestwo, które przetrwa dłużej niż sama pieśń.

Księżycyca ubyło, przybyło i znowu ubyło, a kiedy w Winterfylleth znalazł się w drugiej kwadrze, Coelfrith zaczął nadzorować załadunek królewskich wozów.

Pogoda był dziwna: liście zwarzyły się wcześniej niż ktokolwiek pamiętał, a potem nastał przenikliwy ziąb przy bezchmurnym niebie. Liście powinny płonąć w słońcu, lecz

zwisały bez życia jak martwe brązowe dłonie. Najdziwniejszy ze wszystkiego był wiatr. Bez ładu i składu ostrymi porywami z różnych kierunków smagał wealh ładujących wozy.

Pogoda upiorów, mówili wealh z kuchni. Stojąc po ciepłej stronie skórzanej zasłony wiszącej w drzwiach kuchni, patrzyli, jak dziewczeczka w sukni bez rękawów, z kijem, który często miała przy sobie, unosi twarz ku błyszczącym chmurom o czarnych krawędziach, jak rybiki pędzącym po niebie. Kręcili głowami: to budzili się dawno zmarli królowie Elmetu i Starej Północy, żeby zaszkodzić Edwinowi Wężobrodemu.

I Wężobrody to wiedział, zgodzili się piekarz i kucharka, którzy, jak przystało ludziom o ich pozycji, stali z przodu i wszystko widzieli.

— Po pierwsze — powiedział piekarz, mężczyzna o rzadziejących jasnych włosach i śladach po oparzeniach na żyłastych przedramionach — zaprzęgają woły, i to młode, na drogę tam, ale biorą dodatkowe konie na powrót. To oznacza ofiary. I bierze dwakroć po dwudziestu gesithów, lecz ani jednej kobiety.

Dzieweczka się nie liczyła.

— Do walki z martwymi nie trzeba zbrojnego oddziału — odezwała się kucharka, co zdumiało niemal wszystkich, kucharka bowiem mówiła niewiele, chyba że rękami. — Wystarczy dziewczeczka i jej cztery ogary.

— Pięć — pisnął chłopiec od dodawania wody i podlewania sosem, który usłyszał to od bratanka Ardduny, gońca. — Bracia Berhtowie, Eadric Brązowy, Grimhun i Cian Krzykliwy Płaszcz.

— Krzykliwy Płaszcz nie jest ogarem dziewczeczki! — powiedziała pogardliwie dziewczyna piekarza, ponieważ chłopiec od dodawania wody przybył niedawno z zachodu i niewiele wiedział. — Słyszałam to od Gwladus, przybocznej dziewczeczki. Dzieweczka i Krzykliwy Płaszcz wychowywali się razem jak brat i siostra! — Kucharka i piekarz popatrzyli na siebie, ale dziewczyna tego nie zauważyła, przejęta szansą upokorzenia nowego chłopca swoją lepszą wiedzą. — Nie znasz tej pieśni, jak dała mu sekretny nóż, a on uratował nim królowi życie?

Stajenny wyprowadził kilka koni; były to wierzchowce gesithów z błyszczącymi ogłowiami i wytłaczanymi skórzanymi popręgami.

— Ogary, które jadą, zostaną ochrzczone — rzekł piekarz. — To pewnie działanie Wrony. On bierze ze sobą pięciu księży. Pięciu. W lesie Elmetu jest pełno upiorów.

Wszyscy stojący za nim przeżegnali się.

— Dzieweczka pochodzi z Elmetu — stwierdziła dziewczyna piekarza.

— Słyszałem, że jest na wpół hægtes — powiedział chłopiec. — Albo na wpół etin! Dziewczyna prychnęła.

— Ma podwójnie królewskie pochodzenie, więc jest dwa razy wyższa! Wszyscy to wiedzą.

— A w takim razie Krzykliwy Płaszcz? On też jest wysoki — zauważył chłopiec.

W tym momencie kucharka trzepnęła go w potylicę mięsistą dłonią, dziewczyna piekarza wykorzystała okazję i szturchnęła go łokciem w żebra, a podkuchenna powiedziała:

— Przynajmniej Lintlaf trochę odpocznie, biedaczysko.

Popatrzyli na siebie znacząco. Gwladus, która oczywiście wszędzie towarzyszyła

dzieweczce, wyraziła pewne niezadowolenie z włączenia młodego gesitha do grupy, miał więc zostać na dworze i chociaż przez jakiś czas będzie mógł się cieszyć brakiem piasku w owsiance i chrząszczy na posłaniu.

— W przeciwieństwie do Loidów — powiedział piekarz.

Wszyscy ludzie Osrica mieli wziąć ze sobą bicze, co nie wróżyło dobrze bogactwu Elmetu.

Patrzyli, jak pomocnik Coelfritha, półwealh imieniem Pyr, poucza służących, by ostrożniej obchodzili się z workami. Kiedy odszedł, nadzorca pstryknął palcami w stronę pleców Pyra i służba zaczęła rzucać workami ze zdwojoną siłą.

— To miesięczny zapas dwukrotnie pieczonego chleba — stwierdził piekarz. — I miodu. To więcej miodu niż nawet dwakroć po dwudziestu gesithów mogłoby wypić w dwa tygodnie. Ofierze będzie towarzyszyć uczta.

— Tak — zgodziła się kucharka. — Ale uczta z kim? Ofiara dla kogo? To dziwna grupa. Dziwna pogoda. Dziwne czasy.

Tak jak przewidywała Hilda, deszcz zaczął padać, kiedy królewski oddział pokonał ledwie milę drogi od Goodmanham i od tego czasu nie ustał ani na chwilę. Hildzie to nie przeszkadzało. Czowała się tak jak wtedy, kiedy pierwszy raz wyruszała na wojnę, a nawet lepiej. Tym razem jechała obok Ciana — ubranego w nowy płaszcz w czerwono-czarną kratę, gęsto utkanego z wełny niedużych owiec Gwyneddu, które przemierzały góry zachodniej Walii od czasów Rzymian — mając za sobą swoich czterech gesithów. Z tyłu na drugim wozie jechała Gwladus, nie Onnena, ze wszystkim, czego Hilda mogłaby potrzebować w trakcie dwutygodniowej podróży. Chociaż raz nie musiała spać na twardej ziemi owinięta w płaszcz, z ręką na seaksie. Nie musiała dzielić łóżka z matką ani śnić gorzkich snów. Nie musiała nawet spędzać każdej chwili w strachu przed królem: Edwin i Paulin pograżyli się w jakimś swoim planie, co do którego nie pytali jej o radę. Co prawda mogła się domyślać, czego dotyczy. Edwin chciał przekonać do siebie Anglów z Elmetu bez rozlewu krwi; chciał zostać uznany za prawowitego dziedzica, a nie mordercę i uzurpatora. Paulin chciał wpędzić wszystkich księży wealh do rzeki. Hilda wyraźnie była królowi do czegoś potrzebna, bo inaczej nie znalazłaby się w oddziale, ale na razie cieszyła się podróżą.

Zwykle wozy jechały starą rzymską drogą do Aberfordu i Berewithu, dokąd po śmierci Hererica wyruszył na spotkanie angielskich najeźdźców Edwina Ceredig ze swoimi Loidami, lecz potem uciekł do niefortunnego schronienia w Craven. Po naradzie z Paulinem Edwin jednak rozkazał, by oddział skręcił na zachód leśną drogą do Caer Loid Coit, dworu Cerediga w sercu Elmetu nad wielką rzeką Aire.

Niekończący się deszcz zmienił ledwie zaznaczony szlak w mlaskającą mieszaninę błota i liści oblepiających koła. Poganiacze klęli, woły ciągnęły z całych sił, osie trzeszczały — dwie pękły, ale otaczał ich wiązowy las, więc łatwo było je wymienić.

Wiązowy las miał dziwny wpływ na Hildę. Oddychała szybciej, przerywała w pół słowa i nasłuchiwała mimo kapania deszczu i parskania zwierząt. Może chodziło o to, że przy jej koniu nie biegły żadne dzieci, krzycząc i prosząc o jabłko, kawałek chleba, pasztecik z mięsem; na ich spotkanie nie został wysłany żaden pełen niepokoju miejscowy wielmoża czy też jego pani, by zadbać o wygodę króla.

Nie widzieli żadnych wealh — Loidów, napomniała się Hilda. Zanim królewski oddział przeciął ledwie widoczny szlak prowadzący do jakiejś leśnej osady, jej mieszkańcy znikali, a wraz z nimi ich świnie, psy i żelazne garnki. Widywali Angłów. Trzy razy przecinali wielkie polany z solidnymi domostwami pośrodku, zbyt skromnymi, by nazwać je dworami, otoczonymi zabudowaniami gospodarczymi z porządnie ułożonym drewnem na opał, kozami na postronkach, świniami w zagrodach i czujnymi gospodarzami i ich synami, którzy opierali się na włóczniach i skłaniali głowy przed królewskim sztandarem, trochę żałosnym, ociekającym wodą.

Kiedy po raz pierwszy mijali takie gospodarstwo, Paulin skinął na swoich księży i skręcił koniem ze ścieżki, wyraźnie zamierzając zmusić mieszkańców do ukłęknięcia przed jego Bogiem. Edwin jednak pokręcił głową. Za drugim razem usłyszeli beczenie owcy, ale nie widzieli żadnych zwierząt.

— Panie, oni ukrywają swoje bogactwa — rzekł Wrona, lecz Edwin znowu gestem nakazał mu zostać przy wozach.

— To są dumni Anglowie. Zmusimy ich do posłuszeństwa, ale jeszcze nie teraz.

Na następnym postoju — kolejny wóz ugrzązł w błocie — Edwin posłał po Ciana. Razem z nim podjechała Hilda.

— Piękny płaszcz, chłopcze.

— Dar od Gwyneddu, królu.

— Płaszcz wealh, kolorowy i krzykliwy.

— Tak, królu.

— Nie zaszkoziłoby, gdybyś jechał nieco przed wozami. Dopilnuj, żeby widziano ciebie i twój krzykliwy płaszcz. Trzymaj dziewczkę u swego boku.

Hilda i Cian wyjechali pomiędzy drzew na szczycie wzniesienia i spojrzeli w dół na Caer Loid Coit.

Pamiętała — zarówno ze snu i pieśni, jak i z życia — trawiaste zbocze z zadbaną szeroką drogą prowadzącą do potężnego tarninowego żywoplotu i drewnianej bramy, wokół których jakiś dawny król wznosił najeżony kamieniami wał i wykopał rów, a te z kolei wraz z przemijaniem pokoleń stopniowo nabrały obłych zarysów i pozieleniały. Wtedy brama w ciągu dnia stała otworem; spod okapu zbudowanej z drewna i kamienia halli unosił się niebieski torfowy dym, a ludzie krzątali się wokół swoich spraw: gęsiarka z leszczynową witką, dojarka o czerwonych dłoniach; Hilda nie pamiętała ich od lat — starzec w skórzanym fartuchu, który latem ostrzył sierpy, a jesienią rzeźnicze noże. Czowała dawny zapach prażonego słodu, kwaśnego zacieru i dolatujący z rosnących ku północnemu zachodowi sadów aromat jabłek. Za jabłoniami i śliwami stał kamienny kościółek. Niechlujny ksiądz i jego żona piekli najgorsze słodkie podpłomyki w całym Elmecie, ale zawsze byli gotowi zażegnywać spory między ludźmi nie dość możnymi, by sądził ich król. Na południowy wschód od osady leżał leszczynowy las i jesionowy zagajnik, a dalej wiązowy las pełen kawek. Za wszystkim płynęła szeroka i powolna Aire. Jej dalszy stromy brzeg okrywał złotem i brązem wznoszący się wysoko jak okiem sięgnąć wielki mieszany las dębów i wiązów, od których kraina ta wzięła swoją nazwę¹.

Rzeka wciąż znajdowała się na swoim miejscu, a za nią dęby i wiązy — przez tę wczesną jesień listowie było rzadsze niż powinno — lecz nie było dymu, ludzi ani

żadnych odgłosów oprócz kapania deszczu i szumu rzeki.

Wierzchowiec Ciana postąpił w bok. Cygnet tylko odwróciła głowę, na co pozwoliły jej luźne wodze, i wybałuszyła oko, starając się zobaczyć, co denerwuje Hildę.

Królewskie domostwo Cerediga leżało ciemne, zniszczone i porzucone: brama została wyłamana, dachy się zapadły, zagajnik zdziczał. Niegdyś mocno ubitą ziemię zagrody i ścieżki porosły zarośla, a przez rozpadający się wiklinowy płot zagrody dla gęsi przebijały się nagie drzewka. Nad szczytem dalekiego wzniesienia krążył myszołów, błyskając jasnym brzuchem na tle ciemnej chmury. Krzyknął dwa razy ki-wik, ki-wik, przeciął rzekę, wznosił się nad płataniną gałęzi, która niegdyś była zadbanymi rzędami jabłoni i śliw, i zniknął.

Na wzniesieniu za nimi rozległy się uderzenia kopyt: Edwin, Paulin, chorąży, Coelfrith, Osric.

— Zburzimy tę hallę i zbudujemy lepszą — odezwał się Edwin.

Angielskie słowa były chropawe i wydawały się Hildzie obce.

Zburzyli wszystko: zwalili wszystkie kamienie, wszystkie bramy, wszystkie krzywo leżące belki po bliższej stronie rzeki.

Ludzie Edwina i księża Wrony ruszyli między drzewa, do domów wealh, do których właśnie wróciły świny i niczego niepodejrzewający właściciele, spędzili wszystkich silnych i zdrowych mężczyzn, kobiety i dzieci z tasakami z pazurem, motykami i pobijakami do zrujnowanego gospodarstwa. Przez następne dwa tygodnie słońce wychodziło zza chmur i wczesna jesień cofnęła się do późnego lata, a Osric nadzorował wycinkę wszystkich — prócz jednego — drzew w promieniu pięciuset kroków od rowu — wszystkich wysokich wiązów, wszystkich rozłożystych dębów, co sprawiało, że w niebo wlatywały chmury skrzeczących gawronów i kawek. Wycięli nawet sad, chociaż przy cierpliwym przycinaniu wiele drzew mogłoby się odrodzić. Paulin uparł się, żeby rozebrać kościółek kamień po kamieniu, chociaż wealh trzeba było do tego zachęcać ościeniami do poganiania wołów. Pięknie rzeźbioną chrzcielnicę i ołtarz kazał umieścić na wozie.

Na widok karczowanego i palonego żywopłotu Cian potarł wargę kłykiem i odwrócił się. Hilda przełożyła kij do lewej ręki, a prawą sięgnęła pod płaszcz Ciana i pociągnęła go za pas, jak robiła to dawno temu. Poszli nad rzekę.

— Te korzenie zostały posadzone w czasach Coela Hena — powiedział po brytyjsku.

— Rozrosły się w czasach Eliffera o Wielkim Wojsku — dodała Hilda w elegijnym rytmie.

— I nabrały mocy, kiedy urodzili się książęta, Gwyrgi i Peredur. „Amen”, powiedziałby ksiądz, a bard: „Biada!”

— Mój lud — rzekł Cian.

Nad rzeką gesithowie rzucali kamieniami w korzenie samotnej wierzby, gdzie jeden z nich dostrzegł cień ryby. Hilda wiedziała, że to kleń albo okoń. Nagle poczuła wspomnienie gorącego słońca na plecach, kiedy razem z Cianem kucali nad rowem i pod czujnym okiem Onneny łowili kijanki, chociaż może to też stanowiło część jakiejś pieśni, którą sobie przywłaszczyła.

Odwrócili się i poszli brzegiem na południe. Po chwili znaleźli się wśród wiązów. Pamiętała dotyk mchu na policzku, stado kawek wołających „Wracać do domu! Do domu!”, odległy klangor dzikich gęsi. Wydawało się, że coś jej w środku pęknie i się rozleje.

— Mój lud — powtórzył Cian. — Pożywienie dla wilków, pożywienie dla kruków. Pokręciła głową, usiłując pochwycić i przytrzymać własne wspomnienie.

— Nie są martwi?

Znowu pokręciła głową; jej pamięć wśliznęła się pomiędzy cętkowane cienie rzucane przez sny i pieśń.

— To gdzie są?

Myślała o ludziach Starej Północy, o książętach w zbrojach jak z rybiej łuski dzierżących lśniące miecze i mówiących głosami przesiąkniętymi miodem. Wspaniali, aroganccy polegli. Nie ci zapchleni, oblepieni brudem Loidowie, poganiani biczem przez Osrica. Chciała wyjaśnić, ale musiała się trzymać wspomnienia, które zapadało w głębię — i podążając za nim, znowu miała trzy lata. Uniosła skraj jego nowego płaszcza — tego, który, gdyby nie był czerwono-czarny, mógłby być duplikatem płaszcza posłańca Cadfana, Marro — i potrząsała nim.

Z początku nie zrozumiał, ale ona pokazywała na Loidów i potrząsała płaszczem. Wreszcie pojął.

— To nie jest mój lud! — powiedział w języku Anglów.

Wspomnienie odplynęło głębiej, niż Hilda mogła za nim podążyć.

Odetchnęła ostrożnie, jakby nienawykła do powietrza.

— No to czyj?

Loidowie siedzieli w grupkach wokół małych ognisk, skuleni w nędznym przyodziewku, jaki zdołali chwycić, kiedy zgarnęli ich ludzie Wrony.

Hilda przykucnęła przy kobiecie, która jej kogoś przypominała — może Guenmonę, kogoś rozsądnego — i skinęła ręką na Gwladus, żeby zbliżyła się z koszykiem.

— Chleb — powiedziała po brytyjsku do kobiety. — I twarde ser. Dopilnujesz, żeby zostały rozdzielone?

Kobieta spojrzała na nią.

— Tak. Twoje imię, pani?

— Hilda.

Kobieta skinęła głową.

— Taka wysoka. Jak twój tata.

— Znałaś go?

Kobieta roześmiała się. Hildę zdumiał ten śmiech. Nie brzmiała w nim gorycz, nie był to śmiech kobiety wyrwanej z domu i poganianej jak koza, lecz śmiech jak wiosna, śmiech młodej dziewczyny.

— Znać angielskiego króla na wygnaniu! — Dwoje innych Loidów podniosło wzrok, chociaż byli tak skuleni i brudni, a płomień ogniska tak się chwiały, że Hilda rozpoznawała w nich ludzi tylko po zapachu. — Nie, pisklaczku, patrzyłam, jak przejeżdża obok moich gęsi, w tej swojej pięknej kolczudze i grubym błękitnym płaszczu,

i kiedyś uśmiechnął się do mnie, a ja uśmiechnęłam się do niego zalotnie i miałam takie głupie marzenie, że pewnego dnia zsiądzie z konia i powie: „Lweriaddo, oto prezent dla ciebie i pocałunek”.

— Jesteś gęsiarką!

— Tak, kiedyś nią byłam.

— Nie wiedziałam, jak masz na imię.

Gwladus parsknęła. Lweriadda. Wyniosłe imię jak na kogoś owiniętego w tkaninę na worki: Lweriadda, córka Belenosa, boga słońca; Lweriadda, matka Beliego Mawra.

— Lweriaddo z Loidów, smacznego.

— Będziemy potrzebować więcej chleba i sera. I koców. Albo przynajmniej czasu i narzędzi do wybudowania schronienia. — Pokazała kciukiem na chmury przysłaniające księżyc: cienkie, lecz ciemne, ciemnoniebieskie — każda kobieta zrobiłaby wszystko, byle tylko uzyskać taki kolor ze swoich barwników — zapowiadające deszcz. — Powiedz to temu tanowi z biczem.

— Dopilnuję, byście je dostali. W razie czego pytaj o mnie albo o tę tu Gwladus.

— Albo o to wspaniałe paniątko w brytyjskim płaszczu, z którym się przechadzasz?

Wealh, nawet zmęczeni i głodni wealh — a zwłaszcza zmęczeni i głodni wealh — zauważają wszystko. Hilda skinęła głową.

— Cian, syn Onneny.

— Aha.

Podczas gdy Loidowie mozolili się nad Aire, Edwin siedział ze swoimi doradcami pod jedynym pozostawionym dębem. Jego ludzie wykonali tam prowizoryczne schronienie: dach z trzciny, z tyłu jedna porządna ściana i malowane skórzane zasłony po bokach. Po prawej ręce miał sztandar, po lewej swojego scopa, a wokół kosza z węglami zgromadził się jego wędrowny dwór. Większość przysiadła na trójnogich stołkach — jeśli ich służący wzięli je ze sobą; niektórzy stali.

— Roześlij ludzi do wszystkich gospodarstw i osad w Elmecie — powiedział Edwin do Osrica. — Powiedz Anglom, żeby na pełnię księżyca przysłali tych, którzy mogą mówić w ich imieniu.

— Stawią się. — Osric poklepał bicz, który miał u pasa. — Jeśli droga im własna skóra.

Jego ludzie się roześmiali.

— To są Anglowie, kuzynie, nie wealh. Wystarczy perswazja. Obiecuj im miód. Wątpię, czy mają w domu coś oprócz piwa i mleka. Miód i mięso.

— I pieśni — rzekła Hilda.

Jej stołek miał brązowo-nagietkową poduszkę.

Scop się dumnie napuszył.

Edwin uśmiechnął się do Osrica na znak, że z nim skończył, i zwrócił się do Coelfritha.

— Ucztą zajmie się Pyr. Dla ciebie mam inne zadanie.

Gdyby Gwynedd sprzymierzył się z Mercją, wielmoże Elmetu i ich włócznicy stanowiliby pierwszą ścianę z tarcz, jego bufor. Lecz wielmoże to tylko plon krainy. Żeby

poznać samą krainę, trzeba poznać pola, z których się zrodził. Trzeba poznać życie pomniejszych ludzi.

Kiedy Coelfrith skłonił się i odszedł, Hilda poszła za nim. Był kilkanaście lat starszy od niej, lecz ostatnio na jego twarzy pojawiał się wyraz zatroskania, jaki gościł na twarzy jego ojca, zanim został mianowany ealdormanem Lindsey.

— Będziesz potrzebował do tego ludzi, którzy dobrze się zachowują — powiedziała. — Wiem, kto się nada. Będziesz potrzebował przewodników; znajdę ich. Ale pojedę z tobą.

Coelfrith zgodził się.

— O świcie.

Hilda poszła szukać Lweriaddy. Znalazła ją z młodą dziewczyną i młokosem z posiniaczonym ramieniem, z którymi toczyła obrobiony kawał pnia wiązu do rowu stanowiącego załążek nowej halli.

— Król chce zrobić przegląd Elmetu, jego mocnych i zrujnowanych twierdz, ugorów i uprawianej ziemi.

Lweriadda wyprostowała się.

— Dlaczego miałyby mnie obchodzić zamiary króla?

Młoda dziewczyna splunęła. Młokos wydlubał drzazgę z opuszki kciuka, ale po tym, jak przechylił głowę, Hilda poznała, że słucha. Podbródek miał podobny do podbródka Lweriaddy, a siniec wyglądał jak ślad po ościeniu.

— Król to nie Osric Smagacz. My należymy do króla. Potrzebujemy zaufanych przewodników.

— My?

— Proszę o to ja. Hilda, córka Hererica, przyjaciela ostatniego króla Loidów. A także Cian Krzykliwy Płaszcz, który pierwszy miecz otrzymał od króla Cerediga. — Skinęła głową w stronę młokosa. — I może przewodnik będzie miał mniej kłopotów niż chłopak, który toczy kłody.

Zbrali się o świcie w białej rzecznej mgle: Coelfrith, Hilda, Cian, Eadric, Grimhun, który mimo że nie miał talentu do gry na lirze, znał się na fortyfikacjach, oraz bracia Berhtowie z pochodniami płamiącymi mgłę upiorną czerwienią. Gwladus miała zostać nad rzeką i pod nieobecność Hildy być jej oczami i uszami.

Z kłębu mgły wyłonił się młokos z połatanym płaszczem przywiązany do ramion rozmaitymi sznurkami i z woreczkiem wielkości pięści u pasa zrobionego z kawałka liny. Siniec na jego ręce zrobił się z czerwonego fioletowy. Zatrzymał się przy Hildzie i dotknął pięścią swojej piersi.

— Morud ap Addoc.

— To jest Morud, syn Addoka, polecony mi przedstawiciel ludu Loidów — przedstawiła go Coelfrithowi Hilda, a potem poprawiła płaszcz i powiedziała po brytyjsku do Moruda: — Wiesz, co chcemy zobaczyć?

Pochylenie głowy.

— Na pewno najpierw twarde krawędzie. Berewith i Aberford.

— Berewith — zdecydowała.

Morud ruszył truchtem, nie interesując się, w jakim porządku pojedą za nim.

W Berewith Grimhun pokręcił głową, nie zsiadając z konia.

— Jeden dobry deszcz i w tym miejscu woda przerwie wał. Wasz fort znajdzie się w błocie po kolana.

Berhtnoth oparł stopę na kłębie swojego wierzchowca i podrapał się w lewy pośladek.

— To dlaczego ich król tu przybył, skoro fort jest taki bezużyteczny?

Hilda patrzyła na Moruda.

— Opowiedz nam tę historię, Morudzie ap Addoku, po drodze do Aberfordu. Opowiedz nam o ostatnich chwilach króla Cerediga w Elmecie. Czy on uciekał?

— Nie! Ciągnął ze swoim zbrojnym oddziałem, dumny i sprawiedliwy...

Hilda uśmiechnęła się do siebie. Teraz na chwilę się rozmarza, poczują się gesithami, pogrążeni w błyskach zachodzącego słońca na pozłacanej zbroi, walecznym trzepocie sztandarów, dumnym kroku wierzchowca. Marsz w blasku księżyca. Anglowie nawet nie rozumieli słów, lecz znali rytm. A Cian, który znał tę pieśń, przepadnie na długo.

Ceredig nie dotarł do swojej ostatniej reduty w Aberfordzie. Nie taka była jego wyrd.

Grimhun zakochał się w Aberfordzie, w głębokim i wąskim potoku, w prostej drodze z solidnym mostem.

— Spójrzcie tylko! — zawołał. — Przejść można tylko przez most. A te mury! Jak wysoki jest brzeg? Pewnie osiem kroków. Jest nawet... Tak. — Pokazał na wąski rów. — Tylko czeka na palisadę. Chociaż nie mieli czasu. — Zeskoczył z konia, który natychmiast zaczął skubać trawę. — Brzegi, rowy, potok, kamienna droga... — Pochylił się, naciął ziemię, wyrwał kępę darni i roztałł palcami grudkę ziemi. — Mógłbym użyć tego do budowy. — Wytarł seax o tunikę i zwrócił się do Coelfritha: — Z dwudziestką ludzi mógłbym uczynić to miejsce bardziej niedostępnym niż dziewczyńska... — Zaczerwienił się i schował seax do pochwy, nie patrząc na Hildę. — Mógłbym je uczynić niedostępnym.

Coelfrith zsiadł z konia i też wykopał kawałek darni. Powąchał palce. Hilda czuła ten zapach z siodła: dobra ziemia, żyzna, dobrze nawodniona.

— Ile czasu byś potrzebował?

— Żeby można było opóźnić armię? Miesiąc. Powiedzmy do pełni po najbliższej pełni.

— A jak szybko mógłbyś umocnić to miejsce na tyle, żeby odeprzeć atak pijanych włościan?

Na wypadek, gdyby Edwin nie zdołał przekonać ich miłymi słowami i mocnym alkoholem.

— Potrzebowalibyśmy toporów, łopat, lin...

— Mogę je tu sprowadzić pojutrze.

Grimhun odwrócił się powoli i zmrużył oczy.

— A ludzi?

— Przyprawdzą ich z narzędziami.

— Będę potrzebował dwunastu dobrze odżywionych. — Coelfrith skinął głową. —

A zatem będę potrzebował siedmiu dni.

Zjedli, siedząc na płaszczach na południowym zboczu Brzegu Becca.

— Cieszę się, że wyjechaliśmy z tego lasu — powiedział Berhtnoth. — Kap, kap, kap.

— Nie zawsze tak jest — rzekł Cian.

— Nie, czasami pada śnieg — stwierdził Berhtred.

Cian rzucił w niego kawałkiem darni.

Rozmawiali o niezwyklej pogodzie: o wczesnie opadłych liściach, o nieoczekiwanym słońcu.

— Najpierw będziemy potrzebowali jakiegoś schronienia — powiedział Grimhun.

— Nie będzie ciepło, kiedy zajdzie słońce, a wiem, że jesteście delikatni jak dziewczęta.

Morud zerknął na Hildę, lecz ona przyzwyczała się, że gesithowie zapominają, iż jest kobietą. Pamiętali o tym, kiedy było im wygodnie.

Później poszła razem z Coelfrithem na wschód wzdłuż północnego brzegu bystrego potoku, rzucając przed sobą długi cień. Równoległe do wody biegł ciągnący się na trzy staje grzbiet Brzegu Becca. Rów był miejscami wykuty w skale, która została wykorzystana do umocnienia północnego zbocza brzegu. Wdrapali się na szczyt wzniesienia.

Coelfrith pokazał na południowy brzeg i jeszcze jeden rów, niemal takiej samej długości biegnący wzdłuż potoku około pięćdziesięciu kroków.

— To kanał.

— Jak przepławka dla ryb — powiedziała Hilda.

Wroga armia, która zeszlaby z drogi, by skierować się na zachód, do serca królestwa, została okrażona, schwytała pomiędzy tymi dwoma liniami i wycięta w pień.

Hilda przykucnęła i położyła dłoń na kamieniu, patrząc w dół na pędzącą wodę. Niczego niepodświadomie wrogów oddział byłby zaskoczony nadlatującymi włóczniami. Wojownicy próbowaliby przekroczyć potok, żeby uciec. Potopiliby się. Gdyby Ceredig wyruszył pół dnia wcześniej, miałby czas dotrzeć do Aberfordu, nawet bez palisady. Gdyby Edwin nie ukradł mu tego wymarszu. Gdyby jej ojciec nie został otruty jak pies.

Małe ognisko grzało. W jasnym świetle białego księżyca było widać szereg palików i blade lśnienie łopaty Cygnet, kiedy klacz się poruszała.

Grimhun opowiadał o żeglarzu z zaginionej krainy na zachodzie. Nie umiał grać na lirze, ale miał dobry głos do recytowania: wołanie samotnej mewy, chlupot wody o burtę dryfującej we mgle, pozbawionej steru łodzi. Bracia Berhtowie recytowali fragmenty o fokach. Coelfrith wpatrywał się w ogień z twarzą zastygłą w wyrazie troski. Eadric drzemał. Morud słuchał — Hilda była pewna, że dobrze rozumiał mowę Anglów — a Cian strugał kawałek drewna, co pewien czas przechylając go w stronę ognia albo księżyca.

Hilda obserwowała delikatne ruchy jego nadgarstka. Lśniły pierścienie Ciana. Włoski na jego palcach błyszczały to jak druciki z brązu, to jak srebrne nitki. Raz tak, raz tak. Cian bardzo starannie wycinał i przycinał drewno swoim małym nożykiem. Było twarde i poskręcane. Hilda pomyślała, że to jakiś stary korzeń. Strużyny wydawały się

czarne.

Dzień wstawał chłodny. Słońce jeszcze nie wzeszło, a Coelfrith i Eadric już wyruszyli z powrotem do Caer Loid. Nim zniknęli w dali, Hilda przywołała Moruda i Ciana.

Na północnym zachodzie, między centralną częścią Elmetu i rzeką Wharfe, leżał Whinmoor. Samotna kraina, powiedział Morud, zamieszкана tylko przez zające, kuropatwy i sokoły wędrowne oraz dzikich ludzi, których nikt nie chciał mieć u siebie.

Pojechali więc na południowy wschód wzdłuż niskiej wapiennej skarpy, tworzącej wschodnią granicę ziem Loidów. Gleba była dobrze osuszona, piaszczysto-ilasta, poprzecinana potokami i strumykami. Bogata kraina. Wszędzie na łagodnych zielonych stokach widzieli owce jak strzępki brudnych chmur, ale za każdym razem zanim zdolali się zbliżyć, pasterze przeprowadzali stada dalej. Błyski słońca na ich pierścieniach, uprzężach i rękojeściach mieczy były widoczne na wiele mil.

W pierwszym angielskim gospodarstwie przyjęli poczęstunek zaproponowany przez gospodarza — piwo i chleb. Cian rozmawiał z mężczyzną i jego synem — pięcioletkiem, który nie odrywał oczu od kolczugi i miecza. Kiedy kobieta i jej córka przyniosły trzy skórzane kubki, Hilda skinęła ręką na zaskoczonego Moruda, żeby też się napił. Zjedli pod ogromnym wiązem na południowym skraju niewielkiego zagajnika. Cian podziękował gospodarzom — Ceadwulfowi i jego żonie, Saxfrycie — i powiedział im, że król Edwin zatrzymał się nad rzeką Aire, gdzie odbudowuje hallę Cerediga, i że chciałby ich tam powitać w noc pełni księżyca.

— Uczta! — wykrzyknął chłopiec.

— Uczta — potwierdził Cian. — Z mięsem, miodem i pieśnią scopa.

— Chociaż wątpię, by królewskie piwo dorównało temu — rzekła Hilda, uśmiechając się do gospodyni. W rzeczywistości piwo było słabe, lecz Saxfrytha uroczo się zarumieniła, słysząc pochwałę z ust kobiety ubranej w królewski błękit i mającej na sobie więcej złota, niż sądziła, że może go być na świecie. — A to jest pięknie utkany i ufarbowany materiał.

Saxfrytha z dumą wygładziła swoją wierzchnią suknię.

— Nie ma porównania z twoim, pani.

Rzeczywiście, suknia Hildy o skośnym splocie miała głęboki królewski kolor niebieskiego popołudniowego nieba, a przy szyi, mankietach i na dole była wykończona szkarłatno-złotym wzorem. Dziewczyna widziała, jak Saxfrytha przenosi wzrok z jej ubrania na błyszczące ogłowia koni, na pierścienie gości oraz maleńkie agaty wszyte w jej welon i jak do gospodyni powoli dociera ogrom bogactwa przed jej oczami. Zesztywniała na swoim trójnogim stołku.

— Spójrz na mnie, Saxfrytho. — Kobieta powoli uniosła głowę. — Jestem Hilda, córka Hererica.

Zdjęła z małego palca pierścień z żółtym kamieniem i wyciągnęła go w stronę Saxfrythy.

— Pani!

— Weź go. — Kobieta posłuchała. — Przymierz.

Pasował na palec serdeczny prawej dłoni. Poruszyła nim lekko, by rozbłysnął

w słońcu, a potem położyła dłoń na kolanach i osłoniła ją drugą ręką.

— Twoi mężczyźni przyjdą do Caer Loid Coit. Wszyscy mężczyźni, którzy mają włócznie, przyjdą przed pełnią. Pokażesz ten pierścień, a ja dopilnuję, by król Edwin dowiedział się o gościnności, jaka tu dzisiaj spotkała jego bratanicę i jasnowidzącą.

Jechali w lekkim deszczu przez jakieś jedenaście łąnów oczyszczonej ziemi otoczonej przez dęby i wiązy. Dwie kozy i kozłę, które objadały chwasty przy drodze, uniosły głowy, nie przerywając przeżuwania. Z osobnego pastwiska otoczonego kamiennym murkiem spojrział na nich wrogo byk, muskularne, ciemnobrązowe zwierzę lśniące w deszczu jak foka. Za pastwiskiem stał duży chlew z korytem wyciosanym z wiązu na wpół wypełnionym wodą. Świnie zapewne ryły w lesie w poszukiwaniu wczesnych żołądzi i wiązowych orzeszków.

Zaczęli się pojawiać ludzie: mężczyźni wysocy, kobiety pulchne, a wszędzie wealhi i Anglowie pracowali ramię w ramię, obuci w mocne buty i odziani w ubrania z porządnej tkaniny o płóciennym splocie, przepasani dobrymi, mocnymi pasami ze skóry. Deszcz był tak łagodny, że większość nie zakładała kapturów. Unosiła się tu atmosfera pokoju i dobrobytu.

Marud poprowadził ich przez rzymski mostek zbudowany ze starannie przyciętych wapiennych głazów. Minęli mocno wydeptany szlak prowadzący do lasu — było to wyraźnie coś więcej niż ścieżka drwała — i po chwili zastanowienia Hilda przywołała chłopaka.

— Pobiegnij tą dróżką. Znajdź księdza albo jego żonę. Powiedz im, żeby nie zważając na deszcz, na kilka tygodni ukryli się w lesie i żeby wzięli ze sobą cenne rzeczy. Jeśli mają nadzieję wrócić, to powinni zakopać ołtarz.

Nawet Wrona nie rozbiłby świętego kamienia swojego Chrystusa, ale zabrałby go i wtedy ksiądz z Loid nie miałby do czego wracać i nie miałby z czego żyć.

Dwa dni później w Aberfordzie deszcz przypominał szklane prety łączące ziemię z żelazną pokrywą nieba, i to Cian i Hilda zbierali wodze, by wracać do króla, a przemoczony Coelfrith stał przy jej kolanie. Tym razem rowy oczyszczało i brzegi poprawiało więcej niż dwudziestu mężczyzn; nawet kilku chłopców nosiło wodę, a garstka kobiet rozpałała ogień na paleniskach pod prowizorycznymi zadaszeniami.

— Powiem królowi, że wrócisz na pełnię — powiedziała Hilda.

— Wcześniej.

Mocniej owinął się płaszczem i spojrział przez strugi deszczu na wschód.

— Coelfrith.

— Hm?

— Pozwól miejscowym wykonywać ich pracę. Mają mój znak. Mają wełnę do gręplowania i zboże do wymłócenia, świnie do nakarmienia i drewno do zebrania.

— Król chce, żeby Aberford...

— Król chce, żeby mieszkańcy Elmetu przyszli spokojnie jak konie do wyciągniętej ręki. Pozwól im wykonywać ich pracę.

Skinęła głową Morudowi, który schronił się pod jednym z daszków przed największym deszczem. Narzucił kaptur na głowę — nie wiedziała, kiedy go zdobył — i wyszedł na ulewę. Cygnet parsknęła. Hilda poklepała ją po szyi.

— Nie martw się tak — rzekła do Coelfritha. — Grimhun wywiąże się z obietnicy. Powiem królowi, że panujesz nad Aberfordem.

W miarę jak posuwali się na zachód, deszcz słabł. Kiedy przecięli Ptasią Groblę, niebo było podarte na niebieskie, szare i ciemnoszare chmury; jasnoszare strzępy pędziły w jedną stronę, ciemne w drugą, a słońce pojawiała się jak dziecko, które wyskakuje zza drzewa i zaraz ucieka. Hilda odrzuciła z ramion ciężki płaszcz. Świat pachniał jak świeżo zaorane pole: żyzne, tajemnicze, czekające. Hilda chciała krzyczeć albo galopować.

Z lasu porastającego niskie wzgórza tuż na północ od ich drogi poderwała się nagle wielka chmura ptactwa. Cygnet nadstawiła uszu, a Hilda nagle, gwałtownie zapragnęła dowiedzieć się, jaki jastrząb je spłoszył i jaka leży pod nimi ziemia.

Morud też popatrzył w niebo.

— Zanim dotrzemy do Caer Loid, znowu się rozpada.

— Tak. Ale my nie jedziemy do Caer Loid. — Pokazała na kłębiące się ptaki, gawrony, sójki wznoszące się jak dym i kilka dzwońców, które lśniły w przeblaskach słońca jak ziarna wysypujące się z dłoni siewcy, i roześmiała się. — Jedziemy tam!

Puściła Cygnet cwałem i po chwili usłyszała, że Cian cwałuje za nią, a dalej Morud. Wszyscy się śmiali.

Dotarwszy do drzew, Hilda zwolniła do galopu i pochyliła się nisko nad szyją Cygnet. Dęby, jesiony, głogi, czereśnie tworzyły jedną płataninę. A potem grab, skrecony nisko nad potokiem; Hilda ścisnęła Cygnet łydkami, klacz przeskoczyła na drugą stronę i pogalopowała dalej. Uderzenia jej kopyt były szybkie i równe jak bicie serca Hildy.

Ich odgłos stał się bardziej miękki — ziemia zrobiła się wilgotna — i nagle wypadły w niewielką dolinę obok ogłowionego, grubego i sękatego dębu. Hilda ściągnęła wodze i stępem objechała dąb. Dyszała tak samo jak jej klacz.

Drzewo zostało ogłowione bardzo dawno temu. Było tak stare jak drzewo łączące losy trzech królestw. Tchnęło atmosferą wyrd. Jej wyrd.

Spojrzała ku północy wzdłuż krętego układu, na który składały się strumień, mokradło i staw. Przyglądając się uważniej, dostrzegła gęstwinę starych ogłowionych wierzb oraz ukryty pod mchem i paprociami zarys prostego brzegu kanału biegnącego pod kątem do strumienia.

Spomiędzy drzew wyjechał kłusem wałach Ciana, obok którego biegł swobodnie Morud.

— Mogę się założyć, że kiedyś to była młynówka — powiedziała Hilda, pokazując ręką.

Kiedyś to był czyjś dom.

— Tutaj? — zapytał Cian. — Dlaczego? To jest mokradło.

— Nie zawsze tak było — odezwał się Morud. — A przynajmniej tak powiadają. — Hilda zachęciła go gestem, by mówił dalej. — Powiadają, że dawno temu, jeszcze zanim Coel Hen został królem, kiedy doliną władali Rzymianie, padało latem, padało jesienią i padało całą zimę. Ludzie utyskiwali, ale nie mogli opuścić ziemi, bo nie należała do nich. Nie mieli dokąd pójść, bo wszystko było własnością Rzymian. A woda się podnosiła. Pola zmieniły się w mokradła i owce wycofały się na wzgórze. Kopyta wołów gniły, ale nie zostały już żadne pola, które można było orać, więc zabito woły. Miejsce

owiec zajęły kaczki i czaple. Potem Rzymianie odeszli, a za nimi ludzie, którzy chcieli znaleźć jakieś mniej wilgotne miejsce.

— Te ptaki nie uciekały przed czapłą. Spójrzcie. — Hilda wskazała na dąb i na rosnące wokół jego korzeni paprocie. — I tutaj. — Pokazała na strumień płynący ze wschodu na zachód i rosnące nad wodą młode drzewka i pokrzywy. — I tam. — Skierowała wzrok na staw, który mógł kiedyś być stawem młyna. — Woda opada.

Cian ześliznął się z siodła. Zamlaskało mu pod nogami.

— Tu jest jej jeszcze dużo.

Na tle szumu potoku jego angielski brzmiał obco.

— To najbardziej deszczowa pora roku od wielu lat.

— To jest mokradło.

Nagle do doliny wlał się złoty słoneczny blask. Zalśniły pajęczyny. Plusnęła ryba. Hilda wiedziała, że na wiosnę pojawią się tu raki, żaby, traszki, piskorze i kaczki krzyżówki, że będą czaple i zimorodki, a na wzgórzach na północ od zalesionej mędy zające i jastrzębie. Od południa zakolu potoku towarzyszył grzbiet wzniesienia i Hilda wyobraziła sobie, że tam stoi, mając nad głową unoszące się na wietrze sokoły wędrownie. Wyobraziła sobie, że stoi tam zeszłego miesiąca z jaskółkami śmigającymi na południe ku słońcu, a potem w maju, kiedy wracają. Chciała zobaczyć potok na wiosnę, chciała zobaczyć, jak żabim jajom rosną ogonki, kijankom nóżki, a potem na brzeg wyskakują żabki. Chciała zobaczyć, jak spadają i kielkują żołądźce, chciała zobaczyć, jak świnię nabierają ciała, chciała tego wszystkiego, tutaj.

— Tu jest pięknie i chcę to mieć — powiedziała.

W Caer Loid było sucho i rzeško. Na królewską ucztę zaczęli przybywać gospodarze. Mężczyzna z dwoma synami, wszyscy z włóczniami, a mężczyzna miał dodatkowo mocną lipową tarczę i seax w pochwie z tłoczonej skóry. Ceadwulf i dwóch ceorłów oraz jego żona, Saxfrytha z pierścieniem Hildy na palcu, oraz ich syn. Z sadyby, której mieszkańcom Hilda poradziła ukryć księdza, czterech mężczyzn — jeden niższy i drobniejszy od pozostałych — z włóczniami. Dwóch braci przybyło z toporami, na palcach mieli pierścienie, a przy płaszczach brosze, na które nie zasłużyli raczej pracą na roli.

Coelfrith wrócił ledwie dwa dni wcześniej i był zajęty od wschodu do zachodu słońca. Wolałby, żeby nowo przybyłymi zajmował się Pyr, lecz Pyr był półwealh, a nie wiadomo było, co dumni przybysze mogą uznać za zniewagę, więc oddał Pyrowi nadzór nad myśliwymi i innymi grupami zajmującymi się zaopatrzeniem, a sam chodził po obozowisku i słuchał. Ten gospodarz chciał mieć ziemię w zakolu rzeki, lecz zajął ją jego sąsiad — ten, który był mu winien barana i jeszcze go nie spłacił. Tamten mężczyzna o czerwonej twarzy pokazywał na posiniaczonego chłopaka: ten zagłodzony wealh ukradł dwa bochenki i co oni teraz mają jeść? Co król zamierza z tym zrobić? Wielu żądało widzenia z królem — dlatego tu przybyli; to ich prawo.

Hilda chodziła z Coelfrithem. Obserwowała, uczyła się, czasami zatrzymywała na słówko, czasami przysyłała Moruda — który najwyraźniej się do niej przywiązał — z wiadomością, by gospodarz przyszedł później do jej wozu. Naradzała się z Coelfrithem nad tym, kogo można by zaprosić do przełamania się chlebem z królem, kto będzie

najlepiej pasował do innych w grupie, a kogo pominąć. Wszędzie pełno było księży Wrony; chodzili w towarzystwie ludzi Osrica i wypytywali gospodarzy, a następnie znosili informacje Wronie i Szczepanowi, który pisał, pisał i pisał.

Wieczorami Cian brał antałek piwa i szedł z Eadrikiem lub innym ogarem do ognisk nowo przybyłych, gdzie pił, przechwalał się i dowiadywał rzeczy, których nie zdołałaby się dowiedzieć Hilda. Tymczasem Hilda w towarzystwie Gwladus rozmawiała z Lweriaddą, z nieufną siostrą Moruda, Sintiadą, z Saxfrythą. Zostawiała im piwo albo ser. Czasami one dawały jej zawinięte w szmatkę owoce dzikiego bzu, grzyby albo ulęgałki.

Rano jadła z Cianem chleb w zimnym, czystym blasku słońca, siedząc na stołkach przy wozie.

Cian oderwał kolejny kawałek ze swojego bochenka i zgarnął trochę pasty z pięknie toczonej miseczki z wiązowego drewna stojącej na stole, który Gwladus wzięła wraz ze stołkami.

— Co to jest? Jest tego więcej?

— Tyle, ile widzisz. Przyniosła mi to w podzięcie Saxfrytha. Bardzo jej zależało na tym, żeby młody gesith w krzykliwym płaszczu wiedział, że to jej przepis: plasterki młodych purchawek smażone w gęsim tłuszczu, a następnie posiekane i zmieszane z masłem. Kiedy jej powiem, że ci smakowało, będzie chciała, żebyś ją odwiedził, a wtedy wypnie pierś jak gołąb, będzie obracać na palcu swój nowy pierścień, żeby lśnił w blasku ognia i powie ci, jaki jesteś wysoki, jaki długi masz miecz i jaki on jest ostry.

Gwladus, która właśnie przyniosła chleb i miseczkę z miodem, prychnęła.

Jedli powoli.

— Z Whinmoor przyszło dwóch bandytów — powiedział Cian.

— To ci z toporami?

— Właśnie oni. Powiedziałem Coelfrithowi. Mówi, że z rozkazu króla wszyscy mężczyźni mają zatrzymać broń do czasu dzisiejszej uczy.

Hilda zadała sobie pytanie, kto będzie tym nieszczęsnym gesithem, który dostąpi zaszczytu pilnowania kling z dala od picia i przechwałek.

— Widziałem dzisiaj miecz, który mógł tu przybyć z twoimi przodkami. Rękojeść miał jak ser ściśnięty męską dłonią.

Hilda wiedziała, o co mu chodzi; widziała takie miecze wiszące w blasku ognia i zdejmowane, kiedy scop śpiewał o dawnych czasach. Ich rękojeści miały wyraźne krawędzie, czasami były owinięte drutem, a zawsze miały imię i związaną z sobą listę martwych królów.

— A ja widziałam dzisiaj Loida z inkrustowaną włócznią — powiedziała Hilda. — Kropka i krzyż na ostrzu.

Znak Cerediga.

Cian podniósł głowę znad chleba z miodem.

— Człowiek króla?

— Może jego syn. Jeśli chcesz go zapytać, jest z Anglami z tej bogatej sadyby leżącej na zachód od gospodarstwa Saxfrythy. Obozują na południe od sadu czy raczej tego, co kiedyś było sadem.

W porze południowego posiłku Hilda zauważyła, że Cian siedzi z tym Loidem przy ognisku z wonnych pniaków jabłoni; słuchał, kiwał głową i zawzięcie rzeźbił swój korzeń, a Loid udawał, że atakuje tarczą. Za nimi niewolni wealh pilnowani przez ludzi Osrica pracowali przy budowie nowej halli króla.

Pod księżycem jasnym i białym jak wypolerowana kreda siedziało dziesięćkroć po dwudziestu mężczyzn i niemało kobiet. Powietrze było nieruchome i ostre, rzeka płynęła powoli. Między ludźmi i lasem huczały ogniska, odpędzając ciemność i nie pozwalając upiorom wyjść spomiędzy drzew.

Wysłuchali porywających pieśni scopa o palenisku i halli, o złocie i honorze i o losie człowieka. Pili dzban za dzbanem piwa z przyprawami i jedli woły, które przyciągnęły wozy z Goodmanham. Była to pierwsza wołowina, jaką większość z nich jadła od wielu lat. Dobrze czerwone mięso, od którego poczuli się jak bohaterowie.

Kiedy wstał lśniący od złota król, wielu zgromadzonym — owszem, opitym piwem i objedzonym jedzeniem, jakiego nie spożywali od niepamiętnych czasów — wydał się ucieleśnioną pieśnią, dawnym bohaterem, królem, którego warto słuchać. A kiedy służący króla roznosili wśród tłumu miód — miód! napitek wojowników! — scop deklamował królewski rodowód: Edwin syn Ælli, syna Yffiego, syna Wuscfrei, syna Wilgisla, syna Westerfalki, syna Sæfugla, syna Sæbalda, syna Segegeata, syna Swebdæga, syna Sigegara, syna Wædæga, syna Wodena. Syn królów, a stał pomiędzy nimi jak im równy. Aromat miodu wprowadził ich w dobry nastrój. Serca mocno im biły.

— Nigdy nie przegrałem żadnej bitwy — odezwał się głośno Edwin. — Mam dwóch silnych synów, a urodzi mi się ich jeszcze więcej. Klękają przede mną królowie Brytów, Sasów i Anglów. Tak jak mieszkańcy Lindsey możecie mnie teraz uważać za swojego pana. Przysięgam, że dzięki mnie będziecie mieli pełne spiżarnie, na waszych pastwiskach nie będą grasować Mercjanie, waszych pól nie będą palić bezlitośni Gwyneddowie. Stoję między wami i waszą krzywdą. Rozciągam nad wami płaszcz królewskiej sprawiedliwości, królewskiej pomsty, królewskiej ochrony. W zamian nie proszę o więcej niż przedtem. Właściwie poproszę o mniej, o tyle, ile zdoła znieść człowiek. Musicie mi to jednak dać bez ograniczeń i z dobrej woli. Wasi sąsiedzi będą odpowiedzialni za was, a wy za waszych sąsiadów. Dziesięcinę musicie płacić według uczciwej wagi, pięknie utkanym płótnem i zdrowymi wołami. Powąchajcie teraz miodu, mieszkańcy Elmetu. To dar od waszego króla. Przyjmiecie go? — Uniósł swój wielki puchar wysadzany klejnotami, puchar, z jakiego na pewno mógłby pić jakiś bóg. — Wypijecie ze mną, mieszkańcy Elmetu? Złożycie mi przysięgę?

Z piersi ucztujących wyrwał się ryk, słychać było okrzyki „Tak!” i „Król Edwin!”. Wypili, potem jeszcze raz, a scop i muzycy akompaniujący mu na bębnach i piszczałkach zagrali skoczną melodię.

Wielkie ogniska przygasty, a ludzie zgromadzili się grupkami wokół tych mniejszych. Gesithowie mieli własne ogniska blisko wozów, a wielu gospodarzy już spało, lecz około pół setki nie chciało jeszcze zakończyć wieczoru. Ktoś brzdąkał na starej lirze, usiłując zagrać melodię prośnej piosenki, ale wciąż się mylił.

Hilda siedziała z Gwladus, na wpół śpiąca, owinięta płaszczem, jak przez mgłę słysząc język Anglów z prawej, a Brytyjczyków z lewej. Pomyślała, że Cian i Morud są

gdzieś w pobliżu, ale nie wiedziała gdzie. Odpływała w sen, myśląc o grzbiecie tego wzniesienia nad doliną, o potoku, o stawie. Ten ogłowiony dąb na początku męne był pusty w środku...

Stopniowo zaczęła sobie uświadamiać, że słyszy rozmowę. Jakiś angielski głos mówił:

— Powiedział, że poprosi o mniej. Ale ten czarnowłosy ksiądz wciąż pytał: „Ile owiec? Ile dojnych krów? Ile świń?”. Błysk w jego oku wcale nie obiecywał mniej.

— Zapewni nam bezpieczeństwo — odezwał się młodszy głos. — Tak powiedział. — Hilda знаła ten rodzaj głosu: młokos gotów pobiec na wojnę po chwałę i złoto, a kończący na przesiąkniętym krwią, błotnistym polu. — Ty, wealh, przynieś mi jeszcze piwa.

Zapadła nagle cisza była ostra jak nóż. Hilda otworzyła oczy. Angielski młodzieniec o bohaterskim głosie wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała: rozczochrane jasne włosy, meszek zarostu na górnej wardze, zarumienione policzki, mięśnie jak u młodego byczka. Mężczyzna naprzeciwko niego był nieco starszy i niższy o dłoń — był to Loid z włócznią człowieka króla. Lecz cała broń znajdowała się tej nocy z królewskiego rozkazu pod strażą, a gospodarze nie mieli na sobie klejnotów gesitha i młodzieniec nie wiedział, że ten Loid to jego własny człowiek.

Dwóch Anglów wstało i stanęło za Loidem — byli to gospodarze z tej samej osady. Dłonie trzymali na stołowych nożach.

Nagle z mroku wyłonił się uśmiechnięty Cian z dzbanem piwa w ręce i, schowawszy nóż, którym strugał drewno, przykucnął swobodnie przy ognisku. Na jego szyi i rękach lśniło angielskie złoto, a wyraźna krata jego walijskiego płaszcza płonęła czerwienią.

— Dawno temu wybudował obok Loida swoją sadybę angielski gospodarz — zaczął opowieść. — Loid miał kurę, piękną kurę, która co rano o wschodzie słońca składała jajko. Co rano żona Loida zabierała jajko z kojca i zanosila je do kuchni, żeby wbić je mężowi do piwa na śniadanie. Pewnego dnia zajrzała do kojca i nie znalazła tam jajka. Potem jednak zajrzała do ogrodu Angla i zobaczyła tam swoją niemądrą kurę wysiadującą jajko.

— Powiedziałeś, że to była piękna kura! — zawołał ktoś z tłumu.

— Była to najpiękniejsza kura, jaka kiedykolwiek gdała, chociaż jako kura nie była zbyt bystra i uważała, że zniesienie jajka to wielkie osiągnięcie bez względu na to, na czyjej ziemi zostało zniesione. — Cian pociągnął łyk piwa. — Więc żona przyprowadziła swojego męża, Loida, a on zaczął przechodzić przez rów, żeby przynieść kurę, ale wtedy jego angielski sąsiad wyszedł z domu, zobaczył kurę i wziął jajko. Loid zawołał: „To moje jajko!”, ale sąsiad odkrzyknął: „Zostało zniesione na mojej ziemi!”.

Krzyczeli na siebie nawzajem, bo nie jedli śniadania i byli rozdrażnieni, aż w końcu Loid powiedział: „Mój lud ma pewien sposób rozstrzygania sporów”, a jego sąsiad odparł: „Świetnie, to powiedz mi, jaki to sposób, bo chcę zjeść to jajko, póki jest ciepłe”. Więc Loid powiedział: „Kopnę cię w jaja i policzę, ile razy zaśpiewam chlebową piosenkę, zanim uda ci się wyprostować. Potem ty mnie kopniesz w jaja i zobaczysz, ile czasu wyprostowanie się zajmie mnie. Jajko zdobędzie ten, kto wyprostuje się szybciej”.

Angielski gospodarz był odważny i silny, więc się na to zgodził. Loid wrócił do domu po buty, swoje najlepsze buty z wzmocnionymi dziurkami do sznurowadeł, włożył je i przeskoczył przez rów. „Jesteś gotowy?”, zapytał. Jego sąsiad rozstawił szeroko nogi, zacisnął zęby, a Loid ruszył na niego biegiem jak koń i kopnął go z całej siły w jaja. Angielski gospodarz padł na ziemię. Najpierw wił się z bólu, łapiąc powietrze, a potem wył i kłął, a Loid odśpiewał chlebową piosenkę dwadzieścia dwa razy. W końcu jego sąsiad wstał i powiedział: „Teraz moja kolej”.

Cian odstawił dzban i odchylił się do tyłu, opierając się na rękach. Słuchacze pochylili się do przodu.

— I wtedy Loid wziął kurę pod pachę, cofnął się i powiedział: „Zatrzymaj sobie to pieprzone jajko!”.

Tłum ryknął śmiechem, a Cian podał piwo Loidowi, który napił się, podał dzban Anglowi i krzyknął:

— Niech ktoś da mi tę lirę!

— Zaśpiewaj chlebową piosenkę! — zawołał ktoś z tłumu i wszyscy znowu się roześmieli.

Hilda skinęła ręką na Gwladus i Moruda.

— Przynieście więcej jedzenia i drewno na ognisko. Powiedzcie Coelfrithowi, że ja tak kazałam.

Kiedy nazajutrz wielu ważnych Anglów, tych, którzy mogli się pochwalić sześcioroma lub więcej włóczyniami, składało królowi przysięgę w obecności świadków — wśród których za radą Wrony znalazł się jako ochrzczony także Cian Krzykliwy Płaszcz — Hilda przyjęła garstkę mniej ważnych osób, Anglów i Loidów, którzy przychodzili do niej pojedynczo lub parami.

Lweriadda przyprowadziła Moruda.

— Czy służył ci dobrze, pani?

— Tak.

— A zatem chciałabym, żebyś wzięła go ze sobą, kiedy odjedziesz.

Morud ukląkł, przyłożył sobie do czoła dłoń Hildy i złożył potrójną przysięgę, że dochowa wiary, choćby niebo spadło mu na głowę, choćby ziemia się otworzyła i go pochłonięła, choćby morze się wzburzyło i go zatopiło. Potem stanął za stołkiem Hildy z jednej strony, Gwladus z drugiej, a do siedzącej podeszła ze swoim małym synem Saxfrytha.

Wyciągnęła do Hildy dłoń z leżącym na niej pierścieniem. Hilda zamknęła na nim palce kobiety i powiedziała:

— To dar.

Saxfrytha uśmiechnęła się promiennie, lecz jej uśmiech niemal natychmiast zniknął, zastąpiony pełnymi niepokoju spojrzeniami rzucanymi na syna.

Hilda westchnęła w duchu.

— Nie znam imienia twojego chłopca.

— Ceadwin, pani.

— Dobre imię dla silnego chłopca.

— Jest silny, pani, bardzo silny jak na swój wiek.

— Ile sobie liczy zim?

— Pięć, pani.

— Za dwa lata będzie mógł zostać oddany na wychowanie.

— Tak, pani.

— Ma braci?

— Jeszcze nie, pani.

— Kiedy będzie ich miał albo kiedy osiągnie wiek siedmiu zim, to, jeśli zechcesz, możesz go do mnie przysłać.

— Pani!

Wyglądała tak, jakby miała się rozpaść z radości; przyciągnęła chłopca do siebie i objęła go tak mocno, że zaczął się wyrwać. W końcu Saxfrytha opamiętała się, jedną ręką chwyciła rąbek sukni, drugą maleńką piąstkę syna i szybko odeszła, odwracając się co kilka kroków, żeby podziękować Hildzie.

— Jej mąż ci nie podziękuje — stwierdziła Gwladus, odprowadzając ją wzrokiem.

— Zobaczysz, ta kobieta zabije go tej zimy, próbując począć następnego syna.

— Mów po angielsku, Gwladus. Morud musi ćwiczyć. Od tej pory do naszego wyjazdu oboje macie mówić po angielsku. Morud, masz słuchać Gwladus. — Odchyliła się na stołku, patrząc na odległe już postacie Saxfrythy i Ceadwina. — Pięć. Doprawdy. Czy ja jestem mamką?

— Idzie jeden — powiedział Morud swoim chlupiącym, lecz zrozumiałym angielskim.

— Jeszcze jeden — poprawiła go Hilda. — Idzie jeszcze jeden.

Tym razem był to młodzieniec z pradawnym mieczem.

Był zbyt młody i zdenerwowany, by ją pozdrowić. Po prostu dobył miecza, uklęknął i podał go jej rękojeścią do przodu, opierając ją o przedramię.

— Jestem Oeric, pani, i pragnę ci służyć.

Dotknęła jego dłoni. Podniósł wzrok. Miał piwne oczy pełne napięcia i niepokoju, zanikające pryszcze, mocno zarysowane brwi i szczękę. Był starszy od Ciana o rok, lecz nie tak wysoki. Mało kto dorównywał wzrostem Cianowi.

Jego brązowa tunika z doszytymi rękawami i watowaniem, żeby choć trochę przypominała kurtę wojownika, była wyblakła i połatana. Nigdy nie będzie go stać na kolczugę, którą mógłby na nią założyć. Jeden z kłykci jego prawej dłoni wyglądał, jakby kiedyś został zmiażdżony, lecz w żaden sposób nie przeszkadzało mu to w obchodzeniu się z mieczem. Jak powiedział Cian, był on starodawny. Może należał do dziada ojca ojca Oerica. Klinga była lekko wyszczerbiona blisko czubka, a drut wprawiony w rękojeść poczerniał ze starości. Sam jednak brzeszczot był ze starannie wypolerowanej stali.

— Czy twój miecz ma imię?

— Clifer — odparł chłopak.

Pazur. Nie podał jednak jego rodowodu i Hilda pomyślała, że może gdzieś go znalazł albo odebrał zmarłemu.

— Jak chcesz mi służyć, Oericu?

Zamrugął.

— Pani?

— Jak chcesz mi służyć?

— Mam miecz...

Hilda skinęła głową. Miecz. Na co jej miecz?

— Jesteś głodny? — Oczywiście, że jest głodny. Jest młodzieńcem. Mógłby zjeść wołu i jeszcze zmieścić owcę oraz dwadzieścia chlebów. — Morud przyniesie ci stołek, Gwladus znajdzie nam coś do jedzenia, a ty opowiesz mi o swojej rodzinie.

— Moja matka nie żyje...

— Ale najpierw wstaniesz z kolan.

Musi poprosić Gwladus, żeby znalazła jakąś plecionkę albo futro i położyła je przed jej stołkiem, żeby ci ludzie nie musieli klękać na zabłoconej trawie.

Oeric zerwał się na nogi.

— I odłóż miecz, bo ktoś może nabrać niewłaściwego wrażenia.

Schował miecz do pochwy — nie z odruchową swobodą gesitha, lecz sprawniej, niż Hilda się spodziewała.

Wrócił Morud ze stołkiem, który uroczyście ustawił naprzeciwko Hildy. Najwyraźniej wykrzywił się do Oerica, bo młodzieniec spojrzał na niego ponuro.

Hilda pokazała na stołek. Oeric przycupnął ostrożnie na miękkiej haftowanej poduszce, ale kiedy żaden bóg nie cisnął weń piorunem za ubrudzenie tak pięknej tkaniny wieśniaczym ubraniem, odprężył się.

Przynajmniej umie się dostosować do sytuacji.

— Opowiadałeś mi o swojej rodzinie.

Jego ojcem był Grim, syn Grima Starszego. Matka nie żyła od sześciu lat. Kiedy pewnego dnia mąż siostry matki odszedł i już nie wrócił, owdowiały Grim ją poślubił. Miał teraz jeszcze trzech synów i córkę. Uprawiał dwa łany na południe od Aire, miał trochę jęczmienia, trochę owsa. Miał oczywiście świny — nie poradziłoby sobie bez świń, które co jesień zjadały tyle bukwi, ile same ważyły — i dwie dojne krowy. Ich koń padł tej wiosny, kiedy tak późno wzeszła trawa. Krowy też zaczęły dawać mleko później. Może bez Oerica, którego trzeba będzie żywić, następnej wiosny mieliby dość jedzenia dla źrebięcia.

— Może twój ojciec mógłby wymienić Clifera na żrebną klacz.

— Clifer należy do mnie! Odziedziczyłem go po ojcu matki, który nie miał synów.

Gwladus przyniosła tacę z chlebem, miskami z kaszą jęczmienną z okrawkami wołowiny oraz pięknym kubkiem, który Edwin podarował Hildzie w Lindsey. Kubek był do połowy napełniony miodem. Gwladus podała Hildzie jedną miskę, a Oericowi drugą. Chłopak wyjął ze swojej torby łyżkę, przypomniał sobie, żeby sprawdzić, czy Hilda ma swoją, i zaczekał, żeby zaczęła jeść. Dobre wychowanie i powściągliwość. Hilda widziała gorsze zachowania przy stole Edwina. Spróbowała kaszy, żeby Oeric mógł zacząć jeść. Brakowało soli.

— Czy twój ojciec wie, że tu jesteś?

Oeric przełknął pośpiesznie.

— Jestem dorosły!

Hilda skinęła ręką, żeby nie przerywał jedzenia i zajęła się swoją miską.

— Dlaczego? — zapytała, zjadłszy połowę kaszy. — Dlaczego ja? Dlaczego nie

chcesz złożyć przysięgi królowi?

— A przyjąłby mnie? — Oboje znali odpowiedź. Oeric miał miecz, lecz nie miał ani wierzchowca, ani kolczugi, ani ludzi. — Mówią, że jesteś potężna. Że widzisz wyrd człowieka. Że używasz seaksa.

Hilda przyglądała się mu.

— I chcesz złożyć przysięgę?

Angielska przysięga złożona przez mężczyznę z mieczem.

— Tak.

To było niezwykle. Tak jak ona. A ten chłopak ze swoim starym, uszkodzonym mieczem nie zagrozi jej wujowi.

Wstała i gestem nakazała mu zrobić to samo. Położyła mu dłoń na piersi.

— Jestem jasnowidzącą króla. Oświełam drogę. Zaglądam w ludzkie serca. Czy twoje serce jest wolne i może złożyć przysięgę, Oericu synu Grima?

— Tak.

Serce biło mu szybko, lecz równo. Napotkał jej wzrok i zaczerwienił się, lecz nie odwrócił spojrzenia.

Wzięła do ręki kubek.

— Oericu synu Grima, ja, Hilda córka Hererica Yffinga i Breguswithy Oiscingi, przysięgam na ten miód nad tą rzeką pod tym drzewem, że będę jako twój pan. Dopóki będziesz mi wierny, będę cię chronić, żywić i bronić twojego imienia oraz osoby.

Upiła łyk i podała kubek Oericowi. Ujął go obiema dłońmi, drżąc lekko, a Hilda przypomniała sobie ciężar biesiadnego pucharu Edwina tamtego święta Modresniht dawno temu. Oeric uniósł kubek w stronę Hildy.

— Ja, Oeric syn Grima, przysięgam na ten miód nad tą rzeką pod tym drzewem, że będę twoim człowiekiem. Będę cię chronić, słuchać cię, bronić twojego imienia oraz osoby, póki starczy mi tchu.

Upił miodu i uśmiechnął się niepewnie.

— Dokończ go — rzekła Hilda.

Ten miód był Oericowi potrzebny.

Nowi tanowie króla posłali do swoich sadyb po narzędzia i ludzi; wielka polana nad Aire rozbrzmiewała stukotem młotków, uderzeniami siekier i klekotem tokarni. Królewska halla rosła.

Dni zrobiły się zimniejsze, a noce zimniejsze od dni. Hildzie brakowało ciepła śpiącej przy niej Begu.

Kiedy się obudzili, żywopłoty bielity się od szronu, który stopniał dopiero w południe. Król pojechał z Osrikiem Smagaczem, Paulinem Wroną, zarządcą Coelfrithem i Cianem Krzykliwym Płaszczem na objazd ziem swoich nowych tanów i oględziny umocnień w Aberfordzie. Pod ich nieobecność Szczepan przydzielił księży poszczególnym grupom gesithów i rozesłał je na północ, południe, wschód i zachód z zadaniem znalezienia i wypędzenia z Elmetu wszystkich wealh z tonsurą.

— Nie może tu zostać ani jeden — powiedział. — To szpiedzy.

Hilda przekonała Pyra, że nikt nie uzna go za zbyt pobłażliwego, jeśli robotnicy spośród Loidów otrzymają jedzenie i schronienie, bo zdrowy Loid pracuje szybciej. Poza

tym, wyrażając opinię, że w Elmecie nie ma już teraz Anglów i Loidów, lecz tylko mieszkańcy Elmetu, mówiła w imieniu króla. Przykazała Morudowi dopilnować, by wszelkie skargi dotarły do właściwych uszu.

Przychodziło do niej coraz więcej ludzi, Loidów i Anglów; jedni chcieli złożyć jej przysięgę, a inni tylko zobaczyć na własne oczy wysoką dziewczeczkę, która nazywała ich wszystkich mieszkańcami Elmetu. To córka hægtes i æthelinga, mówili jedni — nie, leśnego elfa i księżniczki, mówili inni — chociaż nie powstrzymywało to ich przed dotykaniem rąbka jej sukni albo podnoszenia z ziemi jej włosa na szczęście. Gospodarze, drwale, dojarka. Spokojny mężczyzna z łukiem i ogromnym cichym psem. Kilkoro obdartych dzieci z procami zatkniętymi za paski ze skręconej trawy, wyglądających, jakby od lata żyły na własną rękę. I mężczyzna z poranionymi stopami, Rhin, nieco starszy od innych, którego tunika była za mała i znoszona w miejscach niepasujących do jego ciała. Nie zdjął kaptura — przeprosił Hildę, zerkając na Moruda, który nie zwracał na niego uwagi, i powiedział, że od zimna bolą go uszy.

Hilda wysłała go z Morudem do Oerica, żeby coś zjadł, i zapytała Gwladus:

— Ufasz mu?

— Wygląda na kogoś bardziej przyzwyczajonego do księżej sukni — odparła Gwladus.

Hilda skinęła głową. Powinna go odesłać. Mógłby się jednak okazać przydatny.

— Dowiedz się jak najwięcej. Zapytaj Moruda.

Wieczorem wezwała do swojego wozu Oerica. Siedziała na schodku owinięta wilczurą i przyglądała mu się. Może chodziło o to, że jadł regularnie, może o to, że miał teraz na palcu wskazującym pierścień, jej znak, ale wyglądał na starszego, mocniejszego.

— Dałam ci ten pierścień, żebyś mógł bez przeszkód wykonywać moje polecenia. Dlaczego Gwladus mówi mi, że niektórzy z moich ludzi są głodni?

— Mamy żywność na osiem dni, pani. A niektórzy z tych żebraków to Loidowie, którzy pójdą gdzieś dalej.

— Odjedziemy, kiedy wróci król. Wątpię, by nastąpiło to za osiem dni. Lecz nawet gdybyśmy zostali tu miesiąc, wydałam rozkazy, by wszyscy moi ludzie byli dobrze karmieni i dobrze ubrani. Wszyscy. Zważ na to. W mojej służbie nie ma Deiran, Bernicjan, Loidów ani Anglów, nie ma Dyfneintów ani mieszkańców Elmetu. Wśród moich domowników są tylko moi ludzie. — Jej domownicy. Tak. — Do służących w moim imieniu będzie mówić Gwladus. Do wolnych ludzi będziesz mówił w moim imieniu ty. Jesteś mój, tak jak ci wszyscy, którzy przysięgli mi służyć.

Jej ludzie.

Król wrócił ze swojego objazdu. Cian przyszedł do wozu Hildy z sakwą przewieszoną przez ramię i przyjął kubek grzanego piwa z przyprawami, który Gwladus wniosła mu na dwór.

Morud przyniósł dla niego stołek i ustawił go obok stołka Hildy.

Cian upuścił sakwę na ziemię i usiadł. Odczepił od pasa pochwę z mieczem i oparł ją o wóz obok siebie.

— Rano wyjeżdżamy do Yorku.

— Wszyscy?

Zerknął na Oerica, który stał trzy kroki poza zasięgiem słuchu.

— Zostanie Szczepan i jego księża, Pyr i dwóch pomocniczych zarządców, dwudziestu gesithów i ludzie, których Grimhun ma w Aberfordzie.

Znowu spojrzął na Oerica, który oddał mu obojętne spojrzenie.

— Jak się ma Grimhun?

— Jest zadowolony jak... Dlaczego jest tu ten chłopak ze starym mieczem?

— Oeric? On jest... — Skinęła na niego. — Cianie Krzykliwy Płaszczu, gesithu króla, to jest Oeric, syn Grima, mój zaprzysiężony sługa.

Zmierzyli się wzrokiem, lecz Cian wyraźnie nad nim górował wzrostem, krojem ubrania, mieczem i klejnotami.

Cian usiadł.

— Złożył ci przysięgę? Pójdzie do Yorku?

— On i kilkunastu innych.

— Masz domowników?

— Pomożesz mi?

— W czym? W żywieniu ich? Jestem gesithem króla, a nie tanem z ziemią.

— Po prostu... pomóż mi. Ty i bracia Berhtowie moglibyście wyszkolić Oerica na tyle, żeby w walce był bardziej pomocą niż zawadą.

Przypomniała sobie jednak, że bracia są z Grimhunem w Aberfordzie.

Cian wypił piwo i wyciągnął kubek w stronę Gwladus, która go od niego wzięła.

— Powiedziałaś królowi?

— Jeszcze nie.

— Zrób to. — Przyjął od Gwladus napełniony kubek i podziękował jej skinieniem głowy. — Twoja pani jest wyjątkowa, co?

— Tak, panie. Zechcesz zjeść potrawkę? Niektórzy z nowych... domowników mają dziwne pojęcie o królewskiej własności. Wygląda na to, że jakieś zające złapały się we wnyki, a potem jakimś sposobem trafiły do garnka. — Zwróciła się do Hildy. — Mam przynieść trzy miski? — zapytała i przechyliła lekko głowę w stronę Oerica.

— Tak. Nie, zaczekaj. Przynies dla wszystkich. Ustaw stół. Zjemy razem, w ten jeden wieczór, wszyscy domownicy. Powiedz Oericowi i Morudowi, żeby ci pomogli.

Kiedy odeszli, Cian odchrząknął, napił się piwa i potarł wargę knykciem. W końcu pochylił się i podniósł sakwę.

— Zrobiłem coś.

Rozwiązał troczki i wyjął jakąś bryłkę owiniętą w płótno. Zważył ją w ręce i wyciągnął w stronę Hildy.

Dziewczyna wzięła zawiniątko i rozchyliła materiał. W blasku ognia zaśniło ciemne drewno.

Trzy kubki podróżne. Małe, włożone jeden w drugi: mały, mniejszy, najmniejszy. Stare drewno poczerniało ze starości. Starannie cięte wzdłuż słoików, gładkie jak ramię dziewczyny i ciepłe w dotyku.

— Wyciąłem je z korzenia wielkiego głogu w żywopłocie. W największym zmieszczą się dwa palce białego miodu.

Włożyła je jeden w drugi. Czowała ich ciężar na dłoni. Obracała je w rękach. Drewno

było już stare w czasach Eliffera o Wielkim Wojsku...

— Och!

Na podstawie widniał wyryty wizerunek jeża z nastroszonymi kolcami.

— Spójrz na pozostałe.

Na mniejszym kubku jeż miał złożone kolce, a na najmniejszym zwinął się we śnie.

— Jeden dla ciebie, jeden dla mnie, jeden dla Begu — powiedział Cian. — Żebyśmy mogli przepijać do siebie bez względu na to, gdzie będziemy.

Edwin siedział na swoim tronie pod dębem i grzał ręce nad koszem z węglami, a Coelfrith stał cierpliwie w pobliżu. Król wydawał się bardzo zadowolony.

— Clotruda jest w ciąży. Mój syn będzie miał syna!

— Oby miał siłę i szczęście.

— Oczywiście, że będzie miał.

Hilda pochyliła głowę. Ætheling zawsze ma szczęście. Na początku.

— Panie... — Nie wiedziała, jak to powiedzieć. — Panie, do Yorku wróci z nami więcej ludzi.

Ruchy jego rąk zwolniły.

— Więcej? Ilu więcej?

— Mniej niż tuzin.

Na razie.

Edwin odwrócił się do Coelfritha, który powiedział:

— Królu, jeśli mamy jutro wyruszyć w podróż, jak sobie życzysz, może nam nie starczyć jedzenia dla tuzina dodatkowych osób. Kiedy dotrzemy do Yorku, i bez nich koniom będzie widać wszystkie kości, a owies na owsiankę będziemy wygrzebywać z piaskiem z dna worka.

— Sami możemy się wyżywić — stwierdziła Hilda.

— Tak? — Edwin odchylił się do tyłu, opierając dłonie na poręczach tronu i nie spuszczać wzroku z Hildy. — Słyszysz, Coelfrith? Może powinienem powierzyć zaopatrzenie naszej jasnowidzącej. Niewątpliwie potrafiłaby wypatrzeć swoim wzrokiem jelenie w lesie i ryby pod wodą.

— Albo może mógłbyś wysłać Osrica i jego ludzi bezpośrednio do Tinamutha, zamiast kazać mu wracać przez York.

Przy okazji trzymałby się z dala od jej matki.

Król zbył jej pomysł machnięciem ręki. Zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów i uśmiechnął się.

— Możesz zabrać swoich ludzi. Ale ani ty, ani oni nie dostaniecie ani kęsa z naszych zapasów, ani łyka. Nadal ich chcesz?

— Tak, wuju.

— Teraz jestem wujem, tak? Ha! — Uderzył dłonią w poręcz i roześmiał się. — Coelfrith, przynieś mojej bratanicy stołek, a potem dzban miodu i albo usiądź z nami, albo idź coś pakować. A skoro już idziesz po miód, to przyprowadź tu Wronę. — Wyciągnął nogi w stronę kosza z węglami. — Chętnie wrócę pomiędzy cztery ściany, pod dach. Powiedz mi, bratanico, zanim pojawi się tu ta czarno odziana wrona, jak ci się podoba Elmet?

— Wuju?

— Ledwie rozsiodłano mojego konia, a ty masz już domowników. Dlaczego? Co zobaczyłaś?

— Podobnie jak ty, wuju, widziałam dość, by ucieszyć serce. Weź Aberford.

— Chyba już go wzięłam. Dwa razy.

— Tak, wuju. Ale to coś więcej niż fort. Otacza go ziemia dobra do hodowli owiec. Jest woda, droga wiodąca prosto do Humber. Pamiętasz warsztaty złotnicze Eorpwalda? Zwierzchni król mógłby postawić tam dziesiątki zagród i chat tkackich, i wytwarzać płaszcze na handel. Wysyłać je do Coelgara w Lindsey. Byłoby to największe miejsce handlu wełną w kraju. Przybywaliby tam Fryzyjczycy i Frankowie.

Król pochylił się, zdjął jeden but i podrapał się w kostkę.

— Dlaczego Lindsey? Dlaczego mają coś z tego mieć ludzie Coelgara? Jeśli Eorpwald potrafi wybudować wíc, to ja też.

— Gdzie?

— W Yorku. To był pomysł twojej matki. — Włożył but, poruszał stopami i znowu wyciągnął nogi. — Co jeszcze powinienem wiedzieć?

Pomysł jej matki.

— Na Whinmoor są bandyci, na południe od rzeki drzewa nadające się do wszelkich celów, a dalej dobre tereny do hodowli bydła. — Wíc. W Yorku. Kolejny wątek w wielkiej tkaninie. — Ale ten kraj jest na wpół pusty. Ludzie... Oni się ukrywają. Nie ufają sobie nawzajem. Pracowaliby, gdyby czuli się bezpiecznie. Gdyby wiedzieli, że mają życzliwość króla.

— Dlatego ich tu sprowadziłem.

— Dlatego sprowadziłeś Angłów.

Już się w to zaangażowała.

— Elmet jest... niewykorzystany. Mógłby stać się bogaty. — Co oznaczało, że bogaty stanie się król. — Ale tylko wtedy, gdy ludzie będą pracować. Tylko jeśli będą mieć pewność, że ziemia, którą oczyszczą, dom, który wybudują, i zboże, które wysieją, będą bezpieczne. Że nikt nie będzie walczyć. Że Anglowie nie będą niczego odbierać Loidom, a Loidowie Anglom.

— Mam wrażenie, że już mówiłaś o tym w moim imieniu, a przynajmniej tak słyszał Coelfrith od Pyra: nie będzie już Angłów, nie będzie Loidów, tylko mieszkańcy Elmetu.

Wyglądało na to, że jest bardziej zaciekawiony niż zły, ale z królami nigdy nic nie wiadomo.

— Wuju, królu, oni muszą wiedzieć, że nie mogą niczego odbierać sobie nawzajem i że nie będzie też niczego im odbierał ten, kogo król ustanowi ich panem. — Osric i jego bicze. — Pierwsze dwa lata to sama praca, a zimy będą trudne. Po co narażać się na coś takiego, skoro kiedy tylko ziemia wyda plon, przyjdzie ktoś i go zabierze? — Na chwilę przerwała. — Ale jeśli obiecasz im ochronę i zwolnienie z dziesięciny na trzy lata, pójdą na to. Za pięć lat twoja dziesięcina się podwoi. — Zrobiła dłuższą przerwę. Król wciąż słuchał. — Powiedz im, że bratanica króla też tak zrobi.

— Tak?

— Widziałam jedno miejsce, wuju. I to jakie! Dwie staje na północny zachód. Wielki grzbiet górujący nad lesistą doliną. Doliną z mokradłem, potokiem i jeżynami. Owszem, jest nieco wilgotna. Ale jaka może się stać! Jaka kiedyś była. Ryby i raki, zioła i miód, młynówka, wszędzie dookoła zboże... To będzie kraina słoniny i śmietany, wołowiny i poziomek, i pasztetów!

— Pokażesz mi to miejsce.

— Tak, królu. Chociaż nie leży po drodze do Yorku. I... W tej chwili jest tam wilgotno.

— Ludzie?

— Nikogo nie widziałam. Jeden z mieszkańców Elmetu powiedział mi, że wszyscy dawno odeszli, kiedy zrobiło się wilgotno.

— Ciągłe używasz tego słowa. Wygląda na to, że to jest mokradło. Jesteś córką Æthelunga z Deiry i księżniczki Kentu. Bratanicą i jasnowidzącą zwierzchniego króla. Nie przystoi ci mieszkać na mokradle.

— Nie mieszkałabym tam.

— Nie, ponieważ jesteś moją jasnowidzącą. Ale chcesz mieć to miejsce. Bez płacenia dziesięciny. Pod ochroną moich ludzi tutaj i w Aberfordzie. Za darmo. Bo to miałyby być przykład dla moich przyszłych tanów.

— Ja... Tak.

— Prezent urodzinowy wart nieco więcej niż ten puchar, który dałem ci w zeszłym roku.

— A więc...

— A więc ta lesista dolina jest twoja. Ale w zamian otrzymasz wraz z Coelfrithem zadanie rozdzielenia Elmetu pomiędzy przyszłych tanów. Dopilnuj, by wszyscy zrozumieli ten twój pomysł z mieszkańcami Elmetu.

Skłoniła się. Królewska umowa. Dał jej coś dla niego bezwartościowego w zamian za coś, co bardzo chciał od niej uzyskać. Ale ona też bardzo chciała uzyskać coś od niego.

— I powiedz Szczepanowi. On sobie umyślił, żeby to wszystko spisywać, skrzypu-skrzypu-skrzyp. Dziwni ludzie, ci Chrystusowcy. A, Paulin. Usiądź. Właśnie rozmawialiśmy o mokradłach.

— O mokradłach, panie?

— O mokradłach. — Zwrócił się do Hildy. — Opisz je Szczepanowi. Do granicy sześćdziesięciu łanów. Bez dziesięciny przez... pięć lat.

— Dziękuję, wuju.

Cała dolina!

— Ale tylko dla ciebie. Wszyscy inni dostają trzy lata. Masz kogoś, kto będzie tym zarządzał?

— Tak, wuju.

— Dobrze. Potrzebuję cię przy sobie. A teraz powinnaś się spakować.

Kiedy jej ludzie zebrali się przy stole na ostatni posiłek w Elmecie, Hilda odciągnęła na bok mężczyznę w kapturze.

— Rhin, powiedz mi tak albo nie. Jesteś księdzem, którego kazałam ostrzec Morudowi koło Aberfordu?

Spojrzał jej spokojnie w oczy — sam miał oczy duże, czerwono-brązowe i zmęczone — lecz nic nie powiedział.

— To była piękna sadyba, bogata osada, w której zgodnie mieszkali rozmaici ludzie. Gdybym powiedziała, że potrzebuję kogoś, kto pomógłby mi zbudować coś podobnego w innym miejscu, kogoś, kto potrafi czytać, co byś mi odpowiedział?

Po długiej chwili powoli skinął głową.

— Opowiem ci o tym miejscu, a zwłaszcza o ogłowionym dębie na początku doliny. Jest pusty i suchy...

1 *Elm* (ang.) — wiąz (przyp. tłum.).

Rozdział 15



W Yorku pierwszy dzień miesiąca Blodmonath okazał się wyjątkowo ciepły. Wysokie, świetliste chmury pokrywały niebo równą warstwą jak ubita piana z białka. Skowronki i szpaki gromadziły się na rżyskach po obu stronach Fosse i co pewien czas podrywały się stadami, odlatując na południe. Na północy, tuż za mrocznymi cisowymi lasami, ciemniejsze deszczowe chmury płynęły ku murom wewnętrznego fortu, zagrażając pracom przy jego odbudowie.

Włc miało wyrosnąć w widłach rzek Ouse i Fosse między fortem i zewnętrznym murem. Jego odcinek między traktem Dere i Ouse już dawno temu popadł w ruinę. Edwin usunął gruz, poprawił rowy i osuszył teren. Jego dwaj nowi frankijscy kamieniarze, którzy odbudowywali mury wewnętrznego fortu, słyęli z wybrzydzenia na wilgoć i temperaturę tego dziwnego piaszczystego błota, którym sklejali kamienie. Pracowali powoli. Edwin się niecierpliwił. Włc potrzebowało silnego fortu do obrony. Jeśli chodziło o ochronę północno-wschodniego skraju terenu, musieli się zadowolić żywopłotem.

Hilda wstała, nie budząc Begu ani Gwladus. Chciała zobaczyć wytyczanie wielkiego żywopłotu.

Na terenie, na którym miało powstać włc, pracowała pewnie połowa kobiet i mężczyzn z doliny York. Wokół biegały dzieci, hałasując. Nikt nie przejmował się ewentualnym deszczem. Wszyscy z radością przyszli z tasakami z pazurem, toporkami i nożami na porośniętą krzakami równinę do pracy za porządne racje żywności i piwa, a ich dzieci pały świnię w lesie na południe od rzeki, gdzie wcześniej spadła bukię. Tego roku wystarczy jej dla wszystkich świń. Rodziny będą miały przez całą zimę bekon, szynkę i kielbasę. Będzie mnóstwo smalcu do smarowania odmrożeń i smażenia pieczarek, które wkrótce pojawią się na wschodnim pastwisku i wzdłuż rowów na zachodnich polach. Tu i ówdzie jakaś stara kobieta mruzczała i kręciła głowę — taka łagodna pogoda jest niepokojąca i przyniesie tylko kłopoty — ale stare kobiety zawsze mówią takie rzeczy.

Drwale Coelfritha już wytyczyli przebieg żywopłotu, wbiwszy w ziemię co dwie stopy wiązowe tyczki i oznaczywszy chlapnięciami farby w kolorze ochry młode drzewa, które miały dalej rosnać. Silni młodzieńcy i krzepkie dziewczyny wykopywały wszystkie inne krzaki i drzewka. Starcy rąbali je na mniejsze kawałki do późniejszego wykorzystania. Młodsze kobiety i niezamężne dziewczęta wycinały gałązki leszczyny, a karmiące matki i staruszki splatały je w wielkie parawany.

Drwale wzięli się do naginania oznaczonych drzew. Odrąbawali niektóre gałęzie — Hilda starała się dostrzec wzór, według którego je wybierali, ale pracowali zbyt szybko — i niedbałym ruchem toporka przecinali drzewo u podstawy niemal na pół, po czym nachylali je i wplatali między tyczki.

Ciemne, poprzycinane drzewka leżały skierowane w jedną stronę jak świeżo wylizane kocie futro.

— Pokazują kierunek od rzeki — powiedziała Hilda do Detlina, przełożonego żylastych drobnych mężczyzn z toporkami.

— Soki płyną tylko w górę — odpowiedział, nie przerywając pracy. — Jak je skierować w dół, uschną. Uschną też, jeśli te nacięcia nie zdążą się zamknąć, zanim mróz wetknie swoje palce do drewna. Będę ci więc wdzięczny, jeśli się odsuniesz, pani.

Hilda odsunęła się, ale nadal patrzyła, jak Detlin nacina i pochyla głogi, tarninę, leszczyny, jesiony, a czasem jarzębiny.

— Na wiosnę będzie ładnie — powiedziała.

Kwiaty głogu będą wyglądać jak śnieg. Latem będą dla ptaków owoce tarniny, a jesienią i zimą czerwone jagody jarzębiny.

— Jarzębina jest na szczęście — odezwał się niespodziewanie Detlin.

Hilda skinęła głową. Dziwna pogoda sprawiała, że wszyscy myśleli o szczęściu.

Detlin posuwał się wzdłuż zaznaczonej linii. Hilda została na miejscu, chłonąc woń drewna i poruszonej ziemi. Ta mieszanina była tak mocna i cierpka jak zapach morskiej wody. Nad jej głową przeleciało kolejne stado ptaków, uciekając przed chmurami na południe. Może przelecą nad mokradłami Anglii Wschodniej. Może zobaczy je Hereswitha. I Fursey. Może to przypomni jej siostrze o potrzebie zbudowania gniazda za morzem.

Zanim dotarł do nich deszcz, żywopłot ciągnął się elegancką linią, wzmocnioną przez leszczynowe plecionki. Detlin porządnie upiłowywał wystające nad nimi tyczki.

Żywopłot był piękny: pozbawiony liści, gruby i żylasty lśnił jak ciemny wąż, a białe czubki odciętych tyczek tworzyły kropkowany wzór na jego grzbiecie.

Hilda dołączyła do reszty kobiet, które wraz ze starcami zbierały obcięte gałęzie i tyczki, rąbały je na mniejsze kawałki i wiązały z wykopanymi krzakami.

Mżawka pojawiała się i ustawała w pulsującym rytmie wilgoci, która nikomu za bardzo nie przeszkadzała, lecz wszyscy chcieli skończyć przed nadejściem cięższych chmur z północnego wschodu. Zaczęli się śpieszyć. Hilda pomogła starej kobiecie i jej córce o szerokich ramionach związać wiązkę krzaków. Po przedramieniu smagnęła ją sprężysta gałązka głogu.

— Niech to!

Akurat w jeszcze różową bliznę po mieczu Ciana.

Staruszka pokazała w uśmiechu zęby.

— Uważaj na kolce, panienko.

Hilda przycisnęła rękę do biodra, żeby przestała piec.

— I na swoją piękną suknię też — rzekła córka.

Jej matka zachichotała. Hilda miała na sobie najstarszą suknię wierzchnią, o dłoń za krótką, ale na pewno o wiele ładniejszą od każdej sukni, jaką kobieta widziała w życiu. Gwladus nie będzie zadowolona z nowej plamy. Uważała, że Hilda powinna wyglądać jak królowa nawet wtedy, gdy strzyże owce. „Po co próbujesz wyglądać jak wieśniaczka? Jesteś dwa razy wyższa od każdej z nich. Wszyscy wiedzą, kim jesteś”.

Stara kobieta spojrzała za Hildę i przestała się śmiać.

— Na cucky Eorđe! Akurat tego nam trzeba.

Hilda się odwróciła. Do żywopłotu zbliżali się uroczystym krokiem odziani w biel i zieleń Coifi i dwaj spośród jego kapłanów.

Wszyscy popatrzyli na Coelfritha, który spojrział na krzaki, na zbliżającą się burzową chmurę, na kapłanów i westchnął. Gestem nakazał wszystkim przerwać pracę i ich przepuścić.

Córka staruszki wytarła umięśnionym przedramieniem twarz z deszczu i chwyciła dzbanek od jednego z gońców.

U zachodniego krańca żywopłotu, blisko drogi, Coifi wykopał łopatką wołu dołek, do którego włożył gałązkę jarzębiny, jakiegoś ptaka — Hilda pomyślała, że to strzyżyk, ale ze swojego miejsca nie widziała dobrze — oraz kość. Kapłani nagarnęli ziemię na kość, ptaka i gałązkę, a Coifi wylał na powstały kopczyk trochę miodu. Następnie uniósł ręce i zaczął wyśpiewywać modlitwę do Wodena, prosząc o szczęście i błogosławieństwo.

— Lepiej zdjeliby te wymyślne płaszcze i coś zrobili — rzekła córka.

Jej matka prychnęła.

— Widziałaś kiedyś, żeby jakiś kapłan pracował?

— Księża Wrony są tacy sami — powiedziała Hilda.

Córka podała jej dzbanek. Było w nim skwaśniałe piwo, ale Hilda była spragniona. Deszcz się wzmógł. Coifi zaczął śpiewać szybciej.

Kiedy tylko kapłani ruszyli ostrożnie ku drodze, a potem poszli nią do bezpiecznego schronienia, jakie dawały cztery ściany i dach, kobiety wróciły do pracy. Ziemia zmieniała się w błoto, a drewno stawało się śliskie i zimne; przed zapadnięciem zmroku było jeszcze dużo do zrobienia.

Mężczyźni wrzucili krzaki na wozy. Jeden jechał w stronę obór, wioząc siano drzewne dla bydła, a drugi za rzeczkę, na leżące pół mili za nią wschodnie pola i świeżo przycięty jesionowy zagajnik, gdzie miał powstać kolczasty płot przeciwko jeleniom i zabłąkanym kozom. Hilda i kobiety poszły za tym drugim wozem.

Kiedy dotarły na pole, córka splunęła. Trzeba było wyrwać z ziemi starą barierę z gęstych krzaków. Długa, ciężka praca, a robiło się ciemno.

Usiadły na krawędzi rowu, żeby zebrać siły. Z nieba na wschodzie spadło stadko kosów. Jeden wylądował ciężko o skok od zapomnianego kłosa jęczmienia, ale sprawiał wrażenie oszołomionego, zbyt zmęczonego, by się ruszyć. Pojawiło się więcej ptaków, tym razem drożdżików i kwiczołów; były to młode osobniki albo samiczki, wszystkie wyczerpane. Hilda pomyślała, że uciekają przed złą pogodą, a może nawet walczyły z nią nad Morzem Północnym. A więc przed tym usiłowały uciec skowronki i szpaki — przed wielką burzą albo nagłym spadkiem temperatury. I jedno, i drugie zagrażało nowemu żywopłotowi i na w pół zbudowanej wieży. Hilda wstała.

— Resztę zostawiasz nam, tak? — powiedziała staruszka. — Wymykasz się do gorącej kąpieli i ciepłego ognia?

Hilda uśmiechnęła się szeroko.

— I nie zapomnij o chlebie ociekającym tłuszczem, skwierczącym plastrze wołowiny prosto z rożna i suszonych owocach z miodem. — Nikt nie lubi być

okłamywany. — Przyślę wam coś.

— Chciałabym kawałek pieczeni — rzekła staruszka. Sprawiała wrażenie starej, zmęczonej i wykorzystanej. — Nigdy jej nie jadłam.

— Powiedz im, że to dla Linnety i jej matki — powiedziała Linneta.

— Powiem im, że to dla wszystkich. Ale powiem mojej służącej, że masz dostać porcję jak dla bohatera. Dar od samego króla. — Miały sceptyczne miny, ale Hilda wiedziała, że kiedy zobaczą jedzenie, będą wychwalać króla i jego jasnowidzącą przez rok. — Ale to może trochę potrwać.

— Na pewno wciąż tu będziemy. Przyślij też pochodnie.

— Dobrze. Ale wpierw muszę powiedzieć królowi, że idzie zła pogoda.

— Już tu jest — stwierdziła Linneta, udając, że wyżyma suknię.

— Zbliża się coś gorszego.

— Kiedy?

— Nie jutro. Ale wkrótce. Może jutro w nocy albo pojutrze w południe.

— Będzie źle?

— Jeśli się da, nie wychodźcie na dwór.

— A świnie?

— Miejcie je na oku, dopóki nie będzie wiadomo.

Pod skórzaną osłoną, którą król kazał naciągnąć na swoją na wpół zbudowaną wieżę, huczały płomienie wielu pochodni, lecz było tam widać jedynie gesithów otulonych płaszczami przed wilgocią. Frankijscy kamieniarze znowu odłożyli narzędzia. Hilda postanowiła najpierw znaleźć Gwladus. Wuj będzie rozdrażniony i nie w nastroju do słuchania brudnej obdartuski usiłującej powiedzieć mu coś, czego nie chciał słuchać. Będzie musiała w każdym calu wyglądać na jasnowidzącą.

Hilda stała z boku królewskiego paleniska i z przyjemnością grzała zmarznięte nogi.

— A więc przyszłaś — odezwał się król. — Cały dzień wysyłałem do ciebie wiadomości.

— Tak, wuju.

— Gdzie byłaś?

— Patrzyłam na wytyczanie żywopłotu.

Przyjęła od Wilnođy kubek wina i uśmiechnęła się z wdzięcznością do królowej.

— Przynajmniej to jest skończone. Tak mówi Coelfrith.

Hilda upiła łyk i skinęła głową.

— Jest piękny.

— Piękny, brzydki, kogo to obchodzi. Jest gotowy. Teraz tylko to jest ważne.

— Dlatego tu jestem.

— Świetnie. Zrób coś z kamieniarzami. Jeśli nie narzekają na piasek, to uskarżają się na wilgoć i wydziwiają z pobijakami. Nie taka wielkość, mówią, nie taka waga, złe wyważenie. Pobijaków!

— Będą pracować jutro, ponieważ wkrótce nie będzie pracy dla nikogo. Nadciąga zła pogoda.

W palenisku strzeliła żywiczna gałąź.

— Przewidziałaś to?

— Powiedziały mi ptaki. Przenikliwe zimno albo silny wiatr, albo grad... Nie wiem co. Ale będzie źle i to wkrótce.

Edwin zaklął i kopnął w swój tron.

— Wieża ma zostać ukończona przed Godami!

Hilda sięgnęła przez matkę i Begu po barani mostek stygnący we własnym tłuszczu. Oderwała zębami skórkę i na jej wierzchnią suknię pociekł sos. Gwladus westchnęła, ale cicho — Breguswitha miała ciężką rękę — i podała Hildzie kawałek chleba oderwany od bochenka, żeby dziewczyna mogła chociaż trochę osuszyć nim ubranie.

Oeric stał przy drzwiach; czuł się na tyle swobodnie, że odłożył miecz, ale nie chciał usiąść z Hildą w obecności innych. Hilda zastanawiała się, co jest nie tak z jego twarzą, i po chwili uświadomiła sobie, że Oeric usiłuje wyhodować brodę.

— ...tylko samiczki, powiadasz? — mówiła Breguswitha.

Hilda skinęła głową.

— I były zmęczone? A co z ziębami? Nieważne, każemy jednemu z twoich ludzi wypatrywać jutro samczyków na wyżej położonym terenie. Czy któryś z nich potrafi je rozróżnić? Musisz nauczyć kogoś z twoich coraz liczniejszych domowników wszystkiego, co wiesz o ptakach.

— Mogę pójść sama — rzekła Hilda.

Weźmie ze sobą Ciana i Oerica. Mogliby trochę poćwiczyć z dala od wścibskich oczu.

Rozmawiali o ptakach, chmurach i innych wróżbach związanych z pogodą. Begu wtrąciła się z historyjką o tym, jak sroka zaatakowała kurę, tak słyszała, była wtedy bardzo mała, ale pamięta, że kobieta jej matki, Guenmona — Hilda chyba pamięta Guenmonę? — mówiła, iż stało się tak, ponieważ sroka wiedziała, że nadchodzi gwałtowne, choć przejściowe ochłodzenie i nic nie zostanie dla niej...

Kiedy wyszła Breguswitha — zapewne po to, by znaleźć Oerica — Hilda wyciągnęła rękę do Gwladus, żeby ta rozpięła jej bransoletkę z karneoli.

— Zaniósłś z Morudem jedzenie na wschodnie pole?

Gwladus skinęła głową.

— Chociaż przydałoby mi się do pomocy silne męskie ramię Oerica.

Oeric, który niewzruszenie patrzył przed siebie, oblał się rumieńcem koloru rozżarzonych węgli. Hilda pomyślała, że będzie musiała go ostrzec, żeby nie ulegał urokowi Gwladus. Lintlaf mógłby go zabić bez zmrużenia oka.

Niebo znów było czyste, a popołudnie nawet cieplejsze niż poprzedniego dnia. Na wschodnim polu nie było ani jednego wyczerpanego drożdżika czy kwiczoła. Hilda zastanawiała się, czy sobie tego wszystkiego nie wyobraziła. Nawet Linneta i jej matka, stojące sztywno przy stercie krzaków, którą przygotowały do przeciągnięcia pod mur i porąbania na podpałkę do pieców chlebowych, nazywały ją panią i odpowiadały tylko „tak” i „nie”. Może sprawiało to jej złoto, a może obecność Ciana i Oerica, chociaż zachowywali się jak chłopcy — rzucali kamieniami w nagą białą gałąź sterczącą z krzaków.

Hilda osłoniła oczy przed nieznośnym blaskiem i przyjrzała się polom. Nic oprócz rzyńska oczyszczonego chyba jeszcze lepiej niż poprzedniego dnia.

Kiedy jednak odwróciła się, żeby wracać, usłyszała miękki trel śnieguły — o miesiąc za wcześnie — i pomyślała, że dobrze by było, gdyby Detlin wbił tyczki bardzo głęboko.

Wszedł cienki sierp księżyca. Pochodnie na ścianach huczały. Frankijscy kamieniarze poganiali swoich robotników. Nad fundamentami wznosiła się kolejna warstwa starannie obrobionych kamieni. Nie pasowała do rzymskiego muru: inne kamienie, inny styl.

Hilda skinęła na głównego kamieniarza, przysadzistego, brzuchatego mężczyznę bez wąsów, za to z włosami pokrytymi białym kamiennym pyłem i z chrystusowym amuletem na piersi. Podbiegł do niej i zapytał:

— Powinniśmy się martwić wilgocią czy zimnem?

— I jednym, i drugim.

— Chrystusie, miej nas w opiece! Król będzie niezadowolony. Zaprawa jest bardzo trudna. Na wilgoć jest jedna mieszanka, na zimno inna.

— I jedno, i drugie — powtórzyła Hilda. — Najpierw zimno, potem wiatr. Potem przenikliwe zimno. Takie, że będzie pękało żelazo. Pierwsze zimno przyjdzie dziś w nocy. Przywiążcie wszystko i poproście Wronę o modlitwę.

— Jak długo będzie wiać? Będzie mokro?

Popatrzyła na niego.

— Poproś Wronę, żeby zapytał waszego Chrystusa.

Wrócił do swoich ludzi. W chwiejnym blasku pochodni Hilda patrzyła, jak kamieniarz macha rękami, zachęcając ich do większego wysiłku, jak pokazuje na nią i mówi im, że jeśli nie dadzą z siebie wszystkiego, Hilda ześle na nich straszne konsekwencje. Przy tych słowach wszyscy się przeżegnali.

Na szczycie sterty kamieni tuliły się do siebie dwie zięby. Sądząc po ich upierzeniu, były to młode ptaki. Ich pierwsza zima.

Wiatr ustał. Wydawało się, że szum płynących nieopodal rzek jest stłumiony. Coś przemknęło cicho obok Hildy, błyskając bielą w świetle pochodni, a potem na kamieniach siedziała już tylko jedna zięba.

Bezgłośna jak pierzasta chmura sowa odpłynęła w blasku księżyca z ptakiem trzymanym w szponach lewej nogi. „Los tako się dzieje, jako i musi”.

Kałuże z poprzedniego dnia stały się twarde i mlecznobiałe. Mróz zdarł z dębów i wiązów w zachodnim lesie ostatnie liście. Spadały cicho, zaskakując świnię, które ryły w stertach gnijących liści w poszukiwaniu żołądźci. Kamieniarze owinięci płaszczami i z kapturami na głowach nadzorowali okrywanie murów słomą i pilnowali, by wszystko przywiązywać dwa razy.

Król wezwał ludzi do halli. Królowa otworzyła swoją alkowę dla kobiet swoich i Hildy. Król, zaufani gesithowie i służący królowej, a wśród nich Cian, Bassus i Lintlaf, rozsiedli się na ławie przed zasłoną oddzielającą alkowę od halli. Pomagając Begu w rozłożeniu ich posłania obok posłania matki, Hilda przypomniała sobie o czasach, kiedy dwór Edwina był na tyle mały, że wszyscy spali w jednej halli.

Po południu wiatr zaczął przybierać na sile; wsuwał się między wełnę i skórę jak nóż do filetowania. Nad horyzontem przepływały z północnego wschodu czarne chmury. Wichura strąciła ostatnie żołędzie z gałęzi, oderwała gałęzie od drzew i wyrwała drzewa z korzeniami. Zginęły zmiażdżone pod nimi świnie oraz drwal z rodziną.

A potem przyszedł grad: pędził poziomo nad polami, zabijał ptaki i lisy, spieniał rzekę. Kobiety i mężczyźni, którzy musieli przejść z halli do kuchni albo opróżniali do gnojówki nocne naczynia, wracali posiniaczeni i zakrwawieni. Potem nikt już nie wychodził na dwór. Grad przeszedł w deszcz, a następnie w śnieg. Wiatr ucichł i znowu przybrał na sile. Do wielkiej halli wleciały dwa drozdy i trzepotały pod krokwiemi, aż znalazły miejsce, gdzie mogły się ukryć przed wzrokiem ludzi. Następnego ranka zbudziły śpiących radosnym, ale bardzo głośnym śpiewem. Któryś z gesithów cisnął w stronę wielkich poprzecznic kubek do piwa, ale był on w połowie pełny i piwo ochlapało innego gesitha, który zerwał się z krzykiem i zanim się rozbudził, ugodził sąsiada trzymanym w rękę nożem stołowym.

Breguswitha i Hilda, otoczone atmosferą nieziemskości, wyszły z alkowy, żeby opatrzyć ranę gesitha. Hilda przytrzymała krawędzie skóry, a Breguswitha zszyła ją z taką obojętnością, jakby naprawiała podartą koszulę.

Trwało to trzy dni. W halli mężczyźni śpiewali, kobiety szeptały, a scop ochrypł od śpiewu.

Panował nieznośny fetor, bo nikt nie chciał, żeby otwierano drzwi. Pijani mężczyźni nie chcieli wychodzić na dwór i wystawiać najwrażliwszych części ciała na działanie żywiołów. Oddawali mocz po kątach. Wielu wymiotowało i znowu piło miód. Miód i pieśni przepędzały strach przed głodem, bezdomnością i ciemnością. Ból gardła od wykrzykiwania swojego imienia, przechwalania się stoczonymi bitwami, wychwalania przodków — którzy żyli w mrokach odległej przeszłości i znali taką pogodę, a nawet gorszą, którzy śmiali się wichurze w twarz — sprawiał, że czuli się ludźmi, żywymi ludźmi. Pieczenie miodu w podrażnionych gardłach powodowało, że czuli się odważni. Odór moczu, rozgryzionych kości i niemytych muskularnych ciał uświadamiał im ich zwierzęcą siłę. Sikać na pogodę! Pieprzyć zimę!

Kopulowali za ławami, siłowali się na rękę między pochodniami i śmiali się z oparzeń, zatracali się w widoku, brzmieniu i odorze ludzi jak oni, ich pobratymców. Wszyscy byli jednym.

Trzeciego dnia się rozrzewnili. Trzeciej nocy poddali się wyrd. Co miało być, było. Tak się działo, ponieważ tak się miało dziać. Byli nitkami w wielkiej tkaninie losu, płatkami śniegu w wichurze świata.

Hilda, owinięta dwoma płaszczami, stała przy zniszczonej oborze i ostrożnie sączyła zimne, roziskrzzone powietrze, bojąc się, że popękają jej płuca. Mężczyźni odciągali belki. Rzeźnik kazał swojemu pomocnikowi przynieść topór, bo tylko nim mógł rozciąć zamrożonego trupa dojrzałej krowy, a potem będą musieli się zająć świniami w zagrodzie. Mówił jednak cicho, a mężczyźni stąpali ostrożnie, bojąc się niesamowitej ciszy. Zamarzły rzeki.

Obok Hildy zjawił się Oeric i powiedział, że chciałaby z nią porozmawiać kobieta imieniem Linneta. I już za chwilę kłaniała się jej sama Linneta, obiecując wszystko, czego

tylko pani zapragnie, wszystko, bo dzięki jej ostrzeżeniu chłopiec wciąż żyje — i wciąż jej się stawia, niech Eorđe ma go w opiece. Jej chłopiec i świnię, a córka sąsiadki nie żyje, sztywna jak wędzona ryba, a ojciec płacze i nic nie mówi, a obie ich świnię zaginęły. Ale ona czuje się dobrze i jej matka też. Matka przesyła podziękowania, chociaż naprawdę nie wie, jak, na Eorđe, mają wykarmić świnię, skoro całe podłoże lasu i opadłe żołądźcie są przykryte sięgającą kolan warstwą połamanych gałęzi...

W tym momencie frankijski kamieniarz zapytał, czy pani ma wolną chwilę i czy zechciałaby mu powiedzieć, kiedy zrobi się wystarczająco ciepło, żeby wrócić do pracy przy murze...

— Oericu, znajdź pomocnika Coelfritha — powiedziała Hilda. — Powiedz mu, że rzeki znów popłyną, zanim wzejdzie księżyc. Powiedz mu, że jeśli król nie chce, żeby jego piękny mur otaczał miasto umarłych, to musi wysłać ludzi, by pomogli oczyścić las dla świń. Poza tym pozostałe przy życiu krowy będą potrzebować paszy, bo połowa siana przepadła wraz z oborą. Powiedz mu to dzisiaj, rozumiesz? Nie jutro. A potem przyprowadź do mnie Ciana. Każ mu przyprowadzić wszystkich, którzy zechcą słuchać. I przyprowadź Begu, i Gwladus z moim tobołkiem.

Odwróciła się do Linnety.

— Cieszę się, że tobie i twojej rodzinie nic się nie stało. Ludzie króla wezmą się do pracy w lesie. Przyjdę do twojej sąsiadki. Przejdziemy obok żywopłotu i zobaczymy, jak wygląda.

W ciągu kilku dni obora została prawie odbudowana, sprowadzono też nową krowę dojną — Hilda zastanawiała się, który gospodarz nosi teraz na palcu srebrny pierścień i wysłuchuje narzekań żony — a scop ułożył nową pieśń. Gesithowie wrócili do picia — miód się nie zepsuł — i siłowania się, nie zważając na ludzi Coelfritha, którzy z ponurymi minami rozjechali się do okolicznych sadyb, ani na gromadzących się pod królewską kuchnią zubożałych gospodarzy, którym odmawiano pomocy.

Żywopłot ocalał. Hilda zasugerowała Coelfrithowi, żeby posłać Detlinowi jakiś prezent — powiedzmy, porządny nóż inkrustowany miedzią, coś, czym mógłby się chwalić — by rozniosła się wieść o hojności króla dla dobrych rzemieślników. Był to jeden ze sposobów przeciwstawiania się plotkom o katastrofie, roznoszonym przez głodujących ludzi odprawionych z niczym przez ich pana.

Edwin nie dbał o swoją reputację wśród nisko urodzonych, a Paulin go w tym wspierał.

— Jakie znaczenie ma ich zdanie? — powiedział. — Nie są ochrzczeni. Jeśli ktokolwiek zechce wypróbować rozgłoszoną słabość króla, natknie się na mur tak nieprzejdany jak zapadnięcie zmroku, do tego najeżony pół tysiącem włóczy.

Nowa wieża znowu zaczęła rosnać. Kamieniarz przysięgał na głowę swojego syna, że król jeszcze przed Godami będzie ją miał wraz z odbudowanym wschodnim murem.

Gody, oznajmiła królowa, będą najwspanialsze, jakie kiedykolwiek widziano w Yorku. Kazała Bassusowi wybrać ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć na polowaniu: powiedziała, że sarniny, mięsa dzików, pasztetów z łabędzi i kosów ma być tyle, żeby piwnica pękała w szwach.

Tymczasem wraz z Jakubem zaczęła ćwiczyć w halli śpiew i ponownie na czas

prób chóru pomieszczenie zostało огоłocone ze wszystkich tkanin. Scop chodził nachmurzony. Królowa się z niego śmiała i powiedziała, że wraz z panią Breguswithą zamierzają powiesić na wschodniej ścianie za królewskim stołem wspaniały gobelin i że powinien ułożyć o tym pieśń.

Breguswitha dbała o swój zasób ziół. Hilda zauważyła, że jest w nim dużo żywokostu, czosnku i innych leków na rany, lecz nic nie powiedziała. Morza były teraz zamknięte dla handlu, co oznaczało, że na Gody przybędzie z Arbei Osric. Hilda uznała, że niedługo wydobędzie z matki jej tajemnice. Przy tej pogodzie nie mogła wybuchnąć żadna wojna. Poza tym sama miała sekrety.

Napisała list do Rhina i dała go Morudowi.

— Jeżeli go nie spotkasz, włóż list do pustego dębu i wracaj.

Morud wrócił z odpowiedzią: Rhin miał już ze sobą siedemnastu mężczyzn i kobiet oraz sześcioro dzieci i oczyścił wraz z nimi dwa pola. Kozy i świnie mają się dobrze. Zimno nie wtargnęło do lasu w dolinie.

— I mówi, pani, że pogłębił młynówkę i znalazł stary kamień młyński, ale myśli, że może nie podołać budowie nowego młyna, który utrzyma kamień tej wagi.

Morud patrzył, jak Hilda sortuje przędzę, ale nie wychodził.

— Co jeszcze?

— Powiedział, że Szczepan — rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby splunąć, ale się rozmyślił — z rozkazu Wrony najpierw bije księży, a potem ich wygania.

— Co jeszcze?

— Nie poznałem wszystkich nowych ludzi Rhina. Domyślam się, że kilku z nich jeszcze przez jakiś czas będzie nosić kaptury.

Przynajmniej Rhin jest ostrożny.

Później poszła pod zachodni mur, słuchając z roztargnieniem ptaków: drozdów, wróbli i sikor, które śpiewały tak wysokimi głosami, że ledwie je słyszała; w oddali rozgorzała kłótnia między miejscowymi gawronami i zimowymi przybyszami. Przez to wszystko przebijał się monotony, uspokajający huk rzek. Chmury przepływały warstwami szarości i bieli; nie było słońca, ale i nie padał deszcz. Dobry dzień.

Rad co do młyna mógł jej udzielić kamieniarz. Młyn byłby świetnym pomysłem i zapewniłby jej gospodarstwu stałe źródło dochodu na przyszłość. Kura za worek mączki. Dojna koza za trzy worki mąki. Hilda nie wiedziała, w ilu okolicznych gospodarstwach uprawia się zboże, ale gdyby był młyn, może takich upraw byłoby więcej.

Był tam Paulin; obok obsypanego białym pyłem Franka wyglądał jak dziura w świetle, jak dziura w życiu. Pomocnik kamieniarza mieszał łopatką na desce zaprawę murarską i udawał, że nic nie słyszy. Hilda, niewidoczna dla mężczyzn, zatrzymała się przy stercie kamieni i wiązowych belek i obserwowała Paulina. Paulina, który bił księży i odtrącał żebraków.

— Nie, panie — mówił Frank. — Chciałbym to zrobić, ale nie śmiem. Będziesz musiał znaleźć pomoc dla swojego Kościoła gdzieś indziej. Król chce, żeby ten mur był gotowy na mszę Chrystusową.

— Bóg przychylnie patrzy na tych, którzy pomagają Jego sługom.

— Tak, panie. I pomógłbym ci. Ale tak rozkazał angielski król.

— Podobno Hel Anglów to ciemna, zimna jama — rzekł Paulin. Był jeszcze chudszy, jeśli to możliwe, a w swoich czarnych szatach i z wielkim ametystem obciążającym lewą dłoń wyglądał imponująco. W zimowym świetle fioletowy blask klejnotu sprawiał niesamowite wrażenie. — Lecz piekło, do którego pójdziesz, jeśli odrzucisz wolę Bożą, nie jest zimne. Spłoniesz w nim. Widziałeś kiedyś, jak się piecze prosię? Najpierw smród przypalanych włosów. Potem topią się oczy. Gotuje się skóra. Tłuszcz skapuje na węgle i płomienie skaczą coraz wyżej. Wyobraź sobie, że dzięki jakiemuś cudowi lub klątwie świnia wciąż oddycha.

Kamieniarz zaczął się pocić.

— Wyobraź sobie. — Poza głosem Paulina było tylko słyszeć mlaskanie mieszanej zaprawy. — Wdychasz do poparzonych, pękających płuc własny tłuszcz zamieniony w dym. Przez wieczność, kamieniarzu. Przez wieczność. Porównaj to z dniem, może dwoma, poświęconym na doradzenie w sprawie nowej budowli dla większej chwały Boga, Boga, który wszystkich nas bezpiecznie przeprowadził przez ten straszny czas.

Hilda weszła w pole widzenia Wrony.

— Czas, przed którym twój bóg nie uznał za stosowne cię ostrzec — rzekła.

Oczy Paulina załśniły jak gagaty.

— Mój Bóg nie ma nic wspólnego z demonami.

Hilda nakazała kamieniarzowi skinieniem głowy, by wrócił do pracy. Przeniósł wzrok z jednego na drugie, z pochylonego Wrony dysponującego mocą potępienia na młodą olbrzymkę z niesamowitymi oczami i umiejętnością wpływania na króla — i wybrał swojego pomocnika oraz zaprawę.

Hilda spojrzała Wronie w oczy. Wronie, który bił księży i odtrącał żebraków. Nie poruszył się, ale krzyż na jego piersi unosił się i opadał, unosił się i opadał.

G

Kiedy w ogołoconej halli Hilda skończyła opowiadać królowi o tym, jak Wrona próbował przestraszyć kamieniarzy, Edwin zwrócił się do Coelfritha:

— Przyrowadź biskupa. Natychmiast.

Posłał gniewne spojrzenie diakonowi Jakubowi, który właśnie miał zadać chórowi kolejne ćwiczenie z niekończącej się serii. Jakub wyprowadził swoich chłopców z halli.

Edwin i Hilda nie mieli sobie nic do powiedzenia. Król gryzł odcisk na kciuku, a Hilda po prostu stała nieruchoma jak czapla czekająca na rybę.

Przybył Paulin w towarzystwie dwóch księży. Edwin nie zawracał sobie głowy uprzejmościami.

— Koniec z tym, biskupie. Penda i Cadwallon krążą jak wilki. Potrzebuję ludzi. Zyskuję ich, obsypując ich złotem. Potrzebuję złota, złota, które zdobędę dzięki handlowi. Do handlu potrzebne jest mi wśc. Bezpieczne wśc. Potrzebuję murów. Potrzebuję na tych murach wież. Dopóki nie zostanie położony ten kamień, moi kamieniarze nie będą robić nic innego. Rozumiesz?

Paulin wbił spojrzenie czarnych oczu w Hildę.

— To nie jest rozmowa dla kobiet, panie.

— Ona nie jest kobietą — odparł Edwin, przymknąwszy oczy. — To moja jasnowidząca.

— Chrystus nie zgadza się na jasnowidzących.

— Ma proroków — rzekła Hilda.

Edwin uciszył ją ruchem ręki.

— Zapominasz, księże, że to jest moja halla i że Chrystus jeszcze nie jest moim bogiem.

Hilda słyszała już ten ton. Wciąż jej się śnił: „Konia zjemy”. Wrona też go usłyszała, skłonił głowę i zaczął się cofać krok po kroku, aż doszedł do drzwi. Wtedy odwrócił się i śpiesznie oddalił.

— Ten człowiek i jego bóg są dla mnie użyteczni — zwrócił się Edwin do Hildy.

— Nie drażnij go niepotrzebnie.

Cian i Hilda walczyli w jesionowym zagajniku. Padał słaby deszcz. Hilda miała nogi pochłapane błotem. Na prawej ręce Ciana nabrzmiewał siniec. Hilda wciąż nie znalazła sposobu na obejście jego tarczy.

Rozmawiali krótkimi seriami, wymachując i zastawiając się bronią.

— Coifi zaproponował Wronie swoich cieśli — powiedziała dziewczyna. — I najlepsze drewno do budowy nowego kościoła.

Przy ostatnim słowie zaatakowała w prawe kolano Ciana.

Odbił kij tak, że jego czubek wbił się w darń.

— A jeszcze miesiąc temu knuł intrygę, żeby udusić Wronę we śnie.

— Wątpię, by Wrona sypiał. — Hilda pośliznęła się lekko na błocie, ale rozproszyła uwagę Ciana szerokim zamachem w stronę jego kostek. Odskoczył do tyłu. Zaczęli krążyć wokół siebie. — Coifi to robak, ale nie jest głupi. Wszyscy wiedzą, że na Wielkanoc król przyjmie chrzest. Na co się komu wtedy przyda wysoki kapłan Wodena?

— Wysoki kapłan pastuchów i serowarów.

Begu z włosami już splecionymi na noc klęczała na łóżku za Hildą i ją czesała.

— Mam wrażenie, że nie robiłam tego całą wieczność.

— Gwladus dobrze się spisuje.

— Nie tak dobrze jak ja.

Hilda zamknęła oczy, delektując się rytmicznym pociąganiem jej włosów, trzaskaniem ognia, zapachem Begu, w którym dominowała nuta wełny, jej paplaniną.

Mówiła o rosnącym brzuchu Wilnođy, głupawym uśmiechu Bassusa, lekcjach królowej o Chrystusie — spędzały mniej czasu niż Hilda na nauce czytania, a więcej na zajmowaniu się kobiecymi sprawami, rytmem błogosławieństw i chrztu, tym, kiedy kobieta jest uważana za czystą, a kiedy musi unikać sakramentów. Tyle do nauczania się przed Wielkanocą...

— Eanflæda ma już osiem miesięcy i żywcem pożera królową. Już niedługo przejmie ją mamka. Najwyższy czas. Król potrzebuje syna.

— Ma ich dwóch — powiedziała Hilda, na wpół śpiąc.

— Prawdziwego syna, mówi Wilnođa, urodzonego w chrześcijańskim małżeństwie. Powinnaś przyjść i zobaczyć, jak nam idzie z gobelinem. Splot ustaliła twoja matka. Dzisiaj podczas pracy chwaliła się tobą. Powiedziała, że tworzysz wzór świata.

— Hmm.

- Brakuje nam ciebie.
- Jestem tutaj.
- Wiesz, co mam na myśli.
- Mnie też brakuje tkania z wami.

Trochę rzeczywiście tak było.

— Nie sądzę. Ale to nie jest twoja wyrd. Jestem tego pewna. Ha, tu jest kołtun, który przeoczyła Gwladus.

Śnieg pojawił się dwa dni przed Godami wraz z Osrikiem, który przyjechał z większą świtą niż zwykle. Hilda patrzyła, jak jeźdźcy zsiadają z koni i witają się z gesithami króla zwykłymi grubiańskimi zaczepkami i szyderstwami. Jeśli mieli walczyć z Edwinem, to nic o tym nie wiedzieli. Nie, świta Osrica miała zaimponować innym tanom. On chciał dostać Elmet. Wychodząc ze stajni, Hilda musiała przepuścić stado świń pędzone traktem Ermine, a potem przez południowo-wschodnią bramę. Na jej pytanie pastuch odkrzyknął, że to prezent z Elmetu od Szczepana. Coelfrith będzie uszczęśliwiony.

Kiedy tego wieczoru rozmyślała o Osricu, Morud przyprowadził do niej wychudłego mężczyznę ubranego w szare łańchmany powiązane sznurkiem.

— Z tej polany na zachód od Caer Loid — wyjaśnił Morud, a potem dodał po brytyjsku: — Powiedz pani to, co powiedziałaś mnie.

Wychudły mężczyzna spojrzął z ukosa na Hildę, lecz nie śmiał się odezwać. Morud szturchnął go łokciem.

— Ciotka Lweriadda powiedziała, że zabrali pożywienie naszych świń. Rzymscy księża. „Królewskie świny tylko w królewskim lesie”, powiedzieli. Ale co będziemy jeść bez świń?

Hilda pomyślała o dobrze odżywionym Szczepanie piszącym do Paulina listy pełne równych kolumn liczb. Osric byłby jeszcze bardziej wymagającym panem.

— Pójdziecie do mojego lasu — rzekła chrapliwie; Loid się skulił. Odetchnęła i powiedziała już łagodniej po brytyjsku: — Najpierw pójdziesz do kuchni i zjesz. Morud cię zaprowadzi.

Walka ze Szczepanem oznaczała walkę z Paulinem, której Edwin zakazał. Ale ilu jeszcze ludzi mogło wyżyć w jej dolinie?

Hilda spacerowała z Etelburgą wzdłuż północnego brzegu rzeki. Za nimi szedł Bassus — nabrał ciała i miał na sobie nowy czerwony płaszcz, dzieło rąk Wilnoży — oraz Oeric w nowym hełmie i w skórzanej tunice naszywanej stalowymi kółkami.

— Mój mąż nie zdradza planów co do Elmetu — rzekła królowa. — Ale ty wiesz, dlaczego pozwala Paulinowi wypędzać księży wealh.

— Tak, to szpiedzy.

— I dla zyskania przyjaźni biskupa Rzymu. Ten sojusz został przepowiedziany, zanim został królem.

— Paulin powiedział mi, że chrześcijanie nie są zwolennikami przepowiedni.

Królowa kopnęła kamyk, który wpadł do wody.

— Nie tych, które wygłaszają kobiety.

Przez chwilę nic nie mówiły.

— Może dam ci prezent na Gody — powiedziała królowa. — Może mój mąż da mi te wszystkie świnie, a ja dam je tobie, żebyś mogła zebrać je w swoim lesie na rzeź.

— Dziękuję.

Coelfrith będzie niezadowolony, ale Hildy to nie obchodziło.

Za nimi mężczyźni rozmawiali o tym, jak właściwie podbić hełm.

— Będzie wojna na wiosnę? — zapytała Etelburga.

— Nie. — Cadwallon musi umocnić swoje nowe królestwo. Penda wciąż powstrzymywał Sasów Zachodnich. — Przynajmniej nie tutaj. Nie na wiosnę.

Rozdział 16



Bebbanburg, Solmonath. Okrutny miesiąc błękitnego nieba i przenikliwego wiatru. Na wschodzie morze zimniejsze od serca hægtes. Na zachodzie pola pod płaszczem śniegu, naruszonym tylko tropami królewskich posłańców.

Król nie znosił Bebbanburga, nie znosił stać na skalistym wzgórzu bokiem do morza, z twarzą zwróconą na północ. Owoce morza są dla fok, mówił, a wysoko położone miejsca dla wealh i orłów. Lubił zielone falujące wzgórza, łagodne doliny i szerokie ujścia rzek, dobrą angielską ziemię pod stopami. Lecz bez względu na to, ilu wysyłał posłańców, północny mur w Yorku nie został jeszcze ukończony ani zachodni rów poprawiony, a koniec zimy to czas rozpaczliwych wypadów wygłodniałych wilków. Bebbanburg, fort w formie na skale sterczącej z plaży, był nie do zdobycia. Plażę otaczały skały, a nad małym piaszczystym portem górowała ufortyfikowana wieża na zewnętrznej palisadzie — potężnym przedpiersiu. Do fortu wewnętrznego prowadziła tylko jedna droga: tunel przebity pod skałą i schody prowadzące do wielkiej bramy w wewnętrznej palisadzie. Otaczała ona teren wielkości sporego pola, na którym mieściły się halle, sanktuarium i studnia. Zewnętrzny wał chronił przestrzeń, na której stało kilka warsztatów i obora oraz pasło się kilka kóz.

Pod koniec miesiąca król oznajmił, że nie mają już nazywać fortu Bebbanburgiem. Bebba była pierwszą żoną Etelfryda i Edwin nie zniesie już ciągłego przypominania o tych gnidach, Idingach. To miejsce ma się zwać Stānburg, bo tym właśnie jest, fortem na kamieniu. Edwin był królem; nazwali fort Stānburgiem. Lecz między sobą wealh nadal używali pradawnej nazwy Din Guaïroï, a Anglowie po kilku dniach zapomnieli nowej nazwy i wracali do starej, co rozwścieczało króla — jego doradcy dwa razy musieli go odwozić od zamiaru zabicia nieroztropnego gesitha — lub używali innej, Cwenburg, od imienia zmarłej żony Edwina, co z kolei drażniło królową.

Hilda pomyślała, że podoba się tu chyba tylko jej i Begu.

Begu lubiła ciasnotę. Nie miała nic przeciwko stłoczeniu ludzi z bydłem ani pożywieniu w postaci ostryg i omułek, wieprzowiny — solonej wieprzowiny, wieprzowiny w gęsim tłuszczu, suszonej wieprzowiny — i chleba. Uwielbiała całymi dniami plotkować w komnacie królowej. Uwielbiała zapadać w sen kołysana szumem morza.

Hilda wolała słuchać wieczorem pieśni i opowieści: tych samych pieśni, które co roku słyszała o tej porze roku, lecz inaczej brzmiących w halli i w oborze, w gospodarstwie wśród pól i w zatłoczonej kuchni, gdzie kucharka i piekarz usiłowali nakarmić domowników zwierchniego króla, mając do dyspozycji paleniska pomniejszego króla. W ciągu dnia Hilda wymykała się sama na przyprószone śniegiem plaże i w niezakłóconą biel pól. Czasami siodłała Cygnet, a czasami brała ze sobą Ciana,

ale najczęściej spacerowała samotnie.

Nie pamiętała, kiedy po raz pierwszy spędziła Solmonath w forcie, chociaż było to wtedy, gdy Edwin dopiero od niedawna był królem i miał znacznie mniejszy dwór. Lecz rytm działań był taki sam: król chodził po swojej małej halli jak uwięziony żbik, żądając informacji, których jego doradcy nie mieli. Przysięgali, że wyślą kolejnego posłańca — do Yorku, na północ, do Lindsey, do Rhegedu, do Elmetu — i wystawią kolejnego strażnika na zachodniej wieży palisady, by obserwował drogę lądową. Prowadzili nawet obserwację z wieży od strony morza, chociaż w morską podróż mógłby się o tej porze roku wybrać tylko szaleniec albo bóg.

Osric wrócił po Godach do Arbei, niezadowolony, lecz ugłaskany deklaracją Edwina, że jego drogi kuzyn nie musi przybyć na wiosnę z innymi tanami, ponieważ to on, Edwin, przyjedzie do Osrica. Breguswitha została, lecz Hilda nie wiedziała, co jej matka sądzi o tym wszystkim, chociaż sprawiała wrażenie zamyślanej. Dziewczyna z niepokojem czekała, jakich ziół zażąda matka, ale były to tylko lekarstwa normalne o tej porze roku — na ostre zapalenie spojówek i szmery w płucach. Były dobrze zaopatrzone, a królowi stale towarzyszył Wrona — wydawało się, że w cieniach gromadzących się po krótkim dniu wszędzie czają się księża w czarnych szatach — i Hilda miała niewiele do roboty.

Dwór kisił się we własnym sosie, antałkach miodu i zimowego piwa, a nad wszystkim unosiły się plotki i pogłoski: z Dál Riata maszerują Idingowie — nie, Piktowie. Cadwallon sprzymierzył się z Rhegedem i ludzie północy zaleją plażę w środku nocy. Penda zajął już Lindsey i teraz pali Elmet.

Kłótnie, miłość, nienawiść, sojusze i szeptki wybuchały, przygasały i znów wybuchały, a co noc ludzie zasypiali, tęskniąc za kapustą, liśćmi pokrzywy albo choćby połową kwarty krowiego mleka — oraz czasem, kiedy błękitne niebo obiecuje ciepłe powietrze, a nie zabójczy mróz. Zęby się chwiały, pasy zaciskały, nerwy zaczynały puszczać.

Z jednej strony szare morze, z drugiej białe pole, a ku północy i południowi plaża usiana głazami. W nocy Hilda słuchała głosów fok.

Pewnego wieczoru stała z Cianem na drewnianym pomoście w najwyższym kącie palisady i patrzyła, jak nad białymi polami zachodzi słońce niczym zimowe jabłko, małe i pomarszczone, plamiąc śnieg swoim zmęczonym sokiem. Powietrze pachniało żelazem i morską solą.

— Pogoda się zmienia — rzekła Hilda.

— Nigdy się nie zmieni. Tak będzie już zawsze. Zestarzejemy się, umrzemy i zostaniemy zapomniani, a nasze kości będą obgryzać lisy.

Zawsze wpadał w taki nastrój, kiedy zbyt wiele czasu spędzał pod dachem.

— Chodź ze mną jutro.

— Dokąd?

— Dwanaście staj na zachód jest gospodarstwo.

— Sześć staj po śniegu i sześć staj z powrotem? Z narażeniem się na porwanie przez mroźne olbrzymy, jeśli skręcimy kostkę w borsuczej norze?

— Pogoda się zmieni.

— Na razie się nie zmieniła.

Lecz nazajutrz tuż po południu Hilda pokazała na puszyste białe chmurki napływające z południowego zachodu, ścigane przez większe, szare chmury.

— W głębi łądu topnieje śnieg.

— Ale nie tutaj — rzekł Cian.

— Jeszcze nie.

Na polu otoczonym nagimi drzewami panowała prawie całkowita cisza; jedynymi dźwiękami był szmer ich oddechów — żadnych rudzików, strzyżyków, wróbli — oraz delikatne potraskiwanie topniejącego śniegu. Na grzbiecie wieńczącym pole było widać plamy brązowej ziemi, ale tam, gdzie stali, w najniższym miejscu, bielił się śnieg. U ich stóp leżał martwy gołąb grzywacz. Niewiele z niego zostało.

Hilda wskazała na dziwne ślady po obu jego stronach.

— Zabił go sokół wędrowny. Tutaj w śnieg zagłębiły się jego szpony, a tutaj zetknęły się jego skrzydła.

— Sokół tak go rozszarpał?

— A potem lis i wrona — powiedziała Hilda, pokazując palcem. — Wszystkie są głodne.

Cian mocniej owinął się swoim krzykliwym płaszczem; poszli dalej. Hildzie wydawało się, że niedaleko gospodarstwa zauważyła gronostaja — podobnie jak pole poplamionego brązem — ale nie chciało jej się go pokazać. Zastanawiała się, czym się pożywia, skoro większość ptaków zniknęła, jeże i wiewiórki śpią, a o resztę walczą ze sobą sokoły, sowy, lisy i wrony.

Kiedy dotarli do gospodarstwa, ich cienie kładły się ukośnie na ziemię.

— Spójrz — powiedziała Hilda.

Na tle brązowej ziemi dostrzegła cień zieleni — kielki zimowej kapusty. Przełknęła ślinę i wytarła usta. Już niedługo, dwa albo trzy tygodnie.

Przychodziła do tego gospodarstwa prawie co roku, ale tym razem przywitał ją nie starzec, lecz dziecko siedzące na tłustym futrze w plamie słońca przy niskich drzwiach chaty. Było na wpół nagie, miało zmierzwione włosy i wpychało sobie do ust kamyk.

— Aggg! — powiedziało.

Z chaty wybiegł mężczyzna z siekierą w dłoni.

— Przychodzę w pokoju — rzekła Hilda i wyciągnęła przed siebie puste ręce. — Nic mu nie jest, Ulf.

— Nie jestem Ulfem — rzekł mężczyzna i opuścił siekierę. Rzeczywiście, nie był nim. Był za młody. — Nazywam się Rath. Mój ojciec odszedł.

— Będzie mi go brakować — odparła Hilda. — Będzie go też brakować mojemu przyjacielowi, Cianowi Krzykliwemu Płaszczowi. Słyszał, jaki Ulf był silny i sprytny, jakim dobrym był gospodarzem. Wypijemy ku jego pamięci.

Cian, który nigdy nie słyszał o Ulfie ani o jego synu, Rathu, skinął głową i odrzucił do tyłu połę płaszcza, odsłaniając dwie flaszki przewieszzone na rzemieniach przez ramię.

G

Chata śmierdziała ludźmi, kozą, liśćmi deptanymi całą zimę oraz czymś jeszcze, czymś odrażającym, czego Hilda nie umiała określić. Żona Ratha, Cille, wyjęła bochenek

czerstwego chleba z drobinkami piasku, szczyptę cennej soli i dwie miseczki z wiązowego drewna.

Hilda pokręciła głową i odpięła od paska swoje pięknie rzeźbione kubki podróżne. Odkorkowała flaszkę z białym miodem, napełniła najmniejszy kubek dla Cille, średni dla Ratha, a największy dla siebie i Ciana. Cille wyglądała na przerażoną takim pięknem.

— Za Ulfa, najlepszego gospodarza na wybrzeżu, ojca Ratha, który żyje w...

Spojrzała na dziecko.

— Hathlafie. Hathu.

— W Hathu, przyszłym dobrym i silnym gospodarzu.

Wypili.

— Niech szczęście sprzyja temu domowi — powiedział Cian; znowu wypili.

— Za wiosnę — powiedział Rath.

Ogień palił się wysokim, czystym płomieniem. Jedli chleb z solą, pili i przyglądali się sobie nawzajem.

Rath miał mniej więcej tyle lat co Cian, ale już brakowało mu górnego kła i zaczynały mu nabrzmiwać kłykcie prawej dłoni. Za osiem lat się pochyli, za dwanaście zegnie, a za piętnaście umrze — wtedy zaczną nabrzmiwać kłykcie Hatha i zaokrągła mu się plecy.

Kiedy zjedli chleb, zaczęli rozmawiać: o chorobie płuc, która zabrała Ulfa, o owocach grabu, przez które ich wieprzowina ma smak ziemi, o kapuście kiełkującej na grani pola. Hilda i Rath zgodzili się, że trzeba będzie zaufać pogodzie i że nie przyjdzie mróz, który mógłby zwarzyć delikatne liście kapusty. Cille — głos miała piskliwy jak piszczałka — powiedziała, że w następnym miesiącu mogliby wymienić trochę kapusty na dojną krowę.

— Paniątko wygląda na zaskoczonego i nie dziwię mu się, ale krowa nie byłaby tylko za kapustę. Chociaż zanim na żywopłotach pojawią się pączki, ludzie są spragnieni zieleniny. Wiem, co mówię. Spragnieni. Nie, mają u nas dług za focze mięso i leczenie.

Tak więc musieli wysłuchać historii o strasznym zimowym sztormie, który sprowadził w te strony foki, akurat kiedy Rath zbierał drewno na plaży i o tym, jak Rath zabił samca foki, tak, zabił nożem, a potem wyciągnął na wydnię poza zasięg przyływu i poszedł aż do zagrody Heahy i Dina — znacie Dina i jego żonę? Nie? No więc oni mają prześliczną córkę, Gode, po prostu prześliczną. Cille zdziwiła się, że sława jej urody nie rozeszła się szeroko, tak, nawet do samego Din Guaïroï, nawet do króla! O czym obecnie myślą młodzi mężczyźni...

W tym momencie Rath zastąpił Cille i zaczął powoli — coraz wolniej — mówić o królu, żniwach, dojnej krowie, synu i pogodzie. Hilda z rozbawieniem zobaczyła, że Cian powoli uświadamia sobie, iż noc spędzą w tej śmierdzącej foką chacie. Chciała jednak wysłuchać wszystkiego, co Rath i Cille mają do powiedzenia. Dlatego poleciła Cianowi wziąć dwie flaszki miodu.

Chłopczyk zasnął zwinięty w kłębek; matka przykryła go na posłaniu przy ogniu, gdzie mogła go widzieć. Płomienie przygasły, więc Rath dołożył do ognia drewno wyrzucone przez morze i ogień strzelił błękitem i zielenią, a potem znowu przygasł. I tak w kółko: to buchał wysoko, to opadał.

Wkrótce zaczęli snuć opowieści. Najpierw Cille opowiedziała znaną wszystkim historię o selkie, ale tak, jakby przydarzyła się jej samej i to niedawno. Potem Cian uraczył ich historyjką, którą opowiedział Loidowi i Anglowi. „Zatrzymaj sobie to pieprzone jajko!”. Wszyscy aż popłakali się ze śmiechu. W ciszy, jaka potem na chwilę zapadła, dobiegło ich z oddali, spośród zimnych i ciemnych wzgórz, upiorne miauczenie.

Rath dołożył do ognia i zaczął kolejną opowieść. Jej bohaterem był Cait Sith, niesamowity czarny żbik, podobno zabity dawno temu w obórcie ich gospodarstwa, ale wciąż tu się kręcił w nocy — tak, i w pechowe dni też — bo to wcale nie był żbik, tylko hægtes, która usiłowała ukraść dla siebie dojną krowę. Wykrwawiając się na słomie i wydając ostatnie tchnienie, przysięgła, że pewnego dnia, kiedy nad gospodarstwem zawiśnie tragedia, wróci i dokona zemsty. Czasami było słychać w nocy, jak miauczy spragniona krwi ludzi, którzy zabrali jej ziemię, miauczy i miauczy...

Wiał przenikliwy, wilgotny wiatr.

— Zupełnie jak na wiosnę w Mulstanton — zawołała radośnie Begu.

Chodziły po plaży, a wiatr rozwiewał ich włosy na wszystkie strony. Dalej na południe, za skałami wśród wydm stały rzeźbione słupy cmentarza. Podobno spoczywała tutaj Bebbi oraz inne królowe, angielskie i brytyjskie, łącznie z Cwenburh. Przebywanie w pobliżu zmarłych przynosiło pecha, więc oddaliły się — biegły, skakały, śmiały się z sukniami podkasanymi jak w dzieciństwie, z podskakującymi torbami z chlebem i piwem i z ciekącymi nosami — na północ, w stronę wysp.

Latem wystarczyłoby przepłynąć kawałek łódką wiosłową z jednej piaszczystej plaży na drugą, lecz teraz morze wciąż było zbyt wzburzone. Znalazły jednak skalistą groblę, po której przedostały się na jedną z większych wysepek. Była opuszczona, jeśli nie liczyć kilku zrujnowanych chat.

Na wschodniej plaży nie słyszały własnych myśli: nastąpiła pora rozmnażania się fok i na piasku leżały zwierzęta wszelkiej maści: białe, szare, cętkowane, czarne, brązowe, a wszystkie czekały i zawodziły. Pachniały jak bydło długo przebywające na deszczu.

— Wyglądają jak kudłate konie — stwierdziła Begu. — Taka sama maść, takie same wicherki. Futro. Ale oczy mają inne.

Hilda popatrzyła w oczy foki, która oddała jej spojrzenie: czarne jak staw, nieziemskie oczy.

Begu usiadła na szorstkiej trawie porastającej wydmy.

— Opowiedz mi jeszcze raz o tej selkie.

Hilda spełniła jej prośbę, a potem jadły chleb, piły piwo, obserwowały nurzyki i maskonury, liczyły wodniki i z otwartymi ustami patrzyły na bielika, który spadał z nieba nad wodę jak piorun.

— Będziemy kiedyś miały dom nad morzem?

Hilda wzięła ją za rękę.

— Tak.

Będą miały wiele domów. Ale to nadejdzie później. Teraz z zimna, wiatru i szczęścia bolała ją twarz.

Wiatr ucichł i Hilda zaczęła jeździć konno na plażę z Cianem, ogarami i Oerikiem. Cian zadawał mu ćwiczenie, a Grimhun albo bracia Berhtowie, albo Gwrastr i jego kuzyn,

Cynan, Eadric Brązowy albo Coelwyn pohukiwali, śmiali się i zaczęli dowodzić, że nic z tego nie będzie, że na nic się to nie przyda, ale że jest lepszy sposób, a Hilda i Cian niepostrzeżenie znajdowali sobie miejsce, gdzie mogli rozmawiać i ćwiczyć sam na sam. Gesithowie byli do tego przyzwyczajeni. Kiwali głowami i mrugali, ale nic nie mówili. Hilda nie zwracała na nich uwagi i sądziła, że Cian nie zauważa ich reakcji. Wątpiła, by przyszło mu do głowy, co mogą myśleć gesithowie, a przynajmniej nie w związku z nią. Widziała, jak przyglądał się dziewczynom Bebbanburga, i wiedziała, że od czasu do czasu wymyka się do dziewczyny o dużych piersiach i stopach, mieszkającej w pobliskiej zagrodzie.

Kiedyś pojechali do zagrody Heahy i Dina i ich córki, Gode. Hilda spostrzegła, że Cian ją zauważył; rzeczywiście była świeża jak poranek i miała zręczne ręce, szyję białą jak mleko, a usta jak obietnicę letnich śliwek, i była młoda, tylko o kilka lat starsza od Hildy, niczym świeżo rozwinięty liść. Hilda w drodze powrotnej rozszłoszczona nie wiedzieć czemu w końcu znalazła sposób na pokonanie gesitha z tarczą.

Zatrzymali się wtedy nad strumieniem strzeżonym przez miotany wiatrem dąb i Hilda wściekle zaatakowała Ciana, myśląc o szyi, ustach i zręcznych rękach Gode. Cian bronił się tarczą i mieczem z równą wściekłością, spychając Hildę do tyłu, aż oparła się stopą o korzeń drzewa. Nie, pomyślała, tym razem się nie zawaham, nie przegram, i wycelowała końcem kija w twarz Ciana, a potem rzuciła kij w splątane gałęzie i sama wciągnęła się na drzewo. Wezbrany strumień huczał. Drzewo delikatnie trzeszczało pod jej stopami.

— Złaź! — wrzasnął Cian.

— Ściągnij mnie!

Schował miecz do pochwy, odrzucił tarczę i podskoczył do gałęzi, na której stała Hilda, lecz ona przeszła na drugą stronę pnia.

Cian wspiął się na drzewo, niezdarny w bojowych butach, dysząc i klnąc, ale zamilkł na widok końca kija Hildy chwiejącego się nieznacznie się w odległości stopy od jego nosa. Był bezbronny.

— Wymyśliłam, jak cię pokonać.

— Ale ja nie mam tarczy!

— Właśnie. Jak pokonać gesitha z tarczą: zmusić go, żeby ją odrzucił.

— Nie, nie, nie. A jeśli nie będzie drzewa?

— Zobaczymy — powiedziała i zeskoczyła lekko na ziemię.

Odeszła kawałek od drzewa i stanęła ze swoim kijem blisko strumienia. Cian zeskoczył nieco ciężiej, podniósł tarczę i powtórzyli wszystko od nowa — nieubłaganie spychał ją ku wodzie.

Hilda wskoczyła do strumienia i na wpół idąc, na wpół płynąc, przedostała się na drugi brzeg. Cian został na swoim.

— A jeśli nie będzie strumienia?

— Przejdź na tę stronę, to się przekonamy.

— Moja kolczuga!

— Tak. Szkoda. Wypolerowanie jej będzie wymagać wiele pracy.

— Powiedz mi jako staremu przyjacielowi, czym mogę cię przekonać?

Hilda wyżywała włosy, zastanawiając się.

— Kiedy wieczorem odezwie się harfa, zaśpiewaj dla mnie. Zaśpiewaj pieśń o Branwenie.

— Zgoda.

Przeszła z powrotem przez strumień, trzęsąc się, minęła Ciana, a kiedy znalazł się między nią i strumieniem, odwróciła się.

— A teraz zaatakuj mnie, bo zamarzam.

I znów spychał ją w tył, a ona zaczęła, aż Cian uśmiechnie się w oczekiwaniu na zwycięstwo, i wtedy odwróciła się i uciekła.

Pobiegł za nią, ale miał na sobie ciężkie buty i kolczugę, a tarcza była ciężka. Zostawał w tyle. Hilda pomachała mu palcami.

— Oszukujesz!

— W rzeczy samej.

— Nigdy cię nie złapię, chyba że...

Upuścił tarczę i wybuchnął śmiechem; kiedy wrócili do Bebbanburga, wciąż co pewien czas się śmiali, ale jeśli ktoś się dziwił, że jasnowidzącą bawi przemarznięcie i przemoczenie, to o tym nie mówił.

W miarę jak poprawiała się pogoda, z całej wyspy zaczęły napływać wiadomości. Dwie, z Rhegedu i Alt Clut, głosiły to samo: Eochaid Buide z Dál Riata wysyła armię na pomoc wojownikom z Cenél Cruithen do walki z Fiachnaem mac Demmáinem z Dál Fiatach, a oddziałem z Dál Riata dowodzą Idingowie — chociaż człowiek z Rhegedu uważał, że jest ich dwóch, Oswald i Osric, zwany Spalonym, a posłaniec z Alt Clut sądził, że trzech: Oswald, Osric Spalony i młody Osbald.

W halli spierano się: Wilgar zauważył, że wszyscy wiedzą, iż Oswald nie lubi żadnego ze swoich braci oprócz małego brata przyrodniego, Oswiu, a zatem wiadomości są wyraźnie fałszywe. Nie, powiedział Coifi, jest jasne, że Eochaid godzi włóczęgą w serce Anglów Północnych, że nie może przegrać: jeśli Idingowie będą dobrze walczyć, przyciągną zwolenników i poprowadzą ich w ataku na angielski tron; jeśli będą walczyć źle, zginą. Możliwe, powiedział Paulin, ale prawdziwa wiadomość jest taka, że mieszkańcy północy wypróbowują swoją siłę, podczas gdy oni mają po swojej stronie Chrystusa, jedyne prawdziwego Boga, nawet jeśli służą mu uparci księża wealh. W tym momencie wszystkie oczy zwróciły się na króla.

Hilda, która obserwowała wszystko w milczeniu, jak przystało jasnowidzącej, zrozumiała, że ta przemowa została przygotowana wcześniej, ponieważ Edwin skinął głową na swojego scopa, a ten uderzył w struny harfy i mężczyźni uciszeli się.

— Biskup Paulin ma rację. Dobrze mi doradzał w sprawach Elmetu i w innych kwestiach. Przynosi obietnicę przyjaźni największego księdza w śródziemiu, biskupa Rzymu. Wydaje mi się, że powinniśmy rozważyć, co ma do powiedzenia. Dlatego wyślę wiadomości do Sancton i Derwent, do Goodmanham i Brough, do Lindum i Elmetu i poproszę moich tanów o spotkanie w Yeavingu. Tam rozmówimy się szczerze o tym Chrystusie i zobaczymy, czy ten bóg jest dobry, a jeśli tak, to na Wielkanoc przyjmę w Yorku chrzest z ręki Paulina. Paulina, który dzięki swojej dalekowzroczności wypędził księży szpiegujących dla mieszkańców północy.

Podniosła się wrzawa.

Hilda jednak nie była zaskoczona. Edwin przygotowywał do tego grunt od ślubu z królową. Jego córka została ochrzczona razem z kilkunastoma gesithami i nie przyniosło to żadnych złych skutków. Co więcej, Elmet należy teraz do nich i żadni księża wealh nie wysyłają stamtąd wiadomości na północ czy na zachód. Wieść o tym się rozejdzie. W następnym miesiącu, kiedy zazieleni się trawa i zaczną płynąć mleko, pojawią się ludzie z bydłem. Uznają, że ten bóg nie ma większego znaczenia od innych.

Podszedł do niej Morud.

— Pani, królowa cię wzywa.

Do komnat kobiet odprowadził ją Oeric. Hilda zastała tam królową i Wilnođę, Breguswithę, Begu i Gwladus.

Królowa podała jej małe, pękate zawiniątko.

— Przyszedł jakiś człowiek. Powiedział, że dostał to od innego człowieka ze wschodnioangielskimi sprzączkami i że to jest dla pani Hildy, siostry Hereswithy.

Hildzie ścisnęło się serce. Uświadomiła sobie, że Begu trzyma ją pod rękę z jednej strony, a Gwladus z drugiej, i ucieszyła się z tego. Gwladus inaczej pachnie, pomyślała. Matka spojrzała na nią surowo: „Pochodzisz z rodu Yffingów!”.

Królowa wciąż mówiła, lecz Hilda skupiła się na oddychaniu. Wilnođa, gruba już jak dom, przyniosła jej stołek.

Hilda usiadła i obróciła zawiniątko w rękach. Zapieczętowany woskowany len. Nie rozpoznała pieczęci, która przypominała kaczkę. Złamała ją.

Wewnątrz znajdowało się kolejne zawiniątko wielkości jajka siewki oraz list. Rozwinęła go. Litery były niezdarne, a słowa napisane z błędami:

Najdroższa siostrzo. Mój mąż, Etelryk, nie porzucił tej kobiety. Jest tu Fursey, który przesyła pozdrowienia. Mówi, że moje pismo poprawi się, jeśli będę ćwiczyć. Mam przyjąć chrzest. Jest tu też przyrodni brat Etelryka, Sigebert, który przyjechał w odwiedziny z Frankonii. Jest już ochrzczony. Posyłam ci bryłkę kadzidła. Jestem w ciąży. H.

Nie było daty. Hilda przeczytała list jeszcze raz.

— Co w nim jest? — zapytała Begu.

Hilda podała jej list. Begu zmarszczyła brwi.

— Tak, ale co w nim jest?

Etelburga podała Eanflædę Arddunie, wyjęła list Begu z ręki i odczytała go na głos. Fursey. Sigebert. Kadzidło. W ciąży.

Ktoś położył jej rękę na ramieniu. Hilda podniosła wzrok — to była Gwladus z kubkiem grzanego piwa. Hilda zaczęła je z wdzięcznością saczyć, a królowa przeczytała list jeszcze raz.

— Czy to jest owo kadzidło? — zapytała Begu. — Chcę zobaczyć.

Hilda posłusznie je rozwinęła. Komnatę wypełnił zdumiewający zapach. Hereswitha, pomyślała Hilda. Hereswitha stawiająca litery pod okiem Furseya. Oboje są bezpieczni. I zaprzyjaźniają się z Frankami, zapewniają sobie schronienie.

— Warte chyba więcej niż złoto — rzekła Wilnođa, a potem chwyciła się za brzuch i gwałtownie wciągnęła powietrze: dziecko kopało.

Kobiety zakrzętały się wokół niej, a Hilda pociągnęła kolejny łyk piwa. Hereswitha. Może tak gruba jak Wilnoða. Siedzi w bagnie. Może już urodziła. Może Hilda jest ciotką.

Wilnoða znowu gwałtownie wciągnęła powietrze.

Może Hereswitha zmarła przy porodzie tak samo jak Cwenburh w tej właśnie komnacie, w kałuży krwi.

G

Hilda obudziła się ze snu, w którym Gwladus stała w kałuży krwi, Gwladus o nie takim wzroście i nie takim zapachu.

— Cicho, to tylko sen — powiedziała Begu i pogłaskała Hildę po głowie. — Tylko sen.

Hilda przywarła do niej.

— Co jest? Co się stało?

— Hereswitha rodzi.

— Cóż, to prawda — odparła Begu. — Ale ludzie rodzą dzieci cały czas.

— I cały czas też umierają.

Begu pocałowała ją w czoło.

— Przyśniło ci się to?

Hilda pokręciła głową.

— Mów do mnie — poprosiła. — O czymkolwiek. Proszę cię.

Begu usiadła, sięgnęła za Hildę i rozsunęła zasłonę. W nikłym świetle przygaszonego ognia było widać, że Gwladus już siedzi na swoim posłaniu i ziewa.

— Zapal świeczkę — szepnęła Begu. — Przynieś mleko. Nie, nie mleko, zapomniałam, piwo. I chodź porozmawiać z nami. Pani Hilda miała zły sen. Nie, nie sen proroczy, po prostu zwykły sen.

Ustawiły świeczkę w miseczce na półce w nogach łóżka, a potem Begu uniosła przykrycie i kazała Gwladus wejść do łóżka.

— Mam zimne stopy — powiedziała niewolnica.

— Hildzie nie będzie to przeszkadzać. Jest rozpalona jak piec. Pozwoli jej to myśleć o czymś innym.

I tak Hilda zaczęła ogrzewać ciepłymi dłońmi zimne stopy swojej służącej, a Begu paplała o niczym.

— ...dlaczego wciąż karmi piersią księżniczkę Eanflædę? Ona ma dziesięć miesięcy.

Hilda masowała kostki Gwladus, głaszcząc mocną wewnętrzną kość i myśląc o miejscu, które można by nacisnąć, żeby przyspieszyć poród.

— Może jeszcze nie chce następnego dziecka — rzekła Gwladus. — Może nie chce być obmacywana, może nie chce nabrzmiwać i czekać na coraz większy ból pleców i na to, żeby to coś w jej brzuchu zjadło ją od środka.

Wtedy Hilda zrozumiała. Gwladus była w ciąży.

G

Hilda napała na porywisty wiatr na szczycie Ad Gefrin. Otworzyła usta, żeby wiatr porwał jej oddech. Uwielbiała być tu na górze z kozami, uwielbiała pędzące chmury,

jasność i cienie ścigające się nawzajem po posrebrzonej trawie. Nie słyszała stąd ryku drobnego bydła, które brytyjscy panowie przypędzali jako daninę; nie słyszała ciągłego tupotu kopyt w zagrodzie, gdzie konie, które czuły w powietrzu wiosnę i obietnicę zielonej trawy, przepychały się do ogrodzenia. Tu na górze było słychać tylko świst wiatru, sporadyczny głuchy dźwięk koziego dzwonka, wołanie krążącego ślizgającego się po powietrzu jastrzębia.

Podobał jej się Bebbanburg, tutaj miała widok na wiele mil. Tutaj mogła myśleć.

Nadchodziła zmiana i nie chodziło tylko o wiosnę, o pierwsze mleko w tym roku, o to, że ogiery rozdymały nozdrza, kiedy obok nich przechodziły klacze, albo o to, że małe drozdy skubały sierść na grzbietach kóz, żeby mieć czym wyścielić gniazda. Nie chodziło tylko o stukanie młotków i okrzyki przy budowie nowego podestu dla króla po zachodniej stronie wielkiej halli.

Tanom wydawało się, że rozumieją. Och, porozmawiają sobie przez dwa dni, to ciszej, to głośniej, ale wiedzą o śnie, jaki król Edwin miał dawno temu na dworze króla Æthelberhta. Dlaczego mieliby mu się sprzeciwiać? Co znaczy kolejny bóg? Bogowie są jak szczątki wyrzucane na brzeg przez fale, ciągle pojawiają się i znikają, a te wystarczająco duże, by zostać, stopniowo ulegają wiatrowi, wodzie i czasowi. Ale trzeba to omówić, pociągać za brody i wypić resztki zeszłorocznego miodu.

Tanowie się mylili. Chrystus i jego księża byli inni. Byli burzą, która miała wszystko zmienić. Oni potrafią czytać. Zamiotą plażę do czysta. Ale Hildy nie tkną. To nie była jej wyrd.

Kiedy tanowie zrozumieli, że ich Witganmot nie odbędzie się pod starym dębem ani nawet nie w halli przy miodzie, lecz na nowym podeście, zaczęli szemrać. To był zwyczaj rzymski, nie angielski. Wtedy Coifi oznajmił, że pobłogosławił nowy totem, który będzie świadkiem ich przysięg. A czy totem nie jest lepszy od dębu?

Hilda słuchała nowo przybyłych tanów, którzy oglądali nowy podest. Tondhelm powiedział, że wygląda jak trójkąt sera, chociaż jest wyższy przy brzegu, a nie na czubku. Stał z dwoma innymi tanami na podeście przy jego czubku, uważając, by nie otrzeć się o jeszcze wilgotny od farby totem Wodena. Nazajutrz mieli usiąść wraz z innymi słuchaczami w rzędach wznoszących się ku krawędzi. Wszystko pachniało świeżym drewnem. Hunric, tan spod Goodmanham, który przyjechał z dużą świtą, powiedział, że kiedy następnej nocy wzejdzie księżyc, wszyscy będą mieli w tyłkach drzazgi.

Tego wieczoru po głównej uczcie królowa przeszła z wielkiej halli do halli kobiet; wraz z nią wyszły jej towarzyszkami i kobiety, które przybyły ze swoimi mężczyznami na Witganmot. Breguswitha i Begu poszły z nimi, lecz Hilda jeszcze chwilę została z Oerikiem u boku. Mężczyźni zajęli się piciem. Cian i jej ogary dotrzymywali kroku innym, a przynajmniej sprawiali takie wrażenie, chociaż Hilda podejrzewała, że kilku z nich się hamuje ze względu na mające się rozpocząć przechwałki i siłowanie na rękę.

Wśród tanów, którzy mieli mniej do udowodnienia od młodych gesithów, rozchodziło się wiele plotek: kto przyprowadził najwięcej bydła dla króla, kto ma na sobie najwięcej złota, kto ma nową żonę, a kto syna. Scop sławił pieśniami ich rody, skandalicznie im schlebując, a jego pomocnik tylko zgarniał bransolety, pierścienie i błyszczące sztylety, bo coraz bardziej pijani tanowie prześcigali się w hojności.

Hilda zauważyła, że Hunric rzucił swój najmniejszy pierścień i pochwalił się tylko tym, że przyprowadził najwięcej bydła, co było prawdą, oraz że jego syn, kiedy dorośnie, we wszystkim pobije każdego innego syna. Biorąc pod uwagę, że ów syn biegał jeszcze boso z drewnianym nożem, była to bezpieczna przechwałka, której za kilkanaście lat nikt nie będzie pamiętał. Sprytny człowiek. Hilda zobaczyła, że Edwin uniósł swój puchar, pozdrawiając Hunrica i że Hunric odwzajemnił się królowi. Hilda wiedziała coś, czego nie wiedział Hunric: że króla bawią tylko ci, których ma w niewielkim poważaniu.

Twarze zrobiły się czerwone i przy każdej ławie rozgrywano zawody w picciu. Robiono zakłady. Wkrótce zaczną się przechwalać swoimi końmi; pomocnik scopa, który tradycyjnie pilnował przechwałek, ustali kolejność porannych wyścigów. Tymczasem scop zaczął przesadzać ze swoimi pochwałami. Tanowie ryczeli ze śmiechu: scop drażnił się z Tondhelmem, że rozum ma wielkości małego palca, a kutas większy od ręki.

Hilda przecisnęła się przez rozbawionych mężczyzn, którzy zbytnio się martwili tym, co mogą sobie pomyśleć o nich inni mężczyźni, żeby przejmować się kobietą, i dotarła do Ciana. Właśnie opowiadał jakąś skomplikowaną historię o małych owcach Gwyneddu i o tym, dlaczego mieszkańcy tej krainy też są nieduzi.

Kiedy skończył, uśmiechnął się do niej.

— Wychodzę do halli kobiet — powiedziała Hilda. — Odeślę Oerica. Weź go pod swoje skrzydła. Nie pozwól, żeby przechwalał się czymś, czego nie będzie mógł zrobić. A jeżeli planujesz zdobyć jutro na Acærnie bogactwo, to więcej już nie pij.

Tylko się uśmiechnął szeroko i podał jej swój puchar. Hilda odwzajemniła uśmiech i się napiła.

Atmosfera w halli kobiet była jeszcze sprośniejsza niż w halli mężczyzn. Welony się poprzekrzywiały, a rękawy zostały zatknięte za pasy. Ardduna i Gwladus ledwie nadażały z napełnianiem pucharów, a żona Hunrica, tak pijana, że tylko bełkotała coś niezrozumiale, potrząsała lirą z pozrywanymi strunami, jakby to było krztuszące się niemowlę.

Breguswitha pograżyła się w rozmowie z dwiema nieznanymi Hildzie kobietami, a Begu gwizdała jak pastuch. Hilda usiadła obok niej na jednej z ładnie haftowanych poduszek królowej i zdjęła buty.

— Przystań myśleć — powiedziała Gwladus. — Przestraszysz wszystkie i popsujesz zabawę. Wypij.

Hilda upiła łyk: piekący biały miód, zrobiony z... Upiła kolejny łyk... Z miodu wrzosowego. Część daniny któregoś z tanów czy prezent? Podniosła wzrok, zobaczyła, że patrzy na nią matka, a potem z powrotem przenosi wzrok na kobiety, z którymi rozmawiała. Hilda pomyślała, że musi się z nimi zaprzyjaźnić bez względu na to, kim są.

— Przystań — powtórzyła Gwladus, ale musiała napełnić kolejny puchar.

Hilda napiła się z roztargnieniem, a potem usłyszała swoje imię.

— Hilda zna tę piosenkę. Śpiewaliśmy ją razem w Mulstanton, prawda?

Hilda skinęła głową.

— Jaka to melodia? Ta, którą Cædmon śpiewa Winty?

Hilda zaśpiewała skoczną piosenkę o swobodnym bieganiu po zielonej trawie. Begu przyłączyła się do niej, ktoś zmienił struny w lirze i zaczął im akompaniować.

Gwladus znowu dołała Hildzie miodu.

— Tak lepiej — powiedziała. — Ale królowa mówi, że musisz to wypić duszkiem, potem się uśmiechnąć i wypić jeszcze jedną porcję.

Hilda wątpiła, by Etelburga powiedziała coś takiego. Podniosła wzrok, lecz nawet nie dostrzegła królowej.

— Och, daj spokój! — powiedziała Gwladus i okoliła twarz Hildy dłońmi. — Spójrz na mnie. — Hilda patrzyła prosto na stanik Gwladus, która uniosła jej podbródek, aż spojrzały sobie w oczy. — Posłuchaj mnie. Ardduna naprawdę powiedziała mi, że z rozkazu królowej każdy, kto dzisiejszego wieczoru będzie na tyle trzeźwy, żeby iść prosto, ma zostać postawiony do kąta i posmarowany miodem. Więc pij i rób głupią minę. A jeszcze lepiej bądź głupia. Spójrz na swoją matkę. — Breguswitha miała czerwone policzki i odpięła rękawy. — Ona wie, kiedy należy się odprężyć. Ty też powinnaś to wiedzieć.

A później, kiedy kobiety podkasywały suknie i rozpuszczały włosy do tańca, Hilda zrobiła to samo i po chwili nawet zapomniała pomyśleć, co robi.

Hilda mrużyła oczy w porannym blasku zadowolona z przenikliwego wiatru i nisko pędzących chmur. Nie powinno padać. Razem z innymi kobietami, bladymi, lecz doprowadzonymi do porządku, stała u północnego krańca toru dla koni. Miały tylko wiwatować na cześć ścigających się mężczyzn.

W pierwszym wyścigu jeden gesith musiał z wymiotować w siodle, zanim zdołał wypić za wyścig. I tak powiodło mu się lepiej od rywala, który spadł na pierwszym zakręcie i złamał obojczyk. Edwin podarował zwycięzcy sztylet.

Kolejne wyścigi, kolejne wypadki, kolejne zakłady, okrzyki i upadki w błoto. Złoto, przechwałka, krew, pot... Tłum otrząsnął się z otepienia i radośnie ożywił.

Jedynie narzekania dało się słyszeć, kiedy południowa uczta — pieczony wół i piwo wrzosowe na ławach ustawionych pod dachem z gałęzi i trzciny — została opóźniona, by Wrona mógł złożyć dzięki swojemu Chrystusowi. Niektórzy mamrotali, że Chrystus nie jest jeszcze ich bogiem. Ale większości było to obojętne. Cieszyli się, że mogą zjeść. Planowali przedrzemać z pełnymi żołądkami większość Witganmotu i ocknąć się na tyle, by zagłósować tak, jak im każą ich panowie.

Hilda obserwowała spojrzenia i kiwnięcia głów rozchodzące się wzdłuż ław — król i Wrona, Hunric i Coelfrith, Coifi i Tondhelm — i wiedziała, że Paulin będzie zadowolony.

G

Król i jego najważniejsi ludzie — æthelingowie, Coelfrith, Paulin, Coifi — siedzieli na ławie z tyłu podestu. Mieszkańcy królestwa zasiedli we wznoszących się przed nimi rzędach. Kobiety siedziały z jednej strony na poziomie ziemi, nie na linii wzroku tanów. Nie miały prawa głosu podczas Witganmotu. Begu siedziała obok Hildy, pogryzając chleb, który przy śniadaniu włożyła do sakiewki. Jak zwykle o czymś mówiła. Mężczyźni — ubrani w najlepsze stroje, uginający się pod ciężarem złota, ze starannie natłuszczonymi wąsami — kolejno wstawali i składali przysięgę królowi, mówili, jaką złożyli daninę, i podawali liczbę włóczyń, jaką mogli zebrać na wezwanie króla. Wielu przemawiało kwiecicie; podobało im się brzmienie własnego głosu i uwaga zebranych.

Wiele kobiet otwarcie oceniało mężczyzn i plotkowało o tym, który byłby dobrym mężem, a z którym można by się było dobrze zabawić. Hilda słuchała głównie ptaków.

— ...Trum coś tam, nie pamiętam, co — powiedziała Begu. Pokazywała na stojącego mężczyznę w ciemnobrązowym stroju haftowanym złotem. — Czy to nie śliczny kolor? Jak wypolerowany żołądź, jak koń Ciana. Och, tak się ucieszyłam, że pokonał dzisiaj Lintlafa. Postawiłam na ten wyścig jeden z moich grzebieni. Nie, nie ten, który dostałam od ciebie! Nie mogłabym się go pozbyć. Ale wygrałam, więc mam teraz dwa dodatkowe grzebienie, dam ci jeden...

Hilda słuchała dobiegającego zza wzniesienia śpiewu pierwiosnka i pomyślała, że później może pójdzie trochę na zachód od Ad Gefrin, gdzie poprzedniego roku znalazła gniazdo drozda śpiewaka z ośmioma — ośmioma! — jajkami. Teraz jednak było prawdopodobnie za wcześnie na jajka.

Stopy króla podrygiwały, ale nawet król musiał słuchać przemawiających na Witganmot. W końcu jednak przemowy się skończyły. Wtedy król wstał, podszedł na przód podestu do totemu i wygłosił własną mowę, wychwalając siłę swoich ludzi, obfitość ich daniny, hojność, jaką im okaże w ciągu następnego roku w nagrodę za ich lojalność. Wymienił parę imion, czasami żartobliwie, czasami pochlebnie, sprawiając wszystkim przyjemność, że ich zauważył. Następnie stwierdził, że zakończy mowę, ponieważ szykuje się wspaniała uczta i kiedy wszyscy złożą swoje doniosłe oświadczenia w przedstawionej przez niego kwestii, będą mogli jeść do rana. Teraz jednak odda głos rzymskiemu księdzu wysokiej rangi, biskupowi Paulinowi. Paulin ma do przekazania posłanie od jego boga. Ten bóg przemówił także do króla we śnie na dworze Æthelberhta. Wszyscy znają tę historię, nie będzie więc jej tu powtarzać, lecz mają przyjąć, że słowa Paulina są słowami króla.

Tanowie podnieśli wrzawę i uderzali dłońmi w ławy.

Miejsce króla zajął Paulin. Jego biała szata haftowana na czerwono i żółto lśniła w słońcu. Stuła ze złotego brokatu musiała ważyć więcej niż prosię, a pastorał o złotej krzywaśni, który trzymał w lewej ręce, skrzył się od klejnotów. Kiedy Paulin uniósł prawą dłoń, jego pierścień zamigotał jak Earendal, Gwiazda Poranna.

Tanowie usiedli wygodniej, podziwiając pokaz bogactwa i potęgi, spodziewając się okraszanej pochlebstwami krótkiej, porywającej mowy o bogactwie i o wyrd, o królewskiej ochronie i sprycie Chrystusa, a także obietnicy dobrej pogody i powodzenia, sojuszów, siły broni oraz honoru.

Wrona zaczął dość dobrze; mówił głośno i wyraźnie, uważając na swój akcent. Powiedział, że biskup Rzymu ma wiele szacunku dla króla Anglów i że jego potęga i przychylność będą świecić nad wyspą jako znak jego błogosławieństwa oraz błogosławieństw Boga. Będą je honorować Frankowie, Fryzyjczycy i Rzymianie. Tutejsze bydło nabierze ciała, zboże wyrośnie wysoko, a gesithowie zgromadzą się wokół tufy, tworząc jeden naród pod władzą Boga. Wszyscy będą znać imię ich króla, Yffingów, nazwę Nortumbrii! Wystarczy tylko, że przyjmą Chrystusa jako swojego Boga, a wszyscy, którzy zgoda się z Paulinem, zostaną oczyszczeni w Źródle Życia.

Tanowie kiwali głowami i mamrotali między sobą. Piękne obietnice, dokładnie to, czego człowiek spodziewa się od boga.

— Pójdziemy wcześniej na ucztę — szepnęła Begu do Hildy.

W rzeczy samej jeden z tanów już wstał, żeby zaświadczyć o swojej zgodzie.

Lecz Paulin jeszcze nie skończył. Wbił w nich spojrzenie błyszczących oczu — tak ciemnych, tak obcych — i zaczął pouczać ich o Szatanie, o wypędzaniu księży wealh jako jego szpiegów, o poddawaniu się woli jedyne go prawdziwego Boga, który przemawia tylko przez swojego biskupa w Rzymie. Taka jest wola ich króla! Ich król tego żąda! Nakazuje to ich nowy Bóg!

Tan siedzący obok tego, który wstał, zawołał:

— Kim jest ten bóg, żeby rozkazywać królowi? Rozkazywać tanom?

Paulin zalał go potokiem słów. Nie mają wyboru, muszą posłuchać! Jeśli będą słuchać przykazań ich Boga, On wybawi ich od ziemskich kłopotów, ocali przed wieczną męką niegodziwych i na zawsze da im miejsce w swoim królestwie. Ale muszą Go słuchać. Muszą skłonić głowy.

Ostatnie słowa Paulina, wypowiedziane już z silnym akcentem, utonęły w pomruku niezadowolenia tanów.

Targowanie się? Byli do tego przyzwyczajeni. Namawianie? Tak, oczywiście. Przekupstwo i obietnice? Naturalnie. Ale rozkazy podporządkowania się? Nawet nie znają tego boga. Co dla nich zrobił? Czy była jakaś bitwa, którą ten bóg dla nich wygrał, albo żniwa, które uczynił niespodzianie bogatymi? A mimo to ten ksiądz chciał, żeby go słuchali. Czy on jest szalony?

Do akcji wkroczył Coifi. Wskoczył na podest i ruszył do przodu z wyciągniętymi rękami, żeby jego zielony jak liście płaszcz zafalował na wietrze.

— Wysłuchajcie mnie! Wysłuchajcie!

Wyszedł przed Paulina.

— Znacie mnie!

Nie mogli się nie zgodzić.

— Jestem głównym kapłanem głównego boga.

To było jeszcze bardziej bezsprzeczne.

— Spójrzcie na mnie!

— Robisz się coraz brzydszy! — krzyknął Tondhelm.

Śmiech.

— Czy jestem bogaty?

Marszczenie brwi.

— Pytam was, czy jestem bogaty? Nie. Dlaczego? Bo mój bóg nie jest tak potężny jak ten bóg Chrystus!

Begu szepnęła:

— Dlaczego on to mówi? Dlaczego...

— Świątynia Wodena jest zbudowana z drewna. Malowanego drewna. A w Rzymie maluje się szkło, które wygląda jak klejnoty, buduje się z kamienia, jak robili to dawni olbrzymi, sufity pokrywa się złotem!

Złotem.

— Woden jest wielkim, wspaniałym bogiem, lecz jest nowy bóg, potężniejszy od niego. Jego ołtarze powstają w coraz to nowych miejscach. Ci, którzy podróżowali do

Kentu, do Anglii Wschodniej, widzieli, jak bogaci są tamtejsi królowie, jak są hojni dla swoich tanów. — Coifi wskazał na Coelfritha, na Osrica, na innych, którzy siedzieli za nim na ławie. — Oni to widzieli.

— Widziałem! — zawołał Coelfrith.

— Gesithom, którzy przyjęli błogosławieństwo Chrystusa, dobrze się wiedzie — ciągnął Coifi. — Mają na swoich mieczach pierścienie, klejnoty na pasach, konie szybsze od wiatru.

— Czy on ma na myśli Ciana? — szepnęła Begu. — Chyba tak. Ciana! A ty mówiłaś, że to będzie nudne.

— Ten bóg Chrystus uczyni nas bogatszymi od Franków! Mówię wam prawdę. To nasza wyrd.

Siedzący za nim Coelfrith ponaglał wzrokiem kogoś w pierwszym rzędzie: teraz, teraz.

Mężczyzna zerwał się na nogi. Hunric.

— Królu Edwinie! Główny kapłan głównego boga na pewno wie! Jeśli ktokolwiek cokolwiek wie. Co bowiem mogą wiedzieć ludzie? Nasze pojmowanie jest podobne do pojmowania wróbla przelatującego przez królewską hallę w Gody. Na zewnątrz jest zimna ciemność i deszcz, w środku ciepłe palenisko i muzyka. Wróbel wlatuje jednymi drzwiami w światło i śmiech. A potem wylatuje drugimi z powrotem w ciemność. I ta chwila jest dla wróbla jak nasza chwila w śródziemiu. Ponieważ tak jak ten ptak nie wiemy nic o tym, co było przed chwilą obecną ani co się stanie potem.

— Ja wiem, co będzie potem! — zawołał Tondhelm. — Jedzenie!

— Jedzenie nigdzie nie odejdzie! — odkrzyknął Hunric. — Jeżeli kapłani mają rację, a mieli ją w śnie króla dawno temu, kiedy był tylko wygnanym æthelingiem. Spójrzcie na niego teraz! To nasz król! Zwierzchni król! Ludzie nie przebywają w śródziemiu długo. Jesteśmy jak ten wróbel oszołomieni chwilą pociechy. Jeśli księża mówią, że mogą nas nauczyć tego, co było przedtem, i dać obietnicę tego, co będzie potem, to uważam, że powinniśmy ich posłuchać!

Wstawali inni tanowie, którzy chcieli zabrać głos. Hilda zrozumiała, że spędzą tu całe popołudnie.

— Wróbel Hunrica to bardzo głupi wróbel — powiedziała do Begu. — Ptaki zawsze wiedzą, dokąd lecą.

— Nie bądź niemądra — odparła Begu. — Tu nie chodzi o tego ptaka. Tu chodzi o ludzi, którzy nie wiedzą, skąd on się wziął ani dokąd leci. Tak mi się wydaje.

— A więc ludzie są głupi. Wiem, gdzie wszystkie okoliczne ptaki mają gniazda.

— Jesteś rozdrażniona — stwierdziła Begu. — Zgłodniałaś? Zjedz ten chleb.

Zrobiła się jeszcze bardziej rozdrażniona, kiedy Gwladus, która wraz z Morudem czekała przy drzwiach wielkiej halli, powiedziała, że ucza jest opóźniona, a król wzywa ją do swojego małego pomieszczenia wraz z innymi doradcami. Podała Hildzie kawałek sera.

— Zjedz. To może trochę potrwać. Przybyło dwóch posłańców z trzema listami.

— Kiedy wszyscy słuchaliście tych mów, rozmawiał z nimi diakon — rzekł Morud. — Coś się kroi. Diakon miał niewyraźną minę.

Hilda weszła do pokoju w chwili, kiedy jeden z posłańców — obaj byli księżmi z rzymskimi tonsurami — rozwinął list. Inni wciąż przybywali. Paulina jeszcze nie było. Hilda zajęła miejsce obok Jakuba. Morud miał rację. Jakub był spocony pod linią włosów i mocno pobladł.

Ksiądz zaczął czytać po łacinie tym szczególnym, pełnym namaszczenia głosem, który, jak uświadomiła sobie Hilda, przyjmowali ludzie przyzwyczajeni do czekania na echo odbite od kamiennych ścian.

— Do prześwietnego Edwina, króla Anglów, od Bonifacego, biskupa, sługi sług Boga...

Króla Anglów, nie wszystkich Anglów.

Drugi ksiądz tłumaczył dźwięcznym głosem, bardziej pasującym do gobelinów i kątów królewskiej halli.

— Ludzkie słowo nie potrafi wyrazić potęgi najwyższego Boga...

Przynajmniej w tym Bonifacy, biskup Rzymu, przypominał scopa. „Ludzkie słowo nie potrafi wyrazić”... Zamierzał jednak spróbować, i to obszernie, sądząc z wyglądu tego listu.

Najwyraźniej Edwin właśnie doszedł do tego samego wniosku. Odchylił się do tyłu w swoim wielkim tronie, po prawej ręce mając swój sztandar, po lewej Coelfritha. Sprawiał wrażenie znudzonego i lekko zirytowanego. Na pewno był też głodny.

W końcu przyszedł Paulin z oczyma jak szparki, co przywodziło na myśl kota, który zabił gołębia. Trzy listy.

— ...Boski Majestat, który sam jeden stworzył niebo i ziemię, morze... Jemu podlega wszelka ziemską moc i władza, On bowiem nadaje godność królewską...

Król oparł podbródek na dłoni zwiniętej w pięść.

— ...Nasz Zbawiciel sprowadził w swojej łasce światło na naszego wspaniałego syna Eadbalda i podległe mu narody...

„Nasz wspaniały syn Eadbald”. Bonifacy stawiał się na równi z bogiem, a juckiego króla umieszczał na niższej ławie.

— ...Twoja królowa i prawdziwa partnerka...

Hilda uświadomiła sobie, że królowej nie ma w pomieszczeniu. Trzy listy.

— ...z miłością zachęca Wasze Królewskie Mości do zaprzestania bałwochwalstwa, odrzucenia pantomimy odgrywanej w świątyniach oraz oszukańczego pochlebstwa znaków wróżebnych i do uwierzenia w Boga Ojca Wszechmogącego i Jego Syna Jezusa Chrystusa, i w Ducha Świętego. Ta wiara uwolni was z niewoli Szatana...

Król zaczerwienił się, lecz niczego nieświadomy ksiądz brnął dalej.

— ...Nie potrafi zrozumieć, jak ludzie mogą być tak omamieni, by oddawać boską cześć przedmiotom, którym sami nadali postać ciała...

Tłumacz lekko się zawahał, lecz zaraz odzyskał rezon.

— Przyjmijcie posłanie od chrześcijańskich nauczycieli i dobrą nowinę, którą głoszą. Uwierzcie w Boga Ojca Wszechmogącego... Przekazujemy wam błogosławieństwo naszego obrońcy, błogosławionego Piotra, księcia apostołów. Razem z nim przesyłamy tunikę ze złotym szlakiem oraz płaszcz z Ancyry, prosząc Waszą Wysokość o przyjęcie tych darów z taką samą dobrą wolą, z jaką my je wysyłamy.

Tłumaczenie na mowę Anglów rozbrzmiewało jeszcze przez chwilę, po czym zapadła cisza.

Wszyscy patrzyli na króla.

— Ach, tak. Jestem w niewoli jakiegoś demona zwanego Szatanem, ale ten książe i ksiądz, Piotr, mnie ochroni. Dobrze usłyszałem?

Tłumacz przełknął ślinę.

— Ten rzymski biskup uważa się za mojego przybranego ojca i mówi mi, że jeśli będę grzeczny, to mogę okazać się prawie tak dobry jak jego syn, Eadbald. Jesteś pewien, że nic ci się nie pomyliło?

Ksiądz znowu przełknął ślinę i nie potrafił wydobyć słowa.

— Eadbald jest bratem mojej żony. Kentyjskim królem Jutów. Małego narodu, który zawdzięcza swoją dobrą sytuację Frankom. Ja natomiast jestem Edwin, zwierzchni król wszystkich Anglów. A zatem, księżu, jesteś pewien, że nic ci się nie pomyliło?

Paulin postąpił pół kroku do przodu.

— Jeśli król...

— Zamilknij! — Edwin nie odrywał wzroku od tłumacza. — Więc nie tylko jestem w niewoli demona, nie tylko mam zobowiązania wobec zaledwie księcia i usiłuję dorównać juckiemu królowi, ale mam być wdzięczny za tunikę, która jest oznaką przychylności podobnego bogu biskupa. Lepiej pokaż mi tę tunikę, tę cudowną tunikę, za którą z radością złożę hołd lenny jakiemuś księdzu w Rzymie.

Tłumacz, bładny jak kreda, nie poruszył się. To Paulin postąpił do przodu, wziął pakunek, rozwinął go i przykląkł przed tronem Edwina.

Edwin sięgnął po tunikę, strzepnął ją i uniósł do światła.

Była fioletowa i miała połysk jak jedwab.

— Pięknie się układa — rzekł Edwin. — Nie sądzicie?

Odpowiedziała mu martwa cisza.

Edwin uśmiechnął się do posłańców.

— Będzie odpowiedź.

Hilda nalala wino Jakubowi i sobie. Oboje wypili szybko. Ponownie napełniła kubki. Znowu wypili.

— Na Chrystusa, myślałem, że ich zabije — rzekł Jakub.

Wypili jeszcze.

— Nie, na Boga, myślałem, że zabije biskupa.

Edwin nie mógł zabić Paulina. Zamierzał popisywać się nim przed wszystkimi wielkimi rodami północy podczas podróży do Yorku na Wielkanoc.

— Król lubi odważnych.

— Ja się trząsałem jak meduza. Ale jestem tylko diakonem. Śmiertelnikiem mniej ważnym od biskupa. Chociaż właściwie on już jest praktycznie arcybiskupem.

— To było napisane w jego liście?

— O, tak. W dniu, w którym Anglowie przyjdą do Chrystusa, dostanie paliusz. Już go czuje na ramionach. Wtedy nie będzie musiał klękać przed arcybiskupem Justusem z Kentu.

Co sądziliby o tym Mercjanie? A Cadwallon? Zwierzchni biskup na dworze

zwierzchniego króla przechylał szalę na jego korzyść. Nici handlu, dziesięcin i zobowiązań miały przebiegać poprzez Edwina.

Podczas gdy Fryzycjcy zawsze handlowali bezpośrednio z Anglami ze wschodu i Sasami w Londynie, Frankowie zwracali się głównie do juckich mieszkańców Kentu. Justus, zwierzchni biskup Kentu i przełożony Paulina, podlegał bezpośrednio biskupowi Rzymu. Edwinowi nigdy się to nie podobało. Książdz zwierzchniego króla nie powinien stać niżej od księdza pomniejszego króla.

Lecz wkrótce Paulin sam zostanie zwierzchnim biskupem podległym bezpośrednio biskupowi Rzymu. I frankijski handel będzie przechodził przez nowe wïc w Yorku. Więcej złota oznaczało więcej gesithów, co z kolei oznaczało więcej zwycięstw i jeszcze więcej złota.

Księża Paulina już wzmocnili swoją władzę w Elmecie, odcinając informacjom drogę na północ, do Idingów.

Gwladus czesała Hildę, a Begu opowiedziała jej o liście papieża do królowej. Niewiele pamiętała oprócz tego, że było w nim coś o stawianiu się jednym ciałem z królem, kiedy ten przyjmie Chrystusa.

— Ale oni już to zrobili. Czy może ten papież myśli, że Eanflæda spadła z nieba? Albo może to jest to, na co czeka królowa przed odstawieniem Eanflædy od piersi. Jedna Eorðe wie, że jeśli królowa pragnie syna, powinna już zaczynać. Ale prezenty były ładne, srebrne zwierciadło, jakby się patrzyło w staw! I grzebień z kości i złota. Uczeszysz mnie po niej? — zapytała Gwladus, a potem znowu zwróciła się do Hildy: — Oczywiście nie jest taki ładny jak ten, który mam od ciebie, ale jest ciężki. Bardzo ciężki. Co, jak się nad tym zastanowić, jest głupie, bo kto chce mieć grzebień tak ciężki, że nie można go używać? Skoro już się odbył Witganmot, chyba znowu będziemy się pakować. Kiedy pojedziemy do Mulstanton?

— Po odwiedzinach w domu Osrica w Arbei.

— Jak długo tam będziemy?

— Niedługo.

— Nie podoba ci się tam, prawda? Słyszę to w twoim głosie.

Nie była tam od czasu, kiedy wraz z królem i trzydziestoma gesithami uszła stamtąd z życiem.

— Ja muszę jechać, ale ty nie. Moja matka mówi, że zaraz po przybyciu popłyniemy łodzią z Tinamutha do zatoki.

— Nie zostanie z Osrikiem?

— Musi omówić pewne sprawy z Onneną. Mogłabyś popłynąć z nią.

Begu się rozpromieniła.

— Och! Dom! Mógłby też popłynąć Cian. Prawda?

— Jeśli przekonasz królową, żeby przekonała króla, żeby mu pozwolił.

— A ty?

— Ja jestem jasnowidzącą króla. Ale nie zostaniemy w Arbei długo. Inaczej król zabiłby Osrica. Poza tym będę miała Gwladus.

Rozdział 17



Ujście wielkiej rzeki wyglądało jak inny kraj w innym czasie.

Dom w Arbei był bardzo stary, zbudowany z kamienia spojonego zaprawą i kryty łupkowymi dachówkami. Przez dwieście lat jego angielscy mieszkańcy dodali drewniane skrzydła kryte strzechą i w dwóch bokach wybili nowe drzwi, lecz zasadnicza struktura budynku oparła się zmianom. Nawet piekarnia była z kamienia, a wzdłuż południowej ściany biegła kamienna kolumnada. Ściany domu wznosiły się wysoko: była to forteca zbudowana przez tych samych Rzymian, którzy zbudowali wielki wał do nadzorowania całego handlu na północy. Ruda żelaza i srebro, perły i futra, pszenica i wełna: produkty angielskich pól, od królów północy, z Rhegedu, Alt Clut i Gododdinu, wszystko spływało do rzeki lub płynęło wzdłuż niej i wybrzeża. Tinamutha to był najlepszy port na północ od rzeki Humber.

Mężczyzna jest panem własnego dworu; Hilda nie znosiła dworu Osrica, nie znosiła wojowników leniuchujących w jego pomieszczeniach o dziwnych rozmiarach — rzymskich pomieszczeniach, jak z dumą oznajmił Osric — wojowników z jasnymi klingami, którzy najpierw zwracali wzrok na Osrica, a dopiero potem na króla. Patrzyła na przedramiona wszystkich spotykanych mężczyzn, szukając blizny, którą zostawił jej rzeźniczy seax tamtej dawno minionej koszmarnej nocy.

Wciąż śniła jej się ręka chwytająca za burtę łodzi, wypukłość mięśnia, napięte ścięgna. Raz po raz przeciągała po tej wypukłości swoją klingą, raz po raz skóra otwierała się jak kwiat, a ona patrzyła na tę rękę i widziała mięso, czerwoną kość, żółty tłuszcz, niebieską żyłę, mięsisty mięsień, a potem wspomnienie zalewała krew.

Jako jasnowidząca króla powinna przebywać w tych niedużych pomieszczeniach, żeby obserwować i słuchać mężczyzn, a także oceniać ich zainteresowanie tym, co Edwin i Paulin mówią im o Chrystusie i biskupie Rzymu oraz o zaletach silnej ręki dzierżącej tarczę i o przywilejach handlowych. Nie mogła jednak znaleźć sobie miejsca. Była niespokojna i czuła się uwięziona. Myślała o Hereswicie: „Mój mąż Etelryk nie porzucił tej kobiety... Jestem w ciąży”. Dała matce list; Breguswitha miała po drodze do Mulstanton znaleźć kogoś, kto udawał się na południe. Napisała: „Schlebiaj Sigebertowi. I popraw pismo albo każ pisać Furseyowi!”. Musiała wiedzieć, co się tam dzieje.

Zamiast więc siedzieć w dziwnych zimnych pomieszczeniach, nie zwracając uwagi na własny strach i rzucane z ukosa spojrzenia ludzi Osrica, wędrowała po estuarium, topiąc sny w niezliczonych stadach ptaków — gęsi i brodziec, ostrygojadów i rybitw, czajek i siewek oraz przylatujących tłumnie przez dwa dni czapli siwych i czapli białych. Odleciały trzeciego dnia o świcie, a przybrzeżne równiny błotne zrobiły się puste, płaskie i brzydko woniejące. Czy tak właśnie wygląda bagno Hereswithy?

Zeszła do portu, gdzie patrzyła, jak mężczyźni i nieliczne kobiety przybijają ze

złowionymi dorszami, łupaczami, makrelami i śledziami, a nad nimi krążą hałaśliwe, kłótlive mewy. Dalej na wodzie pojawiały się i znikwały głowy fok. Zastanawiała się, jakby to było pływać nago w ciężkiej, zimnej wodzie. Unosić się na falach morskiej wody, a nie polityki.

Tej nocy śniła o morskiej wodzie opływającej jej lśniąca skórę oraz o lataniu pod wodą i nad nią. Obudziła się w nikłym świetle brzasku, drżąc z rozkosznego, nieokreślonego pragnienia. Śpiąca przy łóżku Hildy Gwladus nie poruszyła się. Hilda przez chwilę ją obserwowała. Krzywizna jej policzka i ramię, z którego zsunęła się koszula, miały połysk świeżej śmietanki czekającej na polizanie.

Powiodła wzrokiem po sylwetce Gwladus pod kocem, po talii rozszerzającej się w biodra. Cięży nie było widać. Zaleciłaby jej miętę i woskownicę, ewentualnie pietruszkę, ale jeszcze ich nie widziała tak daleko na północy, a nie były to zioła, które wozila ze sobą.

Następnego wieczoru, kiedy król pił miód ze swoim gospodarzem, synami, tanami i doradcami, Hilda do nich dołączyła. Była tam jedyną kobietą. Patrzyła na biesiadujących, wciąż mając przed oczyma lecące ptaki i nurkujące foki. Jeden z tanów Osrica dotknął swojego amuletu i uczynił ręką znak.

Edwin rzucił w niego kością kaczki.

— Nie podoba ci się moja jasnowidząca? Jesteś w dobrym towarzystwie. Mój ulubiony biskup też jej nie lubi. Prawie się spodziewa, że kiedy będzie chrzczona w Wielkanoc, rozpłynie się z wrzaskiem w chmurze oleistego dymu.

Osfrith, który siedział obok Hildy i był do niej przyzwyczajony, roześmiał się; inni ostrożnie poszli w jego ślady. Hildzie przyszło do głowy, że młodszy ætheling jest już postrzegany jako mężczyzna, z którym można się śmiać, mężczyzna samodzielny, a nie młokos. Po ślubie znalazł własną drogę. Stawał się królewskim przedstawicielem w kwestiach handlu i prowadził związane z tym negocjacje z innymi królami i wodzami tak, jak jego brat Eadfrith negocjował sprawy państwowe.

Mimo że mężczyźni się śmiali, Hilda zobaczyła w oczach Edwina niezadowolenie, tak jak wtedy, gdy uśmiechał się do Eorpwalda w Rendlesham. Pamiętała, co Begu mówiła jej o liście papieża do królowej. „Jedno ciało z królem, kiedy ten przyjmie Chrystusa”. Æthelingowie mogą być użyteczni, lecz zwierzchni król nie akceptuje rywala. List papieża, poparty przez Paulina, kiedy już zostanie głównym księdzem Anglów, może wystarczyć do stępienia zębów rywalowi. Rywalizacja — choroba królów.

Hilda uświadomiła sobie, że spoczywa na niej nieruchomy wzrok Paulina. Jego nos jeszcze bardziej niż zwykle przypominał ostrze, a mięśnie wokół ust zastygły w surowym grymasie. Był zły nie tylko ze względu na jej obecność, ale i na nazwanie go ulubionym biskupem i wyjawienie jego myśli. Szlachetny gniew — choroba biskupów.

Odgłos nalewania miodu do srebrnego pucharu przy jej dłoni wydał się Hildzie nienaturalnie głośny. Ręka ładnej służącej — nie tak ładnej jak Gwladus — trzęsła się. Hilda pokazała gestem, że nie chce więcej miodu; gdyby kobieta rozlała coś przy stole zwierzchniego króla, zostałaby wychłostana. Unosząca się woń strachu — choroba jasnowidzów.

Podniosła puchar. Wszyscy patrzyli na nią. Obróciła puchar w dłoni. Rywalizacja,

gniew, strach.

— Mam puchar podobny do tego — powiedziała. — To dar od naszego hojnego zwierzchniego króla. Za Lindum.

Uśmiechnęła się do nich nad krawędzią naczynia.

Odwrócili wzrok. Wszyscy słyszeli o czynach jasnowidzącej pod Lindum.

Edwin się roześmiał.

— Może powinienem dać jej coś za Bebbanburg.

Wszyscy zeszywnieli — jak błoto ujścia wysychające na słońcu, pomyślała Hilda, zdradliwe, wciągające bagno pod popękaną powierzchnią.

Bebbanburg. Osric zawsze zaprzeczał, że zdradził ich Irlandczykom, a Edwin, który wówczas nie czuł się zbyt bezpiecznie, uznał, iż przyjęcie słowa Osrica jest roztropne. Osric był Yffingiem, miał królewskie roszczenia i ludzi, którzy mogli je poprzeć. Przy kłębiących się Irlandczykach i niedorosłych æthelingach król potrzebował kuzyna, lecz teraz Osric był po prostu kolejnym rywalem.

Hilda upiła łyk miodu. Dobry, bardzo dobry. Pociągnęła jeszcze jeden łyk, posmakowała, przełknęła.

— Dobry miód — powiedziała do Osrica, ale tak głośno, by usłyszano ją przy najdalszych stołach. — Od pszczoł z południa. Nie, z jeszcze dalszych krain, stamtąd, gdzie kwitną orzechowe gaje i maki. — Skoro o tym pomyślała, było to oczywiste. — Nie powiedziałaś nam, że handlujesz z Frankami, kuzynie.

Cisza zataczała coraz większe kręgi.

Edwin spojrzał na Hildę, kiwając głową. Oczy miał zwykłe, nie czarne pośrodku i okolone falującą zielenią. Nie był zaskoczony. Czekał tylko, by otwarcie to stwierdziła. Hilda oddała mu skinienie i uniosła puchar, jakby wiedziała od tygodnia i tylko czekała na właściwy moment. Serce jej jednak waliło. To takie oczywiste, a ona prawie to przeoczyła. Prawie nie zauważyła.

Edwin uśmiechnął się do Osrica, ukazując zbyt wiele zębów.

— Frankowie, krewniaku?

Słowu „krewniaku” nadał szczególne brzmienie. Wszyscy usłyszeli groźbę: na pokrewieństwie można zajechać tylko do pewnego punktu. Edwin pociągnął łyk frankijskiego miodu.

— Kiedy dotrzemy do Yorku na chrzest, wezmę swoją część zysków z tego handlu. Biskup niewątpliwie wstawi się za tobą u swojego boga, kiedy taką samą sumę ofiarujesz na chwałę i upiększenie jego nowego kościoła.

Osric był królem swojej halli w Tinamutha, lecz tutaj, nad Zatoką Wici, królem halli był Mulstan.

Stał z pucharem w ręce i wygłaszał jedną ze swoich rozwlekłych, lecz płynących prosto z serca mów na powitanie króla i jego świty w jego skromnym domostwie. Domostwie, które bratanica króla zechciała uświetnić swoją obecnością zaledwie przed kilku laty, a dzięki tej wizycie poznał swoją drogą żonę i panią, Onnenę...

Widok wszystkich ludzi z jej życia zgromadzonych w jednym miejscu zrobił na Hildzie niesamowite wrażenie. Po prawej ręce Onneny siedział Mulstan, a po lewej Cian i Begu. Po prawej ręce Mulstana król bez swojej zwykłej koterii — Paulin, Osric

i æthelingowie pojechali z Arbei prosto do Yorku. Hilda postanowiła usiąść po lewej stronie, z ludźmi Onneny, a zatem także ze swoją matką.

Breguswitha i Onnena doszły do pewnego porozumienia. Begu przekazała Hildzie tę wiadomość jednym tchem tego popołudnia, pomieszana z wieściami o Cædmonie i Winty — to znaczy cielęciu cielęcia Winty, które wyglądało dokładnie tak samo, miało nawet złociste czubki uszu — oraz o Guenmonie. Begu uważała, że Guenmona i Gwladus bardzo się polubią. No i niech tylko Hilda zobaczy bliźnięta Onneny! Tłuste jak gęsi i tylko odrobinę mniej bezzębne. Och, ale Hilda nie lubi gęsi. Tłuste jak, jak... gołębie! Ale Bán, bardzo przykro jej to mówić, Bán zmarł według Onneny ostatniej zimy na ten straszny kaszel, który zdziesiątkował ludzi wokół zatoki. Jego pies, cóż, to bardzo smutne. Jego pies zdechł miesiąc przed Bánem...

— Dlaczego masz taką markotną minę? — zapytała matka, kiedy Mulstan zakończył mowę i zawołał na Swefreda, żeby zagrał „tę pieśń, no, wiesz, którą”. — Nie tak to pamiętasz?

— Jest tak samo. Nawet jemy węgorsze Celfledy. Swefred odśpiewa opowieść o upiorze, który nawiedza wodorosty, i będzie podejrzliwie patrzył na każdego, kto zbyt go pochwali.

— Ale?

— Ale brakuje kilku osób.

— Tak. — Dotknęła dłonią policzka Hildy, co tak bardzo ją zaskoczyło, że prawie przewróciła puchar. — Zawsze kogoś brakuje. Czasami widzę ich duchy.

Spojrzała na Ciana, który śmiał się z czegoś, co powiedziała Begu; w wypolerowanej kolczudze i z długimi kasztanowymi włosami opadającymi na ramiona w każdym calu wyglądał na księcia wychowanka. Jego oczy lśniły, mięśnie błyszcząły jak natłuszczone prosięta, kości były mocne jak dąb. Był najwyższym mężczyzną w halli i lśnił najjaśniej. Młody bóg.

Nigdy jeszcze nie mówiły o tym tak szczerze.

— Przeszkadza ci to? — zapytała Hilda.

— Jeśli nawet, to nie winię ani syna, ani jego matki. Już nie. — Kolejny wybuch śmiechu gdzieś dalej przy stole. — Nawet śmieje się tak samo.

Hildzie nagle przypomniało się, jak ojciec podrzucał ją w powietrze, żeby się śmiała, ale nie dowierzała temu wspomnieniu.

— Czy podrzucał Hereswithę w powietrze, żeby ją rozśmieszyć?

Breguswitha skinęła głową.

— Lubił patrzeć, jak jej włosy powiewają i lśnią w słońcu. Ale Hereswicie się to nie podobało i płakała.

— Tęsknię za nią.

Breguswitha znowu skinęła głową. Od dawna nie były tak ze sobą zgodne.

— Ale tam, gdzie jest, powodzi jej się dość dobrze. Wyśnij dla niej dziś w nocy syna, to może Eorðe usłyszysz.

— Nie powinnaś się modlić do tego Chrystusa?

— Ach, zapomniałam — powiedziała Breguswitha z uśmiechem.

Fursey nie dowierzałby temu uśmiechowi, lecz Furseya tu nie było. Poza tym

znalazłby takie samo remedium.

— Namówmy Onnenę, żeby dała nam trochę tego galijskiego wina, które zawsze ma odłożone Mulstan. A potem się napijemy. Dużo. Za tych, których nie ma.

Tej nocy Hildzie śniło się, że kuca nad prostym jak włócznia rowem odwadniającym. Wysoko na niebie pędziły chmury szare jak cyna, klekotały gałązki wierzb. Wzdłuż brzegu sunęli łodzią Bán i jego pies, Cú. Bán obcinał witki nożykiem, który błyskał w wodnistym świetle. Hilda wstała i pomachała ręką. Bán się uśmiechnął, a Cú radośnie wywalił jęzor.

Hilda i Cian szli ścieżką wzdłuż strumienia kowala. Pod drzewami panował mrok, a na wodę, gdzie jeszcze śmigwały nietoperze, padały długie ukośne cienie. Rzeka pachniała nocą, lecz wczesnowiosenna, jasnozielona trawa rosnąca wzdłuż ścieżki pachniała porankiem, świeżym i ostrym jak dopiero co wykute żelazo.

Kilka dzieciaków pstrych śmignęło w wiązy i natychmiast zaczęło w nie stukać.

— Robią tak co wiosnę — powiedział Cian. Zatrzymał się. — Jak banda drwali.

Ptaki umilkły, potem zastukał jeden, umilkł, zastukał inny i też umilkł, odezwał się następny.

— Raczej jak Witganmot — rzekła Hilda.

— Ale krócej! — dodali razem i się roześmiali.

Przeszli jeszcze kawałek.

— Kiedy wyjechałaś, często tu przychodziłem. Brakowało mi tego, że pokazywałaś mi różne rzeczy i czyniłaś je magicznymi. Postanowiłem więc znajdować je sam. Jak to. — Sięgnął w górę do młodych gałązek brzozy i ściągnął garść młodych listków, bladych jak oczy kociątka. Kilka włożył sobie do ust, a resztę podał Hildzie. — Smakują jak szczaw.

Poszli do kuźni, gdzie ogień nie był jeszcze wystarczająco gorący. Kowal ucieszył się, że może porozmawiać o stali i ostrzach z przybranym synem tana. Cały czas patrzył na seax Hildy, więc w końcu ulitowała się, wyjęła nóż z pochwy i podała go Cianowi rękojeścią do przodu.

— Piękny — ocenił. — Północna robota. Poprawię ostrze, dobrze?

Kiedy wracali, tam, gdzie poprzednio latały nietoperze, teraz polowały zimorodki. Nastął poranek.

Cian westchnął.

— Tak bardzo będziesz za tym tęsknił?

Nie odpowiedział, a po chwili się otrząsnął.

— Mam jeszcze trzy dni. Begu będzie chciała pokazać ci wszystkie krowy.

— Cielę cielęcia Winty.

— A ja chcę, żebyś zobaczyła, jak ćwiczę z Mulstanem. To przebiegły stary byk. Mogę się założyć, że nie zdołałabyś go sprowokować do upuszczenia tarczy.

— Mogę się założyć, że zdołałabym.

Szturchnęła go, on szturchnął ją, a potem położył jej rękę na ramieniu, a ona chwyciła go za pas i szli tak blisko siebie aż do samej halli.

Na ich widok Onnena przerwała karcenie służącego za pajęczyny, które znalazła w jakimś ciemnym kącie.

— Mamo, czy jest tu gdzieś Mulstan? Chcę, żeby Hilda popatrzyła, jak walczymy na miecze.

— Poszedł na spacer z synem Celfledy.

— Myślałem, że już to sobie wyjaśnili.

Onnena skrzyżowała ramiona na piersi.

— Znasz Celfledę. Nic nigdy nie jest wyjaśnione. — Skinieniem głowy odprawiła służącego i zwróciła się do Hildy: — Guenmona zrobiła paszteciki, które tak lubisz. Weźmiemy je ze sobą na południowe urwisko, gdzie rozpala się wici.

To nie była propozycja.

Hilda nalegała, żeby poszli wszyscy razem. Onnena jednak dobrze ją znała i wiedziała, jak sobie poradzić. Podała dziewczynie małego Onstana, a sama wzięła na rękę Mulfrythę.

Oczywiście „mały” nie było odpowiednim słowem. Każde z bliźniąt ważyło więcej niż półroczne jagnię.

Tak jak chciała Hilda, Cian z woreczkiem pasztecików Guenmony, który przewieszał z ramienia na ramię, paplająca Begu i Breguswitha szli przed nimi stromą ścieżką, podciągając się na skarłowaciałych, jeszcze pozbawionych liści drzewkach.

W miarę jak Onnena i Hilda coraz bardziej zostawały w tyle, a paplanina Begu cichła, jedynym dźwiękiem stawał się szmer wiatru w kolcolistach, trawie i ostach oraz dochodzący z dołu monotony szum i huk przyboju.

Hilda, która miała młode zdrowe nogi i młode płuca, wspinała się szybciej. Onnena nadążała za nią, jak mogła. Kiedy dotarła na szczyt, ciężko dyszała. Hilda podała jej rękę i wciągnęła na górę.

Dziewczyna przynajmniej wciąż umiała się zachować. Może i patrzyła tęsknie na rozpadający się kościółek i naprawiony koleczasty żywopłot, ale została z Onneną, dopóki ta nie złapała tchu. Pozostali prowadzeni przez Begu byli już w połowie drogi do starej wieży sygnałowej, która od czasu, kiedy Hilda wspięła się tu ostatni raz, chyba straciła kilka kamieni.

Stały obok siebie tyłem do wiatru i patrzyły ku południowemu wschodowi, trochę na morze, a trochę na postacie w dali. Begu się zatrzymała i pokazywała coś ze śmiechem. Powietrze pachniało solą.

Hilda przełożyła Onstana na drugą rękę. Mocno spał z kciukiem w ustach.

— Jest duży jak na swój wiek — powiedziała.

— Mulfrytha jest większa. Jest podobna do ojca. Niestety, ma też jego nos.

Hilda pochyliła się, żeby przyjrzeć się twarzyczce dziewczynki. Mała otworzyła oczy — jasnobrązowe, niemal bursztynowe i bardzo bystre.

— Jastrzębie — rzekła Hilda. — Begu powiedziała, że są jak gęsi, ale to nieprawda.

— Ta dwójka to teraz cały mój świat. — Onnena sięgnęła ręką i podciągnęła Onstanowi kocyk pod brodę. — Nie ponoszę już odpowiedzialności za Begu. Ponosisz ją ty.

— Tak.

Wiatr zmienił kierunek i Onnienie wydało się, że słyszy dzwonki krów.

W ciągu tych lat powiedziała dziewczynie wiele trudnych rzeczy, lecz ta mogła się

okazać najtrudniejsza. Hilda była za mała, by zrozumieć jej głębię, ale musiała zrozumieć jej wagę.

Ruchem głowy pokazała na odległą postać Ciana, który znowu poprawiał tobolek.

— Nigdy nie lubił nosić czegoś, co nie jest mieczem.

Dziewczyna skinęła głową.

— Jesteście sobie bardzo bliscy — rzekła Onnena.

Hilda zerknęła na nią.

— Tak.

Onnena chciała ją przytulić, przygładzić jej włosy, pocieszyć. Uciszyła serce.

— Nie możesz go mieć.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Co...

— Kiedyś zrozumiesz. Na razie słuchaj.

Hilda wbiła w nią spojrzenie: czyste, bystre, uparte. Cian był jej synem.

— Nie możesz go mieć. I nie możesz mu powiedzieć dlaczego. Utrzymywanie go w niewiedzy zapewnia mu bezpieczeństwo. Zawsze z niego promieniuje wszystko, co wie. Jak z latarni.

Teraz oczy dziewczyny zmieniły wyraz. Przynajmniej to rozumie.

W dole na plażę wtaczały się długimi swobodnymi szeregami fale przyływu. Dziewczyna powiedziała, patrząc na nie:

— Nie powiedziałam mu. I nigdy nie powiem. — Wysoko nad nimi krążyła z krzykiem czarnogłowa mewa. Hilda uniosła głowę, by ją śledzić. — Lecz moja matka mówi, że luki wypełnia plotka.

— Nie myli się. — To był problem. Matka i córka tak rzadko się myliły, że obie uznawały się za nieomyłne. — Tak. Znowu zacznę opowiadać, jak Cian dostał miecz od Cerediga. Powiem Guenmonie. Ona już to wie, ale przypomnę jej. A tego, co wie Guenmona, dowiadują się wszyscy wealh. Łącznie z gośćmi. Wtedy dowie się król.

— On już zna tę historię. Ja mu ją opowiedziałam.

— Ale w ten sposób dowie się, że znają ją wszyscy. A ona wyprze każdą inną, jaka mogłaby powstać. Skoro Elmet całkowicie należy do Edwina, uważanie Ciana za syna Cerediga czyni go użytecznym dla króla. Użyteczni ludzie zostają przy życiu.

Hilda poszła do kuchni i podziękowała Guenmonie za paszteciki.

— Czy było z nimi coś nie tak? — zapytała Guenmona.

— Nie, smakowały mi.

— Nie musisz udawać zaskoczonej.

— Nie o to... — Nie miała pojęcia, jak wyjaśnić zagadkową rozmowę, jaką właśnie odbyła z Onneną. — Cieszę się, że pamiętałaś, iż lubię estragon.

— Oczywiście, że pamiętam. Podaj mi z góry jeden z tych kubków. — Hilda podała jej kubek. — Pamiętam też, jak kiedyś musiałaś stawać na stołku. Nie odchodź, chcę z tobą porozmawiać.

Kolejna rozmowa. Hilda miała nadzieję, że zrozumie przynajmniej tę. Patrzyła, jak Guenmona odmierza i rozdrabnia przyprawy, a potem przesypuje je do dwóch miedzianych kubków.

— Dobrze. — Guenmona podała Hildzie kubek z przyprawionym winem. —
Chodzi o twoją służącą.

— Gwladus? O co chodzi? Gdzie ona jest?

— Źle się czuje. Dałam jej coś do picia.

— Co...

— Coś, co powinnaś była jej podać dwa tygodnie temu.

— Ona...

— Już nie.

— Czy to...

— Dziecko nie ma znaczenia. I tak byłoby tylko niewolnikiem. Ale strata dziecka boli. Boli. — Przez chwilę Guenmona sprawiała wrażenie pozbawionej blasku, ale zaraz się otrząsnęła ze zniecierpliwieniem. — Już się stało. Ale musisz dopilnować, by się nie powtórzyło. Ta dziewczyna należy do ciebie. Chroń ją.

Przez następne dwa dni blada i wolno poruszająca się Gwladus pozostawała pod opieką Guenmony; Begu z radością odnawiała znajomości z krowami i kozami; Cian popisywał się swoim ozdobionym pierścieniem mieczem przed młodzieńcami z halli; Breguswitha i Onnena całymi godzinami zbierały zioła i rozmawiały o dawnych czasach albo siedziały na słońcu i razem tkwały, mając u boku bliźnięta. Król omawiał z Mulstanem warunki handlu, pogodę na morzu i nowy wic w Yorku. Nikt nie potrzebował jasnowidzącej.

Hilda z radością uciekała przed odpowiedzialnością, której nie całkiem rozumiała, spacerowała więc po wrzosowisku.

Obserwowała obracającego się w powietrzu i nurkującego nad kolcolistami i wrzosami jastrzębia, który krzyczał jak mewa. Nie widziała drugiego; może też wlatywał i pikował dla samej radości latania. Szła wzdłuż krawędzi urwiska, zatrzymując się, by posłuchać, jak świergotki budują gniazdo w skalnej szczelinie i jak samiec karmi samicę żukami. Wkrótce pojawią się jajka.

Kiedy w ogóle myślała, myślała po brytyjsku, w języku wyniosłych miejsc, dzikich, czujnych i ostrożnych istot. W języku oporu i zawołowanych znaczeń.

Wspinała się po ścieżkach rano i wieczorem, wdychała przesycone solą ostre powietrze, patrzyła, jak powolny wiosenny zmierzch zaciska się wokół wybrzeża niczym żmija, a morze zmienia się w gagat. Cieszyła się, że jest sama, wolna, że znajduje się wysoko nad światem, skąd może widzieć wszystko, co się do niej zbliża. Ma pod swoją opieką ludzi.

Ostatniego popołudnia przeszła po piasku, kamykach i długiej nadmorskiej trawie cztery mile na północ wzdłuż wybrzeża. Przy jednym strumyku, gdzie wśród długiej trawy rosły niskie splecione głogi i kolcolisty, znalazła rząd maleńkich strzyżyków i mysząt nabitych na ciernie: robota dzierzby, ptaka-rzeźnika.

Przeszła pół mili w głąb lądu, sprawdzając żywopłoty z tarniny, ale jedyne gniazdo, jakie znalazła, było opuszczone. Obok niego na cierniach wisały dwie gąsienice i pszczoła: robota młodych. Wszystkie, mistrz i uczniowie, już odleciały do cieplejszych krajów. Tak jak królowie pustoszyli okolicę, a potem przemieszczali się dalej, zostawiając trofea wiszące na blankach, gdzie wysychały na wiór i głośiły wszem wobec: „Moja

ziemia, moje prawo”.

Hilda stała z Breguswithą przy relingu na rufie, patrząc na przesuwany się świat i rozwijający się kilwater. Rzeka Humber była brązowa jak kapelusz grzyba, jeszcze gęsta od wiosennego mułu. W miarę jak posuwali się na zachód w głąb ładu, przybrzeżne równiny błotne zmieniały się w pofałdowaną wyżynę, połacie kołyszącej się zielonej trawy upstrzone szarymi owcami i białymi puszkami jagniąt.

— Dużo jagniąt w tym roku — odezwała się matka. — A ich matki mają po ostrej zimie dobrą, gęstą wełnę.

Hilda skinęła głową, bezmyślnie wpatrując się w kilwater i kędziorki brudnej piany, które wciąż rodziły się i umierały wzdłuż zagłębienia, jakie zostawiali na wodzie. Był w tym jakiś wzór, ale Hildzie brakowało słów, by go opisać.

— Rozmawiałam z Onneną o Aberfordzie i wīc w Yorku. Będzie wypatrywać dobrej wełny przywożonej z północy, z Tinamutha. Tak jak mówiłaś, Aberford będzie dobrym miejscem do gromadzenia, sortowania i przedzenia w zimie. Chociaż uważam, że przydałoby się też jakieś miejsce nad tą rzeką.

Hilda lubiła słuchać, jak matka planuje budowanie zamiast niszczenia czy odbierania. Dawało jej to poczucie bezpieczeństwa jak spiżarnia pełna jedzenia na miesiąc przed nastaniem wiosny. Czuli, że ich sieć, ich wątek i osnowa, jest rozległa i mocna.

— Mając do dyspozycji wīc w Yorku i Lindum, sami możemy docierać do Fryzyczyków i Franków. Nie będziemy musieli przechodzić przez Gipswīc, gdzie nadąsany Eorpwald bierze swój udział. Przez Tinamutha i Zatokę Wici będą płynąć towary do mieszkańców północy, a nawet na zachód do Rhegedu i na wschód za Morze Północne.

Na brzegu jakaś kobieta w sukni podwiniętej do pasa wrzuciła coś do koszyka z kory i osłoniła oczy, by popatrzeć na przepływający statek.

— Ale nie do Irlandczyków.

Breguswitha pokręciła głową.

— Ani do Szkotów. Ten handel wciąż obsługuje Gwynedd. I ma wspaniałego, wielkopańskiego gesitha, który wychwala tamtejsze towary. — Pokazała ruchem głowy na Ciana, który, odrzuciwszy na plecy krzykliwy płaszcz, opierał się wraz z Lintlafem o reling w połowie statku i wypowiadał uwagi na temat ludzi, w większości kobiet pracujących na dziobie. Lintlaf podał mu dzban piwa, z którego pił, ale Cian pokręcił głową. — Musimy zrobić mu dobry angielski płaszcz, który spodoba mu się bardziej.

— Podoba mi się ten płaszcz. Pasuje do niego — powiedziała Hilda.

— Potrzeba mu czegoś niebieskiego. W takim kolorze, który kobietom z Nortumbrii udaje się najlepiej na świecie.

— Ale nie w królewskim błękitcie.

— Nie.

Woda chlupotała, żagiel furkotał.

— Na pewno król wkrótce pokaże Cadwallonowi i Gwyneddowi ich miejsce — powiedziała Breguswitha. — No i zawsze jest Dyfneint.

— Znasz kogoś w Dyfneincie?

Breguswitha pokręciła głową.

— Ja też nie — powiedziała Hilda, obserwując, jak Lintlaf patrzy na Gwladus, która stała nad Morudem i ze swoją energią pouczała go, jak należy właściwie szorować garnek.
— Ale znam kogoś, kto zna.

Kiedy statek przybił do przystani na południowym brzegu Ouse, zapadł już wieczór. Rzucono liny, z dziobu i rufy przerzucono trapy i ludzie zeszli na brzeg ze zwykłą wrzawą zwiastującą rychłą katastrofę i sprawny rozładunek, którą Hilda nauczyła się wiązać z zetknięciem statku z lądem. Pokład był pełen ludzi, wszyscy coś krzyczeli i wszyscy coś nieśli. Statek, mocno przycumowany do nabrzeża, sprawiał wrażenie sztywnego i pozbawionego życia.

Na błotnistym skrawku ziemi obok mostu czekał już król i większość jego świty. Konie kręciły się. Hilda stała przy przednim trapie i szukała wzrokiem Gwladus. Wydawało jej się, że wśród mężczyzn wyjmujących maszt z gniazda mignęły jej jasne włosy. Tak, w połowie statku, przyparta do relingu na lewej burcie...

— Nie — powiedziała Hilda; jakiś mężczyzna odwrócił się, myśląc, że mówi do niego.

— Pani?

— Z drogi — warknęła, podnosząc drewniany kołek.

Zatrzymała się przed Lintlafem i Gwladus. Lintlaf odwrócił się, wciąż mocno trzymając Gwladus za rękę. Był pijany.

— Gwladus, zaniesiesz moją torbę na brzeg. Natychmiast — rzekła Hilda.

Lintlaf stał oszołomiony jak byk wyprowadzony z obory. Hilda postukała w jego dłoń końcem kołka.

Zamrugął, puścił rękę Gwladus. Dziewczyna roztarła ją, mierząc Lintlafa wzrokiem.

— Suka — rzekł Lintlaf.

Z ust wionęło mu piwem.

Gwladus splunęła na niego. Lintlaf uniósł rękę.

Hilda przyciągnęła jego wzrok ruchem kołka.

— Nie dotykaj jej.

Położył dłoń na swoim seaksie.

Zważyła kołek w dłoni: dobra, sezonowana dębina.

— Złamię ci rękę.

— Ona jest wealh.

Mocno wsparła stopy o pokład.

— Jest moja.

Twarz Lintlafa zmarszczyła się jak sakiewka z zaciągniętym sznurkiem.

— Ach tak. Dzieweczka wreszcie zrozumiała, o co tu chodzi.

Ponownie zważyła kołek w dłoni.

— Nie będziesz jej dotykać.

Zastanowił się, splunął, zdjął rękę z seaksa.

— Jest zepsuta, zepsuta i ponura. Weź ją sobie.

Odepchnął się od relingu i podszedł ostrożnie do trapu.

Gwladus objęła Hildę w pasie i szepnęła jej do ucha:

— Dziękuję, pani. — Cofnęła się o krok. — Gdzie jest twoja torba?

— Moja torba?

Przez chwilę nie wiedziała, o czym mówi Gwladus. Wciąż czuła w uchu ten ciepły szept. Chwyciła reling. Czy ktoś odcumował statek?

— Jest — powiedziała Gwladus i odeszła, zostawiając Hildę z kołkiem w jednej ręce i relingiem w drugiej.

Dziwnie było znaleźć się w Yorku zaledwie kilka tygodni po Bebbanburgu i Yeavingingu. Nowe skrzydło kobiet, rząd komnat odchodzących pod kątem prostym od halli, było już gotowe. Hilda dzieliła z Begu trzy niewielkie pomieszczenia: sypialnię z wejściem zasłoniętym tkaniną, prowadzącym do komnaty, gdzie spała Gwladus i inne kobiety, i dalej odgradzoną od niej mocnymi drzwiami następną komnatę, w której spał Morud i jakiś strażnik, często Oeric. U wejścia do korytarza wartę nad całym skrzydłem — apartamentami królowej, Clotrudy i Breguswithy — trzymali ludzie królowej.

Podobnie jak dom Osrica w Arbei, trzon tego stanowiły kamienie i cegły, lecz został odbudowany z użyciem wiązu, dębu i sosny oraz obwieszony gobelinami i haftami. Łóżko Begu i Hildy było duże, w jego nogach stała wyściełana ława, a pod wysokim oknem w północno-zachodniej ścianie nieduży stolik. Okiennica była teraz zamknięta, ale nie stanowiła przeszkody dla zapachu drożdży i rosnącego ciasta, a rano chleba piekącego się w ogromnych piecach umieszczonych od wschodu. W komnacie znajdowały się specjalnie zbudowane wyłożone polerowanym łupkiem półki na lampy.

Pałała się tam teraz cienka świeczka oświetlająca kolację.

Begu pochyliła się, sięgając po piwo, i kosmyk jej włosów zamoczył się w potrawce z jagnięciny. Hilda uniosła go bez słowa.

— Jak mają mi nie wpadać do wszystkiego, skoro muszą być wolno puszczone na uroczystość? A jeśli rano będzie wietrznie?

Będzie wietrznie. Był Æstremonath.

— Mury powinny osłonić kościół.

Budowany na dziedzińcu *principium* kościół składał się jedynie ze szkieletu i dachu.

Begu wyssała kosmyk do czysta i wplotła go z powrotem do warkocza.

— Zjedz jeszcze trochę. Kto wie, jak długo będziemy jutro musiały być głodne.

Chrzest króla wymagał większych uroczystości niż chrzest niemowlęcia. Króla, dwóch Æthelingów, Hildy i Begu, Osrica, Oswine'a i małej Osthrythy, Coelfritha, Coifiego oraz kilkudziesięciu tanów i gesithów, w tym Oerica.

Hilda zjadła jeszcze trochę potrawki.

— Mam nadzieję, że nie pomylę słów — rzekła Begu.

— Na pewno nie.

— On się wydaje takim poważnym bogiem. I pedantycznym. No i proszę, zjadłaś całą potrawkę. — Obróciła się na stołku. — Gwladus! — Gwladus wsunęła głowę przez zasłonę. — Och, na Eorðe. Co ci wciąż powtarzam? Nie wsuwaj głowy tam i z powrotem jak dzieciół w dziupli. Ktoś ci ją odgryzie. Spróbuj zachowywać się porządnie. — Uniosła swoją miskę, a Gwladus skinęła głową i zniknęła. — Dlaczego nie może się tego nauczyć? Powinnam kazać ją wychłostać.

Gwladus robiła to, ponieważ pochylała się wtedy do przodu i pokazywała piersi. Nawyk popisywania się swoimi atutami już wiele razy ocalił jej życie. A miała wiele atutów.

— Chyba nie lubią żartów — ciągnęła Begu. — No co tak patrzysz? Chrześcijanie. Nie lubią żartów. Ich bóg chyba też nie. Poprosiłam królową, żeby opowiedziała jakąś zabawną historyjkę o Chrystusie, taką jak ta o Ingu, który oszukał Herthe za pomocą żołędzi. Królowa musiała się chwilę zastanowić, a potem opowiedziała mi o dwóch wioskach, które nazywały się Sodoma i Gomora i o Bogu Ojcu, który zamienił czyjąś żonę w słup soli, co nie było śmieszne, a potem straszną historyjkę o człowieku imieniem Abraham, który miał zabić syna tylko dlatego, że kazał mu to zrobić Bóg Ojciec. Żadnego targowania się, tylko posłuszeństwo, jak u wealh. Wyobraź sobie! Wyobraź sobie, co król Edwin powiedziałby Thunorowi, gdyby ten kazał mu ot, tak zabić Eadfritha albo Osfritha. Właśnie, Clotruda jest już bardzo blisko, twoja mama też tak uważa. I uważa, że to będzie syn.

Hilda skinęła głową, myśląc o Hereswicie. „Jestem w ciąży”. List dotarł przed ledwie dwoma miesiącami, ale kto wie, kiedy został wysłany?

— Co mam zrobić, jeśli jutro pomyłę słowa?

— Nie pomylisz. Masz tylko wypowiedzieć swoje imię. Znasz je. A potem wyrzec się Szatana i złożyć przysięgę Chrystusowi.

— I jego ojcu, i świętemu oddechowi, a może płomieniowi? Ten kawałek nie ma sensu.

— Nie ma.

Hilda nie lubiła o tym myśleć. Jakub mówił o Świętym Ogniu, ogniu oczyszczającym. Może chodziło o oczyszczenie ze wspomnienia o klindze wbijającej się w kręgosłup. Jedno szybkie przypalenie, powiedział, i gotowe, jak przyżegnięcie rany. Ale Jakub nigdy nie opatrywał przypalanej rany. Większość takich ran puchła, zaogniała się i wyciekała z nich odrażająca ropa. Natomiast jej matka wspomniałaby o bólu. Może jednak matka nie zabiła tak wielu ludzi jak ona. Hilda wyrzuciła to wszystko z myśli, wyskrobała wszystko z miski do czysta i oblizała palce. W tym roku jagnięcina dobrze smakowała.

— I nie rozumiem, dlaczego ten Chrystus, czy który tam z nich, jest taki wrażliwy. Żadnej krwi w kościele. Żadnej kobiety z miesięcznym krwawieniem. To nie ma sensu.

Jakub nie uznał, że należy o tym wspomnieć Hildzie. Może według nich hægtes nie krwawi.

— I trzeba nosić się na biało. Jaki bóg lubi samą biel bez żadnych klejnotów?

— To po to, żeby ci księża widzieli, czy krwawisz — rzekła Gwladus, stawiając na stole miskę z potrawką, kładąc klinek świeżego białego sera i świeżą rzeżuchę.

— A co by zrobili, gdyby któraś kobieta krwawiła? — zapytała Begu.

— Zapewne przybiliby ją do drzwi jak Chrystusa — powiedziała Gwladus. — I wbiliby jej na głowę czapkę z cierni.

Musnęła głowę Hildy dłonią lekką jak kwiat głogu.

Begu niczego nie zauważyła.

— Z tego, jak ich bóg pozwolił się traktować, można by pomyśleć, że jest

niewolnikiem. — Nałożyła sobie trochę potrawki. Za wychodzącą Gwladus zaszeleściła zasłona. — Niedługo będziesz krwawić, prawda?

— Nie jutro — odparła Hilda.

— Lepiej na wszelki wypadek włóż sobie szmatkę, bo inaczej dostaniesz czapkę z cierni. — Znieruchomiła z łyżką nad miską. — Myślisz, że będziemy się czuć jakoś inaczej? Zapytałam Ciana, czy potem czuł się inaczej. Powiedział, że czuł się... lepiej. Ale nie chciał powiedzieć pod jakim względem.

Nie, pomyślała Hilda, bo wtedy musiałby wyjaśnić, co mu się u niego nie podoba, a żadne z nich nie chciało, żeby Begu się dowiedziała, co robili w czasie wojny.

— Potem zapytałam twoją mamę, a ona zrobiła tę swoją potulną minę i powiedziała, że uczyniło to z niej lepszą osobę, ale królowa słuchała, więc sama wiesz, co to znaczy.

Hilda skinęła głową. Mówienie tego, co sprawiało, że ludzie u władzy mieli o niej dobre zdanie, było takim samym nawykiem Breguswithy jak pokazywanie krągłości przez Gwladus.

— Czy twoim zdaniem to dziwne, że złożymy przysięgę na wierność bogu jak gesith swojemu królowi? — Kiedy Hilda nie odpowiedziała, Begu westchnęła. — A teraz o czym myślisz?

— Hm? Och, o matce. I o Gwladus. Że wcale się tak od siebie nie różnią.

Ku zdumieniu Hildy Begu tylko skinęła głową. Wzięła do ręki swój nóż.

— Zjedzmy trochę tego świetnego sera. Zjedzmy go dużo. To będzie długi ranek. — Zamilkła z serem w dłoni. — Jak twoim zdaniem smakuje ciało boga?

— To chleb. Jak ten chleb, który Coifi zakopał pod korzeniami żywopłotu.

— Ale chleb zamoczony w soku boga. Myślę, że smakuje jak powietrze z kuźni doprawione masłem.

Doprawione masłem?

— ...ser, a potem możesz mi opowiedzieć o tym Uinniau, który przyjedzie z Rhegedu, żeby być świadkiem króla.

Uinniau, książę Rhegedu, siostrzeniec króla Rhoegedda, stał przy chrzcielnicy. Był starszy od Ciana, ale chociaż trochę urósł, nadal nie był wysoki. Nadal miał piegi. Oczy miał orzechowe, jak pamiętała Hilda. Nie był już jednak chłopcem, który podskakiwał niczym jabłko na grzbiecie za dużej klaczy w drodze z Caer Luel do Broac. Był tu w zastępstwie swojego wuja jako brytyjski świadek chrztu Edwina, zwierzchniego króla Anglów. Emanowała z niego władza, jaką dawała mu ta rola.

Chrzcielnicą był pięknie rzeźbiony kamień, który Paulin wywiózł z Elmetu, przytwierdzony za pomocą zaprawy murarskiej nad starą studnią na dziedzińcu *principium*, mieniący się złoceniami oraz świeżą czerwoną i niebieską farbą. Chrzcielnica zajmowała północny narożnik późniejszego kościoła, teraz jedynie szkieletu ze świeżo przyciętych bali przykrytych dachem. Po drugiej stronie cegieł stanowiących ściany *principium* wiatr miotał chmurami; czasami je rozdzierał i uwalniał gwałtowny zimny deszcz, czasami na chwilę oczyszczał niebo i torował drogę złotemu jak żonkile słońcu. Kiedy słońce świeciło dłużej niż przez kilka uderzeń serca, w powietrzu zaczynał się unosić mocny fetor gnoju, którym zostały nawożone tego ranka ogrody położone na

północny zachód od *principium*.

Uinniau — oraz księża, katechumeni i ich chrzestni — stali w stosunkowo osłoniętym miejscu i nie moczył ich deszcz. Tłum zgromadzony na dziedzińcu nie miał tyle szczęścia. Najwyraźniej nikomu to jednak nie przeszkadzało. Zjedli duże wielkanocne śniadanie, którym królowa poczęstowała wszystkich w obrębie murów, którzy o to poprosili. Wszystkich, którzy nie mieli być ochrzczeni.

Hilda usiłowała nie myśleć o swoim pustym żołądku i o tym, jak jest zmęczona stanem. Poranek zaczął się od śpiewu w halli i procesji — na jej czele szedł Szczepan z wielkim krzyżem, dalej Jakub z chórem, księża z kadzielnicami, Paulin ze swoim pastorałem, a na końcu katechumeni i ich chrzestni — gładko rozcinającej tłum w drodze do kościoła. Następnie zaczęła się msza wielkanocna ze specjalnym poświęceniem ogromnej świecy — rzeźbionej, pozłacanej i grubej jak udo gesitha i prawie tak wysokiej jak Hilda — oraz wody w studni, czyli chrzcielnicy.

„Na początku świata Twój Duch unosił się nad wodami, aby już wtedy woda nabrała mocy uświęcania”¹...

Dwaj księża machali kadzielnicami nad chrzcielnicą. Wiatr przeganiał ciężki dym na kobiecą stronę królewskiej grupy. Wilnoða zakaszła. Usiłowała stłumić kaszel, ale tylko łzawiły jej od tego oczy. Kadzidło przynajmniej pokryło woń gnoju.

Paulin zaczął głosić Słowo Boże. Begu, która stała w drugim szeregu biało odzianych katechumenów i była na tyle niska, że prawie jej nie było widać, po prostu oparła się o Hildę i zamknęła oczy. Hilda, zawsze widoczna, zawsze obserwowana, przybrała skupioną minę i odpłynęła w muzykę krążącą w jej głowie. Chłodną, czystą, nieskończoną jak niebo. Może pomoże jej to przy tym oczyszczającym przypaleniu.

Begu poruszyła się i Hilda wróciła do rzeczywistości. Szczepan szedł wzdłuż rzędów katechumenów i każdemu przykładał do czoła lśniący kciuk.

„...olej krzyżma świętego... wyrzekacie Szatana, który jest głównym sprawcą grzechu”...

Musiła się lekko pochylić, żeby Szczepan mógł dosięgnąć jej czoła. Dotyk księdza był lekki i szybki. Olej niczym nie pachniał.

„...wyznanie wiary”...

Świat zwolnił, bo to była przysięga.

Hilda poczuła, że wokół niej unoszą się piersi, a płuca wypełniają powietrzem, gotowe nadać brzmienie wyuczonym słowom. A potem zostanie ochrzczona i boski płomień albo ją spali, albo nie.

Paulin wbił w nią wzrok.

On w każdym razie miał nadzieję, że Hilda spłonie. Odetchnęła głęboko. Wywodziła się z Angłów. Nie spłonie. Wytrzyma i dotrzyma przysięgi. Przysięga, więź, przechwałka. Prawda, droga, obietnica. Złożona trzem bogom w jednym. Wzorowi. Bo nawet bogowie stanowią część wzoru, nawet trójdzielni bogowie. Wzór jest we wszystkim. Pochodzi od wszystkiego. Jest nad wszystkim.

— Bóg Ojciec — powiedziała. Bóg wzór. — Bóg Syn, Bóg Duch Święty...

Wszędzie dookoła słowa przybierały kształt i spływały kandydatom z ust, słowa wypowiedane tonem wysokim i niskim, chrapliwie i gładko, głośno i cicho. Mówili

razem, przysięgali razem, oddychali razem. Jej przyjaciele krewni, jej król. Jej lud.

Biło tym jej serce, padały od tego jej łzy, wznosił się na tym jej duch. Tutaj, teraz, tworzą wielki wzór, czuła to, a pewnego dnia odnajdzie jego kształt: to była jej wyrd, a „los tako się dzieje, jako i musi”. Dzisiaj nań przysięgała, przysięgała tutaj wraz ze swoim ludem.

Patrzyła, jak król pochyla się nad chrzcielnicą i jak jego głowa zostaje trzykrotnie polana wodą w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Wzdrygnął się, lecz nie spłonął. Paulin powitał go w Bogu pocałunkiem w policzek oraz wielkim krzyżem ze złota wysadzanego granatami, który powiesił mu na szyi, a następnie zwrócił się do Hildy.

Wytrzymała jego spojrzenie — agat przeciwko gagatowi. Nie wzdrygnie się, nawet jeśli woda zmieni się w rzekę ognia. Postąpiła do przodu, pochyliła głowę i wyteżyła wolę.

Woda była zimna jak lód, jak płomień. Hilda tak mocno zacisnęła mięśnie, że poczuła się jakby skamieniała. Świat się zachwiał, a potem wrócił do normy; królowa całowała ją w policzek, witając ją w Bogu. Hilda nie spłonęła.

Ledwie czuła, jak królowa wiesza jej krzyż na szyi i odprowadza od chrzcielnicy. Patrzyła w oszołomieniu, jak Paulin trzy razy polewa wodą głowę Begu, namaszcza ją na czole, piersi i dłoniach, a potem Breguswitha całuje ją w policzek.

Nad chrzcielnicą pochylały się kolejno białe odziane plecy. Po królu i jego rodzinie przyszła kolej na jego doradców. Na Coifiego i jego kapłanów. Gesithowie szereg za szeregiem dołączali do Chrystusa, teraz ich boga, boga Yffingów.

Kiedy Paulin odwrócił się od chrzcielnicy do tłumu i uniósł obie ręce — Hilda zauważyła, że są bardzo chude i bardzo ciemne na tle jego kremowo-złocistych szat — czas zaczął znowu płynąć właściwie. Wrona zawołał wielkim głosem, że przyjęli Chrystusa, że powstałi z Chrystusem i że będą dzielić chwałę Chrystusa. Powietrze pod dachem nabrzmiało pieśnią chóru, a tłum wzniósł radosny okrzyk. Hilda została ochrzczona w Chrystusie — to ich imię wzoru, jej ścieżki, jej wyrd. Wciąż była sobą.

Uinniau uśmiechnął się do niej i mrugnął.

Halla się kołysała. Za długimi stołami tłoczyli się wszyscy wolni mężczyźni i kobiety z okolicy ubrani w najlepsze stroje. Oeric siedział w białej szacie z dwoma pomniejszych kapłanami Wodena — nie, już nie kapłanami — i kilkoma gesithami. Zostali zatrudnieni wszyscy służący, nawet Gwladus, nawet Morud. Halla rozbrzmiewała gwarem rozmów i było w niej gorąco mimo złej pogody. Hilda czuła w gardle duszny, śliski zapach krzyżma, oleju z balsamu i oliwy, który miała na dłoniach. Wytarła je ukradkiem o tkaninę leżącą na stole, ale na zapach to nie pomogło.

Powiodła palcem pod wykończeniem szaty pod szyją, jakby materiał ją uwierał, ale wyczuła dotykiem złoty łańcuch. Jako kobiecy łańcuch był on cieńszy od naszyjników, do jakich się przyzwyczaiła, ale wisiał na nim masywny złoty krzyż. Biegnące jego środkiem wielkie granaty obramowane perłami wyglądały jak krwawa piana kapiąca z wędzidła ostro poganianego konia, a łańcuch wbijał jej się w szyję. Nie mogła go jednak zdjąć ani nie mogła sprawiać wrażenia, że ją uwiera; to był symbol Chrystusa i połowa ludzi wciąż się zastanawiała, czy Hilda nie zniknie z jękiem w obłoczku dymu.

Begu sięgnęła do krzyża i uniosła go, jakby go podziwiała.

— Lepiej? — Zważyła go w ręce. — Waży pewnie pół funta. Nie jest zbyt praktyczny. Ten wielki guz będzie o wszystko zahaczał. — Ponownie zważyła go z podziwem w dłoni. — Powinnaś co pewien czas brać go do ręki. To będzie wyglądało pobożnie i dopóki nie znajdziemy ci grubszego łańcucha, ulży twojej szyi. — Puściła go. — Spróbuj.

Hilda objęła krzyż prawą dłonią. Chrześcijanka.

Begu uniosła swój z pozłacanego srebra, dar od Breguswithy, i przechyliła się do Hildy.

— Co tu jest napisane?

— „W dłoniach Chrystusa”.

— Brzmi jak coś, co można by powiedzieć przed wbiegnięciem do płonącej obory. Co prawda nigdy nie wbiegałam do płonącej obory. Na to trzeba by być szalonym. Ale tak to brzmi. Czy my naprawdę mamy pragnąć śmierci i miejsca po prawicy Chrystusa? Cóż, ja będę po lewicy. Może ty będziesz po prawicy. Chrystus mógłby spojrzeć na twój seax i twoje ramiona i się zdziwić.

Hilda uśmiechnęła się. Begu w dalszym ciągu była Begu.

— Na pewno wszystko by zrozumiał. Jakub mówi, że Chrystus jest wszechwiedzący i wszechpotężny. Gdyby chciał, mógłby mnie posadzić po obu stronach jednocześnie.

— A może po wszystkich trzech albo nie, sześciu! Po prawicy i po lewicy Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Chociaż... Ducha... — Zmarszczyła brwi. — Jak wyglądałby w niebie duch?

Hilda spróbowała wyobrazić sobie ducha siedzącego w złocistej poświacie nieba. Duchy powstają z rzadkiej szarej mgły pustych wzgórz, z wilgoci i mżawki zmierzchu, z oddechu zmarłych. W bezksiężycowe noce płyną i migocą wzdłuż granicznych rowów...

— Czy mieszkańcy Rhegedu są chrześcijanami?

Hilda zamrugała.

— No?

Hilda powędrowała wzrokiem za spojrzeniem Begu na drugi koniec królewskiego stołu, gdzie po wygłoszeniu toastu na cześć króla właśnie siadał Uinniau.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jest taki przystojny?

— Nie pomyślałam o tym. Nie zauważyłam.

— Cóż, on zauważa ciebie.

Uinniau uśmiechał się do nich, unosząc puchar. Hilda uniosła swój.

— A ludzie zauważają, że on zauważa. — Begu skinęła głową w stronę Ciana, który siedział na drugiej ławie. — Tak się chmurzył, kiedy jego mama po raz pierwszy splotła swój los z losem taty.

Begu zachichotała i pokazała swojemu przybranemu bratu język.

Nagle świat się wyostrzył i stał się tak jaskrawy i jasny jak wtedy, gdy do oczu Hildy dostawały się krople deszczu. Zobaczyła wszystko: kosmyk włosów Ciana kręcący się przed jego prawym uchem, Breguswithę siedzącą plecami do Osrica i rozmawiającą z królową, królową...

— Królowa ma owiązane piersi.

— Nie słyszałaś ani słowa z tego, co mówiłam? Królowa oddała Eanflædę mamce. Skoro król został ochrzczony, chce mu dać syna. Może już się tym zajęła. Wygląda na bardzo zadowoloną.

Edwin siedział wygodnie rozparty z podbródkiem na dłoni; przymknął oczy i z uśmiechem słuchał żartów Osfritha i Clotrudy. Hilda знаła tę minę: tak kot obserwuje oszołomioną mysz, nie śpiesząc się, by ją zabić. Dla kogo jest przeznaczony ten uśmiech?

— No tak, umazałaś sobie rękaw moim sosem — rzekła Begu. — Nie szkodzi, jeżeli te szaty mają się do czegoś nadać, i tak będziemy musiały wszystko ufarbować. Co za marnotrawstwo i zamieszanie dla odrobiny wody i kilku słów. Chociaż nie musiałyśmy brodzić w mętnej rzece. Och, patrzy na mnie.

Zatknęła warkocz za ucho, przeniosła go z powrotem i zaczerwieniła się jak burak.

Hilda stała, zanim jej myśli dogoniły ciało i zanim uświadomiła sobie, że Begu ma na myśli Unniau. To Uinniau patrzył. Nie król. Król ledwie wiedział o istnieniu Begu.

Powietrze w jej płucach ulotniło się z odgłosem, który zamieniła w śmiech. Usiadła, odetchnęła, uśmiechnęła się.

Begu zgromiła ją wzrokiem.

— To nie jest śmieszne.

Przyglądziła włosy Begu drżącą dłonią.

— Cicho, cicho. Włosy masz w porządku. Ślicznie wyglądasz. Do twarzy ci w bieli. Wyglądasz jak... jak kwiat jabłoni.

Begu pozwoliła podać sobie kawałek jagnięciny. Hilda wciąż się uśmiechała i głęboko oddychała. Skryte za jej uśmiechem myśli obracały się tam i z powrotem jak tokarka strunowa zdzierająca kolejne warstwy. Pozwoliła Morudowi napełnić sobie puchar, wypowiadała uwagi na temat potraw, rozmawiała o najlepszym sposobie farbowania już utkanej tkaniny i cały czas przyglądała się biesiadnikom.

Paulin stał przy oświetlonym pochodniami filarze ze Szczepanem, który przybył poprzedniego dnia z Elmetu niemal niezauważony w tłumie przedstawicieli sąsiednich królestw. Hildzie nawet wydawało się, że zauważyła kogoś z Craven, chociaż nie samego Dunoda. Chociaż raz Szczepan niczego nie notował. Chociaż raz Paulin wypił więcej niż jeden puchar wina: chrzest Edwina oznaczał początek jego tryumfu. A Edwin wciąż go potrzebował. Zatem uśmiech króla nie był przeznaczony dla Paulina.

Matka Hildy wciąż rozmawiała z królową, która uważnie jej słuchała. Hilda nie widziała żadnego powodu, dla którego Edwin miałby zwracać na nią uwagę. A więc nie uśmiechał się do jej matki.

Obok niej Oswine dźgał ponuro stołowym nożem swój talerz z chleba. Lecz on był nieważnym pionkiem w tej grze. Osthrytha w białej szacie i z ostrymi zębami bardziej niż zwykle przypominała gronostaja. Była jeszcze mniej ważna od brata, chyba że Edwin chciał ugłaskać jakiegoś króla małżeństwem.

Nie. Edwin nie musiał ugłaskiwać dziś nikogo. Został ochrzczony. Wszystko toczyło się zgodnie z jego planem.

Obok Oswine'a siedział Osric wyglądający jak buldog w białej szacie. Małymi brązowymi oczkami patrzył to na Breguswithę — która całkowicie go ignorowała — to

na króla. Ten, udając, że nie widzi wzroku krewniaka, skinął na Coelfritha, powiedział mu coś do ucha i znowu odchylił się na oparcie tronu. Coelfrith odszedł dyskretnie od stołu, cały czas obserwowany przez Osrica, który widział, jak, wychodząc z halli, zarządca kiwa głową scopowi, a scop odpowiada mu tym samym. Osric wyprostował się i ściągnął ramiona — pies myśliwski, który czeka, żeby rzucono mu serce upolowanej zwierzyny. Hilda dostrzegła błysk zębów Edwina; król pokrył poszerzający się uśmiech udawanym ziewnięciem i zasłonił usta dłonią.

Osric.

Teraz wzór był wyraźny: matka nie przebywa z Osrikiem w Arbei; matka teraz go ignoruje, matka przyjęła chrzest wcześniej, zbliżyła się do królowej i ponownie wplotła Onnenę do swoich planów. Zmieniła strony tak stopniowo, tak ostrożnie, że nie zauważyła tego nawet Hilda. Breguswitha zrozumiała na długo przed nią, że Edwin jest gotów obalić swojego kuzyna.

Przy wejściu powstało niewielkie poruszenie; do halli wszedł Coelfrith, niosąc stół na trzech nogach, a za nim dwaj jego służący: jeden z czymś w kształcie cegły, zawiniętym w gęsto tkany, haftowany lniany materiał, a drugi z długą, pięknie rzeźbioną brzoźową skrzynką.

Osric gładził się po wąsach z zadowoloną miną, jaką przybierają ludzie, kiedy spodziewają się pochwał. Edwin wstał.

Scop zagrał dramatyczny akord.

Edwin nieśpiesznie poszukał wzrokiem oczu wszystkich swoich ludzi: czarnych jak paciorki oczu Wrony, orzechowych Uinniau, jasnoniebieskich Breguswithy, jasnobrazowych Coifiego, błękitnoszarych æthelingów, czarnobrazowych Osthrythy, Oswine'a i Osrica.

Edwin, król Deiry i Bernicji, całej Nortumbrii, zwierzchni król Anglów, władca północy i najpotężniejszy człowiek na wyspie, uśmiechnął się i uniósł puchar w stronę Osrica, który skłonił głowę pełen zadowolenia. Edwin nakazał gestem, żeby wstał.

Hilda uświadomiła sobie, że tak będzie z nią, kiedy król Edwin uzna, że już nie potrzebuje jasnowidzącej. Wstanie, pulchna, nakarmiona i wyczesana jak ofiarna krowa, z połączanymi rogami i wstążką zawiązaną na szyi, zbyt głupia, żeby poznać, że jest prowadzona na rzeź.

Edwin sam nalał białego miodu i wyciągnął puchar w stronę Osrica.

Hilda chciała rzucić w niego chlebem. Myśl! Miód powinna nalać królowa! Lecz królowa patrzyła obojętnie, a Hilda zmusiła swoją twarz i ręce do bezruchu. Osric ujął puchar.

— Nasze królestwo rośnie. Jesteśmy silni. A jednak potrzebujemy silnych ludzi po naszej prawicy, by kierowali rolnikami naszych rubieży, silnych ludzi, by zmiażdżyli hołotę, która szepcze o innych królach w innych krajach, by zgnetli tych, którzy skradają się jak bezpańskie psy w poszukiwaniu słabych i ujadają zza drzew na lepszych od siebie.

To chyba wymyślił scop.

— Moi doradcy i mędracy mówią mi: „Królu, Chrystus może i jest teraz po naszej stronie, ale księża mówią, że ich bóg, nasz bóg, pomaga tym, którzy pomagają samym sobie”. I mówią też: „Królu, nasz lud potrzebuje silnego męża, którego mógłby

podziwiać. Już czas wyznaczyć ealdormanów, nadać ludziom księstwa. Ludziom znanym, zaufanym. Ludziom silnym. Krewniakom. Ludziom, którzy będą chronić lud i zasłużą na jego szacunek”. — Uśmiechnął się do Osrica ponad krawędzią pucharu. — Powiedzieli mi to w Gody, a ja im odrzekłem: „Cierpliwości”. Znowu powiedzieli mi to samo wczoraj, a ja odrzekłem: „Powiedzcie mi, który krewny zechce opuścić swój piękny i wygodny dom i wziąć na siebie ten ciężar? Kto będzie walczył w imieniu króla o poddanie ugoru pługowi, o otworzenie ciemnych lasów na światło?”.

Biesiadnicy kiwali głowami. Wiedzieli, wydawało im się, że widzą, dokąd zmierza król. Elmet, szeptał do swoich mniej bystrych sąsiadów, król da swojemu kuzynowi Elmet.

Lecz Hilda знаła wuja. A owoce Elmetu nie spoczywają w długich brzoźowych skrzynkach ani ciężkich pudełkach w kształcie cegły.

— „Kto?”, zapytałem ich. „Masz synów”, powiedzieli...

Osric zbladł.

— Lecz odparłem: „Nie. Wobec swoich synów mam inne plany. Znam kogoś odpowiedniego”.

Osric się zarumienił.

Edwin uśmiechnął się szerzej. Tyle zębów.

— Zatem, panie Osricu, krewniaku, chcesz odejść z ziem znanych twoim przyjacielom i krewnym od niepamiętnych czasów i podjąć się tego zaszczytu w imieniu swojego króla?

— Kuzynie — rzekł Osric. — Królu. — Głos trzął mu się ze szczerości: ealdorman Elmetu! Mniej więcej król. Dałby za to wszystko. — Chcę.

Jego ludzie załomotali dłońmi w stół.

— A zatem, panie Osricu, Osricu Yffingu... — Halla oddychała jak jedno wielkie płuco, wdech i wydech, wdech i wydech. To będzie coś, o czym będą opowiadać wnukom: byli świadkami, jak królestwo Elmetu na zawsze stało się częścią Nortumbrii. Będzie o tym śpiewać niejeden scop. — Mianuję cię panem i ealdormanem Craven.

Hilda zastanawiała się, jak scop będzie śpiewał o tych dwóch uśmiechach. Króla rozlewał się jak smalec topiący się na patelni, coraz szerzej i szerzej. Ealdormana rozlewał się, drgnął, poszerzył się drżąco, zniknął. Osricowi pobladły nawet wargi.

Hilda wyobraziła sobie ryk w jego uszach.

— ...wczoraj o śmierci Dunoda... naszą tarczą przeciwko zdradzie ludzi północy... przyjaźń z lojalnymi mieszkańcami Rhegedu potwierdzona przez księcia Uinniau...

Nogi na pewno mu się trzęsą, świat ciemniej na krawędziach, ale musi stać wyprostowany. Jego oczy wydawały się jeszcze mniejsze niż przedtem, niepewne jak oczy borsuka wypędzonego z nory i stojącego naprzeciw kręgu pochodni.

A potem obok męża stanęła Etelburga. Coelfrith ustawił przed królewską parą dębowy stół z herbem Edwina, dziczą głową, przedstawionym w czerwonym złocie na blacie. Służący Coelfritha położyli na nim tę zakrytą cegłę i długą skrzynkę. Zarządca uniósł haftowaną tkaninę, odsłaniając gaskę surówki pokrytą mimo natłuszczenia plamkami rdzy. Hilda czuła ze swojego miejsca jej zapach, zapach surowego żelaza, kopania, uderzania młotami i podsycania ognia. Następnie służący zdjął pokrywkę

z brzozy skrzynki, ukazując całego wysuszonego i uwędzonego łososa. Zapachy jesieni: rdza, dym i głód. Jesień i koniec nadziei Osrica.

— Kapłanie — powiedział Edwin.

Coifi wzdrygnął się, zachwiał, ale nie wystąpił do przodu. Wystąpił Paulin. Ujął haftowaną tkaninę obiema rękami i stanął wyczekująco. Osric wyszedł chwiejnym krokiem zza swojej ławy, by złożyć przysięgę, której nie mógł odrzucić.

Paulin położył prawą dłoń Osrica na skrzynce. Edwin i Etelburga położyli na niej swoje dłonie, po czym Wrona ułożył na nich tkaninę.

Paulin mówił długo o świętym zaufaniu, o lojalności wobec króla umiłowanego przez Chrystusa, o mieszkańcach Craven. Na tyle długo, by Osric zaczął pojmować, do czego został zmuszony podstępem. Król zabierał mu dom, jego rodzinny dom. Edwin Oszust wysyłał go, lojalnego poddanego i krewniaka, byłego æthelinga Deiry, na zapadłe pustkowia Craven, ziemię skaczących łososi i odoru surówki. Ziemię wciśniętą pod grzbiet zachodnich gór, pełną strumieni spływających z żelazistych wzgórz, pełną drżących brzozy i trzęsących się wealch, ziemię tak bezwartościową, że nikomu nie chciało się odbierać jej Dunodowi.

Także na tyle długo, by na twarzy Coifiego odbiło się nagłe, gorzkie zrozumienie jego nowej pozycji: już nie głównego kapłana głównego boga, lecz prostego człowieka bez miecza. Człowieka bez niczego.

Uinniau zwisał głową w dół z niskiej gałęzi jabłoni i śmiał się do siedzącej wyżej Hildy. Była to jedyna jabłonka wewnątrz nowego drewnianego ogrodzenia otaczającego przyszyły więc na zachodnim brzegu wielkiej rzeki.

Cian siedział na trawie tyłem do nich, a Begu plotła nad brzegiem łańcuszek z kwiatów mniszka. O utrzymanie go został poproszony Oeric.

Uinniau znowu się roześmiał.

— Zaklinowałem się.

Hilda pochyliła się w dół.

— Rozhuśtaj się trochę i daj mi rękę.

Chłopak rozhuśtał się, Hilda chwyciła go za rękę i pociągnęła. Dźwignął się na gałąź, na którą po chwili opuściła się Hilda. Siedzieli okrakiem naprzeciwko siebie. Uinniau miał we włosach kwiaty.

Hilda wyplątała kilka z nich i zaczęła bezmyślnie pocierać palcami drobne płatki.

Uinniau wskazał na kopiec ziemi w rozwidleniu rzek.

— To nie będzie bardzo duża wieża.

— Wystarczająco wysoka, żeby trafić płonącymi strzałami w pokład statku.

— A co z łańcuchami w poprzek rzeki?

Hilda zamrugała. Kiedy nie odpowiedziała, Uinniau odchylił głowę do tyłu i z książeczą arogancją popatrzył na nią wzdłuż własnego nosa.

— Od Broac upłynęło dużo czasu. Jestem niski, ale nie jestem dzieckiem.

Westchnęła.

— Masz rację. Przepraszam.

Zbył przeprosiny machnięciem ręki.

— Powinniśmy zostać przyjaciółmi. Może kiedyś, jeśli będę... No tak. Może do

Rhegedu i na północ te czasy już nigdy nie wrócą. — Wzruszył ramionami. Taki gest zwykle towarzyszył pieśniom o Starej Północy, elegiom o minionej wielkości. — Twój wuj zdobywa sławę. Jest jak Artur, który pojawił się na nowo.

Rzuciła w niego zgniecionym kwiatem.

— Nie, nie jest.

Pokazał w uśmiechu zęby.

— Niektórzy lubią pochlebstwa.

— Ja nie.

Zerknął w dół na Ciana, Begu i Oerica, a potem na swoje dłonie. W końcu spojrzął na Hildę.

— A zatem będziemy mówić sobie prawdę?

Zastanowiła się nad tym. Podobał jej się charakter Uinniau. Był bystry, lecz prostolinijny. Solidny jak dębowy kij. Skinęła głową.

— Co się stanie z Osrikiem?

— Pojedzie do Craven i będzie knuć w swojej wysoko położonej halli, jak odebrać Arbeię Osfrithowi i Clotrudzie, sączyć gorycz do uszu Oswine'a i napełniać go pokrętnymi marzeniami o zostaniu królem całej Deiry. — Zerwała liść z gałązki nad głową i obracała go w rękach. — Tak jak, przypuszczam, Eanfrith w Krainie Piktów i inni Idingowie z Dál Riatanami.

— To nie są marzenia dla ciebie?

— To nie jest moja wyrd. Poza tym nie ma nadziei na ich spełnienie.

Czuła się inaczej, mówiąc szczerze. Podobało jej się to.

— Może nie, gdybyś... Gdyby mieli sprzymierzeńców. — Rzuciła w niego liściem.

Odprowadził go wzrokiem w drodze na ziemię, a potem wzruszył ramionami. — Czy Osric i Oswine spróbują w tajemnicy sprzymierzyć się z Idingami?

— Dlaczego Idingowie mieliby zachować to w tajemnicy?

Uinniau skinął głową. Idingowie średniego pokolenia mieli roszczenia wobec Deiry poprzez Achę z Yffingów, siostrę Edwina, oraz do Bernicji poprzez ich ojca, Etelfryda Idinga. Gdyby mieli po swojej stronie Osrica Yffinga, rozgłosiliby to i zaatakowali.

— Bardziej prawdopodobne jest, że Osric spróbuje się sprzymierzyć z Eanfrithem. — Z najstarszym Idingiem, synem Bebby. — Osfrith wzięłby Deirę, a Eanfrith Bernicję. Ale mój wuj będzie się miał przed tym na baczności.

— Pewniejszym sprzymierzeńcem byłby Cadwallon albo Penda — rzekł Uinniau.

— Cadwallonowi nie zaufałyby nawet Osric. Nawet przez godzinę. A co do Pendy...

— Nikt go nie zna.

Skinęła głową.

— Powiadają, że jest bystry.

— Powiadają, że ty jesteś bystra, że zaglądasz w ludzkie serca. — W jego orzechowych oczach coś lśniło. Może to było odbicie młodych liści. Hilda miała nadzieję, że tak. — Hildo...

— Jak się miewa Rhianmellda?

— Rhianmellda? Nie lepiej.

Hilda pomyślała o dziwnym dziecku, które poznała w Caer Luel, o tym

wyniszczonym chorobą ælfie.

— Hildo, proszę cię. Posłuchaj mnie.

Przez chwilę miała ochotę zepchnąć go z gałęzi. Nie chciała słuchać jego marzycielskich słów. Mógł to wszystko zniszczyć. Była jednak Hildą, jasnowidzącą króla i światłem świata. Nie spychała książąt z jabłoni. Poprosiła gestem, żeby mówił.

— Pani Begu. Czy ona mnie lubi?

Hilda odpędziła pszczołę, która usiadła na jej dłoni. Owad przez chwilę bzyczał gniewnie, objając się o pień, a potem znalazł drogę dookoła niego i odleciał.

— Wydaje mi się, że tak — rzekł Uinniau. — Ale ty znasz ją najlepiej. Czy ona...

— Jego twarz przybrała taki sam burakowy kolor jak twarz Begu na uczcie. — Pochodzę z Rhegedu. Ale jestem siostrzeńcem króla. Tylko kogo powinienem... Nie mam...

To ciekawe, jak ludziom brakuje słów, kiedy kogoś lubią. Zupełnie jakby to im wysysało zmysły.

— Proszę cię, powiedz coś.

Hilda pokazała w dół.

Pod drzewem stała Begu z wiankiem z mleczy na głowie. Wyglądała w nim jak księżniczka. Wspięła się na palce i wyciągnęła drugi wianek w stronę Uinniau.

— Zrobiłam go dla ciebie.

Szli wzdłuż nowego żywopłotu: Uinniau i Begu w swoich koronach ze złocistych mniszków, śmiejąc się i rozmawiając — chociaż, o ile mogła to stwierdzić Hilda, o niczym konkretnym — za nimi Cian i Hilda, a kilka kroków za wszystkimi Oeric.

Na niebie pełno było ptactwa — pierwiosnków i pokrzewek, kowalików i dzwońców — a rzeka płynęła spokojniej niż zwykle i pachniała wiosną: błotem, kaczkami na gniazdach z gałązek, gąsienicami, świeżo ściętymi drzewami na bobrową tamę, wilgotną ziemią, przez którą przebijały się do światła młode pędy. Nad młodymi listkami tworzącej żywopłot leszczyny oraz różowobiałymi kwiatami tarniny i głogu brzęczały niezdarne trzmiele.

Cian był ponury jak chmura gradowa.

— Spójrzcie na te ciernie — powiedział głośno. Uinniau i Begu odwrócili się. — Ten jest wielkości mojego kciuka. — Machnął w stronę prostej jak strzała drogi niknącej na północnym zachodzie, tam, gdzie leżał Rheged. — W lecie trzeba będzie armii z siekierami, żeby się przez niego przerąbać.

— Rheged nie jest twoim wrogiem.

Cian spojrzał na Uinniau wzrokiem, który mógłby stopić żelazo.

— Nie — odparł, mając na myśli, że jeszcze nie teraz. — Ale są ludzie na północ od Rhegedu. I jeśli przyjdzie im do głowy szalony pomysł wyruszenia traktem Dere do wśc, to spotka ich przykra niespodzianka.

— Nikt nie będzie tak głupi, żeby próbować niespodzianek. Twój król...

— Zwierzchni król.

— Zwierzchni król powiedział światu, jak mocny jest jego nowy wśc. Poza tym ludzie z Rhegedu wiedzą, co w trawie piszczy. A ich król wysyła do Nortumbrii zapewnienia, że Rheged, a dalej Alt Clut, jest z wami.

— Och, zaiste.

Cian klepnął młodego księcia po plecach — Hilda pomyślała, że mocniej, niż to było konieczne. Było to przypomnienie, że chociaż Uinniau jest księżątkiem, to Cian jest od niego wyższy o głowę, że jest przybranym synem tana — angielskiego tana — i że Uinniau spaceruje z jego przybraną siostrą.

Begu przewróciła oczami, patrząc na Hildę, ale miała nabrzmiałe wargi, rumiane policzki i podskakiwała jak młoda kózka.

Begu znowu westchnęła i na dokładkę kopnęła przykrycie. Hilda wynurzyła się ze snu — śniło jej się, że pływa naga jak foka, a woda głaszcze jej skórę, przepływa między nogami — i podparła się na łokciu. W świetle ubywającego księżyca zobaczyła, że jej gemæcce ma znajomą upartą minę, jakby mówiła „tan, mój tata, zmusi cię, żebyś mi to dała”.

— Co?

— Rhianmellda.

— Co z nią?

— Ten, kto ją poślubi, mógłby być przyszłym królem Rhegedu.

— No i?

— A kto nie chciałby być królem Rhegedu? Nawet jeśli oznacza to ślub z kobietą, która ma poplątany umysł.

Hilda czekała.

— Uinny mówi, że ona czasami słyszy głosy i uderza głową w ścianę.

Hilda skinęła głową.

— Podobno była kiedyś ładna.

— Była ładna, kiedy ją poznałam.

— Może uderza też twarzą. Ale i tak jakieś księżątko się z nią ożeni i wtedy będzie musiało walczyć z Uinnym o to, kto będzie królem.

Hilda wiedziała, dokąd to zmierza, ale pytania tylko sprawiłyby, że myśli Begu rozbiegłyby się na wszystkie strony.

Begu utkwiała wzrok w gładkim suficie nad ich łóżkiem.

— Żeby zostać królem, musiałyby dobrze się ożenić. Bardzo dobrze się ożenić. Córka tana nie wystarczy.

— Nie powiedział tego.

Begu odwróciła się do Hildy. Jej oddech pachniał świeżo od pestek wiązu, które jadła od czasu, kiedy dała Uinniau ten wianek z mleczy.

— Nie musiał. Ludzie patrzą na niego i widzą dziecko.

Hilda nie mogła się nie zgodzić.

— Musiałyby ożenić się kimś robiącym wrażenie. Z kimś takim jak ty. — Begu rzuciła się na plecy. — Nie, tego też nie powiedział. Nie miał po co. Ty przecież wyjdiesz za kogoś o wiele ważniejszego.

Z tym też nie mogła się nie zgodzić. Pogłaskała więc Begu po czole, odgarniając do tyłu jej włosy.

— Czy Uinniau tak bardzo chce zostać królem?

Begu roześmiała się cichym, zupełnie dorosłym śmiechem. Hilda zapragnęła ją przytulić i osłonić przed światem.

— Jeśli nie chcesz być królową, wszystko będzie dobrze. Myśl. Uinniau nie wyrastał na dziedzica. Był nim jego brat. On chyba tego nie chce. A kiedy Rhianmellda wyjdzie za swojego przyszłego króla, Uinniau będzie mógł robić, co zechce. Będzie mógł ożenić się z tobą.

— Ale Rhianmellda to dziecko. Miną całe lata, nim wyjdzie za męża. Lata! Nie wiesz, jak to jest. — Begu sięgnęła do dłoni Hildy i położyła ją sobie na brzuchu. — Tutaj to czuję. To jest jak... Czuję się szalona jak jesień i nerwowa jak kocię, a świat jest duży i nowy. Czuję zapach wszystkiego, wszystko słyszę, a w środku... — Hilda czuła pod dłonią pulsowanie krwi Begu, łup-łup, łup-łup, jak irlandzki bęben. — To jest jak... Czuję się jak liść na rzece przelewającej się przez próg... Pędzę, a potem jestem wsysana pod powierzchnię. Patrzę na jego ręce i jego ramiona i tonę. Chcę je lizać, chcę je gryźć jak szczenię, któremu rosną zęby. Nie, nie jak szczenię, jak wilk. Chcę go rozerwać na strzępy, zjeść go. Nie można powstrzymać rośnięcia zębów. Nie mogę czekać latami.

— Na to nie musisz czekać z małżeństwem.

Hilda wyobraziła sobie ciała w ciemności. Dyszenie. „Hægtes ubrana w cyrtel”...

— Ale ja chcę być z nim na zawsze. Chcę słyszeć w nocy jego niemądry śmiech, brzmi jak beczenie owcy, zauważyłaś? Chcę patrzeć, jak rąbie drewno, ustawia kopki lnu, ćwiczy z włócznią i tarczą. Och, uwielbiam patrzeć, jak jego skóra przesuwana się po kościach, kiedy ćwiczy walkę na miecze z Cianem. I uwielbiam jego zapach. Pachnie jak żreback, młody i bystry. Jak pachnie Cian?

— Jak gorące żelazo. Czasami jak miedź. I sól. — Hilda zdjęła rękę z brzucha Begu. — Jeśli chcesz, możemy na nich jutro popatrzeć.

— I może wymyślisz jakiś sposób, żeby Rhianmellda szybko wyszła za męża?

— Może — odparła Hilda, ale nie potrafiła znaleźć żadnego kandydata, którego zaaprobowałby jej wuj.

Zapomniała o śnie o pływaniu, odsunęła nienazwane pragnienie i rozmyślała o Rhegedzie. Kogo jej wuj mógłby zaproponować Rhoeddowi, którego ze swoich krewnych mógłby kontrolować? Trzy dni wcześniej wymieniłaby Oswine'a, ale po wczorajszym dniu to by było szaleństwo. Komu mógłby zaufać Edwin, kto jednocześnie pasowałby brytyjskiemu królestwu i zostałby uznany za wystarczająco ważnego dla córki Rhoedda?

1 Mszał Rzymski, Wigilia Paschalna, Poświęcenie wody chrzcielnej (przyp. tłum.).

Rozdział 18



W Yorku dni pocięły i zaczęły się otwierać na słońce. W zachodnich lasach pojawiły się dzwonki. Zakwitły dzikie jabłonie. O zmierzchu zaczęły latać pierwsze jerzyki. Nad małą rzeczką zimorodki łapały traszki i pływaki, a nad dużą rzeką, gdzie spacerowała z matką i królową — rozmawiając jak zawsze o wełnie i handlu — Hilda widziała maleńkie tropy wydrząt.

Tego ranka, kiedy usłyszała pierwszą kukulkę — tak wcześnie! — Uinniau wrócił do Rhegedu. Odjechał z wieloma obietnicami powrotu; Begu przykleiła uśmiech do twarzy, a płakała na osobności. Przez kilka dni nawet nie groziła Gwladus chłostą. Hilda zastanawiała się, czy częściowo nie ma to związku ze zmianą, jaka zaszła w samej Gwladus: zawsze znajdowała się w pobliżu, zawsze miała to, czego właśnie potrzebowała Hilda — gorący chleb, zimną wodę, uspokajające pociągnięcia grzebienia.

Wzdłuż brzegów rzeki kwitła białymi plamami gwiazdnica, a pod wielkim żywopłotem żółcił się trędownik. Świat wypełniał łagodny śpiew drozda, a z każdego krzaka zwisały do góry nóżkami sikory.

Niepokój Hildy falował jak przyptyw. W nocy leżała nieruchomo, a Begu głaskała się, wzdrygała i drżała — zapewne myślała o Uinniau. Kiedy Begu zasypiała, Hilda leżała głodna, czujna i rozzłoszczona. Za dnia atakowała Ciana tak zaciekle, że chłopak odmówił ćwiczeń do czasu zniknięcia sińców na jego żebrach. Gesithowie Hildy zauważyli, że już nie wymyka się razem z Cianem i byli dla niej szczególnie mili, co ją złościło. Co gorsza, Oeric zaczął się zachowywać jak wieśniak, który zdobył cenną krowę, i cały czas skakał koło Hildy i się do niej uśmiechał. Musiała coś z tym zrobić, bo inaczej zacznie ją poklepywać i powiesi jej na szyi dzwonek. Pomyślała, czyby nie wysłać go do Elmetu, żeby zobaczył, jak się wiedzie Rhinowi i co z lasem w dolinie. Sokoły wędrownie pewnie mają młode. Chciałaby je zobaczyć. I co z młyńskim kołem? Rhin jest na pewno zbyt zajęty, żeby zaprzętać sobie głowę wysyłaniem wiadomości.

Wydawało się, że cały świat jest czymś zajęty. Daleko stąd Hereswitha była ciężarna — a może już urodziła — a Fursey uczył ją czytać i pisać. Równie daleko w Arbei Osfrith i Clotruda — nabrzmiała od własnego dziecka — odbudowywali sieci handlu i wpływów, wplatając do nortumbryjskiej tkaniny Franków i Fryzyczyków. Tutaj Breguswitha i Etelburga planowały nowy ośrodek wytwarzania wełny, podobny do złotniczego ośrodka Eorpwalda: strzyżenie, przędzenie, tkanie, farbowanie, szycie. Od owcy do płaszcza, lubiła mawiać Breguswitha. W Craven pozbawiony wpływów Osric. I Eadfrith, starszy ætheling podróżujący po całej wyspie, rozmawiający z Brytyjczykami z Rhegedu i Gododdinu, z Mercjanami i z wszelakimi Sasami.

Tyłu ludzi robiących tyle rzeczy — z wyjątkiem Hildy.

Zajęty był nawet Jakub, który wziął na siebie część obowiązków związanych

z zarządzaniem Elmetem. Co prawda, jak zauważył, dzięki pomysłowi Hildy, żeby król nie żądał dziesięciny od nowych rolników, prowincja ta funkcjonowała teraz gładko. Właściwie mógłby się nią zajmować człowiek Coelfritha, Pyr. W tej chwili wystarczyło tylko orientować się, kto gdzie wycina las i uprawia nową ziemię, oraz zapewniać większych posiadaczy ziemskich o życzliwości króla.

— Co wiąże się głównie z serwowaniem im raz w miesiącu plastra wołowiny. I miodu. Liczba wydawanych co miesiąc beczulek miodu jest porażająca!

Paulin Wrona był zajęty: Jakub mówił, że prawie już czuje na ramionach dotyk białego paliusza zwierzchniego biskupa i tworzy sieć własnych księży, którzy będą przekazywali informacje tam i z powrotem. Postępy w Lindsey były do tego stopnia zadowalające, że według Jakuba biskup wkrótce będzie naciskał króla, żeby on z kolei naciskał na odszczepieńca, Eorpwalda, w Anglii Wschodniej. Paulin bardzo by chciał go ochrzcić i wyznaczyć biskupa dla Anglów Wschodnich, tym samym czyniąc z siebie zwierzchniego biskupa wszystkich Anglów. Niech Justus zatrzyma sobie Kentyjczyków. Wszystko to oczywiście w interesie króla.

Sam król spędzał całe dni z Coelfrithem i pęczkami karbownic, zastanawiając się nad swoim wīc, nad tym, co mógłby przez niego przepuszczać, jakie mógłby pobierać opłaty. Wciąż liczył, liczył i liczył, typował możliwości, krzyczał na Coelfritha, kiedy nie podobały mu się jego odpowiedzi. Powinni byli przenieść się do Derventio dwa tygodnie temu, lecz król, mający obsesję na punkcie swojego wīc, nie chciał o tym słyszeć.

Hilda postanowiła porozmawiać z królem o Rhegedzie. Możliwe, że ani teraz, ani później Rhianmellda nie będzie w stanie utkać pokoju, lecz Rheged tego nie potrzebuje; Rheged potrzebuje ochrony. A chociaż Rhianmellda jest jeszcze za młoda na małżeństwo, można ją zaręczyć. Jeśli nie złapie jej Nortumbria, zrobi to ktoś inny. To, o co zabiega Rhoedd, czyli sojusz na tyle silny, by po jego śmierci Rheged nie został gwałtownie przyłączony do innego kraju i wymazany z pamięci, mogą mu dać Mercja albo Gwynedd.

W kuchennym ogrodzie odzyskanym z rumowiska przy północnym narożniku wielkiej halli Hilda strzepnęła z liścia kapusty gąsienicę. Gąsienice. Niedługo pojawią się motyle i ćmy. W Yorku nigdy nie widziała czegoś takiego. Dla niej York oznaczał kamień, cegły, zimowe niebo. Miała wrażenie, że ta zieleń jest całkowicie nie na miejscu. O tej porze powinni być w Derventio — tęskniła za swoim tajemnym zagajnikiem, tęskniła za gawronami — a potem w Goodmanham. Zanim się zorientują, nastanie lato, a oni wciąż są tutaj, wciąż w mieście z kamienia.

Wyprostowała się i powoli, z namysłem zakręciła swoim kijem.

— Morud. — Chłopak dźwignął się na nogi. — Pobiegnij do kuchni. Znajdź Gwladus i powiedz jej, że ma się ze mną spotkać w mojej komnacie. Chcę się ubrać dla króla. I powiedz w kuchni, że kapusta dojrzała, chociaż będą się musieli o nią ścigać z gąsienicami.

Gwladus przysłała do komnaty Hildy na czas, żeby pomóc jej przy włosach. Powiedziała Hildzie, że król jest w złym nastroju.

— Cisnął karbownicami w Coelfritha i kazał mu się wynosić. A potem cisnął swoim talerzem z chleba w gobelin i przysiągł, że jeśli kucharka nie przestanie przypalać

jagnięciny, to robi z jej piersi sakiewkę na monety, a poza tym i tak ma śmiertelnie dość jagnięciny, ma jej po dziurki w nosie. Powiedziałabym, że szczęściarz z niego. Dzisiaj może nie jest najlepszy dzień na to, co sobie zamierzyłaś. Nawet Wrona tam nie wszedł.

Hilda się odwróciła. Gwladus zręcznie dostosowała ruchy ręki z grzebieniem.

— Wrona? A czego on chciał?

— Ardduna mówi, że nęka królową, żeby zaczęła nękać króla, żeby wysłał Coifiego do świątyni Wodena w Goodmanham, żeby ją zburzył.

Hilda zamknęła oczy i odchyliła się do tyłu. Uwielbiała mocny nacisk dłoni Gwladus na czubek swojej głowy, równe pociągnięcia grzebienia i zapach suszonej lawendy oraz ostrą woń wrotyczu, które unosiły się z jej sukni. Zastanowiła się nad świątynią. To się musi stać. Powinno się stać wkrótce.

— Gdzie jest teraz Coifi?

— Podobno spędza czas w kościele. Nie wiem, dlaczego, bo to jest pusta przestrzeń.

W kościele, wciąż składającym się z dachu i słupów, znajdował się tylko Coifi. Były kapłan Wodena ubrany w brązową tunikę i nogawice — Hilda uświadomiła sobie, że ma chude nogi — stał z ręką na wielkiej misie osadzonej na studni i wpatrywał się w pomalowany kamień. Hilda zatrzymała się przy tym, co miało później stać się głównym wejściem, i obserwowała go. Wydawało się, że Coifi nie zdaje sobie sprawy z jej obecności ani z niczego innego. Wątpiła, czy w ogóle widzi jaskrawe kolory pod własną dłonią.

Nigdy za bardzo go nie lubiła, ale współczuła mu. Nie był już potrzebny królowi. Pewnego dnia taki będzie również jej los.

Jakby przypadkiem uderzyła kijem w słupek framugi i weszła pod dach.

— Czujesz to? — zapytał Coifi, nie odwracając się.

— Co takiego?

— Nic. — Odwrócił się. — Nie czuję nic. Czy jest tu jakiś bóg?

— Księża mówią, że on jest wszechobecny.

Podeszła do chrzcielnicy.

— To po co budować mu dom?

Nie umiała na to odpowiedzieć. Tak jak przedtem Jakub.

— Nawet nie wyrzeźbili słupków. Jaki bóg ma odwiedzać dom, który nie jest lepszy od chaty wealh? Nawet królewskie konie patrzą na lepsze słupki.

— Paulin go zburzy. Namówi króla, żeby zbudował kamienny kościół wielkości halli.

Coifi pogłaskał wapienną chrzcielnicę.

— Zimny kamień. Jakim bogiem jest ten Chrystus?

— Teraz naszym.

Cisza.

— Król nie chciał mnie dziś widzieć.

— Jest... zajęty.

— Teraz zawsze będzie dla mnie zajęty, prawda?

— Tak. — Usłyszała dobiegające z dziedzińca nikłe odgłosy ćwiczeń gesithów.

Coifi też je usłyszał. Drgnęła mu twarz: zamienił miecz na długą szatę dawno temu; było już za późno. I nie miał ani ziemi, ani żony. — Dokąd pójdziesz?

— A kto by mnie przyjął? Wrona zabrał wszystko. Powiedział, że dla jego kościoła. — Rozejrzał się po surowej, pustej przestrzeni. — Król się uśmiechał i patrzył.

Tacy są królowie. Jeśli człowiek nie jest mu potrzebny, to nie istnieje.

— Gdybyś mógł się udać, dokąd chcesz, gdybym ci dała coś na drogę, to dokąd byś poszedł?

Pomyślał chwilę.

— Do Craven.

Dwóch wysiedleńców pod jednym dachem. Hilda obracała tę kwestię w myślach, przyjrzała się jej od spodu, na rogach. Wyobraziła sobie gorycz, niekończące się historie opowiadane przy miodzie i płonącym ogniu, ciągle rozważanie, co by było, gdyby... To nie byłaby halla pełna zadowolenia, ale Hilda nie widziała, by coś miało z tego być. Osric bardzo stracił na znaczeniu, a kapłan bez boga jest nikim.

— Wiem, jak mógłbyś sprawić królowi przyjemność i zdobyć przychyłność Wrony, a odjechałbyś na królewskim ogierze odziany w bogaty strój gesitha i z bronią u boku, a twoje imię przetrwa wieczność.

Było to delikatne zadanie, jak kierowanie zaprzęgiem nerwowych koni na zarośniętym szlaku, ale niezbyt trudne. Chodziło o utrzymanie właściwego napięcia lejców i zachęcanie kolejno każdego, by postąpił krok do przodu, o składanie korzystnych dla nich obietnic, a potem o utrzymanie ich w równym szeregu, żeby każdy myślał, że bardziej obciążony jest ten drugi.

Coifi miał oficjalnie zbeczczyć świątynię Wodena i wyjechać — pod warunkiem, że zostanie wyposażony jak tan, włączając w to nieco srebra w sakiewce i służącego wealh, który usługiwałby mu w drodze do Craven. Paulin miał się temu nie przeciwstawiać — pod warunkiem, że król zgodzi się być świadkiem ostatecznego upokorzenia i odrzucenia starych bogów, a następnie uzna Paulina za głównego księdza i biskupa wszystkich Anglów. W zamian za to król zgodzi się być świadkiem zbeczczenia, ogłosi Paulina zwierzchnim biskupem i dostarczy wyposażenie dla Coifiego — jeśli dzięki temu pozbędzie się kapłana i księdza, co pozwoli mu spokojnie myśleć o swoim nowym wīc.

Coifi ponadto zgodził się namówić Osrica, żeby zaprosił Paulina do Craven na udzielanie chrztów. Paulin zgodził się zwrócić Coifiemu kilka spośród przywłaszczonych sobie jego przedmiotów. Edwin zgodził się, by główny kościół nowego boga był na tyle wspaniały, by zadośćuczynić jego chwale.

Było to szycie ścieg za ściegiem według prostego wzoru. Dziecinna zabawa. Hildę to irytowało.

Przyszła do halli z najnowszą propozycją dla króla i Paulina. Kiedy roztrząsali kwestię, ile chwały wymaga nowy bóg — nie tylko kamienia, powiedział Wrona, ale marmuru, płytek i szkła — do Hildy przysunęła się Gwladus i szepnęła jej coś do ucha.

Ciepły oddech, powiew wrotyczu i lawendy, słowa zapoczątkowały falę czegoś dzikiego, czego nie umiała nazwać. Zadrzała jak koń uwolniony z uprzęży. „Zaskoczeni królowie mogą być niebezpieczni”. Nieważne. Po to się urodziła. Jest światłem świata.

Wyprostowała się.

— Omen, królu. Omen!

Grzechot kości dobiegający z kąta gesithów umilkł.

Król i biskup odwrócili się do niej. Oczy Edwina powoli poczerniały, a potem wokół ich krawędzi zafalowała zieleń. Hilda dokładnie wiedziała, o czym myśli: omeny to młoty wyrd, ryzykowne i nieprzewidywalne; mogą się wychylić w każdą stronę.

Czuła jednak, że moc aż w niej kipi. Wiedziała, że król pozwoli jej mówić.

Po chwili skinął głową.

Spojrzała w dół na Paulina. Nie wrona, tylko raczej zakurzony czarny żuk. Mogła go zniszczyć jednym słowem.

— Książka biskupa często nazywa Chrystusa Barankiem Bożym.

Oczy mu zalśniły.

— On ma wiele imion.

— Jednym z nich jest Baranek Boży.

— Tak.

— A wszyscy przyznają, że ptakiem Wodena jest kruk.

Potakiwanie ze wszystkich zakątków halli.

— Wszystkie ptaki są ptakami Chrystusa! — powiedział Paulin, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi. Kruk jest ptakiem Wodena, jego posłańcem życia, śmierci i wojny; zawsze nim był i zawsze nim będzie.

— Słuchajcie! — Czuła się wyższa niż dąb, wyższa niż więz. Powstaną pieśni o jasnowidzącej króla, o królowej wyrd. — Królu. Biskupie. Kiedy tak tu staliśmy i ważyliśmy chwałę należną Chrystusowi, na owce w zagrodzie spadł kruk i porwał jagnię.

Martwa cisza, a potem szmer szeptów.

— Co to zatem oznacza, biskupie?

Pociemniały mu policzki. Hilda wiedziała, co myśli: że zaraz przyprze go do muru, zniweczy wszystkie jego plany. Mogła to zrobić. Czuła się pewna siebie. Jednak nie posłużyłoby to celom jej wuja. Istniała inna droga.

— Oznacza to, biskupie, że ptak Wodena znajduje się w rozpaczliwej sytuacji. Jest chudy i głodny. Jagnię jest młode i tłuste. Kruk chwycił swoją szansę. — Ważyła słowa. — Czy ukradł owcę? Nie. Dlaczego? Bo nie miał dość siły. Kruk, ptak Wodena, porwał jagnię, ponieważ jagnię jest w owczarni od niedawna. — Ustawiała słowa jedno po drugim na swoich blankach. — To nie jest wiadomość od Wodena.

Jej słowa wisały w powietrzu jak oświadczenie, jak wyzwanie: „Nie możecie mnie powstrzymać!”

— To jest wiadomość od Chrystusa! — Jej głos rozbrzmiewał w całej halli. — Chrystusa, naszego nowego boga. Woła do nas: Walczcie za mnie!

Szepty nasiliły się do ryku: „Walczcie!”. To gesithowie rozumieli. Lecz pośrodku halli wokół trzech lśniących postaci rozlała się cisza: Paulin zastanawiał się, dlaczego Hilda w ten sposób pokierowała bitwą i jaki może mieć głębszy cel. Edwin usiłował zrozumieć, ile może mu to przydać kontroli nad Wroną. Hilda zaś czuła się osamotniona i przerażona, bo fala jej pewności siebie opadła. Lekkomysłność może być przyczyną

śmierci i gesithów, i jasnowidzów.

Szarym popołudniem wzdłuż rzeki prowadzącej do Goodmanham posuwała się niewielka grupa jeźdźców. Minęli olszynę, gdzie dawno temu mała Hilda i mały Cian drzemali oparci o pokryty bliznami bok sukki Gwen, król siedział w cieniu na stołku i słuchał skargi tana na wdowę, a gesithowie przerażali służących niekończącymi się żądaniami białego miodu.

Hilda się uśmiechnęła, a potem przypomniła sobie, że Edwin jest teraz zbyt ważny, by siedział na stołku ustawionym na trawie, Cian jest jednym z gesithów, a Gwen nie żyje.

Kiedy minęli wiązy wyznaczające porę dnia, chmury odsłoniły słońce, wśród drzew rozśpiewały się ptaki, a powietrze zapachniało dojrzewającym lnem, rosnącym zbożem i tłustą wełną owiec zaganianych do owczarni.

Konie zwolniły do stępa. Słońce lśniło na krzyżach wiszących na piersi wszystkich. Złoto błyszczące od granatów dla Edwina, granaty i perły dla Hildy. Wielki pectorał ze złota i ametystów dla Paulina. Zwykłe złoto dla Ciana od królowej, jego matki chrzestnej. Srebro dla Szczepana. Posrebrzana i pozłacana miedź dla Coifiego, dobrze pasująca do jego bogato zdobionej czerwono-złotej kurty — pośpiesznie przerobionej kurty Coelfritha — i siwego ogiera, trzeciego co do wartości wierzchowca Edwina. Nowy miecz Coifiego w podróźnej pochwie dość dobrze wisiał mu na plecach, ale włócznię były kapłan trzymał niezręcznie. Gesithowie — wielu z nich było ogarami Hildy — mieli krzyże z brązu lub posrebrzanej cyny, chociaż licznym spośród nich wisiały na szyi po dwa rzemienie. Krzyże nosili na zewnątrz, żeby wszyscy mogli je widzieć, lecz Hilda domyślała się, że skóry wojowników dotyka włócznia Wodena albo młot Thunora. Chrystusowi nie zaszkodzi to, czego nie zobaczy. Oni byli gesithami, ludźmi nawykłymi do tego, że podczas bitwy zwycięstwo zmienia się w klęskę i na odwrót w zwycięstwo w zawrotnym tempie. Lubili mieć coś w odwodzie.

Nawet scop miał pięknie rzeźbiony krzyż z wiązowego drewna opleciony srebrnym drutem i z okuciami ze srebra. Coś w wyglądzie pełnych wdzięku linii sprawiło, że Hilda spojrzała na Ciana, zadając sobie pytanie, czy to on zrobił ten krzyż. Cian sprawiał wrażenie zatopionego w innym świecie. Prawdopodobnie marzył o jakiejś minionej chwale. Hilda dotknęła sakiewki przy pasie, w której miała trzy kubki podróżne z korzenia głogu, krzesiwo, hubkę i łyżkę, i zapragnęła pobiec z Cianem do ich małego stawu przy czeremsze, napić się wody ze źródła i porozmawiać. Od wyjazdu Unniau panowało między nimi napięcie. Hilda nie wiedziała dlaczego. Powiększało to tylko jej niepokój — od pewnego czasu zastanawiała się, jaki to lekkomyślny prowokator losu zamieszkał w jej ciele.

Edwin uniósł rękę. Ściągnęli wodze sto kroków przed wielkimi rzeźbionymi słupami świątyni.

Zsiedli z koni. Edwin skinął głową na Coifiego, Paulina, Hildę i scopa, żeby się zbliżyli. Paulin wziął od Szczepana swój wielki złoty pastorał, scop przerzucił przez ramię worek z lirą, a Coifi przez chwilę ciągnął swoją włócznię po ziemi, ale szybko chwycił ją mocniej. Hilda podała Oericowi wodze Cygnet i spokojnie stała jako świadek wzoru.

Z kępy jesionów rosnących z boku wejścia odezwał się gołąb grzywacz, a z dębu

odpowiedział mu inny.

Król wygłosił swoją mowę o silnych nowych bogach zastępujących zmęczonych starych bogów, o tym, jak zebrani tutaj będą świadkami obalenia starego boga przez nowego boga Anglów, co będzie zwiastunem angielskiego tryumfu. Powiedział, że biskup Chrystusa zaraz pobłogosławi głównego kapłana głównego spośród starych bogów i przejmie go dla nowego boga.

Kiedy Coifi przyklęknął na jedno kolano i własną przemowę rozpoczął biskup, Hilda rozproszyła wzrok, by móc widzieć wszystko dookoła, jak robiła to w lesie, żeby wychwycić wzór. Dwudziestu gesithów stojących przy koniach. Połowa z dłońmi na krzyżu. Wielu z dłońmi na rękojeści miecza — ale tylko przez chwilę, bo szybko opuszczali ręce, ze strachem zerkając na świątynię. Woden zakazywał przynoszenia ostrej broni w pobliże swojego totemu. Znajdowali się nieprzyjemnie blisko niego. Woden, bóg wojny i dzikiego łowu, bóg chaosu i niepewności, bólu i śmierci, był nieprzewidywalny. To wszystko mogło się okazać jakąś sztuczką. Niektórzy zerkali na niebo, wypatrując wróżebnych ptaków. Inni obserwowali kapłanów brnących w swoje role. Hilda uświadomiła sobie, że inni obserwują ją, chociaż tylko Cian robił to otwarcie.

Paulin uniósł ręce, kończąc swoją mowę — żelazo, ogier, upadek pogańskich bogów! — i patrząc w niebo. Coifi wstał.

Patrzyło na nią teraz więcej gesithów. Coifi się nie ruszał.

Odwróciła się do niego. Biedny kapłan. Całe życie zmienione w jednej chwili.

Wyciągnęła rękę.

— Pomogę ci.

Skinęła głową na Oerica, żeby pottrzymał włócznię Coifiego — inaczej kapłan by się o nią potknął — i położył jego rękę na kłębie trzeciego co do wartości królewskiego ogiera. Hilda ujęła go za lewą rękę, położyła ją sobie na ramieniu i pochyliła się, splatając dłonie. Coifi postawił na nich stopę, a Hilda podsadziła go na siodło. Podała mu wodze, sprawdziła, czy je trzyma, a potem kiwnęła głową na Oerica, żeby podał Coifiemu włócznię, i obróciła konia przodem do świątyni.

— Nie ma pośpiechu — rzekła. — Zaczynij od stępa.

Lecz Coifi kopnął konia w panice mocniej, niż zamierzał, i runął galopem na słupy przy wejściu. Hilda ścisnęła rękojeść seaksa i napięła mięśnie.

Pięć długości przed wejściem Coifi krzyknął i cisnął włócznią do środka. Doskonale wyszkolony ogier wiedział, że rzucona włócznia oznacza, iż powinien gwałtownie skręcić, uciekając przed spodziewaną reakcją, i tak zrobił. Kapłan i koń odbili gładko w lewo, a włócznia, ostre żelazo, pofrunęła w serce boga.

Wszyscy zbrojni, nawet król, wzdrygnęli się. Hilda zamknęła oczy, ale nie było rozbłysku światła, nie uderzył ostatni piorun.

Siwy ogier wrócił z grzmotem kopyt i z rozdętymi nozdrzami. Coifi trzymał się kurczowo rożka siodła.

Pierwszy zareagował scop.

— Patrzcie! — zawołał. — Woden został zniszczony. Bogiem jest Chrystus!

To był okrzyk zwycięstwa, który gesithowie rozumieli. Uderzyli włóczniami o tarcze i wzniesli okrzyk. Hilda puściła rękojeść seaksa i poruszyła palcami, żeby

przywrócić w nich krążenie krwi.

Edwin roześmiał się i klepnął biskupa po plecach.

— Teraz namówimy Eorpwalda, żeby przyjął Chrystusa. I wtedy zobaczymy, kogo biskup Rzymu nazwie królem wyspy!

Lintlaf przyprowadził królowi konia, a kiedy Edwin go dosiadł, Hilda zobaczyła, że Lintlaf wyciąga zza tuniki jakiś wisior i go odrzuca. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Bóg w pokrzywach.

— Pani.

Oeric z Cygnet. Konie tańczyły, ruszały galopem.

— Zaprowadź ją z powrotem do vill.

— Pani?

— Pójdę pieszo. Ktoś musi pożegnać boga. Wrócę na kolację.

Kiedy była już sama, weszła między wejściowe słupy. Włócznia leżała ukosem na ubitej ziemi. Hilda ją podniosła i oparła o wysoką drewnianą ścianę.

Budowla pachniała starym drewnem i ziemią rozgarnianą przez młode pędy. Farba, tak jaskrawa rok wcześniej, wyblakła. Dużo grubych czarnych konturów wciąż było wyraźnych, lecz żywe kolory zmieniały się w brązy i szarości. Ruszyła spiralnym korytarzem, wodząc ręką po namalowanym horyzoncie — morze, plaża, wydmy, lasy, wrzosowiska — podróży jej ludu zza morza. Historia Anglów spleciona z Wodenem aż po świt ich pieśni.

Statki. Ogień. Błyszczące miecze. Krewni i kozy. Lasy i doliny. Palenisko i dom. Gdzie w tym wszystkim jest Chrystus? Chrystus nie walczy. Chrystus nie uprawia ziemi.

Totem był wyższy, niż pamiętała. Obeszła jego podstawę. Fale, urwiska, dziób statku, wyciosane głęboko i wyraźnie. Wyciosane w drewnie, nie w zimnym kamieniu.

Chrystus był cieślą. Dlaczego jego kapłani budują z kamienia?

Powiodła wzrokiem po wznoszącej się linii płaskorzeźby. Urwisko, wysokie drzewce z rozwianym sztandarem z głową dzika. Rozwiany sztandar zlewał się z siatką dębowych gałęzi. Wśród nich polatywały ptaki z żółdźkami w dziobach. Coraz wyżej i wyżej. Liście miecione wiatrem. Dzikie gęsi. Chmury. Końskie ogony. Konie dzikiego łowu. Grzywy i ogony stawały się brodą, broda prowadziła do podbródka. Coraz wyżej i wyżej. Usta. Oczy, ogromne, lecz znane. Oczy boga, który się śmieje, który pożąda, który pije, rzuca kośćmi i traci panowanie nad sobą. Coraz wyżej i wyżej. Hełm zwieńczony wizerunkiem dzika. Totem i znak Yffingów. I wszystko to zniszczyje i zapadnie się w ziemię, jakby nigdy nie istniało.

Stała samotnie w pustym sercu minionego boga z kijem w zgięciu łokcia, z jedną dłonią na seaksie, a drugą na krzyżu. Ona nie zniszczyje i nie zapadnie się w ziemię. Pochodzi z rodu Yffingów. Będzie totemem i znakiem dla jej ludu, światłem świata.

Następnego dnia w Goodmanham wciąż kipiał chaos związany z przybyciem królewskiego dworu. Późnym rankiem Hilda zostawiła Begu i Gwladus, żeby rozłożyły ich rzeczy, i poszła szukać matki. Chciała porozmawiać o szalonej Rhianmelldcie, o włączeniu Rhegedu do Nortumbrii, żeby ich kraj rozciągał się od Morza Północnego do Morza Irlandzkiego i żeby Begu była szczęśliwa.

Breguswitha stała z Etelburgą pośrodku pól lnu i pokazywała na coś ręką. Królowa

kręciła głową, patrząc na południe.

Hilda się zawahała. Osobom królewskiego rodu najlepiej przynosić odpowiedzi, a nie pytania. Wtedy królowa ją spostrzegła i pomachała ręką, było już za późno. Hilda pomachała królowej i ruszyła w stronę kobiet.

Len całkowicie wyrósł i sięgał jej do bioder, chociaż kulki nasienne miał jeszcze małe i zielone. Pole przecinały wąskie tuneliki. Norniki. Jeśli nie wystraszyły ich matka Hildy i królowa, to nad polem zaczną krążyć jastrzębie. Kobiety przywitały ją uśmiechami.

— Może powiesz nam, co o tym sądzisz — rzekła królowa.

— Mamy dwie możliwości — powiedziała matka Hildy. — Albo ryzyko lub nagroda, albo spokojna pewność.

Etelburga ucięła łądogę lnu nożem, który nosiła u paska, przetoczyła ją kilka razy między dłońmi i wyciągnęła w stronę Hildy.

Dziewczyna pochyliła się i powąchała.

— Włókno jest dojrzałe, ale nasiona nie. — Kobiety kiwnęły głowami. To było oczywiste. — Dobrze. Olej czy płótno?

— Olej jest drogi — rzekła Breguswitha.

— Tak jak dobre płótno — odparła królowa. — Jeśli zrobimy żniwa teraz, otrzymamy bardziej miękką i delikatniejszą przędzę.

— W tym roku słońce przyszło wcześniej — powiedziała Hilda. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest jastrzębiem unoszącym się wysoko nad polem. Wyobraziła sobie pole położone nieco na południe i sąsiadujące z nim następne, następne i następne pola ciągnące się na południe aż do wąskiego morza. Otworzyła oczy. — Kentyjskie i wschodnioangielskie żniwa lnu dadzą dużo oleju i mało dobrego płótna.

Starsze kobiety wymieniły uśmiechy.

— A zatem płótno — rzekła królowa. — Powiemy Coelfrithowi. Będzie się sprzeciwiał.

— Ale król weźmie twoją stronę — stwierdziła spokojnie Breguswitha; roześmiały się w ten kobiecy sposób, którego Hilda nie rozumiała, ale który przypominał jej nową Begu.

Odwróciły się, żeby odejść.

— Pomóżcie mi — wyrwało się jej. Obejrzały się na nią, zaskoczone. Brnęła dalej. — Rhianmellda z Rhegedu potrzebuje męża.

— Rhianmellda? Ale ona jest jeszcze za mała — powiedziała Etelburga, marszcząc brwi. — Prawda?

Breguswitha skinęła głową, nie spuszczając wzroku z córki.

— Ale Begu nie.

— Begu chce wyjść za Uinniau — powiedziała Hilda. — A on nie może wziąć żony, dopóki nie rozstrzygnie się kwestia Rhegedu. Kwestia Rhegedu się rozstrzygnie, kiedy Rhianmellda wyjdzie za kogoś silnego. Chcemy, mój wuj chce, żeby ten człowiek był naszym sprzymierzeńcem.

— Mamy znaleźć silnego człowieka, kogoś z nas, i zaproponować go Rhoeddowni dla jego córki?

— Gdyby nie Begu, nie byłoby pośpiechu — stwierdziła Breguswitha.

Etelburga uśmiechnęła się.

— Mam kogoś odpowiedniego.

Hilda i Breguswitha spojrzały na nią z osłupieniem.

Etelburga zrobiła zadowoloną minę.

— Jest młody. I przystojny. Jest odważny, ma miecz z pierścieniem. Szanują go i Brytyjczycy, i Anglowie. — Roześmiała, zachwycona swoim pomysłem. — Och, on pasuje do niej jak rękawiczka! Jest chrześcijaninem ochrzczonego przez przyszłego arcybiskupa, Paulina. Nie domyślcie się? Ocalił królowi życie. — Teraz wyglądała na zirytowaną. — To mój chrześniak. Krzykliwy Płaszcz.

— Cian? — zapytała Hilda w oszołomieniu. Cian?

— Mówią, że jest synem króla Cerediga, ale ocalił życie zwierzchniemu królowi Anglów i złożył mu przysięgę. Jest idealny!

W owczarni Hilda przytulała do siebie tłusciutką białą owieczkę, a Breguswitha potarła palcami runo na jej boku, powiodła dłonią po jej łopatce, skinęła do siebie głową, a potem pomacała jej przednie nogi, szyję i brzuch. Zmarszczyła brwi i pociągnęła za runo na tylnych nogach tak mocno, że owieczka zabeczła. Breguswitha pokręciła głową. Hilda postawiła wyrywające się zwierzę na ziemi i puściła je.

— Wełna z nóg jest gorsza, niż się spodziewałam, ale ta na grzbiecie i bokach jest gęsta. Gęsta, miękka i dobra nawet dla króla.

— Co zrobimy z Cianem?

— Wełna z przodu może nie być wystarczająco dobra dla Franków, ale dla Fryzyczyków wystarczy. Obejrzyjmy teraz którąś z tych brązowych.

Hilda złapała małą szarobrązową owieczkę i uniosła ją do góry tak, że dotykała ziemi tylko tylnymi kopytami, wywracając w panice oczami. Przechyliła owieczkę do tyłu jeszcze bardziej, aż się poddała i zwiotczała.

Breguswitha uklękła i zaczęła wodzić rękami po szyi zwierzęcia.

— Najpierw powinnaś była porozmawiać ze mną — rzekła.

— Tak. Ale...

— To niepodobne do ciebie.

— Nie. Ale...

— Ta jest bardzo miękka, bardzo dobra, ale delikatna. Będziemy musiały wypróbować inne sposoby wybielania. — Wstała, a Hilda puściła owieczkę. — Dlaczego nie pomyślałaś, zanim się odezwałaś?

— Chodzi...

— To nie pierwszy raz, tak?

Hilda patrzyła na swoje stopy.

— Muszę wiedzieć. Ale najpierw przynieś mi tego roczniaka.

I kiedy matka wodziła dłońmi po beczącym jagnięciu, Hilda wpatrywała się w gęstą czarną sierść za jego uszami i próbowała powiedzieć jej o niepokoju, który zalewał ją jak fala, o niekreślonej tęsknocie, o snach, bezsenności, o dziwnym oddaleniu od świata, chęci igrania z niebezpieczeństwem, dotknięcia czegoś, czego nie może osiągnąć.

— To jak... Jak wspinanie się na wielki jesion, coraz wyżej i wyżej, gałęzie się uginają, a ja sięgam, sięgam po coś i jakaś część mnie wie, że gałąź się złamie, ale nie dbam o to. Chcę tego. Tylko że nie wiem, co to jest.

— Teraz Cian może wyjechać do Rhegedu.

— Tak. My...

— Ale nie dzisiaj. Dzisiaj musimy się zająć tobą. Stanowisz zagrożenie dla siebie i innych. — Breguswitha podniosła wzrok. — Zaczęłaś się dotykać?

Jak Begu pod przykryciem.

— Spróbuj tego następnym razem, kiedy... poczujesz niepokój. Pomoże ci to zasnąć. Ale nie pomoże na długo. Potrzebujesz kogoś, kto będzie dla ciebie ostoją. Kogoś, czyj zapach i dotyk zatrzyma cię przy ziemi, powstrzyma przed szaleńczym wspinaniem się albo przed spadnięciem z urwiska.

Wstała.

— Kogoś?

Breguswitha wytarła rękę.

— Kogoś, kogo nikt nie zauważy. Kogoś, w kogo nikt nie uwierzy.

Roczniak beczał i wrywał się.

— Możesz go puścić. — Jagnię podbiegło do owcy i szturchnęło ją głową w bok. Owca nie zareagowała. Breguswitha wyciągnęła w stronę Hildy swój fartuch, żeby dziewczyna mogła wytrzeć ręce. — Ludzie zawsze będą wiedzieli, kogo wybrałaś, ale jeśli jest to ktoś, kogo mogą zlekceważyć, to nie zlekceważą ciebie. Rozumiesz?

— Nie.

— Jeżeli ta osoba nie jest ci równa, jeżeli nie ma znaczenia, to wciąż będziesz postrzegana jako ty. — Spojrzała na Hildę i westchnęła. Hilda poczuła się nieswojo. — Rozejrzyj się. Zwracaj uwagę na ludzi. Jak Lintlaf z tą twoją kobietą, a teraz z kobietą Wilnoży. Albo Cian z tą rudą dojarką w Bebbanburgu. Nikt nie zwracał na to uwagi. Ale gdyby zaprzyjaźnił się z którąś z kobiet królowej, wszyscy by o tym plotkowali, bo to ma znaczenie. Tak jak dla ludzi znad zatoki miał znaczenie związek Mulstana z Onneną.

— Ona jest wealh.

— Nie bądź tępa. Była towarzyszką jasnowidzącej, jest kuzynką króla Cerediga. O Cianie krążą plotki, że jest jego synem. A twoja kobieta nie jest nikim ważnym. Rozumiesz?

Hilda czuła się tak oszołomiona jak ten roczniak.

— Tylko zadbaj o czystość. Mam ci kogoś znaleźć? Nie? I nie zajdź w ciążę. Rób wszystko, byle nie to. Wiesz, co mam na myśli. Jeśli nie, to porozmawiaj ze swoją kobietą. Król nie potrzebuje nabrzmiałej jasnowidzącej, a twój brzuch będzie cię interesował bardziej niż wszystko inne. Och, tak, nawet ciebie. Więc rób wszystko, byle nie to. I nie zwracaj na siebie uwagi księży. Nie mam pojęcia, dlaczego Chrystusa albo jego księży miałyby interesować, co ze sobą robimy, ale oni lubią się wtrącać. Więc uważaj. A gdybyś się potknęła, natychmiast przyjdź do mnie. I pamiętaj, to ma być ktoś bez znaczenia.

— Ty wybrałaś Osrica — powiedziała Hilda.

— To był błąd.

Przez chwilę słuchały, jak owce gryzą trawę.

— Jaki był?

Breguswitha westchnęła, a potem uśmiechnęła się powolnym, pełnym żalu, całkowicie ludzkim uśmiechem.

— Kiedy nikt nie patrzył? Uległy.

Uległy. Hilda rozumiała, że to mogło być dobre. Ale co dokładnie miałyby kazać robić temu komuś? Widziała ludzi w halli, w oborze. Obserwowała z drzew i przez szpary w ścianie. Ale nie z bliska, nie widziała wyraźnie, tylko ruch, niewidzące oczy, zaczerwienione twarze. Widziała zwierzęta.

— Pomóż mi z tą bramką. — Otworzyły zagrodę, wypędziły owce. Patrzyły, jak płyną nad trawą niczym wełniane chmury. — Jeszcze jedno. Cokolwiek zrobisz, niech to nie będzie z twoją gemæcce. Kiedy takie związki się psują, a psują się zawsze, będziesz potrzebowała jej po swojej stronie jako stałego oparcia. A skoro odjechał Uinniau, będziesz musiała jej kogoś znaleźć. Proponuję, żebyś kupiła jej niewolnika. W Kencie można kupić wykastrowanych.

Hilda wytrzeszczyła na nią oczy.

— Nie? Może i nie. Obrzydliwy frankijski zwyczaj. Ale ona jest gemæcce jasnowidzącej. Dlatego jest ważna. Ze względu na ciebie. — Położyła dłoń córce na ramieniu. — Bądź ostrożna.

Ostrożna. Zawsze obserwowana, zawsze szpiegowana.

— Jestem taka zmęczona byciem ostrożną.

— Wszystkich nas to męczy. — Pogłaskała Hildę po policzku. Dłoń miała miękką od lanoliny. — Ale to się nigdy nie zmieni. Przykro mi.

Podmuch wiatru uniósł róg jej welonu. Hilda chciała go przygładzić, ale matka nie znosiła, jak się o nią dbało.

— Nigdy nie chcesz... Tak po prostu odejść?

Machnęła ręką w stronę wiązów na szczycie wzgórza i leżącego za nim pofałdowanego terenu.

— Mogłam tak zrobić po śmierci twojego ojca. Nie miałam znaczenia. Ale miała znaczenie twoja siostra, wciąż je ma, chociaż nie jest już pod moją opieką. I miałaś znaczenie ty i będziesz je miała, póki żyje ten król, a nawet po jego śmierci i po śmierci jego następcy, a nawet i jego następcy. Ty nigdy nie możesz odejść. Zawsze cię znajdą. Masz znaczenie ze względu na swoją krew i swój umysł.

— Który stworzyłaś ty.

— Aby zapewnić ci bezpieczeństwo.

„Matka zbudowała ci miejsce, w którym możesz mówić otwarcie”.

— Zatem bądź ostrożna, dziecko. Odłóż znalezienie sobie kogoś do czasu, kiedy naprawdę będziesz musiała to zrobić, ponieważ kiedy już podzielisz się sobą z kimś innym, dotykanie się nie wystarczy. Teraz poszukaj szybko kogoś dla swojej gemæcce.

G

Hilda zaczęła się rozglądać za kimś dla Begu. Starła się patrzeć jej oczami. Kiedy siedziała przy stole, zauważała, gdzie zatrzymuje się wzrok Begu, co sprawia, że Begu wstrzymuje oddech, zerka z ukosa albo dlaczego jej ręka zatrzymuje się w pół drogi do ust. W miarę jak dni robiły się cieplejsze, mężczyźni stawali do zapasów rozebrani do

pasa, a kobiety zdejmowały rękawy i nosiły suknie z lżejszych tkanin. Hilda nauczyła się zauważać, jak sutki jej gemæcce sztywnieją i napierają na materiał sukni, kiedy gesithowie ćwiczą walkę, jak Begu zmienia pozycję na ławie i żąda czegoś do jedzenia albo picia od przechodzących służących, żeby ukryć częste przełykanie śliny, gdy jej wzrok zatrzymuje się na męskich dłoniach chwytających udo czy na ramionach oplatających przeciwnika w pasie albo na rękach poklepujących cudze pośladki.

Hilda zaczęła przewidywać, co może wywołać rumieniec Begu: ruch mięśnia pod skórą lśniąca od potu, napięcie ścięgna pod kolanem męskiej nogi zapartej w ziemię, błysk czerwonych warg przy krawędzi rogu z miodem, interesujące poruszenia w nogawicach drapiącego się mężczyzny.

A teraz, kiedy w nocy Begu drżała, a potem zasypiała, przychodziła kolej na Hildę. Jej niepokój się zmniejszył.

Niepokój Begu nie.

Hilda kazała Oericowi zwracać uwagę na ludzi odpowiednich dla ich gospodarstwa.

— To mają być silni i młodzi mężczyźni — powiedziała.

— Silni, pani?

— Silni. I czyści. Z przyjemnym oddechem. Mężczyźni, którzy się śmieją.

— Gwladus takich zna.

Stara czeremcha wciąż żyła, chociaż jeden konar był nagi i suchy. Cian opierał się o omszały głąz nad stawkiem, a Hilda, bosą i z suknią spodnią jeszcze podwiniętą po walce, leżała na brzuchu i moczyła rękę w nieruchomej wodzie, posyłając na wszystkie strony drobne fale. Po wodzie prześliznął się wodnik, a potem wspiał się na liść i pomachał w stronę Hildy przednimi odnóżami. Hilda położyła dłoń na powierzchni wody i delikatnie nacisnęła na falującą powierzchnię. Zupełnie jakby trzymała ją na brzuchu Begu: miękkim, elastycznym, delikatnym, fascynującym. Wsunęła dłoń pod wodę i wysunęła ją z powrotem. Pod wodę. Z wody. Jej ręka łamała się i w magiczny sposób zrastała, łamała się i zrastała. Cian uśmiechnął się; na pewno wspominał magiczny patyk i ząb.

Wokół pachnących migdałami białych kwiatów czeremchy polatywały białe motyle.

— W tym roku jest chyba więcej kwiatów niż w zeszłym — odezwał się Cian. — Może będzie kwitła wiecznie.

— Tu jest jej miejsce. Tak jak nasze.

Wydawało się, że ta chwila jest wyjęta z czasu. Trawa przyjemnie kłuła Hildę w uda i ręce. Przeciągnęła się i roześmiała. Była szczęśliwa.

Cian przesunął się i odwrócił, a Hilda uświadomiła sobie, że ma na sobie tylko suknię spodnią podciągniętą między nogami. Usiadła.

Cian podniósł z ziemi gałązkę i przyglądał się ciemnym owalnym listkom.

— Cian. — Znieruchomiał, ale na nią nie spojrzał. — Chciałbyś pojechać do Rhegedu? Gdyby takie było życzenie królowej?

— Do Rhegedu? Dlaczego? Złożyłem przysięgę królowi.

— Gdyby cię poprosił.

— Jest moim panem. Ale z wyboru... W Rhegedzie nie znajdę chwały.
Teraz na nią spojrział.

— Nie, nie miałam żadnych wizji chwały, nie słyszałam żadnych pieśni o wojnie, krwi i złocie. Ale gdyby królowa wspomniała o Rhegedzie albo o księżniczce Rhianmelldcie, która jest zupełnie szalona, to mi o tym powiedz.

— Dlaczego miałyby to zrobić?

Hilda pokręciła głową.

Cian rzucił w nią gałązką, Hilda odbiła ją w bok.

— Dlaczego miałyby to zrobić?

Prysnęła na niego wodą. Cian szarpnął się w tył, uderzył łokciem o głaz, zaklął.
Hilda zerwała się na nogi.

Zapatrzył się na nie.

— Masz silne nogi — rzekł w końcu. — Powinnaś nauczyć się mocować.

Spojrzała na swoje uda, bledsze od jej rąk, bledsze od rąk Ciana.

Przełknął ślinę.

— Mógłbym cię uczyć.

Głos miał ściśnięty, bardziej chrapliwy niż poprzednio. Skóra Hildy napięła się i zadrżała jak u konia, kiedy na kłębie siądzie mu mucha.

— Pobiegnijmy — powiedziała i wprowadziła słowo w czyn, nie zważając, że szarpia ją gałęzie, kiedy biegła, biegła, biegła.

Dwa dni później Cian i pozostali gesithowie wyruszyli z królem do Yorku. Edwin bardzo chciał nadzorować pierwszy sezon handlu w swoim wīc. Hildzie i jej matce kazał zostać w Goodmanham i kierować produkcją tkanin dla tego handlu. Paulin i Szczepan przebywali u Anglów Wschodnich w Rendlesham: Paulin chciał ochrzcić młodego Eorpwalda i wyznaczyć biskupa, zanim zdoła to zrobić Justus, a Szczepan chciał negocjować z zarządcą Eorpwalda warunki handlu z Frankami. Hilda rozważała możliwość zaproponowania Szczepanowi, żeby zaprosił do rozmów Hereswithę. Mogłaby to zrobić, gdyby negocjacje prowadził Osfrith, ale Osfrith był w Arbei i umacniał północny handel, przeciągając go na wschód wzdłuż rzecznej doliny, by osłabić, a wręcz zlikwidować szlak biegnący wzdłuż zachodniego wybrzeża przez Gwynedd. Napinał wielką tkaninę. Poza tym nie chciał opuszczać Clotrudy, która była już wielka jak beczka.

Królowa spędziła w Goodmanham pół tygodnia na rozmowach z Breguswithą, a potem zabrała mamkę i małą Eanflædę i pojechała za królem do Yorku. Handel tkaninami był ważny, lecz większe znaczenie miało urodzenie synowi króla.

Nie mając nikogo, kto mógłby się jej sprzeciwić, Breguswitha rządziła w Goodmanham żelazną ręką: zawsze miała przy sobie przybijaczkę z miecza i płażowała nią każdego, kto natychmiast nie wykonywał jej poleceń. Ponieważ nie było nikogo, komu musiałyby ulegać, już się nie pochylała i nie chwiała. Nie była już wierzwą, lecz dębem.

Hilda pomogła zaplanować nowy handel wełną, lecz nawet ona dziwiła się jego sprawności. Owce strzyżono w każdym królewskim vill od doliny Tine przez Pickering po wyżyny Elmetu. Runo sortowano i wysyłano do rządów chat w Aberfordzie, do Flexburga nad Humberem albo do Derventio. Całe armie kobiet rozdzielały włókna

i mieszały mydlnicę, mocz oraz miętę, żeby wypłukać z runa tłuszcz. Dzieci rozkładały wypraną wełnę na słońcu, żeby wyschła, pilnowały jej i przewracały oraz odpędzały ptaki, które lubiły ją kraść. Mężczyźni napełniali beczki olejem i tłuszczem i rozwozili je wozami do vill, żeby łatwiej było pierwszy raz rozczesywać włókna palcami i je sortować. Kowale kuli grzebienie o podwójnych rzędach zębów, a stolarze robili do nich drewniane uchwyty, żeby kobiety mogły wyczesywać wełnę w nowy, lepszy sposób, trzymając grzebień w każdej ręce. Cieśle robili stołki i stoły. Piekarze piekli chleb, żeby ludzie mieli siłę pracować przy wełnie. Tokarze wytwarzali wrzeciona i kądziele — te długie i te krótkie — a wszędzie i kobiety, i mężczyźni robili z gliny, ołowiu i kamienia ciężarki wszelkich rozmiarów i wagi do wrzecion i krosien.

Wytwarzanie tkanin na ubrania dla domowników — płaszcze i tuniki, koszule i nogawice, welony, suknie i suknie spodnie, kaptury i czapki — a również na koce, gobeliny, bandaże, worki, derki, ścierki i całuny wymagało stałej, niekończącej się pracy. Breguswitha chciała mieć dość pięknej wełny — najlepszej, jedwabistej wełny o długich włóknach — by tkać z niej płaszcze odpowiedniej wielkości i jakości na wymianę za cenne towary Franków: jaśmin, mirrę, pastę z maku, granaty, złoto, olej z orzechów i oliwek, jedwab. Tymczasem ludzie Coelfritha rozmawiali z Frankami i Fryzjczykami w Yorku, ustalając kolory, rozmiary, pory roku, plując i potrząsając dłońmi.

Więcej ostrzyżonych owiec. Więcej uprzedzonej wełny. Więcej ufarbowanej przędzy. Więcej utkanej tkaniny. Więcej skrojonego, zszytego i wyhaftowanego materiału. Więcej uprawianej rezedy i wytwarzanych kadzi. Więcej ściętego i spalonego drewna. Więcej, więcej, więcej.

Dni robiły się dłuższe, noce cieplejsze. Zaczynał się złocić jęczmień.

Breguswitha była wszędzie; wszystkiego dotykała, wszystko oceniała, organizowała, poganiała, przewidywała. Razem z Hildą zauważyła, że tego roku runo w Goodmanham jest gęste, wysłała więc do owczarni kowalczyka, żeby ustawił tam przenośną kuźnię i co wieczór wyklepywał i ostrzył nożyce. Jednak tempo strzyży nadal było zbyt wolne.

Breguswitha usiadła razem z Hildą na nasłonecznionym zboczku wzgórza, skąd patrzyły, jak postrzygacze pocą się i mozolą z ciężkim runem, a czekające owce zbyt długo trzymane w zagrodzie robią się niespokojne, kopią i nie chcą stać spokojnie, co z kolei sprawiało, że wszystko zajmowało dwa razy więcej czasu.

Hilda patrzyła na prężące się mięśnie oblanych potem krzepkich młodych kobiet i mężczyzn i po chwili powiedziała:

— Mogłaby tu pomagać Begu. Ma dobre podejście do zwierząt. Widziałam, jak uspokoiła krowę z rozciętym wymieniem.

Breguswitha popatrzyła za przykładem córki na pewnego młodzieńca z lekko kręcącymi się, gęstymi brązowymi włosami i błyszczącymi oczami i po chwili skinęła głową.

— Ale dowiedz się, jak ma na imię i z jakiej rodziny pochodzi.

Hilda posłuchała: Berenic. Dwie siostry, matka, ciotka. Żadnej żony ani dzieci. Zrównoważony i łagodny, chociaż ze słabością do piwa.

Tak więc od tego dnia Begu spędzała dni w owczarni. Wkrótce potem Oeric jeździł

z wiadomościami do Aberfordu i Derwentio, a Morud był wołany do prac pomocniczych, czyszczenia konia, rąbania drewna albo do pomocy przy kopaniu kolejnego dołu.

— Przynajmniej zostawiłaś mi Gwladus — powiedziała Hilda, a Breguswitha uśmiechnęła się ze znużeniem i rzekła:

— Nie na długo.

I rzeczywiście, kiedy nadeszła pora wyrywania chwastów na polach jęczmienia, Hilda powiedziała swojej kobiecie, że będzie musiała pomagać gdzieś indziej.

— W mleczarni — domyśliła się Gwladus, a Hilda tylko się uśmiechnęła; oczywiście: chłód, praca nieniszcząca rąk, dostęp do jedzenia.

Pod nieobecność króla, królowej, zarządcy, scopa, Ciana i pozostałych gesithów w halli było cicho; rozbrzmiewał w niej raczej pełen zmęczenia szmer rozmów niż trzask płomieni, pieśni i przechwałek.

Pewnego wieczoru, kiedy siedzieli na zewnątrz, oświetleni i ogrzani blaskiem zachodzącego słońca, i jedli potrawkę warzywną z mięsem oraz pili tygodniowe piwo, wszyscy, choć byli zmęczeni i zakurzeni, wyglądali na zadowolonych, a nawet szczęśliwych.

Hilda odchyliła się do tyłu na ławie i dołała sobie piwa. Zrobiłaby to Gwladus, ale właśnie sięgała po dokładkę potrawy z kaszą jęczmienną, warzywami i kawałkami baraniny. Hildę otaczał pomruk rozmów, ktoś się łagodnie roześmiał.

Pomyślała, że są szczęśliwi, ale to było coś więcej. Nie bali się. Nie było żadnych pijackich walk i przechwałek. Gesithowie nie sadzali sobie dziewczek wealh na kolana ani nie podjudzali psów do walki. Nie grzmiały kopyta ani nie zapadała nagła śmiertelna cisza, bo król uśmiechnął się do kogoś tym swoim uśmiechem. Nie było kapłanów Wodena z ich znakami ani zmarszczonych i napominających wszystkich wokoło księży Chrystusa. Hilda nawet widziała, jak jej matka zniżyła się do rozmowy z Gwladus. Czy tak wygląda zwykłe życie? Uporządkowane i spokojne. Praca, owszem, niekończąca się jak deszcz, ale także ciepło, obfitość i bezpieczeństwo.

Nie było tak nawet w Mulstanton. Tam martwiła się o Bebbanburg, o matkę i Hereswithę, o to, co się może wydarzyć. Teraz znajdowała się tutaj i tak miało być całe lato. Cztery miesiące. W jednym miejscu, gdzie nikt jej obserwuje.

Pierwszej nocy, kiedy Begu nie wróciła z owczarni, Hilda prawie nie spała — ślizgała się tylko po powierzchni snu i tęskniła za Begu. Gwladus dwa razy przynosiła jej mleko. Za drugim razem poprawiła poduszki i zabrała tę należącą do Begu.

Świat się obracał, dojrzewał, robił się gorętszy i cięższy. Dni wydłużały się i rozciągały, rozrzedzając się na obu końcach do beczasowego błękitnego półmroku, w którym terkotały lelki i trzepotały ćmy.

Hilda spała coraz mniej. Zapadała w sen na jawie i w pogodne noce wędrowała po falujących wzgórzach i lasach.

Lasy rozbrzmiewały dźwiękami: w podszyciu buszowały jeże i borsuki, szczekały lisy, do wody zsuwała się z pluskiem wydra, pohukiwała sowa. Hildę otaczała niekończąca się pieśń życia: jedzenie, nawoływanie, umieranie, oddychanie, rozmnażanie się.

Zaczęła czuć własny rytm. Między krwawieniami, kiedy przybywało księżycy, jej

zmysły otwierały się jak nocny kwiat. Przez dwie noce wyczuwała na twarzy muśnięcie powietrza, kiedy nietoperz chwycił ćmę, a w pobliżu pełnego ula miała w nozdrzach słodką cierpkość miodu. Samym węchem rozpoznawała, kiedy Breguswitha umyła włosy, kiedy Gwladus przeszła przez oborę, kiedy Morud ukradł bochenek świeżego chleba. Miała wrażenie, że jej skóra jest gęstsza, bardziej żywa, kości mocniejsze, a brzuch ciężki.

Czuła, że matka i Gwladus obserwują ją tak, jak wszyscy inni obserwowali pola zaczynające się złocić jęczmieniem, którego kłosa już się kłoniły i dotykały ośmi ziemi.

W noc przed żniwami Hilda leżała naga nad stawem. W blasku księżyca trawa wyglądała jak słoma, każde źdźbło było ostre i wyraźne. Hilda czuła, jak pachnie: intensywna, lśniąca, gotowa. Podłożyła ręce pod głowę i patrzyła, jak po pniu czeremchy pełźnie gronostaj głową w dół jak wiewiórka. Nagle skoczył i obok pustej olchy wybuchła zażarta walka. Zatrzęsły się paprocie. Coś uciekło z piskiem.

— Już niedługo — powiedziała Hilda do gronostaja. — Już niedługo.

G

Wróciła do vill o wschodzie słońca ze starannie przypiętymi rękawami i zawiązaną przepaską. Wszyscy już wstali, zjedli i właśnie wiązali na głowach chusty, przygotowując się do pracy w polu. Jakiś chłopiec grał na piszczałce; jedna z kobiet uderzyła kilka razy w bębenek, gotowa podać rytm. Hilda dołączyła do matki stojącej na czele procesji ludzi i ręcznych wózków załadowanych jedzeniem oraz sierpami.

— Nie — rzekła Breguswitha. — Zostań. Dopilnuj wszystkiego.

Hilda nie miała pojęcia, czego mogłaby potrzebować od niej garstka wealh pozostawionych w vill — stajenny, kucharka i świniopas — ale kiwnęła głową. Może matka spodziewa się jakichś wiadomości.

Procesja ruszyła do wtóru głośniego bębnienia, gry na piszczałce i krzyków dzieci. Odgłosy te stopniowo cichły, aż w vill zapadła cisza.

Hilda usiadła na wystawionej do słońca ławie i słuchała. Krakanie wron podążających za ludźmi. Przelotny szum wiatru w trawie. Trzepot motyla. Tak byłoby po przeminieciu zarazy albo po śmierci króla, kiedy ludzie już by uciekli, spodziewając się ataku Idingów. Hilda przypomniała sobie sadyby w Elmecie, brak świń i wygaszone ognie. Potem jednak usłyszała gwizdanie stajennego w oborze, parsknięcie i krótkie rzenie towarzyszące wyrzucaniu gnoju z boksu, a spod okapu dachu kuchni zaczął się wymykać niebieski dym. Pod okap śmignęły jaskółki i zaraz wyleciały z powrotem. Zaczęły śpiewać sikorki, rudziki i zięby. Hilda odchyliła się do tyłu, przymknęła powieki i słuchała. Jej vill.

Obudziła się ze snu o gronostaju o długich, giętkich mięśniach. Było gorąco. Chciało jej się pić — potrzebowała dużego łyku chłodnej maślanki.

Po drodze odpięła rękawy — byli tu tylko wealh — i zatknęła je za przepaskę.

W kuchni było jeszcze goręcej. Glinianego garnka z maślanką nie było na zwykłym miejscu.

— Zabrali go na pole — rzekła kucharka. — Ale zostało trochę piwa. Albo, jeśli zostało zrobione masło, znajdziesz maślankę w mleczarni.

Hilda z ulgą weszła do mleczarni i poczuła pod stopami czarną, ubitą ziemię. Minęła rzędy garnków z zsiadającym się mlekiem, zeszła ze schodka i podeszła do

ciężkich drzwi pomieszczenia do przechowywania śmietany.

Muśnięta powiewem ciepłego powietrza kobieta, której imienia Hilda nie знаła, odwróciła się; widok dziewczyny tak ją zaskoczył, że niemal przestała ubijać masło.

Gwladus rozpięła spodnią suknię, która zwisała z jej paska, i przechylała tacę z mlekiem. Jej naga skóra lśniła. Zobaczyła Hildę i skinęła głową. Pochyliła się nad tacą i położyła prawe przedramię w poprzek prawego dolnego rogu tacy. Ruchliwe jak młode myszki drobne mięśnie nabrzmiały i rozciągnęły się. Jej pierś przyciśnięta do bicepsa była o wiele jaśniejsza od przedramienia, kremowa, ale nie jak mleko, lecz jak wnętrze orzecha laskowego.

Gwladus wprawnym ruchem przelała rzadkie szarawe odtłuszczone mleko do brązowego dzbanu. Śmietanka zebrała się w rogu tacy, zatrzymując się na jej przedramieniu i piersi. Gwladus odłożyła tacę i wyprostowała się. Podążając za wzrokiem Hildy, spojrzała na swój sutek opryskany śmietanką, a potem na Hildę.

Bijak unosił się w górę i opadał.

— Chciało mi się pić — rzekła Hilda.

Gwladus skinęła głową na kobietę ubijającą masło.

— Hwl niedługo skończy.

A potem uniosła przedramię i polizała je.

Hilda poczuła, jakby coś ścisnęło ją w środku i odpadło. Gwladus pokazała ruchem głowy na pustą maselnicę w kącie.

— Jeśli pomożesz, masło będzie gotowe o wiele szybciej. Ale powinnaś powiesić suknię wierzchnią i rękawy.

Hilda odwróciła się, wyciągnęła rękawy zza przepaski, powiesiła je obok fartucha na ścianie, rozwiązała przepaskę, odwiesiła ją i ściągnęła suknię przez głowę.

Gorąco. Spływająca śmietanka. Lśniaca skóra. Unieść. Przechylić. Nalać.

Śmietanka Hwl zaczęła się zmieniać w masło i rytm uderzeń jej bijaka zwolnił.

Tace były już puste. Hwl wyłożyła masło i zaczęła je kształtować, wyciskając z niego ostatnie strużki maślanki.

Gwladus wytarła rękę i pierś szmatką i z powrotem upięła suknię spodnią. Hwl tłukła sól. Hilda słuchała trzeszczących uderzeń — jakby gronostaj chrupał ptaka.

Skończyły. Gwladus przyniosła chochlę z maślanką i podała ją Hildzie, która porządnie się napiła. Nie ugasiła pragnienia. Podała chochlę Gwladus.

Gwladus zanurzyła chochlę w dzbanie, napiła się, wytarła przedramieniem drobinki masła z podbródka i powiedziała, nie odrywając wzroku od Hildy:

— Hwl, pani Hilda musi się położyć. Wlej do dzbanka trochę tej maślanki.

Zdjęła ubranie Hildy z kołka i przewiesiła je sobie przez ramię. Jedną ręką wzięła dzbanek, drugą otworzyła drzwi.

— Chodź, bo wpuszczamy do środka ciepło.

Słońce stało wysoko. Powietrze było nieruchome.

Gwladus położyła dłoń na krzyżu Hildy, jakby dziewczyna była stara albo chora, i lekko ją pchnęła. Umysł Hildy zalała fala bieli.

Gwladus ją prowadziła; otworzyła drzwi, kiwnęła wesoło głową stajennemu, który wynosił ze stajni siodło, zamknęła drzwi komnaty Hildy, przesunęła zasuwkę.

Ułożyła ubranie na stołku, postawiła dzbanek na stole przy łóżku i powiedziała:

— Usiądź.

Hilda usiadła na łóżku. Gwladus uklękła u jej nóg, rozwiązała rzemyki butów i je zsunęła. Następnie wstała, zdjęła łańcuch z krzyżem i rozpięła ramiona spodniej sukni Hildy, która opadła wokół jej bioder.

— Wstań.

Hilda wstała. Gwladus szybkim ruchem zdjęła jej suknię, a potem majtki, jak robiła to co wieczór.

Ale to nie był wieczór.

— Połóż się.

— Jeszcze nie pora.

— Pora już dawno minęła, pani. Będzie ci wygodniej na leżąco.

Hilda położyła się na łóżku, a Gwladus usiadła przy jej biodrze.

— Całowałaś już kogoś? Krzykliwy Płaszcz? Swoją gemæcce?

Hilda pokręciła głową.

— Cóż, może bali się całować jasnowidzącą króla. Ale ja się nie boję. Wiem, czego ci trzeba.

Gwladus uśmiechnęła się intensywnym, powolnym uśmiechem, który przesłaniał wszystko oprócz tu i teraz, a potem pochyliła się i pocałowała Hildę.

Miała miękkie wargi. Jak śliwki, jak deszcz.

Położyła dłoń na udzie Hildy i zaczęła je delikatnie, chociaż mocno głaskać, jakby Hilda była narowistym koniem. W dół wzdłuż dużych mięśni, w górę długiego, spiętego mięśnia po wewnętrznej stronie. Nie uspokajająco, ale... Hilda nie wiedziała, co o tym sądzić.

Przesuwanie ręki w dół po dużym mięśniu na zewnątrz, w górę po miękkiej skórze wewnątrz. W dół. W górę. Jeszcze bardziej w górę.

— O, tak. Już dobrze — powiedziała Gwladus.

Hilda zastanawiała się, czy tak czuje się Cygnet, zachęcana do skoku. Miała wrażenie, że serce ma tak duże jak koń, rozdęta nozdrza, napięta szyję, ale jeszcze panowała nad sobą.

— O, tak — powtórzyła Gwladus i powiodła dłonią przez szorstkie włosy Hildy do jej brzucha. — Tak. — Zatrzymała się tam, przykrywając dłonią miękkie, zaokrąglony brzuch, a potem przesunęła się nieco w dół, i jeszcze niżej, a jej dłoń stała się centrum świata Hildy. — O, tak, moja droga.

Pocałowała Hildę, a dziewczyna rozsunęła nogi.

To było zupełnie inaczej, niż robiła to sama. Narastało jak muzyka Jakuba, jak grzmot kopyt biegnącego stada, a potem wybuchło jak nagłe zsuniecie śmietanki, jak rękaw wywrócony na nice, i Hildzie zachciało się śmiać, krzyczeć i płakać, ale zamiast tego przywarła do Gwladus, drgając spazmatycznie.

— No i proszę. To lepsze od maślanki?

Hilda skinęła głową, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Jej kości omywały miękkie, wstrząsające echa. Gwladus wciąż głaskała ją po brzuchu i echa te zaczęły się ze sobą zderzać jak kręgi na stawie, lecz w końcu powoli zanikły.

— Nadal chce mi się pić — rzekła Hilda i bez żadnego powodu się roześmiała.

Hilda i Begu szły przez wysoką trawę u zakola rzeki. Księżyc w pełni stał wysoko. Hilda trzymała Begu za rękę, bo Begu od lat nie chadzała tą ścieżką, a nocą świat jest inny. Z cienia wyłaniały się i zaraz znikwały zapachy, dźwięki, kształty. Blask księżycyca wyostrzał cienie. To był pozbawiony kolorów świat z kości, kamienia i cyny, w którym krążyła magia.

Dotarli do olszyny. Jedno z drzew zwało się przed kilkoma laty pod kątem do płynącej wody. Usiadły na nim, zwrócone twarzami w górę rzeki. Woda marszczyła się i chlupotała. Jakiś ptak wstrząsnął piórami w sitowiu.

— Jak się mają owce?

— Nadal są głupie.

Begu zachichotała.

— A ich pasterz?

Begu westchnęła, ale Hilda wyczuła, że jej gemæcce się uśmiecha.

— Jest słodszy niż tryk. — Chichot, szuranie butów o korę. — I robi swoje dłużej.

— Po co miałby się śpieszyć? Ma tylko jedną owieczkę, którą się zajmuje.

— A potem ja zajmuję się nim.

— Naprawdę?

Begu znowu westchnęła, tym razem tak głęboko, że Hilda poczuła ruch jej żeber.

— Zupełnie jakbym obserwowała ssące jagniątko. Robi się cały miękki i rozmarzony. Czasami płacze. A jego fiutek i jajka robią się malutkie. Mieszczą mi się w dłoni, jak śpiąca myszka.

Hilda nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. Patrzyła, jak olchy poruszają się na wietrze, który nie docierał do ziemi, patrzyła na czarny azur liści drżących na tle księżycyca. Na próżno szukała wzrokiem sylwetki lelka, który mieszkał w olszynie.

— Jeśli trzymam je wystarczająco długo i całuję go w ucho albo w szyję, to się budzą. Zupełnie jakby obserwować ziarno grochu pęczniejące w wodzie. Albo liżącego się psa. Robi się dwa, trzy razy większy.

— Jak duży?

Tryk nie miał bardzo dużego. O kocim nie ma co nawet mówić. Za to koń...

— Taki długi jak moja dłoń? — Popatrzyły na jej dłoń, srebrzystą w blasku księżycyca.

— Tak, mniej więcej. I bardzo gruby.

Begu zrobiła kółko z palca środkowego i kciuka.

Coś plusnęło w rzece.

— Chcę dawać mu prezenty. Nic wielkiego, nic niebezpiecznego, twoja matka ostrzegła mnie przed dezaprobatą księży, chociaż w owczarni nie ma ani jednego z nich. Ale lepiej, żeby nic nie dotarło do Rhegedu. A prezent, coś drobnego, lniana koszula albo lepszy kaptur. Coś, co będzie dotykało jego skóry, kiedy wyjadę.

— Będziemy tu przynajmniej jeszcze miesiąc.

— Ale możliwe, że przestanę odwiedzać owczarnię.

— Przestanieś?

Begu wzruszyła ramionami; w świetle księżycyca był to dziwny, niesamowity ruch.

Po chwili powiedziała:

— Gwladus ma nową bransoletę.

Teraz Hilda zaszurała stopami o drzewo.

— Nie jest taka ciężka, na jaką wygląda. — Znowu coś plusnęło. — Ciągłe też mówi o nowej sukni. Myślisz, że to będzie w porządku?

— Zawsze się wywyższała. Będzie w porządku, jak wszyscy dostaną lepsze ubranie.

— Ty też?

— Zwłaszcza ja! I klejnoty, i nowe buty. Ale głównie ubranie. Czy jest lepszy sposób na pokazanie jakości i wartości naszych tkanin?

Uśmiechnęły się do siebie, a ich zęby błysnęły jak wypolerowana cyna.

Hilda zeskoczyła z kłody.

— Pokażę ci klejnoty piękniejsze od wszystkiego, co widziałaś w życiu. Chodź, to niedaleko.

Nad brzegiem rzeki blask księżycy był jaśniejszy. Hilda znalazła nawis, na którym rosły paprocie i pierwiosniki i obok którego z wody sterczał jesionowy patyk. Wyciągnęła go ostrożnie.

Lśnił od rybich jajek tak doskonałych jak najdelikatniejsze perły na welonie królowej. Błyszczały księżycowym urokiem — kropelki snów.

Hilda włożyła patyk z powrotem do wody. Przez chwilę obserwowały rzekę.

Księżyc przesunął się wyżej, zrobił się jakby twardszy i jaśniejszy. I wtedy nastąpiła prawdziwa noc. Moment, kiedy świat się zatrzymuje i czeka, a powietrze gęste od oddechu drzew i nasłuchiwanie drobnych zwierząt uspokaja się i zarazem przyśpiesza. To była pora lisów, borsuków i nieziemskich istot.

— Ten zapach coś mi przypomina — rzekła Begu. — Bulion. Taki, jaki robi Guenmona, z tymiankiem i pieprzem.

Hilda otworzyła usta i oddychała przez nos, czując, jak powietrze głaszcze jej podniebienie. O tej porze nocy wszystko jest możliwe.

— Kiedy tak robisz, wyglądasz jak kot ze zmrużonymi oczami.

— Dowiaduję się w ten sposób wielu rzeczy.

— Jakich?

— Czuję zapach... nietoperzy. Nie tutaj, ale są blisko.

Begu pociągnęła nosem i pokręciła głową.

— Jest ostry, ale stęchły. Jak ług i stara skóra. — Nad odbiciem księżycy na wodzie przeleciała ćma. Hilda mówiła cicho w nieruchomym, wonnym powietrzu. — Kiedy polują nietoperze, ćma składa skrzydła i spada jak zmrożona. Widziałam to. Ćmy spadają, leżą na trawie jak martwe liście, a kiedy nietoperze odlatują, podrywają się w powietrze.

Trzymały się za ręce. Rzeka mruczała. Drzewa szeptały. Hildzie wydawało się, że słyszy różnicę w szumie liści, sztywniejszych niż przed miesiącem, chociaż za dnia kolor miały taki sam.

Powietrze się zmieniło. Znowu była to tylko piękna noc.

Begu się poruszyła.

— Oeric. Nie będzie zadowolony, kiedy wróci i zobaczy, jak się sprawy mają.

Hilda wzruszyła ramionami.

— No i jest jeszcze Cian.

Hilda milczała.

— Jesteśmy jak ćmy — rzekła Begu. — Księża, Uinniau i Cian są jak nietoperze. Kiedy wrócimy do Yorku, będziemy musiały przestać i jakiś czas leżeć spokojnie.

Jęczmień był w stodole, pszenica została zżęta, a owce wróciły na wzgórze. Wozy obciążone workami z runem odjechały ze skrzypieniem do Sancton, Derventio, Flexburga i Aberfordu.

Begu wróciła z owczarni. Znowu spała w łóżku Hildy. Pilnowała się, żeby popołudniami trzymać się z dala od komnaty. Przez jakiś czas obserwowała jednak uważnie Gwladus. Niewolnica zachowywała się z szacunkiem i nawet Begu musiała przyznać, że Hilda ma lepszą opiekę niż kiedykolwiek.

Wrócił Oeric.

Kiedy zdawał Hildzie i Begu sprawę z sytuacji w dolinie, stał sztywny jak deska i posyłał Hildzie zranione spojrzenia. Gwladus, która im usługiwała, bardzo starała się zachowywać jak niewolna wealh w pomieszczeniu pełnym dobrze urodzonych Anglów — Hilda zastanawiała się, jak długo będzie to trwało — lecz Oeric rzucał jej mordercze spojrzenia i Hilda skinęła Gwladus głową, żeby wyszła.

Kiedy skończył raport — mene kwitła, Loidowie i Anglowie żyli w zgodzie — i wyszedł, Begu zapytała:

— Czy byłam aż tak zła?

— Nie aż tak.

— Przynajmniej Gwladus zachowuje się dobrze.

Tak było. Publicznie nigdy nie wychodziła ze swojej roli. Na osobności, ten jedyny raz, kiedy Hilda spróbowała się jej odwdziżyć, Gwladus położyła dłoń na jej dłoni i ją powstrzymała.

— Nie, pani.

— Ale Lintlafowi pozwalałaś.

Gwladus znieruchomiała jak mysz pod łapą kota.

— Oczywiście, pani. Jeśli sprawi ci to przyjemność.

Oczy miała otwarte, ale równie dobrze mogłaby być martwa. Nawet jej skóra była inna w dotyku, grudkowata jak poćnięty wędzony boczku.

Hilda zabrała rękę.

— Dlaczego?

Gwladus milczała.

Hilda czuła się tak, jakby ugryzła jabłko i połknęła odgryziony kęs, a potem zobaczyła w białym mięszu pół robaka. Usiadła.

— Podaj mi suknię.

Kiedy Gwladus ją ubierała, patrzyła przed siebie, wykonywała polecenia i myślała. Była pewna, że Gwladus przedtem to lubiła. Czuła pulsowanie jej krwi, słyszała przyspieszony oddech, widziała twardniejące sutki i wilgoć między jej nogami. Więc dlaczego?

Tej nocy leżała obok Begu, nie mogąc zasnąć. Begu powiedziała, że Berenic

czasami płakał i że miękło mu spojrzenie. Lecz Berenic nie był niewolnikiem i miał zostać wśród wzgórz.

Zanim następnego popołudnia Hilda położyła się na łóżku, dała Gwladus niewielką sakiewkę monet.

— Więcej tego nie zrobię — powiedziała, a później, kiedy za sprawą jej ręki wiała się z rozkoszy, starała się nie widzieć, że Gwladus ją obserwuje.

Potem przez kilka dni Hilda trzymała się po południu z dala od swojego pokoju. Zawsze jednak do niego wracała.

Dni były pełne piękna i słodyczy. Większość poranków Hilda spędzała z matką i Begu na prowadzeniu rachunków, omawianiu wzorów tkackich, oglądaniu tkanin i przymierzaniu płaszczy różnych rozmiarów. Begu miała wiele dobrych pomysłów na temat tego, co mogłoby się spodobać ludziom za rok. Hilda wymyślała sposoby zakładania wzorów na krosnach.

W złocistym czasie przed zmierzchem wędrowała wśród wzgórz; miała wyczulone zmysły, lecz nie dręczył ją już niepokój. Pewnego wieczoru do łez poruszyła ją feeria szkarłatu, złota i zieleni wzgórz mieniąca się pośrodku olbrzymiego wzoru, dla wyjaśnienia którego nigdy, jak wiedziała, nie znajdzie słów. Wzór ten opiekował się nią z każdego liścia i z każdego kwiatu kolcolistu. Czuła się pewnie i bezpiecznie.

Z Arbei nadeszła wiadomość: Clotruda i Osfrith mają zdrowego, silnego syna imieniem Yffi.

Usłyszawszy to imię, Hilda, Breguswitha i Begu wymieniły spojrzenia. Yffi to królewskie imię, imię dziedzica. Lepiej, żeby Etelburga się pośpieszyła.

Z Yorku przybywali posłańcy króla, ale nigdy z wiadomościami, jakie najbardziej chcieli usłyszeć. Ani słowa o tym, kogo król wybierze dla Rhegedu. Nic na temat wīc. Nic w sprawie Pendency, Cwichelma albo Cadwallona. Nic o Cianie. Posłańcy Breguswithy przywozili jej próbki tkanin schodzących z krosien wraz z informacjami o ich ilości. Jakość była dobra. Przekazywała te wieści do Yorku, do króla i Coelfritha.

Hilda otrzymała list od Jakuba. Paulin nawrócił na wiarę króla Eorpwalda, chwała Chrystusowi, chociaż oznaczało to dla Jakuba więcej pracy. Król przeznaczył więcej funduszy na kościół w Yorku. Wszyscy będą oszołomieni i zadziwieni jego wyposażeniem, chociaż według Jakuba Hilda chyba szybko go nie zobaczy, ponieważ Paulin zamiast umacniać swoją nową trzódkę, zamierzał teraz zrobić obławę na mieszkańców Lindsey. Lecz ealdorman Coelgar jest bardziej uparty od Eorpwalda i zna cele króla kryjące się za działaniami biskupa. Jego nie będzie tak łatwo namówić. Król na pewno będzie chciał poznać przemyślenia pani Hildy w tej sprawie.

Rozdział 19



Hilda jechała z matką i Begu do Yorku. Towarzyszyli im Gwladus, Oeric i Morud. W blasku zachodzącego słońca Cian wydawał się jaśniejszy, bardziej zwarty, a jego oczy bardziej niebieskie. Na widok kobiet roześmiał się, porwał Begu z konia i pocałował ją w policzek, uklonił się Breguswicie, a do Hildy szeroko się uśmiechnął.

— Nauczyłem się nowej pieśni o Branwenie!

Klepnął Oerica w ramię i powiedział, że przez cztery miesiące wśród kobiet obrósł tłuszczem i że będzie musiał się go pozbyć przez ćwiczenia.

Gwladus skłoniła głowę przed Hildą i powiedziała, że jeśli pani pozwoli, to razem z Morudem pójdą do ich komnat i sprawdzą, czy wszystko jest w porządku. Hilda się zgodziła.

Cian odprowadził Gwladus wzrokiem.

— Dobrze się czuje?

— Jak to?

— „Jeśli pani pozwoli”? I ani odrobiny bezczelności. Wychłostałaś ją?

Begu szturchnęła go w żebra.

— Cztery miesiące wśród kobiet wszystkim nam odebrały śmiałość. Powiedz mi, jak tobie się wiodło bez nas.

Nie było oficjalnej uczyty; przy stole siedziały grupki przyjaciół, lecz po spokojnym lecie złoto jasno błyszczowało, psy groźnie warczały, a śmiech i okrzyki brzmiały ostro i głośno. Mięso i miód były jednak smaczne, a Cian zabawiał współbiedniaków opowieściami o wyścigach na koniach, polowaniach i królu, który zacierał ręce na nowy wic.

— Niewiele z niego jutro zobaczycie. Wyjeżdżamy wcześniej.

Po chwili odchrząknął.

— A teraz zaśpiewam o Branwenie. Nie o wojownicze, tylko o tej drugiej.

I zaczął śpiewać pieśń o Branwenie, córce Lyra, która umarła z żalu. Głos wibrował mu od emocji, jakie zwykle zachowywał dla chwalebnej śmierci w bitwie. Hilda zastanawiała się, czy Cian nie zakochał się w którejś z jego dojarek o czerwonych rękach. Zamknęła oczy; najedzona mięsem i opita miodem siedziała zadowolona między matką i Begu i powoli odpływała w sen.

Później Gwladus powiedziała w ich komnacie, że królowa źle się czuje; według Ardduny jest w ciąży.

Królowa przeniosła się ze swoimi kobietami oraz Begu do Derventio. Król wraz z niewielką grupą doradców — łącznie z Hildą i jej matką — pojechał do Lindsey, by porozmawiać z Coelgarem o Chrystusie i wełnie.

Kilka mil od Lindum, na skraju duszącego odoru garbowania i folowania, Paulin

poprosił króla na słowo.

Hilda obserwowała ich rozmowę z konia. Matka zatrzymała się obok.

— Zbyt długo pozostawałaś poza polem jego widzenia.

Hilda skinęła głową, nie spuszczać oczu z króla i biskupa. Wiedziała, co mówi Paulin: początki to delikatny czas, a jasnowidząca króla, chociaż nosi rzucający się w oczy złoty krzyż, budzi w bogobojnych ludziach lęk.

— Będziesz musiała poczekać na swoją chwilę.

Hilda położyła rękę na seaksie i zadała sobie pytanie, jaka to będzie chwila. Tymczasem zaczeka.

Tak więc kiedy król i jego arcybiskup rozmawiali z wielmożami Lindum, a Breguswitha negocjowała z Coelgarem i jego zarządcą Blækką przy ogniu w halli Coelgara leżącej na południowy wschód od miasta, Hilda chodziła po jego polach. Vill było na tyle bezpieczne, by obejść się bez towarzystwa Oerica, a Cian flirtował z córką piekarza Coelgara. Co prawda Cian pewnie nie zaproponowałby Hildzie swojego towarzystwa. Od wyjazdu z Yorku zachowywał się dziwnie: nie zwracał na nią uwagi i unikał nawet Gwladus. Hilda tego nie rozumiała, ale w lecie obywatela się bez niego całymi miesiącami. W pewnym momencie Cian się opamiętał. Miała nadzieję, że nastąpi to wkrótce. Była zmęczona czekaniem, ciągłym czekaniem. I brakowało jej walk.

Po dziewięciu dniami znała pola tak dobrze, że potrafiłaby nazwać każdą grudę ziemi i kamień na ich obrzeżach. Tego dnia pędzony wiatrem deszcz zacierał zarysy równych brzd, a zapach powietrza był ciemny, gęsty. Hilda zdjęła kaptur; krople wody przywierały do jej włosów, ale ona chciała je słyszeć, podczas gdy jej ciało poruszało się jakby samo, a umysł błędził. Czy w deszczowe popołudnia córka piekarza pozwalała Cianowi sprawiać jej przyjemność, czy pozwalała mu widzieć, jaka jest wrażliwa i miękka, a potem ją przytulać, kiedy płakała? A może płaczą tylko mężczyźni? Begu tego nie powiedziała. Hilda nie potrafiła wyobrazić sobie płaczącej Gwladus, nawet gdyby...

Tej brudnej bryłki pod żywopłotem wczoraj nie było. Zatrzymała się. To była kuropatwa; kuliła się, żeby nikt jej nie zobaczył.

Gawrony i kawki krakały i sprzeczały się za grzbietem wzgórze, po bogatej w robaki ziemi skakały kwiczoły i zięby — w okolicy nie było jastrzębi. Kuropatwa chowała się przed nią.

— Nie bój się — powiedziała Hilda. Kuropatwa nie dała żadnego znaku. Głupi ptak. Hilda spojrzała na nią gniewnie. — Co ja ci zrobiłam?

Strach kuropatwy ją rozzłościł. Podniosła kamień. Mogła ją zabić. Zabić ich wszystkich: Paulina, Coelgara, kobietę Ciana.

Ale to był tylko ptak. Nic jej nie zrobił. Hilda upuściła kamień i odwróciła się do rzeki, w stronę, z której przyszła.

W brudzie siedział zajac. Przyglądał się jej migdałowymi oczami, które w deszczowym świetle błyszczały czernią. Hilda mu się przyjrzała. Jasny puszek na czubkach jego długich uszu poruszał się na wietrze, którego nie czuła. Wtem zajac rzucił się do ucieczki. Zuchwały zajac! Odważny zajac! Hilda głośno krzyknęła i pobiegła za nim. Wiedziała, że go nie dogoni, ale chciała biec jak on, odbijając się od miękkiej ziemi, nie chować się. Zajac dał susa pod korzenie żywopłotu i Hilda usłyszała plusk, jakby do

wody wpadł worek ziarna. Pobiegła do dziury w żywopłocie i kiedy dotarła na brzeg, zobaczyła, że zając płynie na drugą stronę jak rozwścieczony mały pies. Wyskoczył na brzeg i pobiegł zygzakiem dalej, błyskając ogonkiem. Po chwili zniknął.

Serce mocno jej biło. Żywopłot wyglądał tak, jakby był obwiedziony kryształami. Powietrze było jak piwo. Hilda rozłożyła ręce i obróciła się, chłonąc widok nieba, wody, pól, żywopłotów, równej, uporządkowanej krainy. Roześmiała się. Podobało jej się na polu w deszczu. A potem usiadła na kamieniu i wyjęła z sakiewki u pasa kawałek sera.

Uderzył ją jego widok. Wytwór dobrze zarządzanego świata na jej dłoni. Ciemnożółty. Dojrzały, z letniego mleka od krów karmionych bogatą, zieloną trawą. Ugryzła: tłusty i ostry.

Kamień, na którym siedziała, został prawdopodobnie ściągnięty z pola wiele pokoleń wcześniej i z biegiem lat przemieścił się bliżej rzeki, wynoszony mrozem i niesiony wiosennymi wodami. To było Lindsey, nigdy niepozostawione bez opieki na dłużej niż jedno pokolenie. Nie jak Elmet. Wyobraziła sobie, jak siedzi w swojej lesistej dolinie ze swoimi dziećmi i z ich dziećmi. Może ona też będzie wyglądać tak porządnie i zamożnie.

Co prawda według matki tutejsze owce nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Były za małe. Trzeba będzie pokryć niektóre z największych trykami z Deiry. Coelgar będzie zachwycony, mogąc przysłużyć się jej matce; zawsze traktował ją życzliwie.

Hilda wróciła myślami do przeszłości. Może to było coś więcej niż życzliwość — przed Osrikiem.

Wsunęła do ust ostatni kawałek sera i delektowała się jego smakiem. Gdyby tylko Coelgar lubił ją tak samo jak jej matkę. Owszem, traktował ją z najwyższą uprzejmością, ale w ten sposób maskował swoje zakłopotanie. Od czasu wydarzeń w tamtym namiocie na polu pod Lindum unikał przebywania z nią sam na sam.

Będzie musiała znaleźć sposób na zaprzyjaźnienie się z ealdormanem Coelgarem. Będzie musiała pamiętać, że ci, którzy nie są do niej przyzwyczajeni albo przez pewien czas nie mieli z nią styczności, najpierw widzą legendę: podwójną królewską krew, podwójną wyjątkowość. Władczynię wyrd, rozdawczynię śmierci, jasnowidzącą króla.

Wstała, spojrzała na przeciwległy brzeg, żeby sprawdzić, czy może wrócił zając, a potem ruszyła z powrotem do vill.

Z pola za wzniesieniem wzniósł się z krakaniem słup gawronów i kawek. Jastrząb. Hilda miała nadzieję, że kuropatwa zdołała się schować.

Kiedy jednak dotarła na grzbiet wzgórza, zobaczyła, że to nie jastrząb spłoszył ptaki. Do vill pędziła na złamanie karku kolumna jeźdźców; na jej przedzie łopotała królewska tufa.

Hilda dotarła do vill w chwili, kiedy król zeskakiwał z konia. Zobaczył ją i podszedł do niej. Mięśnie miał napięte nie tylko od szaleńczej jazdy.

Wyszarpnął z sakwy przy siodle kawałek pergaminu i zamachał nim z wściekłością przed twarzą Hildy. Trzymał go do góry nogami.

— Kto to jest Ricberht?

— Wuju?

— Jakiś nithing imieniem Ricberht zabił Eorpwalda i ogłosił się królem Anglów

Wschodnich! Wszystkie posłania, wszystkie dary na nic. I żadnego ostrzeżenia, ani jednego słowa od mojej jasnowidzącej. Co masz do powiedzenia?

Ricberht. Pomniejszy Wuffing. Na uczcie zaręczynowej Hereswithy otoczony swoimi ludźmi śmiał się z Eorpwaldem, a Etelryk się puszył...

Przed koniecznością udzielenia odpowiedzi uratowało ją przybycie następnych jeźdźców — Paulina i jego księży.

Edwin obrócił się w miejscu.

— A ty wcale nie jesteś lepszy! Też mi bóg, który nawet nie potrafi ochronić króla, którego potrzebuję.

Cisnął list w błoto i poszedł wielkimi krokami do halli.

Hilda pochyliła się nad pergaminem. Litery rozplływały się w deszczu. Przez jeźdźców przedarł się Szczepan, rozchlapując błoto nogami w sandałach. Hilda pozwoliła mu podnieść pergamin.

Następnego dnia wciąż padało. Niekończący się, pędzony wiatrem deszcz. Mężczyźni stłoczeni w halli wonieli jak sfera mokrych psów. To było lepsze niż fetor na zewnątrz, gdzie wiatr przynosił z Lindum odór garbarni. W halli było gęsto od wilgoci, dymu i wściekłości króla.

Hilda, która spędziła z matką pół nocy, ze spokojem przyjmowała spojrzenia. Nie patrzył na nią tylko Cian.

Ubrała się w królewski błękit, odsłoniła ramiona i włosy zatknęła za uszy jak gesith. W blasku ognia przy jej uszach, na szyi, ramionach i palcach lśniło złoto. Na piersi błyszczał krzyż, a z nadgarstka mrugały karneole. Migotały srebrne okucia końcówek paska. Trzymała dłoń na seaksie i stała wyprostowana. W przeciwieństwie do Paulina miała i suknię, i miecz. Ocaliła Lindum, a wcześniej Bebbanburg. Niech wszyscy o tym pamiętają.

— Królu, Eorpwald Skrytousty był przyzwyczajony do letniego miodu Wodena. Byli do niego przyzwyczajeni jego tanowie. Natomiast wiara w Chrystusa jest zamorskim winem, winem idącym do głowy, a Eorpwald Skrytousty był niemądry. Wypił za dużo i za szybko. Stracił zmysły.

Tu i ówdzie gesithowie kiwali głowami. Wszyscy znali zagrożenia wiążące się z idącymi do głowy zamorskimi winami. Paulin, który stał po prawicy króla, opierał się na swoim wysadzonym klejnotami pastoraie i przyglądał się Hildzie.

— Jesteś mądry, królu. Zrozumiałeś wagę przekonania najpierw swoich tanów, pozwoliłeś im najpierw spróbować, ocenić moc twojego trunku. I jesteś bogaty, królu. Słyniesz z hojności. Nie odczuwałeś potrzeby rozlania od razu wszystkiego dla zdobycia poklasku. Mogłeś doradzać ludziom, by zaczynali powoli, byłeś jak ojciec przemawiający do syna: łagodnie i mądrze, nie śpiesząc się w nadziei uniknięcia zarzutu skąpstwa.

Teraz kiwał głową Edwin: był królem mądrym, hojnym i bogatym. Paulin wbijał w Hildę nieruchomy wzrok. W tej halli ze swoimi czarnymi włosami i oczami wyglądał jak obcy cień. Jego skóra pochłaniała angielskie światło.

— Pijany człowiek, mój królu, rozdaje za dużo i za szybko niewłaściwym ludziom. I tak się stało z Eorpwaldem. Dał za dużo i za szybko swoim nowym księżom. Król nie miał mądrego doradcy, który powstrzymałby jego hojność. — Nikogo takiego jak ona,

sukni i miecza. Książki i klingi. — Tanowie króla byli oszołomieni.

Coelgar patrzył z namysłem na Paulina.

— Tanowie powstali. Złożyli przysięgę Ricberhtowi, który przysiągł odrzucić Chrystusa. — Rozejrzała się i uśmiechnęła się. — Kto tutaj nie przysiągł, że nie będzie już pić?

Śmiech.

— Królu, tak jak my wszyscy, pewnego dnia Ricberht na pewno zostanie namówiony, by na nowo napić się tego zamorskiego wina, a jeśli do tego nie dojdzie, to jego tanowie mogliby posłuchać sugestii obrania nowego króla. Podobno Sigebert jest bezpieczny we Frankonii. Tam, gdzie mamy wielu przyjaciół. — Oraz krewnych jej matki, krewnych jej siostry, jej krewnych. — A także wiele nowych kontaktów handlowych.

— Tyle że na razie Anglowie Wschodni nie zginają kolan, a ten Ricberht ma podobno przyjaciół w Mercji — rzekł Edwin z ironicznym uśmiechem.

— Tak, królu. — Nie wiedziała, czy to prawda, ale nie należało publicznie przeczyć swojemu królowi. — Jednakże mąż mojej siostry, Etelryk, nadal jest księciem Ludu Północnego. — Na pewno słyszeli coś innego. — Utrzyma mokradła i obroni je przed Mercjanami i Sasami Zachodnimi. Odzyskamy Rendlesham, a mąż mojej siostry będzie strzegł granicy. Lindsey jest bezpieczne.

— Jesteś pewna?

— Tak. — Hereswitha namówi Etelryka. Hereswitha i Fursey. Razem przypomną mu o przepowiedni Hildy, że zostanie królem. — Tymczasem, królu, musimy w przyszłości dopilnować, żeby wszyscy królowie, których pragniemy zwrócić ku Chrystusowi, mieli wsparcie mądrych doradców.

Coelgar skinął głową i Hilda odwróciła się do niego. Jako ealdorman we własnej halli nie potrzebował pozwolenia króla, by się odezwać.

— Ona ma rację, panie. Jestem przeciwny temu pośpiechowi. — Spojrzał na Paulina. — Słyszałem, że zabito twojego biskupa. Umieszczono jego głowę na ołtarzu.

— Biskup Thrythnoth jest w niebie. Bóg wielce go miłował i przygarnął do swego łona.

— Cóż, nie śpieszy mi się do bycia miłowanym w ten sposób przez żadnego boga — rzekł Coelgar.

Gesithowie wybuchnęli śmiechem, czarno odziani księża przeżegnali się, a Paulin milczał.

— Mój drogi Coelgarze — powiedział Edwin. — Dopilnuję, żeby w twoim wypadku Paulin miał tyle czasu, ile ci trzeba. Dopilnuję, by w razie konieczności został tu całą zimę. Czy ci to odpowiada, Paulinie?

Biskup nie miał innego wyboru, jak się uklonić.

— Jedźmy — rzekł Coelgar.

Do halli weszli służący, żeby przesunąć ławy.

Król wezwał do siebie Hildę skinieniem kciuka, a Paulina odprawił machnięciem ręki. Wszystko dookoła nich ustawiało się na nowo, dzięki czemu na chwilę jakby znaleźli się na odizolowanej wyspie, a Edwin stukał pierścieniem o poręcz tronu. Hilda

zastanawiała się, jak ten pierścień może się czuć. Cała ta władza. Koniec z czekaniem.

Król pochylił się do przodu.

— Nie lubię niespodzianek. Nie życzę sobie kolejnych. Rób, co masz robić. — Oboje zerknęli na Paulina, który wyraźnie chciałby słyszeć, co mówią. — Nie będzie nękał mnie o to, o czym nie wie. Jeśli wyrd będzie potrzebować odrobiny pomocy — tu postukał w grubą złotą bransoletę na swoim lewym ramieniu — daj mi znać.

— Tak, wuju.

— Noś krzyż na wierzchu. I żadnych... szaleństw. — Nie chciała myśleć, co król może przez to rozumieć. — Co do Rendlesham, znajdź z matką sposób na powetowanie strat w handlu. — Poruszył się niespokojnie. — Zostaniemy tu jeszcze dwa tygodnie. Niech Chrystus przechyli Eorpwalda Skrytoustego przez jakąś niebiańską ławę i go wydyma! — Uderzył obiema dłońmi w poręczę tronu. — Niech ktoś mi przyniesie jakiś napitek!

W Yorku ptaki jadły resztki grabowych orzeszków, orzechy laskowe zostały zebrane, a jesion między północnym pastwiskiem i wschodnimi polami ogłowiony. Zewsząd w twarde niebieskie niebo unosiły się dymy: w palenisku płonął wonny jesion, pod zabita świnia żarzyła się jabłoń i zmieniała ją w bekon, na węglach z głogu prażyły się orzechy laskowe.

Pewnego dnia Cian znowu zaczął rozmawiać z Hildą, chociaż zapadały między nimi niezręczne chwile ciszy i pojawiały się ukradkowe spojrzenia, których nie umiała odczytać. Za każdym razem, kiedy chciała go o nie zapytać, okazywało się, że nie jest w stanie tego zrobić. Ich przyjaźń odrosła, jak kora zarasta ranę w drzewie. Nie walczyli już jednak ze sobą.

— Teraz jest inaczej — powiedział Cian.

I znowu Hilda nie umiała zapytać go dlaczego. Czasami ćwiczyła z Oerikiem, ale to nie było to samo.

Pomogła matce przekonać królową, że nawet przycupnięta w Derventio z nabrzmiałym brzuchem może wraz z kobietami sprawnie haftować; pomogła jej też namówić Osfritha do odrobiny mocniejszego przyciśnięcia jego tanów oraz pilnować, żeby farbowanie i spłśnianie tkanin nie zwalniało mimo coraz gorszego światła. A potem zajęła się śledzeniem wszelkich informacji. Księża mieli swoją sieć, zanim ujawnił ją Paulin. Hilda zamierzała ją odtworzyć dla własnych celów.

W lesie na południe od miejsca oczyszczonego pod wśc Hilda musiała zapewniać dwóch chudych węglarzy o oczach wielkich jak u sowy, że nie jest upiorem z przeszłości i że szuka chaty kobiety imieniem Linneta. Przyniosła jej i jej starej matce worek orzechów laskowych. Węglarze często dziwnie się zachowywali; całe tygodnie niedosypiania sprawiały, że mieli skłonność do przywidzeń. A wysoka jak gesith dziewczeczka przybrana złotem nie stanowiła codziennego widoku. Dała im po garści orzechów i swojskość brązowych bryłek chyba ich przekonała. Pokazali jej wąską ścieżkę. Pod butami Hildy szeleściły opadłe liście.

Dotarłszy do chaty, zastukała w węgar.

Drzwi otworzyła matka Linnety.

— A więc to ty.

Hilda zgodziła się ze staruszką.

— A to co?

— Nie bądź niegrzeczna — powiedziała Linneta i odsunęła matkę na bok. Wychyliła się za drzwi, popatrzyła za Hildę i zmarszczyła brwi. — Przyszłaś sama, pani?

— Jak widzisz. — Hilda ujęła worek obiema rękami i wyciągnęła go przed siebie. — Orzechy laskowe. Mam ich więcej, niż zdołam zużyć.

— Też coś — mruknęła matka Linnety. — W tym roku tak jest u wszystkich.

Linneta wzięła worek.

— Pochodzą z mojej własnej ziemi w Elmecie. Świeżo...

Zza chaty dobiegł kwik świni; był to bulgocący, poszarpany dźwięk, który przypomniał Hildzie o Lindum, o jęczących i błagających rannych, o świni ryjącej w brzuchu mieszkańca Lindsey.

— Co się dzieje z tym biednym stworzeniem?

— To moi synowie. Są młodzi i nie nabrali jeszcze wprawy. Ale, jak mówi mama, kiedyś muszą się uczyć. Wejdiesz do środka?

Cian siedział ze skrzyżowanymi nogami na złożonym płaszczu przy palenisku i strugał twarde kawałek białego grabowego drewna. Nucił coś fałszywie, skupiając się na pracy. Blask ognia wydobywał z jego włosów czerwonozłote błyski, grdyka mu się poruszała w rytm nucenia. Jego ubranie pachniało rześkim, kwaskowatym dymem z brzozy płonącej w palenisku Weny, tej młodej piegowatej wdowy, która goliła księży i tych spośród ludzi króla, którzy lubili gładkie podbródki.

— Co robisz?

Uśmiechnął się i pokazał: to był koń.

— Du lubi konie.

Tak miał na imię raczkujący synek Weny. Hilda zanim zdołała się powstrzymać, wyobraziła sobie, jak Wena ostrzy swoje brzytwy o aksamitną skórkę huby brzozowej, a Cian pólleży z głową na jej piersi; Wena podtrzymuje jedną ręką jego podbródek, a drugą przytyka mu do szyi brzytwę. Oboje są nadzy.

Naląła miodu. Gwładus w sąsiedniej komnacie usuwała błoto z jej płaszcza. „Jeśli już musisz odwiedzać te rudery, to przynajmniej staraj się nie wchodzić w świńskie odchody”, powiedziała po powrocie Hildy.

— Pomalujesz go? — zapytała Hilda.

— Hę? Nie myślałem o tym.

Powiódł starannie nożem wzdłuż ogona, powtórzył ruch, zdmuchnął strużyny i jeszcze chwilę nucił.

— Rhin przysłał z doliny dwakroć po dwadzieścia worków orzechów i poć wędzonego boczku. Dwadzieścia worków i poć odesłałam z powrotem. Chciałam odesłać wszystko, ale Morud mówi, że naprawdę mają więcej orzechów, niż zdołają sami zużyć. Jak wszyscy w tym roku. Oprócz wiewiórek. — Wiewiórki uwijały się jak szalone. — To nie będzie łatwa zima.

Cian przyjrzał się figurce konia.

— A kiedykolwiek jest łatwa?

Postawił figurkę przy palenisku. W migotliwym świetle konik wyglądał tak, jakby

kłusował. Stał w doskonałej równowadze, jak wszystkie zwierzęta Ciana.

— Jest piękny — stwierdziła Hilda.

Spojrzał na nią.

— To tylko konik. — Odwróciła wzrok, upiła miodu. Cian odchylił się do tyłu. — Jak wygląda reszta doliny? Nadal wilgotna?

— Rhin mówi, że ma pod opieką dwakroć po dwadzieścia i sześć dusz. Mówi, że plony były dobre. Orzą więcej ziemi. Dobrze się osusza. Mówi też, że raki ze strumienia są smaczne i że dobrze komponują się z pieprzem. Gdyby tylko mógł go trochę zdobyć.

Cian się roześmiał. Miał bardzo czerwone wargi.

— Biedak, musi znosić raki bez pieprzu. Może wyślę mu woreczek. Kiedy wraca Morud?

— Już tam jest. Wysłałam go z tymi orzechami i boczkiem. Chociaż może zatrzymał się po drodze, żeby porozmawiać z ciotką. Przy okazji, Lwieriadda przekazuje najlepsze pozdrowienia panu Krzykliwemu Płaszczowi.

Cian skinął głową. Teraz nie było już nic niezwykłego w tym, że nazywano go panem i Krzykliwym Płaszczem. Cian, król Rhegedu. Mogłoby do tego dojść. Przynajmniej królowa wciąż była w Derventio. Na pewno przyjedzie do Yorku na Gody, ale do tego czasu może mogłaby bardziej zajmować się swoim brzuchem niż wydawaniem swojego chrześniaka za biedną szaloną Rhianmelldtę.

Ktoś wszedł do sąsiedniej komnaty; Hilda usłyszała głosy. Jeśli to coś ważnego, Gwladus ich wpuści.

Cian się przeciągnął i odwrócił konika w drugą stronę.

— Może następnym razem Rhin przyśle nam łososia.

— Pamiętasz tę historyjkę o łososiu z Elmetu, którą kiedyś opowiadałeś? Opowiedz mi jeszcze raz.

Nalał sobie miodu, upił łyk, odstawił puchar i rozłożył ręce.

— Dawno, dawno temu wokół stawu rosło dziewięć leszczyn. Były to święte leszczyny i święty był też staw, a mieszkała w nim cała masa łososi. Co roku z leszczyn spadały do stawu orzechy. Co roku łososie podpływały pod powierzchnię wody i je zjadały. Orzechy, jak wiadomo, są nie tylko smaczne, ale pełne mądrości. Ryby jadły je i same nabierały mądrości, a w miarę, jak robiły się mądrzejsze, dostawały więcej kropek. Pewnego dnia...

— Pani. — Przy zasłonie stanęła Gwladus. — Wrócił chłopiec. Ma wiadomości od ciotki, wiadomości, których król jeszcze nie otrzymał.

Hilda skinęła głową. Gwladus uniosła zasłonę; do komnaty wpadł Morud i przykląkł na jedno kolano. Drżał z podniecenia. A może z wyczerpania. Pewnie połowę drogi z Elmetu przebył biegiem. Hilda stłumiła pragnienie podbiegnięcia, przeciwstawienia kija klindze, wydawania poleceń własnym głosem, a nie głosami innych ludzi.

Morud wyrzucił z siebie informacje otrzymane od siatki brytyjskich księży.

Po pierwsze, Oswald Iding, jego brat Osríc Spalony i Dál Riatanie pod wodzą księcia Domnalla Brekka zdobyli wielką sławę w bitwie pod Ard Corann w Irlandii po drugiej stronie Kanału Północnego. Zabili Fiachnae'a mac Demmáina z Dál Fiatach.

Domnall Brekk, syn Eochaida, króla Dál Riata, krainy leżącej na północ od Alt Clut, ogłosił Idingów braćmi i bohaterami, cieszącymi się poważaniem wśród Dál Riata.

Po drugie, mieszkańcy Alt Clut wysłali posła do Dál Riata, niekwestionowanych władców Szkotów i Irlandczyków. Hilda pamiętała swój pierwszy wojenny szlak, kiedy mieszkańcy Alt Clut kreślili na piersiach znak krzyża i nie pozwalali jej brać udziału w ich naradach. Król siedział wtedy na skale w Alt Clut, a Hilda stała wyprostowana i wypowiadała przepowiednię związaną z Bebbanburgiem.

Po trzecie, krążyły pogłoski, że Rhoedd z Rhegedu rozważa propozycję wydania córki za męża, chociaż nikt nie wiedział, kto ją złożył. Ktokolwiek poślubi Rhianmelltdę, pewnego dnia zasiądzie przy fontannie w Caer Luel, przy jej fontannie, i będzie układał plany zwołania mieszkańców północy...

Hilda wstała, zanim Morud skończył; Gwladus udrapowała na niej świeżo wyczyszczony płaszcz. Hilda wypła haust miodu, wyciągnęła kubek po dolewkę i ją wypła. Królowi nie spodobała się wieści, które mu przyniesie.

— Znajdź Oerica — poleciła Gwladus. — Znajdź moją matkę. Kiedy wrócę, bądź gotowa na wszystko. — Spojrzała na Ciana. — Na wszystko.

Zastanawiała się, jak to jest być Cianem albo Idingiem i walczyć o dane miejsce mięśniami i kośćmi, a nie tylko słowami. Fiachnae mac Demmáin nie żyje. Pamiętała, jak rozcięła rękę jego człowiekowi. Nie potrafiła sobie jednak przypomnieć, dlaczego ją to tak wtedy wytrąciło z równowagi.

Kiedy wróciła, wszyscy na nią czekali: matka, Begu, Oeric, Morud, Gwladus... Nie, nie wszyscy. Cian nie czekał. Czyżby nie zrozumiał? Oczywiście, że zrozumiał.

Gwladus wzięła od niej płaszcz, posłała Oericowi spojrzenie, którego Hilda nie rozumiała, i przyniosła jej kubek grzanego wina. Hilda usiadła naprzeciwko matki i się napiła.

— No, nie jesteś martwa — odezwała się w końcu Breguswitha.

— Mogę stracić życie następnego lata. — Znowu pociągnęła łyk. — Musiałam obiecać mu syna.

Breguswitha zeszywniała.

— Przestań. Nie miałam wyboru.

Matka spojrzała na nią. Zawsze jest wybór. Lecz na początku walki ryzykuje się wszystko; nie myśli się o tym, co się stanie, jeśli źle się trafi.

— Przekazałam mu złą wiadomość, powiedziałam mu, że to będzie niedobra zima także pod innymi względami...

— Skąd...

— Będzie niedobra. Sama byś to dostrzegła, gdybyś chociaż na godzinę przestała myśleć o wełnie. No więc mu powiedziałam. Wrona zaczął mówić o czarownicach, które przynoszą pecha. Król... Wiesz, jaki on jest. — Najpierw to spojrzenie spod wpeł przymkniętych powiek, a potem szeroko rozwierające się oczy, kiedy źrenice rozszerzają się jak kropla atramentu wpuszczona do wody i pochłaniają niebieskie środki, a zewnętrzne obrzeża robią się zielone i błyszczące i kłębią się jak muchy, które szukają czegoś do jedzenia, kogoś, komu mogłyby zrobić krzywdę, żeby król poczuł się silny i bezpieczny. — Powiedziałam mu, że to będzie ciężka zima, ale że on jest silny i sprytny,

a jego ziemia bogata, i że bogowie dadzą mu syna, zdrowego silnego syna urodzonego w chrześcijańskim małżeństwie pobłogosławionym przez papieża. Papieża, który po nawróceniu tylu ludzi z radością nazwie go królem wszystkich Anglów, z radością nazwie go tak przy Frankach i Jutach, z radością pobłogosławi jego dziedzica. Dziedzica zwierzchniego króla wszystkich Anglów. Jakie więc w końcu będą mieli znaczenie mieszkańcy północy i to, kogo nazywają bratem i bohaterem, jeśli on, król Edwin, będzie mógł rozkazywać wszystkim Anglom?

Chłopiec. Zdrowy chłopiec. Podwójne, nie pojedyncze ryzyko. Ale już się stało.

Hilda wypła wino i wyciągnęła kubek po dolewkę.

— Jest chleb? Umieram z głodu.

Oeric odchrząknął.

— Jest jeszcze jedna wiadomość, pani.

— Jeszcze jedna?

— Nie jest pilna — stwierdziła Gwladus.

— Skąd możemy to wiedzieć? — zapytał Oeric. — To jest list.

Hilda wyciągnęła rękę. Czerwony воск, gęś.

— Od Hereswithy. — Złamała pieczęć i szybko przeczytała list. — Ma córkę, zdrową i silną.

— Kiedy? — zapytała Breguswitha. — Jakiego koloru ma oczy?

Hilda wyciągnęła do niej list, a potem przypomniała sobie, że matka nie umie czytać.

— Nie jest napisane.

Wygładziła pergamin, żeby nikt nie widział, że drży jej ręka. Jej matka nie umie czytać. Jej matka nie zauważyła oznak ciężkiej zimy. Ciana nawet tu nie ma. Hereswitha jest bardzo daleko, Fursey też. Podjęła podwójne ryzyko i nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc.

— No i co tam jest napisane? — zapytała Begu.

Charakter pisma Hereswithy poprawił się.

— Dziecko urodziło się w środku lata.

— Późno — orzekła Begu.

Hilda skinęła głową, czytając jedno, a myśląc drugie. „Etelryk strzeże mokradła, chociaż nie rzuci wyzwania Ricberhtowi. Kuli się na naszym mokradle, bawi się w księcia Ludu Północnego i ogiera swojej poganki”. Hilda miała rację. Musi powiedzieć Hereswicie, żeby uważała, co pisze. Nie wszyscy, którzy umieją czytać, są po ich stronie... „Ojciec Fursey przesyła pozdrowienia i modlitwy”.

Breguswitha spojrzała na nią; z jej twarzy z łatwością można było wyczytać, co myśli: jeśli przepowiednia dotycząca syna się nie sprawdzi, będą to musiały być bardzo potężne modlitwy.

— Ale na razie jesteś babką — powiedziała Begu. — A Hilda ciotką. — Uśmiechnęła się. — Ciotką! Jak ma na imię?

Hilda pokręciła głową.

— Nie napisała. Nie jest przyzwyczajona do pisania listów. — Zwróciła się do Oerica: — Przynieś mi atrament. I przygotuj się do długiej drogi. Zawieszysz listy do

Hereswithy i jej księdza, Furseya. Weź ze sobą dwóch ludzi i po parze luzaków dla każdego. Odpowiedzi chcę otrzymać szybciej niż szybko. Morud, ty odpoczniesz. Potrzebuję twoich oczu w kilku miejscach.

U Rhina ukrywał się co najmniej jeden ksiądz wealh. Jeden z nich mógłby na nowo ogolić czoło i pojechać z Morudem do Rhegedu, żeby się zorientować w sytuacji. Skoro Idingowie podnieśli głowy, nikt z północy nie będzie chciał rozmawiać z Anglami Edwina ani z księżmi, ani z gesithami. I nie była to pora odpowiednia na pomyłki.

Rozdział 20



Zima była ostra: najpierw wiatr i śnieg, a kiedy z ziemi zaczęły wychodzić przebiśniegi, cisza i trzaskający mróz spływały z nieba niebieskiego i twardego jak emalia. Zamknięte w lodzie gałązki błyszczały w słońcu. W lesie jelonki głodowały, a lisy zrobiły się chudsze od łasic. W Yorku ludzie chronili się przed zimmem do obór, zadowoleni z ciepła oraz z nawozu, który mogli palić — póki go mieli. Spoglądali przy tym na siano drzewne i rozmyślali o zbliżającym się wyborze między własnym ciepłem a śmiercią głodową bydła.

Hilda z matką pilnowały, by Etelburga zawsze miała smaczne kąski; zależało im, by jej dziecko było zdrowe.

Wiosna wreszcie przyszła pod koniec ich pobytu w Bebbanburgu. Zaczęło się ocieplać. W dolinach z ziemi wychodziły żdźbła jęczmienia. Ludzie się wyprostowali i zaczęli się uśmiechać.

A potem przyszedł deszcz. Niekończący się deszcz, który wbił młody jęczmień z powrotem w ziemię, rozgniół wczesne kwiaty i uciszył brzęczenie pszczoł. Bydło wchodziło na pagórki, jeśli je znajdowało, lub stało w mokrej ziemi, od czego gnily kopyta. Tkaniny pokrywały się pleśnią, mąka tęchła od wilgoci. Rzeki przybrały raz, wkrótce przybrały jeszcze raz, aż czaple musiały szukać schronienia na dachach, a kaczkę na płotach. Pastwiska zamieniły się w grzędzawiska, a drogi w śliskie pochylnie. I wciąż padało.

Wszędzie panował niepokój. Osfrith przysłał z Tinamutha wiadomość o krwawych atakach młodych Gododdinów. Hilda zastanawiała się, czy Coledauc rozważy możliwość przyłączenia się do nich ze swoimi Bryneichami. Położyła dłoń na seaksie: czy zaryzykowałaby zniweczenie jej przepowiedni o przyjaźni?

Mężczyźni szemrali: po świecie chodziły pod niesamowitym niebem upiory, a bezksiężycowe noce przyprawiały nietoperze i ptaki o szaleństwo; w sieci rozciągnięte w zwykłych miejscach łapało się tylko powietrze. Ze wzgórz schodziły nocami żbiki oraz wilki i zakradały się do gospodarstw. Za dnia orły porywały owce z pastwisk. Król ogłosił, że będzie płacić za wilcze skóry i orle skrzydła, ale łucznicy narzekali na luźne cięciwy i zwichrowane strzały, a włócznicy nie trafiali do celu.

Ludzie szeptali, że Chrystus przynosi pecha.

Kiedy Oeric wrócił z listem od Fursey, tak oględnie napisanym, że aż nieczytelnym, dwór przebywał w Yeaveringu. „Twoja siostrzenica to Szlachetna Radość”. Dopiero przeczytawszy te słowa kilka razy, Hilda uznała, że w ten sposób ksiądz podaje imię dziewczynki: Æthelwyna. „S przynosi kadzidło, którym twoja siostra usuwa robactwo z pokoju”. To było łatwiejsze: Sigebert przyrzekł Frankom sojusz w zamian za broń i ludzi. Edwinowi się to nie spodoba. „Twój pokorny korespondent prosi, byś

pamiętała drogę do Lindum i rozmowę o koraliku najjaśniejszym ze wszystkich. On jest wszędzie”.

Pół nocy obracała paciorki, rozważając te słowa. Mały żółty paciorek, najjaśniejszy ze wszystkich: Chrystus. Fursey nie miał na myśli księży — to by było jak wyjaśnianie, że słońce wschodzi na wschodzie. Co on chciał powiedzieć? Hilda zasnęła z bransoletką w ręce i śniło się jej, że jest wilgotno. Wszystkim śniło się, że jest wilgotno. Pogoda bardziej pasowała do jesieni niż wczesnego lata. Sieczone deszczem morze falowało. Transport morski zawodził. Handel ustał.

Przenieśli się do Derventio. Edwin szalał ze złości w swojej wspaniałej halli z mozaikową posadzką, strzeżonej u każdego wejścia przez dwóch gesithów. Gesithowie nie byli dobrymi strażnikami: stanie na straży to nie walka. Lintlaf powiedział im, że już wkrótce wezmą udział w prawdziwej walce i pilnował, żeby strażnicy zmieniali się cztery razy dziennie.

Etelburga — nabrzmiała jak utopiona owca — mająca jeszcze dwa miesiące do rozwiązania modliła się w swojej wspaniałej kaplicy wymalowanej złotą i cynobrową farbą. Chór Jakuba dzielnie śpiewał, lecz jego pieśni docierały tylko do wysoko wzniesionego dachu i, niewysłuchane, spadały na ziemię. Hilda, jasnowidząca i prorokini, powtórzyła, że syn króla będzie silny i zdrowy. Niczego jednak nie obiecywała w sprawie deszczu. Król na nią krzyczał. Ludzie na jej widok szemrali. Kobiety zbierały suknie.

Morud przyniósł informacje o zatroskanych mieszkańcach Rhegedu oraz rozpaczliwą wiadomość od Uinniau: Rhoedda nękają posłańcy z północy — z Dál Riata i Alt Clut — a zła pogoda i pomór była wygania gospodarzy z ich dziedzin. Rhoedd będzie musiał wkrótce zawrzeć sojusz. Hilda nadal nie miała kogo zaproponować Edwinowi na męża dla Rhianmellty.

W zamyśleniu wysunęła seax z pochwy, lecz schowała go z powrotem, znowu go wysunęła, a potem energicznym ruchem schowała i wzięła do ręki swój kij. Dobra dębina. Zważyła go w rękę, trzymając w równowadze. Przez chwilę zastanawiała się, jak by to było walczyć z Idingami. Oparła kij w zgięciu łokcia i przygładziła włosy. Idingów tu nie ma, a ona musi przekazać Edwinowi wiadomości.

W halli był także Paulin i Szczepan. Edwin wysłuchaj jej w milczeniu, po czym zaczął ciskać gromy. Jako że prawdopodobnie nie obrodzi ani pszenica, ani jęczmień, będzie musiał kupić zboże od szwagra z Kentu. Już podniósł wartość dziesięciny w swoim wīc w Yorku oraz w Tinamutha. Wymógł na Mulstanie większe dochody z Zatoki Wici. Coelgarowi w Lindsey, kuzynowi Osricowi chowającemu się w Craven wśród porośniętych brzoza wzgórz i bogatych w żelazo strumieni oraz Pyrowi w Elmecie posłał wiadomość, że mają być surowi i że ich król potrzebuje tego, co mogą odłożyć, a nawet więcej. Co dostał w zamian? Lamenty, same lamenty i wieści o kolejnych problemach. Dla odmiany chciałby od swoich tak zwanych doradców usłyszeć jakieś użyteczne propozycje.

Do przodu wystąpił Paulin i zaproponował, żeby król zmusił Gododdinów i mieszkańców Rhegedu do płacenia wyższych danin, ponieważ nie oddają czci Chrystusowi za pośrednictwem właściwych księży.

Edwin wrzasnął na niego i zaczął dźgać stół nożem. Czy jego wiarołomny,

zbrodniczy bóg ukradł mu w nocy mózg? Czy on nie rozumie, że w Galii Sigebert całuje pierścień Franków za pomoc przeciwko Anglom Wschodnim? Franków! Kim jest on, Edwin, smażonymi flakami? Można by tak pomyśleć, widząc, jak Gododdinowie się rozzuchwalają, a Rheged rozważa sojusz z Dál Riatanami. Do tego wszystkiego Cadwallon przygotowuje Gwynedd do wojny, a Penda wyruszył ze swoimi Mercjanami na spotkanie Sasów Zachodnich. Wygra z nimi. A wtedy wszystko może się zdarzyć, wszystko, więc zadaniem księży jest modlić się do ich potężnego boga, żeby dał dobrą pogodę, a królowej szczęśliwe rozwiązanie. Jeśli tak się nie stanie, Paulin powinien się zamknąć albo, na bogów, on, król, wyciągnie flaki swojego biskupa przez jego pępek i przybije je do drzewa. A biskup Rzymu może to sobie wsadzić gdzieś.

— Coifi przynajmniej znał swoje miejsce! — wrzasnął do cofającego się biskupa i cisnął w niego miską, która trafiła Szczepana w tył głowy.

Hilda patrzyła, jak miska z wiązowego drewna zatacza ciasne kręgi na srebrnej krawędzi i wreszcie zatrzymuje się denkiem do góry. Wiedziała, jak się czuje ta miska; wiedziała, jak to jest, kiedy wszyscy patrzą. Chciała coś rzucić w Paulina, w Ciana, w króla. Albo wbić w coś nóż. Cokolwiek, byle nie stać spokojnie i czekać, zawsze czekać na wydarzenia, nad którymi nie panuje, lecz które zuchwale przewidziała. Syn. I to zdrowy. Lecz jeszcze przez dwa miesiące nic nie będzie wiadomo.

— Tępogłowi tchórze w sukniach. Niech ktoś mi przyniesie napitek. A ty powiedz mi coś dobrego — zwrócił się do Hildy.

Nawet gdyby miała dobrą wiadomość, Edwin nie był w nastroju do jej wysłuchania. Hilda chciała krzyczeć i dźgać nożem. Po chwili powiedziała:

— Coifi wcale nie był lepszy. Ale przynajmniej jego tu nie ma.

— Ha. Powiedz mi coś, czego nie wiem. Niech się Osric nim cieszy. A mówiąc o naszym kuzynie, czy to szaleństwo z Gododdinami to jego sprawka? Kiedyś miał zadanie pilnować, by siedzieli cicho.

— Kiedyś — rzekła Hilda.

— Może on się w to miesza, może wysyła ludzi, żeby ich podburzali.

Nie odpowiedziała. Król widział spiski pod każdą ławą, ale to nie znaczyło, że się myli. Poza tym Osric jest głupcem. Ci, którzy obstawiają zachowanie głupców, przegrywają.

Oczy Edwina lśniły.

— Mógłby spiskować z każdym z nich: Cadwallonem, Pendą, z Dál Riatanami, Gododdinem, Rhegedem. Z każdym. Ze wszystkimi.

— Potrzebujemy szpiega jego halli, kogoś z jego rady.

— Mam lepszy pomysł. Zabiorę mu syna.

Oswine o ostrych zębach. Zastanowiła się nad tym. Zbliżała się wojna, do przepowiedzenia czego nie trzeba być jasnowidzem. Potrzebowali rudy żelaza Craven, chętnych ludzi tego kraju.

— Nadaj temu pozory zaszczytu. Wyślij kogoś szanowanego, który powie... — Nagle ujrzała cały obraz. — Który powie Osricowi, że Oswine ma być przygotowywany do specjalnego zadania. Że ma zdobyć sławę i pozycję.

— Lepiej, żeby nie kosztowało mnie to żadnych pieniędzy.

— Rheged. Rhoedd musi wydać Rhianmelldtę za męż. Może za Oswine'a?

— Czyś ty zupełnie oszalała?

Hilda ujrzała wyjście. Mogła przekreślić miecz i go wyciągnąć.

— Rheged nie może już istnieć samotnie. Musi wybrać opiekuna. Niech będzie nim Nortumbria. Oswine to nie Osric, nie został wychowany w przekonaniu, że Deira mu się należy. Rheged wyda mu się gratką. O wiele lepszą od Craven. Sprowadź go tu, obsyp złotem i pochlebstwami, a będzie twój. Tak jak Rheged.

Wizja ta drżała przed nią jak kropla deszczu na wyciągniętym palcu, olśniewająca, piękna, doskonała.

— Oswine, król Rhegedu?

— Ealdorman Rhegedu. Twój człowiek. — Czy on tego nie widzi? Nortumbria od morza do lśniącego morza. — Pomyśl o portach. Nortumbria od wybrzeża do wybrzeża. Cadwallon zostanie odcięty od północnych Brytyjczyków.

Wyobraziła sobie królewski sztandar z wizerunkiem dzika łopoczący na wietrze, ciężar czerwonego pierścienia.

Zaczerpnęła tchu, opuściła ramiona, pozbyła się niecierpliwości z głosu.

— Sprowadź tu Oswine'a, wuju. I księcia Uinniau. Mogą się pod twoim okiem zaprzyjaźnić, zostać braćmi od miecza zaprzysiężonymi tobie. A Uinniau będzie zakładnikiem dobrego zachowania Rhoedda. Jeśli wyślesz odpowiednią osobę, przybędą obaj.

— Eadfrith Słodki Język jest u swojego brata i przywołuje do porządku Gododdinów.

— Nie Eadfritha. Kogoś, komu mogliby zaufać wealh.

— A któż miałby być tym wzorem zaufania?

— Cian Krzykliwy Płaszcz.

Letnie przesilenie bez słońca. Hilda czuła się jak spowita chmurą, pozbawiona tchu, jakby powietrze było z wełny. Siedziała z doradcami króla; słuchała, lecz się nie odzywała, tylko przesuwiała swoje paciorki, zatrzymując się dłużej na tym żółtym. „Chrystus, najważniejszy ze wszystkich. On jest wszędzie”. Coś jej umykało. A królowa z każdym dniem robiła się coraz grubsza.

Chciała oczyścić myśli, przemierzać wrzosowiska nad Mulstanton, opierać się wiatrowi na urwisku przy Zatoce Wici. Zazdrościła Cianowi podróży do Craven z jego gesithami; był jednym z wielu, mógł się śmiać, krzyczeć, śpiewać. Coś robić, a nie być obiektem spojrzeń i szeptów. Nie czekać na słońce, nie czekać na rozwiązanie królowej.

Nadeszła wiadomość od Rhina, że mieszkańców Elmetu nękają bandyci. Saxfryth. Lweriadd. Jej ludzie. Jej Elmet.

— Gdzie jest król? — zapytała Hilda.

— Pewnie kuli się w swojej halli jak pierzący się jastrząb — odparła Gwladus. Wyjęła już ulubione kolczyki Hildy, te z agatem mszystym i perłami, odpowiednie do przekazania królowi złych wieści. — Nie ruszaj się, bo inaczej skończą w twoim nosie.

Hilda poruszyła niecierpliwie głową. Żałowała, że wysłała Ciana do Craven. Potrzebowała go do tego, co miała zrobić.

— Nie ruszaj się.

Miała już dość bezruchu. Odtrąciła rękę Gwladus. Nie, nie będzie czekać. Dlaczego miałyby to robić? Co takiego może zrobić Cian, czego nie może zrobić ona?

— Odłóż je. Daj mi zamiast nich mój kij.

Kiedy Lintlaf, który stał przy wschodnim wejściu, zobaczył zbliżającą się Hildę, skrzyżował ramiona i oparł się o odrzwia.

Główny gesith łśnił; stawał się bogaty. Zwykłych ludzi skinienie głową jego gesithom, żeby się usunęli z drogi, kosztowało coś ładnego, coś cennego. Był po prostu innym rodzajem bandyty, człowiekiem, który chwycił Gwladus za rękę tak mocno, że zrobił jej siniec.

Hilda spojrzała mu w oczy, a potem zmierzyła wzrokiem od stóp do głów. Za mocno obciążył jedną nogę. Jedno uderzenie w kolana sprawiłoby, że znalazłby się na ziemi, zanim zdążyłby rozpleść ręce. Żaden z jego gesithów nie zwracał uwagi na Hildę: była bratanicą króla i nawet nie miała miecza.

Cian był lepszy od każdego z nich, a ona nie zawsze z nim przegrywała. Żaden nie zdążyłby dobyć miecza, żeby obronić się przed ugodzeniem końcem kija w twarz. Tak. Szeroki zamach i cios w kolana. Uderzenie jednego końcem kija w usta, innego drugim końcem w żebra. Zęby sypiące się na ziemię. Ostre ciepło krwi. Ugięcie nóg i podrzucenie lewą ręką końca kija w górę, a potem spuszczenie go ze świstem w dół obiema rękami. Trzask dębiny na rzepce. Przyklęknięcie i przytknięcie seaksa do przyrodzenia Lintlafa. Woń kału.

Czy powinnam wygłosić przepowiednię o bezpłodności i braku synów, Lintlafie? Żaden gesith nie pogalopowałby na wojnę z fatum wiszącym nad głową.

Uśmiechnęła się słodko.

Lintlaf usunął się z drogi.

Edwin siedział w półmroku na końcu halli pogrążony w myślach. Był sam, jeśli nie liczyć kilku służących, którzy stali pod ścianą. Płonął mały ogień, lecz w powietrzu czuło się wilgoć. Hilda przekazała wiadomość Rhina.

Król wpatrywał się w nią jeszcze długo po tym, jak skończyła mówić.

— Bandyci? A co mnie obchodzi kilku bandytów w Whinmoor?

— Robią się zuchwali. Gospodarze boją się o życie i o inwentarz.

— Czy ja jestem niańką świata? Mam dosyć ludzi, którzy wyciągają ręce i jęczą.

— Uderzył dłonią w stół; jego puchar podskoczył. — Człowiek musi sam utrzymać swoje gospodarstwo.

— Przynajmniej wyślij ludzi do Pyra w Caer Loid.

Edwin uniósł puchar. Jeden ze służących podszedł bezszelestnie, napełnił go i wycofał się pod ścianę.

— Jestem rozsmarowany cienie niż masło na chlebie biedaka. Kogo miałbym wysłać? Moi synowie są na północy. Coelfrith jest z Wroną w Yorku. Na północy Idingowie spiskują ze Szkotami po jednej stronie wału, a z Piktami po drugiej. Poniżej pomrukuje Rheged z Bryneichami. Na zachodzie Cadwallon zbiera armię. Nithing! — Znowu uderzył w stół, rozlewając wino. — Ze środka wyspy szczeka na nas Penda i jego Mercjanie. Na południu i wschodzie...

— Wyślij mnie.

Cisza.

— Ciebie?

— Mnie z dwunastoma gesithami.

— Na bandytów? — Uniósł puchar i spojrzał na Hildę ponad jego krawędzią. — To by było... nieprzyjemne.

— Skoro nie ma innego wyjścia...

— Hm. — Mierzyli się wzrokiem. Yffing naprzeciwko Yffinga. Edwin wypił łyk wina i zdecydowanym ruchem odstawił puchar. — Sześciu gesithów.

— Ośmiu i twój znak, żebyśmy mogła go pokazać Pyrowi w Caer Loid.

— Mój znak. — Poruszył dłonią, rozprostował ją, zamknął w pięść, cały czas przyglądając się Hildzie i temu, jak dziewczyna patrzy na jego pierścień. Otworzył dłoń. Uśmiechnął się. Skinął głową. — Sześciu. I mój znak. Chociaż lepiej, żebyś nie musiała go użyć. — Zdjął z palca wskazującego wielki rzeźbiony granat i pochylił się do przodu. — Pojedziesz prosto do Whinmoor. Żadnego wtrącania się do pracy Pyra.

Wyciągnęła rękę.

— Tak.

Król upuścił pierścień na dłoń Hildy. Zważyła go, a potem włożyła na kciuk i zacisnęła dłoń w pięść.

— Pięść króla.

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła nagłe zainteresowanie służących pod ścianą. Pięść króla.

— Pasuje ci, bratanico, ale będę chciał go odzyskać. — Odchylił się na tronie, a potem zaklął i przyjrzał się swojemu łokciowi. Kurtę miał przesiąkniętą winem.

— Niech ktoś tu posprząta! — Do stołu podbiegło posłusznie dwóch służących. — To dotyczy także ciebie, bratanico. Posprzątaj.

W pomieszczeniu dla straży królowej Bassus zmarszczył czoło — nie na widok królewskiej bratanicy, pięści króla, lecz z powodu jej pytania. Czego ona chce od bandytów?

Wyprosił służącego ruchem ręki i sam dołożył kłodę do ognia. Hilda naląła im obojgu wina. Miała na dłoni znak Yffingów. Nie potrzebowała niczyjego pozwolenia.

Bandyci.

— Ścigałem ich w Kencie, kiedy Eadbald był æthelingiem. — Natychmiast poczuł się nieswojo. Dziewczyna — nie dziewczyna, pięść króla — na pewno nie jest zainteresowana, kto był æthelingiem. Uniósł puchar i powąchał jego zawartość. Iberyjskie. Jego ulubione. Ma taki sam kolor jak pierścień. — To ciężka i brudna robota. Nie życzyłbym jej najgorszemu wrogowi.

Kłoda się zajęła; na ścianach zatańczyły cienie, a znak Yffingów załśnił krwistą czerwienią. Bassus chętnie cofnąłby swoje słowa: dziewczyna jest pięścią króla. Nie należy używać słowa „wróg”, przebywając z nią w jednym pomieszczeniu.

— Pokazać ci bliźnę, jaką mam po nich?

Skinęła głową. Bassus postawił puchar na stół, a prawą stopę na ławie. Zdjął pas, rozwiązał troczek pod kurtą i zrolował nogawice. Bliźna wzdłuż jego goleni miała wielkość zaskrońca, była gruba i poskręcana, niebieskawo-biała pośrodku, a różowa na

krawędziach. Rana nie zagoiła się szybko, a infekcja zniszczyła część kości.

— To gorsze od wszystkiego, co mi się przydarzyło w ścianie tarcz. To nie była dobra czysta stal, tylko łopata o żelaznej krawędzi. Paskudne narzędzie. Wciąż mnie czasem boli, kiedy pada.

— Przyślę ci coś na to.

— Dziękuję, pani.

Nie należało odmawiać.

Naciągnął nogawice, starannie je przywiązał, poprawił kurtę, podniósł pas i znieruchomiał.

— Walczą zębami i rękami, procami i kamieniami, sierpami i łopatami. Atakują człowieka nawet wtedy, gdy ma dziurę w brzuchu. Jak bezmyślne szczury, które nie wiedzą, kiedy są pokonane. Powinnaś polować na nich jak na szczury, z sieciami i pałkami albo psami i łucznikami. Albo z trucizną. Powinnaś zabić ich wszystkich.

— Na pewno nie wszystkich.

— Wszystkich, pani, oraz ich dzieci. — Podobno zabijała pod Lindum. Ale bandytów rozumie się dopiero wtedy, kiedy wije się taki pod stopą jak wąż z przetrąconym grzbietem. — Powiadają, że bandyci to dobrzy ludzie, na których przyszły ciężkie czasy. I może niektórzy tak zaczynają, ale potem stają się dzikusami.

Przeciągnął dłońmi po pasie, na wpół słuchając pobrzękiwania złotych okuć zdobytych w służbie króla.

— Pani, to nie jest jak wojna. Bandyci nie mają litości i nie można jej im okazać, ponieważ nie mają honoru. Ani krzty. Nie zrobiłbym tego drugi raz nawet za całe wino Iberii.

Gwladus pakowała, a Hilda kręciła dłonią. Oglądany pod jednym kątem, nawet w chmurny dzień rzeźbiony granat pulsował jak krew napędzana biciem serca. Pod innym kątem robił się ciemny jak strup. Jasny, ciemny. Znak króla, pięść króla.

Znaczenie króla.

Sprawdziła paczuszki z uzdrawiającymi ziołami, włożyła je do ich kieszonek obok igieł i bandaży, zwinęła skórzany futerał i zawiązała rzemienie.

Kiedy Gwladus dołożyła własną suknię do kupki ubrań leżącej przy skórzanych jukach, Hilda powiedziała:

— Nie. Ty nie jedziesz.

Gwladus spojrzała na nią.

— To kto się będzie tobą zajmować?

— Nikt. Spakuj rzeczy na miesiąc.

— Miesiąc! Nie możesz...

— Nie jedziesz.

— Ale...

— Dosyć. Nie chcę cię.

Gwladus wzdrygnęła się.

Hilda nie jechała jako pani Hilda, bratanica króla, jego jasnowidząca. Jechała jako Hilda, pięść króla. Wątpiła, żeby było tak źle, jak sądził stary Bassus, ale było jasne, że do polowania na bandytów nie trzeba mieć starannie uczesanych włosów ani czystych

butów. Nie chciała jechać z kimś, kto nie potrafiłby zabić albo kto umiałby ją przywołać do porządku. Musi być pięścią króla, zabójczynią. Sama poprosiła o to zadanie. Trzeba je wykonać.

Pojechała na południe do Elmetu przez płonące fioletem wrzosowiska. Morud biegł przy niej, a Oeric i sześciu gesithów otaczało ją podzwaniającym półksiężycem: Gwrast i Cynan, Coelwyn i Eadric oraz bracia Berhtowie.

Jechała bez zbytniego bagażu; wzięła ze sobą tylko dwie cienkie sakwy z twardym chlebem, miodem i zestawem do opatrywania ran. Swoje znaki miała przy sobie: paciorki, seax, krzyż, kubki wyrzeźbione przez Ciana, węzowy kamień od Begu i pierścień Edwina. Kiedy słońce wychodziło zza chmur, kamień na jej kciuku błyszczał, karneole płonęły, a złoto na jej piersi i ogłowie Ilfetu lśniło.

Pierwszej nocy obozowali pod osłoną głazu pokrytego porostami, który był jak jedna z kości wrzosowiska przebijająca się przez cienką glebę. Poza Oerikiem i Morudem jej towarzysze byli przyzwyczajeni do wojennego szlaku i nie narzekali na niewygodę, chociaż nie podobało im się, że Hilda kazała im zdjąć pierścienie i zakryć uprząż szmatami.

— Nawet w blasku księżyca będziecie błyszczeć jak upiory kurhanów. Bandyci zobaczą was z odległości mili.

— Świetnie! — powiedział Coelwyn. — Zmrozimy im szpik w kościach.

— Chciałbyś, żeby ptaki wiedziały o zastawionej sieci?

— Ptaki? Jesteśmy gesithami. Polujemy na przerażające bestie. Nie zawracamy sobie głowy małymi przestraszonymi stworzeniami.

— Teraz jest inaczej.

Zdjęła bransoletkę z paciorków, zwinęła ją w dłoni i wrzuciła do sakiewki przy pasku.

— Jeśli pozwolimy im uciec, wrócą po naszym odjeździe. Jesteśmy tu po to, żeby ich zwabić w pułapkę, osądzić, a potem osiedlić ich albo zabić.

Kiwnęli głowami. Wszyscy oprócz Oerica widzieli, jak Hilda zabija.

Osądzała nieszczęsnych wytropionych bandytów jako ich pani, władczyni wyrd i niedoli; jej gesithowie wywlekali z jeżynowych zarośli kulące się dzieci, kobiety i mężczyzn w sześciuosobowych grupach, znajdowali ukrywających się dwójkami w zagajnikach albo pochlipujących samotnie w cieniu głazu nad na wpół zjedzonym ptakiem.

Dzieci, słabe i wygłodniałe, potrafiły płakać na zawołanie, a jeśli się je pocieszało, dźgały pocieszyciela brudnym palcem w oko i wyrywały mu szpilę z płaszcza. Coś takiego przytrafiło się Coelwynowi. Prawdopodobnie straci to oko, chociaż Hilda zrobiła, co w jej mocy.

Kobiety miały kuszące ciała, lecz bezzębne usta. W obu dłoniach ukrywały złamane noże. Dobrze ci tak, powtarzała Hilda co wieczór Gwrastowi, zmieniając mu bandaż. Minie trochę czasu, zanim znowu będzie mógł trzymać tarczę — lecz do walki z bandytami jej nie potrzebował.

Mężczyźni mieli mięśnie jak stal i złamane umysły. Mogliby zgwałcić kępę pokrzyw, gdyby się nie ruszała.

Hilda osądzała ich wszystkich. Osądzała ich tak bezosobowo, jakby była zarazą albo błyskawicą.

Dzieci z mlecznymi zębami, nawet te nikkzemne, wysłała do swojej doliny z Morudem jako przewodnikiem i Coelwynem jako strażnikiem. Morud przyniósł z powrotem wiadomość, że strumień lśni od ikry i roi się nad nim od much; będzie dużo ryb niezależnie od tego, czy dni będą słoneczne czy nie. Dolina przetrwa. Następnego roku może rozkwitnie. Będzie mnóstwo pracy dla zdrowych dzieci. Morud przyprowadził też z sobą dwóch myśliwych z łukami i sieciarza; Rhin wyrażał nadzieję, że pani zwróci ich, zanim nastanie Blodmonath.

Ucieszyła się z tych dwóch łuczników — Bassus co do pewnych spraw miał rację.

Nie zsiadała z konia od świtu do zmierzchu, osądzając, osiedlając, wysłuchując ludzi. W każdej sadybie opowiadano o bandzie wilczych głów, bandytach, którzy gwałcili, mordowali ludzi i zabijali bydło, palili zboże na polach i z czystej złościwości załatwiali się do studni. Lecz tak jak Cait Sith, te diabły zawsze sprowadzały nieszczęście na kogoś innego, na kogoś mieszkającego za wzgórzem albo w następnej dolinie.

Hilda strzaskała prawie łokcie dwóm braciom, których przyłapali na kradzieży bydła od wdowy i jej synów na Brązowej Grani. Nie mogąc posługiwać się rękami, bandyci mogliby przeżyć tylko wtedy, gdyby znaleźli się jacyś ludzie, którzy zechcieliby ich żywić przez kilka tygodni.

Umieściła dwoje ludzi i ich niemal dorosłego syna, których złapali z pęczkiem ukradzonej marchwi, u pewnego gospodarza, który miał sadybę na zachód od starego kościoła Rhina. Po tygodniu Hilda poprowadziła swój oddział z powrotem, licząc na suchy nocleg pod dachem i gorącą strawę. Zastali żarzące się zgliszcza, żonę gospodarza zgwałconą i martwą, a gospodarza wypatroszonego na słomie w oborze, gdzie bandyci odcięli mlecznej krowie tylne nogi i usiłowali rozpalić ognisko.

Hilda patrzyła na martwą parę, nie unikając wzrokiem lśnienia kości i połysku wnętrzości; starannie zszyta koszula została rozdarta w poprzek szwu. Ci ludzie przyjęli bandytów do siebie, ponieważ ona ich o to poprosiła. Ponieważ się ulitowała.

— Zabierzcie to, co się nam przyda, a potem skończcie, co oni zaczęli. — Popatrzyła po kolei na swoich ludzi. Najdłużej zatrzymała wzrok na Oericu. — Spalcie wszystko dokładnie. Niech dym płonących zabitych podąży śladem wilczych głów i zanieś im wyrok.

Oeric trzął się, przełknął ślinę i miał nadzieję, że nie zwymiotuje. Bandyta dusił się i uderzał piętami o ziemię; w jego butach nie do pary było więcej dziur niż skóry. Zamiast nogawic miał brudne onuce. Dusząc się, wydawał takie same odgłosy jak Morud, kiedy odpluwał flegmę, tylko że duszenie się trwało i trwało. Plucie złościło Gwladus. Gdyby tu była, może pani czasami by się uśmiechała. Może nie byłaby tak bezlitosna.

Zaczął padać dużymi kroplami letni deszcz, wzmacniając zapach ziemi i kwiatów kolcolistu. Na niebie krążyły kruki. Zza wzniesienia, gdzie czekali pozostali, dobiegło rżenie.

— Konie marzną — odezwała się pani.

Złożył przysięgę. Bez tej przysięgi, bez pani byłby gospodarzem, który klęka przed każdym, kto nosi miecz. Lecz ludzie, którzy noszą miecze, muszą ich także używać.

I będzie coraz gorzej. Ścigali bandę, przynajmniej kilkanaście osób, a teraz wyglądało na to, że przyłączyła się do nich ta trójka z sadyby. Wkrótce ich złapią. Nazajutrz albo dzień później.

— Oericu.

Dobyl Clifera. Może bandyta po prostu umrze. Może pani znowu go uderzy i zakończy sprawę. Ale ona tylko się opierała na swoim kiju i patrzyła, jak bandyta się dusi.

Te oczy zauważały wszystko. Powiadają, że zieleń zagłada w serce człowieka, błękit w umysł, a czern... czern wysysa wyrd i niedolę, żeby inni mogli być bezpieczni. Zabijanie było niczym w porównaniu z tym, co widziały te oczy.

Znowu przełknął ślinę. Powinien podciąć bandycie gardło, to był najpewniejszy sposób, ale nie mógł znieść widoku tego, co zrobił z nim koniec kija pani, dębina pchnięta pewnym ruchem z całą jej straszliwą siłą. Od czasu spalenia sadyby pani się nie wahała. Nigdy nie sprawiała wrażenie niepewnej. Może on też taki będzie, jak już zabije człowieka.

Ale to nie była chwała zdobywana w gorączce bitwy, o której śpiewają scopowie. To było jak zabicie barana ze złamaną nogą. Tylko że baran nie ma na sobie ubrania, nie śmieje się, nie marzy o łyku miodu czy uścisku kobiecych ud. I baran nie usiłuje zabić pani sierpem.

Nogi miał jak z drewna. Dłoń zaciśnięta na rękojeści Clifera mogłaby być dłonią kogoś obcego.

— Nie zamykaj oczu — powiedziała pani.

Uniósł Clifera oburącz i wbił go w pierś rannego. Miecz przekręcił się i obsunął na jego żebrach. Oeric uderzył jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. Krew opryskała mu usta.

Potem klęczał, nie bardzo wiedząc, jak się znalazł na kolanach. Uniósł twarz do deszczu. Pachniał stęchlizną.

— Upewnij się, że nie żyje — poleciła pani.

Oczywiście, że nie żyje, został przecięty niemal na dwoje. Ale zawsze się upewniam, powiedziała. Zawsze sprawdzaj.

— Kiedy skończysz, oczyść miecz i dołącz do nas. Nie guzdraj się.

Pani przeszła na drugą stronę wzniesienia i Oeric znalazł się sam na sam z zabitym. Na trawie wylądował kruk.

Pani powiedziała wczoraj, że twarz pozbawiona oczu zniechęca innych. Oeric spojrział na ten gruby czarny dziób i wstał z kolan. Był bardzo zmęczony.

Przy ognisku Eadric użył Oericowi swojej buteleczki z olejem lnianym, a Gwrastr pokazał mu, jak za pomocą rozgryzionej gałązki umoczonej w oleju pozbyć się plamek zaschniętej krwi spod drutu, którym była owinięta rękojeść Clifera. Hilda go obserwowała. Uśmiechał się nerwowo, oczy błyszczały mu za mocno i często mrugał, ale nie pocieszała go. On potrzebował pociechy, jaką daje zwykle towarzystwo, ludzie jemu podobni.

Z rozpościerającego się za nimi porannego nieba wyciekło indygo nocy. Na zboczu porośniętym rzadką trawą hulały podmuchy wiatru. Hilda leżała na brzuchu. Wełna

powoli nasiąkała rosą. Hilda nie zwracała na to uwagi. Po obu jej stronach gesithowie powoli pełzli do przodu. Spojrzała ku północy i południowi: obaj łucznicy znajdowali się na pozycjach z łukami przygotowanymi do strzału, gotowi zapobiec gradem strzał ucieczce ku zachodowi.

Kolejny podmuch wiatru przyniósł zapach popiołu skropionego tłuszczem, osmalonych włosów, żarzących się kopyt i ostry fetor niemytych bandytów. Hilda policzyła ciemniejsze kupki wokół leżącego poniżej dogasającego ogniska. Dziewięć. Niektóre były na tyle duże, że mogły je tworzyć dwie osoby. Jedna owinęła się pasiastym kocem, który za dnia okaże się niebiesko-zielony. Tego dnia, kiedy Hilda odjechała, uważając, że postąpiła mądrze, gospodyni pokazywała przyjętej pod dach kobiecie, jak go wytrześć do czysta.

Hilda wiedziała, że jedna osoba przy ognisku jest martwa.

Śledzili rodzinę przez cztery dni, cały czas kierując się na północny zachód. Drugiego dnia dołączyła do bandy wilczych głów; byli to ludzie twardzi, szczupli i uzbrojeni, nie jacyś biedacy, którzy radzą sobie, jak umieją.

Minionej nocy Hilda słuchała, jak piją to, co ukradli w jakiejś sadybie, potem śpiewają i śmieją się, a potem po kolei kogoś gwałcą. Nie umiała ocenić po odgłosach, czy to była kobieta czy jakiś młokos. Nie dziecko. Krzyki dziecka byłyby inne. Kiedy tak gwałcili, ryczeli i chichotali, w ognisku paliła się resztką krowiej nogi. Czuli się bezpiecznie. Nie wystawili warty, a to, co pili, było mocne.

Nic się nie ruszało. Do kotlinki przeciekło światło, lecz nie tyle, by zmienić szarości w kolory.

Jedna z kupek drgnęła, a potem zmieniła się w chudą kobietę, która zrobiła chwiejnie dwa kroki i kucnęła, podwijając koszulę do pasa.

Hilda spojrzała w prawo i w lewo. Skinęła głową. Myśliwi nałożyli strzały na cięciwy. Gesithowie poluzowali miecze w pochwach i sprawdzili włócznie. Ona sama mocniej cisnęła kij i poprawiła seax. Podkuili nogi. Uniosła kij. Łucznicy naciągnęli łuki, gesithowie podnieśli się z ziemi.

Przeciągnęła dłonią po szyi: żadnej litości. Cięciwy zagrały, wzleciały włócznie. Hilda rzuciła się biegiem.

Biegła cicho jak łania, uderzając miękko nogami w trawę. Prosto na kucającą kobietę.

Włócznia trafiła ją w stopę; kobieta zaczęła krzyczeć i odwracać się. Po jej nodze ciekł płynny kał. Hilda już robiła zamach; trafiła kobietę w gardło. Poczowała miękki wstrząs aż w ramionach, a potem przeskakiwała nad wijącą się raną, wpatrzona w koc.

— Śmierć! — zawyła. — Śmierć!

Ciemna kotlinka wypełniła się ludźmi, włóczniami i krzykiem.

Stała na grzbiecie wzniesienia oparta na kiju i patrzyła na północny zachód ku wielkiej przełęczy między wzgórzami. Znajdowali się dwadzieścia pięć mil na zachód od Whinmoor. To było pogórze głównych gór. W świetle nisko stojącego słońca lśniła rzeka, która płynęła przez Przełęcz, a po obu jej stronach było widać biegnące wzdłuż doliny owcze ścieżki. To tutaj zmierzali bandyci: na północ przez Przełęcz do Craven.

W Craven przebywał Cian. To nie było daleko. Hilda mogła poprowadzić swoich

ludzi przez Przełęcz i dowiedzieć się, czy Osric jest tak nieudolnym ealdormanem, że nie wie o bandytach pochodzących z jego kraju, czy doskonale o nich wie. Ealdorman Osric musiałby uklęknąć przed jej pierścieniem...

Ale może Cian już wrócił do Sancton, do Oswine'a, a królowa niedługo miała rodzić. Hilda powinna być wtedy przy niej.

Morud ukląkł i nie podnosił wzroku.

— Pani, żelazo jest gorące.

Zeszła za nim do kotlinki, minęła rząd ciał i zatrzymała się przy młodzieńcu szamoczącym się między braćmi Berhtami. W przeciwieństwie do Moruda oni nie bali się patrzeć jej w oczy. Biło z nich uwielbienie. Pani wyrd, pani, która potrafi zabijać. Suknia i miecz.

Po jednej stronie zgaszonego ogniska leżała sterta rzeczy do spalenia, po drugiej na zielono-niebieskim kocu leżała o wiele mniejsza kupka. To był dobry koc. Przyda się Rhinowi.

Młodzieniec miał kędzierzawe brązowe włosy, orzechowe oczy i zęby na tyle młode, że jeszcze były proste. Na jej widok zwiotczał, ale ważył tak mało, że bracia się nie ugięli.

Skinęła im głową i dobyła seaksa.

— Obróćcie go do światła.

Zaczął się wyrывać, ale bracia wzmocnili chwyt. Hilda rozcięła poszarpane resztki jego tuniki. Na jego pozbawionej zarostu piersi było widać ślady ugryzień pcheł. Hilda przełożyła seaks do lewej ręki, a prawą dłoń położyła chłopakowi na mostku. Serce było mu szaleńczo. Popatrzyła mu w oczy.

— Jak się nazywasz?

— Pani...

— Twoje imię.

— Tims, pani. Pani, błagam cię...

— Spójrz na mnie. — Spojrzał. Serce zaczęło mu bić wolniej. — Czy pochodzisz z Craven?

Mocniejsze uderzenie serca.

— Pani...

— Óóó. Nieważne. — Bicie jego serca zwolniło jeszcze bardziej. — Odpowiedz mi na pytanie. Czy chcesz uczciwie pracować?

— Tak! Przysięgam, pani!

Lecz jego serce miało się jak zajac, a źrenice zmniejszyły do kropek.

Hilda cofnęła się, schowała seax do pochwy i skinęła głową Coelwynowi, który pchnął Timsa włócznią pod żebra przez zapadnięty brzuch. Tims wrzasnął i się zaszamotał; Coelwyn krzyknął ostro do braci, żeby trzymali go mocno, po czym, klnąc, zaczął piłować włócznią w górę i w dół, aż znalazł dużą żyłę i Tims wykrwawił się na wyblakłą trawę.

Hilda przerzuciła stopą kupkę rzeczy na kocu: bukłak miodu, dwie dobre siekiery, beryl ze skażą, pas z malowanej skóry i woreczek z proszkiem żelaznym. Podniosła bukłak, odkorkowała go, powąchała. Szalony miód. Wylała wszystko.

Cynan i Gwrast odrabali od ciał głowy i dłonie. Eadric zaniósł je do ognia. Oeric wyjął piętno z węgla i na każdym czole i dłoni wypalił wilczą głowę. Bardzo nie chciał tego robić, zwłaszcza na głowach i dłoniach kobiet, ale Hilda powiedziała, że jest pięścią króla, a oni należą do niej; podobnie jak inni nie śmiał się sprzeciwić tej nowej Hildzie, twardej jak żelazo. Był na jej rozkazy.

Wbili w ziemię w poprzek Przełęczu tyczki i nabili na nie ciała, głowy i dłonie z wypaloną wilczą głową. Utworzyły długi szereg skierowany przodem do Craven. Tej nocy ludzie Hildy pobielili przy ognisku wapnem nieużywane tarcze i namalowali na nich lśniąca mieszaniną krwi, rdzy i oleju człowieka nabitego na pal oraz dzierzbę. Ludzie dzierzby.

Teraz bandyci przez jakiś czas nie będą nękać Elmetu. Hilda odesłała łuczników do Menewood z kocem i głowicami siekier. To były dobre ostrza, a w dolinie nie było kowala.

Kiedy wyruszyła ze swoimi ludźmi na północny wschód, niebo się zachmurzyło, a ziemia zmiękła. Słońce jeszcze tu nie świeciło, ale Hilda czuła w powietrzu podążającą za nimi zmianę pogody. Podążała za nimi nie tylko ta zmiana, lecz mieszkańcy Elmetu woleli zostać wśród drzew, zamiast wyjść do Hildy i z nią porozmawiać.

Mówiła sobie, że tak będzie lepiej. Plotki robią za nią jej pracę. Lecz niedaleko od drogi rozległo się wykrzyczane drżącym głosem słowo „Dzierzba!”, a jedna z leszczyn zatrzęsała się pod ciężarem umykającego dziecka.

Hilda chciała zeskoczyć z konia, wejść na drzewo, przyprzeć dziecko do pnia i wrzasnąć: „W ten sposób zapewniam nam bezpieczeństwo!”.

Ale nie było żadnych „nas”. Przynależność nie należała do wyrd jasnowidzącej. Hilda utrzymała Ilfetu w stępie i nie mrugnęła okiem.

Wrócili do Sancton przed południem pod postrzępionym niebem. Hilda już kiedyś ściągała wodze, zauważyła spojrzenia, jakimi wymieniali się służący. Mogła kazać swoim gesithom zamalować tarcze, ale to by nic nie dało. Przecież opowiadaliby o tej wyprawie. „Los tako się dzieje, jako i musi”.

Zdjęła juki i rzuciła je Morudowi.

— Powiedz Gwladus, żeby przyniosła jedzenie do mojej komnaty.

Szepty wybiegły ze stajni przed nią, rozprzestrzeniając się po vill jak pożar paproci: dzierzba...

Wkroczyła do halli. W wejściu niskie poranne słońce padło na rzeźbionego dzika na jej kciuku i rozpaliło jej karneole. Gesithowie przerwali gry i wpatrywali się w ciszy w ogromny cień z kijem, lśniący na krawędziach jak upiór. Jednym z gesithów był Oswine, który grał w kości z Lintlafem. Nie było jednak króla, księży, Ciana. Czyżby znowu wyjechał? Hilda wyszła bez słowa.

Znalazła Edwina i Coelfritha przy bramie we wschodnim żywopłocie, gdzie służba gromadziła gałęzie wiązów. Od czasu, kiedy była dzieckiem, widziała tylko wealh odkładających wiązowe drewno. Wewnętrzna warstwa kory dodana do zup i potrawek z pokrzywy zagęszczała je na tyle, żeby przez jakiś czas utrzymać człowieka przy życiu.

Z jednej strony stało sześciu gesithów z bronią i w zbrojach. Edwin nie dawał po sobie poznać, że wie o ich obecności, lecz oni zachowywali się czujnie, a tarcze mieli na

rękach, a nie na plecach. Kiedy skłonili głowy przed pierścieniem Hildy, nie spuścili wzroku, a dwaj z nich ostentacyjnie spoglądali poza nią, żeby sprawdzić, czy przyprowadziła swoje ogary — ich braci, którzy mieli tarcze z wymalowanym emblematem, lecz nie był to królewski dzik.

Zatrzymała się na tyle daleko od króla, że nie dosięgłaby go kijem, i skłoniła głowę.
— Wuju.

Czekał. Uklęła.

Skinął głową.

— Bratanico.

Coelfrith westchnął i się rozluźnił. Hilda czuła się rozdarta na dwoje; dzierzba myślała: Mogłabym go powalić, a jasnowidząca: Służę królowi. Oparła kij o zgięcie łokcia i opłótła pierścień palcami. Zawahała się.

Teraz król spojrział na nią z rozbawieniem: „Mówiłem, że zechcę go odzyskać”.

— Przywiozłaś mi coś wartościowego, bratanico?

Puściła pierścień i pokazała w górę.

— Słońce, wuju.

— Nie będziemy więc potrzebować tego?

Machnął ręką w stronę służących z naręczami wiązowych gałęzi.

— Eadbald nie chce handlować swoją kentyjską pszenicą?

— Oczywiście, że zechce. Ale po co wydawać pieniądze, skoro nie muszę tego robić?

Obróciła pierścień na kciuku.

— Będzie słonecznie. Mógłbyś posiać jęczmień.

— Po co ryzykować nasiona? — odezwał się Coelfrith. — Powinniśmy je zachować na przyszły rok.

— Nie patrz na mnie. To ona jest jasnowidzącą. Poza tym wciąż ma na palcu tego dzika. Nawet klęcząc, mówi w imieniu króla. Co więc powinien odpowiedzieć król, bratanico?

Hilda zrozumiała, dlaczego król nie znosi podejmować decyzji. Zawsze było ich zbyt wiele.

— I pszenica, i jęczmień pochodzą od Eadbalda? — zapytała Coelfritha.

Skinął głową.

— Statek przybił w Brough. Do Yorku zostaną przywiezione na barce.

A zatem nie jest to kwestia ryzyka głodu, lecz srebra.

— Siej — powiedziała.

— Ile?

— Wszystko. Ale siej dzisiaj. Natychmiast.

— To mi się podoba — stwierdził Edwin. — Zuchwały wybór.

Wyciągnął rękę po pierścień, a Coelfrith odwrócił się, żeby odejść.

— Zaczekaj — powiedziała Hilda. — Coelfrith, twój brat stracił oko. Ale jest silny. Dobrze walczył.

— Oko. Cóż, ma jeszcze jedno — powiedział po chwili Coelfrith, bo takiej odpowiedzi spodziewano się po gesithu. Tylko oko, tylko ucho, tylko palec. Bogowie dali

nam ich więcej niż jeden. Będzie, co ma być.

Skinął głową Hildzie, królowi i poszedł do vill.

Edwin odwrócił dłoń wnętrzem do dołu i z wysuniętym palcem wskazującym.

— Pierścień.

Hilda zdjęła go z kciuka i wsunęła na królewski palec.

Edwin zacisnął i rozluźnił dłoń, poruszył ramionami.

— A więc zlikwidowałaś ich. Mocny przekaz jak na kilku bandytów.

— Pochodzili z Craven.

Zalśniły mu oczy.

— Jesteś pewna?

— Powinieneś zapytać Oswine'a.

— Ach, więc go widziałaś. Wstańże wreszcie. Doskonale, zapytamy Oswine'a. Ale nie denerwuj go. Pamiętaj, że to nasz szanowany gość.

Przekazał jej swoje zadanie gładko, jakby używał gęsiego tłuszczu. Powinna zapamiętać tę sztuczkę. Chciała się przeciągnąć, ale, stojąc tak blisko króla, wołała nie wydawać się za wysoka albo za silna.

— A nasz inny szanowany gość?

— Jeśli, jak obiecałaś, pogoda wytrzyma, to twój Krzykliwy Płaszcz wróci z Rhegedu w towarzystwie Uinniau, zanim opadną pierwsze liście.

Breguswitha opuściła za sobą drzwi chaty tkackiej i przyjrzała się Hildzie. Na widok jej pustego kciuka skinęła głową.

— Został ci po nim ślad.

Hilda spojrzała na pasek bladej skóry i pogładziła ją.

Breguswitha ujęła podbródek córki i obracała jej twarz w różne strony.

— Ciało niemal się spaliło, a z serca zniknął człowiek. Została z ciebie tylko wyrd i oddech ælfa. Spędzaj mniej czasu na wietrze.

— Gdzie jest... Gdzie są wszyscy?

— Begu służy królowej. Wkrótce do niej dołączę. Wrona zapewne wraca żwawo ze swojego kamiennego kościoła w Yorku. Widziałaś króla? Wyganiał ludzi albo bił ich do krwi w stopy. Martwi się o żywność.

— Już nie.

Breguswitha skinęła głową.

— A zatem przywiozłaś mu dobre wieści. Chce słuchać tylko takich. Wypędził scopa, powiedział, że jeśli będzie musiał wysłuchać jeszcze jednej opowieści o szczęściu i wyrd, to poderżnie mu gardło, a z jego ścięgien zrobi cięciwy.

Scop jej nie obchodził.

— Gdzie jest...

— Twoja przyboczna zapewne unieszczęśliwia służbę. Strach czyni ją bezwzględna.

Strach. Co Gwladus wie o strachu?

Hilda siedziała na kocu. Był nowy i utkany w szeroką zielono-niebieską jodełkę. Wstała, zrobiła kilka kroków. Rozpięła pasek, zsunęła z niego seax i sakiewkę. Położyła je na półce przy łóżku. Usiadła. Była głodna.

Chciała przekręcić pierścień, którego już nie miała na kciuku. Przekręciła paciorki: Penda, Cadwallon, Eanfrith, Oswald, Oswiu. I ten złoty, najjaśniejszy. „Chrystus, najważniejszy ze wszystkich”. Cokolwiek to znaczy.

Rozpięła bransoletkę, zwinęła ją w dłoni, zważyła. Jak bardzo szalona jest teraz mała Rhianmellda? Co myśli o niej Cian? Co pomyśli o dzierzbie?

Wrócił z tym śladem po ugryzieniu na szczęcie. Wie, jak to jest.

Położyła paciorki obok seaksa.

Błękit i zieleń...

Poczuła miękki wstrząs uderzenia kija w szyję, wrzask Timsa, kiedy Coelwyn piłował włócznią w górę i w dół. Uświadomiła sobie, że ma wyszczerzone zęby. Wyrzuciła to wspomnienie z myśli. Była głodna, spragniona. Bardziej niż głodna. Miała brudne ubranie. Zdjęła je i rzuciła przy drzwiach. Usiadła.

Dlaczego Gwladus nie przychodzi?

Była zmęczona czekaniem. Wciąż czeka. Jest dzierzbą. Nie musi czekać; może brać.

Drzwi szczęknęły i otworzyły się, ukazując Gwladus z tacą. Rozpuszczone włosy miała świeżo wyczesane i pachniała kwiatami. Proponowała samą siebie — wszystko, co miała.

Żadna z nich nic nie powiedziała.

Gwladus postawiła tacę na stole; zagrzechotał dzbanek. Hilda nie poruszyła się. Gwladus, bardzo blada, odetchnęła, weszła na łóżko, położyła się na kocu i rozsypała swoje jasne włosy na poduszce. Kiedy Hilda nadal nic nie mówiła i nie ruszała się, Gwladus wzięła jej dłoń i położyła ją sobie na brzuchu.

Cienka lniana suknia. Nic pod spodem. Hilda nie zabierała ręki, czując przez cienką tkaninę ciepło i drżenie. Jak Tims. Mogłaby ją rozerwać jedną ręką, wydrzeć Gwladus serce.

„Kto mnie powstrzyma, kto na całym świecie?”

Cierpiała. Była taka samotna. Chciała poczuć reakcję Gwladus, chciała, żeby pod nią wleciała, silna i gwałtowna. Jej. Mogła ją wziąć, mogła zaczerpnąć od niej przyjemność. Tym razem Gwladus nie próbowałaby jej powstrzymać. Udawałaby, że krzyczy z pożądania. Musiałaby to robić. Jest niewolnicą. Nie ma dokąd pójść, nie ma się do kogo zwrócić. Hilda już raz ją zostawiła. Gwladus musi ją zadowalać, bo inaczej zostanie odrzucona, oddana gesithom pokroju Lintlafa.

„Kto mnie powstrzyma?”

Powiodła ręką po brzuchu Gwladus, dotknęła jej nagiego ramienia, zsunęła suknię, objęła dłonią pierś — tak bladą przy jej smagłej dłoni, tak pulchną, tak miękką. Jak by to było położyć się nago obok Gwladus, poczuć, jak drży z pożądania, a nie strachu? Czy to ważne, że udawałaby? Hilda przelknęła ślinę. Uklękła, powiodła dłońmi po bladych żebrach, podskakując palcami na każdym z nich, dotarła do talii, ud, skraj sukni. Uniosła suknię, pociągnęła ją obiema rękami do góry, zdjęła. Zostawiła ją na poduszce, na rozłożonych włosach. Żyłka na szyi Gwladus pulsowała i trzepotała jak uwięziony ptak. Jej.

Gwladus zamknęła oczy.

Hilda okraczyła nagie złoto i kość słoniową, wdychała zapach kwiatnych włosów, swój własny ostry kobiecy zapach. Wzięła suknię z poduszki, zgmiotła ją: taka delikatna, taka miękka, zupełnie niepodobna do niezdarnego wyrobu gospodyni ze wsi.

„Kto na całym świecie?”

Na półce lśniły jej paciorki.

„A zatem mówię ci szczerze, że musisz się nauczyć powstrzymywać samą siebie”.

Cisnęła suknię na podłogę. Gwladus się wzdrygnęła. Hilda zeszła z niej; była spięta i miała zaciśnięte pięści.

— Spójrz na mnie!

Gwladus otworzyła oczy.

— Jesteś moja. Postarzejesz się jako moja domowniczka, umrzesz w ciepłe i najedzona. Jesteś moją przyboczną. Od czasu do czasu będę wymagać pewnych usług. Ale nigdy... Nigdy.

Cisza.

— Rozumiesz?

Gwladus skinęła głową.

Hilda zeszła z łóżka, podniosła suknię z podłogi.

— No to zjem trochę sera. A ty możesz... Możesz przeczesać mi włosy. A potem ubierzesz mnie w najłżejszą suknię. Słońce szybko nie zniknie.

Wraz ze słońcem pojawił się upał. Niebo zmieniło się w emaliowaną misę z brązu, w którą biło słońce, aż świat nabrzmiał i zaczął rozbrzmiewać dźwiękiem. Ziemia parowała. Ludzie oblewali się potem. Jęczmień rósł szybko, zielony jak trawa, zieleńszy od oczu króla.

Król wznosił w halli toast na cześć Hildy i rzucił jej pusty puchar w darze. Wrona wyglądał, jakby wolał rzucić sztyletem. Jego księża czynili znak krzyża, jeśli cień Hildy choćby dotknął ich cienia. Słyszeli pieśni jej gesithów: władczyni wyrd, uzdrowicielka, dzierzba. Wszyscy obserwowali, co robi i na co patrzy — więc przestała widzieć mocne podbródki mężczyzn i miękką skórę kobiet, nie zauważała otaczających ją zewsząd błyszczących oczu, czystych rąk i krągłości. Przez jakiś czas będzie musiała zadowolić się Gwladus.

Pilnowała, by krzyż wisiał na jej sukni, nie chodziła niecierpliwym krokiem, nie mówiła rozkazującym tonem i starała się zrozumieć Oswine'a.

Czas spędzał z Lintlafem. Nie zbliżała się do nich. Mogłaby się pobić z Lintlafem. Chciała tego dzierzba; leżała między nimi Gwladus. I Hilda mogłaby wygrać. Lecz on najadłby się wstydu, zostałby zniszczony jako główny gesith, a jej wuj nie znosił, gdy ktoś niszczy jego narzędzia. Poza tym mogłaby przegrać. Lintlaf mógłby ją zabić. Wtedy jej gesithowie spróbowali zabić jego. Bez względu na to, kto by wygrał, byłyby ofiary śmiertelne. Przysięgła, że będzie dla swoich ludzi symbolem i znakiem, że będzie oświetlać im drogę, a nie ją zaciemniać. Musiała też myśleć o zbliżającym się rozwiązaniu królowej.

Posłała po Moruda — który wyczuł, że tutaj jest Hildą, jego panią z doliny, bratanicą króla, a nie tą straszną dzierzbą — i poleciła mu zbliżyć się do przybocznego Oswine'a, żeby dowiedzieć się, co Oswine i jego ojciec wiedzą o bandytach.

— O niczym nie mają pojęcia — rzekł Morud dwa dni później. — I on, i jego ojciec. Jeśli któryś z nich coś wie, to zjem ten koc.

— Czy on myśli, że Osric planuje pewnego dnia odzyskać Deirę?

— Myśli? — Morud zmrużył oczy, co zwykle robił, kiedy usiłował się nie śmiać. — On chce, jęczy i martwi się, ale nie myśli.

— Czym się martwi?

Morud wzruszył ramionami.

— Że tak naprawdę nikt go nie lubi. Że ma na sobie niewłaściwą broszę albo źle zawiązuje kurtę. Kiedy stanie po raz pierwszy w ścianie tarcz, da się zabić albo, co gorsza, zrobi z siebie pośmiewisko.

Wraz z upałami pojawiły się komary i pchły. Krowy ryczały żałośnie i machały ogonami, ludzie na polach klęli i oganiali się rękami, służba budziła się ze spuchniętymi twarzami, a kucharka przysięgała, że zabije każdego, kto jeszcze raz zostawi otwarte drzwi i wpuści muchy, i nie obchodzi jej, że w kuchni jest bardziej gorąco niż w piekle.

Begu martwiła się o królową.

— Już dawno powinna urodzić. Przynajmniej nie martwi się cały czas o plony i znaki. Niszczy sobie kolana; tak dużej kobiecie nie służy długie klęczenie. Wróciłaś w dobrym momencie. — Gwladus nalała jej piwa. — A ja muszę powiedzieć, że ostatnio polepszyła się obsługa. Jak udaje ci się w tym upale podawać takie chłodne piwo, Gwladus?

— Dzięki mocy jej języka — odezwał się z kąta Morud, a potem zaczerwienił się jak poziomka. — Dzięki słowom, pani. Ona zastrasza ludzi. Mówi, że to dla pani Hildy. Dla jasnowidzącej króla. Jak myślisz, skąd w tym roku bierze się dla ciebie chleb? Ze słowa i wyrd pani, z jej dobrej woli, więc jeśli w piwnicy jest miejsce na jedną tylko beczułkę piwa, to jest to beczułka pani Hildy.

— Co jest z nim nie tak? — zapytała Begu Hildę. — I co jest nie tak z tobą? To przez ten upał?

Hilda dostrzegła w jej oku znaczący błysk.

Gwladus cofnęła się do zasłony, uniosła ją i skinęła głową na Moruda.

Kiedy wyszli, Begu się przeciągnęła.

— Cieszę się, że sytuacja wróciła do normy. Zjedz trochę posiomek. Nadal jesteś za chuda.

Hilda posłuchała.

— Gwladus mówi, że mamy nowego służącego.

Begu nawet się nie zarumieniła.

— Ma na imię Swidhelm. Swid. Tak naprawdę to stajenny. Ma dobrą rękę do źrebiąt. Jest silny.

— Jesienią wróci Cian z Uinniau.

Begu uśmiechnęła się i zjadła poziomkę.

— Jeśli to będzie syn, będziemy potrzebować scopa, żeby wychwalał go pieśniami i zapewnił mu dobrą wyrd. — Przez jedną straszliwą chwilę Hilda myślała, że Begu jest w ciąży. — Twoja matka mówi, że go znajdzie, ale myślę, że już to zrobiła. Myślę, że znalazła go następnego dnia po tym, jak król wygnał poprzedniego, tego, który opowiadał

tę świetną historię o Geatach i smoku. Nigdy nie wiadomo, kiedy urodzi się dziecko. Nawet to królewskiego rodu. Zwłaszcza to królewskiego rodu. Trzeba być gotowym w każdej chwili. Myślę, że królowa już niedługo urodzi tego swojego syna. To będzie Yffing...

Begu całkowicie wierzyła w moc Hildy; skoro Hilda powiedziała, że to będzie syn, to tak się stanie. Kiedy Begu mówiła, Hilda nie martwiła się, że mogła się pomylić.

— ...Wrona poleje mu głowę święconą wodą, będzie palić kadzidło i śpiewać hymny, ale Yffing potrzebuje pieśni o ojcu i ojcu jego ojca i dalej wstecz, żeby wszyscy, nie tylko Chrystus na swojej chmurze, poznali, kim jest ten mały ætheling.

„Chrystus na swojej chmurze”... Przebiegła jej przez głowę myśl, lecz zniknęła tak szybko, że Hilda nie zdążyła jej pochwycić. Begu dalej trajkotała. Gdyby używała broni tak, jak używała słów, nikt nie dotrzymałby jej pola; nie było wiadomo, skąd padnie następny cios.

Lecz w kwestiach narodzin Hilda ufała Begu tak całkowicie, jak jej gemæcce ufała jej przepowiedniom, więc kiedy późnym wieczorem królowa zaczęła rodzić, Hilda była gotowa na wezwanie króla.

Król chodził tam i z powrotem po halli audiencyjnej, która przylegała do halli biesiadnej. Pod jej południową ścianą stał jeden służący.

— Powiedz mi jeszcze raz, jak to będzie.

Ten pojedynek już się zaczął. Nie było odwrotu.

— Królowa urodzi syna. Dużego i zdrowego. Yffinga o silnej ręce i twardym umyśle jego rodu.

— I?

— Jesień nadejdzie późno. Jęczmień zostanie bezpiecznie zebrany. Zimą będziemy mieli chleb jęczmienny.

— A ludzie z północy?

— Ludzie z północy ulegną Anglom.

— Nie mówisz kiedy. — Król podrapał się po śladzie od ukąszenia na grzbiecie lewej dłoni, przyjrzał się mu i potarł dłoń o udo. — I nie mówisz, którym Anglom.

Hilda żałowała, że nie trzaska ogień ani nawet nie brzęczy mucha, że nie ma czegoś, co wypełniłoby ciszę, co sprawiłoby, że przestanie nasłuchiwać krzyku Etelburgi.

— A co mówi biskup Paulin?

Edwin zacisnął dłonie w pięści.

— Nie widzi dalej niż ten biały szal, którego spodziewa się od biskupa Rzymu wraz z każdym statkiem. — Znowu zaczął chodzić tam i z powrotem. — Pieprzyć ludzi z północy. Pieprzyć Pendę, chromolicć Sasów Zachodnich i sikać na Cadwallona.

Pewnego dnia ktoś to zrobi.

Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Drap, drap, drap.

— Twoja matka mówi mi, że masz siostrzenicę.

— Æthelwyna...

Stukanie do drzwi. Król otworzył je szarpnięciem, zanim zdołał do nich dotrzeć służący. Wilnoða. Smuga krwi na rękawie. Król nie mógł oderwać od niej wzroku. Wilnoða się ukloniła.

— Mam dobrą wiadomość, królu, masz syna.

Edwin się napuszył. Hilda odetchnęła, ale cicho.

— Królowa czuje się dobrze. Twój syn czuje się dobrze. Jest ciężki. Duży i silny.

Edwin klepnął Hildę w ramię.

— Dostaniesz tyle srebra, ile waży! I prezent dla siostrzenicy. — Korytarz za Wilnołą wypełnił się księżmi: Paulin i jego dwaj pomocnicy. — Mam syna — rzekł Edwin. — Nazywa się Wuscfreea!

Wuscfreea, ojciec Yffiego. Imię oznaczające roszczenia i pierwszeństwo.

Kiedy po śniadaniu Breguswitha przyprowadziła do królewskiej halli audiencyjnej scopa Luftmaera, Hilda od razu wszystko zrozumiała. Był wysoki, młody, czysty i miał szerokie usta. Na ramieniu już nosił bransoletę, którą Hilda ostatnio widziała w skrzyni matki. Jego dłonie spoczywające na futerale liry miały długie palce, a ramiona były proporcjonalne.

Król kazał Coelfrithowi i Szczepanowi wrócić z rachunkami później, zawołał o piwo i nakazał scopowi odśpiewać pieśń pochwalną, którą przygotował na ucztę.

Luftmaer wprawnym ruchem wyjął lirę z futerału, nastroił ją — chociaż Hilda pomyślała, że zrobił to bardziej z nawyku niż z potrzeby — i zaczął śpiewać. Co drugi wers jego brązowe jak torf oczy napełniały się łzami, lecz żadna z nich nie skapywała. Głębokim głosem naciągał i wypuszczał zwrotki w idealnym porządku. Gesithowie siedzący pod ścianą halli zaczęli wybijać dłońmi rytm. Takie pieśni lubili: krew i złoto, wieczna młodość, plastry miodu, ciepłe schronienie, płomień ogniska, dom i chwała, opowieść wspaniała, a wszystko zwieńczone rytmicznym wyliczeniem przodków.

— Wuscfreea, syn Edwina, króla Anglów, syna Ælli, syna Yffiego, syna Wuscfrei, syna Wilgisla, syna Westerfalki, syna Sæfugla, syna Sæbalda, syna Segegeata, syna Swebdæga, syna Sigegara, syna Wædæga, syna Wodena, boga bogów.

— Króla Anglów, boga bogów! — ryknął Edwin. — Jeszcze raz!

Luftmaer powtórzył listę; oczy mu zwilgotniały, palce dobierały nuty, głos naciągał i wypuszczał dokładnie tak jak poprzednio.

— Wuscfreea... króla Anglów... boga bogów! — śpiewali gesithowie.

— Za Wuscfreeę! — zawołał król i uniósł puchar. — Za mojego syna!

Wszyscy wypili, a potem gesithowie zaczęli się przechwalać, jak to będą służyć młodemu æthelingowi lepiej od innych, jakie rany zniosą, jakimi walkami będą się cieszyć i ile zdobędą złota.

Gesithowie poszli śpiewać na dwór, Breguswitha wyprowadziła scopa, Hilda na wpół drzemała w słońcu przy drzwiach, a Edwin słuchał rozliczeń Coelfritha. Wraz z nadejściem lepszej pogody ożywił się handel. Od Eadbalda przybyły dwa dodatkowe ładunki pszenicy...

Hildę bolała głowa: przyczyniło się do tego częściowo powietrze, które mimo czystego nieba gęstniało i nabrzmięwało, a częściowo zbyt wiele piwa wypitego rano. Dobrze było się nie martwić. Zaswędziała ją szyja. Podrapała się. Ugryzienie komara. Zadała sobie pytanie, czy w Rhegedzie są komary. Nie pamiętała, żeby dokuczały jej podczas pobytu na północ od wału, ale wtedy nie było tak gorąco. Którędy Cian przywiezie Uinniau? Pojedzie drogą wzdłuż wału i dalej traktem Dere do Yorku czy

pożegluje na południe wzdłuż zachodniego wybrzeża, a potem pojedzie na wschód i dalej na południe przez Craven? Ale wtedy musiałby przejechać przez Przełęcz.

Bandyci nabici na tyczki to teraz już tylko leżące na ziemi i objedzone do czysta kości. Odrzuciła tę myśl. Tutaj nie jest dzierzba. Tutaj jest dobrze ubraną jasnowidzącą z krzyżem na piersi. Schludną i czystą. Schludną i uważną. Schludną i niespokojną.

Król też był niespokojny; wiercił się na tronie i stukał pierścieniem w pozłacaną poręcz. Hilda pamiętała jego ciężar.

Obracała swoje paciorki. Bransoletka ciasno oplatała jej twarde mięśnie i grube kości. Mięśnie, kości, skóra ocierająca się o skórę... Tę myśl też odrzuciła i zastąpiła ją wspomnieniem dnia, kiedy otrzymała paciorki od szalonej małej Rhianmelldty. Wtedy mogła owinać nimi nadgarstek cztery razy. Teraz tylko trzy. Wszystko się zmienia.

„Chrystus, najważniejszy ze wszystkich”... I znowu ulotna myśl zniknęła, zalana słowami innych, zanim zdołała ją pochwycić. Tym razem Coelfrith mówił, że do budowy kościoła, który wznosił się już wyżej, niż sięgają ramiona męża, przyszło dwóch nowych kamieniarzy. A dziesięciny z Craven są za małe. Hilda chciała zaproponować królowi, żeby odwiedził Osrica w Craven z gesithami i zażądał dziesięciny w formie gościny. Może ona też powinna pojechać. Ze znakiem króla.

Dzierzba. Czy to jest jej wyrd?

Nie chciała o tym myśleć tego dnia. Zamknęła oczy. Jak wygląda Æthelwyna? Jest podobna do Hereswithy czy do Etelryka? Begu mówiła, że czasami dzieci są podobne nie do rodziców, tylko do innych krewnych. Może mała Æthelwyna będzie podobna do Hildy. Ale nawet jeśli zobaczy swoją siostrzenicę, to skąd będzie wiedzieć, czy jako mała dziewczynka była do niej podobna? Może kiedy wróci Cian, mogliby odwiedzić Angłów Wschodnich i wtedy mogłaby się sama przekonać. Żeby wrócił, zanim jesienne sztormy uczynią żeglugę wzdłuż wschodniego wybrzeża zbyt ryzykowną.

Mogłaby też pojechać jej matka — skoro Wuscfrea już się urodził, wytwarzanie tkanin można by zostawić królowej. Co prawda Hildzie nie bardzo podobał się pomysł wspólnej podróży statkiem z tym scopem. No i może Cian nie chciałby być tak blisko niej i Gwl...

Mówił Wrona. Hilda otworzyła oczy.

Paulin stał ze Szczepanem przed królem.

— Ætheling Wuscfrea ma zostać ochrzczony pod koniec tygodnia. A mimo to ojciec Szczepan mówi mi, że pieśń pochwalna na jego cześć głosi, iż pochodzi on od Wodena. To jest bluźnierstwo.

Edwin potarł sobie kark.

— Woden jest moim przodkiem.

— To fałszywy bóg. Nie wolno ci wymieniać jego imienia.

Edwin obdarzył Paulina długim spojrzeniem.

— Nie wolno mi?

Hilda bardzo chciałaby zobaczyć, jak Wrona otrzymuje chłostę przywiązany do drzewa, ale przypomniawszy sobie słowa Edwina: „Ten człowiek i jego bóg są dla mnie użyteczni”. Paulin stanowił część planu mającego zapewnić bezpieczeństwo królestwu oraz Yffingom. Mającego zapewnić bezpieczeństwo jej. Do czasu, aż wyraźniej zobaczy

swoją wyrd.

Sprawdziła swój krzyż i wstała.

— Królu?

Edwin skinął głową. Podeszła bliżej.

— Biskupie. My, chrześcijanie, mówimy, że jest tylko jeden bóg, Chrystus.

Paulin spojrział na nią wzdłuż swojego długiego nosa, chociaż żeby to zrobić, musiał odchylić głowę do tyłu. Widziała, jak ocenia to stwierdzenie, szukając pułapki. Nie mógł się jednak z nim nie zgodzić.

— Nie ma Boga oprócz Boga, a Chrystus jest jego Synem.

— Jak zatem Woden może być bogiem, fałszywym czy nie? Woden to człowiek. Wielki, potężny człowiek, przodek zwierzchniego króla, ale człowiek. Nie będzie bluźnierstwem nazwanie go szacownym przodkiem Wuscfrei. To był król królów jego czasów. Człowiek, jakim pewnego dnia może zostanie nasz mały ætheling.

— Ha! — rzekł Edwin i uderzył obiema dłońmi o poręcz tronu. — Woden, król królów! Więcej nie chcę o tym słyszeć.

Jęczmień zrobił się ciężki i złocisty. Wuscfrea czuł się świetnie. Wkrótce miał wrócić Cian z Uinniau.

Hilda leżała na plecach na miękkiej trawie z rękami pod głową. Była sama na wrzosowisku. Dała jasno do zrozumienia swoim ogarom, że lubi wyprawiać się sama. Widzieli, jak zabija. Wiedzieli, że jest stworzeniem nie z tego świata, więc kiedy udawała się do innych światów i łączyła się z bogami, chroniła ją jej wyrd i kij.

Obserwowała niebo, uśmiechając się do siebie, słysząc tylko wiatr, który cesał wrzosa, i nie widząc nic prócz nieskończonego nieba — ani ptaka, ani pszczoły, ani chmury. Pomiedzy nią i świat za jej plecami wśliznął się pusty błękit, naparł, oderwał ją od ziemi i uniósł, a ona zaczęła spadać w górę i w górę do bezdennej studni...

Róg błękitu przeciął orzeł i znowu pojawiły się góra i dół; Hilda wróciła do swojego ciała, poczuła mięśnie i skórę.

Trawa pod jej plecami wydawała się inna, jakby Hildy nie było długi czas. Przeciągnęła się i roześmiała. To będzie dobra historia: porwały ją gnomy i ukryły w fałdzie świata, podczas gdy reszta zmieniała się w proch. Opowie to Cianowi.

Wstała i otrzepała suknię. Orzeł zaczął się wznosić. Krążył coraz wyżej w słupie powietrza, błyskając w słońcu złocistymi szponami. Co on musi widzieć...

Szła, lecz jej umysł krążył wraz z orłem, wznosząc się nad całą wyspą. Na północny wschód nad wysokie wrzosowisko do Onneny nad Zatoką Wici, gdzie Mulstan gromadził dziesięcinę dla Edwina, a na urwisku rozpadał się zrujnowany kościółek. Skręcił nad lesistymi wzgórzami na północ do wału, gdzie Bryneichowie wciąż mówili o jej przepowiedni wiecznej przyjaźni. Potem dalej na północ do Yeavingingu oraz tego dziwnego podestu i totemu, na którym teraz był wyrzeźbiony krzyż. Następnie zatoczył półkole na zachód nad Rheged, gdzie na szali jego przyszłości balansowała szalona mała Rhianmellda. Dalej nad rozkołysanymi wodami Kanału Północnego rozdzielającego dwa kraje Dál Riatan. Z powrotem nad stały łąd z wyspą Manau pod czubkiem lewego skrzydła, nad północne góry Gwyneddu i nad Deganwy, fort nad rzeką prowadzącą do morza, gdzie Cadwallon dzierżył nici osnowy handlu przez Morze Irlandzkie oraz sieć

księży z wygolonymi czołami. Potem na południowy wschód nad dolinami i lasami Mercji Pendency; nieochrzczonego Pendency, który ścigał nieochrzczonych Sasów Zachodnich na południowy zachód do Dyfneintu w sobie tylko znanym celu. Znowu skręcił, wznosząc się ku wschodowi, zostawiając pod prawym skrzydłem Kent i zwierzchniego biskupa papieża. Leciał nad mokradłami, gdzie Hereswitha karmiła swoje niemowlę i słuchała rad Furseya. Znowu na północ, nad Lindsey, gdzie Coelgar nadzorował bogate, żyzne, od niedawna chrześcijańskie ziemie uprawne...

Pierwszą osobą, jaką ujrzała po powrocie do vill, był Swid, stajenny, który oprowadzał po dziedzińcu dwa konie. Cian i Uinniau, pomyślała. Lecz konie nie wyglądały na wierzchowce księcia Rhegedu.

— Miały ciężką drogę z południa — rzekł Swid. — Cały dzień pod siodłem.

Sierść na kłębach koni zlepiła pot, lecz przy wędzidłach nie było widać krwi. Sprawa ważna, lecz nie pilna. Będzie miała czas się przebrać, zanim zostanie wezwana przez króla.

Kiedy się ubierała, Gwladus przekazała jej wiadomość: Penda dogonił Sasów Zachodnich pod Cirencaester i sprzął ich na kwaśne jabłko, rozbił armię Cynegilsa i Cwichelma w pył. Cwichelm uciekł — jedni mówili, że śmiertelnie ranny, inni, że zginął po drodze — a Penda ukoronował Cynegilsa na króla i ożenił ze swoją siostrą.

Penda rządził teraz Mercjanami i Sasami Zachodnimi, całym środkiem wyspy i jej południowo-zachodnim krańcem.

Środek wyspy: czciciele Wodena otoczeni ze wszystkich stron przez ochrzczonych królów. Gwynedd, Kent, Rheged, Dyfneint, Dál Riata, Kraina Piktów, Nortumbria, nawet Idingowie. „Chrystus, najważniejszy ze wszystkich”. To miał na myśli Fursey. Chrystus jest wszędzie, jego księża są wszędzie, doradzają wszystkim królom, wszystko spisują. Penda został otoczony.

Musi wybrać sojusznika. Cadwallona na zachodzie i jego wygolone czoła. Albo Edwina na wschodzie i jego wygolone ciemiona. Wealh albo Rzym. Cokolwiek wybierze, zmieni bieg wielkiej fali.

Penda był sprytny. Wybierze Cadwallona, bo Cadwallon jest sprytny, łatwiej go wchłonąć i pokonać. Lecz w końcu nie będzie to miało znaczenia. Nawet jeśli Penda opowie się po stronie Edwina, pewnego dnia staną do walki. Penda potrzebuje Chrystusa. Edwin potrzebuje Chrystusa. Lecz tylko jeden z nich może mieć głównego księdza Chrystusa i sprzymierzoną z Rzymem sieć handlową.

Rozdział 21



Cian wrócił z Rhegedu z Uinniau, ale Hilda rzadko się z nimi widywała. Ciągłe dokądś wyjeżdżali z Oswinem — do Zatoki Wici, odwiedzić Bryneichów — na polecenie Edwina, a przynajmniej tak to sobie tłumaczyła. Miała nadzieję, że nie chodziło o to, że Cian nie może znieść kontaktów z dzierzbą.

Dwór przeniósł się do Yorku. Cian, Uinniau i Oswine najdłużej przebywali z nim podczas Godów; siadywali wtedy z gesithami niebędącymi ogarami Hildy.

Tego roku wiosna przyszła do Yeavingu późno. Dwór gościł tam już od dwóch tygodni, a szczyt Ad Gefrin wciąż bielił się od śniegu i sarny jeszcze się nie okoczyły. W vill śnieg zniknął, ale nieustannie wiał zimny, wilgotny wiatr. Paleniska w królewskiej halli dymiły. W halli królowej Eanflæda kaszlała, aż robiła się od tego czerwona i zaczynała się dusić, a malutki Wuscfreea robił się od kaszlu blady i milkł. Wszystkie dzieci — wealh i angielskie, przyjezdne i miejscowe — chorowały. W halli kobiet było pełno matek, które przynosiły ciężko oddychające dzieci z zaropiałymi oczami, żeby odetchnęły czystszy powietrzem wysokiego pomieszczenia i żeby zajęła się nimi Breguswitha. Pomagały jej Begu i Gwladus; Hilda swojej pomocy nie zaoferowała. Kobiety nazywały ją hægtes. Dziwadłem. Dzierzbą.

Nie zważając na złą pogodę, Hilda poszła szukać gwiazdnicy. Było jeszcze za wcześnie, by roślina osiągnęła pełną siłę działania, ale zebrała trochę ziela i dała Gwladus, żeby wrzuciła je do wrzątku.

Uinniau, który przykucnął pod zboczem wzgórza, żeby umyć zakrwawione ręce, znieruchomiał z dłońmi ociekającymi wodą.

— Co to było?

Cian podniósł wzrok znad oprawianej sarny, a Oswine upuścił gałązkę, którą dokładał do pełgającego ognia.

— Ognisko! — zawołał Lintlaf, bo podmuch wiatru niemal je zagasił.

— Ćśśś. — Uinniau usiłował coś usłyszeć mimo szmeru wody. — Coś tam jest.

Otulił się szczelniej płaszczem i wpatrzył w szarpany wiatrem mrok. Czterej gesithowie króla nie musieli obawiać się ciemności, lecz wiatr się wzmagił, wył i jęczał wśród głązów jak sieroty Arawna wylewające się z pustych wzgórz, a wszyscy słyszeli, jak miauczy Cat Sith.

Gdzieś w górze strumyka do wody wpadł kamyk.

Uinniau dobył noża. Lintlaf podniósł z ziemi swoją włócznie.

Spojrzał na Krzykliwy Płaszcz; wszyscy na niego spojrzeli. Lecz Krzykliwy Płaszcz patrzył na sarnę, jakby to była najbardziej interesująca rzecz na świecie.

— To pewnie tylko zagubiona koza — stwierdził Oswine, lecz Uinniau miał inne zdanie.

Pociągnął nosem. Coś...

Ciemność zagęściła się, ścięła i postąpiła do przodu. Była wysoka. U rąk miała długie, zwisająca palce, palce upiora...

— Spójrzcie na jego dłonie — powiedział Oswine. — Spójrzcie na jego dłonie!

— Ani kroku dalej — rozkazał Uinniau. — Pokaż ręce.

— To gwiazdnica, Uinniau — rzekła wysoka postać.

— To ten dziwoląg — stwierdził Lintlaf i opuścił włócznię.

Uinniau postąpił do przodu.

— Pani?

— Tak — odparła Hilda. — Wasze ognisko zaraz zgaśnie.

Oswine dołożył do niego gałązkę. Lintlaf prychnął. Uinniau znowu zerknął na Krzykliwy Płaszcz, ale sarna sprawiała wrażenie jeszcze bardziej interesującej.

Uinniau schował nóż.

— Przyłączysz się do nas, pani?

Ciemność poruszyła się i zamigotała.

— Jestem potrzebna w halli. Przy dzieciach.

— Nie czują się lepiej?

— Nie. Jeśli chcecie pomóc, możecie przestać oprawiać tę sarnę i poszukać gwiazdnicy i trędownika.

Ogień się rozpalił i w jego świetle ukazały się smętne kępki ziela w podrapanych, brudnych dłoniach. Uinniau cofnął się. Robota kobiet.

Chyba odczytała jego myśli. Jej śmiech zabrzmiał głucho.

— No tak. To prawda, że błoto i pokrzywy mogą nocą przerażać. Cieszcie się chwałą polowania, panowie.

Rozpłynęła się w mroku.

Uinniau spojrzął na Ciana.

— Wiedziałeś, że to ona.

Krzykliwy Płaszcz wytarł nóż o trawę.

— Kozy nie pachną jaśminem.

Odrzucił wnętrze i zaklął, bo część z nich wylądowała na jego bucie.

Uinniau popatrzył w mrok i przeżegnał się. Słyszał pieśni. Wszyscy je słyszeli. Spodziewał się, że Krzykliwy Płaszcz stanie w jej obronie, lecz on milczał. Uinniau teraz zrozumiał. Była inna. Zimna, twarda, niesamowita. Słuchała ich w ciemności, zanim rozmyślnie kopnęła ten kamyk. Zadrżał. Teraz rozumiał, dlaczego jej ogary mówią o niej, że nie jest człowiekiem, że bardziej przypomina mur, falę, księżyc. Jest jak siła przyrody. Nieprzejednana, nietykalna.

Hilda odrzuciła płaszcz do tyłu, odsłaniając ramiona i z twarzą czerwoną od wiatru obserwowała, jak matka studzi napar z gwiazdnicy, przelewając go z jednej miski do drugiej.

— Wyglądasz, jakbyś połknęła oset — rzekła Breguswitha.

Hilda nie odpowiedziała. Rzadko teraz się odzywała. Kto chciał słuchać hægtes, władczyni wyrd, dzierzby? Nikt. Nikt też nie chciał jej opieki. Kobieta, lecz taka, która zabijała.

Odwróciła się i skinęła głową Begu, żeby zaczęła wpuszczać dzieci. Breguswitha czekała z gotowym naparem. Hilda się cofnęła.

Pierwsza była trzyletnia Eanflæda. Smak gwiazdnicy skwitowała wrzaskiem; miała mocne płuca. Gwiazdnica przynajmniej pomagała jej na gardło. Begu zaprowadziła ją z powrotem do innych dzieci. Eanflæda wciąż krzyczała i uderzyła jedno z dzieci weal, które natychmiast się rozplakało. Begu pogłaskała różowe, spotniałe czoło Eanflædy i mruknęła coś, czego Hilda nie dosłyszała.

Królowa wniosła Wuscfręę. Breguswitha wlała łyżką ciepły płyn do jego maleńkich ust. Nie przełknął, tylko ciężko oddychał; kleisty napar pociekł mu po brodzie.

Breguswitha wytarła mu buzię i skinęła głową Etelburdze, która na powrót otuliła go miękkim brązowym kocem.

— Wycieraj mu oczy.

Obie patrzyły, jak królowa siada obok Wilnođy przy południowym palenisku i przyjmuje taką samą pozę jak inne kobiety w halli: dzieci spoczywające na lewej ręce i na kolanach, głowy pochylone, płaszcze chroniące je jak namioty.

Na wschodnim końcu halli starsze dzieci bawiły się szmacianą piłką i wycierały nosy w koszule.

— Czy Wuscfrea dobrze się czuje? — zapytała Hilda.

Breguswitha zawahała się, ale skinęła głową.

— Płuca się oczyszczą, ale martwię się o jego oczy. Znalazłaś więcej trędownika?

Hilda pokazała na palenisko, gdzie Gwladus mieszkała w mosiężnym garnku.

— Sok z łodyg podgrzewany z miodem. Nie jest tego dużo. — Lepsze są kwiaty, ale na nie jest jeszcze za wcześnie. — Myślę, że najbardziej potrzebuje go mały Bassus.

Breguswitha skinęła głową, lecz Hilda wiedziała, co myśli jej matka: mały Bassus nie jest dziedzicem.

— Znajdę jeszcze trochę.

Naciągnęła płaszcz na ramiona, sięgnęła do kaptura.

Wychodząc, zatrzymała się przy palenisku, żeby trochę się ogrzać.

W blasku ognia Gwladus wyglądała miękko, różowo.

— Nie przypał — powiedziała Hilda.

— Czy ja kiedykolwiek coś przypaliłam? A ty nie bądź za długo na dworze. Wiatr jest ostry jak nóż.

Małego Bassusa pochowały z rogową łyżeczką, którą gryzł, kiedy ząbkował, u stóp południowego zbocza Ad Gefrin.

— Żeby przynajmniej leżał twarzą do słońca — powiedziała Wilnođa. — Jeśli jeszcze w ogóle pojawi się słońce.

Pochowały siedmioro dzieci obok siebie dla towarzystwa. Hilda trzymała nad grobem koc, żeby osłonić ich twarze przed deszczem, kiedy modlił się nad nimi Szczepan. Potem pośpieszył do ważnych spraw rozgrywających się w męskiej halli. Dlaczego księżmi nie są kobiety?

Deszcz przybrał na sile. Na stercie ciemnej ziemi wiła się różowa dżdżownica. Hilda miała nadzieję, że nie zauważyła jej żadna z matek. Złożyła koc i skinęła głową służącym, którzy stali obok z drewnianymi łopatami.

Kiedy zasypywali grób, kobiety śpiewały kołysankę, którą deszcz i wiatr zmieniły w pieśń żalobną, monotonne zawodzenie opuszczonych matek z oczami oślepiionymi łzami.

Kiedy skończyły, służba delikatnie przyklepała ziemię łopatami. Wilnoða tak mocno ścisnęła rękę królowej, że czubki jej palców zrobiły się fioletowe. Hilda wiedziała, że później służący ubiją ziemię nogami, ale nie teraz, nie przy matkach.

Matka stała osobno jak totem, jakby nigdy w życiu niczego nie czuła. Hilda przypuszczała, że ona sama wygląda podobnie. Lecz na swój sposób walczyły o każde życie, walczyły o ciężko unoszące się chude piersi, o siniejące usta, a matki modliły się rozpaczliwie, gorączkowo, błagając Chrystusa i jego matkę, Marię, i wszystkich świętych o pomoc, tylko ten raz. Nigdy już nie zrobię tego czy tamtego, mówiły na głos, nie zważając, że wyjawiają swoje sekrety. Bóg wysłuchał pięciu z nich, ale Hilda nie wiedziała dlaczego; ich modlitwy brzmiały tak samo jak inne, podobnie jak ich wstydlive sekrety.

Walczyła i przegrała. A żadne z tajemnic, które usłyszała, nie były użyteczne.

W zagrodzie u stóp Ad Gefrin małe włochate bydło z dziesięciny zbiło się w ciasne stadko dla ochrony przed wiatrem. Hilda zauważyła, że krów jest mniej niż powinno być i że wszystkie mają złe usposobienie albo złe zdrowie. Ludzie co roku starali się płacić mniej niż powinni, ale teraz wyglądało to inaczej.

W pobliżu skupiła się też grupka miejscowych przywódców na niedużych koniach. Kilku jeźdźców miało płaszcze w stylu wealh, czyli w delikatną kratę w starych plemiennych kolorach, spięte starodawną broszą. Hildzie wydawało się nawet, że na szyi jednego starca błyszczą torkwes — gruba skręcona obręcz zwykle trzymana w skarbcach, a zakładana tylko do bitwy.

Czuła, że północ się zmienia. Słyszała to w nocy, kiedy ludzie przyjeżdżali spośród wzgórz z bydłem przeznaczonym na dziesięcinę — nie wszyscy cały czas mówili po angielsku. Śpiewali pieśni o dawnych bitwach, o Coelu Henie, tylko że nie były one powolne, smutne i pełne chwały, lecz twarde, mocne i groźne. Mieszkańcy północy wyczuli zmianę w powietrzu i przypominali sobie dawne zniewagi, narzekali na duże daniny i złe znaki.

Wiedzieli, że Oswald Iding bierze sobie za żonę kuzynkę Beliego z Alt Clut. Wiedzieli, że Eochaid Buide zmarł i że nastał po nim Connad Cerr mac Connell, ale że za Connadem czeka młody i silny Domnall Brecc, przyjaciel i zwolennik Idingów. Wiedzieli, że północ zaczyna się jednoczyć przeciwko Yffingom, a na południu i górzystym zachodzie Penda i Cadwallon wymieniają wiadomości, zajeżdżając konie na śmierć. Mówili, że Edwinowi nie sprzyja szczęście. Chrystus nie jest hojnym bogiem.

Hilda zastanawiała się, co jeszcze mówią zbici w ciasną grupkę jeźdźcy, ale nie próbowała się do nich zbliżyć i niepostrzeżenie ich podsłuchać. Była wyższa od każdego z nich, lepiej ubrana i miała na sobie więcej złota niż ætheling. Wiedzieli, kim jest. Była ælfem, dziwolągiem, hægtes. Aniołem, dziewczeczką, dzierzbą. Była bogata, subtelna, potrafiła złamać człowiekowi umysł i czytać mu w sercu. Słuchał jej król. Była posłanniczką bogów. Potrafiła zmienić pogodę albo wpłynąć na rozstrzygnięcie bitwy. Mówiła wszystkimi językami ludzi i wieloma językami zwierząt. Słuchała ludzi, karmiła

ich, a dary otrzymane z jej ręki rozmnażały się. Niektórzy mówili, że nocami chodzi niewidzialna jak Cait Sith. Umiała pokazać człowiekowi, gdzie ma siać i jak ma pomóc krowie urodzić cielę. Potrafiła tak ustawić krosno, że utkany na nim płaszcz przynosił tkaczowi sławę. Umierającego trzymała za rękę tak, jak mogłaby go trzymać siostra albo matka. Na pewno mogłaby też przelecieć jego siostrę, matkę albo brata — a może nawet i krowę. Potrafiła człowieka wyleczyć albo otruć, rzucić na niego urok, dzięki magii sprawić, że znikną jego brodawki, a ptaki odlecą z drzew. Potrafiła wzlecieć na drzewo.

Pogłoski były pomysłowe i wciąż się zmieniały.

— Mówcie mi o wszystkich — nakazała Morudowi, Gwladus, Oericowi. — Jeśli rozniesie się plotka, że zmieniłam się w żabę i jem muchy, chcę o tym wiedzieć.

Znosili jej pogłoski i plotki. Im więcej ich słyszała, tym gorsze miała sny.

Dwie noce po pogrzebie obudziła ją Begu.

— Już drugi raz mnie kopnęłaś. Dlaczego to sobie robisz?

— Ludzie się mnie boją.

— Oczywiście. Zabijasz ludzi. Ratujesz ich. A jeśli chodzi o to, ile mówisz, równie dobrze mogłabyś być rzeźbionym totemem.

Begu trąciła czołem ramię Hildy jak kot, który chce być pogłaskany.

— Powinnaś rozmawiać z ludźmi. Ze zwykłymi ludźmi o zwykłych sprawach. Tak jak kiedyś rozmawiałaś z Cianem.

Z Cianem, który nic nie mówił, kiedy inni nazywali ją dziwolągiem.

— ...cały czas na polowaniu od kiedy... No tak. Nie podoba mi się zachowanie Uinniau, kiedy jest z nimi. No więc ludzie. Musisz z nimi rozmawiać. I nie mam na myśli wolnych ludzi, którzy rozmawiają tylko z tymi, którzy nic nie znaczą. Mam na myśli ludzi takich jak Lintlaf.

— On nie jest zwyczajny. On jest dowódcą gesithów króla.

— Wiesz, co mam na myśli. Ludzie go słuchają.

— Nie chcę rozmawiać z Lintlafem.

Wolałaby go zabić.

— Powinnaś spróbować. — Odwróciła się i naciągnęła na siebie koce. — Idę spać.

— Ale o czym powinnam rozmawiać?

— O czymkolwiek! Po prostu otwórz usta i wypuść słowa. Ale nie teraz. Śpij.

Tak więc Hilda spędzała więcej czasu z ludźmi. Pomagała służącym w kuchni szukać młodych pędów na zupy i potrawy. Rozmawiała z poganiaczami bydła o stanie okolic, po których podróżowali, o zmianach pogody. Pozwoliła, by szlochająca Wilnoða ścisnęła ją za rękę, i dała Bassusowi Starszemu antałek białego miodu do wypicia z innymi ludźmi królowej; starczyło go na tyle, by Bassus upoił się, śpiewał przez łyż i przysiągł zemstę na ludziach z północy za sprowadzenie pecha na jego ród. Miód działał większe cuda niż wszystkie modlitwy. Miód był kluczem do braterstwa. Czasami był lepszym darem od złota. Menewood Hildy było dobrym miejscem dla pszczoł; musi pamiętać, by poprosić Rhina o więcej miodu, jeśli tylko uda mu się go zdobyć. Albo mogłaby porozmawiać z królem o większych dostawach od Franków. Ale wtedy to byłby dar króla, dowód przychylności króla, a nie jej.

Dwa razy w tygodniu brała udział w mszy, za każdym razem przyprowadzając

z sobą innych swoich gesithów; potem z nimi jadła, grała w kości albo mówiła, żeby znaleźli sobie jakąś kobietę do załatania kurt, zależnie od sytuacji. Słuchała z uśmiechem ich żartów i oceniała walki na miecze, co przyjmowali, jakby to były rady samego króla.

Rozmawiała z królową o haftowanej tkaninie dla Dagoberta, nowego króla Frankii, mającej przypomnieć mu o ich umowach handlowych. Naszkicowała wzór tkacki, który wymyśliła, obserwując trawę czesaną wiatrem na skraju jesionowego zagajnika: składały się na niego delikatne zmarszczki jak na polu dojrzałego zboża falującego na słońcu, jak na wodzie poruszonej przez rybę szukającą pokarmu, jak ruchy stada ptaków na niebie o świcie. Wzór ten miał sugerować żyzną ziemię i bogactwo. Na górze znalazłby się haft błękitną, złotą i srebrną nicią — oznaka bogactwa. Hilda wspomniała, że gdyby było możliwe, dobrze by było wyhaftować coś dla Etelryka, księcia angielskiego Ludu Północnego. Wraz z mieszkańcami Gyrwe Południowego i Północnego stanowił jedyną przeszkodę w zawarciu sojuszu Anglów Środkowych i Wschodnich skierowanego przeciwko ich północnym krewniakom.

Sojusze miały w sobie coś niejasnego, ale im bardziej Hilda się nad tym zastanawiała, tym mniej rozumiała, więc odłożyła tę sprawę na później.

Podeszła do Ciana tylko raz. Był wtedy z Lintlafem i Oswinem. Czyścili przy ogniu broń i rozmawiali o æthelingu Eadfrithu: młodzi panowie, bracia ze ściany z tarcz. Nie widzieli jej, ukrytej w cieniu.

— ...słyszałem, że rozmawiał z Anglami Wschodnimi i Kentyjczykami.

— Rozmawiał — powiedział Cian i ostrożnie zanurzył gałązkę w miseczkę z olejem. — W tym jest dobry.

Oswine klepnął swój miecz.

— Ja rozmawiam tym!

Lintlaf i Cian spojrzeli po sobie. Hildzie nie podobała się pełna rozbawienia pogarda, jaką darzyli zakładnika, który uważał się za gesitha.

Wycofała się.

Cian lepiej zachowywał się przy Uinniau, lecz ten spędzał jak najwięcej czasu z Begu. Hilda nie wiedziała, kto jest najnowszą partnerką Ciana w łóżku. Może odgrywając księcia przy dwóch gościach króla i objeżdżając kraj jako lśniący przykład przyjaźni wealh i Anglów nie miał okazji nikogo sobie znaleźć. Krzykliwy Płaszcz w roli księcia Hildzie nie bardzo się podobał. Tęskniła za swoim Cianem. Tęskniła za Cianem, któremu mogłaby opowiedzieć o złym osądzeniu bandytów i o tym, co widziały orły.

Nie mogła porozmawiać z Cianem, nie chciała rozmawiać z Lintlafem, a Uinniau był zajęty Begu. Kiedy więc młodzi panowie nie jeździli konno po okolicy, spacerowała z Oswinem i jego psami, wysłuchując wątpliwości Oswine'a, czy jest zakładnikiem czy gościem. Zapewniał ją, że jego ojciec jest lojalny wobec zwierzchniego króla. Hilda wspomniała o urokach Rhegedu. Zgodził się, że, owszem, to na pewno śliczny kraj i że słyszał, iż dobrze się tam poluje na jelenie — ale sprawiał wrażenie zdziwionego. Hilda zadała sobie pytanie, czy rzeczywiście można być aż tak tępym. Starła się nie czuć tej samej pogardy, jaką widziała u Lintlafa; pogarda dla innych zawsze wracała jak pies wypędzony z halli.

Po kilku dniach spędzonych przez Hildę na rozmowach z ludźmi Breguswitha

poprosiła ją na bok.

— Przestań. Ludzie się przez ciebie denerwują. Jediną osobą, której zdanie się liczy, jest król. Dawaj mu powody do zadowolenia, a będziesz bezpieczna.

Edwin nie był zadowolony.

— Wymyka mi się to jak białko między palcami! — krzyczał na Coelfritha, którego najnowsze podliczenia nie były pocieszające: bydła z północy było za mało, mniej ludzi przychodziło oddawać pokłon, a więcej ze skargami. Więcej panów opowiadało o rodzinach, które sprzedawały się swoim tanom za utrzymanie, ponieważ nie mogły się już wyżywić same. Panoszyli się rabusie i bandyci. Krążyły pogłoski o pomorze bydła w górach i febrze na nizinach. Ludzie szeptali o pechu.

— Jeśli tego lata będą dobre żniwa, wszystko potoczy się dobrze, panie — powiedział Paulin.

Edwin spojrzał na niego.

— A czy Chrystus da nam dobre żniwa, biskupie? Och, zapomniałem, on nie rozmawia z tobą o przepowiedniach.

Spojrzał na Hildę.

— Chorzy i głodni gospodarze nie zbierają tylu plonów, ile gospodarze zdrowi i czujący się bezpiecznie.

— Będą pracować dla Boga — rzekł Paulin. — Ja ich ochrzczę, a Chrystus oczyści ich serca.

Czasami mówił takim tonem, jakby wierzył we własne słowa.

— I wtedy z wdzięcznością zapłacą dalszą część dziesięciny — dorzucił Szczepan.

— Dzięki której upiększymy kościół i w ten sposób napełnimy ich dusze nabożnym podziwem — powiedział Paulin.

— Nabożny podziw nie odda im ziarna, którego żądacie jako dziesięciny — wtrąciła się Hilda. — Nabożny podziw nie wyleczy ich z febrzy.

Gesithowie obecni w halli pokiwali głowami; nie ma lekarstwa na febrę, która bierze się z zaczarowanego powietrza poruszanego skrzydłami komarów.

— Jeśli uwierzą, uleczy ich Chrystus.

Edwin machnął ręką: nie chodzi tu o ludzi chorych na febrę.

— Obiecałeś, że Chrystus przyniesie nam szczęście i pełne skrzynie. Na razie przyniósł nam tylko złą pogodę. Szczęście posłał do Idingów. Oni rosną w siłę na północy, a Penda na południu. Módl się z większym zapałem, biskupie.

— Chrystus przychyli ucha, jeżeli będzie się modliło więcej dusz.

— A zatem chrczj. A ty — tu Edwin zwrócił się do Lintlafa — ucisz szemranie.

Hilda wiedziała, jak Lintlaf się do tego zabierze. Bycie znakiem i totemem, światłem świata, oznaczało chronienie ludzi przed czymś więcej niż miecze i głód. Oznaczało chronienie ich przed strachem. Jeden naród żyjący w spokoju i zadowoleniu od jednego lśniącego morza do drugiego...

Wymknęła się z halli i znalazła Moruda.

— Zatrzymaj pana Lintlafa. Muszę porozmawiać z Krzykliwym Płaszczem.

Znalazła Ciana w towarzystwie Uinniau i Oswine'a. Cian zauważyłby, że Hilda chce z nim porozmawiać sam na sam, i w czarujący sposób odprawiłby przyjaciół.

Krzykliwy Płaszcz zauważył i się tym nie przejął. Spojrzał na Hildę obojętnie i nawet nie wstał.

Oparła swój kij przed sobą o ziemię. Już się nauczyła rozmawiać z innymi; mogła się nauczyć rozmawiać z tym obcym.

— Lintlaf ma być wysłany do uciszenia szemrania — powiedziała. — Na pewno pojedziesz razem z nim.

— Znowu mnie dokądś wysyłasz?

Jego ton był równie obojętny jak mina.

Uinniau wstał.

— Chodź, Os.

— Ale...

— Chodźże.

Kiedy odeszli, powiedziała:

— Nie wysyłam cię. Wysyła cię król. Chciałabym ci jednak znaleźć ludzi, żeby pojechali pod twoimi rozkazami.

— Pod moimi rozkazami?

— Twoimi. Lintlaf... Wiesz, jaki jest Lintlaf.

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

— Im więcej pojedzie ludzi, tym szybciej skończy się szemranie. To uszczęśliwi króla. Jeżeli król będzie szczęśliwy, wszyscy będziemy bezpieczniejsi. — Cian, który pocierał sobie wargę, mógłby nigdy nie istnieć. — Powiedz coś.

Spojrzał na nią.

— Jesteś kobietą.

Serce jej zamarło.

— Mogłabyś poprosić o ludzi królową.

Zamruła. Królowa. Powinna była o tym pomyśleć. Obróciła kij w dłoniach.

— A więc poprowadzisz ich?

Po długiej chwili skinął głową.

Królowa zareagowała na jej prośbę uśmiechem.

— Oczywiście. Bassus ucieszy się, że będzie miał coś do roboty. Cieszę się, że przyszedł do mnie. Zaczynałam się zastanawiać, czy w jakiś sposób cię obraziłam. Brakowało nam ciebie.

Hilda chciała jej wierzyć, ale od czasu choroby Wuscfrei królowa zachowywała się inaczej. Nawet w najlepszym wypadku królowe ukrywają swoje prawdziwe uczucia; taki jest świat. A Begu mówiła, że Etelburga cały czas klęczy przed Chrystusem, przerażona znakami. Hilda zastanawiała się, jak to jest, kiedy ktoś, komu nie całkiem się ufa, wygłasza przepowiednie w najważniejszych sprawach na świecie.

Bracia Berhtowie ucieszyli się z wyprawy, podobnie jak Eadric i Grimhun. Oswine i Uinniau oczywiście wszędzie towarzyszyli Krzykliwemu Płaszcowi.

— Posłuchajcie — powiedziała Hilda do zebranych gesithów. Połowa z nich miała w oczach błysk, który pamiętała z pola pod Lindum i ogniska, przy którym malowali tarcze. Dla nich nie potrzebowała pierścieni. — Posłuchajcie mnie: miód, nie ocet. Tylko dobre słowa o hojności i sile naszego króla.

— Dla bandytów stał, nie słowa — rzekł Cian.

— Tak. Dla bandytów. Dla zwykłych ludzi żywność i uprzejmość. — Każdemu dała worek z chlebem i antałek miodu. — Dla ludzi, nie dla was.

— Chociaż będziemy musieli z nimi pić — powiedział Cian do swoich ludzi z uśmiechem, a Uinniau krzyknął radośnie.

Odjechali, wciąż pokrzykując. Konie lśniące od złota i klejnotów wysoko stawiały nogi.

Hilda i Begu machały, aż zniknęli im z oczu.

— Trzej księżęta — rzekła Begu. — Jak w pieśni o bohaterach.

To była prawda. Cian nosił się jak księżę, a księżę Uinniau go podziwiał, podobnie jak Oswine, który pewnego dnia — jeśli powiodą się plany Edwina — zostanie ealdormanem Rhegedu. Wszyscy znali opowieść o królu Ceredigu i chłopcu z drewnianym mieczem. Cian Krzykliwy Płaszcz w niczym nie przypominał chłopca, który niemal rozplakał się na myśl, że znajdzie się w tej samej halli co syn syna syna Oweina o lśniącym mieczu i złotych ostrogach.

Paulin wyjechał z jeszcze większą pompą; towarzyszył mu Szczepan i nowy ksiądz, Hrothmar, dziwnie blady mężczyzna o oczach koloru wody i siwych włosach. Wkrótce do Hildy zaczęły docierać wieści o gorączkowych masowych chrztach nad rzeką Glen, o mężczyznach i kobietach wyciąganych z domów i siłą zanurzanych w bystro płynącej, zimnej wodzie. Dla ocalenia ich dusz. Dla ocalenia Angłów.

Podzieliła się tymi wiadomościami z królową, kiedy pewnego popołudnia porównywały błękit ostatnio ufarbowanej partii wełny z ich wzorcami — luźnym motkiem i próbką spłsnionego materiału, dla ochrony przed światłem trzymanymi w torbie z gęsto utkanej tkaniny.

— Zwróci przeciwko nam całą północ — rzekła Etelburga. — Jak możemy go powstrzymać?

Hilda przewinęła nowy motek. Nigdy nie mogła mieć pewności co do uczuć królowej, lecz może w tej sprawie myślały tak samo.

— Mógłby pomóc diakon Jakub.

Jakub przyjechał z Yorku w rozbryzgach błota. Morud zaprowadził go do komnat królowej, gdzie czekała Hilda.

— Twój biskup oszalał — powiedziała cicho po łacinie. Przy drzwiach stała Gwladus, ale nie było sensu ryzykować. — Chrzci po dobroci albo po niewoli wszystko, co ma dwie nogi. Szemrze cała północ. Musimy go powstrzymać.

Jakub stał bez ruchu i w końcu zapytał:

— To nie królowa posłała po mnie, prawda?

Hilda naląła wino. Reńskie, jego ulubione.

— Spożywa posiłek z królem. Wie, że tu jestem.

— Mówisz w jej imieniu?

— Martwimy się tym samym. — Podała mu puchar. Jakub wziął go dopiero po chwili. Usiedli. — Północ balansuje na ostrzu miecza. Twój biskup mógłby ją pchnąć w złym kierunku.

— Czego ode mnie chcesz?

— Po pierwsze, powiedz mi dokładnie, powiedz mi wyraźnie, dlaczego chrzci na siłę.

— Bonifacy da mu paliusz, uczyni go biskupem północy dopiero wtedy, kiedy cała zostanie nawrócona.

— A skąd Bonifacy będzie to wiedział? Czy Bóg liczy i zrzuca z nieba karbownice biskupowi Rzymu na głowę?

— Liczy Szczepan. Wszystko przesyła mnie. Ja piszę sprawozdanie, które potem wysyłam w imieniu biskupa.

— Gdybyś napisał, że wszyscy zostaliśmy ochrzczeni, to czy Paulin otrzymałby ten swój biały szal z wełny i zostawił nas w spokoju?

— Nie mogę okłamać papieża!

— Dlaczego?

— Bo nie. — Hilda wbiła w niego nieruchomy wzrok. Jakub westchnął. — Papież jest przedstawicielem Boga na ziemi. Okłamywanie Jego Świątobliwości byłoby jak okłamywanie samego Boga. Poszedłbym do Gehenny. — Do gorącego piekła, gdzie przez wieczność płonie się jak świnia na rożnie. — To byłby grzech.

Grzech: złamanie przysięgi, zejście ze ścieżki. Upiła wina.

— Wrona musi przestać chrzcić. Jeśli tego nie zrobi, północ się zbuntuje. Mógłby go powstrzymać król, ale król słyszy tylko to, co chce słyszeć. Ktoś musi go przekonać, że Wrona się myli.

— Dziecko...

— Chcesz, żeby kościół w Yorku piał się w górę, a wraz z nim głos twojego chóru? To król musi zostać na tronie i zapewnić dziesięcinę dla kościoła. Nie zostanie na tronie, jeśli północ się zbuntuje. Północ się zbuntuje, jeśli twojemu biskupowi nie nałoży się kagańca.

— Jakim sposobem król zechce to usłyszeć?

— Usłyszysz, jeśli będzie więcej niż jeden głos. Przemówię ja. Przemówi królowa.

— Królowa? — Zapatrzył się przed siebie, obliczając korzyści. Po dłuższej chwili powiedział: — Biskup nie może się o tym dowiedzieć.

Skinęła głową.

— Dziękuję.

— Podziękuj, napełniając mój puchar. Pod nieobecność króla w Yorku bardzo skąpią wina.

Zadała sobie pytanie, dlaczego Jakub nie poprosił swojego Chrystusa o zrobienie wina z wody, ale na to też zapewne miałby odpowiedź. Nalała wina, a potem na chwilę wyszła, żeby zapytać Gwladus o rozwój sytuacji. Dowiedziała się, że w halli król wezwał scopa. Nie ma pośpiechu.

Wróciła do Jakuba. Pili wino. Jakub opowiedział jej o kościele w Yorku: frankijscy kamieniarze denerwowali się każdym znakiem, zrzędzili na pogodę, wybrzydali na jedzenie. Z drugiej strony chór był piękny, po prostu cudowny, jak anieli niebiescy.

Oczy mu lśniły, unosił dumnie głowę. Pogładził swój rzeźbiony puchar. Wino sprawiało, że czuł się szczęśliwy. Kiedy się rozumiało, co daje ludziom szczęście, rozumiało się ludzi.

— Czy kiedykolwiek widziałeś, że Paulin jest szczęśliwy, diakonie? — zapytała Hilda.

Powiódł palcem po krawędzi pucharu.

— Widziałem, że służba Bogu podnosi go na duchu.

— Szczególnie, kiedy służy to jemu?

Odchylił się do tyłu z rękoma splecionymi za głową.

— To niezupełnie tak. Chodzi raczej o to, że jest człowiekiem, chociaż lubi udawać, że jest inaczej.

Czekała, ale Jakub nie zamierzał mówić dalej.

— Nie uważa się za człowieka?

— Nie, to nie tak. Po prostu uważa, że jako człowiek potrafi przekonać się do absurdalnych spraw po to, by przekonywać innych.

— Nie rozumiem.

— Przez większość czasu on jest przekonany, że naprawdę zbawia te wszystkie setki na wpół utopionych ochrzczonych ludzi. — Przez chwilę się zastanawiał. — A kiedy ma wątpliwości, powiedziałbym, że przegania je, odmawiając sobie spełnienia potrzeb cielesnych, zaprzeczając swojemu człowieczeństwu.

Wspomniawszy o potrzebach cielesnych, Jakub spojrział na dzbanek z winem. Hilda skinęła głową i pokazała ręką, żeby sobie nalał.

— Ach, to prawdziwie doskonałe wino. Lecz kiedy przychodzi do uciech cielesnych, jestem słaby. Niewątpliwie dlatego, że jestem zaledwie diakonem. Biskup Paulin jest z twardszej materii.

— Zauważyłam, że jedzenie i wino jest mu obojętne.

— Uważa uciechy cielesne, umiłowanie wina, ładnej figury, dziczyzny z czarnymi jagodami za słabość, za grzech.

— Ale ty nie.

— Bóg stworzył nasze ciała. I Bóg jest miłością. Miłość nigdy nie jest zła. A zatem sądzę, że Chrystus zgodziłby się ze mną, że nigdy nie jest zła miłość uciech cielesnych.

— Wziął do ręki puchar. — Chyba że staje się łakomstwem. Co prowadzi do obżarstwa, które zdecydowanie jest grzechem.

— Jak je rozróżniasz?

— To, drogie dziecko, stanowi tajemnicę. Na dzisiaj powiedzmy, że pięć pucharów wina to miłość, a sześć to obżarstwo.

— A zatem możesz wypić jeszcze jeden.

Rozpromienił się.

— W rzeczy samej.

— Mam jeszcze jedno pytanie.

Machnął wielkodusznie ręką.

— Dlaczego Bóg mówi do jednych ludzi, a do innych nie?

Hilda udawała, że sączy wino, a Jakub ostrożnie przesiewał myśli. Pomyślała, że następnym razem zaproponuje, żeby granicę między miłością i obżarstwem przesunąć do ośmiu pucharów.

— Wedle mojego doświadczenia Bóg przemawia tylko do tych księży, którzy

uważają, że powinni być zwierzchnimi biskupami.

Uniósł brwi. Czy dziewczyna zrozumiała?

Skinęła głową. Wszyscy księża kłamią. Nie kłamią tylko papieżowi.

— Ale Bóg niektórych ludzi wysłuchuje. Wysłuchał niektórych matek, kiedy umierały ich dzieci.

— Słuchanie to nie to samo co przemawianie.

— Przemówi do mnie. Powiedz mi jak.

— Och, moja droga. Żałuję, że nie siedzimy w rzymskim słońcu.

Zmarszczyła brwi.

— Czy słońce sprawia różnicę?

— Nie, nie. Różnicę sprawia Rzym. Są greckie teksty... O tych sprawach rozmyślali Grecy. Spodobałyby ci się. — Pokręcił głową. — Ale tutaj nie mam żadnych z nich. Biskup nie widzi w nich wartości. Prawdę mówiąc, on chyba nie potrafi dobrze czytać greki.

— Naucz mnie, jak z nim rozmawiać. Chcę o coś poprosić.

— Cóż, biskup chyba by się ze mną zgodził, gdybym powiedział, że Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają.

Zastanowiła się nad tym.

— Więc mogę o coś poprosić, jeśli coś zrobię?

Dać prezent, uzyskać audiencję. To miało sens. Już zawiązała sojusz między diakonem, królową i jasnowidzącą. Poprosi o znak.

Bóg przysłał znak o świcie, zaplątany w sieć ptasznika.

Hilda stanęła w królewskiej halli w słupie światła i wyciągnęła przed siebie sójkę, trzymając ją za jej nienaturalne białe nogi. Potrząsnęła nią lekko. Król, królowa, nawet Jakub cofnęli się.

— Przyjrzyj się dokładnie, królu.

Lecz Edwin nie chciał się zbliżyć.

— Białe nogi, biały dziób, białe oczy. Biała jak duch. Lecz złapana w sieć, zabita przez myśliwych, którzy już mieli pełne worki.

Pokazała ręką na dwóch mężczyzn stojących przy drzwiach; za szerokie skórzane pasy mieli zatknięte sieci i proce, a u ich bioder wisiały zakrwawione worki z ptakami. Wyglądali, jakby chcieli uciec, ale uniemożliwiali im to Gwrast z jednej strony, a Oeric z drugiej.

Edwin nie zwrócił na nich uwagi.

— Powiedz mi, co to znaczy.

— To ostrzeżenie przed chciwością. Podobno o Chrystusie często się mówi jako o białym ptaku. — Spojrzała na Jakuba, który skinął głową. Przecież gołębnice są białe. — Ludzie pytają: Dlaczego mam zostać ochrzczony, skoro moja wyrd to uduszenie w sieci? Inni mówią: Białego ptaka zabiła chciwość, chciwość myśliwych. Czasami wystarczą ptaki, które są już w worku. Chciwość i pośpiech, królu Edwinie.

— Aha. Mówisz o Wronie. Chcesz, żebym go powstrzymał. — Spojrzał na Etelburę, która skinęła głową, i na Jakuba, który skłonił się na znak zgody. A potem spojrział na Hildę. — Będę musiał dać mu jakieś zajęcie.

— Jest Craven. Mamy tam pojechać latem. Biskup mógłby pojechać przed nami. Zastanowił się nad tym.

— Dlaczego nie? Niech będzie problemem kuzyna Osrice. Ale niezbyt wielkim. Nie możemy pozwolić, żeby ludzie bardziej szemrali. Pojedzie z nim diakon, żeby mieć go na oku.

Rozdział 22



Na początku lata Edwin i jego doradcy dołączyli do Paulina i Jakuba w Craven. W domostwie Osrica zastali nieporządek. Osric rozebrał stary fort królów Craven i zbudował sobie wspaniałą nową hallę, ale, według Gwladus i Moruda, którzy już wyciągnęli to od podkuchennych i chłopców stajennych, nowy ealdorman wydawał sprzeczne rozkazy i służba nigdy nie wiedziała, czy następnego dnia powinna tkać gobelin, obsiewać pole czy zarzynać owce. Dach nie przeciekał, na stole stało jedzenie, a materace były wypchane końskim włosiem, lecz w halli panowała nieprzyjemna i nerwowa atmosfera.

Edwin nie czuł potrzeby imponowania Osricowi. Pozwolił królowej — oraz jej paniom łącznie z Begu i Breguswithą — pojechać do Derventio. Osric nie miał żony, a jego córka odwiedzała kuzynów w Arbei. W vill przebywały tylko nieliczne Angielki i halla bardziej przypominała obóz niż hallę wysoko urodzonego pana: za dużo w niej było picia, jawnego kopulowania i oddawania moczu po kątach z jednoczesnym spluwaniem i oglądaniem się przez ramię. Hilda poleciła Morudowi i Oericowi przekazać miejscowym mężczyznom, że ktokolwiek tknie Gwladus, złoży swoją wyrd w rękach jasnowidzącej. Powiedziała Gwladus, żeby upięła warkocze ciasno na głowie i nosiła grubą starą suknię.

— Mówię poważnie. Żadnego popisywania się.

Lecz Gwladus była Gwladus i chociaż upięła włosy, nosiła starą suknię i patrzyła w podłogę, kiedy myślała, że Hilda ją widzi, to spojrzenia, jakie rzucała ludziom Osrica, przepelniała świadomość jej mocy.

Kiedy trzeciego dnia Jakub zaprosił Hildę na spacer, dziewczyna z przyjemnością wyszła z halli.

Rzeka z hukiem przelewała się przez progi, tworząc wodospady i plosa, w których roiło się od łososi, płoci i kleni. Jej wysokie zielone brzegi znaczyły zjeżdżalnie wydr, a z każdej brzozy i olchy obserwowały wodę zimorodki o twardych dziobach.

Jakub sprawiał wrażenie innego człowieka. Miał dłuższy krok i szczuplejszą twarz. Szli jakiś czas, aż doszli do kępy pełnych wdzięku białych brzóz rosnących na wysokim brzegu. Trawa pod gładkim głazem była tu połamana i przygnieciona. Hilda się nie dziwiła, kiedy usiedli.

Powietrze pachniało świeżo rozwiniętymi liśćmi. Już samo oddychanie poprawiło jej samopoczucie: żadnej woni odchodów, zwęglonego drewna czy gnijącej strzechy, tylko skaczące ryby i szum wody.

— Pięknie tu, prawda? — odezwał się Jakub. — Jak pierwszego dnia stworzenia. Ale jest tu niebezpiecznie. Kiedy pada wśród wzgórz, woda szybko się podnosi.

Hilda milczała i czekała.

— On znowu to robi. Chrzcici. Nie zważając na nic. Błagałem go, żeby wziął pod uwagę wolę ludzi. Żeby wziął pod uwagę burzliwą rzekę. Kiedy skończyliśmy ostatnim razem, sześćkroć po dwudziestu ludzi ochrzczonych naraz! i wyszliśmy na brzeg, przepłynęła obok nas martwa, odęta owca. Gdybyśmy zostali w wodzie, żeby zanurzyć w niej jeszcze jedną osobę, tylko jedną osobę, to by nas zmyło. Zniknęlibyśmy. Bylibyśmy martwi jak ta owca.

Poniżej coś płynęło pod prąd, ale Hilda nie widziała, co to takiego: błysk, plusk i nic więcej.

— Oprócz chrzczenia ściągają ludzi z pól i pastwisk, żeby pomagali mu budować nowy kamienny kościół w starym rzymskim forcie.

— Osric ma kamieniarzy?

— Dunod miał jednego. Jest już stary, ale zna się na rzymskich kamieniach. Więc nowy kościół rośnie, a biskup chce go w swoim zapale wypełnić świeżymi duszami. Nowy Rzym, powiada. Rzym w Craven! Oszalał.

Może ambicja wszystkich w końcu przyprawia o szaleństwo. Jak sama wiedziała, władza i ambicja to dwa ostrza tego samego miecza. Chciała mieć władzę, żeby móc chronić swoich ludzi; miała ludzi, ponieważ miała władzę. A są różne rodzaje władzy: nieruchoma, uwięziona władza jasnowidzącej, swobodna, wściekła władza dzierzby. Ale czy musi istnieć tylko jedna droga?

Wydawało się, że Jakub kroczy nową drogą.

— Gdybyś mógł wybrać, zostałbyś tutaj czy wróciłbyś do Yorku? — zapytała Hilda.

— Tęsknię za moim chórem, ale tutaj bardzo mi się podoba. Jest taka dzika, młoda i czysta.

Spokojna tęsknota w jego głosie przypomniała Hildzie Uinniau mówiącego o Begu; zrozumiała, że Jakub nie mówi o rzece.

Uśmiechnęła się.

— Może lepiej by było, gdyby biskup skupił się na swoim kościele w Yorku, a diakonowi zostawił nadzorowanie nowego kościoła w Catterick? — Jakub się wyprostował. — I może diakon mógłby znaleźć kogoś w okolicy, kto pomógłby werbować robotników za pomocą zapłaty i przekonywania, a nie siły.

— Znam kogoś takiego. To człowiek spokojny i silny, ktoś w rodzaju miejscowego przywódcy.

— Miło mi to słyszeć. Porozmawiam z królem.

Zimorodek rzucił się w dół, ale nie upolował ryby.

— A ty? — zapytał Jakub. — Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

— Chociaż Bóg niczego mi jeszcze nie powiedział. — Kopnęła głaz i zerknęła na Jakuba spod oka. — Diakonie... Jest... Jest powiedziane, że Bóg słucha tylko ludzi o czystym sercu.

— A zatem nie słucha nikogo. Wszyscy jesteśmy grzesznikami.

— Grzech. — Westchnęła. — Wciąż nie rozumiem grzechu.

— Nie musisz go rozumieć. Musisz się z niego wyświadczać, uzyskać

rozgrzeszenie i na nowo podejść do modlitwy.

Pamiętała długie, rozwlekłe rozważania Fursey'a na temat spowiedzi.

— Ale spowiedź to przyznanie się do winy. Król albo jasnowidząca... My nie możemy tak po prostu przyznać, że się myliliśmy. To nie... — Nie umiała powiedzieć, czym dokładnie jest spowiedź. — A jeśli nie uważamy, że to, co zrobiliśmy, jest złe?

Jakub patrzył na rzekę.

— Doradzam mojej trzódce, żeby w razie wątpliwości brać pod uwagę dziesięć przykazań.

— Czy Paulin też tak to widzi?

— Nie ma przykazań przeciwko miłości.

Przepowiedziała je sobie w myślach. Są — dla małżonków.

— Bóg jest miłością — rzekł Jakub. — Miłość nigdy nie jest zła.

Hilda myślała o innym przykazaniu.

— Ale czasami musimy zabijać ludzi.

— To trzeba się wyświadczyć i uzyskać rozgrzeszenie.

— A co dokładnie liczy się dla księdza albo jasnowidzącego jako pomoc samemu sobie, żeby mógł im pomóc Bóg, a co liczy się jako kłamstwo?

Jakub wybuchnął śmiechem. Hilda nie miała pojęcia, co go tak rozbawiło, ale na widok jego zwięzonych oczu, czerwieniejącej twarzy i podskakujących siwych kędziorów sama mimowolnie się uśmiechnęła.

Jakub wytarł oczy.

— „Co się liczy jako kłamstwo?” Jesteś tak samo szczwana jak biskup. Gdyby tylko kobiety mogły składać śluby!

— A co dokładnie liczy się jako kobieta? — zapytała uroczystym tonem Hilda i tym razem też się roześmiała.

Zostali w Craven cały miesiąc. Edwinowi najwyraźniej podobało się wyjadanie całej żywności jego nowego ealdormana.

Hilda codziennie spacerowała z Jakubem. Wypytywała wszystkich o bandytów, lecz nikt nic nie wiedział. Jakub przedstawił jej gospodarza i dorywczo pracującego podkuwacza imieniem Druyen, który rzeczywiście był wysoki, spokojny i silny. Hilda ćwiczyła modlenie się, chodząc, leżąc i klęcząc — to bolało i nie przynosiło lepszych efektów — a potem próbowała się wyświadczyć.

— To jest jak wyszukiwanie drogi po ciemku — powiedziała.

— Jesteś w tym bardzo dobra — rzekł Jakub.

W nocy ułożyła w głowie list do Fursey'a o miłości, zabijaniu i spowiedzi; w wyimaginowanej odpowiedzi kazał jej uważać na siebie, bardzo na siebie uważać i nie upaść.

Znowu bardzo urosła, lecz tym razem przybyło jej mięśni i krągłości. Gwladus kręciła głową i mówiła, że ma nadzieję, iż Hilda ma dużo odłożonego srebra, bo kiedy dotrą do Goodmanham, jej matka, która teraz myśli tylko o wełnie — oprócz swojego scopa — słono sobie policzy za odzianie takiej olbrzymki.

Cian też się zmienił. Jemu też przybyło mięśni, a kości jego twarzy zrobiły się twardsze i surowsze. Trochę podrośł, ale bardziej przybrał na wadze. Wydawało się, że

szyja nabrzmiała mu z dnia na dzień i że cały czas ma zaciśnięte szczęki, tyle było w nich siły. Zmieniło się też coś innego. Jego śmiech brzmiał ostrzej, podobnie jak słowa. Ludzie zaczęli szybciej mu ustępować, jeśli się z nimi nie zgadzał.

Miał nową kobietę, chociaż Hilda nie wiedziała, kto to jest. Znikał na noc i wracał rano z jej zapachem. Wciąż się uśmiechał — do innych, wciąż opowiadał różne historie — innym. Nie miał czasu, żeby z nią spacerować, jeździć konno czy ćwiczyć walkę. Nie miał nawet czasu na rozmowę. Kiedy nie był z gesithami, polował i pił z Uinniau i Oswinem.

I wtedy Fursey przysłał jej prawdziwy list. A przynajmniej jego część.

— Wygląda, jakby go zjadła i wysrała świnia — powiedział Morud, kiedy Gwladus wpuściła go do pokoju.

Rzeczywiście, złożony pergamin, który podał Hildzie, był brudny, wilgotny i brakowało mu oddartej połowy.

Owinęła się szatą, nie zwracając uwagi na spojrzenia, które Morud posyłał Gwladus. Niewolnica miała rozpuszczone włosy.

Przeczytała list szybko, a przynajmniej tak szybko, jak się dało — niektóre drobne litery były zamazane, jakby pergamin został wystawiony na deszcz albo wpadł do kałuży — a potem jeszcze raz, już wolniej. „S przysłał wiadomość mężowi twojej siostry, że kiedy tylko pogoda będzie sprzyjać wojnie, przybędzie z bronią i trzykroć po dwudziestu ludźmi”.

Będzie sprzyjać wojnie. Na południu pierwszy statek mógł przybyć z Frankii do Anglii Wschodniej przed miesiącem albo nawet wcześniej. Sigebert i jego trzykroć po dwudziestu ludzi już mogli dołączyć do zbrojnego oddziału Etelryka. Ilu ludzi mógł zebrać zabójca króla Ricberht?

Wyobraziła sobie cyniczny uśmiech matki: tylu, ile ich widzi korzyść dla siebie.

Dla ealdormanów i tanów korzyść była związana z tkaną przez pokolenia siecią handlu i zobowiązań: kto może dać więcej władzy, więcej złota, więcej ziemi, więcej wpływów? Sigebert i chrześcijańscy Frankowie czy zabójca króla Ricberht? Gospodarzom chodziło o żywność: szynki wiszące u powały, miód w glinianym garnku, zboże w workach. Jeśli przez następne dwa lata pogoda na południowym wschodzie będzie dobra, nie będą chcieli żadnych zmian; Ricberht pozostanie królem.

„Aha, twoja siostra znowu jest w ciąży, podobnie jak kobieta jej męża z południowego Gyrwe. H...”

Na tym list się kończył. Bez względu na to, ile razy go czytała, reszta wciąż pozostawała oddarta.

— Gdzie jest ksiądz, który go przywiózł? — zapytała Moruda Gwladus.

Już podpięła warkocze. Piękne włosy. Hilda uwielbiała ich jedwabisty dotyk na brzuchu...

Nie usłyszała odpowiedzi Moruda.

— Znajdź go — poleciła mu Gwladus. — Umieść go gdzieś na osobności i dopilnuj, by dostał coś do jedzenia. Na co czekasz? Idź.

Hilda żałowała, że Gwladus zrobiła porządek z włosami.

— Będiesz chciała po księdzu rozmawiać z królem?

Hilda skinęła głową.

— Przyniosę ci suknię.

Dla większości Angłów Wschodnich Chrystus był tylko pretekstem. Lecz w rzeczywistości chrzest stanowił prąd, który znosił wszystkie łodzie z kursu. „Chrzest jest jak miecz: człowiek, przez którego ręce przechodzi miecz albo dusza, dodaje im swego blasku”. Chrzest dodawał kolejny wzór do osnowy i wątku wierności i zobowiązania.

Zamordowany Eorpwald był chrześniakiem Edwina. Sigebert jako chrześcijanin miał inne pochodzenie. Spędził sporo czasu po drugiej stronie wąskiego morza na frankijskim dworze Clothara, a teraz Dagoberta. Jeśli Sigebert przywoził trzykroć po dwudziestu ludzi, to są to ludzie Dagoberta. Gdyby z ich pomocą zwyciężył, byłby zobowiązany sprzymierzyć się z Frankami. Co by to oznaczało dla Edwina? Gdzie znajduje się Dagobert w stosunku do powiększających się sojuszy środkowych ziem z zachodem — Penda i Cadwallon — oraz ludów północy: Idingów, Piktów, Szkotów z Dál Riata, Alt Clut i może Rhegedu?

Gwladus przypięła Hildzie rękawy i zaczęła ją czesać.

Kluczem był Cadwallon, nić łącząca Mercjan Pendy, Irlandczyków i ludzi północy. Skoro do wielkiej tkaniny dołączył Dagobert, trzeba było tę nić uciąć, wyciąć Cadwallona. Musieliby to zrobić teraz. Szybko, pewnie i ostro. Wojna.

Czy jest czas na wezwanie Osfritha z Tinamutha? Nie, powinien zostać w swoim gospodarstwie i pilnować ludzi północy. Można by jednak wezwać Eadfritha. Czas rozmów, a przynajmniej rozmów z Cadwallonem, już się skończył.

— Pani?

Oeric. Blady, ciemnooki, z drżącymi dłońmi.

— Wieści z Irlandii o bitwie pod Fid Eoin. Connad Cerr zginął, a wraz z nim Osric Iding Spalony. Królem Dál Riata jest teraz Domnall Brecc, a jego prawą ręką został Oswald Iding.

A więc to musi stać się teraz. Wojna. Prawdziwa wojna. Zginie jeden albo drugi król, a z nim wszyscy jego gesithowie. Cian...

Nad dziedzińcem unosił się ostry zapach, jaki wydają mężczyźni, kiedy chcą kopulować albo zabijać. Zapach wojny.

Znały go psy, które warczały od wczorajszego dnia, od przybycia posłańca z wiadomością o bitwie pod Fid Eoin. Znały go konie; te w stajni kopały, a na zewnątrz ogiery trzeba było umieścić na osobnym padoku.

Najlepiej znali go mężczyźni.

Hilda wróciła po gorzkiej rozmowie z królem i stała przy korycie. Postawiła przed sobą kij, złączyła na nim dłonie i patrzyła na Ciana.

Tam, gdzie między żebrami musnęła go tarcza Lintlafa, rozlewał się fioletowy siniec koloru krwawnicy rosnącej pod rozwalonym murem przy stajni Osrica. Lintlaf za to siedział na ziemi z zakrwawioną głową. Przykładał sobie do niej kurtę i się śmiał, wszyscy się śmiali. Wojna przyprawiała mężczyzn o szaleństwo.

— Bohaterowie! — zawołała Hilda.

Odwrócili się. Odśloniła dłoń, na której płonął krwistą czerwienią znak króla.

— W kuchni jest beczułka piwa i świeży chleb! — Ostatni świeży chleb przed wymarszem. Być może ostatni, jaki zjedzą niektórzy z nich. — Bierzcie, póki jest gorący! Miała na palcu pierścień. To nie była propozycja.

Złowiła spojrzenie Ciana: zaczekaj. Oparł miecz o koryto i kiedy gesithowie odchodzili, opłukał się wodą.

Żył na szyi pulsowała mu krwią. Drgał mięsień w łydce. Hilda wyobraziła sobie, jak mogłoby to być: mięsień drgający w jej własnej łydce, jej własna krew płynąca wartko jak w młynówce, mięśnie napierające na kości, żeby już zacząć, żeby zakończyć to czekanie, runąć na Cadwallona i zmiażdżyć mieszkańców Gwyneddu. Albo samemu zostać zmiażdżonym. Prawdziwa wojna.

Cian upuścił chochlę, podniósł swój nagi miecz i spojrzał wzdłuż klingi, szukając wyszczerbień.

Przeniósł wzrok na Hildę. Jego pierś unosiła się i opadała w rytmie oddechu dziewczyny, jego brwi wyginały się w taki sam łuk jak jej brwi, włosy przylegały mu do karku tak samo jak jej włosy i miały taki sam kolor. Byli tego samego wzrostu. Lecz jego oczy miały ostrzejszy odcień błękitu, a kości twarzy były grubsze. Stanowili dwa wielkie węgry odrzwi, potężne i dopasowane do siebie.

Hilda odwróciła się i zaczęła się oddalać od vill.

Cian ruszył za nią bez słowa. Dotarli do płaskiego trawiastego zakątka nad wartko płynącą rzeką. Powietrze wciąż pachniało tak, jakby to był pierwszy dzień świata.

Zapamiętaj ten zapach, powiedziała sobie Hilda i zdjęła suknię, nogawice, buty, wszystko oprócz pierścienia — mogła go zdjąć tylko po to, żeby go dać królowej. Stała tylko w koszuli, z kijem gotowym do walki. Tak jak zawsze.

Cian powiesił zakrwawioną kurtę na krzaku i zrzucił buty. Tak jak zawsze. Dobył miecza z posuwistym brzękiem i odrzucił pochwę na bok.

Hilda zobaczyła, że jego też ogarnęło to samo wspomnienie: Derventio, jego pierwsza walka z gesithem króla. Wysunął lewą stopę do przodu, prawą stopę i rękę cofnął i czekał. Jakby to ćwiczili, Hilda przyjęła tamtą dawną postawę Berhtreda: prawa stopa i prawe ramię wysunięte do przodu, kij trzymany nisko.

Cian zamarkował szybkie dźgnięcie czubkiem miecza. Tak jak wtedy zrobił to Berhtred, Hilda uniosła kij poziomo w górę, lecz klinga Ciana już wróciła na swoje miejsce i kij Hildy napotkał tylko powietrze. Lecz ona poruszała się lżej od Berhtreda, znała ten taniec i się nie zachwiała.

Krażyli wokół siebie z błyszczącym wzrokiem i czerwonymi policzkami jak dzieci, którymi niegdyś byli. Kiedy Hildzie zaświeciły w oczy ukośne promienie porannego słońca, Cian zaatakował. Najpierw zamarkował uderzenie czubkiem miecza, na co dziewczyna zareagowała tylko częściowym uniesieniem kija, a potem cofnął się i zrobił pełen wykrok prawą stopą, wznosząc miecz nad kijem ze skrzętem nadgarstka w lewo, który miał podbić miecz Berhtreda w górę i wytrącić mu go z ręki.

Lecz Hilda nie była Berhtredem. Nie miała miecza. I kiedy jeden koniec kija zataczał w powietrzu łuk, po prostu pozwoliła, by drugi koniec zatoczył podobny łuk z lewej na prawo i mocno uderzył Ciana w siniec powstały po uderzeniu Lintlafa.

Siła ciosu zgasiła błysk w oku Ciana. Hilda wyobraziła sobie, że wyglądałby tak

samo, gdyby jakiś wojownik Cadwallona wbił mu miecz w brzuch, i nie mogła tego znieść, nie mogła znieść myśli, że ktoś mógłby mu zrobić to, co ona robiła wilczym głowom.

— Obudź się — powiedziała.

I uderzyła go raz jeszcze z prawej na lewo w drugi bok.

Odślonili zęby — te same mięśnie, te same ścięgna, te same zęby — w takim samym dzikim uśmiechu. Tak samo ukształtowane ramiona wymachiwały nad takimi samymi klatkami piersiowymi. Po trawie poruszały się takie same długie stopy. Śmiali się jak dzieci, lecz walczyli jak psy na arenie. Walczyli z losem.

Poruszali się z błyskawiczną szybkością i brutalną gwałtownością — królewski gesith i dzierzba. Koniec jej kija rozerwał mu skórę na ramieniu. Jego klinga rozcięła jej przedramię w ten sam sposób i w tym samym miejscu jak za pierwszym razem.

Dłonie Hildy czerwone od własnej krwi zaczęły się ślizgać na kiju.

Wciąż spychała go do tyłu. Cian stanął na oście i Hilda podcięła mu nogi. Uniosła kij.

Ścisnął jej nogi swoimi jak nożycami. Upadła. Rzucił się na nią.

Taki ciężar. I zmieszany z jego własnym dzikim zapachem zapach tamtej kobiety. Zmieniła chwyt.

— Wyczuwam na tobie jej zapach — powiedziała; przerzuciła go sobie przez głowę i usiadła na nim okrakiem. — Kto to jest?

— Nie niewolnica. Nie muszę być właścicielem swoich kobiet.

Uderzyła go. Królewski pierścień rozorał mu nos. Cian zrzucił ją z siebie. Upadła na twarz i pękła jej warga. Patrzyli na siebie, stojąc na czworakach, ociekając potem.

Hilda wytarła usta.

— Przynajmniej moja nie śmierdzi.

— Dla mnie śmierdzi.

Zamrugała; kiedy ją uderzył, nie zdążyła zareagować. Trafił ją między piersi pięścią, którą potrafił rozbić calową deskę. Jej serce straciło rytm, płuca przestały pracować, jakby ktoś napełnił je mlekiem. Nic nie widziała.

Cian znalazł się błyskawicznie za nią i chwycił ją od tyłu rękami jak pnie drzew. Skóra przy skórze, kość przy kości; jej koszula była w strzępach. Zgniecie ją, połamie żebra jak gałązki na podpałkę. Ale ją podtrzymywał.

— Powinnaś była się ruszyć. Powinnaś była się ruszyć.

Tyle rzeczy powinni byli zrobić. Ale teraz już nigdy ich nie zrobią. Obróciła się w jego ramionach, potknęli się i po chwili szamotaniny Hilda znowu znalazła się na nim, tylko że ona pochylała się w dół, a on dźwigał się w górę, napinając ścięgna szyi. Ich usta się zetknęły.

Pocałowała go, mocno, mieszając krew z krwią. Uniosła głowę i spojrzała na jego ciało. Przyłożyła usta do mięśnia biegnącego jak powróż, jak grzbiet łososa od ramienia do sutka. Chwyciła zębami mięsień i ścięgno, ale nie ugryzła. Przesunęła usta po powrozie do sutka, zostawiając smugę czerwieni. Taki drobiazg, jak czerwona porzeczką.

Podniósł na nią wzrok i powiedział:

— Pięść króla.

— Królewski gesith.

Przylgnęła do niego jak miód wylewający się z plastra, powolny, gęsty, złoty. Krocze na jego brzuchu, brzuch na jego piersi, pierś na jego twarzy. Zamknął oczy i wziął pierś do ust, jak królowa przyjmowała hostię podczas mszy.

„Nie możesz go mieć”.

Odotoczyła się na bok.

Zaskoczony, podkulił nogi, żeby się przysunąć.

— Nie — powiedziała chrapliwie.

Nie ruszył się z miejsca.

„Nie możesz go mieć. Kiedyś zrozumiesz”.

Wstała. Powiał wiaterek i wilgoć między jej nogami zrobiła się zimna. Spojrzała na klęczącego Ciana, na jego lśniące przyrodzenie sterczące z nogawic, na opaloną pierś, bardziej opalone ręce, białe golenie. Smugę na brzuchu, siniec na żebrach, ból malujący się w oczach.

— Nie — powtórzyła i teraz zimne i wilgotne zrobiły się jej policzki. Wytarła je grzbietem dłoni. Chciała dotknąć jego twarzy, chciała stanąć obok niego, ale nie mogła tego zrobić.

„Utrzymywanie go w niewiedzy zapewnia mu bezpieczeństwo”.

Podniosła swoje ubranie i kij.

— Cian. — Tęsknię za tobą. — Jesteśmy nami — powiedziała i odeszła.

Ubrała się, idąc. Bolała ją szyja.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła na dziedzińcu Osrica, była Gwladus.

— Jesteś! Król...

— Zamknij się. — Słowa ocierały się o siebie jak kamienie młyńskie. — Chodź za mną.

Szybkim krokiem wyszła z dziedzińca na ścieżkę prowadzącą na wzgórze, nie zatrzymując się, żeby się zastanowić albo sprawdzić, czy Gwladus za nią idzie. Weszły między wzgórze i szły dalej wzdłuż rzeki, a potem dróżką do szopy, gdzie Druyen wbijał ostatni hufnal w końskie kopyto oparte o jego skórzany fartuch. Postawił je z powrotem na trawie i wyprostował się.

— Pani?

Hilda pokazała ruchem głowy na Gwladus.

— Rozetnij jej obrozę.

Gwladus mimowolnie dotknęła obroży. Z zaskoczenia poczerniały jej oczy i pobladła twarz.

Druyen podszedł do niej i powoli, z rozmysłem uniósł swoją wielką dłoń, jak robił to przy koniach, żeby nikogo nie zaskoczyć. Gwladus opuściła ręce.

Druyen odwrócił się do Hildy.

— W kuźni jest stołek. Przynies go, pani, zanim ona upadnie.

Kiedy wróciła z trójnogim stołkiem, Druyen szperał w narzędziach ułożonych na desce leżącej na kozłach przy korycie. Wałach, którego podkuwał, pał się na rzadkiej trawie.

Druyen uniósł coś, co wyglądało jak dziwne nożyce: miało długie czarne żelazne

ramiona i małe lśniące ostrza.

— Wystarczy przeciąć boleć — powiedział po brytyjsku do Gwladus, a potem zwrócił się po angielsku do Hildy: — Pani, stań za nią, niech się o ciebie oprze, żeby się nie ruszała.

Hilda stanęła za Gwladus, położyła ręce na jej ramionach — jakie miękkie — i pociągnęła ją do tyłu, aż głowa niewolnicy spoczęła na jej posiniaczonym mostku.

Gwladus drżała.

— Ćśśś — powiedziała Hilda.

Druyen zmarszczył brwi, przyłożył nożyce, przytrzymał je lewą ręką, prawą poruszył boleć przełożony przez żelazne pętelki na końcach obroży, skinął głową, chwycił nożyce obiema rękami i je ścisnął.

Dolna połowa bolca spadła na ziemię.

Druyen wyjął górną połowę z pętelki, pochylił się i podniósł kawałek, który upadł na ziemię, znowu skinął głową do nich obu i odniósł nożyce na miejsce.

Gwladus, która trzęsała się jeszcze bardziej, sięgnęła do obroży i spróbowała ją rozewrzeć.

Hilda stanęła przed nią i zrobiła to za nią. Zawias był sztywny. Cofnęła się z obrożą zwisającą w jej dłoni jak martwy zajac. Była zimna, twarda i ohydna. Z całej siły odrzuciła ją za siebie.

W drodze powrotnej do halli Osrica Gwladus wciąż masowała sobie szyję. Obie się potykały, ale nie dotykały się. Hilda czuła się tak, jakby nogi miała z drewna. Mięśnie jej klatki piersiowej zaciskały się spazmatycznie. Usta pulsowały.

Morud był w jej komnacie. Na widok Hildy i Gwladus oczy zrobiły mu się idealnie okrągłe.

— Ani słowa — rzekła Gwladus. — Rozpal ogień. Potem przynieś gorącą wodę, wino, jedzenie. Ogień.

Hilda usiadła na łóżku. Pierś tak ją bolała, że ledwie mogła oddychać.

Kiedy Morud wyszedł, Gwladus powiedziała:

— Nie ma sensu brudzić łóżka. Stań przy ogniu. Zdejmijmy tę suknię.

Na widok sińców nie zmieniła wyrazu twarzy ani nawet nie westchnęła, ale jej ręce znieruchomiały na chwilę.

— Zgubiłaś majtki.

Hilda tego nie zauważyła.

— Zabiłaś go?

Zaczęła kręcić głową, ale bardzo zabolęły ją od tego usta.

— Mam zawołać Oerica?

— Nie. — Położyła dłoń na dłoni Gwladus. — Czy ty też mnie opuścisz?

Gwladus nie odpowiedziała. Wzięła do ręki grzebień i zajęła się rozczesywaniem włosów Hildy. Po chwili rzuciła nim o ścianę i stała z unoszącą się i opadającą pierśią.

— Wziąłby cię do siebie Clemen z Dyfneintu — rzekła Hilda. — Gdybym go poprosiła. Mogłabyś... Dałabym...

Zawiodły ją słowa. Zaczęła się trząść.

— Proszę. — Gwladus ściągnęła z łóżka koc i owinęła nim Hildę. — Gdzie jest ten

przebrzydły chłopak?

Rozdział 23



To, co się wydarzyło, Hilda włożyła do pudełka, owinęła je łańcuchem i głęboko schowała. Ma na ręku pierścień. Jest pięścią króla. Nic nie czuła, nikt jej nie obchodził.

Pojechała z Jakubem do Yorku — Craven musi poczekać — a Edwin i Paulin ściągnęli ze zbrojnym oddziałem do Elmetu na przegląd wojsk. Miał tam do nich dołączyć Eadfrith, Osric i jego tanowie z Craven oraz tanowie z południowej Bernicji, Deiry i Elmetu ze swoimi ludźmi. Gwynedd był największym królestwem Brytyjczyków, bogatym dzięki handlowi i silnym dzięki sojuszom w północno-wschodniej Irlandii i Mniejszej Brytanii. Cadwallon wystawi do bitwy wiele dobrych mieczy. Lecz Edwin przyprowadzi ich więcej i lepszych. Tym razem szyja Cadwallona zetknie się z mieczem Edwina, a biskupi Cadwallona ucałują pierścień Wrony.

Hilda i Jakub przybyli do Yorku, gdzie spotkali się z królową, która przyjechała z Derwentio z wszystkimi jej kobietami i malutkim dziedzicem, żeby zamknąć się w fortecy. Hilda, bratanica króla i jego jasnowidząca, oddała królewski znak królowej, a w zamian otrzymała dowództwo dwakroć po dwudziestu uzbrojonych ludzi. Ludzi jak Bassus i Oeric, którzy po raz ostatni stali w ścianie z tarcz pokolenie wcześniej albo wcale.

Mury były jednak mocne, a woda słodka. Gdyby Eanfrith Iding przyprowadził z północy swoich Piktów, Osfrith i jego ludzie zatrzymaliby go nad Tine. Oswald Iding był zajęty Irlandczykami. Hilda nie martwiła się o Pendę — jeśli jest tak przebiegły, jak sądziła, to nie będzie robić nic prócz obserwowania, na czyją korzyść przechyli się szala równowagi między Edwinem i Cadwallonem.

Kobiety królowej wróciły do pracy nad ogromnym haftem dla Dagoberta i mniejszym dla Etelryka. Zarządzanie wic i fortecą przejęła sama królowa. Każdego middæg Jakub przychodził do komnaty króla i składał królowej sprawozdanie, bo życie za murami toczyło się jak zwykle. Drwale i węglarze nie toczą wojen. Pszenica i jęczmień rosły niepokojone tylko przez chwasty. W chłodzie poranka trzeba było doić krowy i ubijać masło. Etelburdze często towarzyszyły wtedy Breguswitha i Hilda.

Statki handlowe przybijały i odbijały w rytm przyprawów i odpływów. Dla Franków, którzy przywozili wino i olej z orzechów na wymianę za wełniane płaszcze, nie miało znaczenia, że królem Dál Riata jest Domnall Brecc ani że wraz ze śmiercią Osrica pokonanego przez Ulaidów inni Idingowie są na wznoszącej się fali. Fryzyjczyków, którzy wymieniali szkło i srebro na gagaty i tuniki, nie obchodziło, że Edwin rzucił swoją armię prosto jak włócznię w gardło Cadwallona, by zająć Gwynedd, zanim Cadwallon zdążyłby się sprzymierzyć z Pendą i utworzyć solidne kowadło, na którym Idingowie i ludzie północy mogliby uderzać w Anglów. Ludzi znad Bałtyku, którzy wymieniali bursztyn na len, nie interesowały zmagania Sigeberta i Ricberhta o zwierzchnictwo nad

Anglami Wschodnimi. Obchodził ich tylko handel, nagromadzenie w jednym miejscu bogatej mieszaniny towarów z północy i południa, wschodu i zachodu.

Kobiety zrobiły się opryskliwe, a mężczyźni gburowaci. Armia zapewne już dotarła do Gwyneddu. Hilda była w ciągłym ruchu na dziedzińcu z mężczyznami, w ogrodzie z kobietami, w mleczarni, w stajni: kiedy się ruszała, nie musiała myśleć. Nie musiała zaglądać w swoją duszę. Kiedy się ruszała, nie mógł też zajrzeć w jej duszę nikt inny. Cieszyła się, że w Yorku łatwo jest jej trzymać się z dala od matki.

Światu ukazywała gładką powłokę, chłodną jak emalia. Widziała, jak inne kobiety zaczynają się wzdrygać i chwytają za swoje krzyże za każdym razem, kiedy za rogiem błyskała koleczuga albo na kamieniach dudniły nabijane gwoździami bojowe buty — i nie chciała tego rozumieć. A potem, kiedy pewnego dnia obserwowała, jak na wielkim dziedzińcu mężczyźni próbują utworzyć dwie ściany z tarcz, usłyszała posuwisty brzęk dobywanej stali i zaczęła się odwracać z zamierającym sercem, myśląc: Cian. Wiedziała, że jej dawny towarzysz znajduje się sto mil od niej, może leży na ziemi z wyprutymi wnętrznościami albo już zginął, jednak w tej chwili wiedziała z niezachwianą pewnością, że za nią stoi Cian.

Tej nocy śniło jej się, że wszyscy zginęli; sztandary leżały w błocie, a zakrwawieni mieszkańcy Gwyneddu wydłubywali złote guzy i drogie kamienie z rękojeści mieczy; chude kobiety zdierały z trupów ubranie i pasy, a zawszeni chłopcy wyciągali z butów gwoździe i szukali zmiękczonego krwią dwukrotnie pieczonego chleba. Wszystkie nocne kruki krakały i lądowały na wysnioną trawie, a z ciał podrywały się chmury much.

Kiedy następnego wieczoru słuchała gorszego scopa, który nie pojechał z królem, ścisnęło jej się gardło. Śpiewał o wojnie, chwale i wracających bohaterach, a Hilda przypominała sobie ulubione fragmenty Ciana i to, jak się dąsał, kiedy nie chciała się bawić w pożar zarośli kolcolistu. Schowane głęboko pudełko grzechotało w zwojach łańcucha.

Kiedy dziewiątego dnia przyszła do swojej komnaty, żeby wybrać pierścień na prezent, wzięła do ręki przemyślnie wpasowane w siebie kubki podróżne, które Cian wyrzeźbił z elmeckiego głogu. Dotknęła małego jeża i przeniosła się tam, do Aberfordu, gdzie spowita zapachem dymu słuchała pieśni Grimhuna, a włoski na palcach Ciana, który strugał drewno, lśniły w blasku ognia niczym nitki z brązu. Ona sama stała obok swojego wozu w Elmecie i trzymała w rękach kubki: „Żebyśmy mogli przepijać do siebie bez względu na to, gdzie będziemy”.

— Wypij to.

Zamrugła. Naprzeciwko niej siedziała Begu i podawała jej napelniony największy podróżny kubek. Skąd się tu wzięła?

— Wypij.

Miód był cierpki. Hilda wypijała go, nie mrugając i nie spuszczać wzroku z dwóch mniejszych kubków, wciąż wpasowanych jeden w drugi, które Begu obracała w dłoniach.

— ...okropny miód. Nic dziwnego, że Gwladus chodzi na palcach jak złodziej, który czeka, żeby obcięto mu rękę. Co w ciebie wstąpiło? Oeric i Morud są przekonani, że w Craven opętał cię jakiś ælf albo rzeczny upiór skradł ci rozum. Tak dalej nie może być.

Hilda nic z tego nie rozumiała. Pchnęła kubek w stronę Begu po dolewkę. Po chwili Begu naląła do niego miodu, a potem rozdzieliła pozostałe kubki i bardzo ostrożnie je też napełniła. Posunęła kubek Hildy do niej, a sama wzięła do ręki średni i uniosła go w stronę najmniejszego.

— Za Ciana. Oby wkrótce mógł z nami wypić swoją porcję.

Hilda dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wcześniej płakała, kiedy zaczęła płakać od nowa.

— No właśnie. — Begu wyjęła zza paska chustkę do nosa i otarła nią Hildzie twarz. — Gorzej niż z Eanflædą. Co prawda nie robisz tyle hałasu co ona. Proszę. Wydmuchaj nos.

Hilda posłuchała.

— Wszystko? Dobrze. Bo kiedy wyjdiesz z tej komnaty, będziesz miała wysoko uniesioną głowę i blask w oczach. Jesteś panią Hildą, jasnowidzącą króla. Prowadzimy wojnę. Masz mieć zadowoloną minę.

Trąciła kubek Hildy, żeby ta wzięła go do ręki, i sama uniosła swój.

— Za Ciana — powtórzyła Begu z rozmysłem.

Hilda, która miała już suche oczy, trąciła się z nią kubkiem i wypiała miód jednym haustem.

— A teraz słuchaj. Co się dzieje z Gwladus?

— Jest wolna.

Begu prychnęła.

— Nie sądziłam, że rzuciłaś czar i uczyniłaś jej obrozę niewidzialną. Nie. Spójrz na mnie. Dlaczego jesteś dla niej taka niemila? Można by pomyśleć, że chcesz ją wypędzić. Jeśli tak jest, powinnaś to po prostu powiedzieć i przestać dręczyć tę biedną kobietę. Twoja matka przyjęłaby ją ot, tak. — Tu Begu strzeliła palcami.

— A ty jej teraz potrzebujesz bardziej niż kiedykolwiek.

— Ale ona jest wolna.

— Nie bądź dzieckiem. Dokąd miałyby pójść? Poza tymi murami nie przeżyłaby jednego dnia. A praca dla ciebie jej odpowiada. Ludzie ustępują jej z drogi. Lśni odbitym blaskiem twojej wyrd. Jak Oeric. Jak Coelfrith przy królu albo Szczepan przy Paulinie. Dlaczego jej sytuacja miałyby się różnić tylko dlatego, że jest wolna? — Upiła łyk miodu, skrzywiła się, ale upiła jeszcze jeden. — Będziesz musiała jej trochę płacić. Zwłaszcza za te obowiązki łóżkowe.

Hilda pokręciła głową.

— Tego już nie będzie.

Begu przechyliła głowę.

— Tylko Cian się nada?

— Nie!

— A więc nada się ktokolwiek?

— Nie mogę. Nie z Cianem.

— No tak, nie możesz. Nie ma go tu.

— Z nim nigdy nie będę mogła. Nie rozumiesz.

Begu roześmiała się, lecz to był taki sam stary, pełen urazy śmiech, jakim się

roześmiała przed rokiem w rozmowie o Uinniau.

— Potrafię rozpoznać źrebięta po tym samym ogierze, nawet jeśli nigdy go nie widziałam.

Hilda wbiła w nią wzrok.

— Nie jestem ślepa. I nie jestem głupia. Chociaż wydaje się, że wiele innych ludzi jest i ślepych, i głupich. Ale on jest moim przybranym bratem, a ty jesteś moją gemæcce. Więc ten jeden raz o tym porozmawiamy.

Hilda milczała.

— Dobrze. Ojciec Ciana jest twoim ojcem. Ale gdyby było to powszechnie wiadome, to kiedy następnym razem król by się zdenerwował, jego życie nie byłoby nic warte. Nie wie o tym nawet sam Cian, a ty nie chcesz, żeby się dowiedział, bo zaraz by to wyjawiał i stracił życie. Tak?

Przez chwilę Hilda patrzyła przed siebie.

Begu westchnęła.

— Ale ja wiem; wystarczy na niego popatrzeć. Wie twoja matka i oczywiście Onnena. I ty. Kto jeszcze?

W końcu Hilda powiedziała:

— Fursey.

— Ten ksiądz? No cóż. — Przechyliła głowę w zamyśleniu. — Sądzę, że królowa się zastanawia. A to, co wie lub podejrzewa królowa, wie lub podejrzewa Wilnoða.

— Bassus?

Begu machnęła lekceważąco wolną ręką.

— On jest tylko jej mężem.

— Wrona.

— Ach, tak. On też nie jest głupi, niestety.

Hildzie zrobiło się niedobrze.

Begu skinęła głową.

— Za dużo ludzi. Pewnego dnia to wyjdzie na jaw.

Tyle rzeczy do ukrywania. Łatwiej byłoby pójść na wojnę, zaatakować włócznie i tarczą, otwarcie walczyć.

— No cóż, nie mamy nad tym większej kontroli niż nad ptakami. Możemy kontrolować tylko to, co kontrolujemy.

Kontrola. Tak. Nie nad samą sprawą, lecz nad jej pojmowaniem. To właśnie robi. Szturcha. Kieruje. Kontroluje.

— ...przynajmniej kontrolować siebie. Ja nadal będę udawać, że jestem i ślepa, i głupia, nadal będę radośnie paplać głupstwa i w ten sposób sprawiać, że prawda będzie uchodzić za głupstwa. — Ścisnęła dłoń Hildy i puściła ją. — Przyglądź teraz włosy, porozmawiaj z Gwladus i zaprowadź w tym domu porządek. Przemyśl te łózkowe obowiązki. Będziesz tylko się karać, a nie możesz się rozpraszać. Prowadzimy wojnę. Jesteś jasnowidzącą króla, faktyczną pięścią króla. Unoś wysoko głowę i mów ludziom, że wszystko będzie dobrze.

Milczenie.

— Hildo, gemæcce, wszystkie mamy mężczyzn na wojnie. Więc powiedz nam, że

wszystko będzie dobrze. Spraw, byśmy w to uwierzyły. Proszę cię. Powiedz królowej. Powiedz swojej matce. Powiedz mnie.

Uinniau. Scop Luftmaer. Sam król. Każdy z tych tysięcy mężczyzn miał kobiety, które czekają na wieści. Lecz wieści nie dotrą szybko. To ona będzie musiała wypełnić tę lukę. I będzie musiała to zrobić sama. Jest jasnowidzącą króla. To jest jej droga.

— Jutro wyprawimy ucztę — powiedziała.

Uczta była wspaniała. Najlepsze płody żyznej ziemi w środku lata. Owoce, mięso, chleb, tłuste masło i słodka śmietanka, świeży miód, aromat przypieczonego rozmarynu i tymianku. Na prośbę Hildy scop śpiewał tylko radosne pieśni, pieśni o palenisku i domu, o dzieciach i żniwach.

Kobiety ubrały się w najlepsze suknie, dzieci ze śmiechem biegały między ławami i jeśli psów było za mało, a w gwarze rozmów brakowało głębokich, basowych tonów wojowników, to nikt nie chciał tego zauważyć.

Królowa chodziła od ławy do ławy z gościnnym pucharem napełnionym nie białym miodem, lecz łagodniejszym, słodszy żółtym miodem lata. Podawała go kupcom i poganiaczom, żeglarzom i gospodarzom, którzy mogli już nigdy więcej nie pić z tak wspaniałego naczynia.

Hilda zaproponowała Jakubowi, by udzielił zebranych błogosławieństwa. Powinien włożyć kolorowe szaty i mówić tylko o łasce i pomyślności, mówić prostym językiem i krótko: halla to nie kościół, a uczta to nie msza. Jakub, bardziej przyzwyczajony do nadzorowania współwyznawców i zajmowania się szczegółami administracyjnymi, sprawiał wrażenie wdzięcznego za te rady.

Kiedy wstał, by udzielić błogosławieństwa, gwar nieco przycichł. Jego twarz przywodziła na myśl bardziej popiół niż węgiel, włosy wydawały się mniej sprężyste niż zwykle, a on sam wciąż odciągał kołnierz szaty od szyi; może uwierał go gruby haft. Uniósł obie ręce tak, jak czynili to Paulin albo Szczepan, ale bez przekonania, jakie zawsze im towarzyszyło.

Hilda lekko poruszyła ramionami, by przyciągnąć jego uwagę. Kiedy na nią spojrział, uniosła puchar i za jego osłoną poruszyła bezgłośnie ustami: „Jedzenie! Wino!”, po czym skinęła głową scopowi, który zagrał akord.

Gwar ścichł do szmeru.

— Podziękujmy za doświadczane błogosławieństwa!

Kilka okrzyków „Tak!” i rozlegające się tu i ówdzie uderzenia dłoni w stół sprawiły, że zaczął mu drgać mięsień w policzku. Chóry tak nie robiły, kiedy zagrzewał je do śpiewania. Hilda uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

— Przynosi nam jedzenie. Daje nam wino.

Potem chyba stracił wątek. Hilda powiedziała samymi wargami: „Łaska, pomyślność, Boże błogosławieństwo”.

— Poprośmy Go o łaskę i pomyślność dla naszej armii, której sprawa jest słuszna. Okrzyki zgody. „Krótko. Prosto”.

— Niech spłynie na nią Jego światło. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

— Amen! — powiedziała głośno Hilda.

— Amen — powiedziała królowa i Breguswitha.

— Amen — powiedzieli frankijscy kamieniarze.

— Amen — powiedzieli z wahaniem ludzie, a potem dodali: — Amen! Amen!

Jakub usiadł. Hilda wstała i rozłożyła ręce na boki.

— Miałam sen!

Cisza dotarła do wszystkich zakątków halli. Ustał wszelki ruch. Wpatrywały się w nią wszystkie oczy.

— Miałam sen. W moim śnie wróg zebrał się na zimnym, mokrym wrzosowisku. Mieszkańcy Gwyneddu włożyli hełmy pod pachy, żeby wysłuchać swojego zdradzieckiego króla. Lecz w moim śnie słyszeli tylko krakanie wron i kruków siedzących skrzydło w skrzydło na uschniętym drzewie. Cadwallon Krętacz mówił, lecz mieszkańcy Gwyneddu nic nie słyszeli, wrony bowiem wleciały w powietrze jak czarna chmura i spadły na nich. Latały z trzepotem skrzydeł nad ich nagimi głowami, chwyciły je pazurami, ciągnęły za włosy. Czarne oczy, czarne dzioby, czarne skrzydła. A kiedy wróg zdołał sięgnąć wzrokiem za trzepoczące skrzydła, co ujrzał?

Cisza jak makiem zasiał.

— Wróg ujrzał na kalenicy halli kruka z czerwoną nicią w dziobie. I wróg stracił ducha. Wiedział bowiem to, co wiemy my wszyscy: zmierza ku kłęsce i zniszczeniu. Wrywanie ludzkich włosów oznacza śmierć. Przysiadanie na uschlłym drzewie oznacza brak jedzenia i picia. Czerwona nić sprowadza pożar. Widziałam to. Nasi wrogowie będą głodować w siodle, padną przed nami, a za nimi ich domy staną w ogniu.

Uniosła dłoń, a grajek zaczął wybijać na bębenu cichy, powolny rytm.

— Mówię wam: przeciwko mieszkańcom Gwyneddu powstaną drzewa, kamienie i ziemia. Strumienie napełnią się brudną wodą albo się przed nimi ukryją. Ich konie będą się potykać, ośleple ze strachu, i będą się przewracać na cieniach. Ich armia rozproszy się jak ptaki, w które ktoś rzucił kamieniem. Ich kości się połamią, rany będą gnić, a dzieci krzyczeć. I z każdym krzykiem będzie ich opuszczać odwaga.

Kolejno spojrziała na kobiety, mężczyzn i dzieci. Powiodła wzrokiem wzdłuż jednej ławy, a potem następnej.

— Lecz odwaga naszych wspaniałych mężczyzn będzie wzrastać z każdym ich oddechem. Każdy zamach miecza będzie przysparzał im siły. Pokażą im się wszystkie rzeki, a ich wody będą słodkie.

Rytm bębena przyspieszył.

— Grot żadnej angielskiej włóczni nie odpadnie od drzewca, nie pęknie w bitwie żaden miecz. Żadna włócznia nie chybi celu, żadna tarcza nie pęknie. Mówię wam: nasi mężczyźni skoszą wrogów jak zboże. Mówię wam: nasi mężczyźni wpędzą wojsko Gwyneddu do morza. To jego wyrd. Widziałam to. Nasi gesithowie w lśniących kolczugach i inkrustowanych hełmach, nasi mężowie z mieczami i bransoletami, z jaskrawymi płaszczami i malowanymi tarczami, nasi wojownicy dosiadający koni z błyszczącymi ogłowiami i siodłami z tłoczonej skóry, nasi mężowie, synowie i bracia wrócą do domu.

Spojrziała na Etelburge.

— Edwin Yffing, zwierzchni król Anglów, wróci ciemny od słońca i draśnięty

jedynie kolcami jeżyn.

Spojrzała na Begu.

— Uinniau, ksiązę Rhegedu, wróci opromieniony chwałą i lśniący od łupów.

Spojrzała na matkę.

— Scop Luftmaer wróci do domu. Wróci wkrótce z wieściami, od których nasze twarze rozjaśnią się uśmiechem, a gardła zabolą od śpiewania.

Służba zaczęła krążyć po halli i napełniać puchary.

— Wypijmy zatem za naszych mężczyzn, którzy znowu zasiądą z nami. Za naszych mężczyzn, którzy wrócą na żniwa. Za naszych mężczyzn, naszych lśniących mężczyzn, którzy na naszej następnej uczcie będą śpiewać razem z nami. — Uniosła wielki gościnnie puchar. Nadal musiała to robić oburącz. — Za naszych mężczyzn!

— Za naszych mężczyzn! — ryknęli biesiadnicy i wypili.

Hilda się uśmiechnęła. Napiała się. Znowu się uśmiechnęła. Usiadła. Muzycy zagrali.

Za Ciana, powiedziała w duchu.

Po uczcie mijani ludzie się do niej uśmiechali. Gwladus przestała pocierać szyję, a Hilda zaczęła ją traktować jak dawniej, a właściwie lepiej: żywiła ją i ubierała jak poprzednio, lecz dawała jej więcej prezentów, a popołudniami Gwladus nie przychodziła do jej komnaty. Hilda postanowiła, że nauczy ją jeździć konno — tylko niewolnicy musieli biec obok jeźdźców. Pewnie powinna też nauczyć Moruda. Przecież złożył jej przysięgę. Może Gwladus też będzie chciała to zrobić.

Pierwszego ranka po uczcie Hilda, królowa i jej kobiety zgromadziły się na modlitwę w małej drewnianej kaplicy, nad którą teraz górowały na wpół wybudowane mury nowego kościoła. Uklękły w milczeniu. Hilda usiłowała rozmawiać z Chrystusem, wyobraziła sobie, że ciska swój umysłowy głos w niebo. „Tchnij na nich. Daj im siłę. Daj im odwagę”. Milczenie. Nikt nie słuchał. Pomyślała o wzorze, o ptakach i lisach, o zmarszczkach wiatru na trawie, o kołach rozchodzących się na stawie w Elmecie, gdy powierzchni wody dotknął losóś...

Drugiego ranka dołączyło do nich kilkunastu służących, którzy stanęli cicho z tyłu. Trzeciego dnia kaplica była pełna, a Hilda czuła na plecach ich wzrok. „Wkrótce — powiedziała na uczcie — wkrótce z wieściami, od których nasze twarze rozjaśnią się uśmiechem, a gardła zabolą od śpiewania”.

Tej nocy, kiedy leżała naga przy Begu — było za gorąco na koc — na wpół przysniło jej się, na wpół wyobraziła sobie niebieskie niebo kolorowe od sztandarów oraz Ciana, który patrzył na nią z gniewem, pocierając wargę dłonią w kolarzkiej rękawicy. „Będziesz żałować. Zginę w chwale. Scopowie będą o mnie śpiewać tysiąc lat, a moje imię będą wykrzykiwać chłopcy atakujący się patykami w lesie: Krzykliwy Płaszcz!”

Był zły. „Utrzymywanie go w niewiedzy zapewnia mu bezpieczeństwo”. Lepiej zły niż martwy. Lepiej zły niż leżący ze złamanym kręgosłupem w poprzek zrujnowanego muru z czyimś uchem w zębach i ustami zastygłymi w grymasie wściekłości.

Przez cały następny dzień i dzień po nim wciąż się martwiła. Cian chory na biegunkę w rowie. Cian z wielką raną w głowie, niepamiętający swojego imienia. Cian z wydziobanymi oczyma, pochowany z trzydziestoma innymi w grobie tak płytkim, że

zaraz po odjeździe króla odkopią go psy... I tak w kółko, jakby jakiś kot lizał jej umysł.

Len został ścięty i ustawiony w kopki; kiedy pewnego dnia Hilda opatrywała sobie rękę skaleczoną sierpem, na dziedziniec wbiegł Morud, krzyząc, że przybyło dwóch posłańców: scop i ksiądz Hrothmar. Król zmiotł Gwynedd do morza!

Hilda patrzyła na rozciętą skórę. Zamknęła oczy. „Boże, jeśli mnie słyszysz, spraw, by skóra się zrosła”. Potem otworzyła oczy i dokończyła opatrunek.

Hrothmar chętnie pozwolił Luftmaerowi zgarnąć całą chwałę i odgrywać scopa w komnatach królowej. Był wyczerpany i brudny, zbyt zmęczony, by stać i zbyt poobijany, by wygodnie siedzieć. Kulił się na stołku w pokoju diakona, sącząc piwo i denerwując się obecnością jasnowidzającej. Zużywała całe powietrze jak tłący się ogień. Nie mógł oddychać. I nie podobało mu się, że wciąż chwytła za rękę swojego seaksa i jak drgał jej mięsień w szyi. W ciągu ostatnich trzech tygodni spędził dość czasu z gesithami, by domyślić się, w jakim jest nastroju. Słyszał pieśni. Miał tylko nadzieję, że diakon potrafi nad nią zapanować.

Zawisła nad nim.

— Opowiedz.

Zupełnie jak rozsierdzony król. Och, gdyby nie usłyszał o Chrystusie. Gdyby spadł z konia i umarł.

— Pani, myślę, że przerażasz dobrego ojca — rzekł diakon.

Obróciła się błyskawicznie do niego i dosłownie pokazała mu obnażone zęby, jak robi to pies, unosząc wargę. Świat poszarzał na krawędziach.

Diakon coś mówił.

— Nie zemdlej, Hrothmarze. Oddychaj. Niebo, miej nas w opiece. Proszę cię, pani, usiądź. Tam, jak najdalej. Nie rób żadnych gwałtownych ruchów, bo inaczej on spadnie ze stołka. Hrothmarze, odetchnij głęboko i spójrz na mnie. Powiedz nam własnymi słowami, co się stało. Pani będzie siedziała spokojnie, dopóki nie skończysz.

Hrothmar wątpił, by pani to zrobiła.

Diakon westchnął i wszedł między nich, zasłaniając Hildę przed wzrokiem Hrothmara.

— A zatem będę zadawał ci pytania. Odpowiedz na nie najlepiej, jak umiesz.

Hrothmar uznał, że jeśli będzie wpatrywać się w diakona, to jakoś da sobie radę.

Tak, powiedział, przeciągnęli przez Gwynedd, zajęli Deganwy. Król zepchnął wroga do morza. Prosto w fale. Potem oblegli Cadwallona na Glannauc, Wyspie Maskonurów. Kiedy jednak zajęli fort na Glannauc — ciężka walka, straszne, taki hałas, tylu krzyżących, szlochających i krwawiących ludzi po obu stronach, dlaczego ludzie robią takie rzeczy? Tak, tak. Dziękuję, tylko jeden łyk...

Na Glannauc? Cóż, okazało się, że Cadwallon zniknął. Nie wiedzieli, gdzie jest. Król był strasznie zły. Rozkazał, by Luftmaer i on, nędzny grzesznik, natychmiast pojechali z wieściami do Yorku. Dlaczego on, nie wie, może... Ach tak, biskup dał mu list. Zaadresowany do diakona. Listę zabitych.

— Daj mi ten list — powiedziała demonica głosem tak chrapliwym, jakby ocierały się o siebie dwa głązy.

Zadrzał. Wyjął list z sakwy i trzymając go w trzęsącej się dłoni, wyciągnął go

w stronę diakona. Jeśli napotka wzrok demonicy, będzie zgubiony.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

— Co jest z nim nie tak? — zapytała Begu Hildę, kiedy Jakub cucił księdza. — Wygląda jeszcze bardziej blado niż zwykle. Zrobiłaś mu krzywdę? Nieważne. Mam wiadomość! Mam dwie wiadomości. Przyniósł je Luftmaer. Co to?

— List — odparła Hilda i złamała pieczęć.

— Nieważne. Mam wiadomość od Ciana.

Świat się wyostrzył. Splot sukni Begu był tak wyraźny, jakby został wycięty nożem. Ksiądz na podłodze nagle zaczął śmierdzieć koniem.

— Wiadomość od Ciana. — Żyje. — Dla ciebie?

Begu skinęła głową.

— „Dla Begu, mojej przybranej siostry”.

— Powtórz mi ją słowo w słowo.

— „Dla Begu, mojej przybranej siostry, córki Mulstana, od Ciana Krzykliwego Płaszca. Pozdrowienia. Czuję się dobrze. Uinniau czuje się dobrze”. To wszystko.

Hilda wpatrywała się w nią. „Czuję się dobrze. Uinniau czuje się dobrze”.

— Uinniau też przysłał wiadomość. Powiedział, no, powiedział mnóstwo rzeczy. — Begu zarumieniła się. — Ale głównie powiedział, że ma rozcięte przedramię, nic poważnego, i że ma dla mnie bransoletkę z niebieską emalią. Tak jak mówiłaś! Obładowany łupami! Aha, i powiedział, że Cian skręcił kolano. Kuleje, ale poza tym nic mu nie jest.

Kuleje.

— A co jest w liście?

Hilda spojrzała na papier, który trzymała w ręce.

— Lista zabitych. — Rozwinęła go. Małe słowa. Lista długa, gęsto zapisana i czarna. Wielu zabitych. Lecz nie Cian. Nie Cian. — Lintlaf nie żyje.

Westchnęła. Lubiła tego Lintlafa, który pojechał do Tinamutha.

Ksiądz jęknął. Jakub pomógł mu usiąść na stołku. Kiedy Hilda czytała listę, Begu znalazła kubek Hrothmara i naląła mu piwa.

Gwrastr też nie żył. Dzielny Bryneich.

Kiedy Hilda przecięła komnatę, ksiądz cofnął głowę jak kot, który usiłuje uniknąć ciosu w walce. Zdjęła z palca pierścień i podała mu go.

— Odpraw mszę za Gwrastra. Odpraw mszę za wszystkich. Odpraw dwie msze. Jedną za tych, którzy wracają, i jedną za tych, którzy czekają na nas poza tym życiem.

Hilda kopnęła stołek stojący pod oknem tak mocno, że uderzył w przeciwną ścianę i przewrócił się.

— Nawet nie myśl, żeby mnie strofować za rozdawanie dobrych pierścieni — warknęła na Gwladus. — Kuleje. Kuleje! Biedactwo. Wiadomość dla Begu, jego przybranej siostry. Mam nadzieję, że wnętrzności zamienią mu się w wodę.

Gwladus postawiła stołek, wysypała na łóżko biżuterię ze szkatułki i zaczęła ją przeglądać.

— O, agat mszysty. Trudno będzie znaleźć odcień pasujący do twoich kolczyków. Ale mogło być gorzej.

— Nie powinnam była cię uwolnić.

— No cóż — powiedziała Gwladus i zamyśliła się nad biżuterią. — Porozmawiam z tym białym księdzem. Ten pierścień jest wart więcej niż dwie msze.

— Dlaczego nie przysłał mi wiadomości?

— Została urażona jego duma. — Gwladus wsypała pierścienie z powrotem do szkatułki. — A teraz chyba została urażona także twoja duma.

— Jestem jasnowidzącą króla. Mojej dumy nie może urazić jakiś gesith.

— Nie? No to dobrze. Bo mężczyźni, których duma została urażona, potrafią być okrutni. Jak Lintlaf. Był miłym chłopcem, ale potem został mężczyzną.

Cian kiedyś był chłopcem; lecz teraz jest już mężczyzną.

— Przykro ci, że nie żyje?

— Chłopiec umarł dawno temu. Wszyscy umieramy. Proszę. — Podała Hildzie duży pierścień z gagatem ze skazą. — Następnym razem daj ten.

Hilda wsunęła go na palec, poczuła jego wagę. Kiedy Cian wróci, będzie miał od niego ładny siniec na policzku.

Lecz Cian nie wrócił. Król zostawił w Deganwy Eadfritha, żeby uważał na Cadwallona i uspokoił kraj. Cian został z nim. Wrócili Oswine i Uinniau z bransoletką godną księżniczki dla Begu — natychmiast ją włożyła — i pucharem z niebieskiego szkła dla Hildy.

— Był też talerz, ale się stłukł — powiedział Uinniau, kiedy razem z Oswinem jedli z Hildą i Begu na zalanym słońcem dziedzińcu obok skrzydła kobiet.

Begu trzepnęła go w potylicę.

— Szkło się tłucze, głupcze.

Uśmiechnął się do niej promiennie, a ona szturchnęła go w ramię. Hilda dziwiła się, dlaczego nie rzucą się po prostu na trawę i nie zrobią tego jak psy.

Przeniosła wzrok z jednego na drugiego.

— Nie ma wiadomości od Ciana?

Uinniau zrobił poważną minę, jaką przybierają wszyscy mężczyźni, kiedy kłamią w imieniu przyjaciół.

— Kazał powiedzieć, że nic mu nie jest. Że wróci, kiedy w Gwyneddzie się uspokoi.

„Będziemy mówić sobie prawdę”. Chłopiec, potem mężczyzna.

— To z pewnością nie potrwa długo — powiedziała Begu, głaszcząc bransoletkę i obracając ją w słońcu. — Cadwallon uciekł, a jego armia jest rozbita.

— To może potrwać kilka miesięcy — rzekł Oswine. — Clemen w Dyfneincie słyszał pogłoski, że Penda szykuje się do wymarszu. Eadfrith poszedł z połową pozostałego zbrojnego oddziału na południe do Caer Uisc, żeby utwierdzić go w postanowieniu. Cian nie ma tylu ludzi, ile powinien. Armia Gwyneddu może być rozbita, ale jej wojownicy nie są martwi. — Zdał sobie sprawę, że i Uinniau, i Begu patrzą na niego znacząco. — No co? To prawda.

— Kilka miesięcy — powtórzyła Hilda. — I on się zgłosił na ochotnika?

— To wielki zaszczyt.

— Śmierdzisz koniem — powiedziała i odeszła.

Dwór przeniósł się do Derventio. Breguswitha, która w Yorku obserwowała Hildę, teraz znowu zajęła się wełną. Król, niezadowolony, że Cadwallon wciąż żyje, pocieszał się myślą, że kontroluje cały handel Gwyneddu z Irlandią i Mniejszą Brytanią. Czas spędzał z królową i jej mistrzem handlu albo z Paulinem, z którym planował rozciągnięcie wpływów na Rheged. Nie wzywał Hildy; w Gwyneddzie był z nim Paulin, a kampania poszła dobrze. Teraz jego słońcem i księżycem był biskup.

Hilda wiedziała, że Edwin wkrótce zmieni zdanie — taką miał naturę. Będzie gotowa. Tymczasem spędzała czas z Begu. Tylko ona nie przyprawiała jej o złość. Przy Begu nie musiała myśleć.

Robiły nowy pas do noszenia miecza dla Uinniau, jak kiedyś dawno temu dla Ciana. Ten miał być w zielone i brązowe strzałki. Po latach praktyki były już w tym dobre i praca sprawiała im przyjemność: siedziały na słońcu i chłodzone delikatnym wiatkiem słuchały pogawędek służby, która nie martwiła się wojną, rozmów robotników polowych zadowolonych z dojrzewania zboża, śpiewu ptaków i dzieci, które więcej czasu spędzały na zabawie niż na przeganianiu ptaków albo wyrywaniu chwastów. Hilda mogła udawać, że wystarczy siedzieć z tabliczkową robótką, jak kobiety robiły to od pokoleń, i czasami rozmawiać, a czasami zapadać jakby w trans i pozwalać umysłowi swobodnie błądzić.

Aby utrzymać rytm ruchów, Begu nuciła piosenkę gemæcce: „Ta do trzymania, ta do nawijania, ta do rozmowy, ta do pilnowania, ta do noszenia, ta do przybijania, ta do kojenia, a ta do drażnienia...”.

Zespół działający na zmianę. Jak ona i Paulin, chociaż on o tym nie wiedział.

Wodziła wzrokiem za czólenkiem, tam i z powrotem, zastanawiając się nad swoją wartością, jeśli Edwin nie zmieni zdania. Swoją wartością nie jako jasnowidzącej, lecz jako bratanicy króla. Dla Cadwallona albo Pendency wielką gratką byłaby Eanflæda, lecz ona była za mała. Pani Hilda, bratanica i jasnowidząca króla, miała niemal tak samo dobre koneksje rodzinne. A jej rady były na wagę złota.

Wszak Edwin wolałby umrzeć z wnętrznościami rozsmarowanymi po trzech polach, niż dopuścić do ślubu Cadwallona z kobietą z rodu Yffingów. Może dzieci Cadwallona. Dzieci są bardziej uległe. Cadwallon miał z pierwszą żoną dwie córki. Hilda nie pamiętała, czy są w wieku pozwalającym na zamążpójście, ale wydawało jej się, że starsza — Angharada? Antretha? — chyba tak. Gdyby Cadwallon miał choć trochę rozumu, starałby się wydać córkę za Pendę.

Edwin nie mógł dopuścić do sojuszu między Gwyneddem i Mercją. Ona nie mogła do tego dopuścić.

„Oni są naszymi wrogami. My za nich wychodzimy”.

To takie proste. Ona i Penda.

— Mocniej — powiedziała Begu. Hilda zamrugnęła. Begu wskazała ruchem głowy na zwisającą tkaninę, a potem spojrzęła uważnie na Hildę. — Wyglądasz... Nie wiem. Jest ci za gorąco? Wejdźmy do środka. Wilnoða mówi, że Ardduna znalazła kogoś, kto wie, gdzie jest polana z poziomkami. Lubisz je. A ja i tak chcę porozmawiać z twoją matką o tym brązowym materiale, który dostała wczoraj z Aberfordu. Jest wspaniale utkany i naprawdę miękki. Mogę się założyć, że lepszy od tuniki, którą król dostał od papieża. Chociaż nie tak lśniący; do tego trzeba mieć obce kozy. Ale kolor będzie pasował Uinniau,

prawda? Poza tym, jeśli mamy się pobrać, muszę zrobić z pół setki rzeczy.

Pobrać się. Co ma być, jest. Ale nie ma nic złego w ostrożności i zapewnianiu sobie dróg odwrotu. Oraz Cianowi. To, do czego doszło między nimi, było błędem powstałym z jej strachu o jego bezpieczeństwo. Tylko ze strachu. Może to naprawić.

— Poproś Wilnołę, żeby odłożyła dla mnie trochę poziomek. Muszę porozmawiać z królem.

Król oparł podbródek na zwiniętej dłoni.

— Chyba już o tym rozmawialiśmy, bratanico. Jeśli tak się zakochałaś w swoim bagnie, to idź się w nim mozolić.

— Dziękuję, wuju.

Wrona się nie uśmiechnął, ale Hilda poczuła, że nie przygląda się jej już z takim napięciem. Uspokoił go pobłażliwy ton króla. Rywalom się nie pobłaża, podobnie jak doradcom. Pobłaża się bratanicom, mało znaczącym dziewczętom i pionkom w małżeńskich planach.

— Tylko postaraj się nie narazić nikomu ważnemu.

— Tak, wuju.

— A gdybyś przypadkiem usłyszała lub zobaczyła coś ciekawego, będę wdzięczny za wiadomość.

— Tak, wuju. Czy mogę w tym celu wziąć ze sobą paru ludzi?

Spojrzenie Wrony się wyostrzyło.

— Jutro, jak dobrze wiesz, kilku ludzi wyrusza do Caer Loid i Aberfordu.

— Tak, wuju. Jestem jednak pewna, że Pyr znajdzie zajęcie dla każdego z nich.

— Och, doskonale, weź swoje wierne ogary. Ale pojedziesz bez mojego znaku.

Wrona się rozluźnił.

— Tak, wuju.

Gdyby zaproponował jej znak, odmówiłaby. Celem wizyty było sprawdzenie, jakiego znaku potrzebuje lub nie potrzebuje.

Wyjechała ze swoimi domownikami, dwudziestką ludzi Edwina mających wzmocnić garnizony w Caer Loid i Aberfordzie, oraz wozem pełnym wyrobów, których te garnizony — oraz jej własne Menewood — nie potrafiły wytworzyć. Niektórzy gesithowie mieli świeżo zagojone rany. Hilda narzuciła spokojne tempo.

Kiedy dotarli do starej wojskowej drogi prowadzącej do Elmetu, obróciła się w siodle i powiedziała do Oerica:

— Zaśpiewajcie coś! Coś skocznego!

Zagłębili się w chłodny las, śpiewając o Kędzierzawej Kotce z Caer Daun, która miała nieprawdopodobną liczbę przygód z imponująco różnymi mężczyznami.

Kiedy wyszli spod osłony drzew i znaleźli się na grzbiecie wzniesienia, Hilda wstrzymała oddech. Lecz nowa halla i schludne chaty w niczym nie przypominały pałacu Cerediga ani dawnych czasów z Cianem. Sądów mogło tu nigdy nie być, a wielka dziura po wyrwanym z ziemi głogu zarosła trawą i była częściowo ukryta za mocną palisadą. Stary dąb wciąż rósł na swoim miejscu, lecz obok nowego kościoła. Dym wysnuwający się spod okapów był dymem z drewna, nie torfu, a tam, gdzie gęgały gęsi, teraz ryczała krowa. To był królewski, całkowicie angielski vill.

A przed nim ustawił się na powitanie Hildy rząd uzbrojonych mężczyzn z włóczniami o grotach błyszczących w słońcu. Uśmiechnęła się. Najwyraźniej dla Pyra nie było ważne, czy ma przy sobie znak czy nie.

Pyr i jego nowa żona, córka miejscowego tana, powitali ich ucztą i za każdym razem, kiedy Hilda chwaliła jakąś potrawę, Pyr dokładnie wyjaśniał, skąd pochodziła i jak się ją przyrządza. Łabędź? Z rzeczki na północnym wschodzie, o której wiedział dzięki swojemu starannemu zeszłorocznemu przeglądowi. Łosoś? O, tak, nie pozwolił gesithom oddawać moczu do rzeki na wschód od jazu, żeby miały czyste tarlisko. Nieszpułkowe masło? Cóż, szczęśliwy wiosenny handel, chociaż właściwie wcale nie był szczęśliwy, bo oczywiście to było staranne podtrzymywanie handlowej sieci, jaką rozwinęli wealh — o, przepraszam, Loidowie — od czasu, kiedy królem był Ceredig. Odbudowanie jej wymagało nieco cierpliwości i starannych negocjacji...

„Staranny” było ulubionym słowem Pyra i przyglądając mu się spod przymkniętych powiek, Hilda zastanawiała się, czy używał go tak często, żeby przeciwstawić się opinii lekkomyślnych i nieprzezornych, jaką mieli wealh. Jak to by było dorastać z takim obciążeniem? Ale to dzięki pochodzeniu Pyra król mógł spokojnie mianować go zarządcą tak ważnego vill. Nawet gdyby Edwin nie składał w nim częstych odwiedzin i nie odcisnął na nim swojego piętna, miejscowi tanowie nie wykonywaliby poleceń jakiegoś wealh. A przynajmniej nie zwykłego wealh.

Żona Pyra, Saxfrytha, ostrożnie napełniła puchar Hildy. Hilda napomniała się, by pilnować wyrazu twarzy. Biesiadnicy cały czas ją obserwowali. Może i nie miała przy sobie znaku, lecz znali pieśni, a ona wciąż była bratanicą króla i jego jasnowidzącą. Na pewno chcieli zostać zarządcami kogokolwiek, kogo Edwin mianowałby ealdormanem, a jej słowo miało znaczenie. Uśmiechnęła się do kobiety i powiedziała:

— Znam inną Saxfrythę, która mieszka na południowy wschód od Aberfordu. Jest dobrą tkaczką, ale jeśli chodzi o przyrządzanie miodu, to mogłaby się tego nauczyć od ciebie. Jest bardzo dobry.

Saxfrytha się zarumieniła.

— Pyr, ty i twoja żona dobrze zarządzacie królewskim vill. Król usłyszy o tym ode mnie.

Może on też się zarumienił, lecz skórę miał tak ogorzałą od słońca, że trudno było to stwierdzić.

Spędziła nad Aire trzy dni, rozmawiając z wszystkimi w vill i przesadnie wszystko chwalać: mocną palisadę, piękne rzeźbienia w halli, czarną ziemię i zdrową kapustę w kuchennym ogrodzie, głośnie brzęczenie pszczół w kószkach ustawionych wzdłuż jego granicy. Słuchała stajennych, którzy mówili o paszy dla koni i niechęci miejscowych tanów do rozstawania się z odpowiednią karmą. Omawiała z Saxfrythą najlepszy sposób werbowania nowych kobiet; w halli wciąż brakowało dobrych lnianych tkanin. Powiedziała ogrodnikowi Pyra, że tak naprawdę brakuje tu sadu i że, tak, wie z doświadczenia, że i jabłka, i gruszki będą dobrze rosnać po wschodniej stronie palisady.

Rozmawiała, słuchała i próbowała, aż domownicy Caer Loid zaczęli się odprężyć. Wciąż powtarzała, że król będzie zadowolony, ale oni mimo to starali się przewidzieć jej potrzeby i zabiegali o jej przychyłność, denerwując tym i ją, i Gwladus.

Noce były lepsze. Hilda odnowiła znajomość z Lweriaddą i Sintiaddą; obie zrobiły się pulchniejsze, ale nadal rzucały przebiegłe spojrzenia i wypowiadały cięte uwagi. Siedząc przy ogniu w letni wieczór jako Hilda, córka niedosłego króla, a nie Hilda, jasnowidząca zwierzchniego króla, i rozmawiając wyłącznie po brytyjsku, czuła, jak jej twarz układa się w nowe, radośniejsze, młodsze rysy. Jednak w miarę jak słuchała — każdego żartu, każdej skargi, każdej pieśni, każdej gniewnej tyrady — spostrzegła, że zadowolenie tych ludzi jest podszyte nutą niepokoju, poczuciem odległych kłopotów. Wyodrębnienie tej nuty trochę trwało: tanowie nie przychodzili do halli na plotki ani w poszukiwaniu najnowszych wiadomości tak często, jak zdaniem Loidów powinni; Anglowie byli podejrzliwi.

A co budziło ich podejrzania? Że Loidowie mają konszachty z Chrystusem, a więc i z siecią księży wealh, czyli ze szpiegami ludzi, którzy chętnie zajęliby Elmet i obaliliby króla Edwina.

Czy nie słyszeli, że król Edwin właśnie odniósł wielkie zwycięstwo nad Walijskimi? — zapytała Hilda. Owszem, odparła Lweriadda. Ona o tym wie; wie o tym każdy, kto je ciasto jęczmienne. Wie, że połowa chrześcijańskich księży z okolicy to synowie księży, którzy odziedziczyli swoje książki i potrafią napisać jedynie własne imię. Ale jedzący pszenicę Anglowie są podejrzliwi. Pytają, gdzie jest Cadwallon? Kto go ukrywa? Kto z nim spiskuje? Ona wie, że Cian Krzykliwy Płaszcz zamknął walijskiego króla w jednej z jego zielonych dolin — wysłać króla, żeby pojmał króla, co? i to takiego przystojnego! — ale Anglowie uważają, że wszyscy wealh są tacy sami.

Następnego ranka Hilda poinformowała Pyra, że zamiast pojechać prosto do Menewood, osobiście odprowadzi gesithów do ich posterunku w Aberfordzie; a na wypadek, gdyby Paulin miał w halli jakichś szpiegów, powiedziała, że panią Breguswithę ucieszy wiadomość o postępach tkactwa.

Morud poprowadził ich na północny wschód do grobli Brida, obok Berewithu i dalej do Aberfordu.

Hilda poczuła jego zapach, zanim jeszcze przejechali przez brzeg Becca. Ściągnęła wodze i zamknęła oczy. Dym, stary mocz, ług, nawóz i dodająca wszystkiemu słodczy rezeda.

— Pracownicy spędzali czas — rzekła. — Przy tkaninach musi tu chyba pracować dwadzieścia kobiet.

Mężczyźni wysłani do pomocy w aberfordzkim garnizonie spojrzeli po sobie, a jeden z nich dotknął swojej piersi, gdzie na pewno miał amulet, lecz Oeric i pozostali wymienili znaczące spojrzenia — oprócz Grimhuna, który, pochylony do przodu w siodle, bawił się bransoletą na ramieniu. Hilda machnęła do niego ręką.

— Jedź. Zobacz, co zrobili z twoimi murami.

Grimhun skłonił z wdzięcznością głowę i puścił konia galopem.

Reszta pojechała za nim, podzwaniając uprzężą w kłusie.

Aberford było dziwnie podzieloną osadą: gesithowie w długim budynku nad brzegiem rzeki na zachód od drogi, kobiety w kilku chatach po wschodniej stronie. Ta wschodnia część jaśniała plamami żółci, zieleni, brązu oraz mniejszymi skrawkami czerwieni, błękitu i czerni — na stojakach i linach suszyły się tkaniny. Kozy były

uwiązane — kozy lubią jeść dobrą wełnę — a dzieci wrywały chwasty z zagonów rezedy i innych roślin barwierskich. Na powierzchni świeżo wykopanego stawu pływała tam i z powrotem wyglądająca na zagubioną kaczką.

Hilda zatrzymała się tu na tyle długo, by spotkać się z dowódcą garnizonu oraz z Heiu, kobietą, której Breguswitha powierzyła zarządzanie wytwórczyniami tkanin. Hilda pochwaliła ją za jakość materiału — Begu miała rację, był bardzo delikatny — i obiecała, że w drodze powrotnej spędzi w Aberfordzie więcej czasu, żeby móc obejrzeć chaty tkackie i porozmawiać o dostawach.

A potem pojechała z Oerikiem, braćmi Berhtami, Morudem i Gwladus na południowy wschód przez porośniętą kępami trawy wyżynną krainę owiec do sadyby Ceadwulfa i tej drugiej Saxfrythy.

Ceadwin miał teraz siostrzyczkę, Ceadfrythę, która była jeszcze w powijkach. Saxfrytha wciąż nosiła na palcu żółty pierścień Hildy, lecz dodała do niego cienką srebrną obrączkę z jakimś mętnym niebieskim kamieniem, którego Hilda nie umiała zidentyfikować. Obrączka była ażurowa, nie lita — ale z prawdziwego srebra.

Mężczyźni poszli z Ceadwinem obejrzeć konia, o którego ocenę poprosił ich Ceadwulf, a Gwladus zniknęła w kuchni, żeby poobserwować służbę. Hilda i Saxfrytha usiadły w ogrodzie z chlebem i serem. Ceadfrytha leżała w drewnianej kołysce przy lewej ręce Saxfrythy.

— Dobry ser — powiedziała Hilda i uśmiechnęła się do śpiącego niemowlęcia. — Wygląda na silną, dobrze karmioną. A Ceadwin jest chyba wyższy o trzy dłonie.

Saxfrytha rozpromieniła się jak każda kobieta chwalona za dzieci i prowadzenie gospodarstwa.

— Bogowie są łaskawi. — Westchnęła i wzruszyła ramionami. — A ty, pani? Czy bogowie są łaskawi dla ciebie?

— Tak, chociaż teraz król i jego domownicy zwracają się o pomoc do Chrystusa.

— Chrystus.

Saxfrytha przygryzła wargę, pochyliła się nad śpiącym dzieckiem i odpędziła muchę, której nie było.

— To bóg jak każdy inny — rzekła Hilda. — Z księżmi, którzy są ludźmi i mają ludzkie zachcianki. Znam kilku dobrych księży, i wealh, i Anglów.

— W zeszłym roku przejeżdżali tędy gesithowie szukający księży wealh. Mówili, że to szpiedzy. A potem przybyli angielscy księża, ale oni byli bardziej jak ludzie zarządcy niż księża; obmacywali owce, sprawdzając, ile mają wełny, próbowali piwo, oglądali krowy i patrzyli, ile jest siana w stogu. Wszystko ważyli w głowie, dodawali i robili znaki na tych swoich tabliczkach.

Jeśli Paulin nie będzie uważał, to jego gorliwość wbije się klinem między mieszkańców Elmetu i z powrotem podzieli ich na Loidów i Anglów. Gdyby była Cadwallonem, mogłaby to wykorzystać.

— Kobieta powinna sama oceniać księży, tak jak ocenia wszystkich innych ludzi. Jeśli będą wysuwać niesłuszne według ciebie żądania, porozmawiaj z człowiekiem króla w Caer Loid.

— Podobno jest półwealh.

— Tak. I dobrym człowiekiem króla.

— Podobno gesith, z którym tu byłaś ostatnim razem, Krzykliwy Płaszcz, też jest wealh. Syn króla.

Hilda skinęła obojętnie głową.

— Podobał mi się — stwierdziła Saxfrytha.

— Tak. Smakowały mu twoje grzyby w maśle.

— Pamięta! — Saxfrytha posłała Hildzie łobuzerskie spojrzenie. — Nie jest z tobą?

— Jest w Gwyneddzie. Jest prawą ręką króla.

— No proszę! Wealh.

— Jeszcze jeden wealh — przypomniała Hilda. — Tak jak Pyr. Zaufany człowiek. I wart poznania. — Saxfrytha skinęła głową. — Czy Aberford to dobry rynek dla twojej wełny?

— Tak, pani. Chociaż niezwykle wybredny. Odrzucili połowę wełny naszej sąsiadki. Powiedzieli, że ma krótkie włókna. — Uśmiechnęła się z samozadowoleniem. — Ale moje owce dają najlepszą wełnę. Ceadwulf wie, jak je hodować.

Hilda uśmiechnęła się i skinęła głową.

— A zatem dobry rynek dla dobrej wełny. Wystarczy z nawiązką na zrównoważenie dziesięciny dla króla?

Jak wszyscy dobrzy handlarze Saxfrytha chciała uniknąć chwaleń towaru sprzedawcy, a przynajmniej bezpośredniego chwaleń, lecz Hilda patrzyła jej w oczy.

— Tak, pani. Z nawiązką.

Hilda skinęła głową, zjadła kawałek sera i odchyliła głowę, by popatrzeć na jastrzębia krążącego na niebieskim niebie.

— Pani? Ceadwin ma już siedem lat.

Hilda na chwilę zamknęła oczy.

— Gdyby poszedł ze mną, nie miałby żadnych przybranych braci ani sióstr.

— Na razie.

— I musiałby zostać ochrzczony.

— Chrystus to bóg jak każdy inny. Jak mówisz.

— Dużo podróżuję.

— Nie szkodzi. Obiecałaś, pani. Nie będzie sprawiał kłopotu. Poza tym wszyscy wiedzą, że jak się ma przy sobie dziecko, to niedługo samemu zaczyna się rodzić. A Krzykliwy Płaszcz nie zostanie w Gwyneddzie na zawsze.

Hilda wstała.

— Przyślę po niego na wiosnę.

Jechali lśniąca, podzwaniającą kolumną. Mijali kępy lepnicy i żmije wygrzewające się na południowych płaszczyznach głazów. Niebo było niebieskie jak środek chabry, a kolcolist płonął żółcią.

Przejechali w dół około mili do pradawnej drogi, a potem ruszyli na północ równolegle do linii niskich wzgórz.

Hilda uważnie przyglądała się prawemu skrajowi drogi.

— Nie zobaczysz ścieżki — odezwał się przy jej nodze Morud; w przeciwieństwie do Gwladus nadal wolał własne nogi od końskich. — Za każdym razem szedłem inną

drogą. W ten sposób miejsce pozostaje jakby tajne.

— Tajne.

— Nigdy nie mówiłaś, ale pomyślałem, że może tak będzie lepiej.

Hilda ucieszyła się, bardzo się ucieszyła. Tajne. Tak.

— Morudzie, dam ci za to nowy nóż. Dwa noże.

Hilda poprzednio zakochała się w tym, czym mogło się stać Menewood. Teraz zakochała się w tym, czym się stawało: kwitnącą osadą w żyznej, na wpół tajnej dolinie mokradeł, strumieni, stawów i łąk.

Cztery tuziny dusz bez jednej, powiedział jej Rhin, oraz pola koniczyny i owsa, jęczmienia i kapusty. Pokazał jej karbownice na wszystko: od ludzi zdolnych do utrzymania sierpa poprzez świnie i kósзки do mlecznych krów. Obejrzeni stajnię zbudowaną z dobrego dębu, maleńką nową kuźnię i mleczarnię wyłożoną suchym kamieniem. Rhin pokazał jej oczyszczoną młynówkę, wielkie kamienie młyńskie z piaskowca z Whinmoor i niemal skończone koło młyńskie z wiązu. Zaprowadził ją do skupiska chat i zagród, jednych z drewna, innych plecionych z gałązek, a jeszcze innych z kamiennymi fundamentami i dachami krytymi trzcina. Wszędzie mężczyźni i kobiety klękali przed nią i całowali jej dłoń. Hilda nie była tylko jasnowidzącą i bratanicą króla, lecz ich dryhten, ich panem. Żyli i oddychali dzięki jej woli i skuteczności zarządzania ziemią.

Hilda unosiła podbródki dzieci, by zajrzeć im w oczy, i przytrzymywała dłonie starych ludzi, by poczuć ich kości. Ci o zmętniałym wzroku, powiedział Rhin, przybyli do doliny niedawno. Wkrótce nabiorą ciała i zaślnią. Serce rosło Hildzie, aż ledwie mogła oddychać: jej ludzie.

Przez pierwsze dwa tygodnie wszystkie poranki i większość popołudni spędzała z Rhinem na chodzeniu, rozmawianiu, pokazywaniu, przesypywaniu zboża między palcami, słuchaniu brzęczenia pszczół. Wziął ją za słowo i na wiosnę wysłał wszystkie dzieci na poszukiwanie pszczół, nagradzając znalezienie każdego roju. Mieli dwóch pszczelarzy, chociaż jeden z nich głównie wypłatał kósзки, a te aż ociekały miodem.

Wieczorami chodziła po swojej dziedzinie tak jej świadoma, jak była świadoma własnego ciała. Ważki śmigające nad wodą; szum, pęd i zapach młynówki; cichy plusk strumienia. Klekotanie trzcina nad stawem pachnącym zielonymi tajemnicami; ćwierkanie strzyżyków i mysikrólików kłócących się między sobą jak rywalizujące grupy dzieci.

Gdziekolwiek patrzyła, myślała o tym, co musi powiedzieć Rhinowi: odłożyć dużo miodu na biały miód; przerzedzić zagajnik i dopilnować, żeby jesienią wyprodukować więcej węgla drzewnego, bo następnego roku, kiedy Penda wykona swój ruch, będzie wojna, długa ciężka wojna, a wojna oznacza żelazo, a nie ma wytapiania rudy bez węgla drzewnego. Wyhodować więcej kóz, zwłaszcza tych z długim runem. Wypasać je w tamtym zaniedbanym bukowym młodniku — ogłowić większe sztuki, a kozy niech ogryzą resztę albo ściąć wszystko na opał i siano drzewne.

Zakochała się więc w tej dolinie, a dolina zakochała się w niej. Jej ludzie, jej ziemia dodawali otuchy. Wszystko wydawało się okrągłe i dojrzałe. Powietrze było mocne i słodkie jak cydr. Odżywiało ją już samo oddychanie. Połowę nocy spędzała, leżąc nad stawem i słuchając szumu rogoży oraz kumkania żab. O świcie jeździła na Cygnet wzdłuż

grzbietu i cieszyła się na następny miesiąc, kiedy zaczną wracać sokoły wędrowne.

Moje, pomyślała, patrząc na lasy i przeświecającą przez ich zieleń wodę. Moje, pomyślała, kiedy mężczyźni i kobiety ustawili się w szereg do żęcia jęczmienia. Moje, pomyślała, kiedy poczuła zapach czosnku niedźwiedziego dolatujący z właśnie oczyszczonej polany w leszczynowym zagajniku. Moje, moje, moje.

Zlekceważyła grzechot pudełka schowanego w jej sercu i szept: „Penda...”. Nie teraz. Jeszcze nie. Tutaj, teraz, to jest jej. Tajne. Ukryte.

Czasami w pustym ogłowionym dębie na południe od doliny znajdowała listy zostawione przez jakiegoś księdza dla Rhina, ale częściej siatka księży ujawniała się pod postacią zmęczonych ludzi przybywających nocą i szeptem dzielących się z Rhinem plotkami o wyspie, by potem pójść dalej na północ, zachód albo na wschód na wybrzeże i popłynąć łodzią do Mniejszej Brytanii.

Czasami do późna w nocy piła u Rhina wrzosowe piwo i omawiała z nim przyniesione wieści. Piktowie wysłali do Rhegedu coś w rodzaju poselstwa, ale spotkali się z odmową. Tak, spróbuje się dowiedzieć więcej. Podobno Cadwallon jest w Irlandii. Sprawiał tyle kłopotów, że do poskromienia wichrzycieli Domnall Brecc wysłał zbrojny oddział pod wodzą Oswalda Idinga. Zgodzili się, że to dobra wiadomość dla Edwina: dwaj wrogowie sprzecząją się ze sobą.

To także dobra wiadomość dla Ciana Krzykliwego Płaszca: będzie mu w Gwyneddzie o wiele łatwiej bez pogłosek o królu, które mogłyby wzbudzić sprzeciw miejscowych. Może niedługo wróci do domu.

Tej nocy Hilda nie mogła zasnąć; poszła do lasu i położyła się na brzuchu obok czosnku na polanie. Oparła policzek na dłoniach i patrzyła wzdłuż źdźbeł trawy, w księżycowym świetle matowych jak ołów. Czy Cian siedzi pod księżycem w Deganwy? Może tam pada. Może siedzi z podbródkiem opartym na dłoni i z rogiem do picia zwisającym z drugiej, zasłuchany w porywającej walijskiej pieśni, na wpół pijany, na wpół marzący o chwale. Chociaż teraz zdobył już mnóstwo chwały. Może słucha pieśni o sobie. Eadfrith wciąż przebywał w Dyfneincie, więc Cian był najważniejszym Anglem w Gwyneddzie, a scopowie i walijscy bardowie nie są głupi.

Istniało też mnóstwo pieśni o Pendzie. Był przebiegły, młody i silny. Lecz decyzja związana z Pędą musiała poczekać. Hilda zastanawiała się, czy Cadwallon zostanie w Irlandii. Jest chytry jak lis, a jego nienawiść jest głęboko zakorzeniona. W Irlandii nie ma czego szukać. W końcu wróci do Gwyneddu. Cian powinien dla bezpieczeństwa wrócić do domu, a ona mogłaby opowiedzieć mu o wszystkim, co widziała, czego się dowiedziała oraz o ludziach, którym pomaga. Pokazałaby mu dolinę i opowiedziała o swoich planach. Mogliby naprawić to, co się między nimi popsulo. Mogli to zlekceważyć. To się nie wydarzyło.

Na skraju polany dyszał i prychał jeź, który szukał w trawie ślimaków i robaków. „Żebyśmy mogli przepijać do siebie bez względu na to, gdzie będziemy”.

Jęczmień został zżęty i sechł. Na wieść o bandytach Hilda i jej gesithowie pojechali do Whinmoor.

Dzień był piękny, zdrowy jak późna śliwka. Jechali od stada do stada, od zagajnika do zagajnika, lecz niczego nie znaleźli. Kiedy zawrócili z powrotem do doliny, Hilda

poczuła, że jest zadowolona; nie chciała patrzeć, jak w czyichś oczach gaśnie światło. Niemniej Cygnet była nerwowa. Nie tylko ona. Wierzchowiec Oerica tańczył i parskał.

Złowiła spojrzanie Oerica, a potem Berhtnotha. Uśmiechnęła się.

— Pierścień dla tego, kto wróci pierwszy!

Puściła Cygnet cwałem, a jej ludzie runęli za nią z okrzykami i gwizdami.

Tak więc kiedy zobaczyła ptaki podrywające się z oplecionego bluszczem starego dębu, który rósł po północnej stronie strumienia płynącego z zachodu na wschód tuż przed skretem na południe w dolinę, krew śpiewała jej w żyłach. Rzuciła Cygnet w ciasny zakręt i zwolniła do galopu, a potem do kłusa i ściągnęła wodze.

Jakimś fragmentem świadomości zauważyła, że gesithowie też skręcają jej śladem, ale była skupiona na drzewie, niepewna, co zobaczyła, lecz pewna, że coś kazało jej zwrócić na nie uwagę.

Jest. Szpak z wijącym się robakiem w dziobie zniknął w głębokim rozwidleniu górnych gałęzi na wysokości jej potrojonego wzrostu. A potem, tak, gołębica z muchą. Serce Hildy waliło po szybkiej jeździe, a Cygnet dyszała, lecz stopniowo obie uspokoiły oddech. Po pewnej chwili od dębu odleciała najpierw gołębica, a potem szpak.

Hilda zeskoczyła z siodła. Gęsty bluszcz ułatwił jej wspinaczkę. Zanim Oeric zdążył zeskoczyć ze swojego parskającego wierzchowca, już siedziała na prawym konarze i zaglądała w rozwidlenie. Ułamaną gałązką odgarnęła bluszcz.

Gniazdo. Cztery pisklęta. Kiedy gałązka wysunęła się spomiędzy liści, podniosły łebki, zamachały skrzydełkami i otworzyły ogromne dzioby, ukazując czerwone gardziółka.

Dwa szpaki i dwa gołębice.

— Pani? — zawołał Oeric spod drzewa.

— Gołębice i szpaki — powiedziała ze zdumieniem. — W jednym gnieździe.

— Gołębice i szpaki?

— Gołębice i szpaki. — Roześmiała się. — Szpaki i gołębice!

Oeric wyglądał na zdenerwowanego, ale nie przejęła się tym. Znowu się roześmiała, a w ciemności pękły łańcuchy i pudełko rozpadło się w pył.

— To znak, Oericu. Znak! — Jego koń wyglądał dobrze, podobnie jak konie Grimhuna i Berhtnotha. Wytrzymają jeszcze kilka godzin. — Znaki trzeba rozgłaszać!

Tego wieczoru piła piwo z Rhinem. Czowała się wspaniale, jakby to był pierwszy poranek świata.

— Wysłałam ich galopem do wszystkich zakątków Elmetu, do Caer Loid, do Aberfordu, do Saxfrythy, nad południową rzekę, nawet do Whinmoor. Gołębice i szpaki w jednym gnieździe jak Loidowie i Anglowie razem mieszkający w Elmecie. — Znak, który przekona nawet Edwina. — To jest możliwe. To wszystko jest możliwe.

Rhin uśmiechał się do niej.

— Oczywiście, pani. Dzięki tobie. Zjedz trochę porzeczek. Nasz ostatni gość zebrał je rano po drodze, a twoja kobieta powiedziała, że lubisz jagody.

Hilda zjadła garść porzeczek, rozgniatając kwaśno-słodkie pęcherzyki ciemnoczerwonego soku językiem o zęby. Gołębice i szpaki. Szpaki i gołębice. Musiała tylko wymyślić, jak przedstawić to Edwinowi i jak ściągnąć Ciana do domu.

— Niestety, nasz gość nie chce nikomu powiedzieć, gdzie rosną. Mówi, że do niego należy wiedza, a do nas wdzięczność. Ale przyniósł wieści. Pogłoski o Cadwallonie. Podobno jest w Mniejszej Brytanii.

Mniejsza Brytania. Cadwallon nastawia zamorskich Brytyjczyków przeciwko Anglom. O, tak, Edwin będzie musiał słuchać. Elmet potrzebuje Ciana. To poskutkuje. Gołębie i szpaki. Szpaki i gołębie.

— To tylko pogłoska, mniej niż pogłoska, szept. Chociaż na pewno ucieszy Krzykliwy Płaszcz, skoro tak się interesuje tą walijską księżniczką.

Hilda ostrożnie przełknęła ślinę.

— Walijską księżniczką?

— To najnowsze wieści. Córką Cadwallona.

Język miała jak z drewna.

— Niewątpliwie kolejna szalona plotka.

— O, nie. To prawdziwa wiadomość. Słyszałem ją dwa razy.

— Cóрка z nieprawego łoża?

— Nie. Najstarsza z pierwszej żony. Angetha, jego skarb. Z tego, co mówią, wyjątkowa piękność, dojrzała jak czerwcową poziomką i dwa razy od niej subtelniejsza. Teraz odgrywa panią i gospodynię w królewskiej halli w Deganwy. Jak myślisz, Krzykliwy Płaszcz ma tam zostać królem podległym Edwinowi?

Tak musi się czuć ktoś, kto wygrywa walkę, unosi rękę do tryumfalnego ciosu i nagle mruga, chwieje się, patrzy w dół i widzi w trawie grubego węża, ale to nie jest wąż, tylko ręka wciąż ściskająca kij w dłoni. Między jednym a drugim mrugnięciem jej ręka już nie była jej ręką. Istnieje, lecz nie jest już jej. Głupi, głupi Cian.

— Pani?

Patrzyła, jak jej ręka — wyglądała tak obco — sięga po porzeczkę, wybiera najbardziej czerwoną, najbardziej mięką i wkłada ją do ust. Z rozmysłem rozgniotła ją na zębach.

Kiedy odpadły możliwości wyboru, łatwiej było zrozumieć świat. To jak rozumienie drzewa, kiedy opadły z niego wszystkie liście: oto jest, wzór konarów, drzewo samo w sobie.

Wszędzie dostrzegała wzory. Tam, gdzie poprzednio widziała kwiaty oblegane przez pszczoły, teraz widziała, że pszczoły najbardziej lubią czerwone kwiaty. Czerwone i prążkowane.

— Posadź więcej floksów — powiedziała do Rhina. — Floksów, czerwonej koniczyny i lepnicy.

Nie chciało jej się wyjaśniać. Nie powtarzała się. Więcej czerwieni oznaczało więcej miodu, co znaczyło więcej miodu pitnego, a zatem więcej ludzi skłonnych do słuchania. Będzie potrzebować słuchających ludzi, bo inaczej Cian zginie, a razem z nim zginie Elmet. Edwinowi ta wiadomość się nie spodoba. Potrzebowała czasu do namysłu, do sporządzenia planu, zanim Edwin ją usłyszy.

W miarę jak chłodły dni, chłodły też otaczające ją kolory. Jaskrawoczerwone kwiaty zostały zastąpione ciemnoczerwonymi jagodami. Słońce zachodziło wcześniej. Jagody nabrały niebieskawego odcienia. Może to ciepło nadaje kolor. Czerwień oznacza

życie. Błękit oznacza niebieskie wargi, ciężki oddech i śmierć. Koniec wszystkiego.

Często samotnie jeździła konno albo chodziła od świtu do zmierzchu, wszystko obserwując. Zauważyła, że w chłodne dni krowy ustawiają się bokiem do słońca, ale nozdrzami do wiatru, a poza tym kiedy śpią i przeżuwiają, kierują się głową albo ogonem na południe.

Potem uświadomiła sobie, że jelenie też stają na linii północ-południe.

Wszędzie były wzory. Ujrzała wzór w małych skupiskach późnych stokrotek, które przypomniały jej o nasionkach na poziomce. Istniał tu porządek, niemal czuła jego smak, lecz nie umiała go wyrazić. Jeśli tylko będzie nadal patrzeć, wszystko stanie się jasne.

Zaczęły się pojawiać sokoły wędrownie. Najpierw młode. Brązowe i płowożółte. Samice, a za nimi mniejsze samce. Dlaczego młode ptaki są takie nieefektywne? Dotyczyło to wszystkich gatunków. Dorosłe osobniki, które przybywały parę dni później, miały o wiele bardziej zdecydowane kolory: niebieskawoczarny z wierzchu, białawy z szarymi prążkami pod spodem. Czy to coś znaczy?

Niebo poszarzało. Trawa wyblakła. Opadły liście. Z Gwyneddu docierały kolejne plotki: Cadwallon szykuje statki w Mniejszej Brytanii. Ætheling Eadfrith planuje zostać na Gody z Clemenem w Caer Uisc. Kobieta Krzykliwego Płaszcz jest w ciąży.

Kiedy Morud przyniósł z Caer Loid wiadomość, że król pragnie mieć swoją jasnowidzącą przy sobie w Yorku, Gwladus już pakowała rzeczy.

Hilda stanęła przed Edwinem w płaszczu podróżnym. Królowi towarzyszyła tylko królowa, Paulin i Coelfrith; nie było nikogo więcej, nawet Szczepana, który bez końca skrzypiał rysikiem.

Edwin miał czerwone obwódki wokół oczu.

— Co wyprawia ten Krzykliwy Płaszcz?

„Zabija nas wszystkich”. Lecz nawyk chronienia go był zbyt silny.

Strzepnęła z płaszcza grudkę ziemi.

— Jest moim człowiekiem, królu.

— Z własną córką Krętacza? — odezwał się Paulin.

— Na pewno z nimi wszystkimi.

Cisza.

— Jest młody — rzekła Etelburga. — I czuje się jak zdobywca.

— Ja jestem zdobywcą.

— Tak, panie — powiedział Paulin. — On jest wywyższającym się gesithem.

— On myśli portkami, królu — stwierdziła Hilda. — Jak wszyscy młodzi mężczyźni.

— Oprócz mnie.

Hilda z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że król ma rację. Nigdy nie widziała, by po bitwie brał kobietę.

— Ty jesteś królem, panie. Cian jest człowiekiem króla. Twoim lojalnym człowiekiem.

— Ale żeby ją zapłodnić!

Hilda pochyliła głowę. Cian postąpił głupio.

— Może to sprowadzi Cadwallona z powrotem — powiedziała Etelburga.

— Jest już za późno, żeby statek zdołał przyplłynąć z Frankii — rzekł Paulin lekceważącym tonem.

Hilda zastanowiła się nad tym. Frankia, nie Mniejsza Brytania? Dziwiła się też, dlaczego królowa nie kazała wychłostać Paulina za ten ton. Lecz Wrona miał rację, teraz nie miało to znaczenia: aż do wiosny nikt nie zdoła przepłynąć morza czy to z Frankii, czy z Mniejszej Brytanii. Były inne powody do zmartwienia.

— Cadwallon ma dwie córki — powiedziała Hilda.

— Och, na Chrystusa! Nie mów mi, że drugą też wziął.

— Nie, królu. W moich najgorszych snach ona jest w łóżku Pendy.

W oczach Edwina zakłębiła się zieleń i czern, lecz król zwrócił spojrzenie nie na Hildę, lecz na swoją królową, zarządcę i księdza.

— A dlaczego żadne z was wcześniej o tym nie wspomniało? — Odwrócił się z powrotem do Hildy. — I gdzie ty się podziewałaś?

Zima okazała się łagodna. Hildzie wydawało się, że wszystkie kobiety w halli są w ciąży. Oprócz Etelburgi, która cały czas uśmiechała się do ich brzuchów. Sprawiała wrażenie naprawdę szczęśliwej tylko wtedy, kiedy na dwanaście dni Godów przyjechał Jakub i podczas mszy poprowadził nowy chór. Kiedy wrócił do Craven, królowa wróciła do uśmiechania się i chowania swojego zdania dla siebie. Hildzie przyszło do głowy, że kobieta królewskiej krwi musi się czuć jak zakładniczka w wojskowym obozie. Jej posłańcem był Paulin. Czy tak czuje się Hereswitha, czy tak czuła się jej matka?

Próbowała z nią o tym porozmawiać, lecz Breguswitha — jak Begu — spędzała większość czasu ze swoim mężczyzną. Sprawiała wrażenie niecierplivej: nie przemieszczały się żadne armie, zimowych mórz nie mogły przebyć żadne wiadomości, do wiosny nikt nie mógł nic zrobić. Może Hilda powinna przestać myśleć i zacząć się bawić? Hilda zastanawiała się, czy jej matkę opętał ælf, czy może tak wygląda życie z mężczyzną. Nie mogła przestać myśleć tak, jak nie mogła przestać oddychać.

Pomyślała o poślubieniu Pendy. Edwinowi to by się spodobało. Jednym z warunków zawarcia małżeństwa byłoby nawrócenie Pendy. Edwin zostałby jego ojcem chrzestnym, a więc i zwierzchnim królem. Zwierzchnim królem wszystkich Anglów.

Spodobałoby się to Paulinowi. Po nawróceniu wszystkich Anglów wreszcie dostałby swój paliusz. Mogłby umrzeć szczęśliwy, wiedząc, że jako zwierzchni biskup zasiądzie w niebie po prawicy papieża.

Spodobałoby się to Pendzie. Ma silne powiązania rodzinne, a jej rady są cenniejsze od złota. Jest młoda i silna. Potrafiłaby zarządzać gospodarstwem — potrafiłaby zarządzać królestwem.

Czy spodobałoby się to jej? Gdyby Penda okazał się tak sprytny, jak sądziła, mogłaby go polubić. Mogłaby wziąć ze sobą Begu. I swoich domowników.

Pewnego dnia kiedy Uinniau polował z Oswinem, zapytała Begu, czy według niej Uinniau chciałby zostać jej głównym gesithem, kiedy ona, Hilda, wyjdzie za mąż.

— Za kogo wychodzisz?

— Jeszcze nie wiem.

— Bo królowa nic jeszcze nie mówiła. A ja myślałam, że król nie chce cię puścić.

Jesteś jego jasnowidzącą. Oj, znowu rozzłościłaś Wronę?

— Nie. Uinniau. Chciałby?

— Dlaczego nie miałbyś chcieć? Ja bym w każdym razie chciała. Nie chcę, żeby wyjeżdżał na wojnę. Zrobił już tyle, że Luftmaer może ułożyć kilka pieśni dla naszych dzieci. Tylko nie śpiewałby ich Luftmaer, prawda?

Wszystko byłoby inne. Wszyscy byliby inni.

— Myślisz, że zrobi się gruby jak Bassus? Od bezpiecznego siedzenia w domu, kiedy wszyscy inni wyprawiają się na wojnę z twoim mężem. No i Oeric byłby zły.

— Oeric nigdy nie mógłby zostać głównym gesithem królowej.

— Ty rzeczywiście masz kogoś na myśli. Wiedziałam. Czy to może któraś z twoich niekończących się intryg? Jest zima. Naprawdę powinnaś trochę więcej pić i znaleźć sobie kogoś do igraszek. Za dużo czasu spędzasz we własnej głowie. Chciałabym, żebyś znowu wzięła Gwladus do łóżka. A jeśli tego nie zrobisz, to chociaż wejdź na drzewo czy coś. Zacziesz wyglądać jak Wrona, same kości i haczykowaty nos.

Tego wieczoru Hilda obserwowała Paulina przy stole: jadł mało i zakrywał puchar dłonią. Był cudzoziemcem, podobnie jak Etelburga, przebywającym z dala od domu. Nie był jednak żonaty. Trochę jak jasnowidz. Czy jego bóg do niego przemawia? Czy wtedy czuje się tak jak ona, kiedy ma wrażenie, że z każdego źdźbła trawy, z każdego liścia i skrzydła żuka wyziera na nią wzór? Czy w dzieciństwie, w domu, obserwował żuki? Nie potrafiła wyobrazić go sobie jako chłopca. Nie potrafiła wyobrazić go sobie w domu, na jego właściwym miejscu. Zawsze wyglądał tak jak teraz: płaszczyzny i zagłębienia twarzy, opadające powieki, stracony dla świata ludzi, wyczulony jedynie na wzory i plany.

Kiedy następnego ranka Gwladus przyniosła jej wodę do mycia, Hilda usiadła i popatrzyła na siebie. Uniosła włosy z czoła. Płaszczyzny i zagłębienia twarzy, opadające powieki...

Nad jej ramieniem pojawiła się twarz Gwladus. Spojrzały na siebie w wodzie: Gwladus miękka i elastyczna, Hilda twarda i wyraźna.

— Nie jestem ładna.

— Nie musisz być ładna. Jesteś jak błyskawica. Jak fala przyływu. Jak zamieć śnieżna.

— Jak coś, przed czym należy uciekać.

— Jak coś, czemu należy dać się porwać. Coś do pamiętania przez resztę życia.

Kiedy Penda wzmocnił kontrolę nad środkowymi ziemiami, oczyścił drogi z bandytów. Chyba nie miał nic przeciwko księżom; sieć brzęczała. Hilda zastanawiała się, czy jest tak dlatego, że Penda nie wie o sieci, czy dlatego, że chce, żeby prosperowała dla jego własnych celów. Sprawiał wrażenie przebiegłego króla. Lecz królowie zawsze w końcu upadają. Tak toczy się świat.

Tej nocy śniło się jej, że Fursey rozmawia z Hereswithą. „To właśnie robią kobiety: tkają sieć, pociągają za sznurki, zapędzają w kąt. To ich jedyna moc”. A potem znalazła się w środku Hereswithy i Fursey mówił do niej. „Chyba że są jasnowidzącymi. Twoja matka stworzyła ci miejsce, w którym możesz mówić otwarcie”.

Długi czas leżała, patrząc na wiązowy sufit. Moc. Miejsce. Małżeństwo. Według

niej nie pasowały do siebie. Może będzie je umiał powiązać Fursey.

Obudziła Gwladus, żeby rozpała ogień i zapaliła świece, a potem napisała długi list do Furseya, posługując się szyfrem, na którego zrozumienie przez adresata miało nadzieję każde z nich: „S” zamiast „Sigebert”, „P” zamiast „Penda”, „R” zamiast „Ricberht”, „wuj” zamiast „Edwin”, „siostra” zamiast „Hereswitha”, „E” zamiast „Etelryk”...

Rano zaniósła list razem z szynką do domu Linnety, gdzie wkrótce miał się pojawić ksiądz i zanieść list okreżną drogą do Rhina, który z kolei miał go bezpiecznie wysłać do celu.

Minęła zima. Wiadomości przepływały swobodnie. Sigebert wciąż walczył w Anglii Wschodniej z Ricberhtem. Eadfrith i Clemen nadal przebywali w Caer Uisc. Wciąż nie było żadnego wyraźnego sygnału o Cadwallonie. Hilda zastanawiała się nad Mniejszą Brytanią. Dawno temu jej królowie zaprzysięgli wierność Gwyneddowi. Czy ta przysięga wciąż obowiązuje?

Swoimi przemyśleniami na temat Cadwallona nie dzieliła się z nikim. Nie wspominała o Pendzie. Nikomu nie mówiła o znaku z Elmetu. Po raz pierwszy nie widziała swojej drogi. Zaczeka.

Rozdział 24



Solmonath w Bebbanburgu. Świat lśnił światłem i solą. Białoszare niebo, szarobiałe wydmy, srebrzyste drewno wyrzucone na brzeg, mury zblakłe do koloru wapienia. Jaskrawe światło pozbawione źródła wsączało się we wszystkie kąty i szczeliny; zupełnie jakby się było wewnątrz wydrążonej perły. Wiele kobiet miało już olbrzymie brzuchy.

Hrethmonath, kiedy powinni się kulić w ich smaganej wiatrem kamiennej pięści, odizolowani od świata. Morze było nienaturalnie spokojne i wzdłuż wybrzeża już pełzły dostawy: z Kentu do Gipswich, do Brough, do Zatoki Wici, do Tinamutha, do Bebbanburga. Po raz pierwszy za ludzkiej pamięci z łatwością zdobywano wieści w okresie, kiedy śpiewały foki i nurkowały nurzyki.

Edwin zrobił się niespokojny i krzyczał na swoich doradców. Gdzie jest Cadwallon? Na co się przydają jasnowidząca i ksiądz, skoro w ogóle nie przynoszą mu informacji? A jeśli ten wiarołomny król płynie do Yorku w górę Humber na czele floty frankijskich statków głęboko zanurzonych pod ciężarem frankijskich gesithów?

Hilda milczała.

Jej sieć brzęczała: listy od Furseya i Hereswithy, plotki od Onneny z Mulstanton, a wszystko przechodziło przez Rhina w Menewood do sadyby Rathlafa i Cille, którzy przechowywali listy w zamian za miód pitny, a jeśli nie było miodu, to za miękki biały chleb. Hilda jechała do nich konno mniej więcej co tydzień i przyjmowała z wielką pompą wszelkie listy oraz miskę czegoś do jedzenia przy ogniu. Po trzecim razie przestali ją pytać o Krzykliwy Płaszcz.

Pewnego dnia Hilda otrzymała dwa listy od Furseya. Pierwszy brzmiał:

Jeśli chodzi o twoje pytanie o związek z P, pamiętaj, że chrzest osoby wysoko urodzonej wiąże się z zobowiązaniami zarówno doczesnymi, jak i boskimi. Ten, kto zostaje ojcem chrzestnym drugiego człowieka, adoptuje go w religii, lecz adopcja ta rozlewa się jak uśmiech, jak błogosławieństwo, na sprawy ludzkiego świata. Syn w Chrystusie dziedziczy bardzo wiele spraw ojca chrzestnego.

„Bardzo wiele”. Fursey nigdy nie podkreślał słów. Uważał to za oznakę prostactwa. Co starał się powiedzieć?

Cille przyniosła Hildzie miskę kwaśnego piwa i usiadła w kącie, żeby popatrzeć, jak jasnowidząca czyta. Najwyraźniej ją to fascynowało.

Hilda złamała pieczęć na drugim liście. Długi. I znacznie bardziej w stylu Furseya. Upiła łyk piwa i odtworzyła w głowie miękki irlandzki głos księdza:

Twoja niezwykle płodna siostra dała swojemu mężowi syna, nazwanego w Chrystusie Ealdwulfem. Gdyby siłę głosu utożsamić z siłą, to z czasem niewątpliwie będzie mógł on podnieść ziemię. Mając dziedzica, który dodaje mu pewności siebie, E

z wielkim zapalem opowiada sie po stronie S. Jesli S, maz wielce pobożny, weźmie góre nad R — a, jesli tylko Chrystus pozwoli, teraz w to nie wątpię — to jego dziedzicem zostanie w końcu twój siostrzeniec. Twoja siostra jest podwójnie zadowolona, poniewaz mimo że kobieta jej męża także urodziła dziecko, to, na nieszczęście i dla matki, i dla dziecka, jest ono płci żeńskiej. Jednakże twoja siostra jest już mniej zadowolona z imienia wybranego dla tego bękart: Balthilda. Uważa za zniewagę dla jej godności, że niemowlę to ma chociaż częściowy udział w szlachetnym imieniu jej siostry.

To przynajmniej wydawało się jasne: Sigebert wygrywa. Zostanie królem Anglów Wschodnich, a jego dziedzicem będzie Etelryk.

Zwinęła pergamin i zatknęła go za pasek. Porządny zestaw wiadomości, którymi podzieli się z królem — kiedy przyniesie jej to korzyść.

Napiła się piwa.

Hereswitha ma teraz córkę i syna, dziedzica wschodnioangielskiego króla. Czy to daje jej poczucie bezpieczeństwa? Co sprawia, że żona czuje się w obcej halli jak u siebie w domu? Z mężczyznami jest inaczej. Oni zostają w swojej halli, a kobiety przybywają do nich. Oprócz Ciana, który jest w halli Angethy. Jak ona wygląda? Czy on się czuje tam swobodnie?

Hilda nie chciała myśleć o Cianie. Miała powyżej uszu myślenia o Cianie. Przełknęła ostatni łyk kwaśnego piwa. Wstała, wyjęła flaszkę miodu, na którą miała nadzieję Cille, i z powagą przyjęła w zamian za nią cztery małe zimowe kapusty. Włożenie ich do sakw wymagało więcej wysiłku, niż powinno; Cygnet odsuwała się i tańczyła. Klacz nie miała wystarczająco dużo ruchu pod siodłem. Tak jak Hilda potrzebowała galopu.

Zamiast pojechać na południe przez pola z powrotem do fortu, skierowała się na północ, skręcając ku plaży. Zapomniała, że jest kamienista. Kopyta Cygnet ślizgały się z grzechotem na kamykach. Sakwy obciążone warzywami podskakiwały i klacz wściekle parskiała.

— Uspokój się. — Lecz Cygnet znów parsknęła i rzuciła głowę. Hilda uderzyła ją po kłębnie. — Co z tobą?

A potem poczuła gęsty fetor zepsutego mięsa. Foka. Ściągnęła wodze, przełożyła nogę przez szyję klaczy i zsunęła się na ziemię. Poprowadziła konia jedną ręką, drugą dłoń oparłszy na seaksie.

Chata wciśnięta pod zawietrzną stronę wydmy wyglądała znajomo, ale Hilda nie pamiętała, do kogo należy. Nad prowizorycznym dachem z wyrzuconego przez morze drewna obciążonego kamieniami unosił się dym.

— Dzień dobry!

Tylko syk morza omywającego kamyki i zawodzenie mew.

Uniosła skórzaną zasłonę służącą za drzwi. Smród niemal ją powalił. Teraz sobie przypominała. Heaha i Din. Odwiedziła ich raz z Cianem. Zahaczyła zasłonę o drewniany kołek wbity w odrzwia i zajrzała w ciemność. Pusto, ale ogień nie był przysypany węglami, a na palenisku parował garnek potrawy. Na pewno przestraszyli się konia. Wróć.

Hilda usiadła na trawie rosnącej na wydmie i wyjęła pierwszy list Fursey'a. „Ten,

kto zostaje ojcem chrzestnym drugiego człowieka, adoptuje go w religii”.

Czytała to w kółko, aż zaczęło się ściemniać; trawa szumiała w narastającym wietrze.

Coś warknęło za wydumą. Pies? Hilda wstała z dłonią na seaksie.

— Pokażcie się. Heaho, Din, nie zrobię wam...

— Nie wymawiaj ich imion! — Głos kobiety. Kobiety w płaszczu z foczej skóry, oświetlonej zachodzącym słońcem i wywijającej procą. — Nie wymawiaj ich imion, upiorze!

Kobieta z jędrnymi rękami i ustami jak śliwki. Gode. Kobieta Ciana.

— Dlaczego mam nie wymawiać... ich imion?

Gode zeszła bokiem z wydmy, ale już nie wywijała procą.

— Nie żyją.

— Przykro mi.

Gode nie kontynuowała wątku.

— Odłóż to.

— Co mam... Aha.

Zwinęła list i schowała go do sakiewki.

Gode rozluźniła ramiona.

— Myślałam, że to on. Jesteście do siebie podobni jak ziarna grochu z jednego strąka. Ale nie jesteś nim. — Obeszła Hildę, węsząc. — Jesteś ælfem?

Ælfem?

— Pamiętam cię.

Cian powiedział, że jest jak bogini morza. Jak rzeka, jak fala.

Gode zaburczało w brzuchu.

— Jestem Hilda.

Jej też zaburczało w brzuchu.

— Jesteś głodna. — Gode wyrzuciła kamyk z procy i zatknęła ją sobie za pasek. — Chodź ze mną. Jeśli chcesz.

W chacie Gode zrzuciła płaszcz przy palenisku, dołożyła drewna do ognia i postawiła na nim garnek. Hilda rozpięła broszę płaszczu.

— Połóż go na moim. Uważaj na swoją ładną suknię.

Usiadły biodro w biodro na pięknym niebieskim płaszczu i zjadły z jednej miski. Trzymała ją Gode. Od czasu do czasu szturchała Hildę, żeby zjadła łyżkę potrawy.

— Pan też lubił na mnie patrzeć — powiedziała. Wzięła miskę od Hildy i ją odstawiła. Rozwiązała koszulę przy szyi. — Śpiewał mi piosenki. Śpiewał o mojej białej szyi i jędrnych rękach. Śpiewał o moich miękkich piersiach i ustach ciemnych jak śliwki.

Hilda przełknęła ślinę.

— Ja nie śpiewam.

— Co chciałabyś robić?

Dalej rozwiązywała koszulę.

Robić? Patrzyła na interesującą wypukłość i cień.

Gode wydała gardłowy dźwięk, który Hilda uznała za śmiech, i ściągnęła koszulę z ramion.

— Chodź tu.

Rozłożyła ręce.

To było zdumienie, błogosławieństwo, dar. Czuć w ustach nabrzmiewający sutek, nie wiedzieć, czyja pierś układa się miękko na czyjej dłoni, czuć, jak to wszystko przelewa się między nimi w jedną i drugą stronę, słyszeć jej chrapliwy oddech, widzieć jej czerniejące oczy. Czuć siłę jej ramion.

A była silna. Obie były silne. Przytrzymały się wzajemnie na dole, podnosiły się wzajemnie w górę. Jak tonięcie, jak pływanie, jak oddychanie.

Potem leżały razem pod błękitnym płaszczem Hildy.

— Z kobietą jest inaczej — stwierdziła Gode. — Ale nie tak bardzo inaczej.

Pogładziła miękki płaszcz.

— Dlaczego myślałaś, że jestem ælfem?

— Bo jesteś wyższa od świata — odparła Gode, wodząc palcami po gęstym splocie.

— Bo widziałam, jak siadasz i otwierasz zakłęcie.

Hilda uniosła się na łokciu.

— Zakłęcie?

— Otworzyłaś je, a ono w ciebie wskoczyło i cię opętało. W ogóle się nie ruszałaś.

— Ach. Nie. To jest list. Wiadomość. Słowa od kogoś, kto jest bardzo daleko.

Gode skinęła głową.

— Magia.

— Nie.

Lecz w pewnym sensie to była magia.

— A ty wyglądałaś jak on, ale nie byłaś nim, nie całkiem. I pachniesz kwiatami, jak ktoś z krainy lata, kto zabłąkał się do zimy.

Jaśmin.

— Ale zaprosiłaś mnie do środka.

— Burczało ci w brzuchu i widziałam, jak na mnie patrzysz. Poza tym tego płaszcza nie zrobiły ælfy.

— Przyślę ci taki. — Ale nie w królewskim niebieskim kolorze. Położyła się na plecach i podłożyła ręce pod głowę. — Widziałaś kiedyś wróżebny znak?

— Wszystko jest wróżebnym znakiem. Wołanie foki. Kolor brzucha chmury o zachodzie słońca. Ale nikt się nie zgadza co do ich znaczenia. Moja mama i tata się nie zgadzali. Utonęli.

— Przykro mi.

— Już to mówiłaś. Ludzie umierają. Znaki kłamią.

— Nie zawsze.

Gode wzruszyła ramionami.

— Kiedy się nie wie, czy kłamią, czy nie, najlepiej jest ich nie słuchać.

— Ja się nigdy nie mylę.

— Nigdy?

— Nigdy. Tylko... Nie wiem, jak sprawić, żeby ten się ziścił.

— Dla chcącego nie ma nic trudnego. Tak zawsze mówiła mama.

Lecz Hilda wiedziała, że ten znak nigdy się nie ziści.

— No ale ona nie żyje. Tata mówił, że sęk w tym, żeby dokładnie wiedzieć, czego się chce. On też nie żyje.

Hilda wiedziała, że Gode tak naprawdę jej nie słucha, a nawet gdyby słuchała, to i tak by jej nie zrozumiała. Ale przed wyrzeczeniem się tego na zawsze musiała komuś o tym opowiedzieć. I tak, przy ogniu zmieniającym barwę z żółtej przez pomarańczową do czerwonej, opowiedziała kobiecie, której już więcej nie zobaczy, o gnieździe, o gołębiach i szpakach i o tym, jak Cian to wszystko zniszczył, po prostu odrzucił.

— Przez całe życie bez względu na to, gdzie byłam, zawsze wiedziałam, gdzie on jest, a jakaś część mnie kierowała się ku niemu tak jak krowy i jelenie kierują się ku południowi, kiedy przezuwają. Myślałam, że on też kieruje się ku mnie. „Jesteśmy nami”. Kiedy coś robiłam, myślałam, jak mu o tym opowiem, jak mu wyjaśnię, co to znaczy. Jeśli udawało mi się sprawić, że rozumiał, to było to prawdziwe. Nawet kiedy byłam na niego zła, nawet kiedy myślałam, że jest głupi, to byłam zła właśnie na niego. A bywałam zła. Bardzo zła. Myślałam o tym, jak będę z nim walczyć, kiedy wróci, jak będę krzyczeć, jak zmuszę go, by zrozumiał.

Ale on nie wróci. Nie do niej. I teraz jej złość wypływała z niej jak fala odpływu, zostawiając po sobie pustkę.

— Dziś wieczorem nic nie jadłaś — powiedziała Begu, kiedy rozbierały się do spania. — Czy to przez tę pieśń o Branwenie?

— Co?

— Dwa tygodnie temu kazałam Oericowi przekupić Luftmaera, żeby nie śpiewał cikliwych pieśni, a zwłaszcza tych, które lubił śpiewać Cian. Ale zapomniałam mu o tym przypomnieć. Poza tym sądziłam, że już ci lepiej, aż do dzisiaj.

Begu odwinęła przykrycie.

— Złość zawsze w końcu się wyczerpuje. Myślałam, że będę się cieszyć, kiedy już nie będziesz zła, ale tak nie jest. Nie podoba mi się to spojrzenie. Jak u cielęcia, które stoi przy martwej matce i jest zbyt zrozpaczone, żeby nawet meczeć.

Położyły się do łóżka.

— Jesteś jasnowidzącą króla. Nie możesz chodzić z taką miną. Myślę, że tak bardzo przestraszyłaś Luftmaera, że się zapomniał.

— Posłuchaj — powiedziała Hilda. — Foki śpiewają.

Begu nic nie odpowiedziała, ale wyciągnęła rękę.

— Chodź tu. Nie sprzeciwiaj się.

Powoli, ostrożnie jak osieroczone źrebię, które układa się na słomie obok kotki z małymi, Hilda przytuliła się do Begu i położyła jej głowę na ramieniu.

— Pachniesz fokami — stwierdziła Begu.

Cisza.

— Hildo, gemæcce, porozmawiaj ze mną. Przerażasz mnie.

— Dzisiaj coś robiłam. To było... Nikt nawet nie wie, że ona istnieje. Ale to było głupie. Ona i Cian... Pomyślałam, czy tak właśnie odbiera to on. Czy ona wygląda jak ta walijska księżniczka? No, ale nie to było powodem. Nie w całości.

— Zabiłaś kogoś?

— Pod pewnym względem.

— Nie rozumiem.

— Matka powiedziała, żebym wybierała osoby, które nie mają znaczenia. Ale ludzie, którzy nie mają znaczenia, nie są nam równi. Wybieramy ich, bawimy się nimi, a potem ich odsuwamy.

— Tak nie będzie, jeśli go poślubisz.

— Musiałabym wyjechać. Poślubić wroga. Albo w najlepszym razie być jak Etelburga. Zawsze czuć się trochę obco. Zawsze bardzo uważać.

— Ale teraz też uważasz.

— Ale miałam nadzieję. Myślałam, że pewnego dnia... Dzisiaj patrzyłam na śpiewających mężczyzn. Patrzyłam na ich pasy. Zastanawiałam się, jakby to było chwycić któryś z nich, stanąć obok mężczyzny i pomyśleć: „Jesteśmy nami”. Sądysz, że mogłabym kiedykolwiek zrobić coś takiego z Penda?

— A więc to Penda?

— Dzisiaj zrozumiałam: to jest prawdziwe. Wszystko jest prawdziwe. Byłam zła; on zniszczył wszystko, wszystkie moje plany, nawet te, które ukrywałam przed samą sobą.

— Penda?

— Zapomnij o Pendzie. — Nigdy nie poślubi Pendy. Teraz już to wiedziała. Przycisnęła policzek do ramienia Begu. — Księżniczka Gwyneddu to nie dojarka w Mulstanton czy córka łowcy fok na plaży. Księżniczka Gwyneddu to nie przelotna zachcianka. To nóż wbity w stół, żeby wszyscy go zobaczyli. Dokonał wyboru: to jego miejsce, a ona jest jego drogą.

Słuchały szumu wiatru i fal.

— A co jest moją drogą? Jestem światłem świata. Jasnovidzącą króla. I czuję to w zapachu wiatru, czuję w każdym ruchu, jaki robi Penda, w każdej groźbie Cadwallona i w każdej bitwie stoczonej przez Idingów...

Nie mogła jednak wypowiedzieć tego na głos, nie mogła tego powiedzieć nawet Begu: Yffingowie upadną.

Na spotkaniach króla i jego doradców — Paulina, Coelfritha i Etelburgi oraz Szczepana skrobiącego po swojej woskowej tabliczce — stała twarda i prosta jak włócznia. Nikt się nie odzywał, nie patrząc na nią. Obserwowały ją nawet psy. Hilda słuchała wszystkiego, co mówili inni i porównywała to z własnymi wyborami, lecz zachowywała milczenie.

Paulin miał wiadomości, że Ricberht zwycięża.

— Nie — powiedziała Hilda. — Zwycięży Sigebert. Ricberht zginie.

Paulin wbił w nią wzrok.

— Bóg uczynił mnie jasnovidzącą. Słuchaj albo nie.

Yffingowie upadną, a z nimi Paulin. Ale ona zamierzała przeżyć. Znajdzie jakiś sposób.

Przyszedł do niej list od Rhina: król Mniejszej Brytanii dał Cadwallonowi trzy statki z załogami. Trzy statki: sześćdziesięciu, najwyżej siedemdziesięciu pięciu ludzi. Nie wystarczy do odbicia Gwyneddu. Nic nie powiedziała.

Do króla nadeszła wiadomość od Eadfritha: zostawił Clemena z Dyfneintu w Caer

Uisc, a sam zamierzał podążyć nieśpiesznie, spotykając się po drodze z ludźmi, do Deganwy, gdzie pilnuje fortu Cian Krzykliwy Płaszcz.

Trzy dni później Penda rozpoczął oblężenie Caer Uisc.

— Wyślij Eadfritha z powrotem — rzekł Paulin. — Spotkamy go po drodze z krzyżem na naszych sztandarach i ocalimy Dyfneint przed poganami. Penda ucieknie, a Dyfneint uklęknie przed Bogiem i jego prawowitym przedstawicielem.

— Nie — rzekła Hilda. — Niech Clemen upadnie. Niech Eadfrith jak najszybciej dołączy do Krzykliwego Płaszcza w Deganwy. Jak najszybciej. — Trzy statki z Mniejszej Brytanii. — Przybywa Cadwallon.

Siedziała w swojej komnacie z Gwladus i słuchała krzyków dwóch rodzących kobiet. Jedna zawodziła i jęczała, druga klęła. Oba głosy krążyły wśród twardych jak żelazo ścian i posadzek fortecy i odbijały się od nich echem, aż wydawało się, że dochodzą zewsząd naraz.

— Jesteś blada jak upiór — stwierdziła Gwladus. — Powinnaś coś zjeść.

— Nie jestem głodna.

— Zjedz mimo to.

Zjadły ser i pomarszczone jabłka. Gwladus jak zawsze powąchała jabłko przed ugryzieniem go i uśmiechnęła się jakby na jakieś wspomnienie.

— Tęsknisz za Dyfneintem?

— Tęsknię za zapachem cydru jesienią. Nic nie pachnie jak cydr: powietrze jest lepkie i słodkie z posmakiem miedzi. I brzęczą osy. Kiedy robi się cydr, osy są wszędzie. Ale to było dawno temu i daleko stąd.

Dom nigdy nie jest daleko.

— Masz mi za złe, że powiedziałam, iż nie powinniśmy ratować Clemena?

— A co mnie obchodzą królowie? On mnie nie zna. Ja nie znam jego.

Przed południem następnego dnia na białym piasku przystani wylądował statek i przed doradcami stawił się przestraszony, brudny posłaniec: Cadwallon dołączył do Pendency w Caer Uisc z oddziałem ludzi z Mniejszej Brytanii i zabił Clemena. Dwa dni temu. Petroc Rozszczepiona Włócznia uciekł na zachód.

Cisza. Po chwili odezwał się Edwin:

— A któż to jest Petroc Rozszczepiona Włócznia?

— Dziedzic Clemena — rzekła Hilda.

Król bez kraju, teraz król zachodnich urwisk i spalonego miasta. Wszyscy królowie upadają. „Los tako się dzieje, jako i musi”. A ona była głupia.

— Robisz się ponura — powiedział Edwin.

— Kobiety się martwią — stwierdził Paulin.

Jej klatka piersiowa była za mała. Nie mogła oddychać.

— Przynajmniej książę Eadfrith nie dał się schwytać, panie — odezwał się Coelfrith.

— I teraz wiemy, gdzie jest ten nothing — dodał Edwin z niejakim zadowoleniem.

— Z Pendą — powiedziała Hilda. — Z Pendą. Zajęli Caer Uisc i teraz mają port dla większej liczby statków z Mniejszej Brytanii. To się może stać lada dzień. Nie będą musieli trzymać tam wielu ludzi. Będą więc mogli razem wyruszyć na północ. Na północ,

by odbić Gwynedd.

Gwynedd, gdzie pod nieobecność Eadfritha Cian bawi się w księcia z córką Cadwallona. Pan halli. Ludzie na jego rozkazy. Swobodny. Jak u siebie w domu. Już nie nosi kolczugi przy stole. Siedzi z Angethą na kolanach, okręca sobie na palcu kosmyk jej ciemnych włosów i z błyszczącymi oczami słucha jakiejś pieśni, a tu wpadają przez drzwi uzbrojeni mężczyźni, mężczyźni z mieczami już czerwonymi od krwi strażników zabitych przy palisadzie. Będzie miał czas upuścić puchar z piwem — nagła ostra woń przebijająca się przez zapach torfowego dymu — i dobyć miecza. A oni, błyszczący i brutalni, dopadną go i ostra stal przebije miękką skórę.

Nie, to nie rozegra się tak szybko. Znała pieśni. Walińczycy lubują się w powolnych, publicznych torturach. Pobiją kobietę, odrąbią Cianowi dłonie i wystawią go na wzgórzu nabitego na pal, żeby rano mogły w niego rzucać kamieniami dzieci, po południu mogły go oślepić kruki, a nocą rozszarpać wilki.

Zamknęła oczy, siłą woli krzesząc wizję, wyłuskując ją ze zbryzganego krwią górskiego zbocza.

Widziała oczyma wyobraźni, jak wznosi się niczym jastrzęb i zatacza w słupie powietrza coraz szersze kręgi, mając widok na całą wyspę. Zauważała granice i osady, drogi i rowy. Skinęła do siebie głową. Tak, na miejscu Pendency tak właśnie by zrobiła. Porty Gwyneddu, Caer Uisc i środek kraju...

Penda odtwarzał wielką falę.

— Tak — powiedziała, a głos miała wysoki i przenikliwy jak wołanie jastrzębia o poranku. Otworzyła oczy. — Uderzą na Gwynedd. Bez wątplenia. Ilu ludzi ma Eadfrith?

— Czterykroć po dwudziestu pod swoimi rozkazami — odparł Coelfrith. — Niektórych przy sobie, innych z Krzykliwym Płaszczem.

— Penda?

— Czterystu.

Odwróciła się do Edwina.

— Nawet gdyby Clemen dzielnie walczył i zabijał jak bohater, jest ich pięć razy więcej niż ludzi twojego syna.

Cisza. Oczyma wyobraźni Hilda obserwowała ruchy wojsk. Bebbanburg leżał bardzo daleko od Gwyneddu.

— Będę się modlić, panie — rzekł Paulin. — Dziś wieczorem odprawię mszę i czuwanie.

— Potrzebujemy czegoś więcej niż modlitw, biskupie. — Wśród psów powstało poruszenie; rozpoznały ten ton. „Konia zjemy”. — Coelfrith.

— Panie?

— Kiedy może wyruszyć zbrojny oddział?

— Za dwa dni.

Umysł Hildy wznosił się nad wyspą, obserwując, ważąc, oceniając. Za późno. Za późno byłoby nawet dzisiaj. Deganwy leży w połowie drogi z Bebbanburga do Caer Uisc. Jeśli Penda wyruszył od razu, to prawdopodobnie przybył tam, zanim statek posłańca minął Tinamutha.

Jeżeli Eadfrith i Cian jeszcze żyją, to ratują się ucieczką. Nie, nie oni. Eadfrith jest

æthelingiem. Cian zostałby i walczyłby jako tylna straż, osłaniając ucieczkę swojego księcia na północ. Lecz Cian zostałby stopniowo zepchnięty także na północ. Jeśli przeżył.

Jeśli zginął, nic nie mogłaby zrobić, więc nie chciała tego rozważać. Cian żył. Żył i uciekał na północ jeden krok za Eadfrithem. Kto ich będzie ścigał i w jakiej sile?

Armia potrzebuje żywności. Wozy z żywnością jadą powoli. Penda mógł kazać swoim ludziom maszerować przez Gwynedd na północ z takimi zapasami, jakie mogli nieść ze sobą, ale przed wyruszeniem dalej na północ musiałyby poczekać na wozy z zaopatrzeniem. A po oblężeniu wozy Pendency byłyby puste.

Lecz Cadwallon miał świeże siły. I Cadwallon był szaleńcem, który chciał zmieść z powierzchni ziemi Edwina i cały jego ród. Gdyby rozeszła się wiadomość, że Eadfrith ucieka, walijski król ścigałby go choćby do Bebbanburga.

I wtedy Hilda wyraźnie ujrzała swoim jastrzębim wzrokiem, jak to się może rozegrać. Elmet. Zawsze chodziło o Elmet.

Begu wpatrywała się w nią, jakby Hilda straciła rozum.

— Nie możesz — powiedziała. — Gwladus, powiedz jej, że nie może!

Lecz Hilda prawie jej nie słyszała. Obliczała mile, dni, racje... Mocniej ścisnęła się grubym pasem podróznym i powiedziała do spoconego, bladego Oerica:

— Powiedz Bassusowi, że na życiu æthelunga może zaważyć pięciu dodatkowych ludzi. Tu, w Bebbanburgu, królowa jest bezpieczna jak słońce. — Zwróciła się do Moruda: — Weź pod uwagę ludzi Bassusa. Żywność na pięć dni, ani worka więcej. — Jeśli przeżyją, wyżywi ich Elmet. Do Gwladus powiedziała: — Wyjeżdżamy godzinę przed nastaniem æfen bez względu na to, czy wszyscy będą gotowi.

Rozeszli się pośpiesznie.

— To szaleństwo! — stwierdziła Begu. — Dlaczego nie chcesz jechać z ludźmi króla? Co możesz zrobić z zaledwie dwudziestką niechlujnych gesithów? I dlaczego Elmet? — Hilda mocno przywiązała seax do pochwy. — Przynajmniej poczekaj do rana.

— Król nie rozumie.

— To mu wytłumacz.

Hilda pokręciła głową.

Nie było czasu. Penda już pewnie zajął Gwynedd i tam zostanie. Teraz nie była potrzebna dobrze zaopatrzona armia maszerująca na spotkanie Mercjan, lecz mała grupka, która popędziłaby na południe i rzuciła się jak tarcza między pozostałych Nortumbrian i ścigającego ich Cadwallona, a tymczasem na pole walki mógłby wkroczyć zbrojny oddział Edwina. Lecz Edwinowi się nie śpieszyło. Jego syn na pewno bezpiecznie uciekł dzięki Krzykliwemu Płaszczowi, który osłaniał jego odwrót. Edwin niewątpliwie spodziewał się, że jeszcze przed wyruszeniem z Bebbanburga otrzyma wieści z Yorku o bezpiecznym dotarciu æthelunga. Kim był dla niego Krzykliwy Płaszcz? Gesithem półkrwi, który sięgnął zbyt wysoko. Głównym celem Edwina było schwywanie Cadwallona w pułapkę z dala od jego kraju rodzinnego i tak dokładne zmiażdżenie go, że już nigdy nie zdoła się podnieść. Poza tym uznał, że Krzykliwy Płaszcz prawdopodobnie nie żyje. Lecz Hilda wiedziała z taką pewnością, jakby szeptał jej o tym do ucha Chrystus: Cian przebija się staje za stajem na północ, do Elmetu, do domu. A za nim podążają walijskie i bretońskie wilki Cadwallona. I nikt nie będzie mógł stanąć między szalonym

królem a Pyrem i Lweriaddą w Caer Loid, Saxfrythą i Ceadwulfem, i Grimhunem w Aberfordzie, Rhinem i mieszkańcami Menewood.

— Powiedz mojej matce, że chodzi o moich ludzi. Oni są moją drogą. Tam jest moje miejsce. Zrozumie.

Zarzuciła płaszcz na ramiona, jedną ręką podniosła kij, a drugą przyciągnęła do siebie Begu. Mocno ją uściśnęła i wyszła.

Narzuciła mordercze tempo. Dziewiętnaście koni i ich jeźdźcy w płaszczach. Odpoczną, jeśli przeżyją. Kładła się w nocy tak jak wszyscy; jadła, kiedy stawiano przed nią jedzenie; słyszała rozmowy wokół siebie i czasami nawet odpowiadała, lecz całą uwagę skupiała na celu. Utkwiła wzrok w ofierze i spadała na nią ze złożonymi skrzydłami, rozcinając ze świstem powietrze.

Pędzili na południe starym wojskowym traktem, który zakręcał wielkim łukiem na wschodnim zboczu bernickiej wyżyny. Przejechali z grzmotem kopyt przez trzy rzeki. Przemknęli przez Corabrig przy wale, skąd wysłali posłańca do Tinamutha. Potem długi, prosty Dere — galop, kłus, galop, kłus — aż do rozwidlenia tuż na północny zachód od Yorku, skąd wysłali kolejnego posłańca, tym razem do Yorku, i dalej coraz szybciej drogą prowadzącą na południowy zachód, do Caer Loid.

Przed rozwidleniem na odnogi prowadzące na zachód, południowy zachód i południe Hilda zjechała na bok i spojrzała na wrzosowisko.

Powietrze było mętne od deszczu. Wrzosowisko pachniało zimą przechodzącą w wiosnę. Nie licząc parskania koni i podzwaniania wędzideł, panowała cisza: żadnych ptasich śpiewów, żadnego szeleszczenia w kępach trawy — swoim pośpiechem wystraszyli wszystko w promieniu wielu mil.

Ku zachodowi droga biegła po pustym wrzosowisku. Na południu leżała dolina wielkiej rzeki, gdzie plataniną nagich szarych, czarnych i brązowych gałęzi rósł las. Wydało jej się, że zobaczyła łńnienie rzeki. Na południowym wschodzie — Caer Loid ukryte za niskimi wzniesieniami. Na wschodzie, gdzie las zbliżał się do tego, co zostało z traktu Ermine — prowadzącego z Londynu przez Lindum, Brough i Aberford do Yorku — poderwały się ptaki chmurą gęstszą niż dym.

Hilda pokazała ręką. Zawrócili w miejscu.

Z nagich gałęzi kapały krople deszczu. Po obu stronach Hildy za paprociami i linią omszałych zwalonych pni leżących wzdłuż granicy polany kulili się za tarczami mężczyźni z mieczami w dłoniach. Pięć tarcz było świeżo pomalowanych. Pod wpływem deszczu czerwona dzierzba się rozmywała i wydłużała w wychudłego, koszmarnego ptaka. Za nimi poruszył się koń, który usiłował pozbyć się czegoś z pyska. Hilda odwróciła lekko głowę, ale Gwladus już podawała mu kawałek suszonego jabłka i głaskała go po chrapach. Jej lśniące włosy przytrzymała szara płócienna opaska.

Hilda stała bokiem za wiązem w środku szeregu: siedmiu mężczyzn z jednej strony, siedmiu z drugiej. W obu rękach trzymała pionowo kij. Już nie spadała.

Nasłuchiwała. Szli prosto na nich: niewielka grupa usiłująca szybko przemknąć przez splątane podszycie, usiłująca uciec. Za nią okrzyki, dźwięczne uderzenia stali o stal: to walczyła główna grupa Nortumbrian, opóźniając pościg.

Ludzie Hildy mieli wyraźne rozkazy. Czekala.

Słyszała wszystko: kapanie, skrzypnięcie skóry, kiedy jeden z gesithów zmienił pozycję, nagły klekot gałęzi w podmuchu późnopołudniowego wiatru i coraz bliższe chrapliwe oddechy ludzi zmęczonych do granic wytrzymałości, oziębiających od biegu.

Są: trzy osoby. Nie, cztery. Dwaj mężczyźni z angielskimi mieczami dźwigający prymitywne nosze i ze stękaniem biegnący przez polanę, a obok nich kobieta z nożem w jednej ręce. Miała walijski torkwes, rozglądała się na wszystkie strony i była w zaawansowanej ciąży.

Hilda pochwyciła spojrzenie Oerica, uniosła cztery palce i zaczęła, aż chłopak dotknął ramion braci Berhtów i Eadrica Brązowego; wszyscy odwrócili się do niej gotowi do czynu, a ona samymi ustami odliczyła: Jeden, dwa, trzy!

Mężczyźni o dużych dłoniach, mężczyźni o sile zrodzonej z desperacji i dającej przewagę zaskoczenia chwycili po jednej osobie z grupki, obejmując ją jedną ręką w pasie, a drugą zakrywając nos i usta, i wciągnęli je między drzewa. Zanim schwytani mogli zacząć się bronić, zostali postawieni przed gęstwiną mieczy i najwyższą kobietą, jaką widzieli w życiu, która przyłożyła palec do ust i wskazała na wizerunek dzika na hełmie Eadrica — takiego samego dzika, jaki widniał na sztandarze rozłożonym pod rannym mężczyzną na noszach. Pod Eadfrithem.

Dwaj gesithowie zdjęli ręce z rękojeści mieczy, a walijska księżniczka zamrugła, skinęła głową i przykucnęła za najbliższą paprocią.

Jakby to był sygnał, polana napełniła się wrzawą i odorem krzyczących, walczących mężczyzn, błyskami stali i odgłosami zderzania się mieczy, jasną krwią.

Hilda pokazała swoim ludziom gestem, żeby poczekać; jej umysł unosił się nad sytuacją, oceniając podmuch wiatru na policzku, szybkość walczących, ich siłę, czas, w jakim jej ludzie mogliby przekroczyć zwałony pień...

— Teraz!

Czternastu mężczyzn wsunęło się gładko między ściganych i ścigających i połączyło tarcze.

Lecz ludzie ci nigdy przedtem nie tworzyli ściany z tarcz i zamiast jednej zwartej linii powstały dwie. Walijscy — Hildzie wydawało się, że jest ich setka — wypełnili polanę klingami; po niewłaściwej stronie tarcz znaleźli się trzej uciekający Nortumbrianie.

Hilda zawyla i cisnęła kij jak włócznię, celując w pierś wealh, który zamierzał się toporem na mężczyznę w brudnym płaszczu, wyglądającym, jakby kiedyś był czarnoczerwony. Topornik upadł. Hilda dostrzegła bladą plamę twarzy Ciana, a potem jej świat zmienił się w wir mocowania się i kopania.

Ścisnęła swoimi dużymi dłońmi jakiegoś człowieka za szyję, ścisnęła, kopała, uderzała kolanami, pluła mu w oko. Jego miecz był bezużyteczny. Upuścił go i zaczął ją szarpać rękami. Hilda ścisnęła, ścisnęła.

Kiedy znieruchomiał, rzuciła się biegiem na Walijszyków z wyciągniętym przed siebie seaksem, którym cięła na oślep wszystkich przed sobą.

A potem widziała już tylko ich plecy znikające między drzewami.

Bolały ją ręce. Uniosła je. Były czerwone.

Poszukała pochwy.

— Nie — powiedział. — Najpierw musisz wytrzeć klingę.

Cian wyciągał ku niej róg swojego krzykliwego czerwono-czarnego płaszcza. „Żeby nie było widać krwi i brudu”.

— Angetha? — zapytała. — Eadfrith?

— Bezpieczni.

— Inni?

Dzwoniło jej w głowie. Wszystko miało jakby świetlistą obwódkę.

— Inni? — powtórzyła.

— Król Edwin. Zbrojny oddział.

— Trzy dni na północ.

Siedzieli na płaszcach pod drzewami ociekającymi wodą i żuli dwukrotnie pieczony chleb maczany w piwie. Trzy kobiety. Dwudziestu czterech mężczyzn. Jeden ranny książę. Jeden trup.

Angetha zajmowała się Eadfrithem, który był na wpół przytomny, lecz nieświadomy otoczenia. Nie była blada i ciemnowłosa, w niczym nie przypominała córki łowcy fok. Była brązowa, kremowa i płowa jak rysica.

Hilda siedziała kolano w kolano z Cianem; byli sami pośrodku innych, nie kobieta i mężczyzna, lecz dowódcy.

Hilda żuła ostrożnie, ponieważ, nie wiedząc jak i kiedy, ugryzła się w język. Może wtedy, kiedy dostała w twarz czymś, od czego spuchła jej żuchwa. Wytarła w zamyśleniu jedną rękę w mech, ale krew była już zaschnięta, a mech nie dość wilgotny.

Czuła wielki spokój. Patrzyła na ciało poległego; tarcza z namalowaną dzierzwą zakrywała największe rany.

— Biedny Cynan.

— Zawsze przegrywał w kości — rzekł Cian.

Miał poszarpane cięcie pod podbródkiem i był chudszy i twardszy, a mimo to bardziej przypominał chłopca, który dostał drewniany miecz od króla Cerediga, niż przybranego syna tana i królewskiego gesitha, którego znała Hilda. Jego miejsce było tutaj.

— Nie jesteś zaskoczony moim widokiem — powiedziała.

— Elmet zawsze ma w sobie ciebie.

Mimo że była obolała i groziła im śmierć, mimo że byli mokrzy i zmarznięci, mimo że on miał brzemienną żonę, mimo że był głupcem, który wszystko zniszczył, było dobrze.

Zamoczył chleb w piwie, ugryzł kęs.

— No a poza tym jesteś jasnowidzącą.

Roześmiała się. Kilkanaście bladych twarzy zwróciło się w jej stronę. Uspokoila patrzących machnięciem ręki.

— Uważają mnie za szaloną.

— Może jesteś szalona.

Rozmawiali swobodnie, jakby byli dziećmi w lesie, które zanurzają w wodzie kij po kłótni. Chciała usiąść bliżej, jak robią to dzieci albo szczenięta. Nie poruszyła się jednak.

— Ilu ludzi ma Cadwallon?

— Mniej niż miał.

— Opowiedz.

Cadwallon i Penda dogonili Eadfritha i jego ludzi przy Długiej Górze. Eadfrith otrzymał ranę w poprzek żeber i wraz z sześcioma wojownikami pojechał do Deganwy, do Ciana i jego piętnastu ludzi.

— Uciekł tylko z sześcioma? Z sześćdziesięciu?

— Resztę zostawił u wejścia do doliny, żeby spowolnili Pendę i Cadwallona.

Hilda spojrzała na mężczyznę, który mrucał do siebie pod drzewami. Zostawił swoich ludzi.

— Może nie wiedział, co robi.

— Wiedział. — Wyraz twarzy Ciana się zmienił i Hilda poznała, że jej przyjaciel myśli po brytyjsku i że są to gorzkie myśli. Z wysiłkiem się opanował i powiedział surowym tonem, bardziej do siebie niż do Hildy: — Jest najstarszym æthelingiem. Został ranny. Nie mógłby zwyciężyć.

Hilda zachowywała nieruchomą twarz. Już się stało. Poprosiła gestem, by mówił dalej.

Eadfrith i Cian uciekli razem z dwudziestu jeden gesithami i Angethą. Penda ich nie ścigał, lecz zrobił to Cadwallon z ponad pięćdziesięcioma Walijszymi i Bretonami. Rana Eadfritha utrudniała mu jazdę. Cadwallon dogonił ich, kiedy przekraczali rzekę Kelder. Miał łuczników. Zastrzelili pod nimi konie. To wtedy Cian stracił tarczę. Zginęło pięciu ludzi, a Eadfrith znowu został ranny; tym razem otrzymał kopnięcie w głowę i prawie się utopił, kiedy tratowano go w rzece.

— Od tego czasu nie odzyskał zmysłów. I kaszle.

Hilda skinęła głową. Teraz trzeba było myśleć o czymś innym.

— Cadwallon. Powiedziałeś, że ma mniej ludzi niż miał.

— Po drodze zastawialiśmy pułapki. Teraz ma mniej niż czterdziestu. Może trzydziestu sześciu.

— Twoje plany?

— Dotrzeć do Aberfordu.

Skinęła głową. To mogłoby mieć sens, zanim Cadwallon dopadnie ich drugi raz.

— Co z Cadwallonem?

— Zabić.

— Zabiłby własną córkę?

— Nienawidzi Edwina, nienawidzi Angłów Północnych. Oszalał z nienawiści.

Znajdował się na angielskim terytorium z ledwie czterdziestoma ludźmi, a niektórzy z nich byli tylko pożyczeni od króla Mniejszej Brytanii. Musi wiedzieć, że Edwin pojawi się z pokaźną siłą. Oszalał. Tak. Lecz jak bardzo?

— Czy teraz ucieknie?

— Najpierw będzie zabijał, gwałcił, palił i wrzucał angielskie dzieci do ognia. Do Caer Loid jest tylko... osiem mil?

— Mają mocną palisadę i tuzin gesithów do obrony. Poza tym wysłałam im wiadomość. Nie dostanie się do środka. Nie z trzema tuzinami ludzi.

— No to będzie palił i zabijał na zewnątrz.

Menewood najprawdopodobniej nic nie groziło; było ukryte. Ale Lweriadda i Sintiadda, a za nimi Saxfrytha i Ceadwulf...

Hilda wstała i podeszła do Angethy, która przykucnęła przy mruczącym æthelingu. Płowa kobieta wstała. Przez chwilę patrzyły na siebie, a potem odwróciły się do mężczyzny, który, mimo że przywiązany do noszy, cały czas się poruszał.

— Jak on się czuje?

— W ciepłym pomieszczeniu i suchym łóżku na pewno przeżyje.

W jej angielskim było słyhać falujące walijskie wzgórze, zawrodozenie wiatru i nutę szumu strumyka.

— Mogę?

Angetha odsunęła się. Hilda uklękła. Pomacała kark rannego: gorący, lecz nie rozpalony. Przyłożyła ucho do piersi: zajęte, lecz nie gorzej niż u dziecka z zasmarkanym nosem. Uniosła z żeber róg prowizorycznego bandaża i powąchała go: nie śmierdział.

— Podtrzymaj mu głowę.

Angetha uklękła i chwyciła go za głowę obiema rękami.

Hilda dotknęła pokrytego zakrzepłą krwią guza nad skronią rannego. Miękki od spuchlizny. Delikatnie go nacisnęła. Eadfrith jęknął. Nacisnęła mocniej, żeby się upewnić, ale pod jej dłonią nic się nie poruszyło. Nie ma złamania. Odciągnęła w górę obie powieki. Prawa źrenica zwężyła się wolniej niż lewa. Już to kiedyś widziała u drwala uderzonego konarem padającego drzewa. Odzyskał siły, ale trwało to dwa tygodnie i przez miesiąc miewał zawroty głowy, a głowa bolała go jeszcze pół roku.

— Dziękuję — powiedziała i wróciła do Ciana.

— Zbyt wiele biegania z nim może sprowadzić na niego śmierć. Trzeba go nieść drogą albo musi zostać na miejscu.

— Powinniśmy tu zostać?

Lweriadda, Sintiadda.

— Twoim zadaniem jest strzeżenie twojego księcia. I Angethy. Moim strzeżenie moich ludzi.

— Ale razem jesteście silniejsi.

Skinęła głową w stronę Eadfritha.

— Nie możemy zostać razem.

— Król przybywa...

— I może przed nim ludzie z Aberfordu. Może nawet jutro. Ale zanim nadejdzie jutrzejszy dzień, może zginąć wielu ludzi.

Eadfrith coś mruknął. Kapało z drzew. Dzień się kończył.

Hilda wstała.

— Mam jednego luzaka. Jedź z nami.

Cian też wstał.

— Nie.

— Nie?

— Poszukam Cadwallona. Moi ludzie na twoich koniach. Ty i Gwladus zostaniecie tu z Angethą i Eadfrithem, z Oerikiem i twoimi ludźmi.

Cisza.

— Znam Cadwallona. Znam jego sztuczki. A twoi ludzie nie umieli utworzyć ściany z tarcz.

Hilda pomyślała o Oericu, który przyszedł do niej ze swoim starym zniszczonym mieczem, o Oericu, który odwracał wzrok, kiedy zabijał bandytów. O Bassusie i jego ludziach, którzy od lat strzegli królowej i którzy musieli mocować kolczugi dłuższymi rzemieniami.

— Kiedy walczyliśmy w lesie, mój kij był tylko kijem. Dla ciebie to zawsze był miecz. To jest twoja droga.

Jej ludzie, lecz jego droga.

Odwróciła się, podeszła do ciała Cynana i podniosła tarczę z wizerunkiem dzierzby. Podała ją Cianowi.

— Nie upuść jej.

Rozdział 25



Przed palisadą Caer Loid, mając swoją jasnowidzącą u boku, najstarszego syna bezpiecznego w suchym łóżku w ciepłym pomieszczeniu, a zbrojny oddział ustawiony wokół siebie, Edwin patrzył, jak mieszkańcy Elmetu, którzy przyszedli złożyć hołd swojemu królowi, najpierw klękają przed Cianem, stojącym w lśniącej kolczudze ze swoją żoną, i nazywają go panem.

— Panie — powiedział mężczyzna o potężnej klatce piersiowej przybyły z czterema córkami — dziękuję ci za ocalenie mojego gospodarstwa.

— Panie — rzekła stara kobieta, która ucałowała brzeg jego płaszcza — za kurczęta, jagnięta i niemowlę mojego syna niech Chrystus ozdobi ci głowę kwiatem.

— Panie, pani — powiedzieli bracia, którzy w lesie wypalali węgiel drzewny — niech bogowie uśmiechają się do was i waszych dzieci.

Edwin skinął palcem na Hildę. Pochyliła się, by usłyszeć, co król chce powiedzieć.

— Który to już miesiąc?

— Może szósty.

— Lepiej niech się modli, żeby to nie był chłopiec.

— On jest lojalny całym ciałem i całą duszą. Ocalił æthelinga.

— Ocalił mnie przed Eamerem. Lecz kiedy mężczyźni rodzi się chłopiec, zmieniają mu się też ambicje. Powiadają, że jego syn byłby mieszanką Cerediga i Cadwallona, dziedzicem Elmetu i Gwyneddu. Nie trzeba jasnowidzącej, by przewidzieć północ marzącą o ponownym przybyciu Coela Hena, który stale sprawiałby kłopot Yffingom. Nie, chcę, by ród Cadwallona wyginął, został na zawsze wybity. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

Cadwallon uciekł do Walii, a Edwin nie chciał jechać tam za nim. Nie wiedzieli, jak mocny jest sojusz Mercji z Gwyneddem. Penda nie podążył za Cadwallonem do Elmetu, do Nortumbrii, i pora nie była teraz właściwa, by go prowokować.

Edwin przyglądał się Hildzie ze szczególną uwagą.

— Na zawsze wybity — powtórzył. — Kiedy nadejdzie odpowiedni czas. — Odchylił się do tyłu. — Chociaż, jak mówisz, Krzykliwy Płaszcz rzeczywiście ocalił æthelinga. Powinien coś za to dostać. — Uśmiechnął się ze zmrużonymi oczami. — Tak, coś za to dostanie.

Hildzie żołądek ścisnął się ze strachu.

W Yorku nowy kościół wznosił się ogromny, pusty i tylko w połowie zbudowany wokół maleńkiego drewnianego schronienia, w którym zostali ochrzczeni, lecz mimo to przyćmiewał wielkością cały zbrojny oddział lśniący i jaskrawy od złota. Na nowo pomalowane tarcze wydawały się na tle zimnego kamienia dziecinne i wyzywające; bransolety na ramionach, pierścienie na palcach i zrabowane torkwesy nie błyszczały

w półmroku. Wojownicy pocierali o płaszcze ochraniacze nadgarstków i wysadzone klejnotami rękojeści, lecz one wciąż pozostawały matowe. Niektórzy dotykali krzyży. Wielu innych — ukrytych amuletów.

Wydawało się, że wszystko jest nie tak. Jakub zaproponował Paulinowi na tę uroczystość dziedziniec ćwiczebny gesithów, lecz Paulin się uparł — dom Chrystusa dla wojownika Chrystusa — a kiedy Hilda poruszyła tę sprawę z królem, Edwin, wciąż ze zmrużonymi oczami i niezgłębiony, powiedział, że w sprawach boskich zostawia decyzję swojemu głównemu księdzu.

Po mszy chór Jakuba robił, co mógł, lecz bez dachu, który odbijałby i pomnażał dźwięki, wznoszące się hymny spadały jak bochenki chleba z odciętymi wierzchami: były płaskie, dziwne i cienkie. Dziwnie też było patrzeć, jak mężczyzna składa przysięgę na klęczkach.

Lecz kiedy Edwin podniósł go z kolan i obrócił przodem do wojowników, Hildy i ciężarnej Angethy, i ogłosił, że Cian Krzykliwy Płaszcz jest jego prawą ręką, jego głównym gesithem, uderzyli tarcze i ryknęli: „Krzykliwy Płaszcz! Krzykliwy Płaszcz!”. Cian promieniał jak Owein, który powrócił. Promieniał dla Angethy.

Hilda ją obserwowała. Trzy miesiące.

G

Jakub dolał jej wina i powiedział:

— Wyglądasz, jakby twoje brzemię ci ciążyło, dziecko.

— Jestem w wieku odpowiednim do zamążpójścia, przerastam cię o trzy dłonie i pomogłam ocalić æthelunga. Nie jestem dzieckiem.

Jakub sączył wino bez słowa; Hilda westchnęła.

— Przepraszam. Tak. Cięży mi. I jakaś część mnie żałuje, że nie jestem dzieckiem. Czy kiedykolwiek nim była? Może w Elmecie, nim zginął jej ojciec.

— Pragniesz się wyspowiadać?

— Nie. — Stanowczo i twardo. Upiła wina; było kwaśne. — To jest okropne.

— Spędzam tu mniej czasu niż kiedyś. I czasami moje zapasy... Cóż, powiedzmy, że czasami wydaje się, że moje zapasy wyparowują pod moją nieobecność.

„Nie kradnij”. Jeśli chrześcijanie naprawdę wierzą, że za złamanie przykazań pójdą do ognistego piekła, to dlaczego tak wielu je łamie?

— Jak się mają sprawy w Catterick?

— Osric się marszczy i knuje, ale to wszystko jest tylko na pokaz.

Na razie. Lecz Osric jest jak wszyscy inni; czeka na fałszywy krok jej, Edwina, Paulina. Czeka na ruch Pendency.

— A kościół?

— Prawie skończony. I sprawia wrażenie... uświęconego.

— Dziś rano otrzymałam wiadomość, która może cię zainteresować. Do Canterbury przybył Feliks, burgundzki biskup.

— Burgundczyk? To ciekawe. Co knuje Dagobert? — Uderzył lekko palcami w wargi i coś zanucił, co teraz już nie bardzo mu pasowało. — Nie mówiłaś, że Dagobert popiera Sigeberta?

Skinęła głową.

— Penda i Cadwallon, Cadwallon i Mniejsza Brytania, Dagobert i Sigebert... — Pokręcił głową. Włosy miał krótsze i jego kędziory już nie podskakiwały. — Mam gorącą nadzieję, że nie będzie to kolejny interesujący rok. Uważam, że mieliśmy już dość emocji.

Lecz Cadwallon został w Gwyneddzie. Penda wrócił do swojej mercjańskiej twierdzy w Tomeworthing, a podległy mu zachodniosaski król objął Dyfneint. Eadfrith odzyskał zdrowie i pojechał ze stu gesithami do Craven, by przypomnieć Osricowi o sile Edwina, a potem na lato do Tinamutha, by wzmocnić Osfritha na wypadek ataków Piktów: krążyły pogłoski o złej pogodzie na północ od rzeki Tweed.

Dwór przeniósł się do Sancton. Wydawało się, że co druga kobieta rodzi, a co drugi gesith uśmiechał się szeroko lub upijał się z rozpaczy, zależnie od sytuacji. Breguswitha i Begu były tak zajęte, że w końcu matki poprosiły o pomoc Hildę. Rozeszła się plotka, że dotyk jasnowidzącej sprowadza błogosławieństwo: dzieci rodzą się szybciej, łatwiej i przy mniejszym bólu.

— Ona nie robi nic innego niż ja — powiedziała Begu, szorując ręce nad wiadrem; Breguswitha siedziała na stołku, tym razem poddając się własnemu wiekowi, a Gwladus mruczała coś o rękawach Hildy i rozwiązała jej zakrwawiony fartuch, żeby włożyć go do balii z zimną wodą. — To niesprawiedliwe.

— Ona jest jasnowidząca — rzekła ze znużeniem Breguswitha. — Mówi im: „Urodzisz w tej chwili i nic nie czujesz”, a one są zbyt przerażone, żeby zrobić inaczej.

Gwladus prychnęła.

Begu stała, ociekając wodą.

— A jak mogę się tego nauczyć?

— Zaczynij od urośnięcia o pół łokcia.

I miej matkę, która przepowiedziała światło świata i walczyła, żeby przepowiednia się spełniła, pomyślała Hilda. Matkę, która opuściła dom nie raz, lecz dwa razy, by stworzyć dzieciom przystań. Hilda naląła kubek świeżego piwa i zaniósła je matce. Dotknęła znajomego policzka. Breguswitha zamrugnęła i przechyliła głowę. Hilda uśmiechnęła się i pokręciła głową. Usiadła na łóżku. Patrzyła na matkę, na Begu i na Gwladus i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuła się swojsko i zwyczajnie.

— Jeszcze tylko dwie — powiedziała Begu, wycierając się do sucha.

— Ardduna urodzi lada godzina — rzekła Breguswitha. — Ale o ile znam się na rzeczy, jej dziecko wyśliźnie się jak węgorz. — Zamilkła na chwilę. — No i jest Angetha. Ale ona urodzi dopiero za kilka tygodni. Wtedy będziemy już w Derventio.

Gwladus pokręciła głową.

— Co? — zapytała Begu. Spojrzała na Hildę. — O co chodzi? Czy z Angethą coś jest nie tak?

G

Liście się rozwijały. Obudziły się jeże, a pierwiosnki latały niespokojnie, bez końca tam i powrotem do gniazda w pokrzywach z jedzeniem dla piskląt. Owce pęczniały jak puchate białe chmury na chabrowniebieskim niebie.

Kiedy król odprawił doradców, Hilda dogoniła Ciana na zewnątrz halli.

— Panie Krzykliwy Płaszczu!

Odwrócił się.

— Pani jasnowidząca. Król wzywa nas z powrotem?

Pokręciła głową. Dzieliła ich odległość ponad kroku. Kasztanowe włosy Ciana lśniły w słońcu. Teraz ścinał je krócej. Może takie podobały się Angecie.

— Przejdź się ze mną — zaproponowała Hilda.

Poszli w milczeniu na zachód dobrze sobie znaną ścieżką do wiązowego lasu, gdzie kiedyś ćwiczyli walkę. Hilda miała ze sobą swój kij, a Cian miecz. Wiedziała, że ich nie użyją, że już może nigdy nie będą walczyć.

Śpiewały zięby. Zabuczał bąk.

— Pamiętasz poranek, kiedy zostałem ochrzczone?

— Tak. Zmoczyłeś głowę. Na szczęście miałeś ślad po ugryzieniu. Wciąż go widać, kiedy się opalisz w lecie.

Dotknął podbródka.

Dotarli do polany.

— O — powiedział Cian. Na starym pniaku siedział rudzik. — To chyba nie ten sam!

— Może jego syn. — Ptak odwrócił główkę, spojrzął na nich jednym okiem, potem drugim i odleciał. — Czy Angetha dobrze się czuje? — zapytała Hilda.

Cian zrobił się czujny jak pies, który pochwycił trop.

— Wczoraj wymiotowała. Ale ciężarne kobiety tak robią. Prawda?

Nie po czwartym miesiącu.

— I przybrała na wadze?

— Przecież przybierają, prawda?

— Przyślij ją do mnie.

Rudzik śpiewał wśród drzew.

— Cian.

— Możliwe, że nie przyjdzie — rzekł. — W Deganwy... W Deganwy mówiłem o tobie nieprzyjemne rzeczy. Początkowo.

Spojrzała mu w oczy, w oczy, które widziała rozszerzone z pożądania, mokre od łez, lśniące radością.

— Przykro mi. Tamtego dnia... Przykro mi. Wierzysz mi?

— Tak.

— A zatem przyślij ją do mnie. Zmusz ją, żeby przyszła.

Hilda przysunęła swój stołek do stołka Angethy i ujęła ją za rękę. Nacisnęła wierzch dłoni delikatnie kciukiem. Zagłębienie powoli się wypełniło.

— Zwykle nie jest tak źle — powiedziała Angetha.

Twarz też miała nabrzmiąłą; nie była tak gładka i zdrowa jak w Elmecie.

— Miewasz bóle głowy?

— Tak, ale powodem może być cokolwiek. Każdy może mieć bóle głowy i rozbłyśki światła od wymiotowania.

— Bolała cię głowa od wymiotowania w dzieciństwie?

— Nie.

— I wymiotujesz?

— Powodem może być cokolwiek! Gdyby każda kobieta, która...

— I ból brzucha tutaj.

Dotknęła Angethę tuż pod żebrami. To nie było pytanie. I teraz Hilda wiedziała, że to nie sprawka jej matki.

Angetha pokręciła głową.

— Nie. Nie.

Hilda chciała ją pogłaskać, uspokoić jak konia, ale wiedziała, że Angetha się cofnie.

— Musimy mieć pewność. — Wstała i wystawiła głowę przez zasłonę. — Gwladus, przynieś wiadro.

Kiedy pojawiło się wiadro z dwoma calami wody na dnie, Angetha znowu pokręciła głową.

— Nie. Nie. Nie teraz, nie dzisiaj. Mam pusty pęcherz.

— A zatem go napelnimy. — Hilda znowu wstała. — Gwladus! Piwo! Dużo! — Usiadła. — Opowiedz mi o Gwyneddzie. — Cisza. — Albo nie. Mogę ci dać motek do uprzedzenia.

Po chwili Angetha powiedziała:

— Jesteś taka młoda. — Hilda milczała. — Mówią, że jesteś czarownicą.

— Twój mąż wie lepiej.

Cisza.

— Jesteście bardzo do siebie podobni — odezwała się w końcu Angetha. — Teraz rozumiem, dlaczego mogliście się pokłócić. Podobni ludzie nie zawsze się zgadzają. — Jej orzechowe oczy były w napuchniętej twarzy małe, lecz bystre. — Tak bardzo podobni. W lesie, kiedy mnie chwyciłaś, przez jedno uderzenie serca pomyślałam, że to on. On albo diabeł pod jego postacią. Kiedy mu to powiedziałam, roześmiał się. Dużo się ze mną śmieje.

— Tak. Wybrał cię.

Wtedy przyniesiono piwo; napiły się go i potem rozmawiały spokojnie o gesithach i o tym, jak czasami nie mają więcej rozumu niż owce. O towarach płynących z Deganwy do Manau i Irlandii. O złotym szlaku z Tintagelu. O tym, jak to jest opuścić ojcowski dom. Hilda stwierdziła, że lubi Angethę, księżniczkę Gwyneddu.

Kiedy nadszedł czas, Angetha nasiusiała do wiadra i pozwoliła Hildzie je wziąć i przechylić do światła.

— Jest pienisty — stwierdziła Hilda. — Ale nie ma krwi. — Jeszcze nie. — Mamy czas.

Angetha objęła brzuch rękami.

— Mogłabyś urodzić inne.

Angetha pokręciła głową.

— Mogłabym się modlić.

— Chrystus nie zawsze słucha. Proszę cię, Angetho. Mamy czas, ale nie dużo.

Angetha pokręciła głową.

— Zawsze jest nadzieja.

— Widywałam coś takiego. Nikt nie może tego powstrzymać. Napęczniejesz jak grzyb. Zaczną cię boleć mięśnie. Będiesz siusiać na różowo. Będiesz miała ataki. Stracisz przytomność. Umrzesz. Jest na to napar.

— Chcę urodzić to dziecko.

— Niemądrze jest czekać.

— Chcesz, żeby było martwe. Wszyscy chcecie, żeby było martwe. — W jej głosie brzmiało więcej zmęczenia niż gniewu. Nagle się zgięła, trzymając się za głowę rękami. — Tak bardzo boli.

Hilda położyła jej rękę na ramieniu. Ramię stwardniało. Angetha się wyprostowała. Księżniczka Gwyneddu.

— Możesz powiedzieć, że nie ma nadziei, ani krzty? Nie. Tylko Bóg jest nieomylny. Możesz powiedzieć, że nigdy się nie myliłaś? Możesz to przysiąc? Możesz przysiąc, że bym przeżyła?

— To nie...

— Możesz przysiąc?

Nie miała władzy nad życiem i śmiercią.

— Nie.

— A zatem nie napiję się twojego naparu.

Siedem tygodni później w Derventio Hilda zastała Ciana klęczącego w kościele. Teraz budynek był już wspaniały i w niczym nie przypominał dawnej prostej kamiennej budowli. Rzeźbione i malowane ściennie płyty lśniły od pozłoty. W fioletowym półmroku płonęły świece.

Cian uniósł twarz z dłoni. Żrenice miał czarne z rozpacz; wyglądały jak dziury wypalone w drewnie.

— Nie wierzyłem ci, kiedy mi powiedziałaś, że umieszczą tu szkło. Ale jest. — Zaskwierczał knot jednej ze świec. — Miała atak. Nie widzi. Musisz ją uratować.

— Spróbuję.

— Musisz.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Przysięgnij. — Chwycił ją za ramię. Silna dłoń na silnym ramieniu. — Przepraszam za wszystko, co się wydarzyło. Przepraszam. Przysięgnij, że zrobisz, co możesz dla nich obojga. Przysięgnij.

Twarz miał napiętą, twardą.

Hilda spojrzała na jego dłoń. Taka sama jak jej.

— Przysięgam.

I spróbowała. Kiedy na zewnątrz bębnił deszcz, a Cian pił w halli, razem z matką walczyła o Angethę i jej dziecko — jak psy. Żeby wygnać z jej komnaty cienie, zapaliły świece, jakby wosk pszczeli nic nie kosztował. Kiedy odeszły jej wody, oprowadzały na wpół przytomną Angethę tam i z powrotem. Śpiewały.

Kubek naparu z mięty dwa miesiące wcześniej i byłoby po wszystkim. Dziecko martwe, lecz matka żywa. Teraz mięta mogłaby spowodować na tyle szybki poród, że dziecko by przeżyło, lecz zabiłaby Angethę. I chociaż nie widziała, zachowała węch, a nic nie mogłoby ukryć zapachu mięty. Angetha była oszalała ze strachu.

— Powinnyśmy ją wygodnie ułożyć — powiedziała Breguswitha, mając na myśli odurzenie jej i pozwolenie, by zmarła w spokoju.

„Możesz przysiąc?“, zapytała przedtem Angetha. Hilda pokręciła głową.

— To okrutne — stwierdziła Breguswitha.

— Przysięgam. Pomóż mi.

Zrobiły, co w ich mocy. Rozebrały ją do naga i myły całą rozmarynem, kiedy było jej gorąco, a kiedy trzęsa się z zimna, owijały kocami. Próbowaly ją napoić wywarem z pietruszki. Masowały jej brzuch gęsim tłuszczem, czuły drżenie i skurcze, liczyły.

Angetha chyba wyobrażała sobie, że znowu jest dziewczynką, przewraca się na zboczu góry, uderza brzuchem o kamień i krzyczy, że ją boli. Hilda miała nadzieję, że już tam zostanie. Zielona trawa Gwyneddu to lepsze miejsce na zakończenie życia niż ślepy ból w ciemnym, ciasnym pokoju.

Hilda zmierzyła szerokość dłoni Angethy wzdłuż kłykci, następnie odmierzyła tak samą odległość od wewnętrznej kostki u nogi i pomasowała goleń. Pomacała brzuch, policzyła. Za wolno.

Angetha znowu straciła przytomność. Odwróciły ją na bok. Breguswitha podtrzymywała jej twarz, żeby mogła oddychać, a Hilda usiłowała znaleźć wgłębienie obok kręgosłupa, ale Angetha była tak spuchnięta, że Hilda nie wiedziała, czy masuje właściwe miejsce.

Odwróciły ją z powrotem i podparły. Drżała na wpół przytomna. Breguswitha położyła dłoń na jej brzuchu, policzyła i pokręciła głową.

Angetha jęknęła jak dziecko, potem nagle krzyknęła ostrym głosem i znowu zemdląła. Po chwili zaczęła się poruszać i nagle wyprostowała sztywno ręce i nogi.

— Trzymaj ją!

To było jak trzymanie natłuszczonego prosięcia.

— Rodzi się! — powiedziała Breguswitha i rzeczywiście, pojawiła się główka. — Przyj. Przyj.

Angetha ich nie słyszała. Hilda naciskała na drżący brzuch w rytm skurczów mięśni pod jej dłońmi.

Angetha miotła się. Breguswitha trzymała stopę, stękając jak przy przeciąganiu liny. Hilda, na wpół zaplątana w koc, obiema rękami naciskała na brzuch.

Na ustach Angethy pojawiła się piana. Hilda spróbowała ją wytrzeć.

— Po prostu przyj! — krzyknęła Breguswitha.

I dziecko wyśliznęło się na zewnątrz, śliskie, sine i nieruchome. Breguswitha owinęła je kocem. Hilda uniosła bezwładną teraz głowę Angethy. Oczy miała wywrócone, nieruchome.

Matka Hildy ułożyła dziecko w ramionach Angethy — może poczuje, jakby to był Cian — i szepnęła:

— To dziewczynka. Oddychaj, Angetho.

Angetha odetchnęła. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

— Czuję zapach rozmarynu, miłości — powiedziała i umarła.

Hilda uniosła koc.

— Zaczekaj — powiedziała Breguswitha.

Położyła maleńkie zawiniątko obok Angethy. Dziecko nadal było sine. W chwiejnym blasku świec Hildzie wydało się, że drgnęło, ale to było złudzenie.

— Możesz powiedzieć Cianowi, że zrobiłaś, co mogłaś. Zmyj krew z twarzy, zmień

suknię. Idź. Ja je umyję. Przyślij do pomocy Begu.

Na widok Hildy twarz Ciana zastygła.

— Umyłaś się — powiedział. — Nie śpieszy jej się zatem?

— Nie.

— To mnie też nie. — Wychylił kubek, nalał sobie kolejną porcję. — Nie chcę jej oglądać.

— Ich. To była dziewczynka. Miała czarne włosy.

Chyba nie słuchał.

— I tak by nie przeżyła, prawda?

Chciała nim potrząsnąć. Próbowалаm!

Lecz nic nie zrobiła, nic nie powiedziała. Po raz pierwszy w życiu bała się Ciana. Twarz miał gładką, głos pozbawiony barwy i lekki jak drewno wyrzucone na brzeg. Jego fala cofnęła się. Hilda bała się tego, co może przynieść z powrotem.

Dwór przeniósł się do Goodmanham, a potem do Brough. Na powierzchni wody Ciana były spokojne, lecz prąd podpowierzchniowy był straszliwy. Nie podnosił głosu, nie upijał się, lecz co tydzień Breguswitha musiała po ćwiczebnej walce nastawiać kolejnemu gesithowi rękę albo nogę. Tylko przy dzieciach sprawiał wrażenie żywego i uśmiechał się. Zaczął spędzać czas z Eanflædą i Wuscfreą. Jego matka chrzestna, Etelburga, pozwalała mu na to.

Eanflæda była teraz krzepka jak dębczak; Wuscfrea zapamiętała dreptał. Cian zrobił mu małą tępą włócznię. Chłopczyk rzucał nią we wszystko, łącznie z ojcem.

— Mój mały — powiedział Edwin, kiedy Wuscfrea rzucił swoim patykiem w stół, przy którym rozmawiali leniwie jego najbliżsi doradcy po omówieniu bieżących spraw.

Służący wytarł rozlane piwo. Hilda dopełniła puchary, lecz kiedy zobaczyła, na co patrzy Edwin, sama prawie rozlała napój: syn króla i główny gesith siedzący na podłodze głowa przy głowie w blasku pochodni, rozświetlającej kasztanowe włosy.

— Lubi cię — rzekł Edwin. Zaskomlał któryś z psów. — Można by pomyśleć, że jesteś jego wujem.

Hilda zmartwiała. Cian tylko zmierzwił włosy Wuscfrei i się uśmiechnął. „Utrzymywanie go w niewiedzy zapewnia mu bezpieczeństwo”. Nie wiedziała, czy jego oczywista niewinność wystarczy.

Lato zmieniało się w jesień, a ona ledwie ważyła się oderwać wzrok od twarzy króla. Niczego nie okazywał, lecz jej sny rozbrzmiewały niebezpieczeństwem.

Podczas mszy we wciąż nieukończonym kościele w Yorku Paulin poprosił o Boże błogosławieństwo dla owocu królewskich łądźwi, a Etelburga musiała wyjść z kościoła, żeby zwymiotować. Czowała się zbyt źle, by wziąć udział w uczcie.

Puchar dla gości poniosła przez całą długość stołu Hilda. Nie było Hereswithy, Osfritha ani Eadfritha. Lilla, Lintlaf i Dunod od dawna nie żyli. Wszystko wyglądało jednak tak samo: srebro, złoto i żywe kolory z wyjątkiem czerni Wrony. Brzmiało też tak samo: dudnienie śmiechu ludzi zadowolonych, że żyją, przeplatane sprężystym brzdąkaniem liry. Tak samo pachniało: pieczonym mięsiwem, niemytymi ludźmi, pastą z owoców i ostrym białym miodem. Światło świata. To znała. Tym jest. Jej wyrd narodziła się przed nią. Ona wybrała tę drogę, to miejsce, bo zawsze je wybierała.

Uniosła puchar ku Edwinowi, zastanawiając się, jak długo będzie mu pomagała pozostać królem.

Rozdział 26



Świat się odmienił. Przenieśli się do Bebbanburga, do Yeaveringu, do Derventio. Wiosna była ciepła, lato cieplejsze. Królowa pęczniała.

W Goodmanham psy dyszały w cieniu, a upał codziennie się wzmaczał. Runo zgromadzone w drewnutni śmierdziało. Mleko się zsiadało. Etelburga, wielka jak krowa, wspierała się na swoich kobietach, pociła się i nie zawsze brała udział w królewskich naradach.

Cian zrobił dla Wuscfrei maleńki łuk z tępyimi strzałami; pożyczyła go sobie Eanflæda i niemal oślepiła brata. Królowa, która wiedziała o problemach chrześniaka, nie zakazała mu kontaktów ze swoimi dziećmi, poprosiła natomiast Hildę, by ich pilnowała do czasu, kiedy sama znowu będzie mogła to robić.

Tak więc Hilda zaczęła przynosić jagody i piwo na dziedziniec, gdzie Cian bawił się z dziećmi, a kiedy jedli w cieniu wielkiego wiązu, siadała i przędła. Czasami rozmawiała z Cianem o pogodzie albo o nieustraszonoci Eanflædy, albo o zdrowiu Etelburgi. Czasami Cian odpływał, a Hilda, która znała go dobrze, słyszała szum i plusk jego myśli, jakby były jej własnymi. „Moja córka też byłaby nieustraszona; moja córka teraz już by raczkowała; dzisiaj moja córka mogłaby zrobić pierwszy krok”.

O ile wiedziała, nie płakał.

Pewnego dnia, kiedy Eanflæda bawiła się swoją nową zabawką — przemyślnie wyrzeźbionym psem — a Wuscfrea zgarniał ziemię na kupkę, zaczęli rozmawiać o wieściach, które już omówili podczas narady z królem: o zarazie na południu szerzącej się w Kencie i o śmierci Ricberhta w Anglii Wschodniej.

— Dziedzicem Sigeberta jest Etelryk, mąż Hereswithy — powiedziała Hilda.

— Aha. A po nim twój siostrzeniec, Ealdwulf?

Skinęła głową, ale on już odpłynął, chociaż kiedy wrócił tym razem, odezwał się:

— Byliby w tym samym wieku.

— Tak — powiedziała i podała mu najbardziej czerwoną poziomkę z miski.

Poziomka za córkę. Nie miała jednak nic więcej.

Hereswitha napisała:

W prezencie ślubnym dałaś mi przepowiednię, że mój mąż umrze jako król. Módl się, żeby nie nastąpiło to wkrótce.

Módl się nie o to, żeby nie miała racji — królowie upadają — lecz o to, żeby nie nastąpiło to wkrótce.

Eanflæda wrzasnęła, bo Wuscfrea odłamał figurce psa ogon. Kiedy udało się wyperswadować jej, by porzuciła próby zmuszenia brata do zjedzenia go, Hilda i Cian zaczęli rozmawiać o innych sprawach.

Królowa stawała się coraz grubsza. Goodmanham tonęło w słonecznym żarze.

Doradcy otrzymali wiadomości od Osfritha z Tinamutha: jego żona Clotruda zmarła w pòłogu. Przez resztę poranka Cian był blady i nieobecny. Wychodząc z narady, zapytał Hildę o zdrowie królowej.

— Czuje się dobrze, ale jest zbyt gorąco, by z wdziękiem obnosić się publicznie z takim ciężarem.

Upały nie ustawały. Ludziom puszczały nerwy. Domownicy i służba spali na dworze, rozmawiali do późna, pili zbyt dużo i wstawali o świcie, spoglądając ku południowemu zachodowi w nadziei na chmury. Niebo wciąż było błękitne. Pryzmy gnojowe wydzielają ostry odór.

— Powinniśmy pojechać do Elmetu — stwierdziła matka Hildy. — Albo na północ do Zatoki Wici. Wszystkim zrobiłaby dobrze odrobina morskiego powietrza.

— Ty mogłabyś pojechać — rzekła Hilda. — Weź ze sobą Luftmaera.

Królowa przyszła na kolejne spotkanie doradców. Hilda przekazała jej najnowsze wiadomości od Furseya: burgundzki biskup, Feliks, przeniósł się z Canterbury do Rendlesham. Być może chciał w ten sposób uniknąć zarazy, ale bardziej prawdopodobne jest, że zrobił to na rozkaz Sigeberta.

Edwin spojrzał na Paulina.

— Frankijski biskup na dworze frankijskiego marionetkowego króla Anglów Wschodnich. Gdzie w tym wszystkim jest twój papież? I w czym jeszcze Dagobert macza swoje długie frankijskie palce?

Hilda spojrzała na Etelburgę, która pochodziła ze znajdującego się pod frankijskimi wpływami kentyjskiego dworu. Podobnie jak jej matka. Lecz jej matka myślała teraz jedynie o sobie i o swoich dzieciach.

— Syn twojego syna jest pół-Frankiem — powiedziała Etelburga.

— A Osfrith nie ma teraz żony — rzekł Paulin. — Co będzie, jeśli wybierze sobie jakąś Kentyjkę albo kobietę wywodzącą się z Anglów Wschodnich i nawiąże kontakty z królestwami, które skłaniają się ku Frankom? A jeśli ma jakieś plany?

Etelburga chciała, żeby dziedzicem został jej syn. Paulin też dostrzegał w tym korzyść. Razem znali wszystkie obawy Edwina: Osfrith był lubiany i dobrze usytuowany geograficznie, na styku Deiry i Bernicji. I nadał swojemu dziedzicowi dynastyczne imię.

— Sprowadź to dziecko na dwór, panie — podsunął Paulin. — Jako cenionego gościa.

Zakładnik za dobre zachowanie rodziny, jak Oswine za Osrica.

— Yffi jest bardzo mały — rzekł Edwin, lecz Hilda widziała, że się nad tym zastanawia. — A co z resztą północy? Co z Rhegedem?

— Przygotowujemy Oswine'a dla Rhianmelldty — powiedziała i zerknęła na Etelburgę. Oczy królowej lśniły, lecz Hilda nie miała pojęcia, o czym ona myśli. Czy wspomniaby o dawnym pomysle wydania szalonej dziewczeczki za Ciana? Lecz Etelburga milczała. — Tymczasem mamy Uinniau.

— To siostrzeniec — stwierdził Edwin. — Każdy król poświęci siostrzeńca.

Każdy król poświęci każdego, lecz nikt nie uznał za rozropne o tym wspomnieć.

— A więc wyślij Eadfritha, by oczarował Rhoedda — powiedziała Hilda. — On potrafiłby namówić ptaki, by sfrunęły z drzew.

I nie nadawał się na dowódcę armii; gesithowie już mu nie ufali. Może nawet mógłby poślubić Rhianmelldę. To by pochlebiło Rhoeddowi i odpowiadało Etelburdze...

— Panie — odezwał się Cian i wszyscy się odwrócili. Krzykliwy Płaszcz rzadko się odzywał w kwestiach niezwiązanych z wojną. — Może lepiej wysłać pana Eadfritha do Pendency. Dla zrównoważenia wpływu Cadwallona. Penda jest przyjacielem Gwyneddu, owszem, ale może jeszcze nie w pełni naszym wrogiem.

— Myślisz o małżeństwie? — zapytała Hilda. — Penda chyba nie ma jeszcze jednej siostry ani córki.

Paulin skierował wzrok na Hildę.

— Może król Mercji ma wolnego syna.

— Nie ma — odparła.

— Szkoda — rzekł Edwin.

— A co z samym Pendą? — Paulin zwrócił się do Edwina. — Twoja bratanica osiągnęła odpowiedni wiek.

Teraz wszyscy popatrzyli na nią: kobietę, nie jasnowidzącą. Przyszła królowa Mercji. Lecz ona obserwowała królową, której gładka twarz coś skrywała.

— Byłbyś chrzestnym Pendency — powiedział Paulin. — Uznałby cię za zwierzchniego króla.

Zwierzchniego króla wszystkich Anglów. Lecz małżeństwo z Pendą nie było jej drogą, nigdy nią nie było.

Hilda bardzo się postarała, by w jej głosie brzmiało znużenie.

— Królu, powiedział mi kiedyś pewien ksiądz, że ten, kto zostaje ojcem chrzestnym drugiego człowieka, adoptuje go w religii. Penda zostałby twoim adoptowanym synem. Spodziewałby się, że odziedziczy twój płaszcz jako zwierzchni król. Biskup jest księdzem. Zapomina, jak wiele mężczyzna pragnie dla swoich synów.

Doradcy przytaknęli półgłosem i zerkali z ukosa na obcego w czarnej sukni. Hilda odwróciła się z powrotem do Etelburgi, spodziewając się wdzięczności za ochronę dziedzictwa Wuscfrei, lecz napotkała spojrzenie wytwornej, nieprzeniknionej królowej.

Edwin wysłał posłańca do Eadfritha w Tinamutha: przywieź do mnie Yffiego, a potem jedź do Mercji i oczaruj Pendę.

W obliczu udaremnienia swoich planów Paulin zaczął nękać Edwina. Na temat Elmetu. Na temat większej ilości pieniędzy na kościół w Yorku, żeby przyspieszyć jego budowę. Na temat stanowczego sprowadzenia Rhegedu do owczarni. Hilda uświadomiła sobie, że Paulin odczuwa swoje lata. Chciał otrzymać paliusz, zanim wypędzi go do nieba jakaś starcza choroba.

Upał był coraz większy. Etelburga już nie przychodziła na narady. Służba i domownicy byli rozdrażnieni i niewyspani. Na jednej z narad Paulin podniósł sprawę świątyni Wodena.

— To jest afront wobec Boga za naszym progiem, pomnik pogańskich praktyk. Musimy go zburzyć.

— Ludziom się to nie spodoba — rzekła Hilda. — Już są niespokojni.

— Ludzie muszą wykonywać polecenia króla — stwierdził Paulin. — Po naszej stronie jest Bóg.

Hilda pochyliła głowę w stronę wuja.

— Jeszcze nie, królu. Może jesienią albo kiedy załame się pogoda. Ale nie teraz. Uniósł brwi.

— Nie przebywa w niej bóg. Nie ma żadnej mocy. Zeszłej nocy, kiedy sowa wyleciała na łowy, nawoływały kruki i sójki. — Po pomieszczeniu rozniósł się pomruk. — Służba mówi, że kruki i sójki rozmawiają z niespokojnymi zmarłymi.

— Przesąd — rzekł Paulin.

Dziesięć lat wcześniej Edwin uśmiechnąłby się i powiedział: „Nie pluj”. Lecz on też się starzał. Swojemu synowi nadał imię Wuscfrea. Chciał zostawić po sobie ślad tak samo rozpaczliwie jak Paulin. Nic nie powiedział.

— Potrzebujesz męża — stwierdził Paulin.

Edwin przyjrzał się jej, a potem zwrócił się do Paulina.

— Spal świątynię.

W dniu, kiedy zwalili totem Wodena, niebo rozdarła błyskawica i wylała z niego gęsty, zimny deszcz. Przez hallę przemknął chłodny wiatr. Tej nocy, kiedy płonęły gnijące bale, Etelburga urodziła z pomocą Begu bliźnięta, szybko, łatwo, jak groszki wyskakujące ze strąka.

Następnego ranka podczas narady Paulin uśmiechnął się tryumfalnie do Hildy: pogański totem został zniszczony, pogoda się załamała, królowa czuje się dobrze, a bliźnięta są zdrowe. Ochrzci je w niedzielę.

W piątek Gwladus obudziła Hildę przed świtem.

— Wzywa cię Wilnoða. Bliźnięta są rozpalone.

Policzki miały czerwone, oczy zamglone i zajęte płuca.

— Umrą — powiedziała królowa. — Wiem to. Umrą.

— Nie — odparła Hilda. — Musimy nacierać im piersi, aż odkrztuszą flegmę, a kiedy zaczną się pocić, musimy pilnować, żeby im było ciepło.

Etelburga sprawiała wrażenie, jakby jej nie usłyszała.

— Umrą.

Hilda przyłożyła grzbiet dłoni do czoła królowej.

— Jesteś rozpalona. — Spojrzała na Wilnoðę. — Czy kaszlała?

Wilnoða skinęła głową.

— Nie ma się czym martwić — stwierdziła Hilda. — Dam ci napar.

— Chciałaś dać napar Angecie — powiedziała Etelburga.

— Ten jest inny.

— Musimy je ochrzcić — powiedziała królowa.

— Nie, pani — sprzeciwiła się Hilda. — Nie tego potrzebują. Potrzebują...

— Zamierzałaś poślubić Pendę i ukraść mojemu synowi królewską zwierzchność.

— To był pomysł Wrony, pani.

— Ty mu go zaszczepiłaś. Zaszczepiłaś w moich dzieciach demony. — Ścisnęła swój krzyż. — Odejdź, hægtes! Nie chcę cię słuchać.

Hilda pokręciła głową, zraniona.

— Majaczy — powiedziała do Wilnoðy. — Dlaczego nie wezwałaś mnie wcześniej?

— Nie słuchaj jej! — krzyknęła Etelburga. — Czy ona jest królową? To ja jestem królową! Sprowadź tu biskupa!

Wilnoða wyszła z pokoju, rzucając Hildzie przeprasające spojrzenie. Hilda żałowała, że nie ma z nią matki. Mruknęła do Gwladus:

— Znajdź Begu. — Jej gemæcce była prawdopodobnie z Uinniau. — Jeśli jej nie znajdziesz, sprowadź tu Ciana i powiedz Arddunie, żeby przyprowadziła Eanflædę i Wuscfreę.

Etelburga zobaczy, że Cian kocha jej dzieci, jej wszystkie dzieci, jak własne. Był jej chrześniakiem. Jeśli on powie, że chrzest może je zabić, to na pewno go posłucha.

Nie posłuchała. Pośród krzyków, błagań i zawodzenia Eanflædy przybyli Paulin i Szczepan, żeglując przez noc w swoich szatach jak statki na pełnych żaglach.

— Próbuje — powiedziała Hilda do Ciana. — Zrób, co się da. Ja porozmawiam z królem.

Lecz nie zdało się to na nic. Edwin powiedział, że totem został zwalony, pogoda się załamała, a Paulin jest jego głównym księdzem. Królowa jest królową. Skoro uznała, że dzieci należy ochrzcić, to zostaną ochrzczone.

Cian, który do końca usiłował namówić królową do zmiany decyzji, znalazł Hildę pod więzami wskazującymi porę dnia.

— Nie żyją — powiedział. — Oboje. Są nadal w strojach do chrztu. Dziewczynka miała czarne włosy.

Nawet się nie zachwiał, po prostu złożył się w kolanach i padł na ziemię jak zarżnięty wołek, a Hilda przez chwilę widziała krew czerwoną jak na prześcieradle mima, wypływającą z jego szyi na trawę.

Objęła go ramionami tak jak poprzednio Angethę, jakby był na tyle mały, że można go było nosić; trząśł się, a ona głaskała go po włosach. Powoli on też ją objął i się rozplakał.

Płakał godzinę. Płakał, więzy drżały, cienie się wydłużyły i zaczęły ją boleć plecy, ale go nie puściła.

Rozdział 27



Jesień w Elmecie. W Caer Loid, a potem w Aberfordzie Edwin patrzył, jak mieszkańcy klękają i przyprowadzają dzieci do pani jasnowidzącej i księcia Krzykliwego Płaszca, by je pobłogosławili. Potem była msza w Yorku, przejście zimy w wiosnę w Bebbanburgu i smagana wiatrem trawa w Yeavingu, gdzie zebrali się przywódcy z daniną.

Etelburga nie przeprosiła, że nazwała Hildę hægtes; królowe nigdy nie przepraszają. Zamiast tego obdarowała ją prezentami — olejkiem jaśminowym, jedwabiem koloru barwinka w ciemny dzień, pięknym sznurem pereł i agatu mszystego, za który można byłoby kupić trzy konie bojowe. Dała też prezenty Begu, Uinniau, Breguswicie i Luftmaerowi. Głównie drobiazgi, grzebienie i noże stołowe. Cenniejsze było to, że włączała ich do wszystkiego, co robiła: do kółka tkackiego, do swoich mszy, przydzielania przędzy i rozmów o dostawach. Omawiała pomysł wysłania Breguswithy do Arbej, żeby uporządkowała tam kwestię przepływu tkanin przez dolinę Tine. Miała na myśli miejscowość o nazwie Redcrag położoną niedaleko Tinamutha. Może Breguswitha znajdzie Osfrithowi miłą żonę, skoro już tam będzie. Jakąś północną księżniczkę. Gdyby Piktowie i Irlandczycy zaczęli się burzyć, dobrze by było, gdyby Gododdinowie i mieszkańcy Alt Clut byli związani z Yffingami.

Przed unormowaniem się sytuacji w Rhegdzie nie można było obiecać Begu i Uinniau, że się pobiorą, ale oni zachowywali się tak, jakby byli małżeństwem i należeli do domowników Hildy.

Pewnego popołudnia Begu nawinęła na swój motek resztkę przędzy i zgrabnie go skręciła.

— Chciałabym, żeby Rhoedd wydał za kogoś Rhianmelldtę. Obojętnie, za kogo. Nie obchodzi mnie to. Chcę Uinny'ego. Chcę, żeby był bezpieczny. Kiedy tak się stanie?

— Nie wiem.

— Chcę, żeby to zostało załatwione, nim wybuchnie kolejna wojna. Powiedz mi, że jeszcze przez jakiś czas nie będzie wojny. Powiedz mi, że Eadfrith czaruje tego straszego Pendę.

— Na pewno robi wszystko, co w jego mocy — powiedziała Hilda.

Sięgnęła po kolejny kłęb przędzy. Pewnego dnia wybuchnie wojna z Pendą. Pewnego dnia upadną Yffingowie. Chciałaby sprawić, że nie nastąpi to wkrótce. Lecz Mercja była silna i stawała się coraz silniejsza, a Edwin, zamiast rozdawać złoto i przyciągać gesithów, pozwalał, żeby Wrona napełniał mu głowę bzdurami o Bogu, boskiej królewskości i prawdziwym małżeństwie.

— Co? — powiedziała Begu, nieruchomiejąc. — Będzie wojna?

Hilda pokręciła głową.

— Nie o to chodzi.

Edwin coś planuje, a ona nie wie co.

Wiosna w Yeaveringu. Galopowali pod wiatr na szczycie Ad Gefrin: Hilda na Cygnet, Eanflæda na gniadym kucu, którego nazwała Pokrzywą, a Cian na Acærnie z powiewającym płaszczem i małym Wuscfreą w zgięciu prawego łokcia. Galopował z głową odrzuconą do tyłu, ze śmiechem, a Wuscfrea radośnie gaworzył.

Eanflæda jechała ostro i odważnie, jakby miała dwadzieścia stóp wzrostu, a jej wierzchowiec okraczał świat. Nie lubiła, kiedy Hilda wysuwała się do przodu. Chciała być pierwsza. Tego dnia Hilda jej uległa.

W halli obserwował ich król. Obserwował ich Paulin. Wydawało się jej, że może obserwuje ich królowa, lecz czyni to bardziej subtelnie. Hilda pilnowała się, by nosić swój złoty krzyż na widoku na wierzchniej sukni i by każde jej wypowiedziane publicznie słowo wspierało wuja. Pilnowała się, zawsze się pilnowała. Tymczasem wysłała do Furseya wiadomość: „Poślij kogoś do Mercji. Zawiadom mnie, kto przewodzi, Penda czy Cadwallon”. Lecz halla Pendency nie była chrześcijańska. Wysłała wiadomość do Rhina: „Poślij kogoś do Gwyneddu. Poślij kogoś do Rhegedu. Zdobądź dla mnie informacje”.

Cian miał w Yeaveringu kobietę, siostrę pasterza kóz, z którą zaprzyjaźnił się już wcześniej. Miał też kobietę w Bebbanburgu, a przedtem w Yorku. Hilda wyczuła na nim jej zapach, kiedy śmiał się i kręcił Eanflædą w deszczu przy wielkim żywopłocie. Uśmiechnęła się wtedy, poszła do Linnety, pomogła jej przy sprawianiu trzech kurcząt i powiedziała sobie, że cieszy się, że Cian zdrowieje. Tego wieczoru, kiedy wyciągnęła rękę, żeby Gwladus rozpięła jej bransoletkę z karneoli, Gwladus pogłaskała ją po dłoni, wstała, wypięła piersi i rozchyliła usta, a Hilda zrozumiała, że proponuje samą siebie jako dar, jako pocieszenie. Przełknęła ślinę i nie poruszyła się, nie dotknęła.

Nie dotykała nikogo. Codziennie do Yeaveringu przybywali przywódcy ze swoimi dumnymi młodymi synami i córkami: miękka skóra, twarde mięśnie, wyzywające spojrzenie. Codziennie Hilda znajdowała jakiś sposób na odsunięcie od siebie pragnienia. Było zbyt niebezpieczne. Codziennie obserwował ją Paulin i jego księża. Codziennie obserwował ją król.

Czasami jechała gdzieś z jakąś roześmianą dziewczyną albo silnym młodzieńcem. Piła z nimi, bawiła się w przeciąganie liny, siedziała z nimi biodro w biodro na rozłożonych płaszczach i oglądała występy mimów przy huczących ogniskach; wiedziała, co to znaczy, jeśli czasem któreś z nich zaczerpnęło dodatkowo tchu albo o jedno uderzenie serca dłużej patrzyło jej w oczy, ale wtedy odwracała się z uśmiechem. Będąc z Cianem, zawsze pamiętała, by odwrócić się na czas i ukryć ten sam wyraz we własnych oczach; nauczyła się opuszczać ramiona, kiedy przechylał się przez nią, sięgając po piwo, a ona czuła na nim zapach innej kobiety; nauczyła się udawać, że nie zauważa, kiedy czasami nieruchomiał i patrzył na nią zaintrygowany, a potem się odwracał.

Odsunęła od siebie pragnienie, lecz nie zamknęła się w sobie. Po prostu odcięła te fragmenty siebie, które mogły ją ciągnąć ku niemu, które mogły ją zniszczyć. To było jak ogłowienie dębu. Pewnego dnia nie będzie już musiała pilnować swojego wzrastania, pewnego dnia będzie mogła się dowolnie rozprzestrzenić. Wtedy będzie rosła bardzo podobnie do innych, chociaż, jak to z ogłowionymi drzewami bywa, świadomi owego

ogłownienia będą dostrzegać jego ślady. Na razie była światłem świata. Chciała jeszcze przez jakiś czas utrzymać Yffingów u władzy, zapewnić sobie — oraz Cianowi, Begu i swojej matce — bezpieczeństwo, dopóki nie znajdzie na to innego sposobu. Wysłała do Rhina drugą, dłuższą wiadomość: „Oto srebro. Niech twój człowiek zasieje niezgodę między Rhoeddem i Cadwallonem”. Niezgoda osłabi Brytyjczyków, może sprawi, że zachód wyda się Pendzie dojrzały do zerwania zamiast wart zawarcia z nim sojuszu. Wojna Mercjan z Brytyjczykami osłabiłaby i jednych, i drugich i odsunęłaby w czasie starcie byków.

Na południu rozprzestrzeniła się zaraza. W Anglii Wschodniej biskup Feliks rozpoczął budowę wielkiego opactwa dla Sigeberta. Na zachodzie Cadwallon kłócił się z Rhegedem i Alt Clut. Hilda się uśmiechała.

Eadfrith przysłał posłańca z wiadomością o darach wysłanych do Yorku przez Pendę.

— Jakie to dary? — zapytała Hilda.

— Złoto — odparł posłaniec. — Eadfrith je zważył i jest go dokładnie czternaście funtów.

— Co to za złoto?

Dlaczego wysłał daninę? To nie miało sensu.

— Kawalki.

— Opisz je.

— Głowice mieczy. Okucia pasków. Rękojeści.

Cian się ożywił.

— Wyposażenie bojowe!

Hilda skinęła głową i powiedziała do króla:

— To nie są dary. To prowokacja. Prawdopodobnie odarł z tego złota gesithów, których zabił w Gwyneddzie.

Penda czuł się silniejszy.

Edwin poczerwieniał i coś drgnęło w jego oczach. Podjął decyzję.

Wysokie drewniane boki rzymskiego podestu Edwina chroniły tanów od wiatru. Najważniejsi mężowie zgromadzeni na ławach z przyjemnością zrzucili płaszcze i grzali się w słońcu.

Totem Yffingów — z dodanym rzeźbionym krzyżem i odmalowany na czerwono, niebiesko i zielono, z dzikiem wykonanym z brązu i złota — lśnił. Przed nim stał na podeście Paulin, za którym ustawili się pozostali doradcy króla, łącznie z Hildą i Cianem. Hilda była tam jedyną kobietą. Królowa siedziała ze swoimi kobietami, w tym z Begu i Breguswithą, na bocznych ławach.

Paulin mówił o wielkim kościele wznoszonym w Yorku, o kościele w Craven, o chrześcijańskim królu Anglów Wschodnich oraz ich przyszłym królu, krewniakowi króla.

— A co nas to obchodzi? — odezwał się jeden z tanów. Hunric.

Paulin mówił dalej:

— Gesithowie, którzy zgromadzili się pod sztandarem Chrystusa...

— Tak, i w Gwyneddzie mocno oberwali!

— ...dziedzic króla, Wuscfreea, zrodzony w małżeństwie pobłogosławionym przez

Boga.

— On jeszcze ssie kciuk! — zawołał mężczyzna stojący za Hunrikiem.

Niektórzy tanowie się roześmiali, lecz więcej kiwało potakująco głowami. Hilda powiedziała wujowi, że pozwolenie, by Paulin mówił, to szaleństwo — czy nie pamiętał ostatniego razu? Lecz Edwin uśmiechnął się tym swoim uśmiechem, w którym pokazywał za dużo zębów i zapytał, czy ona nie widzi, że świat się zmienia? Poza tym Wrona jest głównym księdzem Yffingów i ma prawo przemawiać.

Hunric wstał. Policzki Paulina pokryły się czerwonymi plamami. Edwin zawołał radośnie:

— Pozwól tanowi mówić, biskupie! Jeszcze się niczego nie nauczyłeś? Usiądź. Niech powie, co myśli.

Paulin usiadł odrobinę za szybko.

Hilda się rozejrzała: Cian, równie zaskoczony co ona. Paulin, zły, owszem — biskupowi z Rzymu ma przerwać barbarzyńca! — lecz pod powłoką gniewu przeblysł... zadowolenia? Coelfrith z twarzą bez wyrazu nie był zaskoczony. Królowa siedziała ze spokojną miną.

To było zaplanowane. Serce Hildy przyśpieszyło ze stępa do klusa.

Hunric pochylił głowę. Wyprostował się.

— Wygląda na wspaniałego chłopca, królu. Jest silny i pełen wigoru, ale to chłopiec. Mamy Idingów na północy, Rheged i Gwynedd na zachodzie i Pendę na południu. Potrzebujemy w Elmecie silnego męża. Trzeba zmiażdżyć Cadwallona. Wezwiesz do siebie swoich dorosłych synów?

Hilda utkwiała wzrok w Etelburdze. Królowa przyglądała się swojemu mankietowi. Hilda spojrzała na Begu, która marszczyła brwi. Na matkę, która jak zwykle miała enigmatyczny wyraz twarzy.

Edwin nawet nie zadał sobie trudu, by wstać.

— Słyszę, co mówisz, zacny Hunricu. Jak zwykle mówisz mądrze. Zastanowię się nad tym. Przyjdź dziś na ucztę, to wysłuchasz mojego zdania.

G

Halla była zatłoczona. Miód lał się strumieniem. Hilda ubrała się w najlepszy strój i założyła najlepsze klejnoty, ale nie wypila ani kropli. Nie mogła jeść. Wciąż się uśmiechała, unosiła puchar, trzymała w ręce mięso i kiedy nikt nie patrzył, rzucała je psom. Nikt tego nie zauważał. Hałas wznosił się falą.

Hildzie dzwoniło w uszach. Coś się szykowało.

Mowy. Toasty. Pieśni. Wszystko mijало jak sen albo atak w bitwie. Było nierzeczywiste. A w samym środku Edwin, jej wuj, siedzący z podbródkiem opartym na dłoni, uśmiechnięty, spokojnie obserwujący spod wpół przymkniętych powiek rozwój wypadków. Umysł Hildy wirował, lecz tym razem jej tokarka była tępa i świat po prostu obracał się bez sensu. Tym razem wszyscy, których kochała, siedzieli w jednym rzędzie za królewskim stołem. Tym razem jej matka do nikogo nie odwracała się plecami. Śmiała się z Cianem.

Tym razem nie było Osrica toczącego dookoła wzrokiem spod zmarszczonych brwi. Tym razem była tylko ona; przypatrywała się wszystkim twarzom po kolei, usiłując

zrozumieć.

Matka złowiła jej wzrok i uśmiechnęła się. Był to taki sam uśmiech, jak wtedy, gdy Hilda miała siedem lat i przygotowywała się do obnoszenia wielkiego złotego pucharu: „Bądź dzielna, bądź silna”.

Zobaczyła, że Coelfrith wstaje i wychodzi z halli, skinieniem głowy dając po drodze znak scopowi. Napotkała wzrok Edwina, który znowu odsłonił w uśmiechu zbyt wiele zębów. Dla niej.

Przechyliła się do niej Gwladus, niepotrzebnie napełniła jej puchar i mruknęła:

— Uszczypnij się w policzki. Zbladłaś jak mleko.

Hilda nie słuchała. Patrzyła, jak Coelfrith wraca do halli z dwoma mężczyznami; jeden niósł worek zrobiony nie z konopi, lecz z cienkiego białego lnu, a drugi baryłkę z wypolerowanego dębu opasaną miedzianymi obręczami.

Niejasno zdawała sobie sprawę z obecności Gwladus z jednej strony, a Begu z drugiej, lecz nie mogła skupić uwagi. Czuła się jak schwytana w sen, w jeden z tych niekończących się, zapętających się snów, z którego nie można uciec. Rozwijał się z brakiem zaskoczenia. To już się zdarzyło wcześniej.

Edwin wstał.

Scop zagrał dramatyczny akord.

Edwin powoli spojrział w oczy wszystkim swoim ludziom: w czarne paciorki Wrony, szczerze orzechowe Uinniau, bystre jasnoniebieskie Breguswithy, ciemniejsze Ciana i w oczy Hildy koloru agatu mszystego.

Poczuła ciężar złota, które miała na szyi, błysk karneoli na przegubie ręki, seax u pasa, cienką suknię ze sztywnymi złotymi brzegami. Krowa ofiarna.

Edwin sam nalał sobie białego miodu. Znowu się do niej uśmiechnął.

Następnie zwrócił się do Ciana i wyciągnął ku niemu rękę z pucharem.

Cian wstał. Hilda, wciąż przebywająca we śnie, prawie się spodziewała, że usłyszy syk przyboju i zobaczy uśmiechniętego Mulstana z wyciągniętym mieczem. Lecz to był Edwin z pucharem.

Cian wziął puchar.

— Cian Krzykliwy Płaszcz. Bohater Gwyneddu. Główny gesith. Chrześniak królowej. Syn, powiadają, Cerediga, króla Elmetu.

Cianowi zaczęła drżeć ręka.

— Hunric powiedział, że potrzebujemy przy granicy silnego męża. Męża lojalnego. Hunric jest mądry. Cianie Krzykliwy Płaszczu, ponad wszelką wątpliwość udowodniłeś swoją lojalność. Ocaliłeś mi życie. Ocaliłeś życie ðethelingowi. Kochasz naszego syna. Jesteś odważny w bitwie. Jesteś silny. Zostałeś ochrzczony. Płynie w tobie królewska krew twojego ojca. Ojca, którego pokonałem w zacieklej i uczciwej walce. — Ludzie zaczęli uderzać dłońmi w ławy. Cian wyglądał, jakby stawiał czoło silnemu wiatrowi. Edwin uniósł rękę. — Cianie Krzykliwy Płaszczu, czy razem ze swoją żoną zechcesz objąć Elmet? Zechcesz być jego ealdormanem do czasu, kiedy Wuscfrea osiągnie odpowiedni wiek?

Cian zamrugnął i powiedział:

— Z moją żoną?

— Z moją bratanicą, panią Hildą.

Wszyscy w halli odwrócili się. Hilda poczuła ciężar ich wzroku. Jak złotą koronę. Oddała im spojżenia.

— Nie zemdlej — mruknęła matka, podtrzymując ją ręką pod łokciem. Skąd ona się wzięła? — Odetchnij. Jeszcze raz. Wstań. — Ziemia była daleko w dole i ruszała się. — Oddychaj. Wyprostuj się. Uśmiech. Krok do przodu. Do przodu, dziecko.

Ruszyła z matką u boku. Dłonie uderzające o stół podążały za nią jak fala przyboju.

A potem stała z Cianem przed małym dębowym stolikiem z wyrzeźbionym emblematem Edwina. Czerwono-złota głowa dzika połyskiwała i chwiała się w świetle pochodni, jakby zwierzę biegło. Ludzie Coelfritha położyli na stoliku worek i baryłkę i otworzyli worek, wysypując z niego garść orzechów laskowych. Miód i orzechy laskowe. Owoce Elmetu.

— Biskupie — rzekł Edwin.

Paulin wystąpił z białą tkaniną w dłoni.

Edwin uśmiechnął się do niej rozlewającym się uśmiechem króla, który pęta swojego poddanego, zaprzęga go do swoich celów. Paulin uśmiechnął się do niej. Cian uśmiechnął się do niej i wyciągnął lewą rękę.

Cian ze swoimi kasztanowymi włosami. Cian ze swoim krzykliwym płaszczem. Cian, który nie zna prawdy. „Nie możesz go mieć”.

Wciąż wyciągał do niej rękę. Cian, sześciolatek z kijem, czternastolatek z chłopięcym mieczem, gesith z mieczem ozdobionym pierścieniami.

„Nie możesz go mieć”. Ale teraz musi. Yffingowie upadną. Dostrzegła wzór. I teraz w końcu dostrzegła także sposób, by, kiedy nadejdzie ten czas, zapewnić im obojgu bezpieczeństwo. Zapewnić bezpieczeństwo jej ludziom.

Podawała mu rękę.

Położyli dłonie na stoliku. Edwin i Etelburga przykryli je swoimi, a Wrona ułożył na nich materiał.

Długo mówił o lojalności, o małżeństwie mającym być zawartym przed Bogiem w Elmecie, o świętych przysięgach, lecz Hilda prawie go nie słyszała. Widziała jedynie tryumf na jego twarzy, pełne zadowolenia ruchy jego warg: grzesznica, skazana grzesznica i już nie moja rywalka. Znał prawdę. Znała ją Etelburga. I Edwin. Lecz teraz prawdę przykryje kłamstwo: „Cian, syn króla Cerediga”. Edwin sądził, że to kłamstwo zapewni mu bezpieczeństwo bez konieczności wzywania synów, których Etelburga chciała trzymać z dala od dworu. Bez konieczności pozbycia się jego jasnowidzącej.

Lecz było to jak maleńkie ziarenko piasku w bochenku białego chleba. Nie miało żadnego znaczenia. Znaczenie miała prawda jej wyrd, wznosząca się jak ptasi śpiew, jak zapach kwiatów otwierających się do słońca. Dłoń Ciana pod jej dłonią. Zawsze tak było. Zawsze tak miało być. „Los tako się dzieje, jako i musi”.

G

Podczas powolnej podróży z Yeavingingu do Elmetu w ciągu dnia Cian i Hilda jechali po obu stronach Edwina i rozmawiali o dochodach i dziesięcinach, o planach i zobowiązaniach; o tym, jak Edwin będzie przywoził Wuscfreę, żeby się nauczył ziemi, i jak często jasnowidząca i ealdorman będą odwiedzać dwór. W nocy rozdzielali się; Cian

szedł do ogniska i swoich gesithów, a Hilda do swojego wozu, do matki, Begu i Gwladus.

Matka rozmawiała z nią na osobności jeden raz.

— To zapewni bezpieczeństwo wam obojgu. Zapewni bezpieczeństwo nam wszystkim. Uważamy, że tak będzie najlepiej.

My. Etelburga i jej matka, chroniące swoje dzieci.

W miarę jak posuwali się na południe, pogoda ociepliła się do pełnej wiosny. Diakon Jakub dołączył do nich pod Yorkiem ze swoim chórem. W Caer Loid w wieczór poprzedzający ślub wypowiadał Hildę.

— Na świecie nie może być za dużo miłości — powiedział. — Robisz to, by ocalić dwa żywoty. Więcej niż dwa. Bóg cię błogosławi. Bóg błogosławi twoją krainę. Módl się codziennie i znajdź spokój. — Uśmiechnął się i rozejrzał po małym, skromnym kościele. — A także daj tu trochę pozłoty. Piękny dom cieszy Boga.

Kościółek był zatłoczony: uroczystość celebrowali Paulin i Szczepan, mieszając kłęby kadzidlanego dymu szatami sztywnymi jak skrzydła ważek i błyskając klejnotami w jasnym blasku świec — bardzo wielu świec z białego wosku. Mnóstwo wosku od mnóstwa pszczoł; jej pszczoły; jej kościół; jej ludzie. Śpiewał Jakub i jego dwóch chórzystów, chociaż drewniany zatłoczony kościół nie stanowił najlepszego pudła rezonansowego, jakie mógł wybrać diakon. Łacina przepływała nad Hildą jak dym.

Na przedzie tłoczyli się ci, którzy mieli niedługo odjechać: Edwin i Etelburga, Wuscfreea i Eanflæda, Wilnoða i Bassus, Breguswitha i Luftmaer. Już nigdy nie będzie mieszkać razem z nimi. Nigdy nie pojedzie z dworem do Bebbanburga i Yeaveringu, Derventio i Goodmanham, Sancton, Brough i Yorku. Będzie go tylko odwiedzać. Na końcu drugiej ławy Begu i Uinniau. Dziwne, że wychodzi za mąż przed Begu.

Z tyłu stali jej ludzie: Oeric i jej gesithowie — teraz jako oficjalny dar od króla. Pyr i Saxfrytha. A za nimi Morud i Gwladus, Lweriadda i Sintiadda, Rhin i grupka ludzi z Menewood.

Nie było Onneny. Nie wystarczyło czasu, by ją zawiadomić. Może jednak będą mogli odwiedzić zatokę po żniwach. Hilda wzdragająca się wejść do świata, w którym była zamężna. Jeszcze nie. Jeszcze nie teraz. Dla dodania sobie odwagi zacisnęła dłoń na rękojęści seaksa. Teraz wiedziała, jak się czuła Hereswitha. Żałowała, że jej tu nie ma. Były jednak dziesiątki innych. Mieszkańcy Elmetu. Jej ludzie. Twarze, których jeszcze nie знаła, lecz które pozna. Pozna je wszystkie.

Spojrzała na lewo i na prawo. Nie widziała tyle, ile by chciała; przeszkadzał jej welon. Na pewno nauczy się go nosić i wykorzystywać dla własnej korzyści jak jej matka.

Paulin mamrotał monotonicznie. Jakub śpiewał.

A potem Paulin udzielał im błogosławieństwa:

— ...Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Pobłogosławieni przez Boga. „Nie możesz go mieć”. Musi go mieć. „Bóg cię błogosławi”.

Kościół nabrzmiał wypowiedzianym przez ludzi „Amen”. Cian uśmiechał się promiennie do Paulina, króla, ludzi. Do niej.

To była suma wszystkich jego marzeń. To przerastało jego marzenia. To był honor, szacunek, bogactwo. Przynależność. Ealdorman nie różnił się tak bardzo od króla, a Cian

miał być ealdormanem w swoim własnym lesie w Elmecie, eladormanem silnego króla. Przez jakiś czas.

Ujęła go za rękę.

Wołowina i baranina, łosoś i węgorz. Dobry chleb i miód pitny, zdumiewająca ilość miodu.

Gwladus często napełniała jej puchar. Napełniał go Cian. Ona napełniała puchar Ciana. Dużo pili i niewiele rozmawiali. Przestrzeń między nimi powoli wypełniała się świadomością jak pszczeli plaster miodem, gęstą świadomością utrzymującą ich na miejscu.

Nikt niczego nie zauważył. Uczty weselne są dla gości, a nie dla nowożeńców.

Dla nowożeńców jest noc.

Hilda siedziała na pożyczonym kocu na pożyczonym łóżku w alkowie, mając na sobie tylko najcieńszą, najlepszą koszulę. Gwladus powiesiła jej wierzchnią suknię i welon we wnęce i zastanawiała się, gdzie powiesić pasek i seax.

— Tutaj, przy słupku — powiedziała Hilda.

Gwladus spojrzała na rzeźniczy seax, a potem na Hildę.

— To noc poślubna, pani, a nie wojna.

— Jestem do niego przyzwyczajona. On też jest do niego przyzwyczajony. To tylko nóż.

Gwladus westchnęła, powiesiła pasek na słupku i wyniosła wiadro z mydłą wodą. Kiedy wróciła, miała ze sobą małą flaszkę i złoty grzebień ze szkatułki Hildy. Umieściła kroplę olejku jaśminowego na małym palcu, powiodła nim po zębach grzebienia i zaczęła czesać Hildę. Ta zamknęła oczy, rozkoszując się naciskiem dłoni na czubku głowy, dotykiem grzebienia, mocnymi pociągnięciami.

— Już.

Gwladus uniosła podbródek Hildy, przyjrzała się jej krytycznie i zatknęła kosmyk włosów za jej lewe ucho. Kiwnęła głową. Odłożyła grzebień i flaszkę, a potem chwilę się krzątała, ustawiając świeczkę kolejno na stole, we wnęce, znowu na stole i na parapecie. Hilda nie widziała żadnej różnicy.

W końcu Gwladus zdecydowała się na stół przy rogu łóżka.

Hilda skubała koc. Gwladus odchrząknęła.

— No więc tak. Wytrzepałam materac. Pościel jest czysta i ogrzana. To znaczy była ciepła, ale nie wątpię, że już wkrótce ogrzejecie ją na nowo. Znalazłam też trochę suszonej lawendy do waszych poduszek. W tym dzbanku jest woda, w tym piwo, a tu pod przykryciem ser.

— Gwladus...

Gwladus nie zwróciła na nią uwagi.

— Nie będzie mnie za zasłoną, nie tej nocy, ale będę w sąsiednim pokoju, pokoju Begu. Gdybyś mnie potrzebowała. Ale nie będziesz mnie potrzebowała.

— Gwladus...

Usłyszała dobiegające z zewnątrz głosy.

Gwladus stanęła przed nią na tyle blisko, że Hilda czuła jej zapach. Nie podniosła wzroku. Gdyby to zrobiła, przytuliłaby Gwladus i już jej nie puściła.

— Ciesz się nim, pani. Słyszę, że są już na zewnątrz. Przyślę go. Tylko jego.

Zaszeleściła zasłona, otworzyły się znajdujące się za nią drzwi. Rozległ się rechotliwy śmiech. Hilda sięgnęła do paska i przewiesiła seax rękojeścią w stronę łóżka, żeby łatwo było go dobyć.

— Nie — odezwała się wyraźnie Gwladus w sąsiednim pomieszczeniu. — Nie, mówię poważnie. Ty i ty. Ani kroku za próg tych drzwi albo pani zamieni cię w ropuchę. Ropuchę pozbawioną przyrodzenia. Tak, trzymaj je, póki je jeszcze masz. — Znowu śmiech. Stłumione komentarze. — A więc, panie. Tędy. Przepędzę tych prostaków.

Drzwi się zamknęły. Hilda wpatrywała się w swoje kolana. Zaszeleściła zasłona.

Usiadł na łóżku obok niej.

Popatrzyła na jego kolana. Zamrugła. Podniosła wzrok na jego twarz.

— Masz na sobie płaszcz. Zimno ci?

Zabrzmiało to jak wyzwanie.

Nawet w nikłym świetle dostrzegła, że jego źrenice zwężają się do maleńkich kropeczek.

— Masz pod ręką swój seax. Boisz się?

Cisza. Głosy na zewnątrz stopniowo ucichły. Spróbowała jeszcze raz.

— Nie, naprawdę, jest ci zimno? Bo mnie tak.

Zerwał się, wyrzucił lewą rękę w bok i usiadł, otoczywszy Hildę ramieniem i płaszczem. Siedzieli sztywno. Cienki len między jej piersiami drgał. Czy się boi? To jest Cian. Powalała go na ziemię pół setki razy.

Dotknęła policzkiem jego policzka. Trochę kłuło. Drgnął mięsień jego szczęki. Powalał ją na ziemię pół setki razy. Lecz i tak drgała mu szczęka. Hilda objęła go w pasie. Zamknęła oczy.

Cisza. Oddychała: wdech, wydech. Wdech, wydech. Cian oddychał tak szybko jak ona. Czowała mięśnie ślizgające się po jego żebrach. Pachniał tymiankiem, miodem pitnym i tą ostrą nutą żelaza i soli, od której rozdymały się jej nozdrza.

Wiedziała, jak wygląda Cian. Wiedziała, jak wyrywało się na swobodę jego przyrodzenie, wiedziała, że jego sutki wyglądają jak czerwone rodzyнки. Znała dotyk jego języka. Wiedziała, że jest ożywiony, czujny i gotowy. Ale tego mężczyzny nie znała.

Położyła drugą rękę na jego brzuchu. Natrafiła na klamrę. Cofnęła dłoń.

— Ta klamra!

Klamra z nożem.

Zarumienił się.

— Zdejmij ją. Zdejmij płaszcz. Zdejmij wszystko.

— Dopiero kiedy rzucisz swój nóż do kąta.

Jakby byli sześciolatkami.

— Nie rzucę go.

Wstała i zniosła go ostrożnie do najbliższego kąta, tego przy stole. Odwróciła się. Stała obwiedziona światłem świecy i zobaczyła, jak przylgnął do niej jego wzrok. Można ufać Gwladus. Pozwoliła mu patrzeć. To była bardzo cienka koszula. Zapewne wszystko przez nią widział. Jej sutki stwardniały.

Zdjął płaszcz. Złożyła go starannie, a on zdejmował buty, pas, tunikę. Ułożyła je

na płaszczu, a potem zaniósła do kąta i położyła obok noża, poza zasięgiem ręki. Odwróciła się, spojrzała z rozmysłem na Ciana, na zarysy napiętych mięśni pod nogawicami. Na wybrzuszoną ich workowatą część. Powiększała się z lekkim odchyleniem na lewo.

Oboje przełknęli ślinę.

— Nie wiem, co robić — powiedział Cian.

To nie miało sensu.

— Ale miałeś mnóstwo kobiet.

— Wiem, co robić z kobietami. Nie wiem, co robić z tobą. Nie, nie chcę powiedzieć... Nie jesteś służącą. Jesteś wysoko urodzona. I jesteś Angielką.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

— I nie wiem, czy mnie chcesz. Nie wiem, dlaczego nie chciałaś mnie wcześniej.

Wzięła go za rękę i położyła ją sobie na piersi. Wiedziała, jak to odczuje, знаła ognistą linię, jaka pobiegnie do jego brzucha, do jego łędźwi.

— Oczywiście, że cię chcę. Kładłam rękę na twoim pasie, od kiedy umiałam wymówić własne imię. Pokazywałam ci magię, pokazywałam ci czary. Upuść teraz tarczę, a oboje obdarzymy się magią.

Stała przed nim tak, że jego nos dotykał łuku jej żeber, że czuł jej zapach, czuł ten zapach ziemi, kapryfolium i kobiecego soku. Jedną rękę położyła mu na ramieniu — mięsień biegnący od szyi do kości na czubku — a drugą z tyłu głowy. I przeskoczyło między nimi, jak zrozumienie między gesithami zwartymi w walce, jak porozumienie krążące w ławicy ryb, stadzie ptaków, tabunie koni: „Jesteśmy nami”.

Chciała go. Chciała go całego, wszystko, chciała wypełnić się nim aż do utraty tchu. Chciała przeciągnąć go przez siebie, przeciągnąć jego skórę przez swoją skórę, przyciągnąć jego mięśnie do swoich mięśni, kość do kości. Mogła go zgnieść, przycisnąć do siebie, napiąć się i sięgnąć, walczyć bez rozlewu krwi, bez sińców.

I tak zrobiła.

Zamknęła się mocno wokół niego, mocno jak pięść, mocniej; jego oczy były koloru najbardziej błękitnego błękitu, jaki kiedykolwiek widziała, były bardziej niebieskie niż niebo, większe niż niebo, szerokie, nieskończone, były horyzontem domu.

Leżała na skraju leszczynowego zagajnika z policzkiem przyciśniętym do mchu pachnącego wypluwkami robaków i ostatnimi promieniami słońca, i słuchała wiatru, który uciekał od dnia i szumiał wśród wiązków, kawek, które przestały nawoływać „Dalej! Dalej!”, i krzyczały teraz „Wracać do domu! Do domu!”. Niedługo podąży za nimi.

Od autorki



Hilda żyła naprawdę. Urodziła się tysiąc czterysta lat temu w anglosaskiej Anglii. Wszystko, co o niej wiemy, pochodzi z dzieła *Historia ecclesiastica gentis Anglorum* (Historia kościelna ludu angielskiego) Bedy Czcigodnego, tekstu założycielskiego angielskiej historii¹. Pierwszą połowę jej życia można streścić w jednym krótkim akapicie.

Urodziła się około 614 roku po tym, jak jej matka, Breguswitha, miała sen o swoim nienarodzonym dziecku jako klejnocie, który przynosi ziemi światło. Ojciec Hildy, Hereric, wywodzący się z królewskiego rodu Deiry, został otruty, kiedy przebywał na wygnaniu na dworze Cerediga, króla Elmetu. Jej starsza siostra, Hereswitha, wyszła za bratanka króla, Rædwalda, króla Anglii Wschodniej. Hilda wraz z dużą częścią domowników Edwina została ochrzczona przez Paulina około 627 roku w Yorku. Następnie zniknęła z kart pisanej historii do 647 roku, kiedy ponownie pojawiła się w Anglii Wschodniej, by popłynąć statkiem do Galii, do siostry — i wtedy biskup Aidan zwerbował ją do służby Kościołowi.

Nie wiemy, gdzie dokładnie urodziła się Hilda i kiedy zginął jej ojciec ani jej matka. Nie wiemy, jak wyglądała, w czym był dobra, czy wyszła za męża i czy miała dzieci. Najwyraźniej jednak była osobą niezwykłą. W czasach wojennych przywódców i królów, kiedy panowało prawo siły, zaczęła z całą pewnością w niepiśmiennej kulturze jako druga córka bezdomnej wdowy, prawdopodobnie nieposiadającej zbyt wielu zasobów materialnych, a osiągnęła pozycję potężnej doradczynie królów i nauczycielki pięciu biskupów. Obecnie jest czczona jako święta Hilda.

Jak zatem przetrwała tę kulturową transformację drobnych królestw w wyrafinowane, piśmienne państwa? Nie wiemy. Napisałam tę książkę, żeby się tego dowiedzieć. Nauczyłam się wszystkiego, co mogłam na temat etnografii, archeologii, poezji, numizmatyki, biżuterii, tkanin, języków, produkcji żywności, broni oraz wielu innych zagadnień z przełomu szóstego i siódmego wieku. A potem odtworzyłam ten świat i znane wydarzenia historyczne, umieściłam w nim Hildę i z zafascynowaniem patrzyłam, jak dorasta, ulega wpływom i sama wpływ wywiera. (Im bardziej się zagłębiałam w temat, tym większej nabieram pewności, że chwyciłam tygrysa za ogon. Teraz piszę drugą część tej opowieści).

Chociaż ludzie w czasach Hildy mogli pojmować swój świat nieco inaczej niż my pojmujemy nasz, wciąż byli ludźmi — tak jak my. Ich marzenia, obawy, polityczne machinacje, zmagania, miłości i wahania zależały od okoliczności i temperamentu — tak jak nasze. Hilda, choć wyjątkowa, była wyjątkowa w ramach ograniczeń tamtych czasów. A czasy te były nieraz brutalne.

Nie udaję, że jestem historykiem. Chociaż bardzo się starałam, by nie przeczyć

temu, co wiadomo na temat kultury materialnej, języków, świata przyrody, polityki i mieszkańców Wysp Brytyjskich na początku siódmego wieku, to jest to powieść. Ja to wymyśliłam.

WYMOWA

Hilda spotykała się na co dzień z co najmniej czterema językami: staroirlandzkim (irlandzkim), dawnym brytyjskim (brytańskim), łaciną i staroangielskim (angielskim).

Nie podejmę się próby skodyfikowania wymowy staroirlandzkiego; poległ na tym lepsi ode mnie.

Dawny brytyjski jest łatwiejszy. Można o nim myśleć w kategoriach współczesnego walijskiego: wymawiane są wszystkie litery, „c” wymawia się jak „k”, „dd” jak angielskie dźwięczne „th”, „ff” jak „w”, „Rh” jak „hr”, a „u”, „g” i „w” potrafią być... zmienne. Tak więc:

Cian: KI-an

Gwladus: U-la-dus

Arddun: AR-thun

Rhoedd: HRO-eth

Urien: IRRI-jen

Uinniau: u-INNI-aj (zdrobnienie brzmi bardzo podobnie do angielskiego imienia „Winny”).

Staroangielski to szczególnie i powolny język, w którym wymawia się wszystkie spółgłoski i samogłoski, „r” jest drżące, a w dyftongach akcentowany jest pierwszy element. W uproszczeniu można przyjąć wymowę:

æ: jak „a” w angielskim słowie „cat”

sc: jak „sh” w angielskim słowie „ship”

g: czasami jak „y” w angielskim słowie „yes”

īc: zwykle jak w angielskim słowie „itch”

f: czasami jak „v” w angielskim słowie „very”

đ: jak dźwięczne „th” w angielskim słowie „then”

Zatem:

Gipswīc: Yips-witch

gesith: ye-SITH

gemæcce: ye-MATCH-e

ætheling: ATH-el-ing

scop: SHOW-p

Eanflæda: AY-on-vlada

seax: sax

Yffi : IFF-y

Hereric: her-ER-itch

Wilnoða: u-ILL-notha

1 Przekład odpowiednich stron na język angielski, dokonany przez profesora Roya M. Liuzzę (Joseph Black et al., red., *Broadview Anthology of British Literature*, Volume 1: *The Medieval Period*, Broadview Press, Peterborough, Ont. 2006) można znaleźć tutaj:

http://nicolagriffith.com/Bede_on_Hild.pdf (za zgodą tłumacza).

Słowniczek



- æfen** — pora dnia od szóstej do dziewiątej wieczorem
ætheling — męski potomek, książę
Arawn — brytyjski (wealh) świat podziemny
bazylika — główna sala rzymskiego budynku administracyjnego
Belenus — brytyjski bóg
Beli Mawr — legendarna brytyjska postać
Blodmonath — listopad
Cait Sith — czarny kot z brytyjskich legend
ceorl — człowiek wolny
Coel Hen — brytyjski król z piątego wieku
cyrte — luźna suknia z długim rękawem; strój nieformalny
dryhten — władca absolutny
ealdorman — możnowładca (podobny do wicekróla)
Eorðe — angielska bogini
etin — olbrzym
gemæcce — oficjalna kobieca przyjaźń lub partnerstwo; kobieta stanowiąca parę
gesith — członek osobistego zbrojnego oddziału króla; elitarny wojownik
Gewisse — lud znad górnej Tamizy; Sasi Zachodni
hægtes — osoba nadprzyrodzona; czarownica
Hel — angielskie określenie piekła, zimnego miejsca
Hrethmonath — marzec
Hwicce — lud z okolic Worcester; Sasi
Idingowie — królewska dynastia Bernicji
Loidowie — plemię rządzące w brytyjskim Elmecie
Lyr — legendarny brytyjski bóg
mene — dolina
middæg — środek dnia, pora od południa do godziny trzeciej
morgen — pora dnia od szóstej do dziewiątej rano
nithing — wiarołomca; osoba, której się unika
Nortumbria — Bernicja i Deira
Ɔstremonath — kwiecień
Oiscingowie — królewska dynastia Kentu
principium — rzymski budynek administracyjny
scop — angielski bard
seax — nóż z dużą klingą o jednym ostrzu
selkie — mityczne stworzenie, które w morzu żyje jako foka, a na lądzie staje się

człowiekiem

siano drzewne — porąbany chrust używany jako zimowa pasza

sidsa — magia

Sigel — angielski bóg

Sirona — rzymsko-brytyjska bogini

wężowy kamień — amonit (skamielina)

Solmonath — luty

tan — pan

Thunor — angielski bóg

tufa — królewski sztandar

undern — pora dnia od dziewiątej rano do południa

vill — królewska posiadłość

wealh — angielskie słowo na określenie obcego, a także podstawa słowotwórcza współczesnego wyrazu „Welsh” (walijski)

Weodmonath — sierpień

wīc — królewska osada handlowa, zwykle port

Winterfylleth — październik

Witganmot — zebranie notabli, zwykle doroczne

Woden — angielski bóg

Wuffingowie — królewska dynastia Anglii Wschodniej

wyrd — los

Yffingowie — królewska dynastia Deiry

Yr Hen Ogledd — Stara Północ; królestwa północnej Anglii i południowej Szkocji

Podziękowania



Myślałam o tej książce przez długi czas. Lista osób, którym chciałabym podziękować, jest równie długa. Są na niej:

Mój redaktor, Sean McDonald oraz wszyscy w wydawnictwie Farrar, Straus and Giroux: Jonathan Galassi, Andrew Mandel, Jeff Seroy, Kathy Daneman, Spenser Lee, Devon Mazzone, Emily Bell, Taylor Sperry, Nick Courage, Charlotte Strick, Abby Kagan oraz wszyscy, którzy ciężko i inteligentnie pracowali na rzecz tej książki. Pragnę także podziękować Karli Eoff, mojej adiustatorce;

Moja agentka, Stephanie Cabot, oraz Anna Worrall i wszyscy w Gernert Company. Praca z takim zespołem to zaszczyt;

Stowarzyszenie Autorów w Wielkiej Brytanii, które w krytycznym momencie przyznało mi stypendium na podróż i badania;

Blogerzy zajmujący się średniowieczem zawodowo i amatorsko — Michelle of Heavenfield, Jonathan Jarret, Magistra et Mater, Tim Clarkson, Sally Wilde, Guy Halsall, Carla Naylund, Reverend Brenda Warren — którzy pomagali mi czasem nieświadomie, lecz w większości z rozmysłem i cierpliwością. Dziękuję także Lisie Spangenberg i Wendy Pearson za uwagi na rozmaite tematy oraz Dennisowi Kingowi, Davidowi Burke'owi i Johnowi Clayowi za pomoc przy staroirländzkim. Wszelkie błędy są oczywiście moje;

Wszyscy twórcy, kompilatorzy, tłumacze i entuzjaści staroangielskiej poezji. Elegia na śmierć Rædwalda na s. 170-171 stanowi moje wyobrażenie na temat tego, jak mógłby wyglądać fragment pierwszej wersji *Beowulfa*, gdyby poemat został napisany tuż przed wiekiem nawrócenia, a nie trochę później (co do czego zgadza się większość uczonych). Moje zadanie z językowej inżynierii wstecznej oparłam na rozmaitych przekładach i okrasiałam sporą dozą *licentia poetica*. Wszelkie błędy są moje;

Moi przyjaciele, którzy nie szczędzili mi praktycznej pomocy, cierpliwości, zachęty, wina i nie tylko: Angélique Corthals, Liliana Dávalos, Maria Dahvana Headley, Liz Butcher, Guillermo Castro, Ginny Gilder, Lynn Slaughter, Dorothy Allison, Val McDermid, Robert Schenkkan, Karen Joy Fowler, Matt Ruff, Karina Meléndez, Jennifer Durham i Vicki Platts-Brown;

Moja rodzina w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Dziękuję;

Steve Swartz, który pojawia się tu jako Czarny Szczepan, ponieważ wpłacił dość pieniędzy na Fundusz Afrykańskich Studni, by dostarczyć wodę setkom, jeśli nie tysiącom ludzi;

Roger Deakin, Robert Macfarlane i Richard Mabey, którzy napisali cudowne książki o Brytanii i jej dzikich, zalesionych zakątkach oraz Thomas H. Nelson, autor książki *The Birds of Yorkshire* („Ptaki Yorkshire”) wydanej w 1907 roku, a dawno

wyczerpanej, który opisał cud gołębi i szpaków w jednym gnieździe;

Spółeczność moich czytelników, którzy podążają za mną (czasami dosłownie) do dziwnych miejsc;

Angielscy kibice rugby z czasów mojej młodości, którzy zapoznali mnie z pikantnymi przyspiewkami. Piosenka na s. 251 jest oparta na kilku z nich. Niektórzy z Was zapewne znają jej melodię...

Specjaliści, którzy (w większości wypadków) o mnie nie słyszeli, lecz mimo to pomogli mi (mam nadzieję, że kiedyś podam tę pomoc dalej): Sarah Foot, Nicholas Higham, Robin Fleming, Chris Wickham, Barbara Yorke, Richard Underwood, Alex Woolf, D.P. Kirby, Edward James, Kevin Crossley-Holland, Alaric Hall, Rosamond McKitterick, Sally Crawford, Clare Lees i Gillian Overing, Penelope Walton Rogers, John Blair, Peter Hunter Blair, wszyscy współpracownicy *The Heroic Age* („Epoka heroiczna”) i, oczywiście, dwie osoby, dzięki którym to wszystko zaczęłam, Trevelyan i Stenton.

Również sama Hilda, która zmieniła świat — czasami tyle trzeba, żeby zwrócić moją uwagę;

I w końcu w szczególności Kelley, zawsze Kelley, która nigdy nie pozwoliła mi dawać z siebie mniej niż wszystko. Po tych całych latach nadal chcę robić na niej wrażenie.



Brytania w VII wieku



„Pełnokrwisty portret niezwykłej kobiety”
Elżbieta Cherezińska

NICOLA GRIFFITH

hilda



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO